
UNIVERSITY OF TORONTO
3 1761 00689988 4



TOM II. ZESZYT 4-5. KWIECIEŃ-MAJ 1901.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

LIBRARY
733809
UNIVERSITY OF TORONTO

TREŚĆ.

№ 4-5. — KWIECIEŃ - MAJ 1901.

CHIMERA.

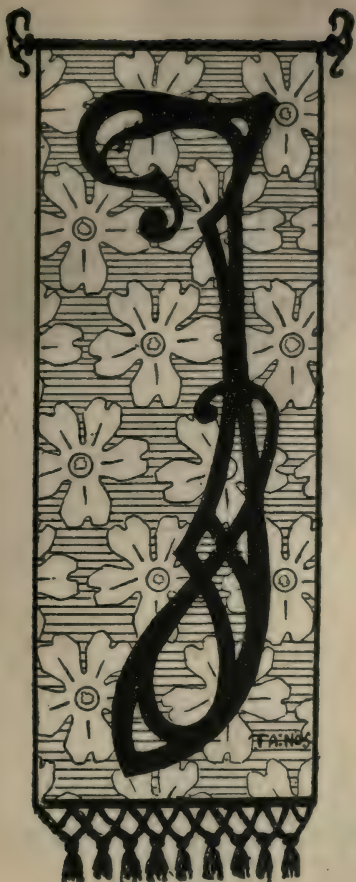


t. 2

TOM DRUGI. KWIECIEŃ — CZERWIEC 1901.
WARSZAWA, KSIĄŻĘCA 7.

PG
7001
C 538
t. 2

733809



ULIUSZ SŁOWACKI.

ZE SPUŚCIZNY RĘKOPIŚMIENNEJ.

Wszystkie oboczne, niewydane waryanty do KRÓLA DUCHA są wyjęte z rękopisów poety, złożonych w Ossolineum we Lwowie (ustęp pierwszy — z zeszytu znaczonego lit. B, str. 8-ma; ustęp drugi — z tegoż zeszytu, str. 5b i (ostatnia strofa) 7b; ustęp trzeci — z t. zw. „Książki zielonej," karta 2-ga, pod napisem Rapsod II) — i przedstawiają widoczne odmiany bardzo licznych opracowań wstępu do rapsodu o Mieczysławie, który miał, wedle pierwotnego planu, stanowić rapsod II-gi. Treścią ich — obudzenie się i wcielenie Ducha na byt wtóry. Forma skróconej pośrodku oktawy, jak w ustępie I-ym, powraca wielokrotnie (porówn. Pisma pośm. J. S., wyd. 2-gie, tom II, str. 234 i 413); forma ustępu III-go z t. zw. rymem środkowym *(rima al mezzo)* powtarza się w brulionie jeszcze jeden raz.

EDWARD PORĘBOWICZ.

I.

. . . .

A gdym obudził się, to wiatr się zrywał
I ducha mego jak sen niósł przez chmury,
A świat ognisty z ognia wylatywał
Z dołu i z góry.
Czasem komety wielki miecz przeszywał,
Czasami we krwi kto wstawał ponury
I szedł... przez krwawe świecące się szlaki
Trup... jaki Harfiarz albo Supan jaki.

Drżący dopadłem jednego kamienia
I — siadłem... ja duch... mgłą przywalon ciemną.

Lecz, jako gniazdo węża lub szerszenia,
Kamień podemną,
Pełny pogwizdu — ruchu — jęku — tchnienia,
Gromadą się stał żywotów podziemną.
Rósł i wstępował aż po same włosy
Kurhan z dusz, — wszystkie kąsały jak osy...

Wszystkie kąsały... a gdym się stał kością,
Myśl odleciała czaszki — jak rój pszczelny
Brzęcząc — i chwila stał(a) się wiecznością,
A ból — piekielny...
Wtenczas ząb, własną rozwścieklony złością,
Zaczął... swój własny śrzodek... niepodzielny,
Gdzie boleść miała swe gniazdo usłane,
Gryść... a ból na ból, — rana szła na ranę...

Wtem nagle stały się otchłanie cichsze,
I pani duchów zesłana z miesiąca
Szła, w świateł błysku i w tęczowym wichrze
Przelatująca...
Ku niej więc duchy globowe najlichsze,
Jak duchy ziaren, które w ziemi trąca
Anioł słoneczny... wstawaliśmy wszyscy
W jej świetle bladem — odkupienia bliscy...

Wszyscy poganie pod świata żywioły
Poddani... w strasznej udręczenia męce
Jak duchy w ziarna wtrumnieni napoły,

Ku niej wznosiliśmy włosy i ręce
Wyciągaliśmy... a ona wesoły
Wieniec, w różanej kąpany jutrzence,
W której się tęcza kolorów świeciła,
Niosła — i z niego lampę nam czyniła.

I przyleciawszy... gdzieś nad otwór — złoty
Zewnętrznych świateł od ziemi wnikaniem,
Rzekła: po drugi raz wychodzisz z groty
Z nowem zaraniem...
Ten, co chciał sławy... zapragnie prostoty,
Ten, co chciał miecza, wsławi się śpiewaniem.
Pierwsze uczynki zbrzydziliście sobie,
Porozbudzani z fałszów ciała w grobie...

[Ten, który mieczem był na ziemi krwawy,
A sławą sobie świecił... do mogiły,
Ofiarę niech mi da z miecza i sławy
Za ducha siły.
Rzekła — jam ujrzał, poganin ciekawy (?),
Wianki dusz, które ku mnie się schodziły...]

Rzekła... a ja świat obaczyłem nowy,
Złoty prostotą — wychodzący z cienia,
Niby rok jakiś wielki, tysiącowy
Rok przemienienia.
Dawniej to — dawniej dźwięk Orfeuszowy
O takim roku ruszał serc kamienia

Nad tymi sady, gdzie się jabłoń płoni,
Gdzie słońce błyszczy — zdało się, że dzwoni.

Jam sądził, że gdzieś rośnie piramida,
A [nad] nią leci rumak Perseusza,
A gdzieś Herkules — słupy — Atlantyda
I Psyche — dusza,
A od Syonu dźwięk harfy Dawida,
A od Kaukazu duch Prometeusza
Z lampą idący na ziemię — kradzioną

[. . . .]



II.

. . . .

Jednak — tą razą zamykając oczy,
Czułem, że jakaś tajemnica bliska
Napada myśli i chmurami mroczy
I do błyśnięcia zmuszając, — naciska.
Duch, kiedy we śnie w te krainy wkroczy,
Gdzie kształtom już dać nie może nazwiska
Wie, jaki strach ma przed słońc tarczą Bożą,
Myśląc, że pękną, albo się otworzą.

Nie — choćby wieki ciemności kraina
Odaczała mię kolorów nauki,

To nie zapomnę, jak turkus z rubina
Strzela i wpada w szmaragdowe łuki...
Zda mi się dotąd, że wachlarz rozgina
Swoje malarstwa przecudownej sztuki
I napełnia mi zachwyceniem łono,
Jasnością — w ducha cudownie wstrzeloną.

Raje widziałem, i doliny Boże,
I parę naszych rodziców świecącą,
Z szmaragdów łąki i z szafirów morze,
I lwa, cichego, choć go łanie trącą...
A drzewa wszystkie miały duchy w korze,
A od róż czułem westchnienia gorąco;
W naturze było rodzące natchnienie,
Sny duchów z kwiatów wstawały jak cienie.

Girlandy ptaków stały na niebiosach,
Około orlich wieńców żórawiane,
A w środku słońce, a na słońca włosach
Ptaki, jakoby z tęcz namioty tkane.
Cała natura — niebo — w ludzkich głosach;
Na polach paszcze trzód pootwierane,
Pootwierane i wzniesione w górę
Modlitwą, która przemienia naturę.

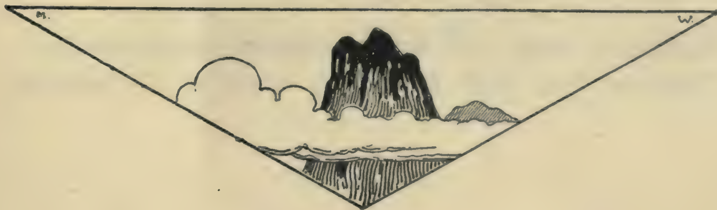
Grzmotami biły gdzieś po lasach chmury,
Syryusz złoty szczekał, jak pies szczeka;
Co mówię — jak słup strzelona do góry

Stała przed Panem jakaś srebrna rzeka.
Ptaki się niosły w powietrzne lazury,
A inne od słońc leciały zdaleka.
W miłości, w ogniu, w zgiełku, w zawierusze
Świat stanął, — drzewa szumiały jak dusze.

Ja nie dziecinnym już patrzałem wzrokiem,
Lecz przedwiekowym czułem się człowiekiem,
Przed wszystką ciżbą bliższy jednym krokiem
Bogu, a równy obrazowi wiekiem.
Wtem jakiś anioł nakrył mię obłokiem,
W trumnę ciemności rzucił, zabił ćwiekiem,
I przeszedł jak wiatr, który lasy pali.
Jam się obudził ciemny...

. . . .

Wtenczas, pod świętem owej Trójcy prawem,
Która anioły w cielesność ubiera
I czyni, że sił grzmotowych objawem
Błyska się sfera, —
Jam przyszedł—Król Duch—zwany Mieczysławem,
Na los Dawida i dolę Homera
Przygotowany — przez te duchy, które
Na oczy ciemną rzucają purpurę.



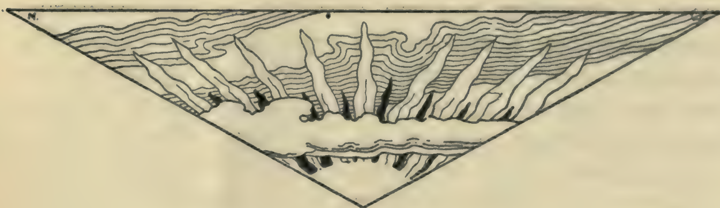
III.

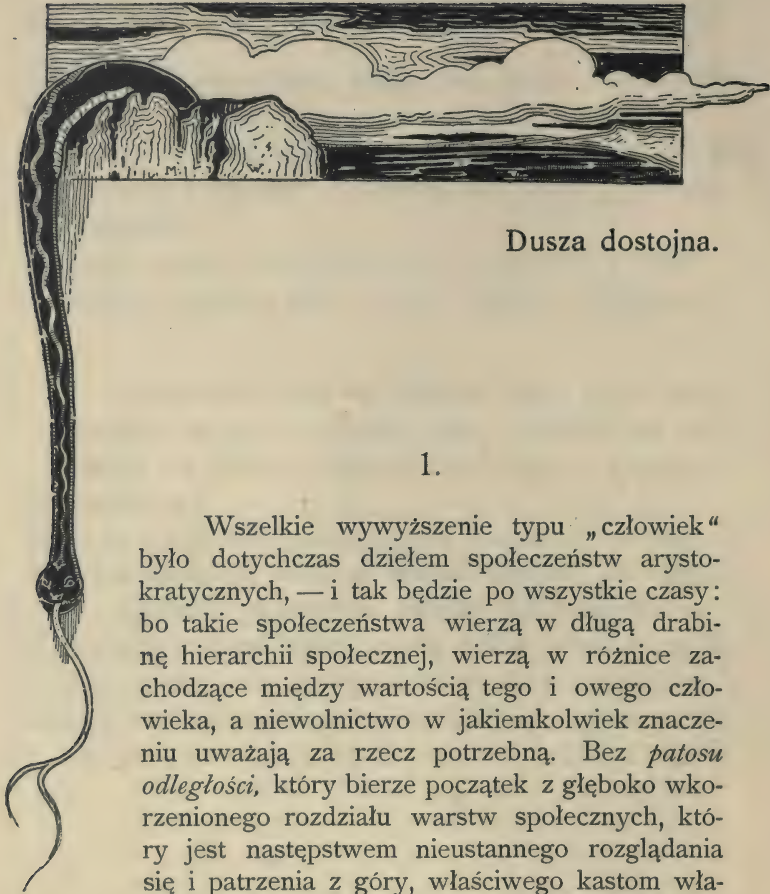
Ja brat śpiewak znowu do was przychodzę,
A po drodze wstąpiłem do chat i wiosek
Z pieśnią; każdy mię kłosek zna i każda mogiła.
Matka chłopca wysyła i z lirą dziada zaprasza.
Bo dziś ojczyzna nasza w pieśni skrzydlatej spo-
A pieśń żywa złożyła skrzydła i leży [czywa,
W sercu dawnych rycerzy i dziś śpiewaków za karę.
O! miejcie wiarę, że to, co śpiewam, tak było.
Pod mogiłą są ciała, lecz duchy mi żywe śpiewały,
Duchy w duchu; świat cały globowy mi śpiewał
. . . przelewał w łzy moje pieśń, a z łez czynił
[posągi.

Słuchajcie więc, jak ongi na ziemię przyszedłszy
Złote mi żyto było koroną, a maki [okwitą

Purpurą... Tak, jak ptaki, śpiewałem jutrzence
[wesoło,
A białe sioło, — bo nazwać stolicą nie mogę
Miasta, gdziem się urodził... trwogę czyniło
[Germanom,
I Rusi, i limanom, gdzie wtenczas czarne Kłobuki
Pieczynki — wieże swoje i łuki ogromne jeżyli.

Pan, który chyli narody do nóg człowieka,
Pan od wieka — przez duchy to swoje wybrane
Czyniący — swe rumiane sny spuścił na mnie
[w młodości,
Gdym w ciemności i w ciężkiej dziecięcia ślepocie
Łzami się zlewał; krocie widzeń pańskich stawało
I w ciemne ciało piorun wlatywał Jehowy.
Więc, bywało, mi z głowy złote wylecą promienie
I na cienie w ciemności wyjdą; piastunka ucieka,
Ojciec drży, nie człowieka w dziecku, ale anioła
Widzi i głośno woła na Bogi swe duchy o pomoc...





Dusza dostojna.

1.

Wszelkie wywyższenie typu „człowiek“ było dotychczas dziełem społeczeństw arystokratycznych, — i tak będzie po wszystkie czasy: bo takie społeczeństwa wierzą w długą drabinę hierarchii społecznej, wierzą w różnice zachodzące między wartością tego i owego człowieka, a niewolnictwo w jakiemkolwiek znaczeniu uważają za rzecz potrzebną. Bez *patosu odległości,* który bierze początek z głęboko wkorzenionego rozdziału warstw społecznych, który jest następstwem nieustannego rozglądania się i patrzenia z góry, właściwego kastom władającym w stosunku do swych poddanych i narzędzi, i wynikiem ciągłego ćwiczenia w posłuszeństwie i rozkazywaniu, w spychaniu i odpychaniu, — nie mógłby się rozwinąć ów inny, nierównie bardziej tajemniczy patos, nie mogłoby wzrość owo pożądanie coraz nowego rozprzestrzeniania oddaleń w dziedzinie własnej duszy, wykształcania coraz to wyższych, niezwyklejszych, odleglejszych, ku wszelkim dalom i przestrzeniom wzmożo-

nych stanów duszy; krótko mówiąc, nie byłoby możliwe wywyższenie typu „człowiek“, nie mogłoby się odbywać nieustające „przezwyciężanie człowieka w sobie samym.“ Ostatnie słowa są formułą moralną, którą się posługuję w znaczeniu o wiele wyższem. Niezawodnie: badając genezę społeczeństw arystokratycznych (które są założeniem każdego wywyższenia typu „człowiek“), niepodobna się oddawać humanitarnym złudzeniom; prawda jest surowa. Bez ogródek przeto powiedzmy sobie, w jaki sposób dotychczas poczynała się na ziemi wszelka wyższa kultura! Oto ludzie z jeszcze niewypaczoną naturą, barbarzyńcy w całej pełni straszliwego znaczenia tego słowa, drapieżnicy, władający jeszcze niczem niezłamaną siłą woli i pożądaniem potęgi, rzucali się na słabsze, spokojniejsze i spokojniejsze rasy, zajmujące się handlem lub chowem bydła, albo też na stare, przeżyte kultury, których ostatki siły życiowej dogasały w świetnych rozblaskach przeduchowienia i zepsucia. W początkach, kasta najdostojniejsza i kasta barbarzyńców to jedno; przewaga barbarzyńców polegała w pierwszym rzędzie nie na sile fizycznej, lecz na sile duchowej, — byli zupełniejszymi ludźmi (co na każdym stopniu rozwoju jest równoznaczne z „zupełniejszemi zwierzętami“).

2.

Korupcya, będąca oznaką, że w dziedzinie instynktów grozi anarchia, i że podwaliny afektów, które nazywamy „życiem“, uległy wstrząśnieniu: korupcya może być czemś zasadniczo różnem, zależnie od formy życiowej, w której się przejawia. Jeżeli, na przykład, jaka arystokracya, jak to uczyniła arystokracya francuska w początkach rewolucyi,

z wykwintnym wstrętem odrzuci precz swe przywileje i złoży siebie samą w ofierze rozuzdaniu swego poczucia moralnego, to taki czyn jest korupcyą: — właściwie był to tylko epilog trwającej od wieków korupcyi, przez którą arystokracya francuska wyzbyła się swych praw przodowniczych i zniżyła się do roli f u n k c y i w stosunku do władzy królewskiej (a w końcu stała się nawet jej ozdobą i błyskotką). A przecież istotną cechę dobrej i zdrowej arystokracyi stanowi poczucie, że n i e j e s t ona funkcyą (czy to władzy królewskiej czy gminowładztwa), lecz ich sensem i najwyższą racyą istnienia, — że może przeto z czystem sumieniem przyjmować ofiarę mnóstwa ludzi, którzy d l a n i e j muszą być ukróceni i zepchnięci do rzędu ludzi niezupełnych, do rzędu niewolników i narzędzi. Jej zasadniczą wiarą musi być przeświadczenie, że społeczeństwo nie powinno istnieć dla społeczeństwa, lecz po to tylko, aby być podwaliną i rusztowaniem, na którem wyborowy gatunek istot może się wznieść do swych wyższych zadań i — ogólniej mówiąc — na poziom wyższego i s t n i e n i a: na podobieństwo owych, tęsknoty do słońca pełnych pnączów na Jawie — zwą je *Sipo Matador* — które tak długo i tak często oplatają ramionami dęby, aż wreszcie, wysoko ponad niemi, ale na nich wsparte, mogą rozchylić swe korony i ukazać się w przepychu swego szczęścia.

3.

Unikać nawzajem wszelkiej krzywdy, przemocy i wyzysku, wolę swą stawiać na równi z wolą drugiego: takie postępowanie w najpospolitszem rozumieniu rzeczy może się stać między jednostkami kwestyą dobrych obyczajów, jeżeli są ku temu warunki (to znaczy, jeżeli te jednostki

przedstawiają istotne podobieństwo co do sił i wartości i jeżeli wchodzą w skład tego samego społecznego ciała). Przyznając jednak tej zasadzie szersze znaczenie, lub, co więcej, czyniąc z niej zasadnicze założenie społeczeństwa, spostrzega się natychmiast, czem ona jest w gruncie rzeczy: oto wolą, mającą na celu zaprzeczenie życia, zasadą rozkładu i upadku. Nad tem należy się bardzo głęboko zastanowić, nie dając do siebie przystępu żadnym czułostkowym słabostkom: życie samo w sobie nie jest niczem innem jak przywłaszczaniem, krzywdzeniem, przezwyciężaniem wszystkiego, co obce i słabsze, uciskiem, srogością, narzucaniem własnych form, pochłanianiem, a już bardzo łagodnie rzecz biorąc, co najmniej wyzyskiem, — lecz po co posługiwać się ustawicznie właśnie takiemi słowy, które od wieków noszą na sobie oszczercze piętno? Otóż, owo ciało społeczne, w zakresie którego jednostki mogą między sobą postępować jak równi z równymi — a taki przypadek przyjęliśmy powyżej i tak dzieje się w łonie każdej zdrowej arystokracyi, — owo ciało, jeżeli jest zdrowem, nie zaś obumierającem, musi w stosunku do innych ciał społecznych czynić to wszystko, czego wystrzegają się w stosunku do siebie jednostki w skład jego wchodzące: musi być ucieleśnioną wolą potęgi, musi rość, szerzyć się, przyciągać do siebie, dążyć do uzyskania przewagi, — nie z jakichkolwiek pobudek moralności, czy niemoralności, lecz dla tego, że żyje i że życie jest wolą, której celem potęga. Lecz może w żadnym innym punkcie nie tak trudno jest trafić do ogólnego przeświadczenia Europejczyków, jak właśnie w tym; wszędzie marzenia, i to nawet pod płaszczykiem nauki, o przyszłych ustrojach społecznych, pozbawionych „cech wyzysku“: — w moich uszach brzmi to tak, jakgdyby ktoś obiecywał wynaleźć życie, pozbawione wszelkich funkcyj organicznych. „Wyzysk“ nie jest cechą zepsutego, czy też

niedoskonałego, pierwotnego społeczeństwa: jest on częścią istotną wszystkiego, co żyje, jako jego organiczna, zasadnicza funkcya; jest wynikiem właściwego pożądania potęgi, a to znowu jest po prostu żądzą życia. — Przypuśćmy, że, jako teorya, takie pojmowanie rzeczy jest czemś nowem, — jako rzeczywistość jest ono zasadniczym objawem historyi po wszystkie czasy: przecież na tyle trzeba być względem siebie uczciwym! —

4.

W wędrówce śród mnóstwa wytworniejszych i mniej wytwornych zasad moralnych, które dotychczas panowały na ziemi lub na niej panują, zauważyłem, iż regularnie powtarzają się pewne rysy, nierozdzielnie ze sobą połączone: ostatecznie wykryłem dwa zasadnicze typy i zasadniczą tych typów różnicę. Oto, istnieje moralność władców i moralność niewolników; — i niezwłocznie dodaję, że we wszystkich wyższych i bardziej złożonych kulturach nie zbywa na usiłowaniach połączenia tych dwóch moralności, lub, co jeszcze częściej się zdarza, że zachodzi ich pomieszanie i obustronne niezrozumienie, kończące się ostrem między niemi starciem — i to nawet w jednym i tym samym człowieku, w jednej i tej samej duszy. Różnice wartości moralnych albo powstały wśród warstw panujących, którym nie zbywało na świadomości, co mianowicie dzieli je od podwładnych — albo też wytwarzały się wśród podwładnych, niewolników i ludzi na różnym stopniu zależności. W pierwszym razie, to znaczy, gdy władający oznaczają pojęcie „dobra“,—jako coś wyróżniającego i określającego stopień godności odczuwa się wzmożone, dumne wzloty duszy. Człowiek dostojny odsuwa precz od siebie istoty, w których zachodzą objawy sprze-

czne z owemi dumnemi, wzmożonemi stanami duszy; gardzi niemi. A trzeba pamiętać, że, w tej pierwszej odmianie moralności, przeciwieństwo: „dobre“ i „liche“ znaczy tyle co: „dostojne“ i „nikczemne“: — przeciwieństwo „dobre“ i „złe“ jest innego pochodzenia. Pod wzgardę podpada wszystko, co tchórzliwe, lękliwe, małostkowe, wszystko, co zdąża do ciasno pojętej pożyteczności; pogardy również godzien jest człowiek podejrzliwy, o niewolniczem spojrzeniu, i ten, który pozwala sobą poniewierać, i żebrzący pochlebca, a przedewszystkiem kłamca: — zasadniczym dogmatem wszelkiej arystokracyi jest przeświadczenie o kłamliwości gminu pospolitego „My prawdomówni“ — tak zwali siebie ludzie szlacheckiego pochodzenia w starożytnej Grecyi. Niepodobna zaprzeczyć, że określenia wartości moralnych odnosiły się przedewszystkiem do człowieka, a dopiero w drugim rzędzie i znacznie później poczęto je przykładać także do postępków: i dlatego w grube błędy popadają historycy moralności, biorący za punkt wyjścia takie pytania, jak: „dlaczego litościwe postępki bywają chwalone?“ Człowiek odmiany dostojnej czuje, że od niego zależy naznaczenie wartości; nie potrzebuje niczyjego przyzwolenia, rozumuje: „co dla mnie szkodliwe, to samo w sobie jest szkodliwe“, i wie, że w jego mocy jest nadawać wagę rzeczom, że dano mu tworzyć wartości. Czci wszystko, co w sobie dostrzega; taka moralność jest uświetnieniem siebie samego. Nad wszystkiem góruje poczucie pełni, potęgi, która pragnie się przelać, szczęścia, jakie daje wielkie wzmożenie, świadomość bogactwa, które chciałoby się rozdarować i rozdać: — bo człowiek dostojny również pomaga nieszczęśliwemu, nigdy wszakże lub prawie nigdy z litości, tylko z popędu, poczętego z nadmiaru potęgi. Człowiek dostojny czci w sobie mocarza, tego, który ma władzę nad sobą samym, który umie mówić i milczeć, który z rozkoszą

potrafi być dla siebie surowym i twardym i który ma cześć dla wszystkiego, co surowe i twarde. „Twarde serce włożył mi Wotan w piersi", brzmi jeden wiersz w prastarej skandynawskiej Sadze: ten okrzyk wydobył słusznie poeta wprost z duszy dumnego Wikinga. Tego rodzaju ludzie czują dumę, że nie są stworzeni, aby powodować się litością: dlatego bohater Sagi, ostrzegając, dodaje: „kto za młodu nie ma twardego serca, u tego ono nigdy nie będzie twarde". Ludzie dostojni i wysocy, ludzie tak myślący, stoją najdalej od owej moralności, która istotę etyki widzi przedewszystkiem czy to we współczuciu, czy w działaniu dla drugich, czy wreszcie w *désintéressement;* wiara w siebie samego, duma z siebie samego, głęboka niechęć i ironia dla „zaparcia się siebie samego", — oto cechy moralności dostojnej, równie dla niej istotne, jak odcień lekceważenia i niedowierzanie względem objawów współczucia i „dobrego serca". — Tylko potężni umieją czcić; to ich sztuka, to ich wynalazek. Głęboka cześć dla wieku i pochodzenia — całe prawodawstwo opiera się na tej dwojakiej czci — wiara i uprzedzenie na korzyść pokoleń minionych i na niekorzyść przyszłych są typowemi znamionami moralności ludzi silnych; i odwrotnie — już w samem tem zdradza się gminne pochodzenie „nowoczesnych idei", że zwolennicy ich żywią prawie instynktową wiarę w „postęp" i „przyszłość", a coraz bardziej wyzbywają się czci dla wieku. W moralności ludzi-władców niema nic przykrzejszego i nic bardziej obcego dla współczesnych pojęć, jak zasada, że człowiek ma obowiązki tylko względem sobie równych; że z istotami niższego rzędu, ze wszystkiem, co obce, może postępować, jak mu się podoba, „jak mu serce każe", a w każdym razie „z wyłączeniem pojęć dobrego i złego": — do nich zaś zaliczyć należy współczucie i uczucia jemu podobne. Poczuwać się do obowiązku i umieć przez

długie czasy dochować wdzięczności lub zemsty — ale jednej i drugiej tylko wobec równych sobie — umieć wytwornie się odwzajemnić, kierować się subtelnym zmysłem w przyjaźni i uznawać konieczność posiadania nieprzyjaciół (jak gdyby na to, aby byli korytami, odprowadzającemi uczucia zawiści, zawadyactwa i zuchwalstwa — a w istocie na to, aby się nauczyć być dobrym przyjacielem), oto typowe znamiona dostojnej moralności, która nie jest moralnością „nowoczesnych idei", i dlatego w naszych czasach tak trudno ją odczuć, tak trudno się jej dokopać i doszukać. — Inaczej przedstawia się drugi typ moralności, moralność niewolników. Przypuśćmy, że zasady moralności tworzą uciemiężeni, uciśnieni, cierpiący, zależni, siebie samych niepewni i znużeni: cóż będzie odpowiadało ich pojęciom wartości moralnych? Prawdopodobnie objawi się pessymistyczna nieufność do warunków, od których człowiek zależy, a może potępienie człowieka i tych warunków. Niewolnicy mają niechętne spojrzenia dla cnót ludzi możnych: są sceptyczni i nieufni, posiadają subtelność nieufności względem wszystkiego, co „dobre", co czczą potężni — chcieliby wmówić w siebie, że nawet szczęście tamtych nie jest prawdziwe. I odwrotnie; wywyższają i blaskiem otaczają właściwości, przeznaczone, aby nieść ulgę istnieniu cierpiących: żywią przeto cześć dla współczucia, dla przyjaznej, pomocnej dłoni, dla dobrego serca, cierpliwości, pilności, pokory i serdeczności, — bo dla nich te właściwości są najpożyteczniejsze i stanowią prawie jedyny środek, dzięki któremu mogą znieść brzemię istnienia. Moralność niewolników jest w istocie rzeczy moralnością pożyteczności. Oto źródło, z którego wypłynęło owo słynne przeciwieństwo „dobrego" i „złego": — w złe przeradza się potęga i niebezpieczeństwo, złem staje się w odczuwaniu niewolników wszelki odcień grozy, pomysłowości i siły, nie podpadają-

cej pod wzgardę. Przeto, wedle moralności niewolników, „złe“ wzbudza trwogę; wedle moralności władców, to właśnie jest „dobre“, co wzbudza i chce wzbudzać trwogę, a człowiek „lichy“ zasługuje na pogardę. Te przeciwieństwa dosięgają szczytu, gdy w rozwoju moralności niewolników okazuje się wreszcie, że do „dobrych“ wedle tej moralności przylgnęło coś, jakby odcień lekceważenia — zresztą bardzo lekkiego i życzliwego lekceważenia — a to dlatego, że w sferze pojęć niewolników człowiek dobry musi przedewszystkiem nie być człowiekiem niebezpiecznym: według nich jest on dobroduszny, łatwo dający się oszukiwać, może nawet nieco głupi, *un bonhomme.* Wszędzie, gdzie moralność niewolników ma przewagę, objawia się skłonność do zbliżania słów „dobry“ i „głupi“. — A wreszcie następująca zasadnicza różnica: pożądanie swobody, instynkt szczęścia i subtelność w odczuwaniu swobody stanowią równie dobrze niezbędne cechy moralności niewolników, jak artyzm i entuzyazm w uczuciu czci i oddania są niezmiennemi objawami arystokratycznego sposobu myślenia i oceniania wartości. — Z tego łatwo już wyrozumieć, dlaczego miłość spotęgowana aż do męki — nasza wyłącznie europejska właściwość — znakomitego niewątpliwie jest pochodzenia: jak wiadomo, powstała ona dzięki prowansalskim rycerzom-poetom, owym wspaniałym, pomysłowym ludziom „wesołej wiedzy“ *(gai saber),* którym Europa tak wiele i nieomal siebie samą zawdzięcza.

5.

Do rzeczy, które człowiekowi dostojnemu najtrudniej może pojąć przychodzi, należy próżność: gotów przeczyć jej istnieniu nawet tam, gdzie innego rodzaju człowiek

tyka jej obu rękoma. Dla niego nielada zagadnieniem jest wyobrazić sobie istoty, które chcą rozbudzić dobre mniemanie o sobie, chociaż same go nie podzielają — a więc nie „zasługują“ też na nie — i które ostatecznie w to dobre mniemanie same w i e r z ą. Wydaje mu się to w połowie tak niesmacznem i niegodnem samego siebie, a w drugiej do tego stopnia barokowo niemądrem, że radby widzieć w próżności wyjątek, że powątpiewa o jej istnieniu prawie zawsze, gdy się o niej mówi. Powie naprzykład: „mogę mieć mylne wyobrażenie o mej wartości, a mimo to żądać, aby inni oceniali ją taksamo, jak ja — lecz to nie jest próżność (raczej pomyłka, a najczęściej to, co ludzie zwą „pokorą“ czy „skromnością“).“ Albo też: „z wielu powodów mogę się cieszyć, gdy ludzie żywią o mnie dobre mniemanie; czy to dlatego, że ich czczę i kocham i każdą ich radość podzielam, czy dlatego, że ich dobra o mnie opinia utwierdza i wzmacnia moje własne o sobie mniemanie, czy wreszcie dlatego, że przynosi lub zapowiada mi pożytek, nawet w takich razach, gdy ja sam tego mniemania nie żywię — lecz to wszystko nie jest próżnością.“ Człowiek dostojny dopiero pod przymusem, a zwłaszcza z pomocą historyi, zdoła zrozumieć, że od niepamiętnych czasów, i to we wszystkich w jakimbądź stopniu zawisłych warstwach ludu, człek pospolity b y ł t y l k o t e m, z a c o u c h o d z i ł: — że, nie nawykłszy do tego, aby sam naznaczać wartości, nie przypisywał też sobie żadnej wartości ponad tę, którą mu przyznawali jego panowie, (bo istotą praw przysługujących władcom jest tworzyć wartości). I musimy uważać to za skutek potwornego atawizmu, że człek pospolity nawet w obecnych czasach c z e k a przedewszystkiem na opinię o sobie, a potem się jej instynktownie podporządkowuje: i to nie tylko „dobremu“ mniemaniu, ale także złemu i niesłusznemu

(wystarczy, na przykład, przypomnieć, jak kobiety wierzące pod wpływem spowiedników oceniają siebie lub niedoceniają, jak zresztą czyni to każdy wogóle wierzący chrześcianin pod wpływem nauki swego kościoła). Ów pierwotnie dostojny i rzadki popęd do samoistnej oceny własnej wartości i do „dobrego mniemania o sobie", wobec powolnego rozwielmożnienia demokratycznego porządku rzeczy (a także przyczyny tego porządku, którą jest krzyżowanie się rasy władców z rasą niewolników), staje się znowu coraz śmielszym i powszechniejszym: lecz będzie miał zawsze przeciw sobie nawyknienie dawniejsze, ogólniejsze i głębiej zakorzenione, — i w zjawisku, zwanem „próżnością", owo dawniejsze nawyknienie weźmie górę nad nowszem. Człowiek próżny cieszy się z każdego dobrego mniemania, które o sobie usłyszy (zupełnie niezależnie od tego, czy to mniemanie wyjdzie mu na korzyść i czy jest słuszne lub niesłuszne), podobnie jak cierpi z powodu każdej złej opinii: bo człowiek próżny poddaje się jednemu i drugiemu mniemaniu, czuje, że musi się im poddać, zniewolony odzywającym się w nim najdawniejszym instynktem uległości. — W krwi człowieka próżnego odzywa się „niewolnik," resztka przebiegłości niewolnika, — a ileż to z „niewolnika" pozostało, na przykład, jeszcze po dziś dzień w kobietach! — które chciałyby wyłudzić dobre mniemanie o sobie; i w tem także jest coś z niewolnika, że człowiek próżny zaraz pada przed opinią na twarz, jak gdyby jej sam nie wywołał. — Powtarzam raz jeszcze: próżność jest atawizmem:

6.

Każda odmiana wytwarza się, każdy typ wzmacnia się i potężnieje w długiej walce z temi samemi niepomyślnemi warunkami. I naodwrót wiadomo z doświad-

czenia hodowców, że gatunki, które mają zbytnią obfitość pożywienia, które bywają otaczane nadmierną troskliwością i opieką, objawiają natychmiast gwałtowną skłonność do tworzenia nowych odmian swojego typu i obfitują w dziwy i potworności (i w potworne również wady). Przyjrzyjmy się teraz arystokratycznemu gminowładztwu, naprzykład, którejkolwiek starogreckiej Polis albo Wenecyi, które nie były niczem innem jak mniej lub więcej dobrowolnemi instytucyami, zdążającemi do wyhodowania pewnego rodzaju ludzi; znajdujemy tam ludzi, którzy mogą liczyć tylko na siebie, ludzi, którzy chcą zapewnić przewagę swej odmianie, a chcą najczęściej dlatego, że muszą pod straszliwą grozą wytępienia. Tu brak owej pomyślności, tu niema tego nadmiaru, tej opieki, które tak bardzo sprzyjają tworzeniu nowych odmian; w takich warunkach, istniejąca odmiana ludzka czuję potrzebę niezmienności, jako coś, co właśnie tylko dzięki swej surowości, jednolitości i prostocie formy może ostać się i utrwalić w nieustannych walkach z sąsiadami i ze zbuntowanymi albo grożącymi buntem ujarzmionymi ludami. Najróżnorodniejsze doświadczenia uczą ją, którymto przed innemi właściwościom zawdzięcza, że naprzekór wszystkim bogom i ludziom jeszcze istnieje, że jeszcze zwycięża: te właściwości zwie ona cnotami i wyłącznie te cnoty krzewi. A czyni to z nieubłaganą surowością, co więcej, chce surowości; wszelka moralność arystokratyczna nie zna pobłażania w wychowaniu młodzieży, w rozporządzaniu kobietami, w zwyczajach małżeńskich, w stosunku ludzi młodych do starszych wiekiem, w prawodawstwie karnem (które zwraca się tylko przeciw wyrodniejącym): dla niej brak pobłażliwości jest nawet cnotą, której daje nazwę „sprawiedliwości". W ten sposób, utrwala się przez pokolenia typ o nielicznych lecz niezmiernie wyrazistych rysach, odmiana ludzi surowych, wojowniczych, roztropnych i mil-

czących, stanowczych i skrytych (a co za tem idzie, najsubtelniej wrażliwych na czar i wszelkie *nuances* towarzyskości). Jak już wyżej powiedziano, nieustanna walka z temi samemi niepomyślnemi warunkami jest przyczyną wzmagania się i potężnienia typu. W końcu jednak nastaje chwila niczem niezamąconej pomyślności, niezmierne wytężenie zwalnia się; zabrakło, dajmy na to, nieprzyjaciół wśród sąsiadów, a środków do życia, i nawet do używania życia, jest nieprzebrana obfitość. Naraz rozluźniają się pęta i przymus dawniejszej dyscypliny: nie jest ona już nieodzowna, nie jest koniecznym warunkiem istnienia, — a gdyby nadal miała trwać jednak, to chyba jako forma zbytku, jako zamiłowanie do archaizmu. I nagle ukazują się na widowni w nieprzebranem mnóstwie i wspaniałości nowe odmiany, z których jedne zdążają ku wszystkiemu, co wyższe, wytworniejsze i niezwyklejsze, inne zaś objawiają się pod formami zwyrodnienia i potworności; jednostka poważa się być jednostką i wyróżniać się wśród innych. W takich zwrotnych momentach dziejowych występują obok siebie, często zwikłane i splątane między sobą, przedziwne różnorodne objawy wybujałości i rozrostu, przywodzące na myśl dziewicze prabory; współzawodnictwo w rozrastaniu się w tropikalnem idzie tempie, poczyna się straszliwie szerzyć zaguba i dobrowolne dążenie ku niej, a to dzięki dzikiemu ścieraniu się jak gdyby eksplodujących egoizmów, które wśród wzajemnych zapasów o „słońce i światło" nie znajdują już w dotychczasowej moralności ani kresu, ani hamulca, ani zmiłowania. Ta moralność właśnie była przyczyną olbrzymiego nagromadzenia siły, powodującej owo groźne napięcie łuku, —a teraz własne potomstwo „przeżyło", „przeżywa" ją. Nastaje chwila niebezpieczna i tajemnicza, w której pełniejsze, różnorodniejsze i rozlewniejsze życie usuwa ze swej drogi dawną moralność; w takich warunkach

istniejąca „jednostka“ widzi się zniewoloną do stworzenia swego własnego prawodawstwa, do wynalezienia własnych pomysłów i forteli gwoli zachowaniu, wywyższeniu i wybawieniu siebie samej. Na każdym kroku nowe po co? i nowe jak? — już nie ma formuł ogólnych; nieporozumienie i pogarda idą z sobą w parze; upadek, zepsucie i rozpasane żądze wiążą się w straszliwe sploty; geniusz rasy przelewa się ze wszystkich rogów obfitości dobrego i złego; następuje fatalne spotkanie wiosny i jesieni, pełne nowych ponęt i tajemniczości właściwej poczynającemu się i jeszcze niewyczerpanemu, nieznużonemu zepsuciu. I znów pojawia się niebezpieczeństwo, ta macierz moralności, znów grozi wielkie niebezpieczeństwo, tym razem przeniesione na jednostkę; przejawia się wszędzie: w bliźnim i przyjacielu, na ulicy, we własnem dziecku, we własnem sercu, we wszystkich najosobistszych, najtajniejszych drgnieniach chcenia i woli. Cóż tedy mają głosić moraliści, współcześni takiej epoce? Oto odkrywają ci bystrzy spostrzegacze i stróże, że wszystko ma się ku końcowi, że wszystko dokoła nich psuje się i swem zepsuciem zakaża, że nic nie ostoi się do pojutrza prócz jednej jedynej odmiany człowieka, nieuleczalnie miernego człowieka. Tylko mierni mają widoki dalszego trwania, dalszego rozmnażania się, oni jedni są ludźmi przyszłości, oni jedni pozostaną; „bądźcie jako oni! bądźcie miernymi!“ staje się odtąd jedyną moralnością, która jeszcze ma sens, która jeszcze znajduje posłuch. — Lecz to tak trudno ją głosić, tę moralność mierności! — bo nigdy niewolno jej przyznać się, czem jest i czego chce! ona musi kazać o umiarkowaniu, o godności, o obowiązkach, o miłości bliźniego, — i trudno jej, zaiste, ukryć ironię!

7.

Istnieje instynkt godności, który przed wszystkiem innem jest już dostateczną oznaką wysokiej godności własnej; istnieje roskosz, polegająca na odcieniach poszanowania, która pozwala się domyślać dostojnego pochodzenia i dostojnych nawyknień. Wytworność, dobroć i wzniosłość wszelkiej duszy ludzkiej bywają wystawione na niebezpieczną próbę, gdy obok nich przesuwa się coś, co jest najpierwszej godności, ale jeszcze nie owiane grozą powagi, ochraniającej przed natrętnemi zetknięciami i trywialnością: coś, co jak żywy kamień probierczy idzie swą drogą, niewyraźne, nieodkryte, doświadczające i może umyślnie utajone za zasłoną i pod przebraniem. Dla kogo badanie dusz ludzkich stało się przedmiotem studyów i ćwiczenia, ten niejednokrotnie posłuży się świadomie następującym fortelem, aby ustalić ostateczną wartość pewnej duszy ludzkiej, aby oznaczyć nieodmienny, wrodzony jej — stopień godności: oto wystawi na próbę jej instynkt poszanowania. *Différence engendre haine:* pospolitość niektórych natur tryska nagle jak brudna woda na widok jakiegoś świętego naczynia, jakiejś kosztowności z zamknionych skrzyń, jakiejś księgi ze znamionami wielkiego losu; i naodwrót zdarza się zauważyć z mimowolnego zmilknienia, z wahającego spojrzenia i powstrzymania wszelkich gestów, iż czyjaś dusza czuje bliskość rzeczy najczcigodniejszych. Sposób, w jaki dotychczas utrzymuje się w Europie poszanowanie dla Biblii, jest może najlepszą cząstką kultury i wyszlachetnienia obyczajów, które Europa chrześciaństwu zawdzięcza; takie księgi głębi i ostatecznej doniosłości potrzebują na swą ochronę płynącej od zewnątrz tyranii powagi, potrzebują jej, aby trwać przez tysiące lat, konieczne do ich wyczerpania i zgłębienia. I wiele osiągnięto, skoro się

wreszcie udało wykształcić w szerokich tłumach (w płytkich głowach i głupcach wszelkiego rodzaju) owo poczucie, że nie wszystkiego wolno im dotykać: że są święte zdarzenia, przed ktoremi powinny zzuć obuwie i nie zbliżać się do nich z nieczystemi rękami; — w tem objawia się nieomal ich najwyższe podniesienie w sfery człowieczeństwa. I przeciwnie, niemasz może nic wstrętniejszego w tak zwanej inteligencyi, w zwolennikach „nowoczesnych idei", jak ich wyzucie ze wstydu, jak ich nieskrępowana bezczelność oczu i rąk, któremi wszystkiego dotykają, wszystko badają, wszystko ślinią; i kto wie, czy dzisiaj u prostego ludu, u chłopów, nie przejawia się względnie wyższa wytworność smaku i taktu w poszanowaniu, niż u inteligencyi, u czytającego dzienniki półświatka ducha.

8.

Z niczyjej duszy niepodobna zetrzeć tego, czemu się przodkowie najchętniej i najczęściej oddawali: czy to tego, że byli skrzętnymi, oszczędnymi pracownikami i stanowili sprzęt nieodłączny od biurka i skrzyni z pieniędzmi, po mieszczańsku skromni w swych żądzach i równie skromni w swych cnotach; czy tego, że życie ich upływało od świtu do wieczora na rozkazywaniu i że całą duszą byli oddani twardym rozrywkom, a obok tego niemniej może twardej odpowiedzialności i obowiązkom; czy wreszcie tego, że, złożywszy w dani prastare przywileje rodu i dziedzictwa, poświęcili życie wyłącznie swej wierze — i swemu Bogu, przyniewoleni przez nieubłagane i subtelne sumienie, wzdragające się przed wszelkim kompromisem. Wprost niepodobna przypuścić, aby w człowieku nie tkwiły właściwości i upodobania jego rodziców i antenatów. I to jest problemem rasy. Wiedząc cośkolwiek o rodzicach, można

już snuć wnioski o dziecku: dajmy na to, plugawa niewstrzemięźliwość, pokątna zawiść, prostackie wdzieranie się w nieswoje prawa — ta łączna trójca, stanowiąca po wszystkie czasy istotę plebejskiego typu, musi przejść na dziecko z taką samą pewnością jak zepsuta krew; i z pomocą najlepszego wychowania i wykształcenia udaje się osiągnąć zaledwie pozory, przysłaniające dziedziczność tego rodzaju. A do czegoż innego zmierza dzisiejsze wychowanie i wykształcenie! W naszej wielce demokratycznej, chcę powiedzieć, plebejuszowskiej epoce, „wychowanie" i „wykształcenie" musi być w gruncie rzeczy sztuką pozorów — aby łudzić co do pochodzenia i dziedzicznego plebejuszowstwa ciała i duszy. W naszych czasach, nawet pedagog, któryby przedewszystkiem nauczał szczerości, któryby swych wychowanków nieustannie nakłaniał: „bądźcie szczerzy! bądźcie naturalni! nie chciejcie wydawać się innymi, niż jesteście!" — nawet taki cnotliwy i dobroduszny osioł, po pewnym czasie, nauczyłby się uciekać do owego horacyuszowskiego *furca*, aby *naturam expellere:* a z jakim skutkiem? „motłoch" *usque recurret.*

9.

Pod groząą obrażenia niewinnych uszu, utrzymuję, że egoizm stanowi pierwiastek istotny duszy dostojnej; a przez egoizm rozumiem ową niewzruszoną wiarę, że takiej istocie, jaką „my jesteśmy", inne istoty z natury rzeczy muszą podlegać, i że powinny się dla niej poświęcać. Dusza dostojna przyjmuje ten rys znamienny swojego egoizmu bez najlżejszego powątpiewania, a zarazem bez uczucia srogości, przymusu czy samowoli, raczej jako coś, co znajduje uzasadnienie w przedwiecznym porządku wszechrzeczy: — a gdyby szukała nazwy dla tej swojej właściwości,

pewnoby rzekła, że „to prosta sprawiedliwość“. Pod naciskiem skrupułów, utrzymujących ją z początku w niepewności, wyznaje ona przed sobą, że są ludzie, zrównani z nią prawami; lecz raz załatwiwszy się z tem zagadnieniem godności, zachowuje się wśród sobie równych i równouprawionych z tą samą pewnością w odcieniach skromności i subtelnego poszanowania, z jaką postępuje wobec siebie samej, — zgodnie z przyrodzoną mechaniką ciał niebieskich, którą się rządzą wszystkie gwiazdy. Ta wytworność, to ograniczanie własnej istoty w stosunkach z równymi sobie jest u niej tylko jeszcze jednym objawem egoizmu — każda gwiazda jest takim egoistą: w nich i w prawach, które im przyznaje, czci ona siebie samą i nie wątpi, że wymiana praw i grzeczności, jako istota wszelkich stosunków towarzyskich, należy również do naturalnego porządku rzeczy. Dusza dostojna kieruje się, w dawaniu i przyjmowaniu, leżącym na jej dnie namiętnym i drażliwym instyktem wzajemności. Pojęcie „łaska“ niema *inter pares* sensu i nie cieszy się dobrą opinią; istnieje podobno subtelny sposób jakgdyby poddawania się darom, spływającym z góry i spijania ich jak kropel deszczu spragnionemi usty: lecz do takiego kunsztu i postępowania dusza dostojna nie posiada zupełnie zmysłu. Jej egoizm stanowi w takich razach przeszkodę: wogóle niechętnie spogląda ona w „górę“, — patrzy albo przed siebie, zwolna i poziomo, albo też w dół: — czuje, że sama jest na wyżynach.

10.

„Tylko ten naprawdę może poważać, kto siebie samego nie szuka“. — Goethe w liście do radcy Schlossera.

11.

Chińczycy mają przysłowie, które matki dzieciom wpajają zawczasu: *siao-sin*, „uczyń swe serce małem!" W tem objawia się charakterystyczny pociąg, właściwy starzejącym się kulturom: nie wątpię, że Grek starożytny także i w nas, współczesnych Europejczykach, rozpoznałby przedewszystkiem umniejszenie własnej naszej istoty, — i już przez to samo nie przypadlibyśmy mu „do smaku".

12.

Czemże wreszcie jest pospolitość? — Słowa są głównemi znakami pojęć, pojęcia zaś mniej lub więcej dokładnemi znakami obrazowemi często i razem powtarzających się wrażeń, grup tych wrażeń. Używanie tych samych słów jeszcze nie wystarcza, aby się nawzajem rozumieć: prócz tego potrzeba posługiwać się temi samemi słowami na określenie tego samego rodzaju procesów duchowych, a wreszcie potrzeba wzajemnej wspólności doświadczenia. Dlatego ziomkowie rozumieją się lepiej, niż przedstawiciele różnych narodowości, którzy się posługują jednakim językiem; a właściwie, gdy ludzie przez długi czas żyją obok siebie w podobnych warunkach (klimatu, ziemi, niebezpieczeństw, potrzeb i pracy), tworzy się coś, co „rozumie siebie samo", naród. We wszystkich duszach jednaka ilość często powtarzających się wrażeń wzięła górę nad wrażeniami, które się rzadziej zdarzają: w zakresie wrażeń pierwszego rodzaju porozumienie odbywa się szybko i z biegiem czasu coraz szybciej — historya mowy ludzkiej to historya procesu skracania — a ta szybkość porozumiewania się sprawia, że ludzie łączą się coraz ściślej-

szemi węzłami. Im większa groza niebezpieczeństwa, tem większa potrzeba szybkiego i łatwego porozumienia się co do rzeczy grożących; unikać nieporozumienia w chwili niebezpieczeństwa, to warunek, bez którego ludzie we wzajemnych stosunkach obyć się nie mogą. A każdy stosunek przyjazny czy miłosny daje sposobność do następującej próby: żadnemu z nich nie można przepowiadać dłuższego trwania, o ile się spostrzeże, że z dwóch przyjaciół czy z dwojga kochanków, przy tych samych słowach, jedno czuje, myśli, przewiduje, pragnie i obawia się inaczej niż drugie. (Ów dobroczynny geniusz, który tak często osoby różnej płci powstrzymuje od przedwczesnych związków wbrew podszeptom zmysłów i serca, to obawa „wiekuistego nieporozumienia“ — a n i e jakiś tam „geniusz rodzaju“ Schopenhauera —!). Jakie grupy wrażeń w pewnej duszy najwcześniej się budzą, odzywają i nad innemi górę biorą, to rozstrzyga o sposobie hierarchicznego szeregowania przez nią różnych wartości, to określa ostatecznie, co ona sama za dobre uznawać będzie. Z ocen i sądów człowieka można poniekąd domyślać się s t r u k t u r y jego duszy, tudzież tego, co uznaje ona za warunek swego istnienia, za istotną swą potrzebę. A jeżeli teraz przyjmiemy, że niebezpieczeństwo zbliżało po wszystkie czasy do siebie tylko takich ludzi, którzy mogli wyrazić za pomocą podobnych znaków podobne potrzeby i podobne wrażenia, to okaże się ostatecznie, że ze wszystkich mocy, które dotychczas powodowały człowiekiem, zdolność łatwego u w i a d a m i a n i a s i ę o niebezpieczeństwie, czyli w gruncie rzeczy zdolność doznawania jeno zwyczajnych i p o s p o l i t y c h wrażeń, musiała być najpotężniejsza. Ludzie podobniejsi, ludzie zwyklejsi, mieli i mają zawsze przewagę, natomiast niezwyklejsi, wytworniejsi, niepospolitsi, trudniej zrozumiali, popadają łatwo w osamotnienie, a wskutek swojego odosobnienia ulegają zagładzie

i rozradzają się tylko w rzadkich wypadkach. I potrzebaby użyć niesłychanych sił hamujących, aby powstrzymać ten naturalny, aż nazbyt naturalny *progressus in simile*, ten postępowy rozwój rodzaju ludzkiego w kierunku wszystkiego, co podobne, zwyczajne, przeciętne, trącące trzodą, — pospolite!

13.

Im częściej psycholog — psycholog z urodzenia, z popędów, znawca dusz ludzkich — podejmuje się badania niezwyklejszych wypadków i niezwyklejszych ludzi, tem większe grozi mu niebezpieczeństwo zadławienia się współczuciem: i trzeba mu więcej niż innym ludziom hartu i wesołości. Albowiem skażenie i zaguba ludzi wyższych, dusz niezwyklej ukształtowanych jest prawidłem: straszne to, mieć wiecznie takie prawidło przed oczyma. Przeróżne udręczenia psychologa, który to prawidło zaguby odkrył, który tę zbiorową wewnętrzną „nieuleczalność“ wyższego człowieka, to wiekuiste „zapóźno!“ w każdem znaczeniu tego słowa, najpierw w jednym wypadku, a potem z kolei prawie wszędzie odnalazł, i to przez wszystkie epoki historyi, — mogą sprawić, że pewnego dnia zwróci się on, pełen goryczy, przeciw własnemu losowi i pokusi się o zniszczenie własnej istoty, — że sam się „zepsuje“. Prawie u wszystkich psychologów można zauważyć zdradliwą skłonność i zamiłowanie do przestawania z ludźmi codziennymi, z ludźmi porządnymi: przez to wyjawia się, że sami oni potrzebują ratunku, że trzeba im czegoś w rodzaju zapomnienia i ucieczki od wszystkiego, do czego ich własne spostrzeżenia i analizy, do czego ich własne „rzemiosło“ przyniewala. Taki psycholog lęka się swej pamięci. Opinia innych ludzi oniemia go łatwo:

z niewzruszonem obliczem przysłuchuje się on, jak inni czczą, podziwiają, kochają i przebóstwiają tam, gdzie on widział, — albo stara się ukryć jeszcze swą oniemiałość, przechylając się stanowczo na stronę pierwszego lepszego powierzchownego sądu. A paradoksalność jego stanowiska może się stać niesłychaną do tego stopnia, że właśnie w takich razach, w jakich on nauczył się wielkiego współczucia, a zarazem wielkiej pogardy, ogół wykształcony i marzyciele uczą się głębokiego poszanowania, — poszanowania dla „wielkich mężów" i przedziwnych istot, gwoli którym ludzie błogosławią i dochowują czci ojczyźnie, światu całemu, godności człowieczeństwa, sobie samym, i których stawia się młodzieży jako przykład, jako wzór... I kto wie, czy we wszystkich niezwyczajnych wypadkach nie bywało zawsze to samo: że tłum korzył się przed bożyszczem, a to „bożyszcze" było tylko biednem zwierzęciem ofiarnem! Powodzenie było zawsze największem kłamstwem, — a nawet „dzieło" nie jest niczem innem jak powodzeniem; wielki mąż stanu, zdobywca czy odkrywca, występuje w twórczości swej, przebrany do niepoznania; „dzieło" artysty, „dzieło" filozofa wynajduje dopiero tego, który jest jego twórcą, który miał je stworzyć; „wielcy mężowie", ci sami, którzy stanowią przedmiot uwielbienia, są poza tem małemi lichemi poematami; w świecie historycznych wartości panuje fałszerstwo monety. Ci wielcy poeci, naprzykład, w rodzaju Byron'a, Musset'a, Poe'go, Leopardi'ego, Kleist'a, Gogola (nie śmiem wymienić większych imion, lecz mam je na myśli), — tacy, jakimi są, lub może być muszą: ludzie chwili, entuzyastyczni, zmysłowi, dziecinni, lekkomyślni, skwapliwi równie w podejrzliwości, jak w ufności; ludzie chcący zazwyczaj utaić jakieś pęknięcie swej duszy; niejednokrotnie mszczący się swojemi dziełami za wewnętrzne splamienie, niejednokrotnie w swych wzlotach szukający ucieczki przed

nazbyt wierną pamięcią, niejednokrotnie zbłąkani na błotach i prawie w nich zakochani, stający się wreszcie czemś w rodzaju błędnych ogników nad bagnami, a udający gwiazdy — lud nazywa ich wówczas idealistami —; niejednokrotnie walczący z przewlekłym wstrętem, z powracającem widziadłem niewiary, która ich ostudza i zmusza łaknąć *glorii* i paść się „wiarą w siebie" z rąk upojonych pochlebców: — jakiemże udręczeniem są ci wielcy artyści i wogóle ludzie wyżsi dla tego, który ich wreszcie odgadł! Ztąd, takie to zrozumiałe, że właśnie kobiety — kobiety, które mają dar jasnowidzenia w świecie bólu i, niestety, po nad swe wątłe siły pragną nieść pomoc i ratunek — tak łatwo darzą ich owemi wybuchami bezgranicznego ofiarnego współczucia, którego tłum, a przedewszystkiem tłum czcicieli, nie rozumie i prześciga się w pełnych zaciekawienia i dowolności komentarzach. Tego rodzaju współczucie przecenia z reguły swoje siły kobieta radaby wierzyć, że miłość wszystko może, — to jej charakterystyczny przesąd. Ah, ten tylko, kto zna serce ludzkie, zdoła odgadnąć, jak biedną, bezsilną, pretensyonalną, omylną i raczej niszczącą niż ocalającą jest nawet najlepsza, najgłębsza miłość! — Kto tak czuje, kto tyle wie o miłości —, ten szuka śmierci. — Lecz po co rozmyślać o takich bolesnych rzeczach? Naturalnie, jeśli się nie musi —

14.

Duchowa wyniosłość i wstręt każdego człowieka, który głęboko cierpiał — a z tego, jak głęboko człowiek cierpieć zdolen, oznaczyć można do pewnego stopnia szczebel jego dostojeństwa — właściwa mu okropna pewność, która jego duszę do rdzenia przepaja i zabarwia, że dzięki swemu

cierpieniu więcej wie, niż najrozumniejsì i najmędrsi wiedzieć mogą, że jest znany i był „jak u siebie“ w mnogich, dalekich, straszliwych światach, o których „wy nic nie nie wiecie!“ — ta duchowa milcząca wyniosłość cierpiącego, ta duma wybrańca poznania, „wtajemniczonego“, omal że nie przeznaczonego na ofiarę, potrzebuje wszystkich form przebrania, aby się uchronić przed dotknięciem natrętnych i litościwych rąk i wogóle przed wszystkiem, co mu nie dorównywa bólem. Wielkie cierpienie wydostojnia, oddziela. Jedną z najwytworniejszych form przebrania jest epikureizm i pewnego rodzaju niedbale okazywane męztwo upodobań, które lekko traktuje cierpienie i opiera się wszystkiemu, co smutne i głębokie. Bywają „ludzie weseli“, którzy się posługują wesołością, bo dzięki jej mogą być mylnie rozumiani; — oni chcą, aby ich mylnie rozumiano. Są „ludzie nauki“, którzy posługują się nauką, bo nauka użycza im pozorów spokoju, bo naukowość pozwala wnioskować o ich płytkości: — a oni chcą, aby o nich wyprowadzano fałszywe wnioski. Bywają harde, bezczelne duchy, które chiałyby ukryć i zaprzeczyć, że są pękniętemi, dumnemi, nieuleczalnemi sercami (cynizm Hamleta — przykład Galianiego), a niekiedy nawet niedorzeczność może się stać maską dla nieszczęsnej, nazbyt przeświadczonej świadomości. — Z tego wypływa, iż rzeczą wytworniejszego odcienia dobroci jest mieć poszanowanie „dla maski“ i w niewłaściwych razach nie pozwalać sobie na psychologię i ciekawość.

15.

Nic dwóch ludzi nie dzieli tak głęboko, jak rozmaity zmysł i poziom czystości duchowej. Na nic nie zda się w tym razie ani poczciwość, ani wzajemna użyteczność,

ani wzajemna życzliwość: ostatecznie okazuje się, że „nie mogą się znieść!“ Najwyższy instykt czystości pogrąża tego, który go posiada, w najniemożliwszem i najniebezpieczniejszem osamotnieniu, czyniąc zeń świętego: albowiem świętość polega właśnie na najwyższem przeduchowieniu tego instynktu. Coś jakgdyby przeświadczenie nieopisanie pełnej błogości, jaką daje kąpiel, coś jakgdyby żądza i pragnienie, które nieustannie gnają duszę z ciemności nocy w światłość poranku, z zamrocza, z zasępienia w światy jasności, świetności, głębi i wytworności —: taki popęd nietylko wyróżnia — bo popęd to dostojny —, lecz i oddziela. — Współczucie świętego to współczucie dla brudu we wszystkiem, co ludzkie, arcyludzkie. Ale są szczeble i wyżyny, na których współczucie nawet przez niego samego odczuwane bywa jako splamienie i brud...

16.

Znamiona dostojności: nigdy o tem nie myśleć, aby obowiązki nasze zepchnąć do rzędu obowiązków pierwszego lepszego; nie chcieć się wyrzec ani podzielić swą odpowiedzialnością; swe przywileje i praktykowanie tychże zaliczać do swych obowiązków.

17.

Człowiek dążący do wielkości uważa każdego spotkanego na swej drodze albo za środek, albo za zwłokę i przeszkodę — albo za tymczasowe wezgłowie. Właściwa

mu, wysoce rozwinięta dobroć względem bliźnich jest dopiero wtedy możliwą, gdy stanie on na swej wyżynie i włada. Niecierpliwość i przeświadczenie, że do tej chwili zawsze był skazany na granie komedyi — bo nawet wojna jest komedyą i ukrywa w sobie coś innego, podobnie jak każdy środek ukrywa w sobie cel —, psują mu wszelki stosunek towarzyski: ta odmiana człowieka zna samotność i najstraszliwsze jej trucizny.

18.

Problem oczekujących. Trzeba na to szczęśliwych okoliczności i wielu rzeczy nieobliczalnych, aby człowiek wyższy, w którym śpi rozwiązanie jakiegoś problemu, w samą porę przystąpił do działania, aby w porę „wybuchnął", jak się mówi. Zazwyczaj nie następuje to, i we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej siedzą oczekujący, którzy ledwie wiedzą, że oczekują, a prawie nie zdają sobie sprawy, że czekają napróżno. Niekiedy także alarm, ów przypadek, który „pozwala" na działanie, przybywa zapóźno, — wtedy gdy już bezczynność strawiła najlepsze lata młodości i siły; a czyżto jeden — właśnie, gdy się „zerwał" — przekonał się z przerażeniem, że członki jego posnęły, a dusza już zaciężka! „Zapóźno" — powiedział, zwątpiwszy o sobie, i od tej chwili stał się nazawsze nieużytecznym. — Czyżby w dziedzinie geniuszu, „Rafael bez rąk", powiedzenie pojęte w najszerszem znaczeniu, miało być nie wyjątkiem, lecz regułą? — Geniusz nie jest, być może, wcale taką rzadkością; rzadkie są tylko widocznie owe pięćset rąk, których mu potrzeba, aby καιρός, „stosowną porę" — ujarzmić, aby przypadek chwycić za łeb!

19.

Kto nie chce widzieć wielkości jakiegoś człowieka, ten tem baczniej dopatruje się w nim wszystkiego, co małe i powierzchowne, — i sam się przez to zdradza.

20.

Wszelkiego rodzaju urazy i poszkodowania znosi o wiele lepiej dusza niższa, pospolitsza niż dusza dostojniejsza. Niebezpieczeństwa tej ostatniej muszą być większe, a prawdopodobieństwo, że spotka ją nieszczęście i zagłada wskutek wielorakości jej warunków życiowych, jest wprost ogromne. — Jaszczurce odrasta ucięty palec: człowiekowi — nie.

21.

— Fatalnie! Znowuż ta sama historya! Gdy wybudujemy dom, mimowoli robimy spostrzeżenie, żeśmy przy nim nauczyli się czegoś, co koniecznie należało wiedzieć, zanim się rozpoczęło budować. Wiecznie niemiłe „zapóźno!“ — Melancholia wszystkiego dokonanego!

22.

— Ktoś ty, wędrowcze? Widzę, jak idziesz swoją drogą, bez szyderstwa, bez miłości, z nieodgadnionemi oczyma, wilgotny i smutny jak ołowianka, która nienasycona powraca z każdej głębi na światło dzienne — czego też szukała na dnie? — z piersią, która nie wzdycha,

z usty, skrywającemi odrazę, z ręką, która już tylko zwolna sięga: ktoś ty? coś czynił? Wypocznij tutaj: to miejsce każdego darzy gościnnością, — odetchnij! A choćbyś był nie wiedzieć kim: czego teraz pragniesz? Co ci może przynieść ulgę? Powiedz tylko: wszystko, co mam, oddam ci! — „Ulgę? ulgę? Oh, ciekawski, co też ty mówisz! Lecz daj mi, proszę — —“ Co? co? powiedz! — „Jeszcze jedną maskę! Drugą maskę!“ —

23.

Ludzie bardzo smutni zdradzają się, gdy są szczęśliwi: mają właściwy sobie sposób przyjmowania szczęścia, jakby je chcieli z zazdrości zadławić i zdusić, — ah, wiedzą aż nadto dobrze, że ono ich odbiegnie!

24.

„Źle, bardzo źle! Jakto? czyż on się nie cofa?“ — Tak jest! Lecz wasze skargi dowodzą, że źle go rozumiecie. On cofa się, jak człowiek, biorący rozpęd do wielkiego skoku — —

25.

— „Czy mi kto uwierzy? — ale ja żądam, aby mi wierzono: zawsze myślałem o sobie tylko źle, i to bardzo rzadko, tylko pod przymusem, zawsze bez zapału „ku rzeczy,“ zawsze z myślą gotową do poniechania „siebie,“ zawsze bez wiary w wynik, a to wskutek nieprzezwycię-

żonej niewiary w możność poznania siebie samego, niewiary, która zawiodła mnie tak daleko, iż nawet w pojęciu „bezpośredniego poznania,“ na które pozwalają sobie teoretycy, odczuwam do pewnego stopnia *contradictio in adjecto:* — ten fakt jest omal najgruntowniejszym pewnikiem w rzędzie wiadomości mych o sobie. Musi być we mnie coś w rodzaju odrazy do wiary w określone mniemania o sobie. — A może tai się w tem jaka zagadka? Prawdopodobnie; lecz na szczęście jest to orzech nie dla mych własnych zębów. — A może w ten sposób zdradza się species, do której należę? — Lecz jeżeli się zdradza, to nie przede mną: chociaż byłoby to niezmiernie dla mnie samego pożądane.“

26.

— „Co ci się stało?“ — „Czyż ja wiem — odrzekł wahająco — może mi Harpie nad stołem przeleciały.“ — Zdarza się dzisiaj niekiedy, że człowiek łagodny, umiarkowany i panujący nad sobą, nagle wpada w szał, tłucze talerze, wywraca stół, krzyczy, wścieka się, obraża wszystkich — i w końcu odchodzi zawstydzony, zły na siebie, — dokąd? po co? Aby opodal umrzeć z głodu? Aby zadławić się własnemi wspomnieniami? — Kto ma żądze wysokiej i wybrednej duszy, kto nieczęsto znajduje stół dla siebie nakryty i przygotowane dla siebie pożywienie, temu po wszystkie czasy grozi wielkie niebezpieczeństwo: lecz w naszych czasach jest ono wprost niesłychane. Wrzucony w hałaśliwą i gminną epokę, z którą nie potrafi jeść z jednej misy, może bardzo łatwo umrzeć z głodu i pragnienia, albo — jeżeli ostatecznie przecież „się dorwie“ — zginąć z nagłego wstrętu. — Prawdopobnie wszyscy siadywaliśmy przy stołach, za któremi nie wiedzieliśmy,

co począć ze sobą; a właśnie najwyżsi duchem między nami, których najtrudniej wyżywić, znają ową niebezpieczną dyspepsia, wynikającą z nagłego przejrzenia i rozczarowania względem strawy i sąsiedztwa przy stole — ów wstręt poobiedni.

27.

Jestto objawem wytwornego a zarazem dostojnego panowania nad sobą, chwalić (naturalnie, jeśli wogóle chce się chwalić) tylko w takich razach, gdy się na coś nie zgadzamy: — w innym razie byłoby to chwalić siebie samego, co sprzeciwia się dobremu smakowi. — Jużci tego rodzaju panowanie nad sobą daje przewyborny powód i pobudkę do tego, aby nas ustawicznie źle rozumiano. Lecz aby sobie pozwolić na ten istny zbytek smaku i moralności, trzeba żyć nie pośród ciemięgów duchowych, lecz pośród ludzi, między którymi nawet nieporozumienia i pomyłki dzięki swej subtelności jeszcze mogą rozweselić — inaczej można coś podobnego ciężko odpokutować! — „On mnie chwali: a więc przyznaje mi słuszność“ — to idyotyczne wnioskowanie psuje nam samotnikom połowę życia, bo ułatwia osłom nawiązywanie z nami sąsiedzkich i przyjacielskich stosunków.

28.

Żyć z niezmierną i dumną wyniosłością; zawsze poza granicami świata. — Swe uczucia, swe „za“ i „przeciw“ dowolnie mieć lub ich nie mieć, polegać na nich, lecz tylko chwilami; wsiadać na nie jak na konia, a często jak na osła: — albowiem trzeba umieć korzystać równie dobrze

z ich głupoty, jak z ich zapału. Zachować swych trzysta argumentów, a jednocześnie czarne okulary: bo bywają wypadki, gdy nikt nie powinien módz zajrzeć nam w oczy, a tem mniej w „powody.“ A do towarzystwa dobrać sobie ów łobuzowski i wesoły grzech: grzeczność. I być panem swych czterech cnót, odwagi, przenikliwości, współczucia i samotności. Bo samotność jest dla nas cnotą jako wzniosła skłonność i popęd do czystości, popęd, który odgaduje, że przy zetknięciu dwóch ludzi—że w „towarzystwie“ — koniecznie musi być niezbyt czysto. Wszelka wspólność czyni człowieka, we wszystkich warunkach i okolicznościach, „gminnym.“

29.

Największe wypadki i myśli — a największe myśli są największemi wypadkami — bywają najpóźniej pojmowane: pokolenia im współczesne nie przeżywają wypadków tego rodzaju, — rozmijają się z niemi. Dzieje się tu podobnie jak w dziedzinie gwiazd. Światło najdalszej gwiazdy dochodzi do ludzi najpóźniej; a zanim dojdzie, ludzie przeczą, jakoby tam — gwiazdy istniały. „Ile stuleci potrzebuje jakiś duch, aby zostać pojętym?“ — To także miara, w ten sposób można także oznaczyć hierarchię i znamiona, stosownie do potrzeby: dla ducha i dla gwiazdy.

30.

„Tu widok rozległy i duch wywyższony.“ — Istnieje jednakowoż odmienny rodzaj ludzi, którzy także znajdują się na wyżynie i mają widok rozległy — lecz patrzą na dół.

31.

Co to jest dostojność? Jakie znaczenie ma dla nas dziś jeszcze słowo „dostojny“? Co zdradza, po czem można poznać pod niskiem, zaciągniętem niebem rozpoczynającego się panowania pospólstwa, wskutek którego wszystko zatraca swą przejrzystość i przysłania się ołowianemi chmurami, człowieka dostojnego? — Nie świadczą o nim uczynki, — uczynki są zawsze dwuznaczne, zawsze niezgłębione; — nie świadczą też o nim „dzieła.“ Wśród współczesnych artystów i uczonych nie brak takich, którzy zdradzają w dziełach swoich nader głębokie pożądanie dostojności: ale właśnie ta potrzeba dostojności jest z gruntu rzeczy sprzeczna z potrzebami duszy dostojnej, a zarazem jest wielce wymownem i niebezpiecznem znamieniem jej braku. Nie dzieła rozstrzygają w takim razie, lecz wiara, wiara, która w takich wypadkach oznacza hierarchię, jeżeli tę dawną formułkę religijną zastosujemy w nowem i głębszem rozumieniu; pewnego rodzaju niewzruszone przeświadczenie, jakie dusza dostojna ma o sobie, coś, czego ani szukać, ani znaleźć, a może także ani stracić niepodobna. — Dusza dostojna ma cześć dla siebie samej.

32.

Bywają ludzie, którzy w żaden sposób nie mogą ukryć swej głębi duchowej; mogą się wywijać i wykręcać, jak chcą, mogą rękoma przysłaniać zdradzieckie oczy (jakgdyby ręka nie była także zdrajcą!) ostatecznie zawsze się okaże, że tkwi w nich coś, co skrywają, a co jest głębią duchową. Jeden z najsubtelniejszych środków, aby przynajmniej jak najdłużej łudzić i z powodzeniem przed-

stawiać się głupszym, niż się jest w istocie — co w życiu codziennem jest częstokroć niemniej pożądane jak parasol, — zwie się entuzyazmem: z dodaniem wszystkiego, co do niego należy, naprzykład cnoty. Albowiem, jak powiada Galiani, który to wiedzieć musiał —: vertu est enthousiasme.

33.

Z pism pustelnika pobrzmiewa zawsze coś jakgdyby odgłos pustkowia, coś, co przypomina szepty i trwożliwe rozglądanie się w samotności; w jego najdonośniejszych słowach, w jego krzyku nawet, odzywa się jeszcze nowy i niebezpieczniejszy sposób milczenia i przemilczania. Kto całemi latami dnie i noce spędzał sam ze swą duszą na poufnych poswarkach i pogawędkach, kto w swej pieczarze — a może być ona labiryntem, albo kopalnią złota — stał się niedźwiedziem jaskiniowym, albo górnikiem szukającym skarbów, albo też stróżem klejnotów i smokiem: u tego nawet pojęcia nabierają wkońcu właściwego sobie zabarwienia mrocznego, przesiąkają zapachem głębi, lecz niemniej wyziewami pleśni, i mają w sobie coś odstręczającego i odrażającego, co każdego przechodnia przejmuje chłodem. Pustelnik — wychodząc z założenia, że każdy filozof był zawsze pierwej pustelnikiem — nie daje wiary, aby jaki filozof wypowiedział w książkach swe ostateczne i właściwe mniemania: czyż nie pisze się książek właśnie po to, aby ukryć swe tajemnice? — Co więcej, on powątpiewa, czy jaki filozof mógł wogóle mieć „ostateczne i właściwe“ mniemania, czy u niego za jedną jaskinią nie leży i nie musi leżeć druga jeszcze głębsza — czy ponad powierzchnią niema innego, obcego, przestrzenniejszego,

bogatszego świata, czy poza każdym argumentem, pod każdem „uzasadnieniem“ nie tai się bezdeń. Wszelka filozofia jest filozofią powierzchni — tak mniema pustelnik: „jest w tem coś dowolnego, że on właśnie tu się zatrzymał, że spojrzał za siebie, że się rozejrzał, że w tem miejscu głębiej nie kopał i odłożył precz rydel, — lecz jest w tem zarazem coś podejrzanego.“ Wszelka filozofia ukrywa w sobie również jakąś filozofię; wszelkie mniemanie jest kryjówką, wszelkie słowo — maską.

34.

Każdy głęboki myśliciel bardziej się lęka, że go zrozumieją, niż aby go nie zrozumiano. Być może, iż z ostatniego powodu cierpi jego próżność, lecz z pierwszego — jego serce i jego dobroć, która ustawicznie powtarza: „ah, czemuż chcecie uginać się pod tem samem brzemieniem, pod którem ja się uginam?“

35.

Człowiek, to złożone, kłamliwe, kunsztowne i nieprzeniknione zwierzę, groźniejsze dla innych zwierząt raczej z powodu swej chytrości i roztropności, niż z powodu swej siły, wynalazł czyste sumienie po to, aby się wreszcie rozkoszować swą duszą jako czemś niezłożonem; cała moralność jest ciągłem zuchwałem fałszerstwem, dzięki któremu rozkoszowanie się poznaniem duszy jest wogóle możliwe. Z tego punktu widzenia w zakres pojęcia „sztuki“ wchodzi o wiele więcej, niż się pospolicie mniema.

36.

Filozof jestto człowiek, który ustawicznie przeżywa, widzi, słyszy, podejrzywa niezwykłe rzeczy, marzy o nich i spodziewa się ich; w którego własne jego myśli uderzają jakby od zewnątrz, jakby od góry i od dołu, niby właściwego jemu rodzaju wypadki i pioruny; który, kto wie, czy sam nie jest nawałnicą, brzemienną nowemi gromami. Jest to człowiek przeznaczenia, dookoła którego wszystko wre, szemrze i rozpada się, dookoła którego dzieją się rzeczy straszne. Filozof: ah, to istota, która często od siebie odbiega, często siebie się lęka, lecz nazbyt jest ciekawa, aby zawsze znowu „do siebie nie powrócić."

37.

Człowiek, który powie: „to mi się podoba, to biorę sobie na własność, tego będę strzegł i przed wszystkimi bronił"; człowiek, który potrafi swą sprawą pokierować, swe postanowienie przeprzeć, jakiejś myśli dochować wiary, kobietę okiełznać, a każdego zuchwalca pokonać i ukarać; człowiek, który włada swym mieczem i swym gniewem, do którego garnie się i któremu podlega wszystko, co słabe, cierpiące, uciśnione, nawet zwierzęta; krótko mówiąc, człowiek, który urodził się władcą, — gdy taki człowiek współczuje, no, takie współczucie coś warto! Lecz cóż zależy na współczuciu tych, którzy sami cierpią! Albo tych, którzy, co więcej, współczucie głoszą! Dziś prawie w całej Europie objawia się chorobliwe przeczulenie i wrażliwość na ból, wstrętna niewstrzemięźliwość w skargach, rozdelikacenie jakieś ogólne, które za pomocą religii i filozoficznych bredni chcianoby wystrychnąć na coś wyż-

szego; istnieje poprostu kult cierpienia. W tem, co marzyciele ochrzcili imieniem „współczucia,“ rzuca się przedewszystkiem w oczy, jak mi się zdaje, brak męzkości. Ten nowy objaw złego smaku zasługuje na dosadne i gruntowne napiętnowanie, i pragnąłbym, aby, jako amulet przeciwko tej słabości, *gai saber,* czyli, dla lepszego zrozumienia, „wesołą wiedzę“ zawieszano sobie na sercu i szyi.

38.

Wada olimpijska. Na przekór owemu filozofowi, który, jako rodowity Anglik, chciał oczernić śmiech przed wszystkiemi myślącemi głowami — „śmiech jest wielką ułomnością ludzkiej natury i każdy myślący człowiek będzie usiłował wyzbyć się tej ułomności“ (Hobbes) — pozwoliłbym sobie nawet na hierarchię filozofów, zależną od hierarchii ich śmiechu — a nawyżej staliby ci, którzyby byli zdolni do złotego chichotu. A jeżeli i bogowie filozofują, na co mnie już różne naprowadzały myśli, — to nie wątpię, że umieją się przytem śmiać w nadludzki i nowy zupełnie sposób — kosztem wszystkich poważnych rzeczy! Bogowie lubią kpić: i jak się zdaje, nawet przy świętych czynnościach nie mogą się wstrzymać od śmiechu.

39.

Geniusz serca, właściwy owemu wielkiemu Utajonemu, owemu bogu-kusicielowi, urodzonemu uwodzicielowi sumień, którego głos ma władzę sięgania w najgłębsze podziemia każdej duszy, u którego z każdego słowa, z każdego spojrzenia wychyla się podstęp i zmarszczka poku-

szenia, w którego mistrzostwie mieści się zdolność, że umie wydawać się — nie tem, czem jest, lecz tem, co dla zwolenników jego będze jednym przymusem więcej, aby do niego tem bliżej się garnąć, aby tem serdeczniej i tem usilniej za nim podążać: — geniusz serca, który wszystko, co głośne i w sobie samem rozlubowane, ucisza i słuchać uczy, który chropawe dusze wygładza i daje im zakosztować nowego pożądania, — cicho leżeć niby zwierciadło, aby się głębokie niebo w nich odbijało —; geniusz serca, który prostacką i nazbyt śpieszną rękę uczy powściągliwości i wdzięczniejszego ujęcia; który utajone i zapomniane skarby, krople dobroci i słodkiego uduchowienia odgaduje pod mętnym, grubym lodem i jest różdżką czarodziejską dla każdego ziarnka złota, uwięzionego oddawna w mnóstwie namułu i piasku; geniusz serca, od którego każdy, kogo on tknie, odchodzi bogatszy, nie na podobieństwo człowieka ułaskawionego i zdumionego, nie na podobieństwo kogoś, kto się czuje uszczęśliwionym, zarazem wszakże obarczonym dobrocią cudzą, lecz bogatszy sam w sobie, świeższy niż był dawniej, wstrząśnięty, owiany i wysłuchany przez wiatry odwilżne, może niepewniejszy, może delikatniejszy, kruchszy i bardziej skruszony, lecz pełny bezimiennych jeszcze nadziei, pełny nowych chceń i przypływów, pełny nowych wzdragań i odpływów — — ale cóż ja czynię, przyjaciele moi? O kim-że do was mówię? Czyliż zapomniałem się do tego stopnia, że wam nawet jego imienia nie wymieniłem? To niepodobna wszakże, abyście dotychczas sami nie odgadli, kto jest owym zagakowym duchem i bogiem, który na tę modłę chce być chwalonym. Albowiem, jak-to się zdarza ludziom, którzy od dziecka są bezustannie w drodze i na obczyźnie, tak też i mnie przebiegł drogę niejeden duch dziwny i niezbyt bezpieczny, ale przed innymi ten, o którym tylko co mówiłem, i z którym się ciągle spotykałem, bóg Dionysos,

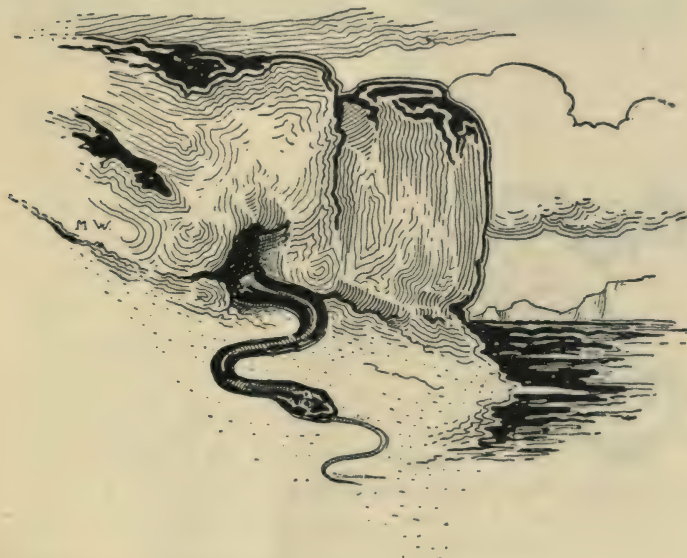
ów wielki dwuznaczny bóg-kusiciel, któremu niegdyś, jako wiecie, w cichości i czci ofiarowałem moje pierwociny — (i byłem, jak mi się zdaje, ostatnim, który mu złożył ofiarę: bo nie spotkałem nikogo, ktoby zrozumiał, co wówczas uczyniłem). Od tego czasu dowiedziałem się jeszcze wiele, arcywiele o filozofii tego boga, i to jak już wspomniałem, bezpośrednio od niego samego, — jako ostatni uczeń i wtajemniczony boga Dionysosa: powinienbym więc może zacząć wreszcie od tego, aby wam, moim przyjaciołom, dać zakosztować nieco, o ile mi wolno, tej filozofii? Półgłosem, jak się godzi: bo przytem trzeba tknąć niektórych rzeczy tajnych, nowych, obcych, dziwnych i upiornych. Już to samo, że Dionysos jest filozofem, oraz, co ztąd wynika, że i bogowie również filozofują, wydaje mi się nowiną, nie pozbawioną zagadkowych odcieni, nowiną, która właśnie wśród filozofów może obudzić niedowierzanie; — wśród was, przyjaciele moi, mniej ma ona przeciw sobie, choćby dla tego, że przychodzi zapóźno i w niewłaściwej porze: albowiem wy, jak mi wyjawiono, podobno dziś niezbyt chętnie wierzycie w bogi i w bożyszcza. A może też dla tego, że w nieokiełznaniu opowieści mojej muszę się posunąć dalej, aniżeli zwykły przyzwalać surowe nawyknienia uszu waszych? To pewna, że ów bóg w rozmowach tego rodzaju szedł dalej, znacznie dalej, i zawsze mnie o wiele kroków wyprzedzał... Zaiste, gdyby mi wolno było, nadałbym mu ludzkim zwyczajem piękne, uroczyste, pełne świetności i cnotliwości imiona, sławiłbym szeroko jego odwagę badacza i odkrywcy, jego nieustraszoną uczciwość, prawdomówność i umiłowanie mądrości. Ale dla takiego boga na nic te wszystkie czcigodne rupiecie i błyskotliwości. „Zachowaj to dla siebie, rzekłby, dla równych sobie i dla tych, którym to potrzebne. Ja — nie mam zgoła powodu do zakrywania nagości mojej!“ — Tu nasuwa się domysł: snadź tego

pokroju bóstwa i filozofowie wyzuci są ze wstydu? — Innym razem rzekł znowu: „niekiedy miłuję ludzi — a mówiąc to, miał na myśli Ariadnę, która była obecną — człowiek w moich oczach jest miłem, dzielnem, przemyślnem zwierzęciem, któremu niemasz na ziemi równego i które umie sobie poradzić we wszystkich labiryntach. Lubię go: nieraz przemyśliwam nad tem, jakby mu nadal dopomódz w rozwoju, uczynić go silniejszym, gorszym i głębszym, aniżeli jest obecnie." — „Silniejszym, gorszym i głębszym?" spytałem zalękniony. „Tak jest, powtórzył, silniejszym, gorszym i głębszym; a równocześnie piękniejszym" — przy tych słowach uśmiechnął się bóg-kusiciel swym halkyońskim uśmiechem, jakgdyby wyrzekł ujmującą grzeczność. Oczywista: że temu bóstwu zbywa nietylko na wstydzie —; i niejedno przemawia za tem, że bogowie wogóle mogliby się od nas ludzi niemało nauczyć. My ludzie jesteśmy — bardziej ludzcy...

40.

Ah, czemżeście wy, moje pisane i malowane myśli! To tak niedawno, gdyście jeszcze były takie kraśne, młodzieńcze i nienawistne, takie pełne kolców i tajnych drażniących woni, że łaskotany przez was od śmiechu się zanosiłem — a teraz? Jużeście się wyzuły z nowości i są wśród was takie, które ku zatrwożeniu mojemu gotowe stać się dogmatami: tak dalece wydają się nieśmiertelnemi, tak rozdzierająco rzetelnemi, tak bardzo nudnemi! I czyliż kiedykolwiek było inaczej? Bo i cóż wypisujemy i odmalowujemy, my, mandaryni z chińskiemi pendzlami, my uwieczniciele rzeczy, które d a j ą s i ę napisać, bo i cóż takiego jedynie możemy odmalować? Ah, zawsze tylko to, co się chyli ku uwiędnięciu i poczyna woń tracić! Ah,

zawsze tylko mijające i wyczerpane wichrzyce, uczucia zżółkłe i przejrzałe! Ah, zawsze tylko ptactwo znużone i obłąkane lotem, dające się nakryć dłonią — i to naszą dłonią! Uwieczniamy to, co już nie może żyć ani latać dłużej, jeno rzeczy zrysowane skazami znużenia i spróchniałości! Dla waszego odwieczerza jeno, wy moje pisane i malowane myśli, mam ja kolory, może nawet mnogość kolorów, mnogość pieszczotliwości kraśnych i pięćdziesiąt odcieni żółci i brunatu, zieleni i czerwieni: — ale niech mi nikt ztąd nie sądzi, jak wyglądałyście w swych rozbrzaskach, wy niespodziewane skry i cudy samotności mojej, wy moje dawne, umiłowane — — złe myśli!



PRZEŁOŻYŁ
St. Wyrzykowski.

Fryderyk Nietzsche.



Salve Regina.



awitaj, pani świata,
niebieska Królowa,
witaj, panno nad panny, gwiazdo porankowa.
Wieniec twą skroń oplata,
zwity z promiennych liści:
o niech się w nich nadzieja biednych ludzi ziści!
Biała jak śnieg twa szata,
a z białegoć łona

lilija twą czystością rośnie ubielona.
A wąż, ktory na ziemię przyniósł śmierć, przez Ciebie
został podeptan na wieki —
Salve Regina!



Milczcie!
Nie do was idzie wielkie objawienie
od skalnych brzegów
tajemniczego jeziora,
nad którem okrąg zachodniego słońca
w olbrzymią, wiekuistą rozlewa się falę.
Nie dla was płynie pieśń,
co się w płomiennym urodziła krzewie,
święta, jak ranek wiosenny,
albo jak wieczór jesieni,
zapadający nad ciszą ugorów,
nad zwiędłą czerwienią drzew
i ponad próchnem pochylonych krzyży!
Nie! nie! śpiewajcie ją wszyscy:
wasze to tchnienie i wasza to krew,
wasze to serce w tym śpiewie —
Salve Regina!



Bliżej! bliżej!
O nie uciekaj przede mną,
ty rozmodlony pogłosie!
Wypełniasz cały świat
swoją przedziwną melodyą,
a przed mą duszą ciemną
jak gdyby stanął nieprzebyty mur,
o który się rozbija twój rozlew potężny
i głuchnie...
Po co ten przestrach i po co ten lęk?
Ponad głębiami nocy,
nad skrajem uśpionej ziemi,
odblasków niewidzącej, które idą z Życia,
smug się rumieni ognistego złota
i w jednej chwili ogarnia przestworza.
A k' niemu idzie tęsknota,
jak druchna boża,
w wianku z oliwnych gałązek
i z wielkim, czarnym krzyżem na wątłem ramieniu.
A w nim, w tym blasku, w tem ognistem złocie,
pali się milion dusz,
o których tutaj dawno zgasła wieść.

A każdą wieniec oplata,
zwity z promiennych liści —
nadzieja biednych ludzi w jego skrach się iści.
Biała, jak śnieg, ich szata,
a z białego łona
lilija ich czystością rośnie ubielona.
I każda węża głowę
depce swą białą stopą
i z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa przesłodki hymn,
zasłyszan ongi — tak dawno, tak dawno,
ażeby o nich wieść
zagasnąć miała czas —
hymn przenajświętszy:
Salve Regina!



Ziemio! ziemio!
Tęsknota chodzi po tobie
w wieńcu z gałązek oliwnych
i z wielkim, czarnym krzyżem na wątłem ramieniu.
I krople potu roni
i, dzierżąc kielich goryczy

w białej, zmęczonej dłoni,
klęka co kroku w swej drodze krzemiennej,
i modli się, i płacze, i wzdycha, i modli...
A jej modlitwy i łzy
i te westchnienia głębokie
co krok się w przędze zmieniają pajęcze,
jak one włókna jedwabne,
porozwieszane na rżyskach
w październikowe dni
i na kończynach więdniejących traw —
na całym tym ogromnym, rozległym obszarze
mrącego świata...

O, wy, modlitwy i łzy!
O, wy, głębokie westchnienia
naszej samotnej tęsknoty,
poklękującej na krzemiennej drodze,
z kielichem goryczy w dłoni
i z czarnym krzyżem na wątłem ramieniu!
Zmieniacie w mgły się pajęcze
i, otuliwszy jej postać
w swoje rozwiewne przędze,
czynicie z niej by obłok, wstający z poranku
na wielkich obszarach świata,
i zwiecie ją z sobą do góry!

O wieńcu z gałązek oliwnych!
W wieniec przemieniasz się złoty —
w promienny wieniec gwiazd
na skroni naszej tęsknoty,
i nad głębiami nocy świecisz niepojęty!

O ty kielichu goryczy,
z twardej wykowan miedzi!
W alabastrową przemieniasz się czarę,
na zapomnianym ustawioną grobie,
pełną słodkiego napoju wieczności,
i do bezmiarów rośniesz niepojętych,
i sam się w napój rozpływasz,
i swoją wonią przepełniasz
duszę biednego człowieka!

O krzyżu na wątłych ramionach
naszej serdecznej tęsknoty,
wraz z tobą dźwigającej tajemnicę bólu!
W skrzydła się zmieniasz anielskie
i wnet ją niesiesz ku blaskom,
lśniącym nad nocy głębiami,
ku onym dusz milionom,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
Tam lśni jej biała szata,
a z białego łona
lilija jej czystością rośnie ubielona.
I depce węża głowę
swoją promienną stopą,
i z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa przesłodki hymn,
zasłyszan ongi, tak dawno, tak dawno,
że miała zgasnąć czas
owa szarpiąca wieść
o tajemnicy krzyżowego bólu —
śpiewa swój hymn przenajświętszy:
Salve Regina!

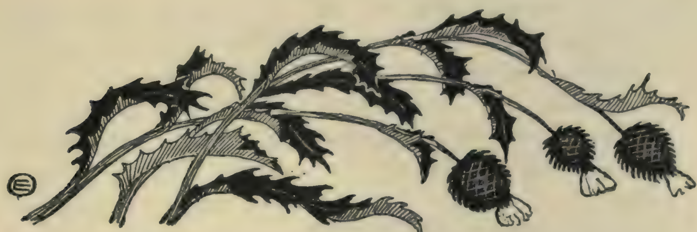


Milczcie!
Nie do was idzie wielkie objawienie
od skalnych, cichych brzegów
tajemniczego jeziora,
nad którem czarne cyprysy
cicho schylają swe głowy...
Milczcie!
Płaczem i jękiem, urodzonemi z nicości,
nie zakłócajcie tej pieśni,
którą śród dusz miliona
z białą liliją u łona
wieczysta śpiewa tęsknota.



Nie! nie! śpiewajcie ją wszyscy!
Wasze to życie i wasza to krew

ta pieśń wstrząsająca,
która swym świętym pogłosem
nie o świątynne łamie się sklepienia,
ale przez pola idzie, wielkie pola,
i zmartwychwstanie zmarłym daje kościom,
i we wiosennym uśmiecha się blasku,
i śnieg na łąkach roztapia,
i zwiędłe trawy w świeżą stroi zieleń.



Dlaczego płaczesz?
Nędza jest wszędzie!
Nędza w miłości i nędza w cierpieniu!
Łam się!
Nie masz spokoju?
Rozpękające drzewa twojej ziemi
nie przywabiają cię woniami swemi?
Uciekasz przed się, aby szukać ciszy,
która twe serce usłyszy?
Nędza jest wszędzie!
w twem sercu jest nędza
i w tych zwaliskach zagasłego świata,
na które patrzysz zadziwionem okiem,
nic — tylko nędza!
Patrz! patrz bez końca!
Patrz na ten odblask ginącego słońca,
którego czerwień zalewa te łuki —

te poszarpane arkady,
te widma kolumn
i te dalekie kopuły!
Nie masz spokoju?
Wre w tobie echo pradawnego boju,
z którego wyszła zwycięzczynią śmierć?
Jej-li to sztandar powiewa ogniami
nad tym rozległym krwawym widnokręgiem —
tam, nad tym gajem cyprysów i pinij?
Łam się i patrzaj! folgi nie daj oku!
Z bezdennych głębin wieczystego mroku
jakiś wyłania się potwór!
Cicho, powoli
nietoperzowe rozpościera skrzydła,
zakrywa zorzę ich ciemnią
i rośnie...
I kulistemi dwoma płomieniami
swych nieruchomych źrenic
patrzy ci w duszę, i skrzydła
nietoperzowe roztacza,
i rośnie...
I grube wyciąga ramiona,
i kulistemi dwoma płomieniami
patrząc ci w duszę, w otchłań ludzkiej nędzy,
w to nieustannych gniazdo niepokojów,
podważa glob ciemniejący —
Salve Regina! —
do piersi go tuli kosmatéj
i miażdży — — —

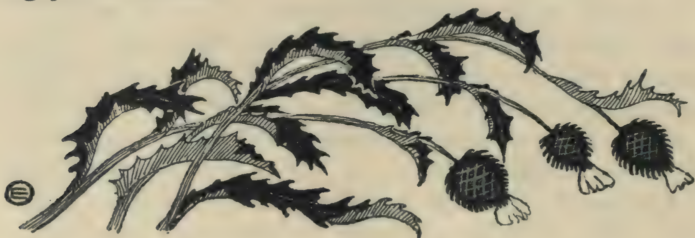


Czemu uciekasz?
Czemu w przestrzenie dążysz, jak ta plewa,
którą wichr porwał z wymłóconych kłosów
i pustą rzucił w pustkowie?
Boże...
Czemu uciekasz, jak ten blask gasnący,
gdy się rozprasza w ciemnościach?...

Nikt cię nie kochał?
Nikt ci krwawego nie otworzył serca,
abyś w niem duszę zanurzył
i, wykąpany w jego krwi płomiennej,
mógł wszechwidzącą odczuwać źrenicą
drgania tęsknoty i bólu,
rozlanych w wielkiej, świętej duszy świata?
I sam tęsknotą i bólem
drżeć niby harfa eolska,
z słonecznych stworzona kryształów?
Drżeć niby świat ten ogromny,
przeczuwający
nieskończonego bytu promienistość,
przez ból idącą, przez wielkie cierpienie?..
Boże!...

Nikt cię nie kochał!
A ty, czyjąś duszę
tak umiłował, abyś mógł zapomnieć,
że jest granica między złem a dobrem?
W czyjeś ty serce spojrzał z taką wiarą,
aby jej siła mogła ci je rzucić
do twoich stóp nieskalanych?
Do stóp bożego wybrańca,

co serca podnosi
i twórczem swem tchnieniem,
nieskazitelnem i wiecznem przez miłość,
pył z nich otrząsa i zbawia?
Co je podnosi nad wzlot własnej duszy,
nad ból swój własny i nad swą tęsknotę,
i — niby święte, tajemnicze słońca,
uwite z błysków przeczuć,
powstałych z Twórcy i dążących k' niemu —
pomiędzy gwiazdy je rzuca,
by niestrawionem promieniały światłem?
Nigdyś nie kochał!



Łam się!
Pomiędzy sobą a morzem miłości,
huczącem pieśnią potężnych zapomnień,
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia,
sameś piekielną budował opokę.
Rozbite ciosy swej duszy
na samolubny znosiłeś Babilon,
albowiemś sądził, że jesteś sam jeden,
i że nad ciebie nie może być — życia.
I wówczas Szatan stawał na twej wieży,
śmiał się ku tobie oczyma Pokusy

i, pełną kłamstwa czarą swych przyrzeczeń
ubezwładniwszy twą duszę,
kazał ci jedno: abyś kochał siebie!
kazał ci jedno: abyś wierzył w siebie!
kazał ci jedno: abyś zbawiał siebie!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co wielbiły miłość!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co głosiły wiarę!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co brzmiały nadzieją!...

A poza tobą — jak blisko! jak blisko! —
huczało pieśnią potężnych zapomnień,
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości...

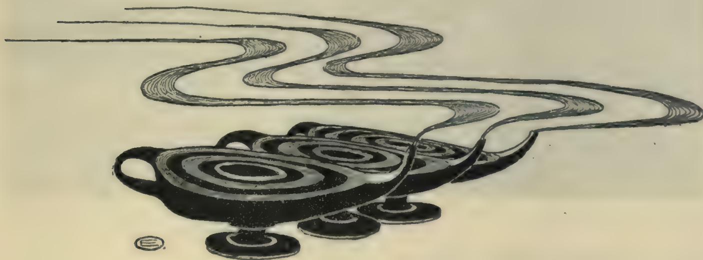
Łam się!



A gdy w odległych przepaściach twej duszy
jęły się budzić echa tego Słowa,
co w płomienistym rodziło się krzewie —

kiedy od brzegów tajemniczej wody
szum dolatywał przedwiecznych objawień,
podszeptujących tajemniczym głosem,
ażebyś kochał — cierpieniem,
naonczas Szatan tę twoją opokę,
twój samolubny Babilon,
w Górę przemieniał Oliwną.
I w szacie Zbawcy,
z Sfinksa obliczem, na którem wyryto
nieodgadniętą zagadkę boleści
i rzeczy przyszłych dalekie widzenie,
pełne wyrazu smutku i tęsknoty,
klękał w oblaskach księżyca,
na współczujące słaniał się rozłomy,
i z rąk anioła brał kielich,
i krwawym zlewał się potem,
i modlił się, i płakał, i wzdychał i modlił...
A gdzieś od strony Jeruzalem nędzy,
gdzieś od Syonu zbrodni,
od źródła i ujścia bytu,
gwar przypełzywał na łunach,
urągających wieczystemu Światłu,
pozapalanych, aby przyćmić Jasność!...
I rozchylały się gałęzie drzew,
i z chrzęstem łamały się krzewy,
i żwir się zsypywał po zboczach,
i w krwawych ogniach pochodni,
pozapalanych, aby przyćmić Jasność,
urągających wieczystemu Światłu,
tłum się wyrzucił z Judaszem na czele....
I obdarowan pocałunkiem zdrady,
brał krzyż na siebie, wielki, czarny krzyż,
i na Golgotę po krzemiennej drodze
szedł twój Kusiciel —

jak twa tęsknota
szedł, modlił się, i wzdychał, i płakał, i modlił.
A potem — w przepaść rzucił czarny krzyż,
w bezdenny rozdół szumiący,
i, zolbrzymiawszy, legł na twej Golgocie,
na Babilonie twej duszy.
I rozkrzyżował ręce
i, w strasznej, cierniowej koronie
na zolbrzymiałej głowie,
przygasającym patrzał na cię wzrokiem,
tak przenikliwym i smutnym,
żeś modlił się, i płakał, i wzdychał, i modlił...



A na zachodzie
płonął krąg słońca,
ogromny krwawy krąg
przecięty ogromnym obłokiem,
i rzucał ogromny

cień Kusiciela,
skrzyżowanego na twojej Golgocie,
na Babilonie twej duszy,
i topił świat w jego mroku — — —



Zaś gdy cię złamał ból,
gdyś sam się słaniał na głazy,
kiedyś brał kielich goryczy
i Judaszowej pocałunek zdrady
na swoich wargach odczuwał,
wówczas się zrywał z opoki,
stawał przed tobą, okryty
ciemną purpurą nocy,
i wzrok utkwiwszy szyderczy
w twych oczach, obłędnych z żalu,
na świat się cały rzechotał
wielkim, szyderczym rzechotem....

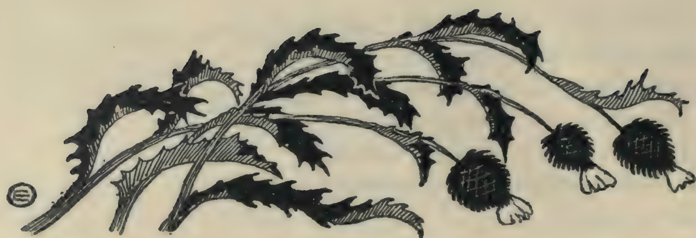
A poza tobą — jak blisko! jak blisko! —
huczało pieśnią potężnych zapomnień,
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia,
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości....



A Zbawca —



oblany morzem miłości,
tem wielkiem, świętem, jasnem, nieskończonem,
krzyż wyciągnąwszy z szumiącego dołu,
płakał nad tobą.



Łam się!...
Nędza jest wszędzie!
W miłości jest nędza,
i nędza w cierpieniu!...



Łam się, i patrzaj, i słuchaj!...
Słoneczny błękit otula
rozległe łany ozimin...
Śniegu srebrzyste płaty
drzemią zaledwie gdzieś w rowach,
pod mokrą schowane krawędzią,
nad którą pęki traw
w wiosennych drgają powiewach.
Z posłania kiści jedwabnych

stokrotka wychyla głowę
i rość zaczyna bylica.
Z wądolców mgły się podnoszą
i w ciepłych znikają promieniach,
a nad głębiami sennej, cichej wody,
od której twórcza idzie w świat tęsknota,
krzyk czajki się rozlega albo śpiew skowronka.
Ponad brzegami dróg
wierzby już gibkie wypuściły pręty
i rząd topoli
już się w świąteczne przyozdabia wieńce.
A roztopami,
polem szerokiem,
nad którem chaty zczerniałą
lśnią się dachówką,
lub mchami obrosłą strzechą,
powoli toczy się wóz...

Górą na snopkach słomy,
zamknięte w sosnowej skrzyni,
śpi snem nieprzespanym
życie biednego człowieka...

Cicho, zwolna wóz się toczy,
na nim w żółtej skrzyni
na wiek wieków zgasłe oczy,
jak światła w pustyni.
Twój-li ojciec? matka twoja?
Czy najdroższe dziecię?
Gdzież jest radość? gdzież ostoja
na burzliwym świecie?
Kilka mogił, kilka krzyży

śród piaszczystej zboczy —
coraz bliżej, coraz bliżej
wóz się ku nim toczy.

A przy pagórkach,
na tajemniczych rozdrożach,
gdzie święty duch ludu
Boże zbudował Męki,
cichy przystaje wóz...

I orszak zdejmuje w milczeniu
trumnę sosnową,
w której, jak światła w pustyni,
zagasłe drzemią źrenice
twojego ojca czy matki,
brata czy siostry,
czy najdroższego dziecięcia,
i na murawie ją stawia,
u stóp pobożnej figury.

Razem z żałobnym orszakiem
zmęczona klęka tęsknota
i zdjąwszy z ramion swych krzyż —
ah! ten przeciężki, wielki, czarny krzyż,
o smutną opiera go skrzynię,
i modli się, i płacze, i wzdycha, i modli.

I nad roztopy,
nad łany,
nad świeżej trawy podściela,

nad pędy ożyłych wierzb
i nad dzwonnice topoli,
nad strzechy zczerniałe
ulata pieśń przenajświętsza:
Salve Regina!
Ku złotym płynie obłokom,
w których skowronek
nuci hymn wiosny,
albo opada ku dołom,
hen! ku ukrytym parowom,
gdzie śniegu ostatnie bryły
pod mokrą konają krawędzią.
Albo na skrzydłach przedziwnego smętku
ku grząskim wzlatuje bagnom,
gdzie nad pochyłą trzciną,
nad ostrowiami sitowia
zrywa się czajki jęk.
Lub ku dalekim idzie widnokręgom,
ku modrym pasom borów,
w mgły otulonych sinawe,
i w wielkie rozlewa się morze,
wszechmocnych pełne zapomnień,
i zbawiających pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień szczęścia,
którego ludzkie nie widziało oko,
o którem ludzkie nie słyszało ucho.
A na jej odzew anielski
ziemia, od brzegu do brzegu
podeptanemi zasiana grobami,
otwiera wielkie swe wnętrze:
zmarłe powstają kości
i za tym biednym zdążają orszakiem
ku garstce mogił i krzyży,

ku tej piaszczystej zboczy,
ku której bliżej, wciąż bliżej
ten prosty rydwan się toczy.

Siermiężne płyną tłumy,
króle i senatory,
biskupy w białych ornatach,
i świętych wieniec liliowy,
i mistrze, co ducha bożego
zaklęli w barwę i kształt,
i w pieśni natchnionej dźwięk,
lub grzmieli głosem proroczym.
I zbrojni kroczą rycerze
niby na wielki bój,
w którym się wszystko ma złamać,
co było życia wielkiego przeczeniem.
A wszyscy w blaskach słonecznych
nieba sięgają czołami
i grzmiącym śpiewają głosem:
Salve Regina!...
A ponad nimi
pali się milion dusz,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
A każdą wieniec oplata,
zwity z promiennych liści —
nadzieja biednych ludzi w jego skrach się iści.
Biała, jak śnieg ich szata,
a z białego łona
lilija ich czystością rośnie ubielona.
I każda węża głowę
depce swą białą stopą,
i z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa nadniebny hymn,

zasłyszan ongi, tak dawno, tak dawno,
ażeby o nich wieść
zagasnąć miała czas —
hymn przenajświętszy:
Salve Regina!...



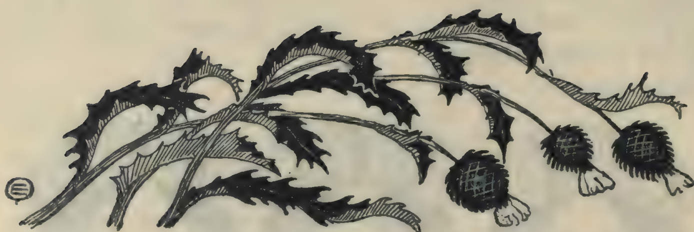
A w ślad za nimi wlecze się twój ból...



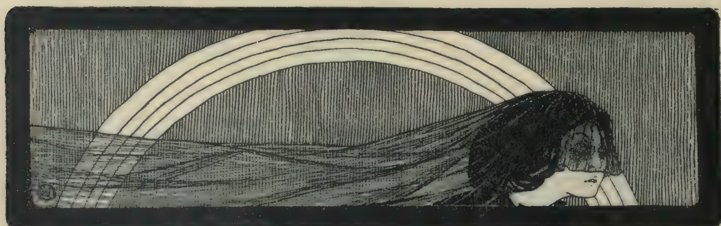
Hahahaha!

(Szatan się zaśmiał, albowiem on jeden wie, że:)

Nędza jest wszędzie —
nędza w miłości
i nędza w cierpieniu!



Śmiej się!
A moja tęsknota,
na barkach ciężki dźwigająca krzyż,
otwiera usta,
by wraz z tęsknotą świata
zaśpiewać hymn przenajświętszy:
Salve Regina!...



Jan Kasprowicz.

AXEL.

CZĘŚĆ TRZECIA.
ŚWIAT TAJEMNY.

Przyjmuj swe myśli jako gości,
a swe pragnienia jako dzieci,
Lao Tse.

§ 1. U progu.



a sama sala.

SCENA I.

AXEL, MISTRZ JANUS.

AXEL, zatroskany i posępny.

Mistrzu, zabiłem człowieka.

MISTRZ JANUS, zapalając jedną ze starożytnych lamp glinianych.

Stało się.

AXEL, półgłosem i prawie do siebie.

Dla tajemnicy... której nie znam, — o której nie pamiętałem wczoraj, — a która, od godziny, nie daje mi spokoju, — napełnia mię zajęciem, którego jarzmo skruszyłem jak mi się zdawało, oddawna.

Otwiera jeden z foliałów, leżących na stołach. — Spróbowawszy czytać:

— Mam duszę tak roztargnioną, że wydają mi się dziwnemi słowa, których rozbłyski tylekroć mnie olśniewały. — Przepadło! Zdarzyło się coś, co mnie przywołało z powrotem na ziemię. Czuję to w sobie, chcę żyć!...

MISTRZ JANUS, do siebie, przypatrując się Axelowi przy świetle lampy.

Dojrzałeś oto zatem do Próby najwyższej. Opary Krwi przelanej dla Złota umniejszyły twą istotę: wyroczne jej wyziewy owijają cię, przenikają aż do serca twego — i, pod zaraźliwym ich wpływem, jesteś już tylko dzieckiem, znającem słowa. Wziąłeś w spadku popędy człowieka, którego zabiłeś; stare pragnienia rozkoszy, potęgi, pychy, wziewane i wchłaniane na nowo przez twój organizm, rozpalają się w najwyższych czerwieniach twoich żył. O zstępujący z powrotem od progów świętych, dawny śmiertelnik zmartwychwstanie za chwilę w zmienionych nie do poznania oczach grzesznego Wtajemniczonego! Oto zatem Godzina. — Ona także przybędzie zaraz, ta, która wyrzekła się ideału Boskiego dla tajemnicy Złota, podobnie jak ty wyrzeczesz się za chwilę wzniosłych swych celów ostatecznych dla nędznego tego sekretu. Oto staną tedy naprzeciwko siebie, w dwojakości swej ostatecznej, dwie rasy, wybrane przeze mnie z głębi wieków, *aby przez proste, dziewicze Człowieczeństwo została zwyciężona podwójna ułuda Złota i Miłości,* — to jest, aby w pewnym punkcie Stawania się, została ugruntowana cnota Znaku nowego.

AXEL, do siebie, półgłosem.

Mam uczucie, że budzę się z czystego, bladego snu, marzonego w eterach barwy dyamentowej — a którego wspomnienie rozwieje się zaraz. Aż do dziś widziałem tylko jasność krainy czarów, którą człowiek ten odsłonił

przede mną: w tej chwili ukazują mi się wszystkie jej cienie. Olbrzymie zwątpienie porywa mnie... Życie przyzywa mą młodość, życie, mocniejsze od tych myśli zbyt czystych dla wieku ognia, który rządzi mną dzisiaj! Ten martwy zgorszył mnie... krew może... Mniejsza o to! Zerwę ten łańcuch i zakosztuję życia!...

Marzy.

Tak więc, miałbym spędzić młodość mą w tem zapadłem zamczysku, pośród okolicy, od której przejąłem dzikość charakteru! Mędrzec tak cudowny jak Janus wychował mnie świetniej, niż królów się chowa, obdarzył straszliwą potęgą, lecz tylko odporną. Rządzę wszechwładnie w tym lesie przerażającym. A teraz czuję oto, że serce rwie mi się ku nieznanym krainom, zaczarowanym świata ogrodom, o pobrzeżach odbijających się w błękitach mórz Wchodu, ku pałacom o komnatach marmurowych, kędy wachlują się białe księżniczki zaklęte, — i, jako ów książe hinduski, nie wiedzący, gdzie są jego skarby, miałbym być skazanym na powolne konanie z tęsknoty pośród tych murów, na uganianie się za zwierzem leśnym dla zapomnienia o swej rozpaczy! Nie! Choćbym miał uciec się do praktyk piekielnych, które przynajmniej łamią wszystkie przeszkody i rozdzierają najposępniejsze tajemnice, muszę odkryć to złoto piorunujące!... Pozostać obcym mu nadal... to już lepiej byłoby strzaskać się w jakiej przepaści.

MISTRZ JANUS, **który czytał w myślach Axela.**

W takim razie, nie warto było się rodzić.

AXEL, **spojrzawszy nań i jakby decydując się.**

Mistrzu, wiem, że według doktryny starożytnej, aby stać się wszechmocnym, trzeba zmódz w sobie wszelkie

namiętności, zapomnieć wszelkie żądze, zatrzeć wszelkie ślady człowieczeństwa, — ujarzmić przez rozbrat. — Człowiecze, jeżeli przestaniesz ograniczać rzecz jakąś w sobie samym, to jest pożądać jej, jeżeli skutkiem tego odsuniesz się od niej, sama ona przybiegnie do ciebie z kobiecem przymileniem, jak woda biegnie napełnić miejsce, które jej nadstawisz we wklęsłości dłoni. Bo ty sam posiadasz istotny byt wszystkich rzeczy w twej czystej woli, bo jesteś Bogiem, którym stać się możesz. — Taki jest dogmat i *arcanum* zasadnicze Wiedzy istotnej.

— A więc, byłoby to zbyt drogo kupować nicość: jam człowiek i nie chcę stać się posągiem z kamienia.

MISTRZ JANUS.

Jak ci się spodoba: ale wszechświat bije czołem tylko przed posągami.

AXEL.

Jakąż wartość miałaby w takim razie dla mnie potęga?

MISTRZ JANUS.

Więc tak bardzo ci chodzi o siebie?

AXEL, chmurnie.

Ah! nie przekroczywszy jeszcze posępnych podwoi, zaczynam obawiać się świata urojeń, kędy wszystkie me myśli mogą stoczyć się w próżnię szaleństwa.

MISTRZ JANUS.

Rzeka lęka się zostać morzem — gubiąc się w niem

AXEL.

Nie. Cel niewart drogi. Jakto! poświęcić wszystko bezwzględnie, by może znaleść w Śmierci — Sen-bez-marzeń? Nicestwo?... — Ah! zwątpiłem — o bogach!

MISTRZ JANUS.

Bogami są ci, którzy nie wątpią nigdy. Wyrwij się, podobnie jak oni, przez wiarę, w sferę Niestworzonego. Ziść się w swem świetle astralnem! Powstań! Żnij plony! Wzbijaj się! Stań się własnym swym kwiatem! Jesteś tylko tem, co myślisz, myśl się więc wiekuistym. Nie trać czasu na powątpiewanie o wrotach, które się otwierają, o chwilach istnienia, które nadałeś sobie w swoim zarodku i które ci pozostawiono. — Nie czujesz-że, iż nieznikoma twa istota jaśnieje poza granicami wszystkich zwątpień, wszystkich nocy!

AXEL.

A jeżeli Śmierć znicestwi we mnie całą pamięć?

MISTRZ JANUS.

Całą pamięć? — A tu, w tem życiu, żali pamiętasz dzień wczorajszy? Zresztą, warto-ż pamięci, co przemija lub zmienia się? — O czem tedy chciałbyś pamiętać?

AXEL.

Dążności nieświadome, rezultat wątpliwej przeszłości, są, być może, pamięcią: ale któż mi da pewność, że trwać będę, świadomy siebie, w ostatecznym oceanie liczb, rodzajów i form?

MISTRZ JANUS.

Umiej zdobyć, w tem życiu jeszcze, moc stania się tem, co ci grozi w Zaświeciu: — stań się jak lawina, która jest tylko tem, co z sobą porywa.

AXEL.

A jakaż podnieta, *pewna*, mogłaby, według ciebie, zogniskować, w istocie mojej, — istotę samą tych sił przeciwnych?...

MISTRZ JANUS.

Uduchowniaj swe ciało: wyszczytniaj się i wyistotniaj.

Nagle, śród straszliwego łoskotu, grom, druzgocąc jedno z okien, wpada tryskiem ognistym do sali, z błyśnięciem olbrzymiem. Prześlizguje się po zbrojach i przedmiotach na murze, potem rzuca się ku kominowi, zbrużdża go i znika.

AXEL, po chwili.

Patrz mistrzu! jakże tu przypisywać jakąś wartość myśli — którą ten nędzny przypadkowy piorun mógł przerwać na zawsze, unicestwiając me istnienie.

MISTRZ JANUS, niewzruszony.

Twe *istnienie,* nie: twe *stawanie się,* tę torbę żebraczą! Marne ziarnko piasku tegoż dokonać mogłoby dzieła. I ty wahasz się otrząsnąć tę zależność, nie śpieszysz wyzwolić się z niej?

Mówiąc, mistrz Janus zwrócił się ku strzaskanemu oknu i popatrzał na czarną, posępną pogodę na dworze.

I oto, powietrze wybłękitnia się, wyjaśnia, rozmigaca gwiazdami: deszcz ustał, łoskoty oddalone ścichają, jak gdyby burza rozpłynęła się w tem ostatniem uderzeniu piorunu. Noc stała się dziwnie pogodna: jak gdyby spokojny jakiś czar rozpostarł się nad lasami.

Axel spogląda ze zdumieniem na to nagłe ukojenie w oddalach nocnych. Potem powraca w milczeniu ku ognisku, siada, i spojrzenie jego zwraca się mimowolnie na światło lampy zapalonej przez mistrza Janusa.

AXEL.

Co za dziwne błyski rzuca ta lampa! Jest-że to ów stary kaganek izaicki, znaleziony w Palestynie przez Różokrzyżowców? w zamyśleniu: Płomień, który patrzy na mnie, oświecał, być może, Salomona.

Zastanawia się chwil kilka.

Salomon! — Imię to budzi we mnie światy snów! — Ah! gdybym-ż mógł odkryć Pierścień! ten, który w nieznanym grobowcu Księcia-Magów sieje światłość, kędyś, na Wschodzie dalekim!

MISTRZ JANUS.

Grobem Salomona jest pierś własna tego, który zdolen jest pojąć Światłość - niestworzoną.

AXEL.

Światłość - niestworzoną? Każdy człowiek nazywa ją poprostu Bogiem.

MISTRZ JANUS.

Jeżeli nie rozumiesz znaczenia pewnych słów, zginiesz poprostu w powietrzu, które mnie otacza: płuca twe nie zniosą jego ciężaru duszącego. — Nie nauczam: rozbudzam. — Jeżeliś, kwiląc jeszcze w pieluszkach, nie miał, pod przymkniętemi powiekami, spojrzenia nawskroś przepojonego tą *Światłością,* która przenika, rozpoznaje i odbija istotnego Ducha rzeczy, ducha powszechnej jedności między rzeczami, ja nie zdołam ci dać tego spojrzenia. Jeżeli oczy twe są żyjące, a nogi wolne, patrz i idź naprzód. Można zostać Wtajemniczonym tylko przez siebie samego.

AXEL, wsparty na łokciu, — uśmiechając się smętnie.

A... będęż wówczas równy owym czuwającym po nocach czarodziejom, którym duchy podwładne, trzęsąc pod ziemią pochodniami, oświecają bezładne stosy klejnotów? Będęż przemieniał metale na złoto, jak Hermes? władał magnesami, jak Paracels? — wskrzeszał umarłych, jak Apoloniusz z Tyany? Zdołam-że i ja znaleźć pantakle przeciwko Okolicznościom wyrocznym i przeciwko Grozom Nocy? elektuarze, które ściągają lub niweczą miłość? Magisterium słońca, przez które rządzi się żywiołami? Eliksir długiego życia? jak Ramondo Lullo, Proszek przetwarzający na złoto? jak Kosmopolita, — Kamień filozoficzny! Będęż równy magom z wielkiej legendy?

MISTRZ JANUS, niewzruszony, dotykając nogą kałuży krwi.

„Magowie“ rzeczywiści nie zostawiają imienia w pamięci przechodniów i są im zawsze nieznani. Liczba ich jest, od początku czasów, tą samą liczbą: lecz duchem stanowią oni jedność. Marzyciele, których wymieniłeś przed chwilą, byli użytecznymi, mądrymi śmiertelnikami. — Nie byli to Wyzwoleni. Magowie rzeczywiści, jeżeli gardzą życiem, — zwalniają się również od śmierci.

AXEL, zadrgnąwszy.

Czemże zatem byłby mag?

MISTRZ JANUS, z niewyraźnym, poufałym uśmiechem.

Jeżeli idzie ci, aby wiedzieć — nawet to, o co pytasz, — odważ naprzód w umyśle swym następujące proste a tajemnicze zagadnienie: *Jak się to dzieje, że nie przyszła ci nawet myśl, abym i ja także mógł być zagrożony podczas niebezpieczeństwa, które przed chwilą przesunęło się tuż koło nas?*

AXEL, zdziwiony i zamyślony.

To prawda!... — Byłżebyś?...

MISTRZ JANUS, krótko.

Jestem człowiekiem, który stoi przed tobą. — Co do słów owych, wykopanych ze starego słownika hermetycznego, które powtarzasz z przyjemnością, uwodzą one młody twój umysł daleko bardziej świetnością swych dźwięków, aniżeli tem, co oznaczają. Poddają ci mózgowe jeno zmysłowości. Jesteś w wieku, gdy migotliwość gwiazd pozbawia co chwila poczucia Niebios. — Zapomnij raczej te wyrażenia, które na ustach twoich są czysto słownemi i których znaczenia żywego nie zdołałbyś jeszcze zrozumieć. Nie igraj z niemi. Każde ze słów twych kołysze się przez kilka chwil koło ciebie, a potem... opuszcza cię.

Idzie ku oknu strzaskanemu i otwiera je ruchem człowieka odsuwającego zasłonę. Potem, wskazując ciszę w powietrzu i gwiazdy:

— Patrz raczej na niebiosa! Gdzie niemasz niebios, niemasz skrzydeł! — Przemień się w ich milczącej światłości: myśl o rozwinięciu przez medytacyę, o oczyszczeniu w ogniach prób i ofiar, nieskończonego przypływu twej woli! Zostań adeptem wiedzy silnych! bądź jedynie inteligencyą, wolną od pragnień i więzów chwili i zwróconą nieustannie ku Prawu nadwieczystemu.

AXEL, z rodzajem zniechęcenia wewnętrznego.

Któż może poznać Prawo?

MISTRZ JANUS.

Któż może poznać cokolwiekbądź ponad to, co rozpoznaje z powrotem? Zdaje ci się, żeś się czegoś dowiedział — a odszukałeś tylko siebie samego: wszechświat jest jeno pozorem do rozwoju całkowitej świadomości. Prawo — to energia bytów! to żywa, wolna, istotna świadomość,

która, równie w Odczuwalnem dla zmysłów jak w Niewidzialnem, porusza, ożywia, znieruchomia lub przekształca całość stawań się. — Wszystko drga przez nią i pulsuje! — Istnieć — to znaczy: osłabiać lub wzmacniać ją w sobie, i urzeczywistniać się, za każdem drgnieniem, w rezultacie wyboru dokonanego. — Idziesz z Niepamiętności. Oto, wcielony, pod osłonami organizmu, więźniem jesteś w ciemnicy stosunkowości. — Przyciągany przez magnesy pragnienia — a przyciąganie to pierworodne — ilekroć ulegniesz im, tylekroć wzmacniasz potężne więzy, które cię opasują. Wrażenie, z którem duch twój się pieści, zmienia po chwili nerwy twe w łańcuchy ołowiane, i cała ta stara Zewnętrzność, złośliwa, zawikłana, niezłomna — która czyha na cię, aby się karmić chceniem żywem twego jestestwa — rozsieje cię wkrótce, proch drogocenny i świadomy, w chemizmach swych i przypadkowościach, stanowczą ręką Śmierci. Śmierć, to wybór dokonany. To Nieosobistość, to rzecz, która się już stała.

Milczenie.

Jeżeli, mimo wszystko, jakieś niejasne dążenie pcha cię jeszcze ku odzyskaniu twej prawdy pierwotnej, poślub w sobie zniszczenie Natury. Opieraj się jej magnesom śmiertelnym, bądź umartwieniem wcielonem! Wyrzekaj się, wyzwalaj się. Bądź własną swą ofiarą! Uświęcaj się w żarach miłości ku Wiedzy - królewskiej i, jak asceta, umrzyj w nich śmiercią feniksa. — Jeżeli w ten sposób wzorować będziesz istotną wartość swych dni na Prawie, wszystkie ich chwile, załamując jego światło, uczestniczyć będą w jego nieznikomości. W ten sposób zniesiesz w sobie i dokoła siebie wszelkie granice! I, na wieki niepamiętny już tego, co było złudnem widmem twej ziemskiej osobowości, zdobywszy ideę, wolny wreszcie od bytu swego, — staniesz się z powrotem, w Bezczasowości, —

duchem oczyszczonym, istotą odrębną w Duchu Bezwzględnym, — wspólnikiem tego, co nazywasz Boskością.

AXEL, w sobie, nie mówiąc.

Jam król ubogi. Gdyby przepych skarbu ojcowskiego był mi dostępny, miałbym wolność wyboru: — ale tak! nie mam nawet zasługi wyrzeczenia się: Przeznaczenie zmusza mnie żyć marzeniami.

MISTRZ JANUS, który czytał w myślach Axela.

A czemże chciałbyś żyć? — Czemże żyją żyjący, jeżeli nie złudzeniami, — jeżeli nie nędzną nadzieją, zawsze zawodzącą? Jest-że wolnym ten, kto może wybierać? Nie, ten jedynie jest wolnym, kto wybrawszy *nazawsze*, to jest, nie mogąc już zbłądzić, nie ma potrzeby wahać się odtąd. — Wolność jest, zaiste, tylko wyzwoleniem. Żalić się na brak niebezpieczeństwa, jest to stwierdzać możliwość niewoli, jest to zatem przywoływać pokusę: — a uczynić to znaczy już upaść. Myśl twoja była poziomo ziemska.

AXEL, porywczo.

A gdybym się stał człowiekiem na chwilę? Ziemia jest piękna! W mych młodych żyłach faluje krew ognista. Byłożby kochać i żyć taką wielką zbrodnią! A przypomnij sobie sam, ty, który uważasz mnie za zgubionego: wszystko powraca do ojczystej swej przyczyny! W którąbądź stronę pochylę pochodnię, płomień, przez pamięć swą naturalną, tężyć się będzie zawsze ku Niebu.

MISTRZ JANUS.

Ilekroć „kochasz“, umierasz o tyleż. Jeżeli nie otrząśniesz się nazawsze, za jednym rozmachem, z całego miłosierdzia dla ponęt gliny ziemskiej, duch twój, ociężalszy po każdem urzeczywistnionem marzeniu, da się nawskroś

przejąć Instynktowi, wejdzie jako ogniwo w łańcuch Ciężkości. I gdy godzina twa wreszcie nadejdzie, staniesz się, w Nieosobistem, igraszką wszystkich wiatrów Ograniczoności, rozwiejesz się skutkiem rozproszenia świadomości na marne skry dawnych swych pragnień i będziesz zgubiony, w ścisłem tego słowa znaczeniu. Wykreślaj zatem wszystkie swe czyny i myśli tylko na planach Światłości-Niestworzonej.

AXEL.

Chcę chwili zapomnienia: — mam prawo...

MISTRZ JANUS.

Łacniej-że w wieczności odwołasz okamgnienie niż stulecie? Czemże tam jedno różni się od drugiego? — Każda chwila twej ruchliwej teraźniejszości zostaje wykreślona przez ciebie dookolnie i nazawsze. Odnajdziesz ją, okrężną i rozbiegającą się w nieskończoność, w sobie samym. Osobowość twoja jest tylko długiem, który musisz spłacić do ostatniego włókienka, do ostatniego wrażenia, jeżeli chcesz zdobyć siebie samego na olbrzymiej nędzy Stawania się.

AXEL.

Ah! mędrzec może przecież szukać rozrywki i wytchnienia obok Mądrości!

MISTRZ JANUS.

Szaleniec tylko marzy o ucieczce od tego, co kocha.

AXEL.

Ostatecznie, zdobyłem prawo odetchnięcia na górze, zanim pójdę dalej! Pozwól mi przynajmniej rzucić pożegnalne spojrzenie na to, co opuszczam.

MISTRZ JANUS.

Byłżeby duch istotnie podniosły, to jest, rozcinający etery intelektu swem boskiem wniebowzięciem, — zrozumiałym dla samego siebie, gdyby prosił o łaskę zatrzymania się lub upadku? Zapóźno w tobie na te cienie pojęć nieistniejących, otoczonych otchłaniami nieświadomości, w której żywotność Słowa przeczy sobie samej. Kto u progu zatrzymuje się i odwraca, by spojrzeć z pychą na stopnie przebyte, zmienia się cały we własne spojrzenie i zstępuje z niem razem z powrotem w dół, a miarą jego upadku jest pycha, jaką uczuł ze swego, odtąd już złudnego wzniesienia się.

AXEL.

Mogę się puścić z prądem namiętności, a nie dać się im porwać, jak dobry pływak w rzece.

MISTRZ JANUS.

Jest to potok, w którym nikt przeciw prądowi pójść nie zdoła: nie uwódź się daremnie, serce kuszone! Wyzwolony tylko może zatrzymać się i dotknąć ziemi, nie przestając z tego powodu być jednocześnie w niebiosach, — podobnie jak promień słoneczny może błądzić po tym padole i ożywiać ziemię swem ciepłem dobroczynnem — nie opuszczając mimo to swego ojczystego ogniska niebieskiego. Zostań naprzód istotą ze światła jedynie złożoną, zanim zaczniesz stawiać czoło… z lekkim uśmiechem: *naszym* zmierzchom.

AXEL.

Osłania mnie, powiadam, płaszcz Apoloniusza! Mam Lampę — i Laskę poświęcaną, aby się wspierać w długiej drodze! Na cóżby mi się przydało tyle czuwań, tyle ba-

dań, — tyle myśli, niestety! gdybym nie zdobył dotąd nawet mocy potrzebnej do odepchnięcia...

MISTRZ JANUS.

Tu jesteś obłudnikiem własnej nadziei. Na zmysłowem twem ciele, Płaszcz wystrzępia się, zużywa i dziurawi, dając przejście wichrowi grobów; w lewicy Nieczystego, Lampa chwieje się, ściemnia, gotowa zgasnąć; w prawicy Wtajemniczonego, który oddala się, Laska podpory staje się coraz lżejszą i wreszcie zmienia się w martwą chrustu gałązkę. Opierać się na przywileju zasługi, aby przedsiębrać bezkarnie czyny pośledniejsze, jest-że to być zasłużonym? — Jeżeli masz umysł obdarzony mocą i światłością świętą, przestań raz na zawsze godzić się, z upodobaniem, na obecność w nim takich myśli. — W każdą z twych idei, nawet podobnie zbytecznych, wlewasz coś ze swej istoty i idea ta staje się przez to samo jednym z możliwościowych momentów Zjawu-przyszłego, momentów, którym życie twe daje początek, a które Śmierć zmusi cię wcielić w swą istność. Bo wszystkie istnienia wibrują w nieskończonej brzemienności tego, co je ogarnia i zespala, a Śmierć przenosi w świat-bezwzględny. Życie twe jest tylko poruszaniem się twej istoty w tajemniczej macicy, kędy wypracowuje się twa przyszłość ostateczna, — twe poczęcie stanowcze, — obowiązek odebrania z powrotem Światu siebie samego.

AXEL.

Ciężki obowiązek!

MISTRZ JANUS.

Chcąc go zrobić lżejszym, wyopaczniasz go i naruszasz. Chcesz-że wchodzić w układy z tem, co nie ma granic, i kołysać się chwiejnie i niepewnie w zobowiąza-

niu, nie określając się przez własny swój niepokój? Czemże byłyby zatem biczownicze praktyki ascetów, jeżeli nie stopniami oswobadzania się ducha, który wyzwala się i odnajduje, odzyskuje się i rozszerza w swej niewspółmiernej, bytowej istności? Ponęta każdej rozrywki czasowej jest tylko przeszkodą — równie niebezpieczną jak nędzną.

AXEL.

A — gdyby słowo synów kobiety nie miało znaczenia poza granicami tej... złudy przestrzennej, która otacza naszą ziemię? — Nie! nie! Gdyby cała ta groźna nauka była jedną wielką Prawdą, trzebaby ją przeklinać: bo wszechświat byłby tylko matnią wiekuistą, zastawioną na zgubę ludzkości.

MISTRZ JANUS.

Wiedz, raz na zawsze, że niemasz dla ciebie innego wszechświata jak pojęcie o nim, które przez odbicie wytwarza się w głębi twych myśli; — nie możesz bowiem widzieć dokładnie świata rzeczywistego, ani go poznać, ani nawet rozróżnić jedynego punktu, w takiej postaci, jaką ten tajemniczy punkt musi mieć w rzeczywistości. Gdybyś, wbrew możebności, mógł na jedno mgnienie ogarnąć jakieś wszechwidzenie świata całego, i ono nawet w chwilę później byłoby złudzeniem, ponieważ wszechświat się zmienia — podobnie jak ty sam się zmieniasz z każdą żył twoich pulsacyą, — i w ten sposób, zjaw jego, jakikolwiekby był, jest, w zasadzie, urojony, ruchliwy, złudny, niepochwytny.

Sam jesteś, nadto, częścią jego! — Gdzież twa granica w nim? Gdzie jego granica w tobie?... On ciebie znowu nazywałby „wszechświatem", gdyby nie był ślepy i pozbawiony mowy. Chodzi o to, byś się w nim wyosobnił! byś się z niego wyzwolił! byś zwyciężył w sobie

jego urojenia, jego ruchliwości, jego złudność, — jego *charakter!* Taka jest prawda, według absolutu, który możesz przeczuwać, bo Prawda sama jest tylko pełnem wahań pojęciem rodzaju, przez który przechodzisz, pomagającem do Całościowości formom jego umysłu. Jeżeli chcesz ją posiadać, stwórz ją! jak wszystko pozostałe! Nie dokażesz nic więcej, możesz być tylko twem własnem tworzeniem. Świat nie będzie miał dla ciebie nigdy innego znaczenia jak to, które mu przypiszesz. Wzrastaj zatem pod jego osłonami, nadając mu wzniosłe znaczenie rzeczy, z której się wyzwalasz! nie umniejszaj się, ulegając niewolniczym zmysłom, przez które zamyka cię on i trzyma w pętach. Ponieważ nie możesz wyjść ze złudy, jaką sobie wytworzysz o wszechświecie, wybierz najbardziej boską. Nie trać czasu na dreszcze trwogi ani na ospałe niedbalstwo, czy to niedowiarcze czy chwiejne, ani na spory w zmiennej mowie prochu i robactwa. Jesteś sam przyszłym swym stworzycielem. Jesteś Bogiem, który udaje, że zapomina o swej wszechistocie, tylko dla tego, aby urzeczywistnić jej promieniowanie. To, co nazywasz wszechświatem, jest tylko wynikiem tego udania, którego tajemnicę zawierasz w sobie. Poznaj siebie! Wymów siebie w Bycie! Wydostań się z więzienia świata, o dziecię więźniów. Umknij ze Stawania się! Twoja „Prawda" będzie tem, co w niej pojmiesz i wyrazisz: czyliż istota jej nie jest nieskończona podobnie jak ty! Śmiej zatem zrodzić najpromienniejszą, to jest *wybrać* ją taką... bo wyprzedza ona istnieniem twe myśli, w których zostanie *przywołana* pod tą postacią, pod jaką ją w nich rozpoznasz!... — Dojdź, wreszcie, do wniosku, że trudno stać się napowrót Bogiem, — i idź dalej: sama myśl ta staje się poziomą, jeśli się nad nią zatrzymasz: zawiera bowiem wtedy wahanie jałowe.

Oto jest Prawo Spodziewalności: oto jedyna oczywistość, zaświadczona przez naszą nieskończoność we-

wnętrzną. Obowiązkiem zatem jest próbować, czy jest się *powołanym* przez boga, którego nosi się w sobie! I oto ci, którzy śmieli, którzy chcieli, którzy z ufnością wrodzoną przyjęli prawo zasadniczego oderwania się od rzeczy i zastosowali swe życie, wszystkie swe czyny i najskrytsze swe myśli, do wzniosłości tej doktryny, wyswobodzając swą istotę przez ascetyzm, — oto nagle ci wybrańcy Ducha czują, jak wypływają z nich samych i jak zbiegają się ku nim, ze wszystkich stron przeobszaru świata, tysiące tysięcy niewidzialnych, drgających nici, po których mknie ich Wola, działając na zdarzenia świata, na zmiany przeznaczeń i państw, na wywierającą wpływ światłość ciał niebieskich, na rozpasane siły żywiołów. I coraz bardziej wzrasta ta ich potęga, za każdym szczeblem zdobytej czystości! Oto jest potwierdzenie Spodziewalności. Oto próg świata tajemnego.

AXEL, **który prawie nie słucha, w roztargnieniu głębokiem, jak gdyby niezdolny już ani wierzyć ani rozumieć.**

Oh! te potopy bogactw promiennych! — nie, to nie są już nawet bogactwa: to talizman.

MISTRZ JANUS.

Jakież niedorzeczne słowa, dzieci Instynktu, wypar ziemi, wyszły znowu z ust twoich? Uważasz się za „ubogiego“, Ty, który jednem spojrzeniem możesz wejść w posiadanie świata. Chcesz „kupować“, podobnie jak ludzie, zawierać układy, mieć dowody na papierze — aby być PEWNYM, że coś posiadasz! Zatem, czułbyś się panem pałacu, na który patrzysz, dopiero gdybyś przez umowę został więźniem jego kamieni, niewolnikiem jego lokajstwa, przedmiotem zawiści dla jego gości, wytrzeszczających ku tobie próżnie swych źrenic! A tymczasem, dość byłoby ci wejść, i na samą twą obecność, na samo królewskie

twe spojrzenie, cała gawiedź służebna stanęłaby na twe rozkazy, a mniemany „pan“ pałacu rzekłby jej zająkliwie, chyląc się przed światłością twego oblicza: — „Zwracajcie się do niego“. — Czyżby choroba Młodości tak cię obłąkała, że zapomniałeś o tem? — Jeżeli jej to szał rządzi tobą, niewątpliwie równie zdrowo ci będzie posiadać brzęczące sztuki złota, jak sentencye iluminata. Jeżeli możesz nosić woreczek, trzeba go napełnić. Ale skoro spadłeś aż do możności wyboru, musisz się zdecydować: rozstrzygaj zatem. Powiedz, czyś przynajmniej o tyle wolny, abyś mógł wykluczyć z myśli swych marne nagabywanie tego złota? — Wahasz się? widzisz zatem, że nie jesteś wolny, boś się nie wyzwolił.

AXEL.

Zimne są gałęzie Drzewa Wiedzy: jakież będą owoce, wytworzone przez mroźne jego kwiaty?

MISTRZ JANUS.

Pojmowanie jest odbiciem tworzenia. — Jeżeli pragniesz innych słów... Nie próbowałżeś czytać przed chwilą? Czytaj dalej. Być może, książka ta odpowie ci lepiej niż ja: — ja daję tylko to, co wystarcza.

AXEL, **zbliżywszy się do otwartego foliału, czyta głośno.**

„Twojem będzie, jeżeli chcesz, Wypełnienie! Wola wibrująca, która łamie i przekształca siły Natury! Władza nad mocami ukrytemi! pomocnicze posiadanie Cnoty, wyzwolenie z odegnanych pokus! miłość Dobra, dla czystej jego wzniosłości; obcowanie z Przyczyną bytu; wreszcie, Wszechwładza nad pozornym wszechświatem — tym cieniem twoim! — który, zwyciężony, stał się z powrotem TOBĄ SAMYM.

Wówczas, geniusz, unoszony przez Instynkt niebieski, deptać będziesz nieustraszoną stopą szczyty empirejskie, przedproża Ducha świata. Przejęty nawskroś swym Ideałem, zmieniwszy się weń sam, zahartowany w płomieniach astralnych, odnowiony w szeregu prób, będziesz najważniejszym świadkiem swego promieniowania w okolną nieskończoność. Niedostępny przyzywom Śmierci i Życia, — to jest, temu, co jest jeszcze *tobą-samym* — staniesz się w Światłości wolą wolną, myślącą, nieomylną, władczą.“

Marzy przez chwilę, potem ze smętkiem:

O, te obietnice, gruntujące się na przychylnem spólnictwie przypadków, —i nadto robione w słowach, pełnych nieprzekonywającej i lekkomyślnej solenności! Kto mi zapewni *trwanie* aż do osiągnięcia tego stanu chwały, ku któremu sprężam się i wysilam? Gdy przyglądam się sobie, trzcinie jednodniowej, niewolnikowi godzin mijających, czemże jestem? trochą ludzkości.... a czemże jest Ludzkość!

Uśmiecha się wzgardliwie.

MISTRZ JANUS.

Ona dała ci uśmiech, którym, wbrew własnej świadomości, targnąłeś się na jej godność macierzyńską.

AXEL, posępniejąc.

Jest-żem wyrzutkiem duchowym, zdźbłem słomy, dzieckiem?

MISTRZ JANUS.

Oburzaj się. I góra jest gniewem. Zobaczymy wysokość gniewu twojego! — Ale nie; dusza twa ociężała zbytnio pod myślowem brzemieniem tego złota; zdaje ci się, że się buntujesz, a ulegasz tylko poziomym instynk-

tom, które już wrą w tobie, — i bunt twój jest jeno formą twej kaźni.

AXEL.

Mistrzu Janusie!

MISTRZ JANUS.

Ah! wybieraj. Ja czekam. — Milczenie twoje wystarczy mi samo. Jedno słowo obojętności lub gniewu, a opuszczę cię na zawsze.



§ 2. **Odstępca.**

AXEL, po chwili, do siebie.

Nie znam tego człowieka, który mnie wychował.

Siada i marzy.

Siły-żywe, które gromadzicie w sobie prawa Substancyi, Byty tajemne, w których poczynają się generacye żywiołów, przypadków, zjawisk, — oh! gdybyście nie były nieosobiste! Gdybyż nazwy oderwane, te próżne wykładniki, któremi osłaniamy waszą obecność, nie były czczemi zgłoskami ludzkiemi! A w łańcuchu nieskończonych zetknięć, gdybyż był jakiś punkt, w którymby Duch człowieczy, bez wszelkiego pośrednictwa, mógł wejść w stosunek

z waszą istotą i przyjąć w siebie waszą energię! Dla czegóż, dla czego nie mogłoby tak być? Czemże byłaby Nieskończoność po odebraniu jej tej możebności — takiej prawdopodobnej, takiej naturalnej?

Coraz głębiej tonąc w myślach.

W imię jakiejż prawdy człowiek mógłby potępić jakąś doktrynę, jeżeli nie w imię innej doktryny, o zasadach równie spornych jak zasady pierwszej? A nadto, inny wiek, inne zasady. Wiedza stwierdza, lecz nie tłómaczy: jest to najstarsza córka chimer; wszystkie chimery są zatem, z tegoż tytułu co świat — ta najdawniejsza chimera! — *czemś więcej* niż Nicość... Porywczo: Ah! co mnie to obchodzi! wszystko to nazbyt jest posępne! ja chcę żyć! *Nie chcę już wiedzieć!* — Złoto jest trafem, oto słowo Ziemi. — Święte Sfery Wybrane, ponieważ i wy jesteście tylko *możliwe*, żegnajcie!

MISTRZ JANUS.

Twoją rzeczą jest nadać byt istotny temu, co bez twej woli jest tylko możliwem.

Odpowiadaj: przyjmujesz Światło, Nadzieję, Życie?

AXEL, po długiem milczeniu, podnosząc głowę.

Nie.

MISTRZ JANUS.

Bądź więc swym własnym apostatą. — Kąp ciało w swym duchu. Przyodziewaj pragnieniami swemi linie stworzeń, ich nagość: rozpraszaj się! Pomnażaj liczbę swych łańcuchów! Zmień się w nie sam! Stań się napowrót płodem ukrytym we wnętrznościach! Zakosztuj owoców potępienia i niepokoju; wyplujesz wkrótce ich popiół, bo podobne są owocom Morza Martwego. Zbogać jeszcze jedną istnością ten mroczny świat, kędy cierpią

wole przygasłe, które nie wzbiły się szalenie, gardząc wszystkiem innem, ku Światłu-Niestworzonemu! Tu kres wielkich nadziei, odkupujących prób, nadprzyrodzonej chwały; kres wewnętrznej ciszy i spokoju. Sam tak chciałeś. Sam sobie wymierzasz sprawiedliwość i sam z czasem strącisz się w przepaść. Żegnaj.

AXEL, skrzyżowawszy ręce, stoi, nic nie mówiąc, ze wzrokiem nieruchomie utkwionym w przestrzeni. Mistrz Janus zbliżył się do schodów kamiennych, — daje znak jakiś wyciągniętą ręką: — głos dzwonu w oddali śród nocy.

SCENA II.

MISTRZ JANUS, AXEL, GOTTHOLD.

GOTTHOLD, wchodząc:

Wasza Miłość, oto co się zdarzyło. Majordom Walter Schwert i towarzyszący mu Franz spotkali w drodze karocę. Musieli doprowadzić konie aż tutaj. — Jest to jakaś podróżniczka w żałobie; prosi o gościnność.

AXEL, w roztargnieniu, do siebie:

Ah, to ta kobieta, która, wstąpiwszy w granice Lasu, pytała o drogę do burgu i której posłałem przewodników...

GOTTHOLD.

Uniosła na chwilę kwefu, przed ogniem w dolnej sali, — jest to młoda kobieta wielkiej piękności; — ale nie widziałem nigdy twarzy równie bladej.

AXEL, zwracając się ku niemu.

A więc patrz!

Gotthold cofa się o krok, z osłupieniem, przed przerażającą bladością Axela.

Pobudź służebne zamkowe; niech zaświecą lampy i rozniecą ogień w najmniej zrujnowanym pokoju. Oświadcz nowoprzybyłej, że hrabia von Auersperg pozdrawia ją.

GOTTHOLD.

Wszystko zrobione, Wasza Miłość. Poprzedzam nieznajomą damę, która, pod przewodnictwem Elżbiety, przejdzie zaraz do pokoju babki Waszej Miłości.

AXEL.

Dobrze. — Czemu nie słyszę Jukka? — On to winienby...

GOTTHOLD, **zniżonym głosem.**

Jest w podziemiu grobowem, razem z Miklausem, Hartwigiem i panem Zacharyaszem; mają chować.... Muszę iść pomagać im za chwilę. Zatrudnienie to musi być wykonane przez nas samych.

AXEL.

Ah! prawda, — zapomniałem.

Odwraca się, pada na jedno z siedzeń i wspiera głowę na ręku, jak gdyby nie zwracając dalej uwagi na rzeczy otaczające.

SCENA III.

CIŻ SAMI, SARA.

W głębi, za progiem sali, ukazuje się Sara, odziana czarno, z kwefem żałobnym na twarzy; poprzedza ją młoda dziewczyna w odzieży chłopek szwarcwaldzkich, trzymając w wysoko podniesionej ręce świecznik zapalony.

Przechodząc za sceną, przez przedsionek, przed wielkiemi drzwiami otwartemi, Sara zwraca się nawpół ku sali i spostrzega Axela, który, z głową wspartą na ręku, koło ogniska, nie widzi jej. Popatrzawszy nań chwilę, idzie dalej i znika.

MISTRZ JANUS, **do siebie, na szczycie schodów kamiennych.**

Welon i Płaszcz, oba odstępcze, skrzyżowały się: Dzieło się dokonywa.



CZĘŚĆ CZWARTA.
ŚWIAT NAMIĘTNOŚCI.

§ 1. Próba złota i miłości.



rzejście śród grobowców w krypcie podziemnej burgu Auerspergów.

W głębi, góruje nad grobowcami tarcza rodowa, wykuta w granicie muru.

Na prawo i na lewo, przez całą długość sali, mauzolea z marmuru białego. — Posągi rycerzy i kasztelanek. Pierwsi stoją lub klęczą na swych grobowcach; kobiety w ubiorach stuleci, w których żyły, leżą nawznak, ze złożonemi rękoma, na głazach swych sarkofagów; u ich stóp, charty rzeźbione z marmuru.

Lampa grobowa, zwisająca ze środkowego sklepienia, słabo oświeca podziemie. — Koło kropielnicy z porfiru, wielki klęcznik hebanowy, o poduszkach z fioletowego, spłowiałego aksamitu utrechckiego, z chwastami złotemi, poczerniałemi ze starości.

Na lewo, w głębi przejścia, w załomie muru, wysoko umieszczone okienko, o szybach kolorowych, zamknięte, od zewnątrz rozetami żelaznemi; — czarna draperya przysłania je do połowy. Bliżej ku środkowi, po tejże stronie, nizkie drzwi, zagłębione w murze.

Na prawo, w głębi galeryi, zwrócone przodem ku widzom, łukowe drzwi żelazne o potężnych podwojach, wznoszące się ponad trzema stopniami i odsłaniające za otwarciem pierwszy zakręt wysokich kręconych schodów kamiennych.

W samym środku, między grobowcami, na trójnogu, kadzielnica bronzowa, z której niekiedy strzela płomień.

Na lewo, przy murze, Gotthold i Miklaus, wsparci obaj na motykach, przypatrują się panu Zacharyaszowi, który pędzelkiem srebrnym wypisuje na hebanowym krzyżu imię pogrzebanego przed chwilą zmarłego. — Na prawo, Hartwig porządkuje różne przedmioty na podstawie kamiennej. — Jukko, oparty o klęcznik, z uśmiechem na ustach, przygląda się również panu Zacharyaszowi.

SCENA I.

JUKKO, GOTTHOLD, Herr ZACHARIAS, HARTWIG, MIKLAUS.

JUKKO.

Epitafium? oto jest: — Był to pan bez troski, który cenił wysoko dobrą kuchnię i piękne kobiety. Niechaj ten, doskonały zresztą, szermierz wstawia się za nami przed oblicznością Pańską.

GOTTHOLD.

Mniej hałasu, swawolniku! Ten zmarły ma prawo do milczenia.

JUKKO.

Nie nazywałbym nierozważnie *zmarłym* tego, kto nienazbyt był godzien zwać się żyjącym. Tu spoczywa świetny nędznik, tłómok nasyceń wszelkiego rodzaju, który nie kochał i nie modlił się nigdy. A więc, zjawiający się czy znikający, uśmiechnięty czy poważny, czemże mógł być dla nas? Natrząsał się ze wszystkiego: wszystko z niego się natrząsa. Jeszcze parę łopat ziemi, i dobranoc!

GOTTHOLD.

Ucisz się, Jukko!

MIKLAUS.

Koniec końców, jest to teraz takie samo widmo jak każde inne!

JUKKO.

Hę? jestem kiep, jeśli wyciągniecie choćby we dwóch najmniejsze widemko — z tego worka na wino, przekłótego i wypróżnionego.

GOTTHOLD.

Złości dziecinne! waryackie gniewy uparciucha...

JUKKO, z uśmiechem.

Oburzenie, prawdziwie wrodzone, nie zużywa się prędko; wzrasta z życiem; nie daje się przebrać w nazwę błahej złości. — Co tu gadać? Lwy i szakale, acz jako zwierzęta wydają się równemi, wiedzą jednak od niepamiętnych czasów, że są różnej natury.

MIKLAUS, składając ręce na swej motyce.

Przestraszasz nas, mój chłopcze.

JUKKO.

Myślicie sami to, co ja ośmieliłem się powiedzieć.

GOTTHOLD.

Jakże prędko i stanowczo sądzisz umarłych — a masz jeszcze mleko pod nosem!

JUKKO.

Który z was, po śmierci, pragnąłby dzielić z nim ten dół?... Chwila milczenia. Widzicie.

MIKLAUS, zamyślony.

Ostatecznie, był to szlachcic z dzielnej krwi.

JUKKO.

Ta krew robiła go dzielnym, lecz nie własne serce — a był to szlachcic — jak dukat miedziany, dobrze wytarty, jest sztuką złota. Co wart fałszywy pieniądz? mniej niż jego kruszec.

GOTTHOLD.

Cyt!

JUKKO.

Któż nas tu usłyszy? Po zamknięciu tych potężnych podwoi żelaznych, grom mógłby paść tutaj i niktby go nie usłyszał, takie grube są te sklepienia; — głąb ich gubi się w górze skalnej.

GOTTHOLD.

Chciałem powiedzieć, że głazy tych grobowców przytłaczają sąsiadów tegoż co on imienia.

JUKKO, głosem lodowatym.

Uczcić tego, byłoby to uchybić tamtym.

Herr ZACHARIAS, powstaje, wspierając się na wielkim krzyżu czarnym.

Dziecię, i jego istnienie opłaciła, podobnie jak twoje, krew boska. Jesteś w wieku siły i krzepkości; ale to przemija szybko — i, wówczas, człowiek nie podnosi już tak twardo głosu przeciwko cieniom zmarłych. — Pomóż mi raczej osadzić mocno ten krzyż w poruszonej świeżo ziemi.

JUKKO, mrucząc niechętnie.

Krzyż nad nim? Chyba za dużo dla tego, który niewiele dbałby oń.

GOTTHOLD i MIKLAUS, ze zgorszeniem, surowo.

Jukko! bo się pokłócimy.

JUKKO.

No, zgoda już, zgoda. Twierdzę wszakże, iż pan ten wam kazałby milczeć, gdyby was słyszał. Skończmy na tem. Powinienem szanować wasze... zwyczaje. Do siebie: Zresztą, to prawda! promień słońca lub gwiazdy może roziskrzyć nawet kupę gnoju. Osadzając krzyż nad mogiłą: — A więc, na wszelki przypadek!

HARTWIG, zbliża się i rzuca jakiś proszek do kadzielnicy.

Oto kadzidło.

JUKKO.

Oh! nic nie nagliło jeszcze.

SCENA II.

CIŻ SAMI; AXEL wchodzi przez nizkie drzwi w odzieży podróżnej i płaszczu czarnym.

AXEL.

Północ wkrótce wybije: jutro, o tej godzinie, będę daleko... Przyszedłem was pożegnać.

Herr ZACHARIAS, zadrgnąwszy boleśnie.

Oh! wyjeżdżasz, drogi mój panie?

GOTTHOLD, zająkliwie.

Wasza Miłość, jesteśmy bardzo starzy: pragnęlibyśmy, aby ręka Waszej Miłości zamknęła nam oczy, niezadługo.

AXEL, patrząc na nich, po chwili głębokiego milczenia.

Druhowie, — przyjaciele! stare dzieci moje! — tak być musi. Wybaczcie! Do Jukka: Będziesz rozkazywał tu wszystkim, w czasie mojej nieobecności, wyjąwszy tych, których kochasz i którzy cię kochają.

JUKKO, tracąc głowę, zająkliwie.

Jakto! nie bierzesz mnie z sobą? Nie zabierasz mnie?

AXEL, cicho, ze smutnym uśmiechem.

A twa narzeczona, dziecko! a twa ojczyzna! — Muszę wyjechać, nie widząc się już z wami, o samym wschodzie słońca w ten dzień Wielkiej Nocy. Jeżeli chcecie mi zrobić przyjemność, niech od samego świtu grają najstarsze nasze hejnały i pobudki; będę je słyszał zdaleka; to mi przypomni wspaniałą przeszłość. Dzisiejszej nocy, jeśli wam się spać nie chce, pijcie i śpiewajcie. Pogrzebcie na dnach kielichów wspomnienia dawnej chwały i czynów wojennych! — Uściskajcie mnie.

HARTWIG, MIKLAUS, herr ZACHARIAS i GOTTHOLD.

Żegnaj, Auerspergu!

AXEL, ścisnąwszy w objęciach jednego po drugim, — do Jukka:

Obudziłem przed chwilą starszego gajowego, poczciwego ojca Glücka, tam w lesie. Czy wiesz, że będzie cię jutro czekał o jutrzence na twe zaręczyny?

JUKKO.

O panie mój!

AXEL, całując go.

Mój synu!

Otwiera ramiona; Jukko rzuca się w nie i ściska go, we łzach cały.

Znajdziesz na moim stole pargamin, podpisany mojem imieniem: jeżeli nie powrócę, zamek jest twój.

JUKKO, szlochając.

Niestety!

AXEL.

Dajcie ręce, — i bywajcie zdrowi. A teraz zostawcie mnie samego. Ostatni mój rozkaz: niech nikt w przyszłości nie schodzi tutaj.

Czterej starcy skłaniają się z oczyma we łzach.

GOTTHOLD, półgłosem.

Po raz to ostatni widzimy go.

MIKLAUS, ocierając powieki wierzchem dłoni.

Tego, który spojrzeniem żywił nas!

Herr ZACHARIAS, do siebie, nieco błędnie.

O boleści! wielki skarb stracony, stracony! Żyłem za długo od dzisiejszego ranka.

Odchodzą ku nizkim drzwiom. Jukko, z czołem ukrytem w dłoniach, waha się chwilę, — potem powraca i rzuca się do ręki Axela, którą całuje z niemą rozpaczą.

AXEL.

Żegnaj!

Paź, chwiejąc się, dogania czterech starców i wychodzi wraz z nimi, szlochając. Drzwi zamykają się. Axel rzuca swój płaszcz na klęcznik.

SCENA III.

AXEL, sam, — spoglądając dokoła.

Popioły, jestem w przededniu tego, czem wy jesteście. Chwila milczenia. Tutaj, pożegnanie zapada, czczo, we własne swe echo. — Przyglądać się kościom umarłych, jest to patrzeć w zwierciadło. — Na cóż się zdadzą słowa, tutaj?

Siada na jednym z grobowców i, splótłszy zwisłe ręce, z nieruchomie wbitemi w przestrzeń oczyma, zapada w jakąś zadumę tajemniczą.

Po długiej chwili, podnosząc głowę:

O śpiący, o różokrzyżowcy, moi poprzednicy!

Jeżeli są słowa, które mogłyby zmącić wasz sen, zapominam je, ponieważ nie chcę nużyć waszych cieniów dziecinnemi zaklęciami — i ponieważ przedmiot mego marzenia jest, w obliczu Śmierci, marną znikomością.

Spoglądając na wielką tarczę wykutą w murze, na którą pada z lampy wielki wylew światłości:

Ale wy, granitowe sfinksy o złotych twarzach, które zdajecie się dźwigać tajemnicę Wszech-bogactwa, wywołuję was, o istoty z marzenia! — o postacie z zaświecia, zaklinam was, — na najstraszniejszą z rzeczy, na obojętność Przeznaczenia! Nakazuję wam zwolnić ze zwykłego milczenia samotną Trupią Głowę, nadającą, przez symbol, więcej surowej powagi znakowi rodu, który streszczam w sobie, aby ta Głowa pomogła mi — bądź błyskiem swych orbit, bądź jakimkolwiek czynem cudownym, słowem choćby — pojąć zagadkę kamieni jaśniejących, które zdobią jej przepaskę, — aby objawiła mi nareszcie, co znaczy aureola tych słów poświętnych: ALTIUS RESURGERE SPERO GEMMATUS.

Zaledwie wymówił słowa dewizy, drgnął, usłyszawszy coś jak gdyby szmer zbliżających się, niewidzialnych kroków.

Podnosi głowę i zdaje się zapominać naraz o tych, tak zajmujących go słowach — pod wpływem jakiegoś roztargnienia ludzkiego, wywołanego przez ten szelest kroków nieoczekiwany.

Co to jest? Byłżeby to poszum wiatru? Od chwili, zdaje mi się, że słyszę... tak... schody są odgłośne, i ktoś idzie bardzo powoli. — Jukko, zapewne?... Nie! Zabroniłem przecież przed chwilą powracać tu komukolwiek.

Wygląda z za podwoi wielkich drzwi ku schodom kamiennym; potem, z ruchem zdziwienia:

Kobieta! — Nie mylę się. To kobieta. — Ah! tak, ta sama, z dzisiejszej nocy! Cóż to ma znaczyć? Pochodnia, którą trzyma nad głową, nie pozwala mi dojrzeć jej oblicza. Schodzi do tych zapomnianych podziemi... i to nie wahając się, jak gdyby je znała oddawna! — Coś połyska, coś migoce chwilami w jej ręce: — sztylet, jak mi się zdaje. Cóżby to znowu miało znaczyć?... Ale bezsenność jej, zaiste, równa jest mojej! Idzie krokiem pewnym... Ogląda się dokoła. Cóż za tajemnicza budzi się we mnie ciekawość? Ona się zbliża... Ah! muszę się dowiedzieć!..

Kryje się w jednym z załomów ściennych.

SCENA IV.

AXEL, SARA.

Sara, w czarnej odzieży i nawpół zakwefiona. Jedna ręką wysoko wznosi pochodnię, w drugiej ściska pokaźny sztylet. Pewnym ruchem rozpycha skrzydła ciężkich drzwi żelaznych, które otwierają się milcząco, — i ukazuje się wyprostowana na stopniach kamiennych.

Niemo, rozgląda się z głęboką uwagą po wnętrzu sali. Pilnem spojrzeniem bada przejścia między grobami. Potem zstępuje z ostatnich stopni, wchodzi, zamyka drzwi za sobą i umocowuje zawierające je sztaby.

Idzie ku drzwiom na prawo i zasuwa również w otwory w murze rygle żelazne.

Zrobiwszy to, umieszcza pochodnię na cokole jednego z grobowców i zwraca się ku potężnej ścianie w głębi krypty grobowej.

Tam, odwróciwszy się raz jeszcze ku rozległej sali i ku wiekowemu milczeniu posągów, stoi chwil kilka w milczeniu, poczem bacznie przyglądać się zaczyna dziwnym znakom herbowym na ścianie.

Po chwili, wsparłszy nogę na występie jednej z płyt, zbliża się do tarczy herbowej i zdaje się badać ją z tajemniczą jakąś uwagą.

Wreszcie, złączywszy obie dłonie na głowicy sztyletu, zdaje się zbierać całą swą siłę młodzieńczą i wciska koniec ostrza między oczy heraldycznej Trupiej Głowy.

SARA.

MACTE ANIMO! ULTIMA...

Nagle mur w całej grubości przepoławia się, tworząc szeroki otwór sklepiony. Ruchomy kawał ściany obsuwa się przed Sarą i pogrąża zwolna w ziemi, odsłaniając ciemne galerye o rozległych arkadach, ciągnące się bez kresu w głąb podziemia.

I oto, ze szczytu tej łukowej szczeliny, — w miarę zwiększania się coraz szerzej ziejącego otworu, — wydziera się, naprzód, połyskliwa ulewa drogich kamieni, szumiący deszcz dyamentów, a w chwilę potem cała lawina kosztowności wszystkich barw, migocących blaskami, niby kroplami rosy, całe miryady brylantów, o miecących błyskawice ściankach, ciężkich naszyjników również z dyamentów, klejnotów ognistych, pereł. — Te potopowe strumienie połysków zalewają nagle ramiona, włosy i suknie Sary: drogie kamienie i perły dźwięcznie i elastycznie odbijają się dokoła niej od marmuru grobowców i tryskają z powrotem w górę, snopami olśniewających skier, aż ku białym posągom, z cichem trzaskaniem pożarnem.

A teraz, gdy kawał muru więcej niż do połowy pogrążył się w ziemi, oto z obu stron ogromnej framugi, grzmiące i dzwoniące katarakty złota rzucają się do stóp chmurnej nowoprzybyłej.

Jak przed chwilą drogie kamienie, tak teraz walące się fale sztuk złotych padają przerażająco z wnętrza rozpękłych baryłek, skruszonych przez rdzę i nacisk ich liczby.

Najpierwsze, pod ciężarem własnych swych bogactw, stoczyły się i ułożyły u krańca olbrzymiej pieczary, w regularniejszych skrzy-

żowaniach; inne, skupione bezładnie za niemi, piętrzą się i rozciągają naokół zbitemi secinami. Tu i owdzie, w jakiejś oddalonej przerwie, odblaski pochodni pozwalają rozróżnić, na tle ciemności, pożółkły szmat pargaminu, krwawiącego się jeszcze, pośród pleśni, szerokim odciskiem czerwonego wosku.

Najbliższe wzgórza złota, skupione ongi koło tego znikłego kawała muru, który zatrzymał się na równi z poziomem — toczą się teraz bez miary, szemrzą, dzwonią głucho, i rozlewają się szalenie— niby powódź słoneczna — po wszystkich przejściach między grobowcami.

Wówczas, wsparłszy się ręką na ramieniu jakiejś odwiecznej statuy rycerza, Sara wyprostowuje się, pośród całego tego promienienia, kędy, w tysiącznych załamaniach, zwielokrotnia się podwójny płomień: lampy grobowej i chwiejnej pochodni; — potem, zawsze blada, poważna, ze spuszczonemi powiekami, odbijając jak zjawisko czernią swej żałoby na tle tego wylewu świetności, domawia szeptem swą dewizę rodową, którą ten straszliwy wybuch skarbów przerwał był przed chwilą:

...PERFULGET SOLA!

Wyciągnąwszy następnie rękę przed siebie, podnosi na traf garść wielkich naszyjników dyamentowych i przez chwilę zdaje się przyglądać swej twarzy i oczom w ich fali promienistej.

Ale, na niewyraźne zapewne przeczucie czyjejś obecności w sali, odwraca oczy ku posągom i spostrzega w mroku Axela, który stoi koło jednego z grobowców i patrzy na nią w milczeniu.

Z szybkością błyskawicy upuszcza klejnoty, odrzuca na ramię jednym ruchem fałdy swego płaszcza z czarnego jedwabiu: — za pasem jej połyskuje para wytwornych pistoletów. Schwyciwszy jeden z nich, bierze raptownie na cel hrabiego von Auersperg, daje ognia — i odrzuca daleko broń dymiącą.

Axel trafiony rzuca się ku niej gwałtownie; lecz ona z drugiego pistoletu mierzy doń już uważniej: drugi strzał.

Trafiony raz jeszcze, lecz oba razy tylko powierzchownem draśnięciem kul, które zorały mu pierś, Axel dobiega do Sary; młoda dziewczyna, ściskając mocno sztylet w dłoni, oczekuje go, gotowa do skoku, zwinna i grożąca tym razem pewną śmiercią, skutkiem samego rozpędu, który unosi przeciwnika.

Lecz Axel, uchyliwszy się zwodnie, pod pozorem odwrotu, schwycił w potężny uścisk, mimo gwałtownych jej ruchów, zręczną i miotającą błyskawice rękę Sary.

W chwilę później, — niezwyciężony, — acz zdumiony niezwykłym oporem tej przeciwniczki, — hrabia von Auersperg trzyma ją w żelaznem objęciu, rozbrojoną, pozbawioną władzy i przegiętą w tył na jego ramieniu.

AXEL, **groźnie, ze wzniesionym sztyletem.**

Ty! muszę poznać barwę twojej krwi!

W chwili gdy ma uderzyć, zatrzymuje się na widok wzniośle pięknej twarzy dziewczęcia.

SARA, **chwytając z powrotem rękę Axela i gwałtownie kierując sztylet ku swej piersi.**

A więc, patrz!

Koniec ostrza dosięga ją w ramię; wytryska tylko kilka kropel krwi, bo hrabia von Auersperg powstrzymał, zda się, rozmach nadany jego ręce przez ruch Sary.

AXEL, **do siebie, jakby olśniony, wpatrując się w nią z uniesieniem.**

O piękności lasu pod gromami!

SARA, **chmurnie.**

Uderz i zapomnij!

AXEL, **zwalniając uścisk.**

Bierz w darze najdrogocenniejszą część bogactw tych — i życie.

Sara odsuwa się od niego i staje koło kadzielnicy.

SARA, **wzgardliwie, po chwili milczenia.**

Czyliż jestem wspólniczką?

AXEL.

Przez pychę wpadasz w obłęd. Połowa takich bogactw nie różni się od ich całości.

SARA

Dla Niemiec to złoto, jeśli to złotem jest istotnie.

AXEL.

Dla Niemiec! Nie. Z uśmiechem: Dla świata!

SARA, wzgardliwie.

Zręczne powiedzenie, godne rabusiów nocnych.

AXEL, dziko.

Nie zapominaj tak bardzo, żem darował ci życie.

SARA, z prostotą.

Czyż-em o nie prosiła?

AXEL.

Bądź co bądź, dość tutaj bogactw, aby kupić sporo dusz.

SARA.

Niedość, aby zamącić moją.

AXEL.

I komuż-to mówić o skrupułach sumienia! Nie uznała-żeś gościnności przez podwójny na mnie zamach? A gdzieżem to cię ujrzał? Pod temi lampami, trzymającą garść klejnotów. Byłoż to również, aby je *zwrócić* ojczyźnie niemieckiej?

SARA.

Nie. Ponieważ z mojej strony byłby to *dar*, nie zwrot. Po chwili: Jako w marchii pogranicznej, bogactwa te nie leżą na niczyim gruncie — i jeśli przybyłam tutaj, to aby zawładnąć zgubionem berłem, bo niesłychana ilość te-

go złota przeobraża jego imię. — Któryż przechodzień nie miałby prawa przywłaszczyć sobie, na jakiembądź miejscu, władzy królewskiej, gdyby boski traf rzucił mu pod stopy jej znaki? Pod warunkiem wszakże, aby podniósł berło i jął władać, bo w takim razie królem okazałby się prawym; gdyby zwrócił uwagę na kruszec, lub co gorzej, chciał go dzielić, stworzyłby sobie — sameś to powiedział przed chwilą — jedyny obowiązek pokornego zwrotu, komu należy. — Dzielić się?.. Jakże rozpołowić promień światłości? — Żyć po tem dalej?.. Jakże, uległszy, uniknąć konieczności zaświadczenia przez śmierć, że miałam prawo kusić się o tę zdobycz, skoro, wobec królewskiej zaiste formy, w jakiej duch mój pojąć mógł jedynie to przedsięwzięcie, nie podlegam już zwykłemu wymiarowi sprawiedliwości?

AXEL, wpatrując się w nią uporczywie.

Bierz więc berło całe i nienaruszone.

SARA, poważnie, po chwili milczenia.

Niech tak będzie. Któż-eś ty?

AXEL, w zamyśleniu.

O to mniejsza! — Żegnaj.

SARA.

Oh!.. Zostań. Wpadając w zadumę, z goryczą w głosie: Zrzekłażbym się ja, zwyciężywszy? Nie. Przypadkowy gość jednonocny, wróciłabym pod gromy nawałnicy. Odszukałabym swą służbę i zaprzęgi, które oczekują mnie na skraju waszego lasu. — Później, po zatarciu się wspomnienia o mych odwiedzinach, kazałabym nabyć przez dalekich pełnomocników tę siedzibę, z którą od dzisiaj zżyłam się prawdziwie!.. Twoja hojność szlachetna byłaby za-

tem w mych oczach zawsze tylko jałmużną niezasłużoną, której poniżające wspomnienie zohydzałoby mi wszystkie przyszłe radości i pychy... Nie! — Ja to, ja sama... zniknąć muszę. Do siebie: Przed upływem godziny wypiję jad z tego śmiercionośnego pierścienia i będziem wolni jedno od drugiego.

Spogląda na niego.

Ale ty chwiejesz się, panie — i widzę, że bledniesz z każdem okamgnieniem. Przed chwilą musiałam cię zranić z tej broni: żałuję tego. Chciałam cię tylko zabić. Jedno z nas musi przeżyć drugie. — Czekaj.

Zdejmuje swój kwef i idzie ku kropielnicy żałobnej.

AXEL.

Nic to. Kule twe musnęły mi pierś... zaledwie. — Niema co o tem mówić!

SARA.

Te koronki zwilżone w lodowatej wodzie... — zimna woda wstrzymuje upływ krwi. — Przyłóż to, — ot tak!

Podniósłszy sztylet, zbliża się i odcina w milczeniu żelazne guziki u kaftana Axela. Potem, odrzuciwszy daleko broń, przykłada z całym spokojem na pierś hrabiego von Auersperg wielki kwef czarny, cały zmoczony w wodzie pogrzebnej.

AXEL, do siebie, patrząc na nią.

Przez te szyby kolorowe, gwiazdy ślą ku niej jakieś promienie tajemnicze. Ziemia wyzywa mnie i kusi przez jej zjawienie. Głośno, z nagłem zadrgnieniem: Dziewczę, ten wielki skarb — którym tak gardzimy oboje, po tak namiętnych dawniej o nim marzeniach — nie wart, by mrzeć z powodu imienia, jakie się mu daje. — Inna okoliczność, mniej wyraźna i posępniejsza, skazała cię, w istocie, nieodwołalnie. Podczas gdy mówiłaś, odblask twej istności wchodził

w mą duszę; opanowywałaś bicia mego serca... i teraz czuję cień twój na wszystkich swych myślach. Otóż, jeżeli noszę w swem wnętrzu własne wygnanie, pragnę na tem wygnaniu pozostać sam. — *Jam ten, który nie chce kochać*... Marzenia moje znają inną światłość... Biada ci, żeś była kusicielką, która przez magię swej obecności zmąciła stare ich nadzieje. — Odtąd, czuję to, świadomość twego istnienia na świecie nie da mi żyć! Oto dla czego pożądam widzieć cię bez ducha... i — czy pojmujesz mię czy nie — dla tego tylko, aby cię zapomnieć, stanę się twoim katem!

SARA, **jak gdyby olśniona, do siebie, patrząc nań z osłupieniem:**

O słowa niesłychane!

Chwila milczenia; potem, prawie do siebie, głucho:

Gdyby prawdą było, że ty jeden z pomiędzy synów kobiety zdołałbyś oprzeć się Bogu, który cię porywa, i przełożyć nadeń zniszczenie własnego nieba... **Dreszcz zbiega ją nagły.**

AXEL, **odrywając ciężki łańcuch żelazny od jednego z grobowców.**

Przysięgam... że zamknę twe rajskie źrenice!

SARA, **z uśmiechem.**

O szczytna chwilo... A więc! nie! Zapóźno. Trzeba było zadać cios, nie odsłaniając mi swej duszy w płomienieniu tych słów nadludzkich!

Hrabia von Auersperg, okręcając z gwizdem i chrzęstem łańcuchy nad głową, posuwa się przerażająco ku Sarze.

SARA, **uniknąwszy, zwinnym ruchem, ciosu straszliwego, zarzuca mu ramiona na szyję.**

Nie. Oto cięższe łańcuchy i... tym razem tyś moim więźniem. Spróbuj-że uwolnić się! — Ah! widzisz? Nie możesz już teraz: to niepodobna.

Zwiesza się omdlewająco, z głową w tył odrzuconą, i patrzy nań oczyma światłości z pomiędzy rzęs przymkniętych; włosy jej rozwiązują się, opadają i okrywają całą jej postać. Mówi głosem czystym, bardzo zgłuszonym, bardzo słodkim, prawie cichym, zdławionym. — Niekiedy przymyka oczy zupełnie, i olśniewająca, poważna jej piękność, jaśnieje w migotliwem świetle pochodni, lampy i drogich kamieni. Dyszy ciężko, nozdrza jej drgają, ramiona obwisają ciężko:

Miej pobłażanie dla siebie samego, dzieciaku! Czyliż ja dla siebie chcę żyć! Nie zabijaj mnie. I na cóż? toć jam niezapomniana.

A wiesz ty, co odpychasz? Wszystkie najsłodsze łaski innych kobiet nie warte są mych okrucieństw! Jam najpiękniejsza z dziewic. Mam niejasne wspomnienie, że byłam powodem upadku aniołów. Niestety! kwiaty i dzieci konały, gdy cień mój padł na nie.

Daj się uwieść! — Nauczę cię cudownych zgłosek, które upajają jak wina Wschodu! Będę cię usypiała pieszczotami, od których się kona: znam tajemnice rozkoszy nieskończonych, krzyków upojenia, szałów lubieżnych, gdzie każda omdlewa nadzieja. Oh! zagrzebać cię w mych białościach, gdzie oddałbyś ducha, jak kwiat zgubiony pod śniegiem. Osłonić cię memi włosami, gdzie wdychałbyś duszę róż martwych!.. Nie opieraj się. Wywołam bladość na twem obliczu przez niewysłownie gorzkie radości; miłosierną otoczę cię tkliwością, gdy wić się będziesz w tych męczarniach!.. Mój pocałunek — to jak gdybyś pił niebo. Pierwsze podmuchy wiosny w Sawanach są mniej wonne i ciepłe niż mój oddech, — bardziej przejmujący od dymu fajerek kadzielnych, które płonęły w serajach Kordowy, brzemienniejszy zapomnieniem od zapachu ostrzy cedrowych, wbijanych przez czarodziejów w drzewa Bagdadzkich ogrodów, dla poniżenia kwiatów boskich. Przypomnij-że sobie, patrząc w me oczy, duszę pięknych nocy, gdy chodziłeś po dolinach, patrząc w niebo: jam jest

to wygnanie pod nieznanemi gwiazdami, którego szukałeś! — Oddałabym wszystkie skarby, aby być twoim skarbem na wieki. Oh! rozstać się z życiem, nie skropiwszy łzami twych oczu, tych dumnych gwiazd błękitnych, twych oczu nadziei! oh! nie uczuwszy cię drżącym pod głęboką muzyką mego głosu rozkochanego! — Oh! pomyśl, — to byłoby straszliwe: to niemożebne. Zrzec się tego przechodzi mą siłę i odwagę. Ulegnij, oddaj się, słuchaj, Axelu, — Axelu!.. A ja zmuszę cię do wyjąkania, na ustach mych, wyznań, które najbardziej bolą, — i wszystkie marzenia twych pragnień przejdą w me oczy, aby wystokrotnić twój pocałunek.

Chwila milczenia.

AXEL, głucho, z zamkniętemi oczyma.

Twe imię! musi palić usta, więc pragnę je powtarzać!..

SARA, cichutko, z głową wspartą na ramieniu Axela.

Sara.

AXEL, upuszczając łańcuchy.

Saro, nie jestem już samotny.

Chwila posępnego milczenia.

SARA, nie podnosząc głowy.

Więc darowujesz mi życie?

Axel rozbrojonem ramieniem chwyta ją wpół i prowadzi ku hebanowemu klęcznikowi o poduszkach z fioletowego aksamitu.

AXEL, ze zwycięzkim uśmiechem i z trochą przesady młodzieńczej.

Któryż z pomiędzy królów byłby tak szalonym, aby wszystkiemi temi gwiezdnemi klejnotami nie rozżagwić nocy twych włosów! — Dla ciebie jednej, całe te stosy pro-

mienne, wszystkie te świetności, które wskrzesiłaś!... Pozwól mi tylko wpatrywać się w twoją bladość śmiertelną. — Siądę u twych nóg i, po innych, boleć będę bólem człowieczym. — Wszakże to znaczy — kochać! Nieprawdaż... Saro?

Sara usiadła: promienie, wdzierające się przez barwistość witraży budzą skrzące połyski na czarnym jedwabiu jej szat.

SARA.

O zachwycający młodzieńcze, który, mimo nieprzystojności mych słów, przeczułeś poświęconą swą siostrę! — Jesteś istotą nieoczekiwaną!.. Nie chcę innego stroju nad twe spojrzenie dziecięce, w którem jestem tak piękna — a że czuje się skazaną na zniesienie tak wielkiej miłości, ztąd idzie ogromna bladość moja. — Przy niezmiernych naszych bogactwach, żyjmy naszemi snami gwiaździstemi!

Axel usiadł na poduszce u stóp Sary — skrzyżowawszy ręce na kolanach pięknego dziewczęcia; patrzy na nią przez jakiś czas, jak gdyby zgubiony w otchłaniach milczącej radości.

AXEL.

Tak, podobna do posągu Pożegnania, musiałaś ukazać mi się w tej żałobie, uśmiechnięta i okryta klejnotami, pośród grobowców. Pod twemi czarnemi jak noc kędziorami, jesteś, niby lilia idealna, cała osypana kwiatem w ciemnościach.

O jakież drżenie widok twój budzi we mnie! Moja miłość? Moje pragnienia?.. Toniesz w nich, niby kąpiąc się w Oceanie. Jeśli zechcesz uciekać, uciekaj w nie. One obejmują cię i przenikają, o ukochana! One dźwigają cię i mrą w tobie... aby odżyć w twojej piękności!

SARA, z uśmiechem, wdychając woń włosów Axela.

Pachniesz liśćmi z jasnych jesieni, o mój myśliwcze!

Zmieszałeś z dziką swą istotą całą duszę lasów... O drogie szczęście moje...

Wpatruje się weń z upojeniem i dumą.

AXEL, jak gdyby tonąc w głębiach marzeń.

Saro, dziewicza moja przyjaciółko, wieczysta siostro moja, nie rozumiem już, co mówisz, lecz głos twój sam... Porywając ją z uniesieniem w ramiona: Oh! kwiat twej istoty, twe boskie usta! W jednym pocałunku stać się... oh! ta światłość twego uśmiechu, — wypić ten powiew nieba, twój oddech! twoją duszę!

SARA przyciąga na swoją pierś głowę Axela, — potem z powagą, przyciskając łagodnie usta do ust jego:

Moją duszę? oto ona, mój ukochany!

Pozostają w upojeniu, jak gdyby bez ducha i bez słów.

AXEL, otwierając oczy.

Zadrżałaś: — chłód tych głazów zapewne.

Wysuwa się łagodnie z jej objęcia.

Tam na górze, odwieczne sale — gdzie ognie płoną dniem i nocą...

SARA, z uśmiechem.

Nie; zadrżałam nie z zimna, z nas samych. Czy nie wolisz czekać tutaj na pierwsze nasze słońce?

AXEL, z uniesieniem wybuchając nagle.

O widzenie, z którego chciałbym umrzeć! Ale wydajesz mi się nie do pojęcia! Zkąd przybywasz? Czemże była twa istota ludzka aż do tej... naszej chwili?

SARA, z uśmiechem.

To cię zajmuje? oh! czyż być może!

Usuwa sobie włosy z czoła.

Bo, zaiste, nie pamiętam nic z tego, o co mnie pytasz. Odkąd jestem niby jakaś władczyni Wschodu, nie znam nic, prócz ciebie. Istnieję od godziny: co poprzedzało tę godzinę, znikło bez śladu. — Mamże zstąpić z powrotem w pamięć życia! Chcesz tego?

AXEL.

Jakież brzmienia miłosne tęczują w twym głosie gołębicy! Nie, — daj pokój wspomnieniom! — nie rozpraszaj się w próżnych oczywistościach ziemskich; zostań mi raczej na zawsze nieznaną!.. I czemże jesteśmy, nawet w przeszłości? marzeniem jeno pragnień naszych!

SARA.

Drogi oblubieńcze mój, oto pierścień, który dawano prababkom mym jako rękojmię nocy ślubnych: spójrz, co wyryte na starożytnym jego szmaragdzie.

Podnosi nieco prawą rękę; sygnet rodowy, ozdobiony znakami herbowemi, połyskuje na jednym z jej palców; Axel przygląda się przez chwilę wyrocznemu klejnotowi, potem, po dłuższem, niemem marzeniu, podnosi oczy na Sarę.

AXEL, z poważnym uśmiechem.

Tak, możnaby myśleć... że jest przeznaczenie!

SARA, podobnież.

Niewątpliwie, i jeżeli złudzenie to wydaje ci się pięknem, wyobrażam je sobie również.

AXEL, powstawszy, z widoczną troską głęboką.

Ponieważ tajemniczy ten los zdaje się robić dokoła nas wysiłki, aby się urzeczywistnić, pomóżmy mu przez

ufność, a on pozwoli nam pojąć, że istoty nasze oczekiwały się wzajemnie. Chwila milczenia.

SARA, oglądając się dokoła, i jak gdyby chcąc odwrócić ich myśli.

I ja mam rodzinę z marmuru, w jednej siedzibie, na północy Francyi. Spoczywają tam — ojciec mój, Iwo de Maupers, szlachetny wieśniak, i matka moja, czcigodna pani odwołana przez Niebo!

Trzymając się za ręce, idą oboje ku jednemu z mauzoleów; kobiecy posąg z rękoma złożonemi leży na głazie, mając charta rzeźbionego u stóp.

— To twoja młoda matka, nieprawdaż? — Tak, masz jej czoło szlachetne... i patrz, ile smutku w twarzy! Oh! ileż razy czułam jej słodką rękę, kładącą się niewidzialnie na mojej, gdy otwierałam jej Modlitewnik, w klasztorze!

Chyli się przed grobowcem; potem półgłosem:

— Pani, widzisz przecie: oddaję dziecięciu twemu wszystko, czem jestem.

AXEL, podnosząc głowę.

W klasztorze?

SARA, odchodząc od grobowca, z ręką wspartą na ramieniu Axela.

Mówię o pewnem opactwie, gdzie więziono całą mą młodość... Przypominam sobie nawet, niewyraźnie, żem tam cierpiała.

AXEL, zadrgnąwszy, głosem cichym, zdławionym, urywanym.

Ah! żebrak spocznie jutro na jednym z rozproszonych kamieni tej budowy! Ona już nie istnieje. — Imię tego opactwa?

SARA, głosem słodkim, odsuwając łagodnie końcem stopy tarzające się w piasku klejnoty

O Axelu! bracie mój! Wszelkim krzywdom tak trudno dosięgnąć mnie, że pobłażanie względem nich żadnej nie przysparza mi chwały. Pomyśl tylko! Mająż serca, skazane na mękę niekochania mnie, być jeszcze karane za to swoje nieszczęście! A jeżeli nawet, w jakiejś dalszej od życia przeszłości, zawiniły do tego stopnia, że stworzyły sobie tę katuszę doczesną, niedość-że im samej niedoli, że są takiej natury? Powinniśmy żałować ich tylko. — Nienawidzieć mnie? Nie zdołałbyś przewyższyć tej kaźni.

Tonąc w myślach, — podczas gdy oboje zdają się zapominać o wielkim skarbie:

Niewątpliwie, w klasztorze tym widziałam oczy okrutne, w których Wiara płonęła z odbłyskami pochodni katowskiej. Dla oczu tych, niebo nie wydaje się dość posępnem; im dymy stosów pożytecznem chmur jego wydają się uzupełnieniem. Słyszałam bicia serc pełnych groźby, w których szalony strach przed Bogiem... — a raczej przed pojęciem, które sobie tworzą o Bogu! — zaślepia się w sobie aż do niewiary w Miłość, — w których „Początek mądrości“, zapominając o swych granicach, poczyna z pychą uważać się za Mądrość nieskończoną. — Nie spodziewają-ż się tam, że przyszła zemsta białej owieczki, która wymknęła się ze stada, uzasadni modlitwy zanoszone zapewne w tej chwili za moje zbawienie?

Z uśmiechem, a potem, zwolna, coraz smutniej:

Niech mnie żałują zatem, lub niech mnie potępiają... dla zachowania pozorów! Pozostawiam im, w groźnem mem miłosierdziu, niegodną myśl, którą powzięli o wyzwolonej z ich jarzma! Zaiste, o cóż mogłyby oskarżać mnie przed Bogiem te sumienia, złożone jedynie z przechodzącej dozwolone granice surowości, które umiały za-

wsze tylko gorszyć moją nadzieję? Dusza ma nie obawia się tych sędziów złośliwych, poważających się w ten sposób stawić czoło straszliwemu gniewowi Gołębicy. — Te serca przyćmione mają niewinność otchłani, wiem to! Otchłanie mówią również: „Odbijam Światło!“ Wszystko odbija światło; mają zatem słuszność taką samą, jak każda rzecz inna; ale... każdy ma swoją nieskończoność. — To też daj pokój, niechaj własne ich dusze karzą się same! Ja umiem karać otchłanie tylko tem — że mam skrzydła.

AXEL, któremu głos drży, głucho:

Imię tego opactwa!

Sara spojrzała nań: — i oto poznaje, do jakiego nieubłaganego stopnia słowa jej rozpaliły oburzenie w młodym jej wybrańcu. Odwety ognia i krwi płomienieją w oczach Axela, — który, niewątpliwie, urzeczywistni swe marzenia zagłady, w pierwszych zaraz dniach swojej wszechmocy.

Dreszcz zbiega ją w magnetycznem okoleniu tej ogromnej, mściwej miłości. Po długiej chwili milczenia, pada do nóg ukochanego.

Cała oświecona, w swych czarnych szatach, połyskami lampy, migotliwościami rozsianych dokoła drogich kamieni i sąsiednim płomieniem pochodni, opiera blade ręce na dyszącej piersi młodzieńca; — ten cofa się, zmieszany i jak gdyby olśniony; — lecz ona wlecze się za nim na kolanach po piasku alei grobowej.

SARA, głosem niezwykłym i poważnym.

— Axelu! łaski dla tego świętego więzienia, — w imię witraży, przez które światłość wieczorna wydawała mi się tak piękną! w imię organów, które, pod palcami memi, tak ciężkiem zawodziły szlochaniem! w imię tych zimnych ogrodów, gdzie tylekroć odpoczywała ma melancholia!...

Wstawiam się jeszcze w imię młodziuchnej dziewczyny, równie bladej jak my, lecz podobnej wygnanym serafom — a której serce, trawione przez miłość wrodzoną, tak gorąco pożądało poświęceń..... że oddała mi kwiat swych

marzeń dziewiczo czystych, wolej chcąc zgubić się, niż uchować!

Łaski! w imię tego dziecka, które strapiłam! Oh! przez czyste jej oczy, jeszcze zmącone mą myślą, niestety! lecz które Bóg, wierzę w to, uwolni od mojego cienia, — przez jej tkliwość niebiańską i samotną, — ja to, ja błagam cię kornie!

AXEL, zadrgnąwszy całem ciałem, głucho.

Przebaczam tej siedzibie i jej mieszkańcom — tylko przez pamięć nocy, gdy cię ujrzałem.

Zatrzymuje się, z oczyma nieruchomie wlepionemi w przestrzeń, z pięściami zaciśniętemi.

SARA, powstaje, rozpromieniona, chwyta go w objęcia i całuje w czoło.

Axelu! młody mój królu!

AXEL, oddalając się z nią ku klęcznikowi i spostrzegłszy, jak gdyby teraz dopiero. ciemną, posępną połyskliwość szat Sary.

— Ale cóż znaczy ta żałoba, w dzisiejszą noc upojenia, Saro?....

SARA, z prostotą.

Noszę żałobę nie po żadnej istocie ludzkiej, — nie znałam takiej, która zasługiwałaby na ten znak smutku,— lecz po nieznaczniejszej daleko przyjaciółce — oh! takiej lichej! takiej zgubionej pomiędzy rzeczami!...

Spójrz, — ty, który jeden możesz mię zrozumieć!

Wyjmuje z zanadrza kwiat uwiędły.

Patrz, jak gdybyśmy byli sami na ziemi, zgubieni gdzieś między marzeniem i życiem, patrz tak na tajemniczy ten kwiat, Axelu!

Na harfach rozbrzmiewa w mroku śpiew Różokrzyżowców.

— Oto niepocieszona róża! — Zjawiła mi się w opuszczonej zagrodzie, o świcie niebezpieczeństw: pierzchałam właśnie! Było to po wydostaniu się z klasztoru świętej Apollodory. Białość mych sukien, wyrwanych z pośród uroczystości mistycznej, zlewała się z białością śniegu, którego ciężkie płatki, spadając z gałęzi opiekuńczego lasu, zacierały ślady mych kroków. Zbrojna w ten krzepki sztylet, przeciwko *bliźnim* i przeciwko zwierzowi leśnemu, i cała drgająca jeszcze od świateł gromnicznych, słuchałam, wśród nocy, dalekich dzwonów, które przypominały echom świata narodziny dziecięcia Emanuela, niestety! dla którego pragnęłabym umrzeć. — Nagle, przy blasku ostatnich gwiazd, dziw tego kwiatu, zwycięzkiego, podobnie jak ja, nad Zimą, ściągnął me spojrzenie, i widzenie to wydało mi się wypływającem ze mnie samej! Czyliż harmonia między rzeczami i ludźmi nie jest nieskończoną?... Nie musiała-ż, za pierwszym mym krokiem, królewska ta róża, symbol mego przeznaczenia, *odpowiednik* rodowy i boski, znaleźć się na mej drodze? Jasny jej cud pozdrawiał moją pierwszą jutrzenkę wolności. Był to jakgdyby cudowny znak, *być może, obraz utrwalony jakiegoś jedynego słowa, w którem wcieliłam się przed chwilą.* Drgnęłam na widok tego kwiatu, który, wydał mi się wykwitającym z mojej duszy! Axelu, róża ta rozpoznała niewątpliwie me wargi, gdy, zapominając o wszelkich niebezpieczeństwach, opowiedziałam jej, w długim pocałunku, swe wielkie nadzieje! — Czułam w sercu, że pod macierzyńskiemi usty memi niemo błagała mnie, by ją uszczknąć. Oderwałam więc łagodnie całą jej łodyżkę, z pomiędzy twardych kolców, od obumarłego krza, z którego wyrosła i który ją podtrzymywał. Potem, osłoniwszy ją rękoma, — rękoma, które trzymały jeszcze tę broń tajemniczą, wykutą w czasach starożytnych, —

wskazuje sztylet z rękojeścią w kształcie krzyża, leżący na ziemi, ożywiłam ciepłem własnego odddechu podmuch jej woni.

— Słuchaj! Duchy, — czy ja wiem... geniusze jakieś były niewątpliwie zaklęte w jej piękności!... W tejże chwili, całe ustępy Dziejów ludzkich, dotąd przyćmione dla mego umysłu, rozjaśniły się w mojej pamięci i nabrały czcigodnych, nadprzyrodzonych znaczeń. Tak zrozumiałam, nie mogąc sobie nawet wytłómaczyć zajęcia, z jakiem starałam się to zrozumieć, — dla czego ten kwiat, znalazłszy się w ten sposób, przypadkiem, w mej ręce, na krzyżowej rękojeści mego sztyletu, tworzył Godło, które rozproszyło niegdyś, jak piasek pustyni, najdumniejsze i najmocniejsze państwa. Godło to widziałam przed chwilą, połyskujące na każdym z tych grobowców, wskazując pistolety rzucone na ziemię, przy ogniu tej broni zdradzieckiej, — gdym, do ciebie...

Namiętnie opasuje Axela ramionami.

AXEL.

— Więc mówisz, Saro, że godło to budziło w tobie...?

SARA.

Oh! tysiąc myśli!... Przypomniałam sobie, naprzykład, że jeden z wieszczów Ludzkości przyjął formę tego kwiatu, aby wyrazić, w swych wierszach, poświętne, jaśniejące okręgi raju nowej Nadziei! — Potem, pomyślawszy o szydercach, nie mogłam, mimo zimna niewypowiedzianego, oprzeć się uśmiechowi — na wspomnienie, że najpoważniejszy, oh, najzręczniejszy z narodów, w ciągu całego wieku, wymordowywał się w wojnie domowej dla róż. — Chwila milczenia. Tak, to była jedyna ma towarzyszka i tajemnicza ma przyjaciółka podczas długiej drogi, gdy w przebraniu pielgrzyma, szłam, z oczyma utkwionemi

w gwieździe, która błyszczy nad twemi lasami, podczas gdy błędny przechodzień lżył mnie w zmroku wieczornym! A droga woń tego kwiatu opiekuńczego ożywiała mnie i podtrzymywała, gdy, przed dojściem do pierwszego wielkiego miasta, w którem sprzedałam żydom swój naszyjnik z pereł i opali, — głód, znużenie i bezsenność wyczerpywały do szczętu siły samotnej wędrownicy.

AXEL, rzucając się przed nią na kolana i całując jej stopy.

Oh! niechaj spalę me wargi na twych bladych stopach, tej chwale przyszłych marmurów!

SARA, z oczyma wlepionemi w kwiat obumarły.

O wschodach słonecznych, miałam uczucie, że wydawało jej się słodszem umrzeć na piersi mej, aniżeli odrodzić się, gdybym ją z niej wygnała. Oto dlaczego noszę żałobę po jej uroku zaczarowanym, teraz, gdy duchy uleciały z niej ku najwyższej istocie jej światła. Chciała umrzeć od mego cienia, kochając mnie! — Pozwól, niechaj nią musnę twe słodkie powieki!... Patrz!... Zdaje się odżywać! — Wzięła twe młode łzy za rosę! Ale raczej... Nie, — nie! rozerwę ją okrutnie nad tobą, mój rycerzu, i osypię cię jej listkami na znak wszystkich oddań się, jakie miłość ma znajdzie, by cię upoić do szału!

Obrywa w milczeniu płatki kwiatu nad czołem i włosami Axela; potem, niezwykłym tonem i z nagłą powagą:

— Jakżem szczęśliwa, widząc, że zajmuje cię tak bardzo, bylem ci o niem mówiła, widmo jakiegoś kwiatu zgasłego!...

AXEL, okrywając jej ręce pocałunkami i wpatrując się w nią z upojeniem.

Kocham cię.

SARA, stojąc koło Axela, wsparta o klęcznik, mówi, jak gdyby idąc, w śnie, za koleją widzeń, przesuwających się przed jej wpół-przymkniętemi powiekami.

Słuchaj, ukochany! A gdybyśmy pojechali do owych krajów, kędy mijają się karawany, pod cień palm Kaszmiru lub Mysory? Albo, gdyby tak udać się do Bengalu, by wybierać w bazarach róże, materye i córy Armenii białe jak sierć gronostajów? A gdybyś tak zebrał wojsko — i podburzył całą północ Iranu, jak młody Cyaxares? — Albo, lepiej, możeby pożeglować do Cejlonu, gdzie są białe słonie z wieżami złocistemi, ary ogniste śród listowia lasów i zalane potopami słonecznemi siedziby, w których, na podwórcach marmurowych, wodotryski deszczem opadają kroplistym? Czy nie chciałbyś żyć choćby dni kilka, dziwnem i dalekiem życiem, w jednem z tych mieszkań porcelanowych w Yeddo, ojczyźnie jezior japońskich? Tam rozwijają się przy księżycu pąki kwiatów barbarzyńskich, podobnych związanym w snop sztyletom wonnym. Wieczorem, wracalibyśmy snadź, paląc opium w fajeczkach ze złota i jaspisu, kołysani harmonijnym ruchem palankinów. — A może wolałbyś widzieć mnie kąpiącą się w falach, kędy przeglądała się niegdyś wielka Kartagina, koło jakiegoś domu bazaltowego, w którym na trójnogach srebrnych płonęłyby kadzidła? — Lub gdybyśmy tak zwiedzili czerwone Hiszpanie! Oh! to musi być smutne i przedziwne, te pałace Grenady, te Generalify, te różane wawrzyny andaluzyjskiego Kadyksu, te lasy Pampeluny, kędy drzewa cytrynowe są tak liczne, że gwiazdy po przez ich listowie wydają się złotem ich kwieciem! A te zwaliska świątyń saraceńskich, a ta sztuka obumarła, a te miasta posępne! A, dalej, wyspy Szczęśliwe, gdzie zima, w kwiatach cała, zdolna jest upokorzyć wiosnę innych krajów! Są tam skały, które jutrzenka przemienia w olbrzymie szafiry, a fala kona tam u brzegu, we mgle złotej i opalowej, słodko, niby w pocałunku ostatnim. — Jeżeli wolisz,

urzeczywistnimy marzenia chwały, dokonamy czynów nadludzkich! zmusimy narody, by nas błogosławiły! — Ale, gdybyś chciał również, możemy pójść, ty z rusznicą na ramieniu, ja z harfą u pasa, odziani oboje w bogate barwiste łachmany, śpiewać, koczując po drogach i placach miejskich w Bohemii, niby para ogorzałych do czarna cyganów; ja zajmę się wróżeniem przyszłości pięknym dziewczętom — i będą nam rzucali srebrne pieniążki w miskę drewnianą, na wieczorny nasz posiłek w domu zajezdnym! Tak przewędrujemy, śpiewając, przez cały kraj Bulgarów aż do cieśniny Bab-el-Mandeb. A może chciałbyś, by pod kopytami naszych zaprzęgów skry tryskały z płyt wybrzeżnych nad Newą lub nad Dunajem? — Może pragnąłbyś ujrzeć tańce kobiet polskich i węgierskich, wśród biesiad i gędźby, we wnętrzu wspaniałych pałaców? — Albo, gdybyśmy tak, dwoje zuchwałych awanturników, na bryku zbrojnym w działa stalowe, zwiedzili wszystkie archipelagi, poczynając od pobrzeży Gwinejskich aż do zatoki Hudsonu? A potem, moglibyśmy wszakże popłynąć w górę Nilu? oświecić wnętrze piramid Chefrema i Osymandiasa i przebyć złote koło tych obu! Nie moglibyśmy również udać się nad brzegi Gangesu i założyć tam, i my także, jakąś boską religię? Słuchaj! Będziemy robili cuda, będziemy wznosili świątynie, i niema wątpliwości, że Niebo samo będzie nam posłuszne.—A kiedyindziej znowu moglibyśmy zbierać rozkoszne trucizny w Melanezyi i przechadzać się na Sumatrze pod jadowitemi drzewami? Może zgodziłbyś się ukazać twarz moją rzekom, toczącym swe fale koło Golkondy, Vishapuru, lub Ofiru? Albo może wolałbyś błądzić w Nubii nad brzegami posępnej owej rzeki, kędy wieczór zapada bez zmroku? — Albo jedźmy zobaczyć Seleucyę, z której święci apostołowie wypłynęli na morze, udając się na podbój świata? — Albo zamieszkajmy w Antyochii pomiędzy ruina-

mi? Tam, błagalne bluszcze w przejściu zatrzymują pielgrzyma! — Ale, najlepiej, ulećmy, jak alcyony, ku widnokręgom zawsze błękitnym i pogodnym, do Koryntu, do Palerma, pod portyki Sylistryi! — Pójdź, przemkniemy w tryremach nad zatopioną Atlantydą! — Naturalnie, jeżeli nie zwabią nas jasności ponocne Idumejskiej ziemi? — A potem, krainy Północy! — Co za rozkosz przywiązywać łyżwy stalowe na drogach bladej Szwecyi! albo — zwróciwszy się ku Chrystyanii, — na ścieżynach i olśniewających fiordach gór norweskich! — Nie moglibyśmy żyć w jakiej zawalonej śniegiem zagrodzie, w którejkolwiek z wiosek północy? — A może chciałbyś ujrzeć smętne landy wallijskie? parki Windsoru i mglistego Londynu? Rzym, chmurne miasto świetności? — płochy Paryż, tonący w ogniach iluminacyj? — Dziwnie byłoby snadź błądzić po pstrokatych ulicach Norymbergi, tego cierpliwego miasta godzin północnych! — A może chciałbyś zmącić odbicia gwiazd w zatoce neapolitańskiej, lub w lagunach weneckich, wlokąc po bruździących wodę śladach gondoli jakąś przepyszną tkaninę ze Smyrny lub Bassory? — Cudownie byłoby, żyjąc razem szczęśliwie w jakimś helweckim szalecie, oglądać jutrzenkę, różowiącą śniegi Matterhornu! Powiedz, drogi, co wolałbyś: hamak antylski, czy namioty besarabskie? czy rozkosz przestrzeni! Ah! przytulić się do siebie i dać się unosić renom po lodzie lub strusiom po piaskach pustyni, albo też widzieć dokoła namiotu, rozbitego w jakiejś oazie Heptanomidy starożytnej, dromadery spokojne i klęczące? — Jeśli chcesz, zagrzebiemy się w Pompei, w czysto rzymskim sposobie życia, jakgdyby Cezary żyły po dzisiaj? Albo pójdźmy dalej jeszcze, ku najposępniejszym Orientu krainom! Wesprę się na twem ramieniu pośród głazów, które były wiszącemi ogrodami Niniwy! lub śród ruin, w jakich legły Teby, Sardes, Heliopolis, Ancyra, Sycyon, Eleusis — i miasto

magów, Ekbatana! — Wolałżebyś wieżę marmurową nad Eufratem, lub pod sykomorami Solimy, lub wreszcie na wyżynach Horebu? — Moglibyśmy także prześnić sen wschodni, radosny, osiąść jako kupcy w Samarkandzie i handlować czemkolwiek. Albo też ty mógłbyś zostać posłem jakiej oddalonej królowej i złożyć mi wizytę w Sabie. Moglibyśmy wreszcie, niby troskliwa para królewska, przyglądać się słońcu, rozpłomieniającemu pod wieczór wody Morza Czerwonego! — Ale jeśli chcesz, możemy również być poprostu zakochani jedno w drugiem i, skrywszy się w jakiejś chatynie we Florydach, słuchać ćwierkania kolibrów!.. Bo, widzisz, skoro mamy moc urzeczywistnienia wszystkiego, skoro teraz podobni jesteśmy do królów nieznanych, cóż nam szkodzi przełożyć jedno marzenie nad wszystkie inne? A co do miejsca naszego wygnania, czyliż wszystkie krainy świata nie będą dla nas wyspą Thule?

AXEL, z poważnym uśmiechem.

Dziecko! — Dziecko promienne!

SCENA V.

AXEL, SARA, potem CHOR STARYCH DOMOWNIKÓW WOJSKOWYCH, potem w oddaleniu CHÓR DRWALI, — potem głos JUKKA.

SARA.

— Morza, ukochany mój, wzniosłego pragnę morza! Jedźmy naprzód ku Italii! ku jej ruinom z marmuru i z ognia, ku jej zatokom świetlistym! Wyczerpiemy szybko jasne jej wygnanie. — O noce miłości w pałacach!.. Zakupimy najposępniejszy ze wszystkich florenckich; — dobrze? Florencya musi być równie piękna, jak ongi była Palmyra!

W tej chwili dalekie dźwięki pieśni, — chór twardych głosów, zgłuszony przez grubość murów podziemnych, — dochodzą do nich, dzięki głębokiemu milczeniu krypty grobowej.

CHÓR STARYCH DOMOWNIKÓW WOJSKOWYCH.

Z burgu w ruinach pan odchodzi młody,
Miłości, złota, walk przeminął czas!
Starzyśmy bardzo — i wnet będą z nas
Widem korowody.

AXEL.

Domownicy moi czuwają tej nocy. — Piją i śpiewają na moją prośbę; pozdrawiają w ten sposób odjazd... obcego.

SARA.

Skoro tylko brzask muśnie te szyby barwiste, pierzchniemy w krainę Nadziei! Jak gdyby przygnieciona myślą o radościach przyszłych, przymyka oczy i wspiera się ręką o marmur jednego z grobowców: — O rozkoszy życia!

CHÓR, zgłuszony przez oddalenie.

Żegnaj, orężnych pycho czarna dni:
Z nami głębokie gasną ich pożary!
Podobny słońca zachodom we krwi,
Konasz, świecie stary.

Nagle, na dworze, niebo błękitnieć zaczyna; promień świtu przedziera się przez frędzle draperyj u okienka. — Otworzywszy z powrotem oczy, Sara spostrzega go — i dreszcz wstrząsa nią radosny.

SARA, z okrzykiem.

— Dzień! jutrzenka! Axelu!.. Spójrz! Jaka przyszłość wschodzi!

Idzie ku okienku i odsuwa draperyę: błękitność poranna zalewa kryptę grobową.

CHÓR, w głębiach burgu.

I ty za nami na sen pójdziesz w grób,
Przyszłości! — Pijmy, gdy wszystko się zmienia!
I niechaj zagrzmią trąb anielskich grzmienia...
Jeśli wstaje trup!

SARA, radośnie, z uśmiechem tryumfu, wskazawszy ręką olbrzymi skarb i leżące w nieładzie klejnoty.

— Jedźmy! chwila nadeszła; bierzmy płaszcze na siebie. — Tam, pod fioletowem listowiem, w promieniach świtu skrzą się nasze futra, nasze bronie; — zaprząg grzebie niecierpliwie kopytami w uroszonej ziemi. O młody mój kochanku! jakże on nas uniesie pod balsamicznemi po burzy drzew gałęziami! Pierzchamy oto we mgle promienistej: — wkrótce, śród śpiewu ptaków, jawi nam się chatynka o strzesze omszonej i uperlonej tysiącami rośnych kropelek. — Cóż za błogość pić razem, stojąc na trawie usianej opadłemi liśćmi i uśmiechając się wzajem do siebie, poranny kubek mleka! — I pierzchamy znowu! Wkrótce, oto już ludzie na drogach! potem wioska!.. potem miasto!.. miasta!.. potem słońce! potem świat!

Wielkie milczenie.

AXEL, głosem niezwykłym, bardzo spokojnie, — patrząc na nią.

Saro! dziękuję ci — żem cię ujrzał. Przyciągając ją w swoje objęcia: Jakżem szczęśliwy, o lilijna ma oblubienico! o kochanko moja! dziewo ma! me życie! jakżem szczęśliw, że jesteśmy tu razem, pełni młodości i nadziei, przejęci uczuciem prawdziwie nieśmiertelnem, sami, władcy nieznani, cali promieniejący tem złotem tajemniczem, — zgubieni w głębi mej siedziby, podczas przerażającej tej nocy.

SARA.

Tam, tam wszystko nas woła, Axelu, jedyny panie mój, miłości moja! Młodość, wolność! upojenie do szału

naszą potęgą! I — kto wie? — może obrona wielkich spraw jakich... wszystkie marzenia i sny do urzeczywistnienia!

Idzie ku blaskom jutrzennym — i trzyma draperyę podniesioną.



§ 2. — Wybór ostatni.

AXEL, poważny i nieodgadniony.

Po cóż je urzeczywistniać?.. takie są piękne!

SARA, zdumiona nieco, zwracając się ku niemu i patrząc nań.

Co chcesz powiedzieć, ukochany?

AXEL, ciągle spokojny i poważny.

Spuść, te draperye, Saro: dość widziałem już słońca.

Chwila milczenia.

SARA, zaniepokojona, do siebie, przypatrując mu się jeszcze.

Blady, — z oczyma wbitemi w ziemię, — rozmyśla nad jakimś zamiarem.

AXEL, półgłosem, w zamyśleniu, jakby do siebie.

Niewątpliwie, bóg jakiś zazdrości mi w tej chwili, że mogę umrzeć.

SARA.

Axelu, Axelu, czyżeś mnie już zapomniał dla myśli boskich?.. Pójdź, oto ziemia! pójdź żyć!

AXEL, z uśmiechem, odcinając wyraźnie każde słowo.

Żyć? Nie. — Istnienie nasze wypełnione jest po brzegi — i czara jego przelewa się! — Jakaż klepsydra zliczy godziny tej nocy! Przyszłość!.. Saro, wierz memu słowu: wyczerpaliśmy ją przed chwilą. Czemże byłyby jutro wszystkie rzeczywistości, w porównaniu z mirażami, które tylko co przeżyliśmy? Po cóż — za przykładem nędznych śmiertelników, dawnych braci naszych — przebijać na drobniejszą monetę tę drachmę złotą o stemplu marzenia, ten obol Styksowy, który iskrzy się w naszych rękach tryumfalnych!

Jakość naszej nadziei nie pozwala nam już zadowolić się ziemią. Czegóż możnaby żądać, jeśli nie bladych odbić chwil najwyższych, od mizernej tej planety, na której przeciąga się zbyt długo nasza melancholia? Ziemia, powiadasz? Cóż więc urzeczywistniła kiedykolwiek ta kropla zastygłego błota, której Godzina umie tylko kłamać w pośrodku niebios? Ona to — czyż nie widzisz? — stała się Złudzeniem! Przyznaj-że, Saro: wytrzebiliśmy, w dziwnych sercach naszych, przywiązanie do życia — i w *rzeczywistości* staliśmy się duszami naszemi! Godzić się, odtąd, na życie byłoby świętokradztwem względem siebie samych. Żyć? słudzy zrobią to za nas.

Nasyceni na wieczność, wstańmy od stołu i, jako przystało, zostawmy nieszczęśliwym, którzy z natury swej zdolni są mierzyć tylko wrażeniem zmysłowem wartość różnych rzeczywistości, troskę o zbieranie okruchów biesiady. — Zbyt wiele myślałem, abym chciał działać!

SARA, wzburzona i niespokojna.

To są słowa nadludzkie: jakże odważyć się pojąć je! — Axelu, czoło twe musi płonąć; masz gorączkę: pozwól, niechaj słodki mój głos uleczy cię!

AXEL, z najwyższą niewzruszonością.

Czoło moje nie płonie; nie mówię napróżno — a jedyną gorączką, z której w istocie musimy się wyleczyć, jest gorączka istnienia. — Słuchaj, droga mi duszo siostrzana! a potem rozstrzygniesz. — Po cóż wskrzeszać, jedno po drugiem, upojenia, których przeżyliśmy sumę idealną, i naginać nasze tak dostojne pragnienia do ustępstw każdochwilowych, w których nawet ich istota, umniejszając się ciągle, doszłaby jutro do nicestwa zapewne? Chciałażbyś przyjąć, wzorem naszych *bliźnich,* wszystkie nędze, które *Jutro* nam zachowuje, wszystkie przesyty, choroby, rozczarowania nieustanne, starość wreszcie — i nadto dać jeszcze życie istotom, skazanym na nudę tych samych rzeczy w dalszym ciągu?.. My, których pragnienia nie ugasiłby ocean, mielibyśmy zgodnie zadowolić się kilkoma kroplami wody, dla tego, że jacyś waryaci twierdzą, z bezbarwnemi uśmiechami, iż ostatecznie to jest mądrością? Nie raczymy przecież dopowiadać amen do tej litanii niewolników? — Byłyby to zresztą wysiłki jałowe, Saro! i niegodne iść po tej cudownej nocy ślubnej, w której, acz dziewiczo dotąd niepokalani, posiedliśmy się jednak na wieki!

SARA, głosem zdławionym.

Ach! to prawie boskie! Ty — chcesz umrzeć.

AXEL.

Widzisz świat zewnętrzny po przez duszę swą — i olśniewa cię on! w istocie wszakże nie może dać ani

jednej chwili zdolnej dorównać, co do potęgi i pełni istnienia, którejkolwiek z sekund, jakie przeżyliśmy przed chwilą. Wypełnienie rzeczywiste, bezwzględne, doskonałe jest momentem wewnętrznym, który odczuliśmy, jedno przez drugie, w żałobnej świetności tego podziemia. Przebyliśmy idealny ten moment — i teraz nieodwołalny on już, jakiekolwiekbyś imię nadać mu chciała! Spróbuj przeżyć go raz jeszcze, kształtując codzień, na obraz jego, prochy, zawsze zawodne, pozorów zewnętrznych! Byłoby to narażać się na wyopacznienie go, na umniejszenie boskiej jego cechy, na unicestwienie go w najczystszych pierwiastkach osobowości naszej. Biada, jeśli nie będziemy umieli umrzeć, póki czas jeszcze!

Oh! świat zewnętrzny! Nie dajmy się oszukać staremu niewolnikowi, spętanemu — pókiśmy w światłości — u nóg naszych, który obiecuje nam klucze od zaklętego czarów i cudów pałacu, podczas gdy w rzeczywistości kryje w swej czarnej, zamkniętej dłoni garść popiołów jedynie! Mówiłaś przed chwilą o Bagdadzie, Palmyrze, czy ja wiem? o Jeruzalem. Gdybyś wiedziała, jakiemi zbiorowiskami niemieszkalnych ruin, jaką glebą jałową i rozpaloną, jakiemi gniazdami nieczystych zwierząt są, *w rzeczywistości*, te biedne mieściny, ukazujące ci się w całym blasku wspomnień na tle tego Orientu, który nosisz w sobie samej! W jakim-ż smutku, w jakiem-ż zniechęceniu pogrążyłby cię sam ich widok!.. Daj pokój lepiej. Miałaś je w myśli? to wystarczy: nie patrz na nie. Ziemia, powiadam ci, wydęta jest z nędzy i kłamstwa, niby świetna bańka mydlana, lecz, jako córa nicości pierwotnej, pęka za najmniejszem tchnieniem tych, Saro, którzy się do niej zbliżą! Oddalmy się od niej zupełnie! raptownie! w jakimś podrzucie świętym!.. Czy zgadzasz się? To nie jest szaleństwo. Wszyscy bogowie, których ludzkość wielbiła, popełniali je przed nami, pewni jakiegoś Nieba, nieba

własnych istot!.. A ja, za ich przykładem, znajduję, że nie mamy już co robić tutaj.

SARA.

Nie! to niemożebne!.. To poprostu nie może być prawdą! — To jest nawet nieludzkie raczej, aniżeli nadludzkie! Ukochany! przebacz! boję się! sprawiasz mi zawrót głowy. — Oh! będę broniła życia! Pomyśl! umrzeć — tak oto? Młodzi, pełni miłości, posiadacze bogactw najwyższych! Piękni, nieustraszeni, cali promieniejący rozumem, szlachetnością, nadziejami! Jakto! tak zaraz? nie ujrzawszy raz jeszcze słońca, nie pożegnawszy go! Pomyśl sam! To takie straszne!.. Zgódź się, odłóżmy to — do jutra? Jutro będę może silniejsza, nie należąc już wyłącznie do siebie samej!

AXEL.

O moja ukochana! O Saro! Jutro byłbym więźniem wspaniałego twego ciała! Rozkosze jego spętałyby czystą energię, która ożywia mnie w tej chwili! Ale wkrótce — bo takie prawo rządzi bytami — gdyby uniesienia nasze miały przygasnąć, gdyby miała wybić jakaś przeklęta godzina, w której nasza miłość, blednąc i rozpraszając się we własnych płomieniach...

Oh! nie czekajmy tej smutnej chwili. — Postanowienie nasze jest tak wzniosłe, że nie trzeba pozwolić umysłom naszym, by się z niego zbudziły.

Chwila głębokiego milczenia.

SARA, **w zamyśleniu.**

Drżę cała: — ale jest to może z pychy także!.. Niewątpliwie, jeżeli będziesz obstawał przy swojem, posłucham cię! i pójdę z tobą w noc nieznaną. — Nie zapominaj wszakże o plemieniu ludzkiem!

AXEL.

Przykład, który mu zostawiam, wart więcej od tych, które ono mi dawało.

SARA.

Ci, którzy walczą za sprawiedliwość, powiadają — że popełnić samobójstwo jest to zbiedz ze stanowiska.

AXEL.

Zdanie żebraków, dla których Bóg jest tylko środkiem do zarabiania na życie.

SARA.

Piękniej jednak może byłoby myśleć o dobru wszystkich!

AXEL.

Wszechświat pożera się wzajem wewnętrznie; za tę cenę mamy dobro... wszystkich.

SARA, **nieco błędnie.**

Jakto!.. wyrzec się tylu radości?.. Zostawić taki skarb tym ciemnościom. Nie jest-że to okrutne!

AXEL.

Człowiek zabiera z sobą po za śmierć to tylko, czego wyrzekł się w życiu. W istocie — pozostawiamy tutaj tylko próżną łupinę. To, co stanowi o wartości odszukanego skarbu, jest w nas samych.

SARA, **głuchszym głosem.**

Wiemy, co opuszczamy! nie wiemy, *co* znajdziemy!

AXEL.

Powracamy czyści i silni ku *temu, co* takim zawrotnym natchnęło nas heroizmem, że mężnie czoło stawić mu chcemy.

SARA.

A słyszysz ten śmiech rodzaju ludzkiego, gdyby kiedykolwiek dowiedziano się o ciemnej historyi, o nadludzkiem szaleństwie naszej śmierci?

AXEL.

Zostawmy apostołów Śmiechu w ich nieokrzesaniu. Życie codzień podejmuje się smagać ich swemi karami.

Pierwsze promienie jutrzenki przedzierają się przez barwistość szyb.

SARA, **w zamyśleniu, po chwili milczenia.**

Umrzeć!

AXEL, **z uśmiechem.**

O ukochana! Nie żądam, byś mnie przeżyła; do tego stopnia przekonany jestem, że nie dbasz już, w świadomości własnej, o tę nędzną przynętę, którą ludzie zwą „życiem“.

Ogląda się dokoła, jak gdyby szukając oczyma sztyletu.

SARA, **podnosząc głowę i ukazując twarz, gromnicznej teraz bladości.**

Nie. Mam w mym pierścieniu, pod nakryciem tego szmaragdu, piorunującą truciznę: poszukajmy między klejnotami jakiej czarodziejsko pięknej czary... i niech się stanie wola twoja.

AXEL, **porywając ją w objęcia i wpatrując się w nią z chmurnym zachwytem.**

O kwiecie świata!

Po chwili, opuszcza ją, zwraca się ku połyskliwym stosom kosztowności i poczyna przegarniać drogie kamienie i przedmioty złote.— Sara, tymczasem, wzięła z powrotem, z jednego grobowców, kilka wielkich naszyjników i łańcuchów dyamentowych i przystroiła się w milczeniu.

SARA, łagodnie, zwrócona ku barwnym szybom.

Jakie piękne słońce!

AXEL, powraca, trzymając w ręku wspaniałą czarę, wysadzaną drogiemi kamieniami, i spogląda na Sarę; potem wpatruje się w nią baczniej; łagodnym głosem:

A gdyby tak przejść się po równinie, zbierając kwiaty wiosenne? Cóż za rozkosz byłaby, czuć wiatr poranny w naszych włosach! Pójdź! usta nasze spotkają się na tym samym pierwiosnku...

SARA, która odgadła smętną myśl Axela.

Nie. Kocham cię bardziej, niż widok słońca: usta nasze dotkną śladów wzajemnych na lśniącym kraju tej czary! — Oto mój pierścień... oblubienicy, również!

Zdejmuje sygnet rodowy, naciska sprężynę szmaragdu i wysypuje na dno czary Axela kilka ziarnek brunatnego proszku, ukrytych pod drogim kamieniem.

AXEL.

Rosa pada jeszcze; kilka jasnych jej łez wystarczy do rozpuszczenia trucizny w tym świętym kielichu!

Wstępuje na jeden z grobowców, koło okienka, i — podczas gdy Sara głaszcze, w roztargnieniu, charta marmurowego — podnosi prawą rękę, w której lśni promieniście puhar tragiczny, i wysuwa ramię na dwór, po za kraty żelazne.

W ten sposób, niebo mieć będzie pewien udział w samobójstwie naszem!

W dali, głosy, śród lasów, śpiewają pieśń poranną: Axel i Sara przysłuchują się.

CHÓR DRWALI, w oddaleniu.

Radośnie! Weselnie!
Hejże do wielkich pni! Toć śmierć ich daje nam chleb!
Skoro pierwszy zaśni brzask, pod złotym cieniem drzew,
Ty, co ptaki rozbudzasz co świt, słuchaj, drwalu!
Tu wiatr, tam głos, tu liście, tam skrzydła,
W ogromny się zlały śpiew:
Bogu cześć!

SARA.

Słyszysz? Bóg, mówią? — I oni także, borów mordercy!

AXEL.

Pozwól pięknej zgłosce zapadać spokojnie w duszę ostatnich drzew!

SARA, w zamyśleniu, jak gdyby do siebie.

I ja także trzymałam topór w ręku! lecz — nie uderzyłam.

Na równinach nawoływania, hejnały.

JUKKO, w oddali.

Na zboczu wzgórz, kwiecistych wzgórz
Oblubienica stoi!
Rośny deszczyk na skraj sukienki jej białej
Świecący rzuca haft perłowy;
O witaj, ukochanie me!
— Spuszcza oczy przed dziewą młodą
Jasnowłosy Germanii syn!
Oto czemu jego krok po świecie zadzwoni.

AXEL.

Dwoje dzieci zaręcza się! Wymów, w ich stronę, jakie słowo szczęścia: myśl idąca od ciebie, Saro, uczyni, w tej parze, jeszcze bardziej czarującem jedno dla drugiego!

SARA, z uśmiechem, zwracając się ku okienku.

O wy, którzy, nie znając troski, śpiewacie tam, na wzgórzu dalekiem... bądźcie błogosławieni!

AXEL, zstępując ku niej z powrotem.

Blaski naszej lampy ślubnej bledną w promieniach dnia! Za chwilę lampa zgaśnie. My także.

Wznosząc czarę:

Stara ziemio, nie zbuduję gmachu mych marzeń na twej glebie niewdzięcznej: nie poniosę pochodni przed ludami, nie będę zwalczał nieprzyjaciół.

Niechaj plemię ludzkie — rozczarowawszy się co do próżnych swych chimer, próżnych swych rozpaczy i wszystkich kłamstw, które olśniewają oczy stworzone na to tylko, by mogły kiedyś zgasnąć, — i nie godząc się już na igrzysko ponurej tej zagadki, — tak, niechaj plemię ludzkie skończy, za naszym przykładem, na obojętnej ucieczce, nie rzuciwszy ci nawet jednego słowa pożegnania.

SARA, cała jaśniejąca w dyamentach, pochylając głowę na ramię Axela i jak gdyby tonąc w tajemniczem zachwyceniu.

A teraz, skoro nieskończoność jedyna nie jest kłamstwem, wzbijmy się, niepamiętni innych słów ludzkich, w naszą własną Nieskończoność!

Axel podnosi do ust czarę śmiertelną, — pije, — wstrząsa się wielkiem drgnieniem i zatacza; Sara bierzę mu z ręki czarę, dopija resztę trucizny, — potem przymyka oczy. — Axel pada; Sara pochyla się ku niemu, dreszcz ogromny ją zbiega, i oto oboje leżą, spleceni uściskiem, na piasku alei grobowcowej, wzajemnie oddając sobie w ostatniem ust zetknięciu tchnienie ostatnie.

Potem pozostają bez ruchu, bez ducha.

Teraz, dzień żółtem światłem oblewa marmury i posągi; ostatnie, przygasające błyski lampy i pochodni obracają się w dym na tle pasma świetlnego, które spływa z okienka. — Jakaś sztuka

złota spada, toczy się i dzwoni, jak gdyby wybijając godzinę, o kamień jednego z grobowców. — A — mącąc ciszę straszliwego miejsca, gdzie dwie istoty ludzkie wybrały same przed chwilą dla dusz swych wygnanie NIEBIESKIE — ze dworu dochodzą szumy dalekie wiatru po bezbrzeżach lasów, dreszcz przebudzeń przestrzeni, wielka fala odgłosów równinnych, cały głuchy zgiełk życia.



PRZEŁOŻYŁ
Zenon Przesmycki
(Miriam).

Hr. de Villiers de l'Isle Adam.

UZUPEŁNIENIE.

Sto dziewięćdziesiąt dwie stronnice książki) były wydrukowane, gdy Villiers de l'Isle Adam umarł. Zrobił był jeszcze sam korektę dwóch następnych arkuszy, przepracował część Axela zawartą między stronicami 193 i 225**), lecz wahał się i zwlekał z wydaniem pozwolenia na druk. Ostatnie wreszcie siedmdziesiąt stronnic odnaleziono w stanie pierwotnym, w niemal nieczytanych jeszcze odbitkach korektowych, złożonych podług tekstu zamieszczonego niegdyś w przeglądzie miesięcznym* „la Jeune France“.

Wypada zaznaczyć tutaj wyraźnie, że Villiers niejednokrotnie wyrażał niezachwiane postanowienie wprowadzenia różnych zmian w całej końcowej części Axela. Oprócz prawości artysty doskonałego, działały tu nadto skrupuły sumienia; sądził, że, ze stanowiska katolickiego, książka jego nie była dostatecznie prawowierna, i miał zamiar uciec się do interwencyi krzyża w scenie rozwiązującej dramat.

Był zatem zmuszony podjąć dodatkową pracę nad Axelem. Ślady tej pracy, przerwanej przez śmierć, odkryć można w następującym ułamku rękopisu, odnalezionym po zgonie autora.

*Nieskończona scena ta miała być wstawiona na stronicy 225***), po tej replice mistrza Janusa: „Ona dała ci uśmiech, którym targnąłeś się przed chwilą na jej godność macierzyńską“.*

---

*) Pierwszej edycyi Axela (Paris, maison Quantin 1890). *Przyp. tłóm.*

**) W przekładzie polskim, w *Chimerze*, — od str. 482 tomu I (Zesz. 3), i mianowicie od słów *Komandora:* „Tym razem czekam ja, mój panie“, do str. 93 tomu II (Zesz. 4 i 5), i mianowicie do słów *Mistrza Janusa:* „Oburzaj się — I góra jest gniewem“ — włącznie. *Przyp. tłóm.*

***) W polskim przekładzie, w *Chimerze*, – na str. 93 tomu II (Zesz. 4 i 5). *Przyp. tłómacza.*

AXEL.

Dała mi również politowanie wzgardliwe, które budzi we mnie jej nędza.

MISTRZ JANUS.

Miarą człowieka jest przedmiot jego uwielbienia. Rasa, którą przebywasz, przystaje tylko na marzenia o swej wielkości, o swych niepokojach tajemniczych, o swych aspiracyach nieskończonych, o wysokich swoich cierpieniach. W więzach ślepego wszechświata, pijanego Siłą, rasa ludzka odczuwa pragnienie sprawiedliwości; wynalazła współczucie, czystość, łaskawość... być może, odgadła nawet Boga!.. Przestań się skarżyć: uwielbiaj. W ten sposób, w istocie twej wytworzy się przeczucie doskonalszego doboru przyszłego: i myśl twa *w owem później* nie zachmurzy się na wspomnienie: *gdy byłem człowiekiem.*

AXEL, wskazując otwartą książkę.

A jednak to jest tylko religią bez Boga, wymagającą bezzasadnej a krzepkiej wiary, i dającą w zamian mniej niż niepewność.

MISTRZ JANUS.

Niemasz niepewności dla człowieka po za obrębem wiary w cel, który sobie obierze. — A jakiż życie twoje może mieć cel, godniejszy go, nad osiągnięcie takich rzeczy ostatecznych!

AXEL.

Duch mój odwraca się dzisiaj od tego rodzaju miraży. Wiecznie próżne i niedbale obojętne niebo pychy, rozciągające się od źrenicy do powieki, za ciasne jest dla skrzydlnych rozmachów duszy spragnionej bezbrzeża, dla mojej ludzkiej natury. I ja także marzyłem o Bogu; zaiste, to było piękniejsze. Wiara za wiarę! *Jeżeli muszę wybierać,* wydaje mi się mądrzejszem zachować wierzenia dziedziczne, które dały poznać swą wartość w obliczu wszystkich mądrości, których Objawiciel dziecięcy uwielbiony został przez magów starożytnych, za gwiazdą idących przewodnią, i które noszą piętno boskie. Ta wiara obiega w mych żyłach. Wybierając, wolę zostać chrześcianinem.

MISTRZ JANUS.

Gdy Prawda na cię napiera, nie chroń się za doktrynę, która cię potępia! Słowo zabrania morderstwa i nakazuje Ubóstwo. Aby osłonić złudny cień bogactw, zadałeś śmierć podobnemu do ciebie człowiekowi, bliźniemu swemu, którego nakazano ci kochać jak siebie samego. Nie chełp się, żeś chrześcianin, aby się zwolnić od bycia człowiekiem.

AXEL.

Zabiłem go, jedynie aby ochronić swą samotność! — *Od tej chwili* dopiero marzenie o owym skarbie...

MISTRZ JANUS.

W głębi twych myśli, idea, że pewnego dnia mógł on zostać nadanym ci przez jakiś traf cudowny, któremu miałeś zamiar dopomagać przez pewne praktyki ponure, mieszała się z pragnieniem ratowania tej samotności. Gdyby nie to, pory twej istoty nie wchłonęłyby tak niesłychanie szybko nieczystych miazmatów namiętnościowych krwi rozlanej. Twe ciało adepta pozyskało już pewne przezroczystości. Jedynie owo pragnienie mogło stworzyć tę drogę przyciągań między twoją istotą i temi miazmatami, parującemi i nawiedzanemi. Larwy ich kierują się ku temu, co może je przyjąć. Gdyby nie to, byłbyś dla nich nieprzenikalny. — Sam fakt, że, pomimo tylu przeszkód, całokształt kuszącej tej przygody mógł odbyć się tutaj, — dowodzi, że marzyłeś skrycie o złocie tem już oddawna. Nie zapominaj, że Wtajemniczonemu zdarza się tylko to, co sam ściągnie na siebie. I że im bardziej rośnie on pod względem czystości, tem bardziej wole złowrogie wysilają się, aby ją zmącić. Zabijając człowieka z powodu tej samej żądzy w tobie i w nim, popełniłeś czyn nieroztropny i niewymownie szkodliwy...

AXEL.

Miałżem dozwolić, by odjechał, uwożąc zgorszenie tej tajemnicy?

. . . .

Z utworów St. Brzozowskiego.



Nadchodzi noc; słońce strwożone ucieka
I broczy krwią.
Promienie jego najkrwawsze
Przez oczy
W mózgu mojego głąb
Zapadły.
Już przyszła noc. Ciemności najtwardsze wieka
Spadły na oczy;
Strwożony, wstecz zwracam wzrok —
W mózgu mojego głąb —
I widzę, jak w mojej krwi
Skąpane słońca promienie
— Najkrwawsze —
Goreją w żar i blask,
Przed którym noc pierzcha
Na zawsze!

Czas żarów południowych płomiennego stepu:
Na pustyni bezbrzeżnej hymny lazurowe
Nieskończonej otchłani błękitnego sklepu;
Rozciągnięte lubieżnie na piaskach lwy płowe;

Miedź lśniąca, metaliczna pełzających gadów,
Uparty, monotonny, ciągły syk szarańczy;
Pościg strusiów, szalonych pustyni nomadów;
Taniec palmy na jednej nodze opętańczy. *)

A nagle — srebrne szmery i piany potoku,
Szum jodeł zawieszonych u przepaści stoku,
Przedświtu wiosennego najświętsza godzina,

I biała Epifania kapłanki Odyna
Z brzękiem pszczelnym w jej włosów złocistych pożarze:
— Zbłąkanej karawany mych myśli miraże!

---

*) *Nietzsche.*

Barwy błyszczące, jasne, lśniące, migotliwe;
Wonie odurzające, mocne, rozkoszne, upojne;
Głosy tryumfem brzmiące, zwycięzkie, zgiełkliwe —
Barwy, wonie i głosy, sprzeczne, niespokojne,

Zwolna cichną, szarzeją, zmilkają i bledną,
Wirują, płyną w zmierzchu senne, mgliste tonie,
Zlewają się ze sobą, stapiają się w jedną
Ukojenia harmonię: barwy, głosy, wonie.

Na wyciągniętych deszczu strunach
Wiatr wzdycha, jęczy i łka;
Na miękkich pajęczyn całunach
Królewna tka.

Jej ręka leciuchna i żywa,
Szybka jak białych lot chmur,
Układa mych tęsknot przędziwa
W przedziwny wzór.

I kwiaty zabrane mej wiośnie,
Zieleń umarłych już łąk,
Znów płoną, wskrzeszone miłośnie
Czarem jej rąk.

Łkają przeciągle dzwony nieszporne,
Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Snują się zwolna mroki wieczorne.

Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic,
Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Mdlejących kwiatów snują się wonie.

Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Mdlejących kwiatów snują się wonie,
Na trumnie więdną święcone palmy.

Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Oczy przysłania opona mglista,
Na trumnie więdną święcone palmy:
„Niech światłość świeci jej wiekuista."

Oczy przysłania opona mglista;
Kolana same gną się pokorne —
„Niech światłość świeci jej wiekuista,"
Łkają przeciągle dzwony nieszporne.

Drzewo samotne, obnażone
Podnosi chude swe ramiona,
Rozpaczy hymny szle chropawe
Do stalowego nieba próżni.

Pod drzewem stoi krzyż zmurszały,
Na nim rozpięty Chrystus kona,
Wznosząc swe oczy beznadziejne
Do stalowego nieba próżni.

Pod krzyżem dusza ma cierpiąca
Z otchłani czarnej swej nicości
Wznosi pragnienia obłąkane
Do stalowego nieba próżni.

Nadzieja lśni jak słomy źdźiebełko w stodole.
Czemu lękasz się osy, szalonej swym lotem?
Patrz, słońce zawsze prószy w szczelinie gdzieś złotem,
Gdybyś się zdrzemnął, łokcie oparłszy na stole?

Biedaku mój, tej wody choć wypij — źródlana,
Zimna. Śpij potem. Widzisz, jam z tobą, zbądź trwogi,
Pieszczotami otoczę twej drzemki sen błogi,
I będziesz, jak dziecina, nucił, kołysana.

Południe bije. Przez litość, oddal się, Pani.
Śpi. Dziwna, że stąpanie kobiety tak rani
Mózg nieszczęsnych biedaków, dzwoniąc o ich głowę.

Południe bije. Skropić kazałam w pokoju.
Śpijże, śpij! Nadzieja lśni, jak kamień w wyboju.
Ah, kiedyż znowu róże zakwitną wrześniowe!

(Z KSIĘGI „MĄDROŚCI“ PAWŁA VERLAINE'A, III, 3).

Oto jest święto zboża, oto święto chleba
W mej wiosce, którą dzisiaj oglądam na nowo!
Dokoła gwar radosny, a blask spływa z nieba
Tak biały, że cień każdy barwi się różowo.

Ze świstem sierp, raz po raz, w fali złotych kłosów
Zanurza się i miga błyskawicą lśnienia;
Dolina pełna ludzi, snopów i pokosów,
I z każdą niemal chwilą obraz pól się zmienia.

Uwijają się żeńce, wszędzie ruch i życie,
A słońce, sprawca żniwa spokojny, wciąż płonie
I pracuje bez przerwy, ażeby obficie
Sok i słodycz we winnem nagromadzić gronie.

O pracuj, stare słońce, na chleb i na wino,
Karm człeka mlekiem ziemi i podaj mu czaszę,
Z której zdroje boskiego zapomnienia płyną.
Żniwiarze, winobrańcy! O szczęsne dni wasze!

Albowiem z winogradów plonu, z plonu zboża,
Z owoców, które zbiera wasza praca cicha,
Wedle swoich zamiarów czyni mądrość Boża
Ciało dla Hostyi Świętej i Krew dla kielicha.

(Z KSIĘGI „MĄDROŚCI“ PAWŁA VERLAINE'A, III, 20).



O przyjdź, jesienią —
Wdziej szatę lekką, białą, zwiewną,
Pajęczą;
Rzuć na hebanowe twoje włosy
Perły rosy,
Lśniące zimnych barw
Tęczą.

O przyjdź, jesienią —
Owiana skargą tęskną, rzewną
Żórawi.
W dal płynących szarą niebios tonią,
Tchnącą wonią
Kwiatów, które mróz
Krwawi.

O przyjdź, jesienią —
W chwilę zmierzchu senną, niepewną —
I dłonie
Twe przejrzyste, miękkie, woniejące
Na cierpiące
Połóż mi skronie —
O śmierci...



Attalea princeps.

W pewnem dużem mieście był ogród botaniczny, a w tym ogrodzie — wielka cieplarnia z żelaza i szkła. Cieplarnia była bardzo piękna: cały gmach podtrzymywały smukłe, kręcone kolumny; na nich wspierały się lekkie wzorzyste arkady, powiązane z sobą całą pajęczyną żelaznych ram, w których były osadzone szyby. Szczególnie piękną była cieplarnia, gdy zachodziło słońce i oblewało ją czerwonem światłem. Wtedy cała płonęła, czerwone odblaski mieniły się i grały, niby w ogromnym drobno-szlifowanym kamieniu drogim.

Przez grube, przezroczyste szyby widać było uwięzione rośliny. Pomimo ogromu cieplarni było im ciasno. Poplątane między sobą korzenie pozbawiały się nawzajem wilgoci i pożywienia. Gałęzie drzew gmatwały się z wielkiemi liśćmi palm, gięły je, łamały i, przyparte do żelaznych

ram, gięły się i łamały same. Ogrodnicy wciąż obcinali gałęzie, owiązywali drutami liście, nie pozwalając im rość dowolnie, ale i to nie skutkowało. Roślinom trzeba było przestrzeni szerokiej, kraju rodzinnego i swobody. Dzieci południa, delikatne, wytworne stworzenia, pamiętały ziemię, zkąd były rodem, i tęskniły do niej. Szklany dach, jakkolwiek przezroczysty, to nie jasne niebo. Niekiedy, podczas zimy, szyby zamarzały; wtedy w cieplarni robiło się zupełnie ciemno. Wiatr huczał, uderzał w ramy i wstrząsał je dreszczem. Dach pokrywały śnieżne zaspy. Rośliny stały, słuchały wycia wiatru, i przypominały sobie inny wiatr, ciepły, wilgotny, który je życiem obdarzał i zdrowiem. I pragnęły znowu uczuć jego tchnienie, pragnęły, żeby zakołysał ich gałęźmi, poigrał z ich liśćmi. Ale w cieplarni powietrze było nieruchome; chyba że czasem burza zimowa wytłukła szybę, i szorstki, zimny prąd, nasycony szronem, wpadał pod sklepienie. Gdzie prąd ten się przedostał, tam liście bladły, kuliły się i więdły.

Lecz szyby wprawiano rychło. Ogrodem botanicznym zarządzał wyborny uczony dyrektor, i nie znosił żadnego nieładu, pomimo że większość czasu spędzał na badaniach mikroskopowych w osobnej budce szklanej, urządzonej w oranżeryi głównej.

Wśród roślin była jedna palma najwyższa, i najpiękniejsza ze wszystkich. Dyrektor, siedzący w budce, nazywał ją po łacinie Attalea. Ale ta nazwa nie była jej imieniem rodzinnem: wymyślili ją botanicy. Rodzinnego imienia botanicy nie znali, i nie było ono wypisane sadzami na białej deszczułce, przybitej do pnia palmy.

Raz wszedł do ogrodu botanicznego ktoś, przybyły z owego ciepłego kraju, w którym palma wyrosła; zobaczywszy ją, uśmiechnął się, gdyż przypomniała mu rodzinne strony.

— A! — wyrzekł — znam to drzewo.

I nazwał je ojczystą nazwą.

— Przepraszam, — wykrzyknął ze swej budki dyrektor, pilnie rozkrawający brzytwą jakiś badylek: — pan się mylisz. Drzewo, któreś pan raczył wymienić, nie istnieje. To jest Attalea princeps, pochodzi z Brazylii.

— O, zapewne, — rzekł Brazylijczyk — najzupełniej wierzę panu, że ją botanicy nazywają Attalea, ale ma ona i ojczystą, prawdziwą nazwę.

— Prawdziwa nazwa jest ta, którą daje nauka — odparł sucho botanik, i zamknął drzwi swej budki, by mu nie przeszkadzali ludzie, którzy nawet tego nie pojmują, że jeżeli cośkolwiek powiedział człowiek nauki, to należy milczeć i słuchać.

A Brazylijczyk stał długo, i patrzał na drzewo, i robiło mu się coraz smutniej. Przypomniał sobie ziemię rodzinną, jej słońce i niebo, jej lasy przepyszne z dziwnemi zwierzętami i ptactwem, jej pustynie bajeczne, jej noce południowe. Przypomniał sobie jeszcze, że nigdzie szczęścia nie znalazł, oprócz w ziemi rodzinnej, a objechał świat cały. Ręką dotknął palmy, jak gdyby żegnając ją, wyszedł z ogrodu, i nazajutrz już siadł na parowiec i odjechał do domu.

A palma została. Zrobiło jej się teraz jeszcze ciężej, choć i przedtem zdarzeniem ciężko jej było. Była zupełnie samotna. O pięć sążni przewyższała wierzchołki wszystkich innych roślin, i wszystkie te inne rośliny nie lubiły jej, zazdrościły i uważały ją za dumną. Wzrost ten sprowadzał jej same gorycze; pominąwszy, że wszyscy byli razem, a ona osobno, ona lepiej od innych pamiętała swoje niebo rodzinne i najbardziej za niem tęskniła, będąc najbliżej tego, co go im zastępowało: ohydnego dachu szklanego. Widać było przezeń czasem coś niebieskiego: było to niebo, choć obce i blade, ale bądź co bądź praw-

dziwe, niebieskie niebo. To też, kiedy inne rośliny paplały między sobą, Attalea zawsze milczała, tęskniła i rozmyślała tylko o tem, że dobrze byłoby postać bodaj pod tem bledziutkiem niebem.

— Ciekawam, czy też prędko zaczną nas podlewać?— spytała sagownica, nader lubiąca wilgoć. — Doprawdy, chyba uschnę dzisiaj.

— Dziwią mnie twe słowa, sąsiaduchno, — rzekł pękaty kaktus. — Czyżby ci nie wystarczała ta olbrzymia ilość wody, którą co dzień na ciebie leją? Spójrz na mnie: dają mi wody bardzo mało, a mimo to świeży jestem i soczysty.

— Myśmy nie przywykły do zbytniej oszczędności,— odparła sagownica; — my nie możemy rość na tak suchym i nędznym gruncie, jak tam jakieś kaktusy. Nie przywykłyśmy żyć byle jak. Prócz tego wszystkiego, powiem panu jeszcze, że nikt go nie prosi o robienie uwag.

Co rzekłszy, sagownica obraziła się i umilkła.

— Co do mnie, — wtrącił cynamon — jestem prawie zadowolony ze swej sytuacyi. Co prawda, nudnawo tu, ale przynajmniej mam pewność, że nikt mnie z kory nie obedrze.

— Ale przecież nie wszystkich nas obdzierano, — rzekła paproć drzewiasta. — Niewątpliwie, wielu może się wydać rajem nawet to więzienie, po marnem życiu, jakie pędzili na wolności.

Tu cynamon, zapominając że był obdzierany, obraził się i wszczął sprzeczkę. Niektóre rośliny ujęły się za nim, inne za paprocią, i wszczęło się zajadłe wymyślanie wzajemne. Gdyby miały władzę ruchów, z pewnością byłyby się poczubiły.

— Po co się sprzeczacie? — rzekła Attalea. — Co wam to pomoże? Potęgujecie tylko swoją niedolę złością

i rozdrażnieniem. Porzućcie lepiej sprzeczki i pomyślcie o rzeczy ważniejszej. Słuchajcie! Rośnijcie wyżej i szerzej, rozprężajcie gałęzie, naciskajcie na ramy i szyby: cieplarnia nasza pryśnie w kawałki, a my wydobędziemy się na swobodę. Jeżeli jedna gałązka weprze się w szkło, zetną ją, niema mowy, ale cóż poczną z setką pni krzepkich i śmiałych? Trzeba tylko działać zgodniej, a zwyciężymy.

Na razie nikt nie oponował; wszyscy milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć. Nareszcie zdecydowała się sagownica.

— Wszystko to głupstwo, — oświadczyła.

— Głupstwo, głupstwo! — zagadały drzewa i wszystkie naraz jęły przekonywać Attaleę, że występuje z okropnem bzdurstwem.

— Mrzonka! — krzyczały: — brednie! banialuki! Ramy są trwałe, i nigdy ich nie zburzymy, a gdybyśmy nawet zburzyły, to i cóż? Przyjdą ludzie z nożami i siekierami, zetną gałęzie, naprawią uszkodzenia, i wszystko będzie po dawnemu. Tyle zyskamy, że odrąbią z nas całe kawały.

— A więc, jak sobie chcecie! — odrzekła Attalea. — Wiem teraz, co mam robić. Zostawię was w spokoju: żyjcie, jak wam się podoba, urągajcie sobie, swarzcie się o jałmużnę wodną i pozostańcie wiecznie pod szklanym dzwonem. Ja znajdę sobie sama drogę. Chcę widzieć niebo i słońce nie przez te kraty i szyby — i zobaczę!

I palma dumnie spojrzała zielonym wierzchołkiem na las towarzyszy, roztaczający się pod nią. Nikt nie śmiał odezwać się z czemkolwiek; sagownica tylko rzekła po cichu do sąsiadki cykaty:

— No, no, zobaczymy, jak to ci odetną tę wielką łepetynę, żebyś zbyt o sobie nie rozumiała, ty pysznicka!

Reszta, chociaż w milczeniu, gniewała się jednak na Attaleę za dumne jej słowa. Tylko pewna maleńka trawka nie gniewała się na palmę i nie obraziła się za jej mowę. Była to najmizerniejsza, najlichsza trawka ze wszystkich roślin cieplarni: obrzękły, bledziuteńki pnącz, z wątłemi, grubaskowatemi liśćmi. Nie stanowiła ona żadnej osobliwości, i używano ją w cieplarni jedynie do przysłaniania gołej ziemi. Owijała sobą stopy wielkiej palmy, słuchała jej słów i zdawało jej się, że Attalea miała słuszność. Nie znała sama przyrody południowej, niemniej przeto lubiła powietrze i swobodę. Cieplarnia i dla niej była więzieniem. „Jeżeli ja, nikczemna, wątła trawka, tak cierpię bez swego nieba szarzuteńkiego, bez bladego słońca i chłodnego deszczu, to cóż dopiero musi znosić w niewoli to piękne i potężne drzewo." Tak myśląc, czule owijała się koło palmy i przytulała do niej. „Czemuż nie jestem dużem drzewem! Ja tam usłuchałabym jej rady. Razembyśmy rosły i razem odzyskały swobodę. Wtedy i reszta zobaczyłaby, że Attalea ma słuszność."

Lecz nie była dużem drzewem, tylko maleńką, wątłą trawką. Mogła tylko jeszcze czulej opleść pień Attalei, wyszeptać jej swoją miłość i życzyć szczęścia w tej próbie.

— Zapewne, u nas wcale nie tak ciepło, niebo nie takie czyste, deszcze nie takie rozkoszne, jak w waszym kraju, ale bądź co bądź i my mamy i niebo, i słońce, i wiatr. U nas niema takich wspaniałych roślin, jak ty, pani, i twoje rodaczki, z takiemi wielkiemi liśćmi i pięknemi kwiatami, ale i u nas rosną bardzo ładne drzewa: sosny, jodły i brzozy. Jam mała trawka i nigdy nie dojdę do swobody, ale pani taka jesteś duża i mocna! Pień masz twardy i niewiele mu już rosnąć potrzeba do szklanego dachu. Przebijesz go i wyjrzysz na świat boży. Wtedy opowiesz mi, czy wszystko tam równie piękne jak dawniej. Mnie i to wystarczy.

— Dlaczegóż, mała trawko, nie chcesz się wydostać razem ze mną? Pień mój twardy i mocny: wesprzyj się na nim, pnij się po mnie. Uniosę cię, nie czując tego wcale.

— Nie, gdzież mnie tam do tego! Patrz, jakam ja wątła i słaba: nie mogę wznieść nawet jednej gałązki. Nie, nie pasujemy do siebie. Rośnij, bądź szczęśliwa. O jedno proszę: gdy się uwolnisz, wspomnij czasem o małej swej przyjaciółce!

Tedy palma zaczęła rosnąć. Już przedtem podziwiali jej wzrost zwiedzający cieplarnię, a ona jeszcze z każdym miesiącem robiła się wyższą i wyższą. Dyrektor botanicznego ogrodu, przypisując ten szybki wzrost dobremu pielęgnowaniu, pysznił się znawstwem, z jakiem urządził cieplarnię i całą rzecz prowadził.

— Teek, proszę-no spojrzeć na tę Attalea princeps,— mawiał: — tak wyrośnięte okazy ciężko znaleźć i w Brazylii. Całą wiedzę w tośmy włożyli, żeby rośliny rozkrzewiały się w cieplarni równie dobrze jak na wolności, i mniemam, że osiągnęliśmy pewne powodzenie.

To mówiąc, z zadowoleniem klepał laską po twardym pniu drzewa, i uderzenia donośnie rozlegały się w cieplarni. Liście palmy wzdrygały się od tych uderzeń. O, gdyby miała głos, jakiż okrzyk gniewu usłyszałby dyrektor!

— Jemu się zdaje, że rosnę dla jego przyjemności,— myślała Attalea. — Niech mu się zdaje.

I rosła, zużywając wszystkie soki tylko na wybujałość, odejmując je korzeniom i liściom. Niekiedy zdawało jej się, że odległość od sklepienia nie maleje. Wtedy natężała wszystkie siły. Ramy zbliżały się coraz bardziej, i nareszcie młody liść dotknął zimnego szkła i żelaza.

— Patrzcie! patrzcie, — zagadały rośliny — dokąd zalazła? Czyż odważy się istotnie?

— Jak ona strasznie urosła! — rzekła paproć drzewiasta.

— Więc cóż, że urosła! Także mi nadzwyczajność! Ot, gdyby potrafiła nabrać tuszy, jak ja! — rzekła otyła cykata o pniu podobnym do beczki. — I co jej z tego wysiłku? I tak nic nie zrobi. Kraty trwałe i szyby grube.

Upłynął jeszcze miesiąc. Attalea rosła. Nakoniec krzepko wparła się w ramy. Dalej rosnąć nie było gdzie. Wtedy pień zaczął się zginać. Wierzchołek liściasty zgłąbił się, zimne pręty ramy wpijały się w delikatne młode liście, przerzynały je, kaleczyły, ale drzewo było uparte, nie żałowało liści, bez względu na wszystko rozsadzało ramy, które, chociaż z mocnego żelaza, zaczęły już ustępować.

Maleńka trawka przyglądała się tej walce w śmiertelnym niepokoju.

— Czyż nie boli cię, pani? Jeżeli ramy takie mocne, czy nie lepiej dać za wygraną? — spytała palmy.

— Boli? Cóż znaczy ból, jeżeli *chcę* wydostać się na swobodę? Czyżeś sama nie zachęcała mnie? — odparła palma.

— Tak, zachęcałam, alem nie wiedziała, że to takie trudne. Żal mi cię, pani. Cierpisz tak strasznie.

— Milcz, słaba roślino! Nie żałuj mnie! Umrę albo się uwolnię!

W tejże chwili rozległ się trzask donośny. Pękła gruba żelazna listwa. Posypały się z brzękiem okruchy szyb. Jeden kawałek uderzył w kapelusz dyrektora wychodzącego z cieplarni.

— Co to jest? — wykrzyknął i drgnął, widząc lecące w powietrzu kawałki szkła. Wybiegł z cieplarni i spoj-

rzał na dach. Nad szklanem sklepieniem dumnie sterczała wyprostowana zielona korona palmy.

— Tyle tylko?—myślała.—Więc to jest wszystko, do czego tęskniłam i dla czego cierpiałam tak długo? Więc osiągnięcie tego tylko było mi tak długo celem najwyższym?

Jesień była już późna, gdy Attalea wyprostowała swój wierzchołek w przebitym otworze. Mżył drobny deszcz nawpół ze śniegiem; wiatr pędził nizko szare, strzępiaste chmury. Zdawało się palmie, że one ją ogarniają. Drzewa stały już nagie i wydawały się jakiemiś potwornemi trupami. Tylko na sosnach i jodłach chwiały się ciemno-zielone igły. Posępnie spoglądały drzewa na palmę. „Zmarzniesz! — zdawały się mówić — ty nie wiesz, co to mróz, nie umiesz cierpieć. Po co wyszłaś ze swej cieplarni?“

I Attalea zrozumiała, że wszystko dla niej skończone. Stygła. Wrócić pod dach? Wrócić już nie mogła. Musiała stać na zimnym wietrze, czuć jego szarpanie i ostre dotknięcia śnieżnych igiełek, patrzeć na chmurne niebo, na przyrodę ubogą, na brudne czeladnie podwórko botanicznego ogrodu, na nudne wielkie miasto widne we mgle, i czekać aż ludzie, tam w dole, w cieplarni, postanowią, co z nią teraz począć.

Dyrektor kazał drzewo spiłować. „Możnaby nadbudować nad nią osobny dzwon szklany, – powiedział — ale na długo-ż tego? Znowu wyrośnie i zburzy wszystko. Zresztą kosztowałoby to za drogo. Spiłować ją.“

Palmę związano sznurami, żeby przy upadku nie potłukła ścian cieplarni, i przepiłowano ją nizko, przy samych korzeniach. Maleńka trawka, która owijała pień drzewa i nie chciała rozstać się z przyjaciółką, również dostała się pod piłę. Kiedy wywleczono palmę z cieplarni, na pozostałym odrzynku pnia wisiały zmiażdżone piłą, poszarpane łodyżki i liście.

— Wyrwać to gałgaństwo i wyrzucić, — rzekł dyrektor. — Zżółkłe to już i uszkodzone przez piłę. Posadzi się tu coś nowego.

Jeden z ogrodników, zręcznem uderzeniem rydla, wyrwał cały pęk trawy. Rzucił ją w kosz, wyniósł na podwórko czeladnie i rzucił na martwą palmę, leżącą w błocie i nawpół przysypaną już śniegiem.



PRZEŁOŻYŁ
J. L.

W. Garszyn.

Zaćmienie słońca podczas boju starożytnych.

W bój ruszyły zastępy. Męże, wozy, konie
Zbite w kłąb, strzały warczą, krew się w słońcu toczy;
Lwy, spuszczone, do skoku przymrużają oczy,
Pędzą, wznosząc trąb kłody, rozhukane słonie.

Nagle spełzł błękit niebios, tylko jak krew płonie
Słońce, wciąż bardziej krwawą posoką się broczy,
Jak bryła węgla zgasło, i noc wszystko mroczy.
Przez chwilę, cisza zgrozy po tym słońca skonie,—

I krzyk z piersi tysiąców, straszliwe lwów ryki,
Huk, trzask, zamęt, skrzyp wozów, szczęk broni w popłochu,
Jęczy rozpacz w ciemnościach i strach zgrzyta blady.

Pomrok słabnie; w krwi widać stratowane szyki,
Tam, z wyciem, tłum bezładny pierzcha we mgłach prochu,
Tu, z oczyma w słup, zbladłych stoją wojsk gromady.

Stanisław Barącz.

Wizya.

W bezkresnego się morza dal wpatrzyłem modrą,
Gdzie nurty pragną nieba skłonionego dostać,
I ujrzałem schyloną jakąś ciemną postać:
Szła jak nędzarz, gdy na nim psy łachmany podrą...

Szata mu, krwią zbroczona, włóczy się przez głębie...
On sam coraz mi bliższy, coraz bardziej widny...
Stanął przy mnie... jak Łazarz wrzodami ohydny...
Oczy wilka... U palców pazury jastrzębie...

Po co ci te pazury?! — „Głodny jestem“... Oko
Błysnęło mu tygrysio, że drgnąłem i zbladłem...
„Spojrzyj“... bok mi pokazał... Spojrzałem — — Posoką

Jątrzył się bok ociekły... — Pazury... Odgadłem:
Był sam sobie pokarmem... — Czego chcesz ode mnie:
Przepadnij! — Wzrok zamknąłem. — Nędzarz stał... Był
[we mnie.

Campanella.

Mur.

Turyście, łaknącemu, w skwar, ogrodów woni,
Ustroni altan, zdrojów ciekących perliście, —
Symfonii boskiej szmer rzucają palm okiście
I wnijście kaktus mu wskazuje kolcem dłoni.

Śpią — czy stłumiła śmierć tu głosy, gdzie w bezczynie
Pinie drzemią... na mur legł zwój omdlałych pnączy?...
Jedynie żywy zdrój tu nić przez szczerby sączy
I, rączy, topić ją, za mur, do morza płynie.

Zaciszy jest tu chłodność, upleciona z cieni;
Jest w niszy zielonawy satyr, skryty w bluszcze,
Cyprysy jak mnichowie stoją zamyśleni,
I pluszcze zdrój w cysternie, ciekący przez rysy.

Za murem morze wbiega raz po raz w skał nyże,
Lazurem wód uderzy i ścieka po żwirze.

Jan Lemański.

Z cyklu: Dusze.

Stu cytr, arf i mandolin stu zadrgały struny.
Nieprzeliczone chóry strun się rozśpiewały;
Jako nieprzeliczony anielski huf biały,
Stu cytr, arf i mandolin stu zadrgały struny.

A od nieogarnionej tego hymnu chwały
Przestworza rozzłociły się w złociste łuny:
Że od zwełnionych blasków świat był złotoruny,
I drgały, jako fale strun, słoneczne strzały.

Zdało się, że ze świateł złotych i strun pienia,
Jak z chaosów pierwotnych, wielki świat się stwarza,
I jasny, hymnu pełen, w niebo się przemienia.

Zdało się: nieskończoność słońcem się rozżarza,
Stu cytr, arf i mandolin stu drgają w niej brzmienia...
A ledwie jedna wizya to w duszy pieśniarza.

Kazimierz Lubecki.

Klinga.

Dla Sabahajra w Adana-m wykuta...
Oby rozmnażał Ałłah jego sławę
I Sabahajra krzepił ramię prawe! *)
Przede mną w prochu legła giaurów buta!

Znana im dobrze mego szczęku nuta;
Gdy pod kopyta trupy kładłam krwawe
I krwawą rosą rumieniłam trawę —
Przede mną Arab drżał i Arnauta!

Dla Sabahajra — ach, za jego dłonią
Krzepką dziś tęsknię — mojej stali błyski,
Gdy się z blaskami słonecznemi gonią,

Kiedy z stepową mieszają się wonią,
Wabniejsze były ponad odaliski
Umiłowanej płomienne uściski!

Wacławowi Pawliszakowi. Władysław Nawrocki.

---

*) *Napis wyryty na klindze tureckiej.*

* * *

Parno. Ze stawu idzie rechot żabi
I pszczoły brzęczą z pobliskiej pasieki;
Na łące zżółkłej od słonecznej spieki
Rój krasnych dziewek nowe siano grabi.

Od pola miodem pachnie złoty łubin,
I chór koników cichym szmerem gędzie
Na uroczystym, radosnym obrzędzie
Ziemi i słońca ognistych zaślubin.

W powietrzu dyszy woń jak w kwietnej lipie,
A z niewidzialnych klepsydr opył złoty
W cichym błękicie sypie się i sypie.

I gwiazdy, zgasłe w niebieskiej roztoczy,
Ku ziemi, drżącej z słonecznej pieszczoty,
Zimne i martwe obracają oczy.

Bronisława Ostrowska.

Zwycięzca.

Bez miecza i bez tarczy, nagiemi ramiony
Do stóp sobie rzuciłem świat pokorną bryłą.
Zwycięztwo majestatem róż mą skroń owiło—
I oto myt, szaleństwem mocy mej wcielony.

Tryumfem grzmi me serce, jak świąteczne dzwony!
Wszechmoc woli mej żyje! Dla rąk wrących siłą
Żaden czyn już nie został! Wszystko się spełniło!
I z dumą na mojego dzieła patrzę plony...

Zabijam me tęsknoty. Spełniły podniebne
Zadanie przewodników... Już mi niepotrzebne...
Zmogłem wszystko, na wszystkiem postawiłem nogę.

Jam jeden niezwalczony został. Więc sposobię
Teraz potęgę moją całą przeciw sobie,
By nie było nic, czego zwyciężyć nie mogę...

Leopold Staff.

Opętał szał...

Opętał szał zmysłowy
Dwie nasze biedne głowy,
Związały żądze jedne
Dwa nasze serca biedne.

Jeden nam ból bez miary
Zapala szczęścia mary —
A gdy na śmierć nas zmoże,
Rzuca nas w jedno łoże.

Lecz karmi nas napróżno
Zmysłowych burz jałmużną...
Rwą się dwu serc ruczaje,

Głodne, nienasycone —
Lecz każdy w inne kraje,
Lecz każdy w inną stronę — —

Mamert Wikszemski.

List.

Niczego tobie dusza nie pamięta.
W sny się zasnuła, zbłąkała w pustkowiu,
Pod niebem głuchem, jak tarcza z ołowiu,
We własną mękę jak w płomień zamknięta.

Już jej tęsknota nigdy nie opęta
Mieć ciebie jasną na złotem wezgłowiu,
W skrach gwiezdnych drżącą — jak fala w sitowiu,
Gdy zalśni, we śnie wichrem ogarnięta. — —

A cierpię, że się bez ciebie nie może
Rozpętać dusza jak ogień skrzydlaty,
Każdej swej myśli przelśnić w cud i w zorzę —

Cierpię i pytam, patrząc nieprzytomnie
Na ciemne morze idące w zaświaty,
Czy łódź nadpływa — i czy płynie po mnie?

Stanisław Wyrzykowski.

Kiedy przyjdziesz?

Kiedy przyjdziesz? Ja słyszę w ciemnym przeczuć borze
Szmer twych kroków... Zielenią więc progi owiję,
A dusza jako owiec stado białoszyje
U cysterny pragnienia czeka cię w pokorze...

Wciąż czekam... płowych piasków śledząc martwe morze,
I nie wiem, czy od spieki dziś cię namiot kryje,
Czy dłoń czyja twe stopy pielgrzymie obmyje?
I nie wiem, kędy jesteś, i dziwnie się trwożę.

I nie wiem, kiedy przyjdziesz! Tęsknotą strawiona,
Moja dusza cię woła pieściwemi dźwięki,
Bo jak owoc już dojrzał mych bioder kształt miękki

I wonniejszą od kwiatu jest biel mego łona!
Ale przychodź! O przychodź, bo z tęsknoty skona
Moja dusza, jak lutnia tobą rozdźwięczona.

Kazimiera Zawistowska.

Grota.

Sklepienie — w fantastyczne pozwijany sploty
Zwisa las długi, gęsty lśniących stalaktytów.
Krople sączą się cicho ze ścian i ze szczytów,
Tajemnym szmerem wnętrze napełniając groty.

Szczeliną skalną wpada promień słońca złoty,
Niosąc z sobą łagodne oddechy błękitów.
W kraju wizyj i czarów, tajemniczych mytów,
Błąka się moja dusza i płacze z tęsknoty.

A łzy ze ścian dużemi kroplami się sączą,
Skrząc się w blaskach tęczowych od promieni słońca.
Z łez rosną stalaktyty, zlewają się, łączą,

I znowu las powstaje bez końca, bez końca...
W jego głębiach milczące snują się rozpacze —
Czy to grota tajemna, czy ma dusza płacze?

Henryk Zbierzchowski.

Serce.

Żyjesz więc, serce?.. Czemże były twe przysięgi,
Że nie przeżyjesz? — Nie drżyj, — Imion nie wymienię...
Wszystko umarło... A ty?.. Świątyni sklepienie
Pająk zasnuł... Jak głucho!.. A ty?.. Szczyt potęgi?!..

Jakże ty żyjesz?.. Milczysz?.. Więc cię zaczerwienię
Tem „jak“, i rzucę nagie w torturowe kręgi,
I wydrę tajemnicę twoją... Mów!.. Wspomnienie
Z trumny ruszę... Pamiątek wydobędę księgi!..

Drżysz... Przymuszę!.. I skomlisz, jak pies... jak pies... [Chryste!
Więc nie zostało w tobie nawet cienia dumy,
Nawet chęci udania?.. Nie?.. Ty, płomieniste,

Ty, niegdyś żądne walki, szydzące z rozbicia?
Niegdyś... Wszystko ulata, jak sen, wiatru szumy...
I tylko trwa bezwstydnie przyziemny pień życia...

Marjan Zbrowski.

Próchno.



Nagi, płaski, kawał ugoru, otoczony niskim krwawoczerwonym murem, spiętym ciężkiemi fortecznemi wrotami. Ponad suchemi garbami ziemi sterczały długie i równe szeregi żelaznych krzyży, wyszłych jakby z pod jednego odlewu. Pomiędzy niemi wypukłe, ostrym, szeleszczącym żwirem wysypane drożyny i ścieżki. Pękate, sztywne, i brudne od kurzu akacye.

To surowe, twarde otoczenie przypomniało Kunickiemu zapuszczone po wsiach naszych cmentarze, z suchemi wierzbami na mogiłkach; żydowskie kirkuty, gdzie w olbrzymiem stepowem zielsku sterczą krzywe kamienne tablice; — smutek żałobny na jednych, niemą martwotę i opuszczenie na drugich... Tu wstrętny ład, obmierzła kultura wielkiego miasta, zda się, śmierć nawet przebrała w mundur i postawiła jako policyanta przy wrotach.

— Na niemieckim cmentarzu i wrona siąść nie zechce, — przerwał mu myśli Borowski, przysiadłszy się do niego na ławkę. — Twardemu życiu — twarda śmierć, — mówił dalej, wiodąc okiem po kominach fabrycznych na-

okół. — Mnie tam o posłanie pośmiertne nie idzie: żyjesz marnie, umrzesz marnie, zgnijesz marnie.—Chrząknął i splunął gdzieś między mogiły.

— Co mnie!.. Pod marmurem leżeć, korzenie cyprysu mieć w zębach, czy glinę i żwir ostry... Przykro tylko, że człowiek musi być tam samotnym, w tem ciasnem pudełku... Człowiek nierad sam gnije. Im bardziej go robaczki toczą... To straszna rzecz, jak my wtedy potrzebujemy sympatyi!

Kunicki zrobił grymas nieokreślony i spojrzał mu bystro w oczy.

— Pan musisz mnie mieć za wielkiego łotra? — zagadnął nagle Borowski.

Kunicki parsknął śmiechem.

— Filozofowanie pańskie nie przeraziło mnie jeszcze tak dalece. A co do łotrowstwa?.. Słucham chętnie.

— A ja pana mam za dziecko.

— Proszę?

— Pan tem mądrzej, tem wymowniej mówi, im słuchacz mniej pana rozumie i więcej się przed nim korzy. U pana we wszystkiem jeszcze i tak i siak, — a zawsze szaro, nudno i nadęto. U pana te doktryny, filozofie, morały... A u mnie psie, podłe, sobacze życie! — zakończył niespodzianym okrzykiem.

— A miało być inaczej, — mówił potem w zadumie. — Ojciec mój aktorem był.

— A?..

— Tak jest, artystą był. — I dobrze mu się pod koniec działo. Miał takich, co pożyczali pieniądze, i takich, co prezenty dawali. Pamiętam, pieniędzmi w kieszeniach dzwonił. „A ciebie, — mawiał — do tej budy (na scenę niby) nie puszczę. Ty siebie szanuj, temperamentu nie masz.“ We mnie bo ojciec żadnej cechy nie spostrzegał, człowieka nie widział; tylko cenzurki i stopnie dobre chwa-

lił, do książki kijem, ręką i nogą zapędzał, a przy rozmowie z obcymi zawsze drwił ze mnie i lekceważył. Umiał mnie znakomicie naśladować i „odstawiał“, jak się do kobiet zabieram, to jest, jak się przeginam, kryguję, włosy dłonią przygładzam i równocześnie rozmówkę wszczynam z aktorkami, co do ojca zachodziły. A na złość staremu, mnie kobiety bardziej lubiły niż jego. Starego bo za podbródek szczypały, szczutki mu w nos dawały, a do mnie uśmiechały się miło, inteligentnie i tę rączkę białą z trzema odciskami deseniu, wprost z pod rękawiczki, miękką i wilgotną, podawały mi na ciepło... „Pocałuj, chłopczyku, w rączkę“ — mówiły tym życzliwym uśmiechem.

Całowałem... A kiedy poszły, to-m w książkę nosem stukał i myślałem — nie o nich, bom w zakłopotaniu twarzy dobrze nie rozejrzał, ale o tej rączce białej. A stary doglądał książek, na których się nie rozumiał, i do pracy zapędzał: „Ty się do łaciny lansuj, nie do facetek. Kuj, kuj! — będziesz sędzią, profesorem, idyoto!“

Póki mi tylko kobiece rączki w rękawiczkach i nóżki w pantofelkach po głowie chodziły, źle było. Pałki do domu znosiłem, a stary klął. Wszystko zmieniło się nagle, niespodzianie, gdym książki, gdym powieści do rąk wziął: smutny się stałem, i dziwaczny, kapryśny, zapamiętywałem się po kątach i — wolno wierzyć lub nie — pisywałem wiersze na okładkach. Z łaciną nawet ulżyło, mimo że więcej nie pracowałem. Tu, w głowie, ruch się wszczął nagły, życie się zbudziło: świat przede mną stanął. Niepokój się zbudził jakiś, w oczach blask zaświecił, czoło się wyświetliło, głos głębiej z piersi się dobywał, echo w sobie miał i falował jak organy, gdym się w mowie zapalił. Stary na śpiew mnie próbował. „Powinieneś, — powiada, — codzień mnie po łapach całować, żem cię takim zrobił. Kapitał masz tu, — mówił, ciągnąc mię za gardło — grdyka jak u wołu!..“ Zainteresował się mną,

w kąpieli nawet obejrzał i wtedy aż nogą mnie kopnął i śmiał się zadowolony. „Takich miej, — mówił. — Żenić, to się żeń z kamienicznicą, ale dzieci miej gdzieindziej!..“ A gdym na niego podejrzliwie spojrzał, to się żachnął i pchnął mnie do lustra. — „Chcesz legitymacyi? — Masz legitymacyę! Daj swoim dzieciom taką.“ — I wyrznął mnie w piersi. „Ech! u chłopa z piersi jak ze dzwonu echo idzie! — Temperamentu tylko szelma nie ma...“

Tego dnia obchodził mnie jak wilk, podpatrywał, przeglądał, wreszcie zaszedł mnie raz z tyłu i położył na książkę jakiś portret. „Masz legitymacyę!..“

Z obrazu na stole uśmiechała się do mnie twarz młodej kobiety. Więc to znaczy: matka?.. Jam dotychczas nic o niej nie wiedział... Nie, — to była kobieta. Młoda... Piękna... Jedna z tych, co, w kształty jeszcze nie obleczone, już w myślach mych żyły... I ten jej uśmiech dziwny. Powiedzieć chce coś. Uśmiecha się, a czuć, że chłodne, zimne słowo rzuci... I te usta miękkie. Te oczy, — oczy żywe, mówiące.

A jednak: matka!

Powstałem szybko z miejsca i onieśmielony odstąpiłem na bok.

— Więc to ty mnie rodziłaś? — pytam zdaleka. — Powiedz, kim byłaś?.. Co-ś cierpiała? Wszak to ja jestem twem cierpieniem, ja!.. Twym bólem w uśmiechu, twym płomieniem w oczach, twą zadumą na czole. Stary cię mój porzucił, czy też?.. Biedna ty!.. A jednak dumna...

Jak można, będąc matką, mieć takie oczy!

Matka...

Późno uczyć się muszę treści tego dźwięku. Późno przychodzisz, bardzo późno przychodzisz... I przestań się tak uśmiechać, bo ja chcę ciebie, matko, powitać... —

Staremu portretu nie oddałem. Zawiesiłem go sobie pod krzyżem, nad mym łóżkiem. I przeżywałem ciężkie

dni. Na wszystkie me myśli, smutki i marzenia, dawniej samotne, patrzała teraz ta twarz z uśmiechem wciąż dla mnie niezrozumiałym, z tak dziwnie niepokojącym uśmiechem.

Ocknął się jednak i we mnie ten potężny głos natury, wielki, ślepy nakaz, i rzucił mnie wreszcie przed nią na kolana. Spowiadałem się jej po nocach z tych wielkich pragnień obiecanego mi życia, co szerokim tajemniczym rozłogiem, przysłonięte tumanami marzenia, stoi oto przede mną i czeka. Chodź... A w myślach tych tuliłem się do jej obrazu.

— Potrzeba mi twej miękkiej dłoni, matko, — twej dłoni na me czoło gorące. Twoich mi kolan potrzeba, abym na nich ciężką od rojeń głowę złożył. Wodzenia dłoni twej po włosach mi trzeba, aby w te rojenia spokój uczucia, spokój myśli wstąpił. Aby czynem się stały.

I stóp mi twoich potrzeba, abym się pokory uczył. Bo do czynu i pokory potrzeba.

Brak mi twej duszy matczynej, syna nadziejami tylko — już dumnej. Dla mej słabej woli twej mi dumy, matko, potrzeba. Mocny będę.

Brak mi serca twego, wszystkich mych uczuć prawego domu i czystego ogniska.

Czyś ty o tem nie wiedziała? czy ci żadne nie mówiło przeczucie, jak ja ciebie bardzo kiedyś potrzebować będę? Czy ci przy śmierci żaden smutny anioł nie powiedział, że przy młodzieńczem zrywaniu pęt, przy pierwszych próbach lotu nie mieć matczynej ręki, matczynych kolan i stóp matczynych, — że to jest zło wielkie. Że ja kiedyś przy olbrzymiem pragnieniu życia mieć będę serce — takie żądne miłości, — a takie puste.

Czyś nie przeczuła, że z twym synem stać się może rzecz straszna? Ja żyć, żyć chcę!!

. . A tyś odeszła.

Kto mnie ochłodzi? kto mnie ogrzeje? kto wzmocni? kto poprowadzi? Kto mnie pokory nauczy i krzyżem świętym pobłogosławi? kto nauczy dumy? kto w potrzebie miecz w dłoń poda i zawoła: „Bij! bij! synu! A stąpaj mocno."

Jam twego żywota płód szlachetny. I otom jest twą słabą dziewiczą wolą — słaby, twem dziewiczem marzeniem tak hojnie bogaty.

Kto mnie ogrzeje? Kto mnie poprowadzi?

Jestem jako kwiat polny na twej mogile. Zdepcą mnie ludzie, — matko!.. —

I tak modląc się do niej po nocach, wonną paliłem jej myrrę: mych pierwszych, młodzieńczych, mych czystych uczuć ofiarę. A ta jej twarz na obrazie wchłonęła w siebie wszystko, com miał w piersiach. W jej rysy spłynęły, zlały się i stopiły wszystkie me pragnienia. Ta twarz stała się dziwnym widocznym ich kształtem, zagadkowym symbolem matki, życia, kobiety, sztuki...

Skulony w łóżku, zgięty, w sobie zebrany, wchłaniałem w siebie ten haszysz upojeń. A z tego patrzenia krew mi w skroniach młotem kuła... Ani takiego jasnego przejrzystego czoła, ani takich oczu przyczajonych za rzęsami, takich oczu całujących, ani takich ust — mądrych, takiego owalu twarzy — smutnego, ani szyi tak giętkiej, ani piersi tak rzeźbionych i dyszących; — tego nigdy, ani przedtem, ani potem, nie widziałem.

I ten uśmiech! uśmiech, co do siebie siłą fatum przyciąga — i mrozi.

Raz jeden, pamiętam, wiersz dopiero co napisałem i leżałem na łóżku w tumanie odurzenia. Jakiś nagły, potężny napływ uczucia łzy na policzki wyrzucił i za gardło ścisnął. Porwałem się na nogi.

I do tych ust uśmiechniętych, do obrazu matki pod rozciągniętemi ramionami krzyża przylgnąłem gorącemi wargami

Kocham cię!..

I tak mi Bóg na wstępie życia grozą grzechu kazirodczej myśli piersi zdławił. Czyniłem pokutę, — leżałem krzyżem. A w wyobraźni mej, wytęskniony przeze mnie świat, w wirze szalonym zatańczył.

Jakiś dziki pęd upiorów po krwawej nocy, jakieś ostre chichoty czarownic, jakiś szalony natłok ciemnych obrazów w płomieniach błyskawic, grzmoty przekleństwa, i w proch padająca serdeczna pokuta, i korowody taneczne nagich kobiet.

Po nocy zaś pisałem:

„A jednak: czemuś Ty, czemuś Ty odeszła?! — Wyżejbym latał, ptak młody. Z dłoni twej piłbym może nektar wieczności."

Podpatrzył raz te dziwne nabożeństwa ojciec. Obraz zdjął ze ściany, spojrzał na mnie ostro i chmurnie. Wreszcie splunął i wyszedł.

W duszę mi tem napluł. Jezus Marya, myślałem, czyżbym ja dzisiaj był już potworny?

Dogoniłem starego i wczepiłem mu się oburącz w ramiona.

— Czy ty nie widzisz, ojciec, co się ze mną dzieje? Czy ty nie widzisz, żem ja się już ocknął z dzieciństwa? że mnie życie lada chwila w swój wir porwie?

— Wściekłeś się? — pyta stary z flegmą.

— Słuchaj, — jeśli mnie życie w samem zaraniu gdzieś w kanały rzuci, ty będziesz temu winien. Bo, patrząc na mnie jak na dziecko, nie widzisz mnie wcale.

Spoważniał stary. Zapalił spokojnie papierosa, ujął mnie za rękę i zaciągnął przed fotel. Usiadł, kilka kłębów dymu wypuścił, a tę swoją twarz aktora: wielką, nagą i jak płótno na wietrze ruchliwą, ułożył w jakiś grymas powagi, który mi się nie podobał. Pod tym grymasem czaiła się ironia.

— Byłeś już? — pyta niby poważnie.

— Gdzie?

Szerokim ruchem ręki wskazał gdzieś na miasto, na ulicę.

Żachnąłem się.

— Bo przecież taka jest ta wasza pierwsza tragedya. Śmieszne smyki!

Wstał i ujął mnie za ucho.

— Chłopaczysko wyrósł jak byczek. Ale głupi! ale niemrawy! — skoro myśleć o sobie nie umie.

— Mnie nie tego potrzeba.

— Nie!? — huknął mi basem tuż nad samem uchem i skrzywił się z niesmakiem. — A czego ci trzeba?

Zamyśliłem się. Nie byłem przygotowany na to proste pytanie.

— Życia, — rzekłem z wahaniem i po długim namyśle.

Stary rozkraczył nogi, wtłoczył ręce do kieszeni. Po chwili:

— A ile to kosztuje? — Sięgnął po portmonetkę. — Masz rubla i poszedł precz, boś głupi.

Stoję na miejscu i w niedołężnem zaprzeczaniu poruszam głową. Nie znajduję teraz najprostszych słów dla tych myśli, co takim wirem krążyły mi co wieczór po głowie.

— Wyjęzycz-że się, wystękaj, — przedrzeźnia stary. — Mów, coś za jeden?

— Mnie potrzeba... opory. We wszystkiem, co myślę i czuję, musi być jakaś luka, z którą żyć nie można. A może brak mi tylko...

Przycisnąłem ręce do piersi.

— Kochania, — zadeklamował stary i podniósł białka na sufit. — Jakiś ty niebotycznie sentymentalny!

— Widzisz, ja mam za dużo dobrych pragnień w gło-

wie, a za mało wagi w sercu. I czuję, że to jest źle... Puść mnie! — wybuchnąłem nagle, chwytając go za rękę. — Puść mnie od siebie.

— Dokąd!?

— Gdziebądź. W świat pójdę, — odpowiadam ponuro.

— Po co?! — stary poczerwieniał już ze złości.

— Przeznaczenia swego szukać.

— I... co ty znajdziesz, durniu?

Westchnąłem tak głęboko, że mi się zdawało, iż mi chyba serce z pod żeber wyskoczy.

— Ciągnie... Rady sobie dać nie umiem.

— Bo ty nie wiesz wcale, — wołam, czując gorące wypieki na policzkach, — ty nie wiesz wcale, ile ja sił w piersiach czuję! — I czem ty mnie częstujesz? Daj mi najpiękniejsze kobiety: — powiem: „tyle tylko?“ Daj mi bogactwa: — powiem: „mało!“ Wywróż mi szczęście: — zawołam: „ach, — nie dbam oto!“ Obiecuj tryumf, sławę, władzę...: ja będę wołał: „mało, mało!“ Bo dla moich wielkich chęci nie może być nazwy, bo wszystko, co określone, zmrozi je tylko. — Ale gdy mnie natomiast na bok weźmiesz i szeptem powiesz: „Synu, czeka na ciebie... gdzieś... coś wielkiego... coś, co...“

— Basta! — trzasnął ojciec jak biczem. — Bo się udławisz frazesami. Wiesz ty, co to wszystko znaczy? Dokąd cię to ciągnie?

— Nie wiem, — mówię, szarpiąc palce, aż w stawach trzeszczało. — Nie wiem.

— Aktorem chcesz być, — wyrzucił stary przez zęby wraz z wielką chmurą dymu od papierosa.



Po kilku miesiącach byłem już w teatrze. Ale stary wystąpił. „Ja, — mówił, — ze smarkaczami rywalizować nie będę.“ I dobrze się stało. To wszystko ze środka znalazło gdzieś ujście: precz z duszy, precz ze krwi, z myśli, z nerwów. Rzucałem się na scenie jak piskorz, darłem się jak sroka, huczałem jak wicher. W sercu wciąż jeszcze była pustka. — Powodzenia to, oczywiście, nie wróżyło. Stary był zły, gryzł się i martwił. „Opętać, opętać szelmę! — wołał. — Ocet niech łyka, w łaźni niech odmięknie!“

Raz przyszła do ojca ta, co z najbardziej dystyngowanym witała mnie uśmiechem, co z największym spokojem, z wyszukaną światową uprzejmością ze mną rozmawiała. Miała na sobie lekką czarną zarzutkę, niby wielki kołnierz koronkowy, i duży czarny kapelusz. Twarz to czyniło bladą i ściągłą, ciemne oczy odbijały wymownie, rzęsy wyglądały jak zasłona czarnych, jeszcze delikatniejszych koronek. Ręce w duńskich, wysokich aż po łokcie rękawiczkach wsparła na cienkiej parasolce i mówiła o książkach, sztukach, namawiała mnie na operę. Pociągnęła mię ta spokojna blada twarz pod zamaszystym kapeluszem. Przysiadłem się do niej, ująłem za rękę. Przegięła się...

I tak w otępieniu jakiemś, nie zrzuciwszy zarzutki, kapelusza nie zdjąwszy... Nawet parasolki z rąk nie wypuściła... Dopiero potem ujęła mą głowę w obie dłonie i złożyła długi, ciepły, jakby dziękczynny pocałunek na mem czole. Łzy miała w oczach.

Zrozumiała, że była pierwszą? Nie wiem.

A potem mieszała się przy mnie, czerwieniła; podsłuchiwała me rozmowy z ludźmi, jakby bojąc się, by o niej mi co nie opowiedzieli. Ze mną mówiła szeptem. Zaczęła się czesać gładko, nosić prosto, pociągle, smukło. Wzdychała często, używała zdań niedokończonych, domyślnych, aktorskich... Mówiła, że nikogo w życiu tak nie zna, nie

odgaduje, nie czuje jak mnie; — a znała mnie chyba tylko nazewnątrz... Czasami w półmroku, przy ledwie świecącej pod czerwonym ciemnikiem lampie, siadała na fotelu w swej czarnej luźnej sukni z szerokiemi rękawami, zarzucała białe ramiona na tył głowy i zapadała w zadumę. Mnie kazała godzinami całemi milczeć i siedzieć opodal. Potem przyzywała do siebie, pieściła jak kota. Dopatrywała się we mnie Bóg wie czego. Ja w niej znalazłem tylko ciało i znużenie. Byłem dla niej tak nielitościwie, co gorsza, tak nieświadomie brutalny, jak być tylko potrafi gdzieś w świat przed się na oślep pędząca młodość. A ona płakała często. Żaliła się, żem z niej duszę wyrwał, zmiął, podeptał, że mi wraz z duszą i talent rzuciła pod nogi, że krew swą we mnie przesącza i że po śmierci w moim talencie żyć będzie. Zaklinała się wreszcie, że miłość miłości nie równa, że ona tej ostatniej przy mojej zdradzie nie przeżyje.

Tej ostatniej...

— Bo ja ciebie przeszłością oszukiwać nie chcę, — wyrzuciła ze łzami, i ta jej biedna, jakimś obcym mi jeszcze bólem życia okropnie zmęczona twarzyczka drgać we łzach poczęła.

Całowałem po rękach, uspokajałem... — Nie mam żalu do przeszłości; — dziś ją mam i mieć będę na zawsze. — Kazała mi przysięgać, — przysiągłem.

I nie przeżyła...

Padła mi w poprzek drogi życia, koniec młodości mojej znacząc.



Ojciec przysłał mi na scenę wieniec, — sam ojciec! Potem wyprawili kolacyę. Stary się upił i klął na czem świat stoi. Wołał, żem go podpatrzył, okradł, zmałpował, — głupio zmałpował; że dawniej publiczność była mądrzejsza, że na tę blagę cichej afektacyi, na tę „czuciowość“ w grze brały się tylko histeryczki, że dawniej było więcej męskiej tężyzny w grze aktorów. — W końcu skuł się do nieprzytomności, i walił pięścią w stół, i ryczał ku uciesze aktorów.

„Dacie wiarę, — ta małpa kochał się w portrecie własnej matki.“

A ja spuściznę po obu wziąłem. Po tamtej na obrazie z pod krzyża, co była świadkiem i kochanką pierwszych moich marzeń. I kim ona była?.. Mówili mi ludzie, że uciekła kiedyś od ojca. Jakie ja promienie duszy i jakie trucizny w spadku po niej otrzymałem?.. Jej uśmiech, — dziś dopiero to widzę, — nie był uśmiechem matki. Takim chłodem niedbałego uśmiechu wabi ku sobie piękna kobieta, tak nęci życie, takim uśmiechem przykuwa do siebie sztuka. Do chłopięcych moich marzeń uśmiechał się z pod ramion krzyża sfinks życia, a ja, rwąc się do życia, wycisnąłem mu na ustach gorący pocałunek. Ten uśmiech wgryzł mi się w oczy, wsiąkł w duszę na zawsze. Ten pocałunek został mi chyba na wargach. Może dlatego, myślałem, pocałowanie ust moich zabija? Może dlatego tamta w grobie legła?

A potem wziąłem ciężki, jak kamień, spadek po tej drugiej: smutnej, zdradzonej, zagadkowej wówczas dla mnie, dziś jeszcze niezrozumiałej, — a już nie żywej.

I zjawił się ból...

Ból, co ciężył na każdej myśli, drgał w głosie, odbijał się w ruchach i tu na piersiach tłoczył; ból, co rojem jadowitym pierwszy owoc doświadczenia życiowego osiadał, by na nim nasiona złego złożyć — liszki się lęgły

z tych nasion, miąszem cierpień się żywiły, by się gdzieś potem w motyla sztuki przepoczwarzyć; ból taki smutny i bezbronny, że pozwalał chorej wyobraźni rzucać mnie w jakieś zawrotne koła gorączkowych rojeń, w których myśl się gubiła, życie więdło... Jak pijak, miałem wódkę i smutek, smutek i wódkę.

Z wódki łzy piłem: w pieszczotach, w uściskach, w szale z pierwszą lepszą, co mi na piersiach zwisła, dziwiłem się, czemu ma usta świeże i ciepłe, a nie twarde, sine i obrzękłe? czemu oczu nie ma matowych? szlamowatych i żółtych, sztywno na pół przymkniętych powiek?

A smutek był moją trzeźwością.

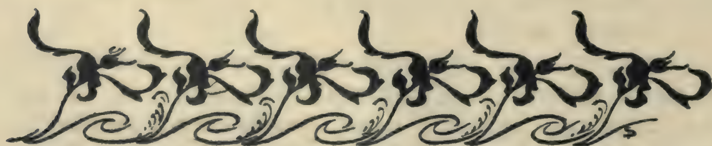
Nie grałem — zgrywałem się na scenie. Kiedym czyjś żal w duszę przejął, tom w oczach ludzi spływał krwią własną, serdeczną; gdym się cudzą rozpaczą przepoił, rzucałem im kawałami coś ze swego serca, z głowy, z duszy — precz! na zawsze! — wiedząc, że to do mnie już nigdy nie wróci, że jutro dam mniej niż dzisiaj, że za rok już w sobie nic nie znajdę.

Ojciec słał wieńce na scenę, — sam ojciec! Chodził to do krzeseł, to do lóż, to na galerye, rzucał się, klaskał, wymyślał publiczności od kanalii.

A ja na scenie już tylko żyłem. W życiu byłem gnuśny, opieszały, tępy.

I nie miałem już nic w myślach, tylko kobiety, kobiety!..

Wtedy poznałem ją... Dwunastego Września... ją, Zochnę, żonę...



Mówię staremu: tak i tak, żenić bo się chcemy. „Weź, — powiada, — sprowadź, bodajby dzisiaj, i ożeń się. Nie wstydź się, skromny młodzieńcze.“ — „Jeżeli — mówię mu — na ślubie uczciwych ludzi, choć jedna świeca więcej się pali, i tę chcę mieć zapaloną. Nie tknę, nie ruszę wprzódy. — Ciało przy niej pokorę czuje, a dusza w płaczu się zrywa, marząc o szczęściu.“

Ojciec skrzywił się strasznie, wydął wargi i zaśpiewał przez nos: „Osioł jesteś!“

Słyszeć o tem nie chciał. Dokuczał, za memi plecami jakieś czarne intrygi wszczynał. Uwziąłem się na złość staremu, wystąpiłem z budy i zamieszkałem sam. Słyszę, chce moją rolę brać. Ogłasza się na afiszach, sprawił sobie nowe ubranie i wałęsa się po mieście, poważny, namaszczony; — łeb zadziera.

Przychodzi sztuka, cofa się przed samym spektaklem, mówi, że stary, że kolana mu się trzęsą, choć mu po linie chodzić przecie nie kazali, tylko grać. Po dwóch godzinach zwleka się do mnie pijaniusieńki. Staje we drzwiach, cylindra nie zdejmuje, ramiona splata i mruczy coś przez nos. (Stary zaczynał się już manierować na tych nosowych dźwiękach, mających wyrażać pogardę).

— Syn — bąkał tedy, — syn wystąpił, a starego wyleli... Wyleli, — powtórzył, rozwalił się na krześle i wyciągnął sztywnie nogi. Patrzył w sufit i gwizdał cierpliwie i uparcie przez godzinę całą.

— Ty?! — rzekł po godzinie.

— No?

— Wyleli, — mruknął i znowu zaczął gwizdać. — Alles ist weg, alles ist weg.

— Rubla masz?

A gdym do kieszeni sięgnął, zrobił ten swój świetny, nie do naśladowania, ledwo widoczny, a tak wymowny ruch dłonią. W tem było nie tylko: „Daj no, daj!“ To

mówiło, w pośpiesznem, zdławionem, niedbałem tempie: — Pieniędzy mi potrzeba. Ty dasz; — wiem... Ja ci ich nie oddam, — ty wiesz o tem, choć na moje honorowe zapewnienia schylasz głowę. Za to cię jeszcze ani kochać, ani szanować nie potrzebuję... Ja sobą może i gardzę, ale tobie nic do tego... Moje życie jest... Ale co ci do mojego życia!.. Chcę pić, będę pił... Je m'en fiche — O, la! — A to wszystko, tę całą duszę człowieka, wypowiada się, tuląc cztery palce dłoni i puszczając jakiś mały, przelotny promyk po twarzy. Jaki?.. Tego ani opisać, ani naśladować niepodobna. To Bóg daje. Nazywa się to — talentem aktora. A człowiek, który to licho posiada, będzie miał nieraz, przy wielkiem sercu Chrystusa, niskie instynkty zwierzęcia i całą marność człowieka w sobie. Taki szczęścia nie zazna i zaznać nie może. Jest w tem i ludzka zemsta, i Boża kara.

Zastąpiłem staremu drogę przy drzwiach. Ściskam sobie dłoń, palcami trzaskam, wargi gryzę: bom nie wiedział, czy wyleczę, czy dobiję.

Wreszcie powiedziałem:

— Ojciec, może... możebym ja zagrał... *za ciebie.*

Chciał mi się na szyję rzucić, ale zatrzymał ręce na mych ramionach, potem wsadził je do kieszeni, wydął usta i rzekł protekcyjnie:

„Spróbuj.“

Zaprowadził mnie do restauracyi i za mojego rubla zafundował mi piwa. Był uprzejmy i gościnny: com łyk ze szklanki pociągnął, dolewał mi pośpiesznie. Po raz pierwszy w życiu zapytał o zdrowie. — Kiedyśmy już kilka butelek opróżnili, przysiadł się do mnie, zapalił papierosa, gładził siwe włosy i, blednąc dziwnie na twarzy, rzekł do mnie szeptem:

— Ja ciebie, Władek, psuć nie chciałem, ale to jedno wiem, — i tak mi Panie Boże dopomóż, jak szczerze mówię:

ty byłbyś nowy, świeży, genialny, gdyby nie kobiety. One cię gnębią, krew twą toczą, mlecz piją, mózg ssą. One teraz wszystkie do ciebie pełzną, wszystkie! Oplotły cię, opętały, pierś ściskają, talent w piersiach chcą zdusić... Mnie wszystko jedno: bierz je bodaj wszystkie, — ale potem pluń i przepędź, boć to bydło jest przecie, gad zimny i leniwy. I nie wiąż się ze zwierzęciem, nie wiąż, chłopcze; bo kiedy z ciebie wszystko wyssie, to się kiedy nocą, jak kot, do łóżka zakradnie, tu na szyi w wielką żyłę się wgryzie i krew twą serdeczną do ostatniej kropli wyżłopie. Taki gad żoną się nazywa...

Ciebieby banda impresaryów po Europie obwoziła. — O Władek, Władek!.. Tam, w Paryżu, — w Berlinie, — w Wiedniu, — tam nas cenią! Nie klaszczą, nie wyją, nie przeszkadzają jak tutaj, lecz rozumieją, na równi z piszącymi uważają. Tam ma walor intuicya, bo oni mają za dużo szkół i wiedzy; tam wielbią puls życia indywidualnego, bo szare są wielkie miasta... Co ja mówię, oni nas tam bardziej od piszących szanują, bo ich bibuła, pisaniny, literaty przytłaczają i nudzą. My zaś jesteśmy życiem samem, jesteśmy śmiechem, łzą, okrzykiem, buntem, szałem w żywym człowieku... Literat to kłamliwy komedyant, — aktor ma szczerą duszę. — Tak piszą!.. Nie wierzysz? Czytaj gazety cudzoziemskie.

Piwa miał już widocznie za wiele, gdyż pięścią w stół uderzył i krzyknął, aż echo rozniosło po sali.

— Figaro! — Frankfurter Zeitung!

Wywinął się kelner przed stół i tłómaczy, że niema tych gazet w restauracyi.

— Przynieś z kiosku, — rozkazał ojciec krótko.

Kelner stał z miną grymaśną i niezdecydowaną. Ojciec zmarszczył czoło.

— Słyszał kelner, com rozkazał?

I spadając natychmiast z aktorskiego tonu, dokończył po swojemu:

— Poszedł precz, bo zabiję!

— Niechże ojciec nie rzuca butelek. Awantura będzie...

Spochmurniał i nasrożył się mój stary. Wydało mu się, że jakiś tam klient dobrego krawca i fryzyera: hrabicz czy kupczyk od sąsiedniego stołu przypatrywał mu się arogancko. Stary pochwycił dopiero co odkorkowaną butelkę, wypił ją duszkiem, postawił z impetem na stół, nogi na krzesło założył i rozpiął kamizelkę.

— Niech kelner!.. przy-nie-sie! cygaroo! — zaśpiewał na tremolo.

A po tem do mnie znów się przysiadł.

— Będziesz grał, Władek?.. Słuchaj — wołał, chwytając mnie za bary, — ty jutro mnie i siebie pomścić musisz. I nas wszystkich. My wszyscy jesteśmy biedni ludzie, bo nie wiemy, dla kogo i po co swą duszę w szmaty targamy... Płomieniem krwi twej młodej roznieć jutro wielkie światło duszy: niech tamci mrużą oczy, niech się kurczą, wiją, podłe, ślepe gady!.. Ty im się wgryź w serce! — niech poznają, że jest puste; bij po głowach obuchem! — porusz leniwe mózgi; po kałdunach sytych kop! — odbierz im spokój. A dusze ich w kale nurzaj; — drwij, znęcaj się i pluj! — powtłaczaj im mózgi w brzuchy... Skończy się — i rozpełzną się kłębiskami gady gnuśne, ciężkie i leniwe; pełne strachu i pokory... A my wtedy: — deptać!.. Puścimy za nimi tony marsza żałobnego, lub taniec szkieletów, i nuż szarpać, targać, rwać w strzępy marne dusze! Bydło, owce, kałduny! Ha! Ha! Ha!....

Śmiech był robiony bajecznie. Wpadł jakby z cichej ulicy, basem piersiowym rozległ się po sali, zahuczał echem jak organy i ludziom usta zamknął. W sali uczyniło

się cicho: na szczęk noża ludzie sykali gniewnie, kelnerzy zatrzymali się pośrodku. Patrzano wyłącznie na nas.

Ale ojciec już tego nie widział.

— Ty, — mówił, uderzając mnie pięścią w piersi, — ty, bydlę niskie, do nich pragniesz teraz przejść! Żenić się chcesz! Będziesz handlował, szachrował, żydom po biurach się wysługiwał, łykom po sklepach, szlachcicom cielęta hodował i tuczył?

Nie odpowiedziałem mu nic; musiał jednak z mej twarzy coś wyczytać, gdyż uśmiechnął się cicho i napił piwa.

Wyznałem mu wtedy całą prawdę: mówiłem o tem, jak się ścieram i zużywam z dnia na dzień, jak dziś już, niby morfinista, trucizną tylko dobyć coś z siebie potrafię. Stary początkowo wierzyć nie chciał; potem wpił się rękoma we włosy, oparł głowę na łokciach: myślał i słuchał. A gdym mówić przestawał, unosił nieco głowę, białka wywracał i tak się wpijał we mnie tem spojrzeniem dziwnem.

— Bywa, bywa, — mruczał pod koniec, — czasami tylko jeden dzień, jedna wiosna, jedna miłość. Dziś więcej niż dawniej... Motyle, jętki, ćmy, — potem gady!

Wyprostował się wreszcie sztywno.

— Na długo się cenisz?

Wzruszyłem ramionami.

— To zależy.

— Od kobiet?

— Chociażby...

— A potem? — pytał, wlepiając we mnie przewrócone białka oczu.

Chłód mnie przebiegł po ciele. Dotychczas nie myślałem o tem, com w ojca spojrzeniu wtedy wyczytał: nie myślałem o upokorzeniu.

— Jeżeli kobieta, — zaczął ojciec, wpatrzony błędnie przed siebie, — nie wiem, jak się ta twoja nazywa, — jeżeli

tym lubieżnym a wzgardliwym uśmiechem, w którym właściwa dusza kobiety się przejawia, śmiać ci się będzie w wystygłą twarz: — podczas gdy inny, świeży, nowy, mocny będzie ją tęsknemi oczyma budził, podniecał, roznamiętniał?.. — O! takiej doczekać się w życiu godziny i kobiety nie zabić!.. Aktorem jesteś: wmyśl-że się, czuj, — przeczuj własnej młodości koniec... A jeżeli drugi tam na scenę wejdzie, podpatrzy cię, okradnie i złupi — sobie na karyerę? Jeżeli... jeżeli okrzykną go genialnym, dlatego tylko, żeś ty! ty! ty! tak bardzo cierpiał?.. Jeżeli ludzie cię porzucą, psy tobą wzgardzą, dyrektor cię wyleje?.. Jeżeli kel... kel..?

Ojciec schwycił się za głowę: krople rzęsistego potu wystąpiły na bladą jak chusta twarz. Rzucił się w głąb kanapy.

— Jeżeli kelner ci gazety przynieść nie zechce?! — krzyknął, zabełkotał coś i rozpłakał się tak straszliwie, że wszystko porwało się z miejsc.

W restauracyi wszczął się szmer, potem jakiś zgiełk i pogwar gniewny. Ludzie wołali kelnerów, płacili z hałasem. Kobiety wychodziły z wyrazem przestrachu i współczucia, ich towarzysze z grymasem niesmaku nad tym płaczącym starcem. —

Wyprowadziłem ojca na ulicę. Upierał się, że mi szampana zafunduje, choć do tego piwa ja dopłacić musiałem.

— Przyjmij ode mnie, — prosił, całował, przymilał się. I ledwo stojąc na nogach, ciągnął do drugiego szynku. — Przed samym domem wytrzeźwiał jednak.

— Jeżeli?.. — zapytał poważnie i myśląco.

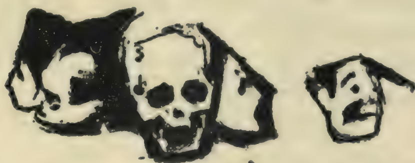
— Ja nie będę miał czego żałować, — odparłem spokojnie.

— Chcesz ze mną?..

I zrobił jeden z tych swoich ruchów nie do powtó-

rzenia. Ręką tylko skinął i uśmiechnął się... Jak?.. Bo ja wiem! Tak się może uśmiechali dawniej ci, co na stosie ginęli: było w tem i politowanie i wzgarda i żal serdeczny za głupiem życiem podłych ludzi. Zwiesił głowę i pokiwał nią do swych myśli.

— All right! — zawołał na pożegnanie jak cyrkowiec.



Na drugi dzień doglądał mnie i strzegł na każdym kroku. W południe nie wytrzymał i narzucił się na mnie.

— Grać będziesz?

— A no...

— Mów, co tobie, człowieku? Pić chcesz? Tyś i wczoraj nie wiele mówił.

— Tęsknię...

— To weź-że ją sobie!

— Poczekam, aż mi ją rodzice dadzą.

— Aż ci wyschnie, zwietrzeje i ulęgnie się do ołtarza!

— Poczekam.

— Ocknij ty się! Ty przecie nic nie myślisz, na twarzy widzę, że nic nie myślisz! Już masz na swej głupiej gębie idyotyczne piętno narzeczonego... Ty mi dzisiaj porządnie grać musisz! — krzyczał i trząsł mną za ramiona. — Ale to niepodobna, żeby taki zadowolony z siebie kretyn uczciwie coś zagrał... Idź do niej, — czy co!?..

Spraw sobie zdradę, — czy jak!?.. Rób coś: porusz, porusz, porusz bebechy! Ty, gnuśne, tępe, narzeczone bydlę!

Ojciec trzasnął drzwiami i zostawił mnie z mą bezmyślnością.

Dawniej inaczej bywało. Dawniej, gdy wyszła ode mnie która z tych kobiet, pozostawiwszy po sobie zapach ciała swego, atmosferę od pieszczot ciepłą, od szałów jeszcze duszną i nieukojone żądze; — wówczas, jeśli za nią nie pobiegłem, tłukłem się jak waryat po pokoju, w gęstej dymnicy od papierosów, i wlewałem w siebie, co było: koniak, wódkę, wino. Targałem we wspomnieniach każdy drobiazg mych upojeń, odurzałem się wyobraźnią, co raz nowe układała mi ona obrazy w dziwnej jakiejś sceneryi grobów, kościołów, cmentarzy. Kończyło się zawsze tu w potylicy bólem ostrym i nagłym, jak pod trzeźwieniem zimną wodą. Wtedy coś gryzło, rozpierało w piersiach, śliną w usta się sączyło: ten, w ciało już weszły, wyrzut i ból. Wtedy czułem jedno tylko: brak, brak i jeszcze raz brak dokuczliwy. Papierosa? — nie to!.. Wódka?.. nie!.. Jadło?.. nie!.. To ciało się kurczy, jak gad nadeptany, a brak tu, tu — w duszy... Jedno, jedno tylko słowo, co się wyśliznęło z pamięci, wykradło z myśli; — jedno, wypowiadające wszystko, ostatnie, wielkie słowo: — okrzyk!..

I szukam jak waryat tego słowa, a niepokój mój wzrasta, skupia się, przechodzi w napięcie szalone. Krzyczeć chcę: „słowa, słowa!“ I wiem, że o nie iść przecie nie może; czuję tylko, żem myśl mą rozognił, pognał, że szaleje już sama: — już mnie opanowała, pędzi i ponosi mnie tam, gdzie jest już chyba tylko czarna moc ducha. Chcę gonić, podążyć za wyobraźnią mą, co z władz duszy myślącej już się wymyka... Znajduję natomiast, tryumfujący, znajduję to, co mi kapryśna pamięć w tej chwili przyniesie... Mam wreszcie:

Oto mój żywioł, ta ciemność ponura,
Już do otchłani myśl moja należy,
I nieskończoność, jako ciemna chmura,
Świat opłynęła. Myśl, gdy w nią pobieży,
Wraca zbłąkana i znów się zamyka
W sennych marzeniach...

Albo to ostatnie:

Dzisiaj ja nie chcę zabijać słowami,
Bo każde słowo do serca utonie
I jako sztylet dreszczem je oziębi.
A potem długiem rozpamiętywaniem,
Jak żar piekielny rozpali się w łonie
I potem, potem... cała przyszłość moja
Stanie się długiem i ciężkiem konaniem!

Ale co mi poezya! co mi cudze bóle! Pędzę do teatru: węch mnie tam prowadzi. Wpadam na pustą scenę, na te deski moje pochyłe, i śmieję się, i płakać chcę... Mój świecie jedyny! życie moje! przeznaczenie me krwawe! ziemio ty moja obiecana!..

Dziś, ojciec wyszedł, drzwiami z pogardą trzasnął i pozostawił mnie w ogromnej, nudnej trzeźwości. Wiedziałem tylko, że miałem dziś grać, rehabilitować siebie i ojca, co mnie pobudzało do wzruszania ramion; jakieś światła wielkie zapalać — (to śmieszne było poprostu); wtłaczać mózgi w brzuchy — (stary idyocieje dziwnie szybko), wyrzucać wieńce precz.. Jemu te wieńce i spać i trawić nie dają. Z pierwszą szklanką piwa łyknie taką myśl o wieńcu i upije się jak zwierzę, a potem daje po knajpach dzikie przedstawienia... jubileuszowe. — Jeśli ja się już zgrałem do ostatniej kropli krwi, to stary się zmanierował do kosteczki... Aktorzysko!..

Zaczynałem żałować wczorajszych postanowień.

Rozgłos aktora?!.. Przy tem mimowoli myśleć trzeba o młodych pędrakach ze szkoły, zaczynających już szukać emocyi, o entuzyazmujących się żydkach z kantoru, o fryzyerach, którzy z galeryi i przez pisemka brukowe zawierają z aktorami „amitié du cochon"; wreszcie, o tych tabunach wyrostków niewiadomo zkąd wałęsających się wieczorami przed teatrem. A po za tem: dziennikarze zbyt gadatliwi, mecenasi zbyt milczący, oraz kilku grubych panów, czytających o nas przy rannej kawie dla tego tylko, że reporter i redaktor jego gazety nie mieli, prócz o wypadkach miejskich, absolutnie nic więcej do powiedzenia.— I to staremu duszę w szmaty potargało. — Trzymać się tego płotu i zgnić razem z nim, dać w ofierze życie całe. Skromne to powołanie, zamała rólka...

I temu dać w ofierze jeszcze ją, Zochnę?!..

Dziwna rzecz: ilekroć o niej wspomnę, tuman zapomnienia przysłania mi świat natychmiast. Nie widzę, nie słyszę nic. Ją czuję; jej twarzyczka jasna, łagodna, spojrzenie bezbronne i ta dobroć wielka, co z jej oczu na duszę mi się kładzie, rozbrajają mnie słodkiem, cichem, dziękczynnem marzeniem. Modlę się do jej włosów, do poruszenia dłonią, do okrągłego ruchu ramion... I widzę, tak znakomicie widzę... Dość, na przykład, by, przebiegłszy przez pokój, przysiadła na krześle, a stawała się tak zamkniętą w kształtach, tak skończoną w ruchu, tak doskonałą w każdej linii, że jej skromne suknie wydawały się jedną falą miękkiego jedwabiu, opływającą posłusznie swobodny układ jej ciała. A przytem ta, przez uśmiech przebijająca, nieświadomość swego wdzięku, to piętno każdego arcydzieła: spokój, dumny spokój życia... Otaczało ją coś niewidzialnego, — czułem to za każdem zbliżeniem: brała miłość, obejmowała ją ramionami i całowała uśmiechniętą w czoło: „Tyś do kochania stworzona."

Tamte wszystkie: kochanki, żony, przyjaciółki, zżywają się z naszą myślą, z przyzwyczajeniem; powszednieją. Ich się potem właściwie nie ogląda, nie widzi, nie spostrzega: czuje się tylko ich obecność; w oczach ma się je takiemi, jak nam je pierwszy błysk miłości w pamięć rzucił... Ja przez oczy tak wchłonąłem ją w siebie, tak-em ciało własne nią przepoił, że gdy na chwilę zapomnę, ocknę się wnet w przestrachu, jakbym duszę własną zgubił. I szukam niespokojnie, i znowu zobaczę; zdziwię się, i znów pokocham, i do nieobecnej znowuż zatęsknię. A po uśmiechniętej szczęściem twarzy łzy gradem się leją... O, ja naprawdę kochałem!..

Siedzę zapatrzony gdzieś w przestrzeń, widzę ją i modlę się do niej wspomnieniem... Nie tknę cię, nie ruszę, święta ty moja! obietnico spokoju, wytchnienia, szczęścia! Przy tobie odrodzę się człowiekiem, odmłodnieję uczuciem, odetchnę świeżością twoich marzeń, ukoję pragnienie pachnącą rosą twego ciała, nie ruszę, święta ty moja!.. Podaj twarzyczkę twą ciepłą, do mej twarzy przytul, ogrzej wyziębłą twym pierwszym rumieńcem, wypieść świeżym puchem twych policzków... I nie bój się... W dłonie obie ujmę, widokiem się nasycę, wypieszczę, wycałuję, w pamięci zapiszę... Pokaż twą lękliwego ptaka białą szyję, pokaż dziecko. Wycałuję tylko... Nie bój się, Zochna, nie bój się, nie... Nie tknę, nie ruszę, święta ty moja! Obietnico spokoju, wytchnienia i szczęścia... Widokiem się tylko nasycę, wypieszczę, wycałuję, w pamięci zapiszę...

A Zochna szeptała.

— Mój... mój...

I kryła się twarzą na mych piersiach.

Kaprysić mi dzieciak poczynał: wydyma wagi i puszy się, rączki w fałdach sukni chowa. Przeciąga się leniwie i pada na kanapę. Każe sobie znosić czekoladek,

słodyczy, ale jeść nie chce: wyrzuca wszystko, — że niedobre! Myślałbyś, że lada chwila zmęczy się i zaśnie, rozrzucona niedbale na otomanie. Lecz oto zrywa się, pokazała mi czubek języka, zakręciła się na pięcie, zaszeleściła suknią i — uciekła.

— Paskudny! — wołała na odlocie.

A za chwilę znów powróci.

Czasami się zapamiętywa.

— Zochna?...

Uśmiecha się miękko, ciepło, a szyję ku mnie wyciąga. — O mnie myśli, — dobra Zochna!

— Wiesz, — mówi, — wiesz, Właduchna, — aż mi dziwno, — ja się ciebie wcale, ale to wcale nie boję. Przecież to ty, — myślę!.. Ty! Ty!.. Chodź, pocałuj! — Tutaj, i tu — jeszcze. — Och, Boże, jakbym ja cię ugryzła... Ale ja niedobra jestem!..

I znów duma, rozważa, czoło marszczy.

— Mąż!.. — pociesza się wnet pieszczotliwie i siada mi na kolanach...

Siedzę jak w odrętwieniu i wspominam, — bez końca wspominam — tęsknię! Czasami silniej to we mnie uderzy: Zosi drobne rączyny jakby mi głowę wtedy ściskały.

Zrywam się, otrząsam... Posyłam po wódkę, grzęznę w dymie od papierosów; powoli zaczynam odżywać: myślę... Tęsknota? To jest uczucie dla zwierząt w menażeryi. Ja tej trucizny jeszcze nie znałem: mnie wszystko w porę przychodziło, nie nauczyłem się czekać. Tęsknota!?.. To duszne, wilgotne, zatrute powietrze: niem umieją oddychać tylko marzyciele. Ten żar suszy przedewszystkiem najbardziej subtelne kwiaty uczucia: wspomnienia. W końcu niema czego wspominać, zbrakło chęci silnych, tylko tęsknota pozostała. Wydaje się człowiekowi,

z przyzwyczajenia do ciasnego kółka swych myśli, że czegoś pragnie, i ta ułuda dobija go do reszty. To tragedya marzyciela, dramat idealisty, farsa ascety!..

Piję wódkę: myśl biegnie, płynie, ponosi... Chodzę po pokoju, mówię ze sobą, deklamuję głośno: „Marzenia!.. Marzenia!.. Obwisłe i bezwładne, na wypalonym gruncie tęsknoty, tracą i one swe syte rozkoszą, miękkie uczuciem barwy. Póki je żar w popiół pamiątek nie rozsypie, wysysają chciwie rosę z najgłębszych zakątków duszy, niby jemioła zapuszczają korzenie coraz to głębiej w sam rdzeń swej ofiary, w najistotniejszą część jej ducha i piją z niej chciwie dawne myśli, uczucia, nadzieje. Więdnąc, rozpleniają się jak kąkol, zachwaszczają umysł, jak pokrzywa, suchemi badylami łodyg bez kwiatów, bez woni, bez cienia... Dawny kwietnik zmienia się w jałowy ugór: warzy się na nim kiełkująca myśl, przepada nowy zasiew, giną dawnych płonki... A kiedy się tak przeznaczenie marzącego dokona, wówczas ocknie się może i zerwie zbyt wielkie jego pragnienie życia. W gorączkowym porywie czynu, u dyabła ambicyi popielisko orać będzie, a smutnym aniołom dobrych chęci stuletnie dęby na niem sadzić każe. Z dyablej orki i anielskiego zasiewu wiatr się zaśmieje, obfite żniwo zbierze ludzka niechęć, pokłosie choroba zagarnie, a dziedzictwo wciąż jeszcze bogatego gruntu obejmie śmierć..."

Ave! Przyjdź!.. Ja i tak na śmierć skazany jestem, bom się na miedziane grosze chwilowych powodzeń rozmieniał i rozdał doszczętnie; bo tęsknota mnie wreszcie żre i pali...

A potem długiem rozpamiętywaniem
Jak żar piekielny rozpali się w łonie —
I potem, potem... cała przyszłość moja
Stanie się długiem i ciężkiem konaniem...

Niechże śmierć teraz, w tejże chwili, po mnie przyjdzie, ale niech mi ją na rękach żywą i ciepłą przyniesie i niech mi ją rzuci:

Masz!... Weź!

A wtedy dam się dyabłu w zamian. Tyle mam w sobie męskości, że potrafię oddać kartę życia za to, na com ją postawił. Bez wahania śmierci się oddam, szyję jej obnażę:

Masz! Weź i ty z kolei...

Byłem już pijany: stojąc pośrodku pokoju, szarpnąłem za kołnierz i obnażyłem pierś.

Bierz!

W tejże chwili drzwi zaskrzypiały i rozchyliło się czarne wnętrze. Parsknąłem śmiechem; w tył się podałem. Strach mi oczy zaokrąglił, skórę ściągnął na twarzy: stoję i dyszę ciężko; w sobie się zbieram i piersi kurczowym ruchem przysłaniam...

Na progu stała Zośka w chustce na ramionach. Rzuciłem się ku niej, chwytam w pół, rękoma głowy, twarzy dotykam...

Ona ciałem: — Zośka moja!

— Dziecko, — krzyczę i ciągnę ją płaczącą ku sobie — kto cię tu przyprowadził? Mów! Kto przysłał? Kto mieszkanie wskazał? Mów!

— Ojciec twój — wypłakała.

Poznała, żem pijany, czy też ta jej dobroć anielska swój instynkt miała? gdyż zbliżyła się do mnie i w chłodne rączyny ujęła me skronie.

— Nie gniewaj się na mnie, Właduś, nie martw się.

— Masz łzy moje, — odpowiedziałem, patrząc na nią jak w obraz. — Bóg widzi, nie dałem ich jeszcze żadnej.

Całowała oczy, wypiła łzy wszystkie. Ale trzeźwości, opamiętania nie dała. — Drzwi się uchyliły, wsunęła się

czyjaś ręka nad podłogą, wstawiając do pokoju wysoką butelkę i dwa kieliszki, co z brzękiem upadły na ziemię i potoczyły się na środek pokoju.

— Pij! — rozkazałem, nalewając kieliszki.

Dzwoniła zębami w szkło: piła. Potem trzęsącą się ręką odstawiła niezręcznie kieliszek na brzeg stołu.

— No, widzisz! — i kieliszek ci zbiłam... Nie, po co ty mi każesz pić?

Już klęczała na ziemi i zbierała skorupy.

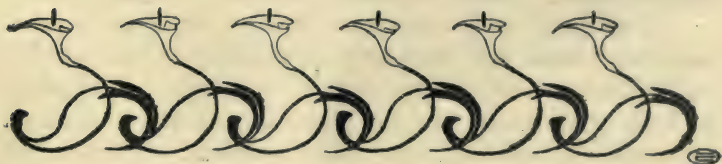
Podniosłem ptaka z ziemi wysoko, wysoko. Roześmiała się. Ale potem, gdy na kolanach się moich znalazła, gdym parzył ją pocałunkami, — wówczas westchnęła raz i drugi, zapatrzyła się gdzieś wielkiemi oczyma...

I zrozumiała...

Oczy jej cieniste rozwarły się szeroko i natychmiast przysłoniły się rzęsami; w kątach ust coś zadrgało silnie. Biała była na twarzy, nozdrza pulsować jej poczęły.

Po raz pierwszy w życiu rzuciła na mnie dumne, wyniosłe spojrzenie. — Pęk jasnych włosów, zaczesany nisko na tyle głowy, w ciężkim powikłanym splocie opadł jej na ramię... O ten uśmiech! wzgardliwy, zimny, dumny... Ja go zbyt dobrze pamiętam!.. A jednocześnie ten ciężki splot warkocza, opadający szybko coraz niżej po ramieniu i rozwijający się nagle w złotą połyskliwą falę.

Zatopiła mnie ta fala jasna...



Ojciec wlókł mnie do teatru pod ramię, a gdy Zosia dogoniła nas na ulicy, namawiał ją łagodnie, aby była rozsądną i wracała do rodziców.

— Idź do mnie, — prosiłem. — Wrócę po teatrze.

Pozostała w tyle, czułem jednak, że idzie za nami.

Stary mówił coś u wejścia z portyerem, wskazał na Zosię i zakończył jednym ze swych ruchów dłonią.

— Fiu! — gwizdnął, machnął chustką, jakby kogoś od bramy odpędzał.

Był wesół i dobrych myśli. Poprawiał mankiety i krawat, a do mnie mówił:

— Wiesz, Władek, gdyby nie moje lata... Toż to nieboszczka zmartwychwstała! To otwarte i jasne czoło, te łuki brwi i tu — ten zakrój nosa; usta, w głębokim jakby oddechu zawsze uchylone... Co ta dziewczyna ma za zęby! Tylko że nieboszczka brunetką była... Jest w ludziach coś takiego, jest ten pociąg do typu: gatunek w nas wyje... Ale trzymajże ty się... no! — Władek!.. Cóż u stu par dyabłów, wszak jesteśmy mężczyźni!..

Ja byłem głuchy. —

Ale światła jasne oblały mnie, zapach nasz poczułem.

Dziś zrozumieć nie potrafię, jakim sposobem oślepić mnie wówczas mogło „podobieństwo“ sztuki. Rzecz była dobra, tylko aż ciężka od zdań okrągłych, gładkich, literackich. Autor wiedział o tem, — spodziewał się od aktorów duszy. Tremę miał: życie dusiło go zmorą ciężką.

I ja drżałem na skórze, nie z obawy jednak, lecz ze zbytniego przepełnienia duszy, co dla gry jest może najszkodliwszem. Gdym wchodził na scenę — ustało i to...

I wieczne te dziwaczne, za włosy podciągane „podobieństwa“, które jak błyskawica przesuwały mi się po głowie. Starego widziałem: siedział, kabotyn, z Figarem w ręku, choć trzech liter po francusku nie sklei; siedział i oczyma świecił. „Czeka“ — pomyślałem. I znów mi

śmierć na grzbiecie siadła. „To się stanie, napewno: zgram się w proch, w nikczemność, w gadu zimne ciało.“

Szło, — szło przezemnie. — Jest tam pod koniec niema scena... Już mu nic nie pozostało: nadziei w życiu, oparcia we własnych myślach; zbankrutował na samym sobie, nie umie i nie chce bronić się przeciw nieszczęściu. Prędzej czy później wszakże przyjść ono musi, bo źródło swych nieszczęść i przeznaczenie własne człowiek w sobie dźwiga. Po cóż się więc bronić?.. Autor jak zwykle: rzuca aktora w fotel i stawia kropkę. Jam się przyparł do ściany: stoję i myślę... A tu cisza huczy. Gdzieś zdala na ulicy powóz zaturkocze; mury głuszą. Ktoś zakaszle na widowni... Stoję i myślę o sobie; — potem oczy podnoszę, — spostrzegam ojca z Figarem... Spadło z piersi: westchnąłem. I ten ruch, to wczorajsze ojca skinienie ręką... „All right!“ pomyślałem. — I znowuż cisza..

Tam gdzieś na galeryi ktoś odpowiedział: westchnął szeroko, swobodną piersią. „Dziewczyna młoda“ — myślę, i łzy mi się walą do oczu. — Stoję, uśmiecham się i głową kiwam jak ojciec wczoraj... Potem ten efekt ze strzelaniem. Nie cierpię! Na scenie śmierdzi, a ludzie płoszą się jak konie, zamiast się skupiać. Ale teraz wydaje mi się, że tam za sceną, w tej chwili... ona, Zochna, sobie... do piersi...

— Jezus Marya! — chcę krzyknąć, ale coś w porę za gardło chwyta... Zatrzepotałem się tylko jak ptak i idę, wargami coś niby mówię, czepiam się mebli, słaniam, potykam i tuż, tuż, u bocznych drzwi, które miałem na zakończenie uchylić, walę się ciężko na kolana. Czoło do framugi przykładam i... zrywam sobie coś w piersiach. Czuję, jak pęka jedna, druga, trzecia struna: wszystkie po kolei, wszystkie, na których ludziom smutek, żal i rozpacz grałem...

Stary wstał w krzesłach z Figarem, oczy wytrzeszczył, — drży z radości: widzę to, czy też tylko czuję.

Może już przyjść — skończone. — Kurtyna już się chwieje, osuwa; już mnie od świata oddzieliła. — Cisza... Ja wstaję, czoło z potu ocieram i cichemi łzami płaczę nad sobą, nad tem, że grałem, i nad smutkiem łagodnym, co mi wstręt, do samego siebie z piersi stłoczył...

Runęło wreszcie.

Podchodzę do rampy, kłaniam się i uśmiecham. Wieniec podają, krzyczą, klaszczą, tupią... Biorę wieniec. „Zasłużonemu autorowi i t. d.“ Biegnę tedy za kulisy i chwytam za rękę tłustego pana w długim tużurku. Poskoczył jak baletnica, tryka, dziękuje. — Tłum nałykał się cudzego bólu: klaszcze, huczy, jak w ulu, głuchym zgiełkiem się przelewa. — Dziennikarze i mecenasi otaczają autora. Światło gaśnie rzędami. Tabuny wyrostków ścigają się po galeryi, dłonie w trąbkę składają i ryczą ochryple.

— Borowski! Borowski!

Wychodzę raz jeszcze i tym najbardziej u nas wzgardzonym, a moim najwierniejszym posyłam od ust całusa. Wszczęła się na górze gonitwa, tętent, tupanina: chłopczyska biją się i kopią nawzajem, a mnie przez dłoń w ucho wrzeszczą:

— Borowski!..

Gdybym którego z nich tuż przy sobie postawił, spojrzałby prawdopodobnie swą tłustą od potu twarzą i wyłupiastemi oczyma; gębęby wnet rozdziawił i ryknął mi w ucho me własne nazwisko. Potemby śliną i łzami chlupnął, nos rękawem utarł, dłonie do ust przyłożył i znowuż zahuczał:

— Borowski!..

Jeden z nich rzucił mi nawet z entuzyamu podartą czapkę. Za tę hojność dostałby w domu cięgi, gdyby nie mój ojciec. Stary zwlókł się na scenę i znalazł dla siebie robotę: mógł coś dumnie precz odrzucić i w in-

nych trochę okolicznościach przez nos zawołać: „Bydło, owce, kałduny!“

— A co? — były pierwsze jego słowa do mnie. — Ten ruch mój, hę? Przydał się?

— Przydał.

— Bierz, ja nie bronię.

— Biorę z każdego człowieka, co mi potrzeba.

— Teek?

— Taak!.. Nosem mi ojciec nie zaimponujesz, bo to starożytna maniera.

— Tą manierą tyś cały stworzony.

— Zupełnie niepotrzebnie wogóle stworzony.

— Co ty, świnio, pleciesz?

— To, że za nic nie jestem wdzięczny, nawet za życie.

— Ojcu? — (białka mu się przewracać zaczęły).

— Nieostrożny kochanek łatwo nim się staje. Do szacunku mały powód.

— Pies.

Tak rozmawiając, wychodzimy na ulicę. Naokół wszystko ocieka, pluska, chlapie; mokre bruki błyszczą od świateł i pogłębiają ponurą ulicę, jak zmatowane lustra. — Stary chce widocznie sprawę załagodzić.

— Jesteś podły, — mówi, — jak wilcze szczenię, ale talent masz olbrzymi.

— Wiem.

— I to, żeś podły?

— To przedewszystkiem.

— Pysk masz tylko ruchliwy, — łagodził i, roztwcrzywszy parasol, ujął mnie pod ramię.

— Pyskiem grasz, pyskiem szczekasz. Tobie należy niejedno wybaczyć... Chodź się czego napić. Wczoraj ci obiecałem. Jedną wdowę tylko... Żółty mecenas pożyczył.

— Ojciec aktorkami zaczyna handlować?

Stanął jak wryty.

— Czego ty mnie kopiesz? Za co ty staremu ojcu w gębę plujesz? Człowieku! Szczenię ty! Słuchaj: i ja miałem kiedyś taki jak ty talent... Przecież i ty chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. Dał, — wziąłem. A czorci mi do niego, czorci mnie do tych szmat! Tfu, ps... kr... kobiety!

Puściłem go.

— Idź, ojciec, — mówię... — Na litość boską, idź!.. Idź, spij się jak dzika świnia, tłucz butelki, becz po knajpach, ale mnie zostaw. Zostaw mi tę resztę, ten ochłap człowieka we mnie.

Dostał widocznie swego uderzenia krwi do głowy, bo się zatoczył na chwilę. Potem w starczej, bezsilnej złości cisnął własny kapelusz o ziemię.

— Becz po knajpach? — powtórzył ochryple.

I choć jeszcze nic nie pił, schwycił jakiegoś przechodnia za piersi.

— Syn! — wołał, kurcząc się i celując we mnie długim palcem.

— Czegoś ty mi ją sprowadził? — mówię, następując wprost na niego. — Po co do tej budy przeklętej ciągniesz? czemu mi życie moje ulicznikom na pastwę rzucasz?

Ludzie zaczynają się skupiać; ja wycofuję się i odchodzę.

— Syn, — huczy stary na ulicy, jak w tragedyi Szekspira. — Szczenię! Pomiot bękarci!

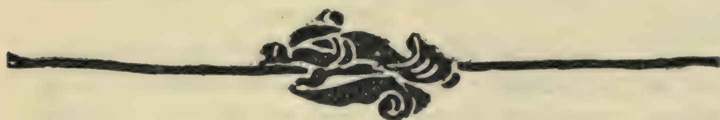
Biegnę kłusa i wpadam w boczniçę. Tu, nie czując się już na oczach ludzi, zwalniam kroku i czekam, gdyż awantury publiczne starego niepokoić mnie już zaczynają. Tam ucichło nagle; ludzie rozchodzą się ze śmiechem. Czyżby starego do dorożki już wsadzono?..

Gdy tak stoję w niepewności, wybiega z za węgła

jakieś dziecko w chustce, przypada do mnie, tuli się do mego boku, jak pod skrzydła, i wyrzuca w jednym okrzyku:

— Władek, Władusiek, Władek mój!

Wziąłem to pisklę na ręce i zaniosłem do domu; przemokła bardzo.



Ojciec dał przed zbiegowiskiem drugie przedstawienie jubileuszowe. Wwikłał się przytem w jakieś zajście z oficerem; dostał od niego po uchu, a na wygojenie kozę. Gdy po dwóch miesiącach wyszedł, — byłem już żonaty.

Pieniędzy brakło nam ustawicznie: pożyczki, handlarze, lombardy, nabieranie mecenasów... Ale czem to wszystko było dla mnie wobec szczęścia, jakiegom zaznawał! Czułem taką radość, wiosnę, taką pełnię życia, że!..

Grałem źle.

Szczegółów nie pamiętam. Wiem tylko, że źle było. Licho chciało w dodatku, że sztuka była cudzoziemska. Przy swojskiej obstałbym się na zdobytem stanowisku, a sztukębym położył. Ta przeszła jednak przez granicę, jako nowość repertuaru wiedeńskiego, i z tą plombą dawaliśmy ją na scenę. Nieobecna a zagadkowa wielkość powaliła mnie twarzą na ziemię, wiedeńczyk wlazł na mnie obiema nogami. Nie nadaję się do sztuk obyczajowo-mieszczańskich, do „Familien-dramatu“, — mówili dziennikarze. Ha, sfery w sztuce były może i mieszczańskie, ale familia stanowczo żydowska, jej dramat z dziennika, a obyczaje z kuchni. — Tak-em się pocieszał, bom ogromnie potrzebował pociechy. Tak bardzo chciało się oddychać własnem szczęściem.

W chwili kiedy wszyscy na mnie powstawali, przyszła za kulisy żona, z wilgotnemi jeszcze oczyma, z niewygasłą na twarzy ciekawością i wypiekami na policzkach. Odciągnęła mnie na bok: miała coś bardzo ważnego do powiedzenia. Tam rzuciła mi się na szyję.

— Właduś mój kochany, — wołała, — jak ty ślicznie grasz!

I ja miałbym się martwić wobec tego? — Śmiałem się jak dziecko: śmiałem się z dziennikarzy, z dyrektora, z młodego błazna, którego na moją rolę już podsunięto; śmiałem się z całego świata. — Ująłem ją w pół i, jak dwoje dzieciaków, puściliśmy się w lansadach przez korytarz.

— Stop! — krzyczę, bośmy się zapędzili w jakieś ciemne przejście. — Zośka, ktoś idzie. Stop! bo wpadniem w ramiona starcowi. Mecenasy, jak szczury, żerują u nas po korytarzach.

Zośka w śmiech: upiła się naszą radością. — W tejże chwili błyska światło; ojciec stoi: w cylindrze, w jasnej swej kurtce, z parasolem w jednej ręce, z zapałką w drugiej... Mnie krew uderza do głowy.

— Patrz, Zośka, — silę się na wesołość, — patrz, jak ojciec ducha Banka odstawia .. Statystę gra na korytarzach.

Zośka śmieje się bez pamięci. — Mnie wściekać już zaczyna to kabotyństwo wstrętne, to napędzanie grozy, jak dzieciom, płaskiemi sztukami niańki. „I czego on chce ode mnie?.. Milczy, ani słówkiem się nie odezwie. Poczekaj! ja cię rozruszam“.

— W knajpach odegrał już swój repertuar — mówię, — teraz na melodramaty próbuje się w przejściach do garderoby. Z parasolem w ręku próbuje odstawiać widmo sumienia, — sumienia artysty.

Zośka zatacza się jak pijana. Kulisy i całe to życie teatru, które widzi po raz pierwszy, odurza ją jak wino. A stary wciąż milczy. — Zapałka gaśnie, czerwone zarzewie rzuca groźne refleksy na jego zmęczoną, gorzkim bólem wykrzywioną twarz. Czerwony węgiel opada i gaśnie. Stary stoi pociemku i wciąż jeszcze milczy.

— Trzeba czemprędzej zapaść się w ziemię, — mówię wesoło, a pięści ściskam ze złości. — Że zaś podłoga się nie rozstąpi, należy dla efektu uciekać co rychlej na prawo, — do ustępu.

I dałby kto wiarę? — posłuchał.

— Nie, Władek! — woła Zośka, krztusząc się i za piersi chwytając, — przecież to jest ogromnie zabawne... Ale ty brzydki jesteś. Nie należy drwić z ojca. I ty się upijasz... Odprowadź mię, bo się rozchoruję z tego śmiechu.

— Ty kwoko gdacząca! — odzywa się wreszcie stary ze swego stanowiska.

Wyrznąłem pięścią w drzwi.

— Czy ty nie czujesz śmieszności, stary kabotynie?

— Ja ojciec jestem, a nie żaden „ty"! Ja artysta jestem, a nie kabotyn!.. Bodaj ci język za te bluźnierstwa usechł.

— Toć wyleź-że choć z tej dziury.

Zośka ze śmiechu wpadła w nagły strach, w to instynktowne, wyłącznie kobiece przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Czepia się mnie i odciąga na bok.

— Ona ci już z serca krew pić zaczęła, — huczy stary przez szparę we drzwiach, — już ojcu urągasz, w twarz mu plujesz. Zapamiętajże sobie, zapamiętaj: „Oko, które się z ojca i matki naśmiewa, kruki u potoków wydłubią, a orlęta je rozniosą".

— Nie, to oszaleć można! To w manierze na śmiesz-

ność oślepłe, zgrzybiałe aktorstwo! — On mi biblię ztamtąd cytuje!

Zkąd się u tego dziecka tyle sił wtedy wzięło? Gniotę jej ręce i zrywam je z siebie, a one jak ssawki polipa czepiają się mnie co chwila na nowo i ciągną za sobą. Odrzuciłem ją wreszcie ku ścianie.

— Ty mi o żonie mojej milcz! — krzyczę i walę z całych sił we drzwi.

— Ja cię krwią serca mego wykarmiłem, — grzmi ojciec z gabinetu, — mem życiem, mym talentem, wszystkiemi władzami duszy; a ten polip to wszystko wyssie z ciebie... To nie kobieta, nie dusza, nie artystka, to zwyczajna suka, która pomioty rzucać chce.

Zośka wydała cienki, przeraźliwy pisk i uciekła. Rzuciłem się całem ciałem na drzwi.

— Chodź tu! — wołam.

— Do syna?... Bić chcesz?

— Będę bił bez pamięci...

— Będzieesz??... — powtórzył przeciągle.

I ucichł. Zośka łka gdzieś w drugim korytarzu. Ten płacz mąci mi myśli do reszty. Spostrzegam się po niewczasie, żem przed chwilą coś potwornego powiedział i zaczynam chłodnąć.

— Ojciec pijany, — mówię.

Nie odpowiedzał. Pijany — myślę — mniej przecie odpowiada za siebie, niż szczekający pies. — Także porównanie! — szarpnąłem się natychmiast i miałem ochotę bić siebie po twarzy. Co za nowa nikczemność wstąpiła we mnie? Tego dawniej nie było, nie było! To ostatni dorobek życia, ostatni dar kobiety. Stary tylko w miłości ku mnie był psem chyba. To szlochanie kobiety zdaleka takie miękkie myśli na mnie sprowadza.

— Zośka, milcz, lub idź precz...

— Ojciec, otwórz, — proszę przez dziurkę od klu-

cza. — Nie zważaj, co ja plotę... Ojciec... Widzisz, — jużeś się zwalił?. Otwórz: otrzeźwię i do domu zaprowadzę. Szampana zafunduję. Ojciec. No!.. słuchaj, co mówię. Szampitra... Ja cię po rękach będę całował... I czego ty się tak rzucasz jak szczupak?..

Ręce mi drżą: te głupie myśli tak potwornem niedołęstwem skuwają ciało. Chcę drzwi wywalić, a klamki ruszyć nie mogę. Ani się nie podda...

Nigdy w życiu tak strasznie nie krzyknąłem jak wówczas:

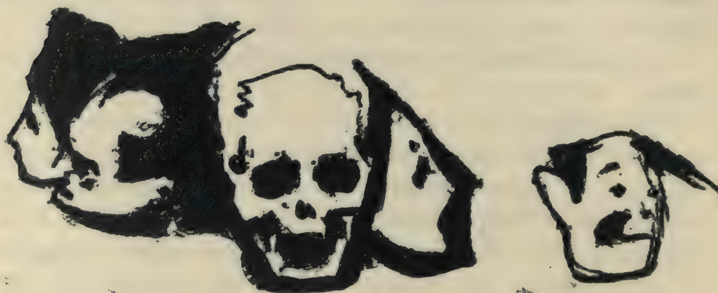
— Zośka, wołaj ludzi!..

— Klamka ciężka, — kołacze mi w myślach i biegnę jak opętany przez korytarz. Wypada cała banda aktorów i statystów. Nawpół rozebrani otaczają mnie kołem, szarpią, cucą, chcą ze mnie bodajby słowo jedno wydobyć. W tejże chwili, jak błyskawica, oświecił mi pamięć ojca głos i jego przekleństwo. Widzę naokół te gołe, wstrętne twarze, na których przed godziną taką radość przy mojem niepowodzeniu czytałem; widzę czujne strachem i zaokrąglone oczy, zaparty oddech w ich piersiach: widzów mam przed sobą. — I ja, najnikczemniejszy człowiek na świecie, — zaczynam grać... Gram wyklętego syna. Język mi kołem utkwił: — bełkocę... Czuję, że trzeba tylko wysiłku, chwilowej mocy, zerwania się krótkiego woli, by się opanować; lecz nie stać mnie na ten wysiłek, nie stać na to, by prawdę od urojeń, rzeczywistość od wyobraźni oddzielić. Coś jakby obuchem ciężkim uderza mnie po głowie: ciało będzie może ode mnie szczersze? Przytomności jednak nie tracę, rozum tylko własny gubię; instynkt aktora przecie ocalam. Wyrywam się z chciwych ciekawością dłoni, odskakuję w tył, podwijam się w sobie i padam na wznak. Mam jednak jeszcze tyle sił, by wagę ciała rzucić tam, w stronę tych podłych, fascynujących mnie, jak spojrzenie węża, oczu, — w stronę tego błazna,

co moją rolę objął. Słabe było bydlę: nie utrzymał w ramionach. Już na pół tylko przytomny padam jak kłoda na ziemię i toczę mu się pod nogi.

— All right, — szepcze przeze mnie ten obłęd.

Takeśmy z ojcem moim swe ostatnie odegrali komedye...



(Ciąg dalszy). Wacław Berent.

Jan Artur Rimbaud.

..l'empire de la Force splendide.
P. VERLAINE.



ujnie, bogato rozkwitała w siódmem dziesięcioleciu minionego wieku poezya francuska. Pod przychylnem okiem i niejednokrotnie wyszlachetniającym wpływem mistrzów, Wiktora Hugo, Teofila Gautier, Baudelaire'a, Banville'a, Leconte de Lisle'a, rozwijała się młodzieńczo, weselnie grupa parnasistów, występująca w obronie zaniedbanej „sztuki poetyckiej", żądająca doskonałości formy, rytmu, języka i zwalczająca płaczliwe sentymentalności, cygańskie rozczochrania, płaskie cynizmy zwyrodniałych dziedziców poezyi Lamartine'owskiej oraz Musset'owskiej. Z gromady tej „poszukiwaczów gwiazd i nieskończoności" *(chercheurs d'astres et d'infinis)* wyszli wszyscy prawie, później szeroko znani, dobrzy poeci (Dierx, Sully-Prudhomme, Armand Silvestre, Catulle Mendès, J. de Heredia, Anatole France i t. d.); w niej też spotykamy po

raz pierwszy prekursorów i przyszłych wodzów t. zw. ruchu symbolistycznego: Pawła Verlaine'a, Stefana Mallarmé i hrabiego de Villiers de l'Isle Adam. Wielkie to ognisko nie ogarniało jednak wszystkich pierwszorzędnych zdolności owoczesnych. Po za jego obrębem, zaczęło tworzyć w okolicach roku 1870, kilku poetów-samotników, wybitnie nowe w twórczości swej przynoszących pierwiastki; czy to wszakże dla odrębności swej, czy skutkiem wzgardy dla wszelkiego rozgłosu, zostali oni na uboczu, nieznani lub niezrozumiani, i dopiero Verlaine'owi oraz pokoleniu t. zw. symbolistów zawdzięczają w kilkanaście lat później, swą rezurekcyę. W rzędzie ich, Rimbaud'owi *) najbardziej groziło zapomnienie, nie drukował on bowiem prawie zupełnie swych utworów. Wydany pod sam koniec zawodu pisarskiego tomik prozy p. t. *Une saison en Enfer* (1873) zniszczył sam niezwłocznie, z wyjątkiem kilku egzemplarzy ofiarowanych najbliższym przyjaciołom; z wierszy zaś jeden tylko p. t. *Kruki* został, według świadectwa Verlaine'a, wydrukowany *bez wiedzy autora* w pierwszym roczniku przeglądu *la Renaissance* (1872). I nietylko nie drukował; nie recytował też nigdy swych utworów przed szerszem kołem słuchaczy, jak to było w zwyczaju na zebraniach poetów paryzkich. Mallarmé notuje, mówiąc o spotkaniu z Rimbaud'em na miesięcznym obiedzie *des Vilains Bonshommes*, kędy przy kawie i likierach nadużywano poniekąd odczytywania wierszy, że „*la bouche au pli boudeur et narquois n'en recita aucun*" (Divagations, str. 82). Wiedzieli o nim tylko ci, których szanował i którym prawdopodobnie czytał lub w rękopisie przysyłał swe utwory: W. Hugo, który swoim zwyczajem rzucił mu pompatyczny superlatyw: *Shakespeare enfant;* Verlaine, do któ-

---

*) Ur. d. 20 października 1854 r. w Charleville, zm. d. 10 listopada 1891 r. w Marsylii.

rego zwrócił się za przyjazdem (czwartym już) do Paryża; Teodor de Banville, który się nim przez chwilę opiekował; Karol Cros — i może niektórzy inni. Szersze koła, nawet autorskie, a zwłaszcza młodsze generacye poetów, poznały i oceniły Rimbaud'a dopiero znacznie później, w lat dziesięć przeszło, po ukazaniu się *Les poètes maudits* (1884), gdzie Verlaine po raz pierwszy wydrukował najpiękniejsze z jego wierszowanych utworów, oraz po wydaniu, we dwa lata potem, również staraniem Verlaine'a, przy współudziale redakcyi miesięcznika *la Vogue,* jego próz poetyckich: *les Illuminations* (1886). Czytelnicy obu książek dowiadywali się jednocześnie, że ten imponujący oryginalnością, potęgą i majsterstwem poeta porzucił zawód literacki i wyjechał gdzieś na wschód, żadnego po sobie nie zostawiając śladu, żadnej o sobie nie dając wieści. Wyobraźnie zaczęły pracować; baśnie i legendy tajemnicze otoczyły fantastycznym kręgiem pamięć Rimbaud'a. Jęły zjawiać się najdziwaczniejsze wiadomości i pogłoski: o wielkich, podjętych przezeń gdzieś w głębi Azyi przedsiębiorstwach artystycznych, o panowaniu jego nad jakimś dzikim ludem w Afryce, o kolosalnych planach literackich, mających znaleźć urzeczywistnienie po jego powrocie, i t. p. Mnożyły się apokryficzne wiersze, ogłaszane pod imieniem Rimbaud'a przez różnych zdolnych i mniej zdolnych młodych poetów. Rozszalała się cała bachanalia młodocianych ocen krytycznych, sympatycznych przez swój zapał, ale rozśmieszających przesadą superlatywów i czczością pozerską*). Nie brakło też, jak zwykle, padalczych

---

*) „Dzieło Rimbaud'a"—powiada np. p. Jerzy Vanor—„skondensowane w kilku rzadkich stroniczkach cudownej prozy, zawiera w sobie całokształt wszystkich znanych filozofij, nauk i literatur, stwierdza ich zbieżności i rytmy, i amalgamuje z tem życie fizyczne, oraz zwykłe zjawiska wyobraźni. Jest to najniesłychańsza z kosmogonij, jakie kie-

ukąszeń, otwartych napaści, dwuznacznych komentarzy, przypuszczeń nawet, że Rimbaud nie istniał wogóle. Śród tego zgiełku, coraz gęstsza mgła mytu jęła przysłaniać postać poety, — i potrzeba było nieledwie aż śmierci jego, aby wywołać zupełniejsze nareszcie wydania utworów, oraz sumienniejsze poszukiwania biograficzne. Pierwsze próby w tym kierunku były zresztą dość nieudatne. Edycya Genonceaux p. t. *le Reliquaire* (1891), z przedmową R. Darzens'a, została niezwłocznie wycofana z obiegu, zarówno z powodu wadliwości tekstów i nieścisłości życiorysowych. Dwa częściowe wydania Leona Vanier: prozy *(Les Illuminations, Une saison en Enfer)* w r. 1892, i utworów wierszowanych *(Poésies complètes)* w r. 1895, z przedmowami P. Verlaine'a, również jeszcze nie były wystarczające, mimo iż autor przedmów prostował w nich ważniejsze błędy nieudolnych lub będących wynikiem złej woli życiorysów. Dopiero w latach 1897, 98 i 99, staraniem poety Paterne Berrichon'a, a nakładem zasłużonego już dziś bardzo pod względom wydawniczym Towarzystwa *Mercure de France*, ukazały się kolejno: życiorys, dzieła kompletne, oraz listy do rodziny, głównie z drugiej połowy życia. Dzięki wydawnictwom tym, opartym na sumiennych, gruntownych poszukiwaniach wydawcy, możemy dziś ogarnąć całokształt życia i twórczości Rimbaud'a i wyrobić sobie dokładne pojęcie o tej niezwykłej, na pozór fantastycznej, a w istocie wyjątkowo jednolitej postaci.

Człowiek, który, poświęciwszy poezyi tylko cztery młodzieńcze i dziecinne jeszcze nieledwie lata (między

---

dykolwiek wytworzył duch ludzki, przewyższająca nawet *Eureka* Poe'go i Baudelaire'a. Tylko poemata tradycyj chaldeo-semickich, jak *Sefer-Jezirah* lub *Księga Thota*, albo ułamki poetyckie ewangelij hinduskich mogłyby odpowiedniego dostarczyć porównania.

15-ym i 19-ym rokiem życia), i stworzywszy w niej rzeczy niezwykłe, jedyne, tu i owdzie wprost genialne, wyrzeka się napozór swego powołania, przestaje pisać, odsuwa się od wszelkich dawnych stosunków i znajomości literackich, opuszcza naprzód kraj, a potem nawet kontynent swój, i znika wszystkim z oczu, aż do chwili, kiedy go choroba na zgon w rodzinne strony sprowadzi, — człowiek taki, w każdym kraju i wieku, wydawałby się czemś niezwyczajnem, fenomenalnem, cechą bowiem ogólną i normalną natury ludzkiej jest nawykanie do przedmiotu zajęcia swego, zżywanie się z dziedziną rozpoczętej działalności, zwłaszcza jeżeli się w niej osiągnęło znaczne powodzenie. W dzisiejszych czasach podziału pracy, gdzie powołanie staje się nader szybko zawodem, gdzie ten jest pisarzem, ów uczonym, inny kupcem lub dyplomatą, a mało kto pełnym człowiekiem, zjawisko takie tem baczniejszą musiało zwrócić uwagę, tem żywsze wywołać komentarze. Tem mniej też wszakże mogło być zrozumianem. Ztąd mgliste legendy i anegdoty o życiu i charakterze Rimbaud'a, ztąd fałszywe sądy — czy to entuzyastyczne czy niechętne — o wzajemnym stosunku jego poezyi i życia, ztąd uwodzenie się powierzchownemi pozorami i prawie ogólny brak głębszego wniknięcia w tę niewymownie prostą w gruncie naturę, w to pełne nieświadomej może, lecz żelaznej konsekwencyi i logiki życie. Kamilowi Mauclair i wielu innym wydawało się ono „romansem fantastycznym", bez jakiejbądź wszelako idei przewodniej. Dla p. Karola Maurras „poezya była tylko lekkim przypadkiem w życiu Rimbaud'a", na którego naturę składała się „zmącona wyobraźnia i zmącona namiętność". Przenikliwy zazwyczaj, lecz często bez powodu zaciekły Remy de Gourmont wyraża przypuszczenie, że niezwykły ten twórca „odwrócił się dobrowolnie od poezyi, gardząc wszystkiem, co nie było zwierzęcem użyciem, dziką przygodą, życiem pełnem gwałtowno-

ści". P. Adolf Retté uważa go wprost za amatora, dyletanta, który przebywszy paroksyzm wzruszenia lirycznego i zaznaczywszy go w garści rozhukanych próz i wierszy, odwrócił się później na zawsze ku innym życia dziedzinom. Nawet Stefan Mallarmé, który zresztą dziwnie powierzchownie i — mielibyśmy chęć przypuścić — niezupełnie szczerze odmawia mu wszelkiego wpływu literackiego na rówieśnych i następców, widzi w jego zniknięciu z Europy „porzucenie marzeń, z winy własnej lub ich, i odamputowanie się za żywa od poezyi". Autor najlepszego do dziś rozbioru *Iluminacyj,* Felix Fénéon, obchodzi zasadniczą kwestę natury Rimbaud'a dwuznacznem zdaniem, niedającem pewności, czy zgłębił ją do dna. „Uciekł" — powiada — „od literatury i od ludzi, próbując rozproszyć, śród niebezpiecznych podróży, halucynacyę, w której konał geniusz jego". Jeden Verlaine, który bliżej i dłużej obcował z Rimbaud'em, wyczuł instynktem: „to życie, całe posunięte ku światłości i mocy, piękne swą logiką i jednością". „Wszystko: dzieło, człowiek i życie" — powiada gdzieindziej — „proste jest jak puszcza dziewicza i piękne jak tygrys". Wyczuł, powtarzamy. O zrozumieniu, zanalizowaniu i ściślejszem określeniu nie mogło być mowy. Do tego brakło mostu między Verlaine'owską duszą „sercowca", a cerebralną raczej naturą autora *Iluminacyj.*

I zrozumieć wszakże było można, i określić tę postać uderzającą, jeszcze nawet przed ogłoszeniem przez P. Berrichon'a dokumentów biograficznych, wczytując się jeno głębiej i uważniej w utwory będące owocem owych lat twórczości młodzieńczej, a zwłaszcza w zamykający je niejako testament wizyonerski, jakim są *Iluminacye* i *Sezon w Piekle,* dwie małe broszurki, robiące wrażenie — jak słusznie zauważa Retté — nie wykończonego, *literackiego* dzieła sztuki, lecz gwałtownego wdarcia się w najgłębsze dziedziny świadomości. Z po za chwilowych błędów,

upadków, targań się, szlochań, sarkazmów z siebie i z innych, zwątpień, bluźnierstw, wynurza się, wyraziście i olśniewająco, ogromna, potężna, oceaniczna dusza, niezadowalająca się żadnemi oderwanemi strzępami wiedzy i siły, pragnąca ogarnąć wszystko, czująca wielką jedność świata i siląca się ująć i wyrazić ją, zapatrzona w cele ostateczne, mająca poczucie całego szeregu przyszłych żywotów, po opuszczeniu chwilowej ojczyzny-ziemi, i przeto mijająca wszystko, co przejściowe i efemeryczne, a dążąca jedynie do tego, co wieczne i boskie, co udoskonala, rozszerza, wysubtelnia i potęguje człowieka w nieskończoność. Dusza wielkiej, prostej, naturalnej dobroci, rozgoryczająca się tylko na niepoprawne poziomości, sentymentalności, nikczemności i niewolniczości w życiu i w ludziach. Dusza dumna, krzepka, heroiczna, nie dająca się ogarnąć mgłom hamletycznym, czująca, że człowiek tylko sobie wszystko zawdzięczać musi i pełna jakiejś niewyczerpanej wiary w swe siły. Dusza próżna wszelkich małostkowości, wszelkiego zamykania się w formułkach, ulegania szablonom, dusza wolna, wyswobodzona lub wyswobadzająca się z wszelkich reguł i więzów obcych, dusza upojona swą wolnością i *przez wolę własną jedynie* dążąca do jedynego, upragnionego celu najwyższej doskonałości, pełni wiedzy i mocy.

Wielkiemi smugami światłości wybłyskują zasadnicze cechy te na tle chaotycznego nieco, lecz dziwnie pełnego wnętrznie, wizyonerskiego kalejdoskopu *Iluminacyj* i zwłaszcza *Sezonu w Piekle.* Jedno wielkie, nieukojone pragnienie przepaja wszystkie miejsca, gdzie śród wiru i zgiełku życia okolnego występuje na pierwsze plany indywidualność poety: poznać wszystko, wedrzeć się na najwyższe wieże, wyczerpać najgłębsze źródła, odsłonić wszystkie tajemnice — śmierci, narodzin, przeszłości, przyszłości, kosmogonii, nicestwa, ogarnąć wszechświat cały, skupić go

w sobie, rozpłynąć się w nim, jak chmurka błędna, i przez to przeniknąć go nawskroś, a potem stopić to wszystko w sobie: nie wiedzieć już tylko, lecz czuć to wszystko, być tem wszystkiem, módz to wszystko, posiąść wiedzę i moc zarazem. „Pragnienie to, tak szalone“, jest tą „hydrą wewnętrzną bez paszczy, która ciągle nurtuje go i udręcza“. Jedyny żal jego — to owa „straszliwa ilość siły i wiedzy, którą los zawsze oddalał od niego“. Intensywność tych pragnień, kolosalny, bezgraniczny ich mistycyzm, niezłomna ich wytrwałość musiały go pchać nieustannie naprzód i uniemożebniać najmniejsze ustępstwo, najmniejszy kompromis z sobą samym. Człowiek, który za jedyne życia zadanie uważa „odkrycie światłości boskiej, zdala od ludzi umierających pośród pór roku“, człowiek, który „oczekuje Boga z łakomstwem“, nie mógł się zadowolnić ani poezyą, w której rezultat *zawsze* jednak daleki jest od marzenia twórczego, ani Europą z jej ziemskiemi jeno troskami, z letniością wiar, wstrętną hypokryzyą stosunków społecznych, śmieszną pychą nauk empirycznych, brakiem wszelkich entuzyazmów, drobiazgowością i formalistyką zwyczajów. Musiała wydać mu się zmarnowaną ta *oisive jeunesse à tout asservie,* w ciągu której tworzył rzeczy, dziś go nie zadowalające, i ulegał wszystkim przesądom i prądom umysłowym Europy. *Musiał* sobie powiedzieć: „point de cantiques!“ — i zmilknąć; *musiał* się uczuć pociągniętym przez nieznane dale i przez wielką, cichą, kontemplacyjną mądrość Wschodu.

I tak też było w życiu.

Paterne Berrichon, starając się wytłómaczyć ucieczkę Rimbaud'a na wschód i porzucenie poezyi, przytacza początek znanego wiersza Mallarmé'go:

La chair est triste, hélas! et j'ai lu tous les livres.
Fuir! là-bas fuir! Je sens que des oiseaux sont ivres
D'être parmi l'écume inconnue et les cieux.

Wygląda to, jak gdyby Rimbaud w epoce twórczości swojej zatapiał się cały w sobie, w myślach, marzeniach, w studyach, w książkach, odsuwając się zupełnie od świata zewnętrznego, i jak gdyby nagle wszystko to wydało mu się jałowym, ciasnym pedantyzmem, czemś niższem od prostego, niebawiącego się w dociekania, nieświadomością swą właśnie upajającego życia. Mylne to podwójnie. Przedewszystkiem, cerebralna, pełna metafizycznych aspiracyj natura Rimbaud'a nie byłaby zdolna do wyłącznie żywiołowego, nieświadomego stosunku z zewnętrznością, powtóre zaś nie poświęcał on nigdy w zupełności tej ostatniej na rzecz myślowych wgłębiań się i zaciekań, i w chwilach najgorliwszych studyów, najzapalczywszych wchłaniań mądrości książkowej, uzupełniał zawsze pracę umysłową niemniej zapalczywem, szerokiem, pełnem obcowaniem z naturą i życiem zewnętrznem. Legendarnemi przecież stały się jego piesze wędrówki, jego *jambes sans rivales*, jego przygody i niesłychanie urozmaicone koleje życiowe. Wszechstronność tę, względnie rzadko spotykać się dającą u intelektualistów, twórców czy to w sztuce czy w nauce, a będącą powodem tak niesłychanego połączenia głębi myślowej z żywiołową pełnią życia w jego utworach, — zauważamy w nim od lat młodocianych, gdy działały niewątpliwie jeszcze tylko nieświadome popędy. Piętnastoletni dzieciak, zdumiewający nauczycieli w kolegium zdolnościami i erudycyą, tłómaczący wierszem Juwenala, Tybulla i Propercyusza, znający wówczas już całą literaturę francuzką, od Rabelais'go i Villon'a aż po Baudelaire'a i wchodzących właśnie w życie parnasistów, oczytany w poetach tak dalece, że nawet między mniej znanymi umiał odnaleźć i wyróżnić ową Marcelinę Desbordes-Valmore, na którą później zwrócił uwagę Verlaine'a, — pozorny zatem mól książkowy, przebiega jednocześnie, w długich i niepozbawionych przygód włóczęgach, całe okolice rodzinnego

miasta, zna wybornie urocze i dzikie naprzemian wybrzeża Mozy, i zapuszcza się często ku granicy belgijskiej, kędy wchodzi w przyjazne stosunki z kontrabandzistami. A jak czuł już wówczas naturę, jak w wędrówkach tych prosto a bezgranicznie jej się oddawał, świadczy pochodzące z chwil owych właśnie, pełne niewymownej świeżości i bezpośredniości *Wrażenie:*

W modre, letnie wieczory, pójdę miedzą kłośną,
Łechtany zbóż kitami, deptać trawy płowe:
Marząc, czuć będę świeżość pod stopami rośną.
Dozwolę wiatrom kąpać nagą moją głowę.

Nie będę mówił, myślał. W ciszy niewysłownej,
W duszy miłość ogromna wzbierze mi z pogodą;
I pójdę, het, daleko, jak cygan wędrowny,
W Naturę, — szczęsny taki, jak z kobietą młodą.

W szesnastym roku życia, zniechęcony surowością matki — zamożnej, oszczędnej, pełnej bigoteryi, ciasnej, despotycznej mieszczki — i znużony monotonią wykładów szkolnych oraz szablonem przygotowań do bakalaureatu, młody poeta, z kajetem wierszy w kieszeni, lecz za to bez grosza przy duszy, ucieka po raz pierwszy do Paryża — i odtąd rozpoczynają się coraz częstsze, coraz dalsze, coraz bardziej epickie wycieczki i peregrynacye. Naprzód, są to, w przeciągu roku (od września 1870 do października 1871), kolejne cztery, licząc i ową pierwszą, wyprawy do znanego mu tylko z dytyrambów poetyckich i nieodparcie, magicznie fascynującego bujną jego wyobraźnię Miasta Światłości *(Ville Lumière).* Wystarczyły one do rozwiania wielu ufnych złudzeń młodego chłopca, do zaprawienia mu charakteru sporą dozą goryczy i naznaczenia twarzy owem zauważonem przez Mallarmé'go *pli boudeur et narquois,* a jednocześnie wpłynęły wybitnie na jego rozwój twórczy, na wyrobienie się ostateczne po-

jęć i talentu. Pierwsza zaraz wycieczka zakończyła się nieobiecująco. Mając bilet do najbliższej zaledwie stacyi za Charleville i dojechawszy do Paryża pod ławką wagonu, młodociany wędrownik zostaje przyaresztowany na dworcu Północnym i, dla braku wszelkich dowodów, prócz garści wierszy, wpakowany pod zarzutem włóczęgostwa do więzienia Mazas. Po dwunastu dniach dopiero decyduje się odkryć władzom swe nazwisko i, nie zobaczywszy nawet upragnionego Paryża, zostaje przez policyę odstawiony do domu. W ten sposób — powiada P. Berrichon — po przymusie rodzinnym i szkolnym, ten frenetyczny aspirant do wolności poznał przymus patryotyczny i państwowy. Przyjęty w domu bardzo źle, ucieka, w kilka dni po powrocie, do Charleroi, gdzie ma nadzieję zostać współpracownikiem dziennika miejscowego, redagowanego przez ojca jednego z kolegów szkolnych. Odbywa tę wędrówkę piechotą i bez grosza kieszeni; u celu podróży spotyka go odmowa, połączona z uwagami o sensie ogólnym, że wykształcenie i umiejętność pisania są rzeczami zbytecznemi w dziennikarstwie; wtedy, w ostatniej nędzy, żywiąc się nie wiedzieć czem, sypiając nie wiedzieć gdzie, nie chce jednak wracać do niewoli domowej i włóczy się po Belgii, oraz pełnym wojsk najeźdźczych północo-wschodzie Francyi, aż wreszcie żandarmi odprowadzają go, wynędzniałego, w łachmanach, zdumionej i zawstydzonej matce. Mimo przykrości domowych, cztery miesiące zimowe upływają mu w Charleville, zapełnione zajadłem rozczytywaniem się w starych książkach biblioteki miejskiej. W lutym 1871 r., z chwilą otwarcia bram oblężonego Paryża, sprzedaje zegarek, kupuje bilet kolejowy i z nowym zapasem wierszy oraz wyraźniejszemi już nadziejami puszcza się do stolicy. Dostał był od kogoś adres słynnego wówczas piosenkarza, karykaturzysty i cygana o zacięciu rewolucyjnem, Andrzeja Gill'a. Ufając, że, jeżeli kto, to ten

zrozumie jego buntownicze dążenia do samodzielności i nie odmówi mu pomocy, udaje się, po przybyciu na miejsce, wprost do jego pracowni, opowiada z całą szczerością swoją historyę, pragnienia, nadzieje — i zostaje odprawiony z niczem przez zdziwionego artystę. Dziwiąc się, że można było dziwić się jego postąpieniu, Rimbaud odchodzi — i znajduje się znowu sam, nikogo nie znając w całym Paryżu i nie mając grosza przy duszy. Tydzień cały, podczas mroźnego schyłku zimy, błądzi po ulicach, żywiąc się znalezionemi odpadkami, a noce przepędzając pod mostami lub na galarach z węglem, aż wreszcie, ginąc już prawie z nędzy, decyduje się na powrót pieszo do Charleville. Jak ciężka, jak krwawa to była droga, wzmiankuje później w boleśnie wstrząsającym ustępie jednego z rozdziałów („Mauvais sang“) *Sezonu w Piekle:* bez schronienia, bez odzieży, bez chleba, w noce zimowe, na dalekich drogach, i z tym — dodamy — podwójnym w sercu zawodem, że artysta i duch wolny nie rozumie podobnej sobie duszy i zostawia ją bez pomocy, oraz że owo wymarzone Wielkie Miasto, które wydawało mu się ogniskiem światła, cywilizacyi, ducha, sztuki, jest, choćby dla najzdolniejszej, lecz pozbawionej stosunków i środków materyalnych, jednostki najbezlitośniejszą z pustyń. Trzeci pobyt w Paryżu za czasów Komuny, w której wziął udział, rozczarował go znowu, zda się, do wszystkich doktrynerskich rewolucyj, i rewolucyonistów, odsłaniają mu całą próżnię szablonowych deklamacyj, całą nędzę przeróżnych kompromisów, całą przewagę interesów osobistych w tych, niby altruistycznych, zapałach i wybuchach. Pozostało mu jedno złudzenie: co do poetów, których uważał widać dotąd za ludzi wolnych, szczerych, pozbawionych małostek i dążących niezłomnie do doskonałości najwyższej, — bo, po powrocie z komuny, stworzywszy w Charleville *Statek pijany,* ten—zdaniem Retté'go—najgwałtowniejszy,

jaki sobie wyobrazić można, szloch *spleen'u* i rozczarowania, pisze do Verlaine'a, prosząc o ułatwienie mu pobytu w Paryżu, wprowadzenie w koła literackie i umożebnienie w ten sposób dalszej pracy w dziedzinie poezyi. Na chętne zaproszenie Verlaine'a, zachwyconego dołączonemi do listu poematami, przybywa do stolicy i pozostaje tam około dziewięciu miesięcy, od października 1871 do lipca 1872 roku. Była to dlań doba gorączki twórczej, największej pracy nad sobą, wgłębiania się aż do dna w istotę własną, wyzwalania się ostatecznego od wszelkich wpływów obcych, formułowania się nowych, indywidualnych pierwiastków; zarazem wszakże był to czas ostatnich i może najbardziej gorzkich rozczarowań, nawet co do ludzi ducha, nawet co do poetów. Niesłychanie jednolitej naturze Rimbaud'a, nieumiejącej oddzielać talentu od charakteru, od człowieka, potwornymi wprost wydawać się musieli poeci, doskonali jako tacy, ale jako ludzie nieróżniący się niczem od zwykłych filistrów, a nawet mogący rywalizować z tłumem pod względem ciasnoty pojęć, nieszczerości, obłudy, złośliwości, koteryjności, rządzenia się małostkami i dążenia nie do, niedościgłej choćby, doskonałości, lecz do wytworzenia byle odrębnego toniku. Jeżeli rozwiewanie się innych złudzeń znajdowało echo bądź w namiętnych, zajadłych, bądź we wściekle sarkastycznych, a niekiedy aż skatologicznych utworach Rimbaud'a, tutaj życiem już samem reagował on przeciwko wszystkim tym nędzom, skandalizując owych „gładkich“ ludzi otwartością nie w porę, przerażając ich (on zwykle milczący i zamyślony) paradoksami cynicznemi, przywdziewając maskę urwisza, łotra i nawet zbrodniarza, wprawiając ich w osłupienie fałszywemi zwierzeniami w tym rodzaju, i ciesząc się po prostu ich wstrętem, ich pogardą i wybuchami ich obrażonej wstydliwości. Wszystko to musiało naturalnie oburzać zainteresowanych i wywoły-

wać z ich strony intrygi, plotki, złośliwości, których oddźwięk znajdujemy nawet w poświęconych mu po śmierci artykułach (np. u Maurras'a i R. de Gourmont'a — w zarzutach przeciwko jego „moeurs de voyou") i pod wpływem których nawet poważny Fénéon, mówiąc o portrecie Fantin-Latour'a, twierdzi, wbrew Verlaine'owi, który dostrzegał w nim coś anielskiego, iż jest to raczej głowa chłopa-mordercy. Tu także należy szukać źródła oszczerstw, rzucanych do ostatnich chwil na obu poetów: Verlaine'a i Rimbaud'a, z powodu ich przyjaźni i zwłaszcza z powodu 15-to miesięcznych wspólnych wędrówek po Belgii i Anglii. Paterne Berrichon, w swym „Verlaine'ie heroicznym" i w życiorysie Rimbaud'a, wymierzył należną sprawiedliwość wszystkim tym infamiom — i tam też odsyłamy ciekawych „moralistów". Co do owej wędrówki wspólnej, było to po prostu wyrwanie się dwóch poetów ze wstrętnego im koła „gładkich" ludzi i szablonowych zwyczajów, w naturę, w pełnię jej pulsów, na wolność, w której życie stawało się poezyą, a poezya życiem samem.

Les courses furent intrépides,

opowiada Verlaine dzieje tej odyssei *(Laeti et Errabundi — Parallèlement),*

Des paysages, des cités
Posaient pour nos yeux jamais las;
Nos belles curiosités
Eussent mangé tous les atlas.
Fleuves et monts, bronzes et marbres,
Les couchants d'or, l'aube magique,
L'Angleterre, mère des arbres,
Fille des beffrois, la Belgique,
La mer terrible et douce...

Dla obu poetów wycieczka ta owocną była: Verlaine rozpoczął stworzonemi podczas niej *Piosnkami bez słów* (Romances sans paroles) epokę nowej, rzeczywistszej swej

oryginalności; Rimbaud zamknął swój okres twórczości dwoma wspominanemi już tylokrotnie tomikami prozy poetyckiej. Ale i Verlaine — jak słusznie zauważa P. Berrichon — był tylko przypadkiem, epizodem w ewolucyi psychicznej i życiowym pochodzie młodszego odeń o dziesięć lat Rimbaud'a. Dla pełnej, wszechstronnej i wszystko ogarnąć pragnącej natury tego ostatniego, Verlaine był jeszcze zbyt wyłącznie poetą, powodującym się, biernie poniekąd, wrażeniami chwili i tworzącym częstokroć pod ich wpływem poemata niezwykłej, przenikającej piękności, ale nie dążącym do doskonałości najwyższej — *choćby się nawet ona wyrazić w słowach nie dała,* stającym w pół drogi, zadowalającym się rzeczami *możliwemi,* człowiekiem pióra, jednem słowem, nie człowiekiem pełnym, silnym, identycznym w twórczości i w życiu. Rimbaud, znając tylko jeden cel: pełnego, najwyższego człowieczeństwa *(mage ou ange),* musiał uważać wszystkie takie rozłamy wewnętrzne, wszystkie specyalizowania się, wszystkie „zawody“ społeczne, za godną politowania i wzgardy ułamkowość.*) „Miał dni, gdy wszyscy ludzie działający wydawali mu się igraszkami śmiesznego szaleństwa; śmiał się straszliwie, długo. Potem był znowu jak młoda matka, jak siostra ukochana“ *(Délires. I. — Une saison en Enfer).* Chwila słabości, poczucie wielkiego osamotnienia, potrzeba jakiejś ręki przyjaznej *(pas une main amie! où puiser le secours?),* jakiejś duszy, której możnaby się zwierzyć, by znaleźć w niej pokrzepienie, — oto co, prawdopodobnie, sprowadziło go z Verlaine'm, który, jedyny z parnasistów, przemówił doń swojemi utworami. Bliższe poznanie roz-

---

*) J'ai horreur de tous les métiers. Maîtres et ouvriers, tous paysans, ignobles. La main à plume vaut la main à charrue. — Quel siècle à mains! — Je n'aurai jamais ma main. *(Mauvais sang. — Une saison en Enfer).*

wiało złudzenia marzonej wspólności duchowej — a ostatnie to rozczarowanie przekonało, zda się, Rimbaud'a o konieczności osamotnienia: „que parlais-je d'une main amie?.. il me sera loisible de *posséder la verité dans une âme et un corps*" (Adieu — Une saison en Enfer). Dwaj *laeti et errabundi* musieli się rozejść — i to dla tego właśnie, nie zaś dla jakiejś komentowanej plotkarsko przez kumoszki dziennikarskie kuli rewolwerowej. Verlaine, większym niż poprzednio poetą, wrócił do „straszliwych rozbić" *(affreux naufrages)* swych losów; Rimbaud, położywszy wizyonerskie prozy *Sezonu w Piekle* niby głaz grobowcowy nad zamkniętą epoką twórczości poetyckiej, rozpoczął swą wielką, aż do śmierci trwającą tułaczkę.

Gdzie nie był! Podobnie jak garść jego próz i wierszy mogłaby nie czterech lat „sztubackich", lecz życia całego chlubnym, dla kogo innego, być rezultatem, tak wędrówkami z tej drugiej, 17 lat zaledwie obejmującej połowy życia, oraz ich owocami, kilka dłuższych żywotów od brzega po brzeg wypełnićby się dało. W taki wszystko u niego skrótowy, syntetyczny odbywało się sposób — i to mimo braku środków należytych, mimo częstej potrzeby odwoływania się do wytrzymałości własnej jedynie.

Po wydrukowaniu i zniszczeniu w Brukselli *Sezonu w Piekle*, widzimy go z końcem roku 1873 raz jeszcze w Paryżu, ale bardzo krótko. Cały prawie rok 1874 spędza w Londynie, utrzymując się z lekcyj francuzczyzny i uzupełniając gorliwie swą znajomość języka angielskiego. Z początkiem roku 1875 wyrusza do Stuttgardu, gdzie przybyły w odwiedziny Verlaine zastaje go „w pełnej gorączce filomatycznej", bardzo poprawnego, bardzo ustatkowanego, szperającego zajadle po bibliotekach. Po czterech miesiącach, posiadłszy gruntownie język niemiecki, sprzedaje szczupłą swą walizkę i puszcza się raz pierwszy ku Wschodowi, zmierzając tymczasem na jedną z Cyklad, gdzie miał jakiegoś

przyjaciela. W Altdorfie, u stóp S. Gotarda kończą mu się pieniądze; przechodzi więc pieszo przez górę i, prawie umierający ze zmęczenia i głodu, dobija się do Medyolanu. Tam, przygarnięty przez kogoś, korzysta z miesięcznego wypoczynku, aby nauczyć się łatwej dla francuza włoszczyzny. Odzyskawszy siły, rusza dalej piechotą, kierując się ku Brindisi, ale między Livornem a Syeną pada od porażenia słonecznego. Wyleczony w szpitalu livorneńskim i odesłany przez konsula francuzkiego do Marsylii, miesiąc przeszło, choć jeszcze bardzo osłabiony, pracuje ciężko na życie, aż pewnego dnia, umierając prawie z głodu, daje się zwerbować do armii karlistów. Odebrawszy wszakże zadatek i zaspokoiwszy żołądek, przypomina sobie całą nędzę i ohydę wojny i, zamiast na miejsce swego przeznaczenia, odjeżdża do Paryża, a ztamtąd do domu. W roku 1876 przedsiębierze drugą próbę dostania się na Wschód, tym razem przez Wiedeń, Warnę i morze Czarne. W Wiedniu, obrabowany doszczętnie przez dorożkarza i zgraję łotrzyków, żyć musi znowu z pracy rąk, aż skutkiem jakiegoś — z humanitarnych powodów — starcia z policyą zostaje odstawiony pod eskortą do granicy niemieckiej, ztamtąd w podobny sposób do granicy alzackiej, zkąd przez Strasburg piechotą dostaje się do domu. Niezniechęcony temi niepowodzeniami, szuka innej drogi do upragnionych dalekich krain Wschodu i daje się zwerbować w Holandyi do wojsk wysyłanych na Jawę. Na miejscu wszakże, nie mogąc znieść dyscypliny wojskowej, burząc się przeciwko okrucieństwom spełnianym na krajowcach, widząc wreszcie, że w położeniu żołnierza niema co marzyć o zwiedzeniu tego bajecznego kraju wulkanów, — dezerteruje z wojska, miesiąc ukrywa się w pełnych dzikiego zwierza lasach dziewiczych, aż wreszcie przyjęty zostaje na pokład odpływającego statku angielskiego, który go przywozi do Dieppe. Po paromie-

sięcznym odpoczynku w Ardennach, zajęty ciągle myślą wyprawy na Wschód i chcąc zdobyć potrzebne do tego środki, zostaje sam, pod przybranem nazwiskiem, werbownikiem holenderskim w jednem z miast na pograniczu Niemiec, i zarobiwszy w ten sposób sporo pieniędzy, udaje się do Hamburga, aby tam wsiąść na jakiś odpływający okręt kupiecki. Straciwszy wszakże w wesołem mieście zebrane kapitały, przyjmuje z musu miejsce tłómacza - kontrolera w wędrownym cyrku Loisset, udającym się właśnie na północ. W tym charakterze poznaje Kopenhagę i Sztokholm. W tem ostatniem mieście, znudzony monotonią zajęcia i dręczony ciągle pragnieniem zwrotnikowych krain wschodu, porzuca swą posadę i, dzięki konsulowi francuskiemu, dostaje się z powrotem, tym razem koleją, do Charleville. Od roku 1878 gorące pragnienia jego zaczynają się poniekąd urzeczywistniać. Pewien dom kupiecki w Hamburgu przyjmuje go i wysyła do Aleksandryi. Po przybyciu na miejsce, 24-letni Rimbaud znajduje inną posadę, nadzorcy łomów granitu i marmuru na Cyprze. Po 6-ciomiesięcznym pobycie w niezdrowej, upalnej, bezdrzewnej miejscowości, dostaje gwałtownej febry i, wróciwszy na kuracyę do domu, pozostaje tam rok cały. W Marcu 1880 roku widzimy go znowu na Cyprze jako nadzorcę przy budowie pałacu gubernatorskiego na Troodos, najwyższej górze wyspy. Mimo iż zajęcie to otwierało mu na przyszłość doskonałe pod względem materyalnym widoki, pchany żądzą widzenia dalszych jeszcze krajów i rozwinięcia szerszej, niezależniejszej działalności, porzuca je po kilku miesiącach, wsiada na statek odchodzący na morze Czerwone, i zwiedziwszy po drodze porty Dżeddah, Suakim, Massaua, Hodeida, wylądowuje w Adenie. Początkowo tam, dostawszy miejsce w kantorze francuskiej spółki kupieckiej, potem jako reprezentant tejże spółki w Harrarze, wreszcie, od roku 1888, jako wspól-

właściciel i główny zarządca samodzielnej tamże faktoryi, rozwija, obok zabiegów kupieckich, niesłychanie szeroką działalność cywilizacyjną, podróżniczą, kolonizatorską, nie zapominając przy tem ani na chwilę o pracach czysto umysłowych. Przyswaja sobie całą praktyczną wiedzę techniczno-inżenierską, sprowadza masami z Europy książki i narzędzia, szerzy i stosuje te pożyteczne wiadomości pomiędzy krajowcami, stara się wszczepić im wszystko, co postęp europejski ma dobrego, sam postępuje z nimi z najwyższą sprawiedliwością i dobrocią i wpływa w tym-że kierunku na odwiedzających go gwoli wskazówkom i objaśnieniom pionierów europejszczyzny w Afryce. Zwiedza kraje somalisów, Szoa, Abisynię, posyła memoryały Towarzystwu Geograficznemu w Paryżu, gotuje obszerne sprawozdania naukowe o swych podróżach, poznaje dokładnie przeróżne miejscowe języki i narzecza, mówi niemi doskonale, bada zwyczaje, pojęcia i sposób życia krajowców, studyuje gorliwie koran i inne księgi wschodnie, jakie wpadną mu w ręce. Prowadzi nawet dość ważką politykę: zrozumiawszy pierwszy wielkie znaczenie Abisynii dla Afryki, wpływa owocnie na Menelika oraz na jego najlepszych doradców, z ras Makonnenem w pierwszym rzędzie. W trakcie pełnego rozwoju całej tej działalności, wybuch nagły dziedzicznej, zda się, choroby (synovitis), która znalazła w klimacie afrykańskim sprzyjające dla siebie warunki, zmusza go udać się po ratunek lekarski do Adenu, a potem do Marsylii. Amputacya nogi, dokonana w tem mieście, nie sprowadza pożądanego rezultatu. Choroba powraca — i śmierć zabiera niezmordowanego wędrowca w 37-ym roku życia.

Oto suchy szkielet tej jedynej w swoim rodzaju odyssei. Dzięki gorliwym zabiegom P. Berrichon'a, i życie, rozwijające się na tle tej panoramy przemierzonych dróg i krajów zwiedzonych, nie pozostało zupełną *vita abscondita*.

Na pierwszy rzut oka, zebrane przezeń materyały zawodzą poniekąd. Zwłaszcza w listach Rimbaud'a do rodziny, na pozór, niemasz ani śladu wielkiego twórcy *Statku Pijanego.* Same sprawy i rzeczy praktyczne, niekiedy aż małostkowe, niekiedy aż trywialne. Żadnych trosk idealnych, żadnych targań się dusznych, żadnego — jak mówi P. Berrichon — dramatu wewnętrznego. Ale dość przypomnieć sobie kolejne — aż po Verlaine'a — rozczarowania Rimbaud'a, oraz będące ich skutkiem absolutne zamknięcie się w sobie; dość zwrócić uwagę, że listy owe pisane były do osoby poziomej, trzeźwej, ciasnej, wrogiej wszelkim „niepraktycznym“, idealnym powołaniom i zajęciom. Jeżeli, potem, wczytamy się raz jeszcze, i teraz już baczniej, w pozorną szarzyznę tej korespondencyi, zastanawiać nas powoli zaczną jak gdyby ścmione umyślnie błyski, jak gdyby zmienionym dla niepoznaki głosem wymawiane słowa, aż wreszcie ze wszystkich niedomówień tych, w zestawieniu z innemi źródłami i świadectwami, złoży się, może nie kompletna duchowa fizyognomia dozgonnego wędrowca, lecz, w każdym razie, wyrazisty, konturowy jego profil. Wspomniane inne źródła, składające się przeważnie z zeznań i wspomnień świadków naocznych, ludzi z najrozmaitszych sfer, zawodów i narodowości, są może niedość obfite i przeważnie ogólnikowe, ale za to tak stanowcze i jednogłośne, że obracają poprostu w nicość oszczercze, fantazyjne historyjki pp. Maurras'a i R. de Gourmont'a. W nowem, rzeczowem tem oświetleniu, „banalny awanturnik“ obu krytyków, żądny jedynie złota, rozgłosu, karyery i użycia, posągowo wprost zaczyna się zarysowywać. „Odczuwszy tyle namiętności“ — powiada p. Maurras — „poznawszy tyle krajów, przeżywszy tyle różnych żywotów, nie zdołał nawet ukształtować sobie własnej osobistości“. Owszem— tylko, że była to osobistość pełnego człowieka, nieuchwy-

tna dla spostrzegaczy gubiących się w drobiazgowych odrębnościach; był to pełny, wielki ton, mający w sobie wszystkie harmoniki, nie drobny tonik, tem tylko istniejący, że różny od innych. Wszechstronność, zdumiewająca równowaga władz i pragnień, którą Rimbaud odznaczał się już zamłodu, wzrosła i spotęgowała się tylko w ciągu tych 17-tu lat tułaczki.

Stał się, jak pragnął i przepowiadał sobie w *Sezonie w Piekle* (Mauvais sang), jednym z rasy silnych. Szematyczny obraz wędrówek jego świadczy już sam przez się o niesłychanej odwadze, wytrzymałości i odporności na wszystkie klęski i niepowodzenia fizyczne czy moralne. W Afryce właściwości te zrobiły go wprost sławnym i legendarnym. Podróżnik Jehan Soudan sprawdził osobiście, że nad brzegami morza Czerwonego żyje dotąd pamięć odbytej przezeń, w prostym fezie tureckim, podróży przez jakąś pustynię podrównikową, którą nawet krajowcy Somalisowie omijają z obawą, twierdząc, że mózg się tam gotuje i czaszka pęka. Przechodząc — jakże niesłychanie! — wszystkich, „sławnych“ podróżników wszechstronną wiedzą i inteligencyą, nie ustępował najsławniejszym pod względem rzutkości, wytrwałości, zimnej krwi i niecofającej się przed żadną przeszkodą stanowczości.

Działalnością jego zawodową od czasu przybycia do Afryki było kupiectwo. Traktował je wszakże tylko jako coś przejściowego, jako środek do zapewnienia sobie bytu. Gorzki posmak, zaznanych w ciągu włóczęgi poprzedniej nędz, poniżeń i zależności, wytworzył w nim, równolegle do wszystkich innych pragnień, chęć zrobienia jakiego takiego majątku, któryby go na przyszłość zabezpieczył od powrotu podobnie rozpaczliwych sytuacyj. „J'exècre la misère!“ — pisał już w roku 1873-im. Z drugiej strony czuł, że tylko przy pewnej niezależności będzie mógł zaspokajać swą żądzę ciągłych wędrówek w po-

goni za poznaniem wszystkiego. „W każdym razie“ — pisze do rodziny z Adenu 15 stycznia 1885 r. — „nie liczcie, aby moje usposobienie stało się mniej włóczęgowskiem. Przeciwnie. Gdybym miał możność podróżowania, bez potrzeby zatrzymywania się gwoli pracy na życie, nie siedziałbym dwóch miesięcy na jednem miejscu. Świat jest pełen wspaniałych krajów, na zwiedzenie których nie wystarczyłyby połączone żywoty tysiąca ludzi. Ale z drugiej strony, nie umiałbym już włóczyć się w nędzy. Chciałbym dojść do jakich kilku tysięcy franków dochodu, aby módz przepędzać rok w dwóch lub trzech krajach, żyjąc skromnie i zajmując się w sposób rozumny jakiemiś pracami interesującemi.“ Majątek był zatem dla niego tylko środkiem, nie celem. Robił go też inaczej, niż zwykli eksploatatorzy afrykańscy: bez żadnego zdzierstwa, z najwyższą skrupulatnością i uczciwością, trzymając się reguły, że „trzeba prowadzić dobrze swe przedsięwzięcia handlowe lub inne, starając się jednocześnie przynieść, przez też przedsięwzięcia, pożytek krajowcom.“ Na tych ostatnich zapatrywał się zresztą inaczej, aniżeli różni Stanley'owie i inni rozbójnicy-cywilizatorzy. „Ludzie w Harrarze“ — pisze 20 lutego 1890 r. — „nie są ani głupsi ani gorsi od białych murzynów w tak zwanych krajach cywilizowanych: jest to tylko trochę inny rodzaj, oto wszystko. Są oni nawet mniej źli i, w pewnych wypadkach, zdolni do wdzięczności i wierności. Trzeba tylko być sprawiedliwym i ludzkim z nimi.“ Nie dziw, że Somalisowie uwielbiali go, niby jakąś istotę nadprzyrodzoną, i zwali go „Sprawiedliwą Wagą“; nie dziw, że nawet w miastach, w Entotto, w Adua, osoba jego była symbolem dobroci i uczciwości, a imię jego wymawiano ze czcią prawie religijną; nie dziw, że wszyscy wodzowie abisyńscy patrzyli na niego z uwielbieniem, a ras Makonnen, najrozumniejszy, najszlachetniejszy, najheroiczniejszy między nimi, był go-

rącym przyjacielem Rimbaud'a, i ozwał się po jego śmierci, iż „Bóg powołuje do siebie tych, których ziemia niegodna jest nosić."

Jakże dziwnie — co najmniej! — wyglądają, w zestawieniu z temi faktami, apodyktyczne zapewnienia R. de Gourmont'a o „złym z natury i nawet okrutnym" *(nativement méchant et même féroce)* charakterze Rimbaud'a! A na tem uznaniu krajowców nie koniec bynajmniej. Wszyscy eurupejczycy, którzy zetknęli się z Rimbaud'em w Harrarze lub Abisynii, wspominali z wdzięcznością jego dobroć i uczynność bez granic. Od roku zwłaszcza 1888 do 1891, faktorya jego w Harrarze była jak gdyby bezpłatnym zajazdem, z którego korzystali podróżnicy, misyonarze i inni przybysze z krajów dalekich, a gospodarz, oprócz tej gościnności, udzielał każdemu rad, wskazówek, potrzebnych wiadomości i nawet pomocy materyalnej. Ta chętność do usług była też do pewnego stopnia powodem, że sam nie zrobił wielkiego majątku. Zebrał zaledwie około 50000 franków, co, przy jego inteligencyi i energii, oraz przy zyskowności przedsiębierstw afrykańskich, musiałoby wydać się zdumiewająco małą sumą, gdybyśmy nie wiedzieli, że „dawał, dawał, dawał", odkładał dłużnikom terminy, ratował zaliczkami zrujnowanych i nawet podejmował się, na cudzą korzyść, trudnych misyj i wypraw niebezpiecznych. (P. Berrichon — *la Vie de J. A. R.*, str. 213). „Dobroczynność jego — pisze do autora życiorysu b. zwierzchnik Rimbaud'a w Adenie, p. A. Bardey — bardzo dyskretna i szeroka, była prawdopodobnie jedną z rzadkich rzeczy, które robił nie szydząc i nie objawiając głośno swego wstrętu". Na te jego sarkazmy, na kaustyczne, gryzące uwagi, których pono nie szczędził, uskarżała się większość europejskich przybyszów do Afryki. Ale pozorna ich sprzeczność z dobrocią charakteru stanie się zupełnie zrozumiałą, gdy przypomnimy

sobie, z jakich to wybiorków społecznych rekrutują się zwykle ci — jak spółczująco nazywa ich p. Bardey — „biedni wychodźcy, puszczający się na los szczęścia w nadziei szybkiego zrobienia majątku“, — i jak bardzo goryczyć musiały Rimbaud'a ich mizerne, małostkowe nawyknienia europejskie, z jednej strony, a zapędy rozbójniczej wprost eksploatacyi, z drugiej. Podawał im w potrzebie dłoń pomocną, ale szydził krwawo z ich nędzy dusznej, wiedząc, że jest niepoprawna. Wogóle, dobroć jego była dobrocią człowieka z „rasy silnych“, która ratuje potrzebującego i uciśnionego, ale nie oczekuje za to chwały ani wdzięczności — i nie rozrzewnia się też sentymentalnie, nie uprawia jakiegoś kultu cierpienia.

I wszystko inne zresztą, co czynił, było pozbawione zupełnie motywu pychy lub chęci sławy. Zmuszony do dłuższego pobytu w Harrarze przez pragnienie zrobienia majątku, któryby zapewnił mu niezależność, pochłaniał chciwie intelektualne pierwiastki zwiedzanych krain, bogacił wiedzę krajoznawczą przez wygotowywanie sumiennych memoryałów, stwarzał w Abisynii owo, po dziś nadające kierunek polityce krajowej, stronnictwo cywilizacyi, szczepił dookoła siebie dobre jedynie tej cywilizacyi pierwiastki — ale wszystko to robił jak gdyby przez prostą ekspansywność życiową, nie szukając w tem chluby i nie uważając tego za swój cel i zadanie. Jedyną rzeczą, która absorbowała wszystkie jego myśli, nie dawała mu ani na chwilę spokoju, i której ślady przewijają się przez całą jego korespondencyę, była żądza dalszej, bez kresu żadnego, wędrówki, dalszego zbogacania swej istoty wnętrznej nowemi szeregami wrażeń, nowemi zapasami wiadomości. „Mam nadzieję“ — pisze z Harraru 10 stycznia 1889 r. — „że kiedyś będę mógł żyć według upodobania, podróżować, oglądać. *Chciałbym przebiedz świat cały, który ostatecznie nie jest tak wielki.*“ Paterne Berrichon

widzi w tem nieukojonem pragnieniu poznania wszystkiego, w tem dążeniu do ogarnięcia świata całego, cel — wszystko jedno, świadomy czy nieświadomy — jakiegoś niezrównanego uprowidowania się w poezyę, w idee, obrazy, rytmy nawet. Że to było celem nieświadomym, popędem instynktowym, rzecz możliwa i prawdopodobna. Dla poety, jakim Rimbaud okazał się w ciągu czterech lat swojej twórczości, poezya nie mogła być tylko „lekkim przypadkiem w życiu“, „paroksyzmem lirycznym“. Jest tajemnicza wyspa Thule, na rozgraniczu między światem zwykłych ludzi, zwykłych uczuć, i innym jakimś, nie dla wszystkich dostępnym bytem wielkich cudów, tajemnic i głębin. Geniuszom tylko po za wyspę tę w żegludze żywota wypływać dano, ale kto raz przylądki jej minął, tego już ogromna nostalgia za odsłaniającemi się tam wizyami nieskończoności do końca życia nie opuści. Poeta może przestać pisać, t. j., przejawiać na zewnątrz swą twórczość, ale wnętrznie, duszą, tkwić będzie na zawsze w widzianych raz pozaziemskich, pozazmysłowych dziedzinach. Zwykłym człowiekiem już mu nie zostać — i bylibyśmy skłonni twierdzić, że, oderwawszy się od zwykłych i koniecznych, przy wcielaniu twórczości, kompromisów (bo „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie“), i nie uzewnętrzniając już swych marzeń, zachowując je w duszy własnej, ale za to w całej przedmyślowej ich bezmierności, urzeczywistnia on w sobie dopiero najwyższe pierwiastki człowieka, to, co jest w nim obrazem i podobieństwem bożem. Z Rimbaud'em, jak się zdaje, działo się coś podobnego właśnie. Świadczą o tem i wielkie, nadczłowiecze podniesienie życia i charakteru, i wieczna tęsknota ku czemuś jeszcze i jeszcze dalszemu, ku jakimś — jak w zwykły swój przyćmiony sposób powiada w listach — „rzeczom intelektualnym“, które zdają się leżeć gdzieś po za obrębem wszystkich zajęć umysłowych, jakim podczas tu-

łaczki ciągle się oddawał; i dziwne, samotne ekstazy, o których opowiada jego biograf *); i wreszcie owe, pełne wizyj czarodziejskich, majaczenia przedzgonne, w których słysząca je siostra odczuła dziwne pokrewieństwo z marzeniami i widzeniami *Iluminacyj* **). Pełnia wszystkich pierwiastków poezyi była w nim niewątpliwie niesłychana — i gdyby był żył dłużej, może niespodzianie wezbrałby w nim jeszcze, podobnie gwałtowny jak w owym czteroletnim, młodzieńczym okresie, lecz snadź daleko potężniejszy i głębszy, przypływ twórczości. Prawdopodobnie wszakże owoce tego przypływu nie zadowoliłyby samego autora, tak, jak poprzednio nie zadowalały go najwspanialsze z utworów młodzieńczych. Dusza jego, wiecznie oddana snom o najwyższej doskonałości i jedności wszystko ogarniającej, nie mogłaby znieść charakteru ułamkowości i ograniczoności, jaki proces wcielania w słowo nieodzownie każdemu nadaje marzeniu, a brak wszelkiej zawodowej miłości własnej kazałby mu raczej milczeć, aniżeli, poprzestając na rzeczach dla niego samego niewystarczających, zrezygnować ze swych pragnień bezwzględnych. Raczej niż tworzyć choćby najwyższe osiągalne, lecz jego samego nie zadowalające rzeczy, wolałby niezawodnie, w samotności i milczeniu, lecz za to nie rezygnując z niczego, drgać całą pełnią

---

*) „On le vit bien parfois, enveloppé dans son burnous, sous le soleil chaleureux et devant la mer immense et maudite, se plonger, solitaire, dans une extase d'immobilité. Mais c'était, à n'en point douter, pour s'assimiler quelque mystère créateur d'étranges beautés". (P. Berrichon. *la Vie de J. A. R.*, p. 218).

**) „...puis il a de merveilleuses visions. Il voit des colonnes d'améthyste, des anges marbre et bois, des végétations et des paysages d'une beauté inconnue; et il emploie, pour dépeindre ces sensations, des expressions d'un charme pénétrant et bizarre..." (Relacya siostry o ostatnich chwilach Rimbaud'a, *tamże*, str. 252, 253).

boskich w człowieku pierwiastków — a to jest pogranicze świętości.

Gourme sublime, miraculeuse puberté! — woła z zapałem Verlaine, charakteryzując okres twórczości Rimbaud'a. I w istocie jest to fenomen, który nigdy przedtem się nie zdarzył i może nigdy się nie powtórzy. Nie mamy w dziejach poezyi przykładu równie potężnych, głębokich i, tu i owdzie, bezwzględnie doskonałych rzeczy, stworzonych w równie młodym wieku. A mówimy to, w dodatku, tylko na podstawie tej niewielkiej garstki utworów, które do nas doszły. Ile, po za tem, nie gorszych, a może nawet wspanialszych jeszcze poematów napisał zdumiewający ten młodzik, trudno wiedzieć, skoro nic nie drukował, a rękopisów swych — mamy na to dowody — nie szanował bynajmniej. Nawet z rzeczy, które bądź czytał nielicznym swym przyjaciołom i opiekunom paryskim, bądź przesyłał im w manuskrypcie, wiele zaginęło bez śladu. Verlaine, w swych *Poètes maudits,* wylicza cały ich szereg *(les Veilleurs, les Réveilleurs de la nuit, Douaniers, les Mains de Jeanne-Marie, Soeurs de charité),* zaklinając — *au nom de l'honneur des Lettres* — wszystkie osoby znane lub nieznane, którym rękopisy te mogły wpaść w ręce, aby chciały użyczyć ich do skopiowania, gwoli uzupełnieniu w ten sposób spuścizny poetyckiej po Rimbaud'zie. Musiały między temi przepadłemi — bodajby nie na zawsze — utworami być rzeczy pierwszorzędnej wartości, jeżeli Verlaine, doskonały i szeroki znawca poezyi, i któremu nie obce przecież było to arcydzieło, jakiem jest *Statek pijany,* z większym jeszcze zapałem wyraża się o wymienionych wyżej *Czuwaczach.* „Utwór ten“ — powiada — „zostawił mi wrażenie potężniejsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek odniosłem przy czytaniu wierszy. Ta-

kie w tem było drganie, taka szerokość, taki smutek poświętny! I taki szczytny akcent beznadziejnego udręczenia, że zaiste pozwalamy sobie przypuszczać, iż był to najpiękniejszy utwór Rimbaud'a, o wiele piękniejszy od wszystkich innych!"

Ta garstka poezyi i próz, która doszła do nas, nie jest po dziś uszeregowana w kolejnem następstwie powstawania. Autor nie kładł prawdopodobnie dat na swoich rękopisach — i dla tego nawet życiorys napisany przez P. Berrichon'a oraz sporządzona przez tegoż edycya dzieł poety, różnią się bardzo często co do chronologii utworów. Tymczasem jakie takie uporządkowanie pod tym względem jest nieodzowne, ponieważ czteroletni okres twórczości Rimbaud'a nie jest bynajmniej jednolitą całością, lecz szeregiem błyskawicznie po sobie następujących i różniących się zasadniczo stopni ewolucyjnych. Podstawowe, wrodzone pierwiastki talentu pozostają, rzecz prosta, te same, ale wzajemne ustosunkowanie ich tak się zmienia, że o ogólnej, szematycznej charakterystyce nie może być mowy. Retté, który pokusił się o coś podobnego, stosuje mylnie do całej twórczości cechy ostatnich wyłącznie pism, *Iluminacyj* i *Sezonu w piekle*. Analiza kolejna wewnętrznego charakteru poszczególnych poematów sama już wykazuje trzy z gruntu odrębne ich grupy. Uzupełniając ją udowodnionemi jedynie danemi biograficznemi i chronologicznemi, dochodzimy do stwierdzenia w tym krótkim rozwoju twórczości trzech kolejnych, bardzo wyraźnych podookresów: w pierwszym dominują wpływy obce; drugi charakteryzuje stopniowe wyrabianie się indywidualności aż do skończonych, absolutnych jej przejawów, ale bez kategorycznego i wszechstronnego zrywania z tradycyami poetyckiemi; w trzecim poeta odrzuca bezwzględnie stare drogi w pogoni zajadłej za nową treścią i formą.

Zapalczywe czytelnictwo, rozległe, jedyne w swoim

rodzaju znawstwo poetów francuskich, od najdawniejszych do ostatnich, — oto co musiało napełnić wyobraźnię 15-toletniego ucznia retoryki całą masą reminiscencyj, które odbiły się w powstających jednocześnie własnych jego rzeczach. Niektóre z nich były zresztą może pisane pod bezpośrednią pobudką jakiejś niezwykle porywającej lektury. Trudno się przeto dziwić, że we wszystkich prawie „szkolnych“ poezyach Rimbaud'a znane pobrzmiewają echa, że w „Kowalu“ odczuwamy Wiktora Hugo, w „Ofelii“ — Musset'a, w „Balu wisielców“ — manierę z okolic roku 1830, w „Słońcu i Ciele“ — pomieszane wpływy dwóch mistrzów poprzednich, oraz Leconte de Lisle'a i zwłaszcza Banville'a, którego *Wygnańców* Lemerre wydał przed dwoma laty właśnie. Dwa zaledwie niewielkie utwory: przytoczone wyżej *Wrażenie,* oraz kolorystyczna i pełna blasków *Głowa fauna,* wolne są od wszelkich analogij książkowych i odsłaniają zupełnie odrębną, opartą na nieświadomem jeszcze dążeniu do syntezy, do ogarniającej wszystko jedni, zdolność czucia i widzenia. Ale nawet w owych wpółnaśladowczych poematach niechaj nikt nie spodziewa się niewolniczego kopiowania pierwowzorów, ani żadnych, zwykłych u początkującego niedołęstw. Ta sama gruntowna znajomość całego obszaru poezyi ojczystej rozwinęła do tak niezwykłego stopnia wrodzone u młodziana poczucie rytmu i obrazu, że, nawet ulegając jakiemuś wpływowi, umiał przetwarzać go poniekąd,—a pod względem faktury uczyniła go odrazu majstrem skończonym. Verlaine w *Poètes maudits* rozbiera szczegółowo owoczesny jego styl i technikę — i nie ma im nic do zarzucenia; wszystkich zaś sprawozdawców uderzają nawet w najsłabszych utworach z tej epoki całe szeregi poszczególnych wierszy, które — powiada Retté — zachwyciłyby najwybredniejszych. Przyczyniał się do tego snadź i zauważony przez Mallarmé'go *(Divagations,* str. 81), niezwykły

zlew jednoczesnych wpływów: klasycyzmu, romantyzmu i parnasu, który chronił młodego poetę od wszelkiego rodzaju jednostronności, i przedziwnie zresztą godził się z szeroką, nie dającą się ujarzmić naturą jego talentu.

Z porzuceniem szkoły i pierwszą ucieczką z domu rodzinnego, kończy się w życiu Rimbaud'a okres wpływu poetów, a zaczyna przeważne oddziaływanie życia zewnętrznego. Widzimy go jeszcze przez jedną zimę zaczytującego się w bibliotece municypalnej miasta rodzinnego, ale pociągają go teraz głównie stare książki naukowe, baśnie wschodnie albo lekkie komedye i libretta Favart'a. Mniej więcej w tym samym czasie pisze do byłego nauczyciela swego, Izambard'a, że znudziła go cała poezya istniejąca, od Homera po Racine'a i Wiktora Hugo i od tego ostatniego po parnasistów, którzy, z wyjątkiem Verlaine'a, wstręt poprostu w nim budzą. Była to naturalna reakcya po namiętnem zatapianiu się w nich za szkolnych czasów, a jednocześnie objaw ogólnie rewolucyjnego nastroju młodej duszy. Musiał ten prawie jeszcze dzieciak być od lat najmłodszych naturą niezwykle prostą, szeroką, szczerą, wrażliwą i pełną zapału, i musiały mu wszystkie letniości, egoizmy, hipokryzye, poziomości i czcze formalistyki małomieszczańskiego żywota stać się wstrętnemi do ostateczności, bo gdy, wyczerpawszy cały zasób uległości, zdecydował się wreszcie na zerwanie więzów domowych, wszystkie naraz wybuchły w nim bunty, a ten ferment wnętrzny był tak gwałtowny, że liczne jego odgłosy w twórczości mają twardy ton zimnej, zaciętej nienawiści nieledwie. Niepodobna wyobrazić sobie bezlitośniejszej, bardziej miażdżącej karykatury nad przypominający akwaforty Callot'owskie obrazek: *Zasiedziali* (les Assis). Jest to zabójcza wprost satyra na bezduszne belferstwo, na trupią skostniałość, tak zwykłą niestety u kierowników młodzieży. Niesłychana potęga ironii, przera-

żająca werwa w podpatrywaniu śmiesznych i wstrętnych stron, umiejętność i logika niezłomna w doprowadzaniu ich aż do potworności, niecofająca się nawet przed skatologią zuchwałość, wreszcie nieopuszczająca autora ani na chwilę zimna krew, która do ostatnich granic potęguje wrażenie, czynią z tego obrazka coś przewyższającego najgwałtowniejsze biczowania Juwenalisowskie. Mniej sarkazmu, a więcej goryczy i jakiegoś wewnętrznego rozdarcia znajdujemy w *Poetach siedmioletnich.* Jest to wizerunek „pełnej wstrętów“ (livrée au répugnances) duszy dziecięca, tonącej w fantastycznych snach o wolności, o pełnych zapału polotach, o jakiemś życiu barwnem, bujnem, szerokiem, a skazanej na ciasną, szarą codzienność, na bezduszne, pedantyczne obowiązki, na wymuszone, drobiazgowe posłuszeństwo, i niemającej komu się zwierzyć, wyczuwającej kłamstwa i hipokryzye nawet w oku matki. Mimo pozornej objektywności autora, mimo mnóstwa rodzajowych szczegółów, coś niesłychanie bolesnego, coś przypominającego bezmowną skargę w źrenicy zamkniętego w klatce ptaka, wydziera się, niby szloch głuchy, z tej prowadzonej w trzeciej osobie spowiedzi.

Osobisty nastrój buntowniczy musiał popchnąć młodocianego poetę ku wszelakim doktrynom rewolucyjnym i ateistycznym, które nurtowały Francyę ówczesną. Pierwsze przygotowanie w tym kierunku znalazł już w studyowanych ongi tak gorliwie poetach. W *Kowalu (par trop démocsoc par trop démodé* — jak powiada Verlaine) mamy wyraźne odbicie rewolucyonizmu Wiktora Hugo, a w *Słońcu i Ciele* niemniej namacalne ślady Musset'owskiego libertynizmu i pogaństwa. Po wpływach poetów przyszły oddziaływania doktrynerów. Grzmiące ich deklamacye zasłoniły, przed okiem sympatycznie już z góry usposobionego poety, płytkość samych doktryn — i znowu oto spotykamy w sonecie *Zło* pewny dowód rozczytywania się

w Proudhon'ie, we *Wściekłościach Cezarów* i w *Paryskim Hymnie Wojennym* — ślady Hugo'wsko-Rochefort'owskich jakobinizmów, a w *Pierwszych Komuniach* i w *Nędzarzach w kościele* — echo jakichś starczo zbeżbożniałych Michelet'ów. Niestety, doktrynerskie wpływy zawsze smutne przynoszą owoce. Nawet największy talent, raz im uległszy, zdaje się tracić skrzydła i zaczyna dawać wyraz, w utworach swych, nie wiekuistym, ludzkim uczuciom, jeno sztucznym, płytkim, przemijającym prądom chwili. Tak było i z Rimbaud'em. Jego radykalizmy polityczne wydają nam się dziś już czczą retoryką, a *Pierwszych Komunij* nie uratują ani doskonała budowa poematu, ani głęboka intuicya cielesnej nędzy ludzkiej, ani mrowiące się w pojedyńczych obrazach i wyrażeniach piękności, ani nawet takie całkowite, olśniewające strofy, jak:

Adonaï!.. Dans les terminaisons latines,
Des cieux moirés des vert baignent les Fronts vermeils,
Et, tachés du sang pur des célestes poitrines,
De grands linges neigeux tombent sur les soleils.

Na szczęście dla poety życie wyrwało go szybko z niewoli doktryn, odsłaniając mu nędzę, poziomość i ohydę wszelkich zbiorowości, ukazując mu potworność wojen, obłudę rewolucyj, czczość przerabiania mas, jeśli się nie przerobiło człowieka pojedyńczego, i zwracając go ku istotnym warunkom i cechom prawego człowieczeństwa, jakiemi są: szczerość, męzkość i dobroć wielka bez sentymentalizmu. Jeszcze parę smagnięć potężnych: jedno, miażdżące wszelaką filisteryę (t. j., podłość, obłudę, bezmyślność), w *Paris se répeuple*, drugie, w tym nowym tańcu szkieletów: *Mes amoureuses,* wymierzone złudzie miłosnej, która zresztą u tak samoistnej, nieujarzmionej i raczej cerebralnej natury, jaką był Rimbaud, nigdy wielkiej nie grała roli. Potem poeta oddala się od tych zgiełków próżnych, wchodzi w siebie, uczuwa potrzebę wysubtelnienia swej istoty, spo-

tęgowania swej wrażliwości (wszystko jedno w jaki sposób: za pomocą narkotyków, trunków, przygód), pragnie sięgnąć głębiej poza brutalne, dostępne wszystkim zjawiska, ująć ukryte wiążące je ogniwa, przybliżyć się ku istocie rzeczy, chce, jednem słowem, stać się „widzącym", wizyonerem. Proces tego przetwarzania się wewnętrznego odbywa się w milczeniu, a przynajmniej nie doszły nas żadne utwory, wskazujące na stopniowy postęp w tym kierunku. Mamy z tej doby samotnych wędrówek kilka rzeczy pełnych niesłychanego wdzięku, prostoty, humoru zewnętrznego a wewnętrznej rzewności dobrotliwej. Verlaine podnosi z zachwytem dziwne połączenie płochliwości jakiejś z ogromną tkliwością, miłej karykaturalności ze szczerą serdecznością, połączenie, streszczające się we wrażeniu wielkiej litosnej dobroci, w owych wszędzie cytowanych *Osłupiałych* (les Effarés), i znajduje dla tego małego obrazka jedyne porównanie w Goyi lub w Murillu. Niemniejszą świeżością, zdumiewającą prostotą stylu i myśli, i połączeniem kpin — czasem złośliwych — z jakąś tęsknością wewnętrzną odznacza się kilka innych jeszcze, krótkich impresyj, z *Moją cyganeryą* na czele. Ale wszystko to są jeszcze jak gdyby notacye bezpośrednie, nie zdradzające bynajmniej szerokich pragnień poety, o których mówiliśmy przed chwilą, ani wywołanego przez nie niewątpliwie fermentu dusznego. Aż nagle, jak niespodziany wytrysk ukrytego pod ziemią gejzeru, wybucha to wizyonerskie już nawskroś i syntetyczne, orkanowej grozy i razem łkającej słodyczy pełne arcydzieło:

STATEK PIJANY.

Prądem Rzek obojętnych niesion w ujścia stronę,
Czułem, że już nie wiedzie mnie dłoń holowników;
Dla strzał swych za cel wzięły ich Skóry-Czerwone
I, nagich, do pstrych słupów przybiły śród krzyków.

Nie dbałem o załogi po wszystkie me czasy,
Ja, dźwigacz zbóż flamandzkich, angielskiej bawełny.
Gdy się z holownikami skończyły hałasy,
Gdzie chciałem, poniosły mię Rzek spienione wełny.

Pośród wściekłych kołysań przypływów, odpływów,
Ja, przeszłej zimy głuchszy nad mózgi dziecinne,
Biegłem! Tryumfalniejszych nie zaznały dziwów
Półwyspy wzięte lądom przez bezdroże płynne.

Zbudzenie me na morzu święcił wir powietrzny.
Dziesięć nocy, jak korek, tańczyłem po fali,
W której ludzie kołowrót widzą ofiar wieczny,
Nie tęskniąc do mdłych latarń znikłych gdzieś w oddali.

Słodsza, niż ustom dzieci miazga jabłek kwaśnych,
Wód zieleń w mą sosnową wdarła się łupinę,
Uniosła ster, kotwicę, stosy lin zapaśnych,
I zmyła kały wstrętne i win plamy sine.

I odtąd kąpałem się w wielkiej pieśni Morza,
Przesyconej gwiazdami, śpiewnej jak muzyka,
Pożerałem toń modrą, gdzie pośród bezdroża
Zadumany topielec niekiedy przemyka.

Gdzie barwiąc nagle szafir — pijanemi wiry,
Albo rytmem powolnym, pod słońc płomienienie —
Mocniejsze nad alkohol, olbrzymsze nad liry,
Fermentują miłości żółciowe czerwienie.

Znam nieba pękające w gromy i wichrzyce,
Nawroty wściekłe wałów, prądy, znam wieczory,
Znam jutrzenki srebrzyste jako gołębice,
Widziałem to, co człowiek widzieć zawsze skory.

Widziałem słońce nizko w plamach zgróz mistycznych,
Jak siało długie, zimne fioletów martwice,
Podobne do aktorów w dramach pra-antycznych,
Na fale w dal toczące swych drgań tajemnicę.

Marzyłem noc zieloną śród śniegów olśnienia,
Całunki na mórz oczy kładnące się wolno,
Żółtomodre fosforów śpiewnych przebudzenia
I niesłychaną soków pogoń dookolną.

Miesiące całe z falą, równą histerycznym
Oborom, szturmowałem ku raf skalnym ścianom,
Nie śniąc, że stopy Maryj na sierpie księżycznym
Mogą łeb dychawicznym zetrzeć Oceanom.

Potrącałem, czy wiecie? Florydy bajeczne
Z chaosem ócz panterzych i kwiatów, urody
Ludzkiej i tęcz, wiodących, jak cugle powietrzne,
Pod mórz widnokręgami, lazurowe trzody.

Widziałem wrące bagnisk olbrzymich fermenty,
Sieci, gdzie wśród trzcin gniją całe Lewiatany,
Zapadania wód nagłe śród ciszy zaklętej,
Katarakty oddaleń ku bezdni nieznanej.

Lodowce, słońca srebrne, opal fal, nieb żary,
Przeokropne mielizny w zatok ciemnych toni,
Gdzie żarte przez robactwo olbrzymie wężary
Pieszczą drzewa skręcone jadem czarnych woni.

Chciałbym dzieciom pokazać te dorady, gwiazdy
Fal modrych, ryby złote, ryby śpiewające...
Piany kwietne święciły me z golfów odjazdy,
Niewysłowionych wichrów skrzydliły mię gońce.

Czasem, gdy mię znudziły bieguny, zwrotniki,
Morze, słodko mię łkaniem kołysząc omdlałem,
Wznosiło ku mnie ssawki flory mroków dzikiej,
I — jak kobieta w modłach — wraz nieruchomiałem;

Jak wysepka gościłem ptaków roje gwarne,
Swarliwe i niechlujne, o źrenicy płowej,
I żeglowałem dalej, gdy me więzy marne
Zerwał, na sen zstępując w głąb, topielec nowy.

Otóż ja, łódź ginąca w golfach pod ziół brodą,
Miotana przez orkany w eteru przestwory,
Ja, którego kadłuba pijanego wodą
Nie wyłowią żaglowce Hanz, ni Monitory,

Wolny, rzeźwy, dymiący, odzian w mgły dziewicze,
Ja, com zachodów mury dziurawił płomienne,
W których dla dobrych piewców przednie są słodycze:
Mchy słoneczne i strzępy lazurów bezcenne,

Ja, co biegłem w płomykach elektrycznych cały,
Szczątek płochy, śród morskich rumaków eskorty,
Gdy skwarne Lipce maczug ciosami strącały
Ultramaryny niebios we wrzące retorty,

Ja, co drżałem, o sto mil czując bekowiska
Behemotów i wściekłe Maelstromów ukropy,
Pielgrzym wieczny błękitów cichych rozlewiska,
Ja tęsknię do wybrzeży odwiecznych Europy.

Archipelagi gwiezdne widziałem! Wysp roje,
Gdzie żeglarzom otwarte niebo szalejące:
— W tych-że to nocach bez dna ukrywasz sny swoje,
Milionie złotych ptaków, przyszłej Mocy słońce?

Lecz zbyt wiele płakałem! Jutrznie są bolesne,
Srogie — wszystkie księżyce, gorzkie — wszystkie zorze.
Cierpka miłość mi dała stretwienie przedwczesne.
O, niechaj dno me pęknie! Niech pójdę pod morze!

Jeżeli jakiej wody tam w Europie pragnę,
To błotnistej kałuży, gdzie w zmrokowej chwili
Dziecina pełna smutków, kucnąwszy nad bagnem,
Puszcza statki wątlejsze od pierwszych motyli.

Skąpanemu, o fale, w waszej omdlałości
Nie ubiedz już dźwigaczy bawełnianych plonów,
Nie mknąć w pysze sztandarów i w ogni świetności,
Nie pruć wód pod oczami strasznemi pontonów!

Milczące przeobrażanie się wewnętrzne doszło widać kresu. Poeta w jednem namiętnem sprężeniu wzbił się na najwyższe szczyty twórczości i nadał kształty jedyne, ostateczne i takie absolutnie nowe owej od lat najmłodszych marzonej i przeczuwanej epopei życia, „pełnej ciężkich nieb żółto-płomiennych, puszcz zatopionych, kwiatów ciała rozwitych pośród gwiezdnych borów,

— Vertige, écroulements, déroutes et pitié! — "

(les Poètes de sept ans.)

Verlaine, odebrawszy tę wizyę olśniewającą, z frenetycznym powitał ją zachwytem i jął przyzywać jej autora do Paryża, twierdząc w porywie zapału, iż dom jego, Verlaine'a, nie może nie być domem Artura Rimbaud. Według Mallarmé'go, przy tem „genialnem przebudzeniu" gasną wszystkie inne wiersze Rimbaud'a, które, bez tego zestawienia byłyby ozdobą każdej pamięci. Młodzi poeci i literaci, którzy znacznie później, dzięki Verlaine'owi, poznali cudowną tę fantazyę, z osłupieniem wprost patrzyli na zawarte w niej skarby. Feliks Fénéon orzekł śmiało, że Rimbaud „wynalazł nową poezyę i zorkiestrował ocean." Retté nieco dłużej opisuje swoje wrażenie: „To nie jest skomponowane, ani zrównoważone, ani określone w liniach; to szereg skoków szalonych pośród jakiejś rozhukanej flory z gorączkowych marzeń, podrzuty jakiegoś potworu o łusce złotej, rzygającego słońcami. To czuć siarką, opiumem i jodem alg; to ryczy jak fale rozwścieczone; to żali się jak wiatr nocny na morzu. Potem, nagle, nawałnica cichnie, i wówczas wzbija się, podobny szlochom chłostanych demonów morskich, krzyk takiej nostalgii, że widziano poetów płaczących przy słuchaniu tych wierszy, które zdają się wydobywać z jakiejś otchłani potępienia." *(Aspects,* p. 44).

Ale, wielbiąc, i podziwiając „królestwo mocy olśniewającej," „orkiestracyę oceanu," „najgwałtowniejsze, jakie

sobie wyobrazić można, szlochy spleen'u," nie zgłębiono jednak do dna tego przedziwnego poematu i nie wykazano, na czem polega nieprzemijająca jego wartość i wielkość. Tak, orkiestracya oceanu, z całą jego potęgą, z olśniewającem tęczowaniem jego barw i blasków, z burzami i ciszami, z pozornym brakiem równowagi, z bezładnemi, szalonemi podrzutami, i z ogromną jednak, wiekuistą harmonią „błękitów cichych rozlewiska", — jest niesłychana, jedyna w swoim rodzaju, i zdumiewająca tem bardziej, że poeta, który stworzył to wszystko, nigdy przedtem morza nie widział. Niesłychana ta wszakże intuicya, pozwalająca wnętrzną jakąś mocą oglądać w całej pełni i z całą plastyką to, co dla innych dopiero za pośrednictwem zmysłów dostępnem się staje, nie jest u Rimbaud'a wszystkiem. Posiada on nadto władzę widzenia tego,

.....co człowiek widzieć zawsze skory,

a czego zmysły już mu absolutnie pokazać nie mogą; słyszenia owych „długich ech, które z oddali zlewają się w jakiejś tajemniczej, głębokiej jedni, bezbrzeżnej jak noc i jak światłość". (Baudelaire — *Correspondances);* odczuwania ukrytych „korespondencyj", oddźwięków, pokrewieństw, symetryczności dziwnych w bycie, które sprawiają, że wszechświat cały jest rozbiegającym się w nieskończoność obrazem każdej zosobna jednostki, każdego pojedyńczego zjawiska, a te przedstawiają naodwrót jak gdyby zmniejszoną, sprowadzoną do pewnych granic projekcyę tej nieograniczonej całości. Że zaś z tą wizyonerską władzą, będącą udziałem i cechą geniuszów, idzie w parze, niedająca się zbadać i wytłómaczyć, zdolność zaznaczania, nieuchwytnemi jakiemiś dotknięciami, wielkiej jedności bytu, nierozerwalnego związku wszech zjawisk, — więc i ocean Rimbaud'a, po głębszem wczytaniu się w poemat, przestaje być szmatem wód, zamkniętych bądź co bądź między jakiemiś lądami, a sta-

je się wielkiem, bezbrzeżnem rozlewiskiem wszechbytu, po którem, pośród tysiącbarwnej, migotliwej, co chwila zmieniającej się zawieruchy zjawisk, błądzą pijane statki żywotów ludzkich, pijane duchową żądzą ogarnięcia wszystkości, wchłonięcia w siebie bezmiarów nieskończenia, a jednocześnie spętane cielesnemi nawyknieniami i przywiązaniami do pewnej ograniczoności, do jakiejś „błotnistej kałuży“, z której wyszły. I oto źródło rozdzierającego szlochu, który tak wstrząsające pod koniec poematu wywiera wrażenie. *Homo duplex,* „materya wiecznie w pętach wpół, wpół seraf odzian w świty“ (J. Vrchlicki), wiekuiste rozdarcie skutkiem rwania się ku nieskończoności z jednej strony, a ciążenia ku efemeryom ziemskim z drugiej, wiekuista niezgoda pragnień metafizycznych i tęsknot cielesnych, — oto co stanowi niezmienną i wszystko w sobie streszczającą zagadkę człowieka, oto co czyni go sfinksem niepojętym, oto w czem kryje się początek wszystkich spleen'ów i weltschmerz'ów, gnębiących świadomsze lub czuciowo wrażliwsze duchy. Nie przedziwne orkiestracye mórz, nie wichury obrazów, nie powodzie świateł i barw, nie wszystkie te Sezamy, Golkondy i Ofiry poetyckie czynią ze *Statku pijanego* wielkie, nieprzemijające arcydzieło, lecz ta właśnie tragedya jestestwa człowieczego, ta otchłań bezdenna rozdźwięku wewnętrznego, wyłaniająca, się, z pośród królewskich przepychów i prawdziwych orgij potęgi, z niewysłowną, wstrząsającą do głębi bolesnością i grozą.

Z przybyciem do Paryża, bezpośrednio po stworzeniu tego — jak mówi P. Berrichon — „łkającego cudu,“ zaczyna się trzecia i ostatnia epoka twórczości Rimbaud'a. Dusza, spragniona niedościgłej, absolutnej doskonałości, nie dawała mu zatrzymać się choćby na chwilę na osiągniętej już wyżynie, pchając go ciągle ku nowym wysiłkom, ku dalszym poszukiwaniom nieznanych jakichś

dróg i środków twórczych. Pisze jeszcze kilka rzeczy, nie odstępując od przyjętej poetyki, ale tylko jak gdyby dla okazania swej mocy poetyckiej, dla dowiedzenia, jak nowe rezultaty przy pomocy tych starych środków osiągnąć można. Umie, np., wziąwszy poziomy i nawet wstrętny temat, tak daleko posunąć go w głąb marzenia, w takie przedziwne rozprysnąć subtelności, w takie niewymowne rozfalować muzyki, że pozostały z pierwotnego pomysłu tytuł wydaje się czemś zupełnie obcem samemu utworowi. Takiem arcydziełkiem jest Goyowski obrazek: *les Chercheuses de poux,* dla którego Verlaine nie znajduje dość słów zachwytu. Kiedyindziej — czy to istotnie zastanawiając się nad t. zw. *audition colorée,* czy też biorąc pierwszy lepszy punkt wyjścia gwoli rozwinięciu sardanapalowskiego przepychu bogactw poetyckich — stopniuje, z niewymownem mistrzowstwem, przedziwną symfonię fantastycznych obrazów w słynnym sonecie o samogłoskach.

Wewnętrznie wszakże zajmuje go już coś zupełnie nowego. „Zmienił front“ — powiada nieco powierzchownie Verlaine — „i przerzucił się do rzeczy naiwnych, bardzo i nawet umyślnie zanadto prostych, używając już tylko asonansów, słów niepewnych, zdań dziecinnych lub ludowych.“ Dla nas ta zmiana frontu jest zupełnie zrozumiałą. Niezadowolony zrezultatów, dających się osiągnąć przy ścisłości retorycznej, obrazach systematycznie rozwijanych, strofach ciągłych, zajęty nieustannie swym snem o najwyższej doskonałości, o bezwzględnem oddaniu, bez ustępstw żadnych i rezygnacyj, pierwotnego marzenia twórczego, jął szukać nowych i skuteczniejszych środków. Widząc, że za pomocą wyraźnych, ściśle określonych, konsekwentnie po sobie następujących obrazów nie wszystko da się wyrazić, zaczął próbować tego, co później nazwano suggestyą, uciekać się do nie-

domówień, do słów o falującem znaczeniu, do niespodzianych zestawień idei i obrazów, do skrótów syntetycznych, do zaznaczania samej istoty uczuć bez ich zwykłych uzewnętrzeń, do prostoty i dziecinności wreszcie, w których — jak zauważył zapewne — wypowiada się niekiedy mimowoli znacznie więcej, niż chciał mówiący. W wierszach, dla umożebnienia tej powiewności, tego przelewania się, tej delikatności i subtelności nieuchwytnej (bynajmniej zaś nie dla samej w sobie reformy prozodycznej), musiał zerwać ze starą poetyką, rozwolnić rytmy, przytłumić rymy do samogłoskowych czysto asonansów, albo usunąć je zupełnie. Gwoli wżyciu się w cały ten nowy sposób myślenia, czucia i tworzenia, albo raczej wskutek tej zmiany pojęć i celów artystycznych, zmienił swe upodobania, lekturę i nawet kierunek swych marzeń. Opowiada sam dzieje tych wysiłków w jednym z ustępów *Sezonu w piekle* p. t. „Alchemia słowa", pisanym zresztą, zda się, w chwili, gdy Rimbaud zwątpił już o ich skuteczności:

> .....historya jednego z mych szaleństw:
>
> Chełpiłem się oddawna, że posiadam wszystkie możliwe krajobrazy, i śmiesznemi wydawały mi się wszystkie znakomitości malarstwa i poezyi współczesnej.
>
> Lubiłem malowidła idyotyczne, znaki z nade drzwi, dekoracye, płótna kuglarzy wędrownych, ludowe szyldy kolorowane; literaturę wyszłą z mody, łacinę kościelną, książki erotyczne bez ortografii, romanse przodków naszych, baśnie czarodziejskie, książeczki dziecinne, stare opery, głupowate refreny, rytmy naiwne.
>
> Marzyłem o pochodach krzyżowych, o podróżach odkrywczych, o których niema żadnych sprawozdań, o respublikach bez historyi, o wojnach religijnych zduszonych w zarodku, o rewolucyach obyczajów, o przemieszczeniach ras i kontynentów: wierzyłem we wszystkie zaczarowania.
>
> Wynalazłem barwę samogłosek! — A czarne, E białe, I czerwone, O niebieskie, U zielone. — Oznaczy-

łem formę i ruch każdej spółgłoski i, w instynktowych rytmach, pochlebiałem sobie, że wynajduję mowę poetycką dostępną, prędzej czy później, dla wszystkich zmysłów. Rezerwowałem tłómaczenie.

Było to naprzód uczenie się. Pisałem milczenia, noce, notowałem niewyrażalne. Ustalałem szały zawrotne.

. . . .

Starzyzna poetycka miała znaczny udział w mej alchemii słowa.

Przyzwyczaiłem się do halucynacyi prostej: widziałem zupełnie szczerze meczet tam, gdzie stała fabryka, szkołę doboszów odgrywaną przez aniołów, kolasy na drogach niebios, salon w głębi jeziora; potwory, tajemnice; tytuł wodewilu zdolny był wywołać straszydła przed memi oczyma.

Potem tłómaczyłem me sofizmata magiczne za pomocą halucynacyi słów!

Gorliwa ta praca wewnętrzna trwała przez cały przeciąg pobytu w Paryżu i podczas epicznych wędrówek z Verlaine'm. Owoce jej złożyły się na dwie niewielkie książeczki prozy poetyckiej, z małą względnie domieszką wierszy. Drugą, chronologicznie biorąc, wydrukował sam jeszcze Rimbaud, p. t. *Sezon w piekle*. Pierwszą — *Iluminacye* — ogłoszono bez wiedzy i kontroli autora ze znalezionego dopiero w r. 1886 rękopisu; co do układu zatem, możebności usunięcia jednych rzeczy, a dodania natomiast innych, nie mamy pewności, jak byłby sam Rimbaud przy osobistym postąpił nadzorze. Przyjrzyjmy się obu książeczkom w dzisiejszym ich stanie.

Słowo „Illuminations“ — objaśnia Verlaine w przedmowie do pierwszej edycyi — jest angielskie i oznacza ryciny kolorowe, — *coloured plates*. Skromny tytuł. Nigdy może bowiem świetniejszy potok olbrzymich czarodziejskich obrazów nie toczył szaleniej spienionych fal przez upojony mózg twórcy. „Flamme et cristal, fleuves et fleurs et

grandes voix de bronze et d'or" — woła z uniesieniem Verlaine. A przytem niesłychane syntezy, skróty, zdumiewające niespodzianością przeciwstawienia, przemawiajace naraz do wszystkich zmysłów nastroje, jednem słowem wizye oślepiające, do szaleństwa doprowadzające swoim przepychem. Niepróżno chełpi się Rimbaud w *Sezonie w piekle:* „Stworzyłem wszystkie uroczystości, wszystkie tryumfy, wszystkie dramaty. Próbowałem wynaleźć nowe kwiaty, nowe gwiazdy, nowe ciała, nowe języki. Sądziłem, że zdobywam władzę nadprzyrodzoną". *(Adieu).* Ale nie mają co tego czytać zwolennicy łatwej lektury. Tu kondensacya niesłychana, ówdzie rozpryśnięcie wrażenia na pierwiastki świetlne, barwne i inne, jak w obrazach Claude Monet'a, gdzieindziej na pierwszy rzut oka nic nie mówiąca prostota, a wszędzie dziwna jakaś nieuchwytność rzeczy ruchomych, żywych prawie — wszystko to nie nadaje się do niedbałego przebiegania naprędce oczyma. „Pisma jego" — mówi o Rimbaud'zie p. Retté, słusznie w zastosowaniu do *Iluminacyj,* ale błędnie co do innych utworów — „robią wrażenie architektur obłocznych pod skośnem światłem późnych zachodów, lub, lepiej jeszcze, wrażenie roślinności podwodnej, której liście i kwiaty drżą, przybierają przesadne kształty, deformują się, gdy patrzymy na nie po przez sfałdowane lustro tęczującej barwami rzeki" (Aspects, p. 43). Wizye przewrotów globowych, obrazy oddalonej przeszłości epickiej lub przyszłości kapitalistyczno-przemysłowej, stylizowane lub syntetyczne pejzaże, nastroje osobiste, wzloty namiętne, wybuchy sarkastyczne, chłosty straszliwe, i znowu kwiaty, ciała, mistycyzmy, omdlałości i uciszenia wielkie,—wszystko tłoczy się tu chaotycznie, wzdyma się szalenie, drga, tęczuje, migoce, żyje, i w ciągłym tym ruchu otchłanne jeszcze za sobą co chwila odsłania perspektywy. W niektórych ustępach, o świeżości i woni wiatru wiosennego,

odurza nas poprostu młodzieńcze upojenie życiem, światłem, ciepłem, wonią, wszystkością. I to w słowach często aż lakonicznych. Oto np. ta:

JUTRZENKA.

Uściskałem jutrzenkę letnią.

Nic nie poruszało się jeszcze przed frontem pałacu. Woda była martwa. Obozy cieniów nie opuściły jeszcze drożyny leśnej. Szedłem, budząc tchnienia żywe i ciepłe, a drogie kamienie spoglądały, a skrzydła wznosiły się bez szmeru.

Pierwszem przedsięwzięciem był, na ścieżce już pełnej świeżych a bladych rozbrzasków, kwiat, który mi powiedział jej imię.

Uśmiechnąłem się do wodospadu, który rozpuścił włosy pomiędzy sosnami; na szczycie srebrzystym poznałem boginię.

Wówczas jedną po drugiej zdejmowałem zasłony. W alei, machając rękoma. Na równinie, gdzie zdradziłem ją kogutowi. W wielkiem mieście pierzchała między dzwonnicami i tumami, a ja biegnąc jak żebrak przez marmurowe wybrzeża, ścigałem ją.

Powyżej drogi, około lasku laurów, otoczyłem ją pozbieranemi jej zasłonami i uczułem dotknięcie olbrzymiego jej ciała.

Jutrzenka i dzieciak upadli poniżej lasu.

Za przebudzeniem — było południe.

Gdzieindziej znowu zbiegają się wszystkie jady, wszystkie żółcie, wszystkie kwasy gryzące, wszystkie ironie i sarkazmy, jak w tej kolosalnej inwektywie, rzuconej militarnym i handlarskim demokracyom dzisiejszym:

DEMOKRACYA.

Sztandar prowadzi do plugawego krajobrazu, a nasza gwara zagłusza łoskot bębnów.

W ogniskach utrzymywać będziemy najcyniczniejszą prostytucyę. Pogrom spotka wszystkie bunty logiczne.

Do krajów zarażonych wenerą i odhartowanych!— w służbę najpotworniejszych wyzysków kupieckich lub wojennych.

Do widzenia tutaj, gdziebądź. Rekruci dobrowolni, będziemy mieli krwawą filozofię; ciemni pod względem wiedzy, przebiegli co do wygód; zdychanie dla świata, który idzie.

Oto prawdziwy pochód. Naprzód, w drogę!

Próbowano tym chaotycznym kartkom nadać jakąś spójnię, ułożyć je w porządku logicznym, odszukać ich ideę przewodnią. Verlaine, który pierwszy co do tej ostatniej zadał sobie pytanie, do przeczącego doszedł wniosku *(il n'y en a ou du moins nous n'y en trouvons pas).* Fénéon, również, porządkuje treść tylko, dzieli ją na obrazy zewnętrzności i przejawy wyodrębniającej się indywidualności poety; pierwsze układa poniekąd chronologicznie, drugie wylicza, idąc prawie za koleją stronic. To dowodzi, że wogóle nad naturą Rimbaud'a nie zastanawiano się głębiej, i nawet samych *Iluminacyj,* zachwycając się pojedyńczemi ustępami, nie badano uważnie. Jak nigdzie, wybłyska tu żądza ogarnięcia wszystkości, zła zarówno i dobra, bólu i rozkoszy, wszystkich wrażeń i uczuć, wszystkich czasów i przestrzeni, całej zewnętrzności i całej wewnętrzności. Widać to z samego nawet chaosu treści, rozbiegającej się we wszystkie strony i krańce i widocznie pragnącej zagarnąć jak najwięcej zjawisk w swój obręb. Stwierdza to niemniej skłonność trwała Rimbaud'a do syntezy i wielka jego w tym kierunku umiejętność, dążenie nieustanne do ujęcia zasadniczych wszystkiego pierwiastków, co jedynie umożebnia ogarnięcie całości. Ale nawet i wyraźne, słowne udowodnienia naszej tezy znajdujemy w *Iluminacyach,* zwłaszcza pod ich koniec, tam, gdzie — jak powiada Fénéon — „pierwotną prozę, jarą, muskularną, kolorystyczną, poczynają zastępować

piosenki ciche, półgłosowe, jak gdyby szeptane i zamierające w niepewnej chwili półsnu, półjawy.“ Charakterystyczne i przekonywające są, przed innemi, pieśni: *Nous sommes tes grands parents* (zwłaszcza strofy 1-sza i 3-cia), *Pieśń z najwyższej wieży, Wiek złoty* i *Wieczność.*

W *Sezonie w Piekle* — ta sama żądza wszystkości, jedni, absolutu; ale punkt wyjścia inny. W *Iluminacyach* poeta chce przeniknąć wszystko przez wchłonięcie wszystkiego, chce módz się czuć każdą cząsteczką bytu, chce jak gdyby zwielokrotnić w nieskończoność swą osobowość:

> Jam święty w modłach na tarasie, podczas gdy zwierzęta domowe pasą się aż do morza Palestyńskiego.
>
> Jam uczony w ciemnym fotelu; gałęzie i deszcz biją w okna biblioteki.
>
> Jam wędrowiec na wielkiej drodze przez lasy karłowate; szum szluz głuszy moje kroki. Widzę długo melancholijne złote chusty na zachodzie.
>
> Mógłbym być dzieckiem opuszczonem na grobli wybiegającej ku pełnemu morzu, małym pazikiem idącym aleją, której strop tyka niebios.
>
> *(Enfance IV).*

W *Sezonie w Piekle,* jak gdyby nawracając do starego γνῶθι σεαυτὸν, odwraca się poniekąd od zewnętrzności i oddaje się wyłącznie poszukiwaniu najczystszych pierwiastków swojej istoty. Jest to coś w rodzaju olbrzymiego rachunku sumienia, bezlitosne zrywanie wszystkich zasłon, wdzieranie się we wszystkie najtajniejsze zakąty własnej osobowości, podważanie wszystkich kamieni węgielnych umysłu, czucia i woli, nieubłagane amputowanie i odrzucanie wszelkich naleciałości, wpływów, obcych cząsteczek, analiza niecofająca się przed niczem, aby tylko wykryć w sobie tę najczystszą „étincelle d'or de la lumière *nature,*“ to coś, co jest po za wszystkiemi narodowościami, wyznaniami, prawami, zmysłami moralnemi, zasadami, dzie-

jami, po za całym tym konglomeratem, który zwie się realnością zmysłową. Jest to przerażające szarpanie się z widmami wnętrza własnego, tragiczna wędrówka po zapadłych pieczarach duszy, nowe zstąpienie do piekieł, straszniejsze, lecz i dumniejsze od Dantejskiego, bo bez żadnego wodza Wirgiliusza i bez raju u szczytu góry. Ta olbrzymia — jak mówi Paterne Berrichon — książeczka prozy, „o stylu ścisłym i wcinającym się jak rozpalone do białości ostrze, zaludniona śmiechami śmiertelnemi i wizyami proroczemi, kędy nie masz zdania jednego bez eliksiru lub jadu,“ — kończy się wspaniałym, szlachetnym akordem męzkiej rezygnacyi i *ufności mimo wszystko.* „Dość kantyków: trzeba utrzymać krok zdobyty. Twarda noc! krew przyschła dymi na mojej twarzy, a nie mam za sobą nic prócz okropnej tej drzewiny!.. Boje duszne są równie brutalne jak starcia ludzkie; ale widzenie sprawiedliwości jest rozkoszą Boga samego.—Ale jesteśmy w przededniu. Przyjmijmy wszystkie wpływy mocy i tkliwości rzeczywistej. A o wschodzie, zbrojni pełną zapału cierpliwością, wejdziemy do olśniewających miast... i wolno mi będzie posiąść prawdę w jednej duszy i w jednem ciele“. *(Adieu).*

I w pogoni za tem jedynem i wiecznem upragnieniem swem, jakichż krajów nie zwiedził, jakich oddali...

Ποθῶν δὲ φάσμα πτηνὸν εἰς αἴθραν φυγὸν,
Ποίους θαλάσσης οὐκ ἐρευνήσει μυχούς;
Ποίαν δὲ χέρσον οὐκ ἀνιχνεύσει μολών;

(Lykofron.)

Zostawił-że jakie ślady w duszach rówieśnych? Wywarł-że jakie wpływy na pokolenia następne? Mallarmé — nie rozumiemy wprost, z jakich pobudek — zaprze-

cza temu kategorycznie. „Niemasz między nowatorami“ — powiada — „ani jednego, któryby w jakichś głębszych rzeczach i w jakimś bezpośrednim rysie pochodził od Artura Rimbaud... Błysk, on, meteoru, który zapłonął bez żadnej pobudki oprócz swego istnienia, wybiegł zkądciś sam i zgasł. Wszystko, co przyszło potem, zdarzyłoby się i bez tego znakomitego przechodnia, podobnie jak żadna właściwie okoliczność literacka nie przygotowała jego przyjścia: fakt osobisty jedynie trwa, z całą siłą“ *(Divagations,* p. 81). Trudno wprost — powtarzamy — wytłómaczyć sobie i usprawiedliwić stanowczość błędnych tych twierdzeń. Mallarmé mógł nie odczuwać tej najcharakterystyczniejszej cechy Rimbaud'a, jaką jest absolutna jednolitość całej postaci, bezwzględne zlanie się człowieka i poety, mógł nie poznać się na tym pierwszym snadź objawie nowoczesnej duszy, odrzucającej wszystkie wpływy i naleciałości, sięgającej bezlitośnie w najtajniejsze swe głębie i stwarzającej się niejako nanowo, duszy, która wyziera, zwłaszcza z *Sezonu w Piekle,* a która czyni Rimbaud'a prekursorem i najbliższym krewnym takich typowych przedstawicieli kiełkującego nowego świata duchowego, jak Ibsen i Nietzsche. Ale całą rozwijającą się poezyę francuską i belgijską miał przed oczyma — a tam wpływy autora *Iluminacyj* mrowią się poprostu. Z rówieśnych, Verlaine przedewszystkiem, acz o dziesięć lat starszy od Rimbaud'a, zawdzięcza wszystko prawie, w drugiej, najlepszej epoce swej twórczości, poszukiwaniom i metodom tego ostatniego w okresie tworzenia *Iluminacyj.* Cała nastrojowa, suggestyjna, miękka, subtelna, pełna falistego wdzięku, półtonowa, tonąca w marzeniu i melodyi poezya *Piosnek bez słów* i *Mądrości,* cała skodyfikowana przez Verlaine'a *Sztuka poetycka,* nie istniałyby może, gdyby nie wpływy spółtowarzysza drogi podczas owych awanturniczych, epickich wędrówek po Belgii i Anglii.

Gędźby nad wszystko, gędźby w każdej chwili!
Przeto wiersz raczej Nieparzysty bierz,
Mglistszy, płynniejszy....
Pamiętaj także, przy wyborze słów,
Zbyt nie unikać niedbałości pewnej:
Oh, nic milszego od piosnki rozwiewnej,
Gdzie się Niepewne z Pewnem łączy znów.
. . . .
My chcemy tylko odcieniowych smug,
Nie barwy świetnej, nie, tylko Odcienia!
Oh! mgła odcienia jedyna spromienia
Sny z marzeniami, z fletnią tęskny róg!
. . . .
Kark bez wahania retoryce skręć!
A dobrze zrobisz, w energii rozpędzie,
Gdy przytrzesz Rymom zbyt lśniące krawędzie.
Nie strzeż? — Zobaczysz, gdzie je porwie chęć!
. . . .
Gędźby jedynie, zawsze, wszędzie dbaj!
Niech wiersz twój będzie czemś nagłem w przelocie,
Co — czujesz — pierzcha z duszy już w nawrocie
W innych miłości, innych niebios kraj.
Niech wiersz twój będzie szczęśliwą przygodą,
Którą ci wiatru porannego pęd
Przywiał z woniami tymianków i mięt...

Wszystkie te dogmata, przeciwstawiane z pewną zajadłością „literaturze," zdają się mieć — jak słusznie zauważa Maurras — Rimbaud'a za współwłaściciela. Verlaine sam powtarzał często, że zawdzięcza mu swą oryginalność, i gdy w dysputach literackich gromadzącej się koło niego młodzi wymieniano gromkie wódzcze imiona Dantego, Shakespeare'a, Racine'a, Goeth'ego, nie omieszkiwał nigdy zauważyć: „A zapominacie o Arturze Rimbaud!" Przez niego też wpływ poszedł na całe młodsze pokolenie t. zw. symbolistów. Uderza on w wierszach i w prozie Laforgue'a, dałby się odszukać u Vielé-Griffin'a i innych vers-libriste'ów. I inne także strony jego talentu

pozostawiły u następców wyraźne i głębokie ślady. Tak, szalony rozmach i naturalistyczne poniekąd niecofanie się przed żadnemi obrazami, z epoki *Zasiedziałych, Pierwszych komunij* i nawet *Statku pijanego,* odbiły się jaskrawo w utworach „brutalistów“, „żyjących“, „hirsutów“ i „hydropatów“, z Haraucourt'em i Richepin'em na czele. Bogactwo znowu i pewna hieratyczność obrazów, oraz organowa dźwięczność w kombinacyach zgłosek znalazły echo u Henryka de Régnier, Stuarta Merrilla i u grupy t. zw. „Magnifiques,“ której najwybitniejszym przedstawicielem jest Saint-Pol-Roux. Sonet o samogłoskach wywołał nieco pedantyczny „instrumentyzm“ René Ghil'a. Werwa i sarkazm, niekiedy sięgające aż ku skatologii, znalazły jędrnego kontynuatora w osobie Wawrzyńca Tailhade'a, w którego *Ogrodzie marzeń* trudno byłoby przeczuć późniejszego autora *Au pays du mufle.* Są to same oddziaływania cząstkowe. Aby to, co było najcharakterystyczniejszem u Rimbaud'a, jego absolutna jednolitość, jego zupełna identyczność jako człowieka i jako poety, jego niezmordowane i nieprzejednane dążenie do najwyższej doskonałości, wywarło wpływ jakiś, nie mamy żadnego przykładu. Uderzają nas natomiast dziwne, tajemnemi jakiemiś chyba, ogólnemi prądami ducha wytłómaczyć się dające, pokrewieństwa z Ibsenem i z Nietzschem. Czytając bądź *Solnesa,* bądź *Zaratustrę,* mamy poprostu wrażenie duchowego ojcowstwa Rimbaud'a względem obu tych pisarzy. Tak dalece, wywrócona u nich ode dna dusza ludzka, identyczna jest z tą, której targania się wnętrzne obrazuje *Sezon w Piekle.* Zwłaszcza u Nietzsche'go i Rimbaud'a, mimo iż pierwszy dedukuje raczej idee, drugi zaś odkrywa je wizyonersko, ton nawet ogólny jest ten sam: męzki, stanowczy, pełny wielkiej dobroci wnętrznej, a przytem gryząco ironiczny nieraz. Ton ludzi pełnych, ludzi z rasy silnych, nadludzi. Obaj stworzyli ten typ nadczłowieka.

Rimbaud próbował nadto urzeczywistnić go w sobie, być nim w życiu. Co w tym kierunku osiągnął, widzieliśmy w części życiorysowej.

Wyjątkowy w swej jednolitości, Rimbaud jest zarazem jak gdyby słupem granicznym między dawnemi i nowemi laty, jak gdyby odosobnionym w półmrokach przeszłości wybuchem ognistym, w którym dusza dzisiejsza, oglądając się w tył, wszystkie swoje pierwiastki odnaleźć może. I nawet inne, których jej brak jeszcze, które przyszłości dopiero będą snadź dobytkiem.



Miriam.

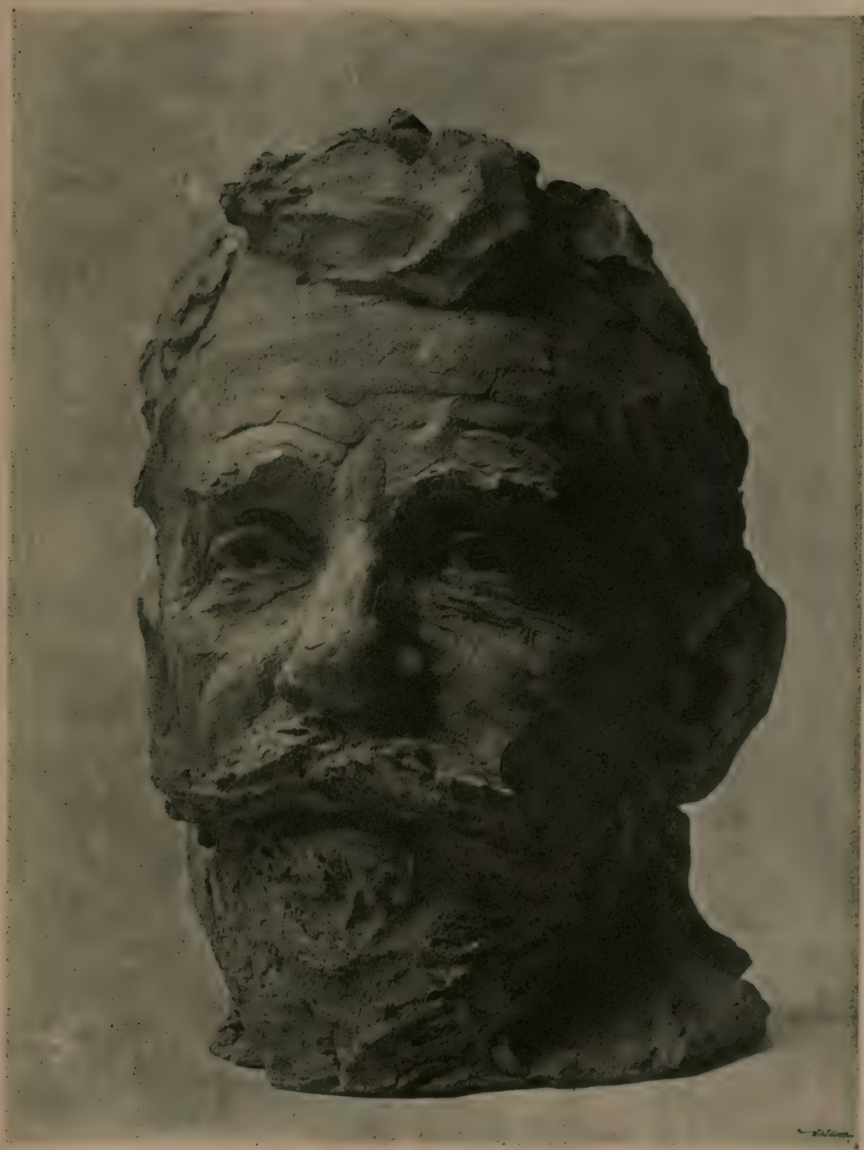


Glińska stała nieruchoma, patrzała w jakąś bezbrzeżną dal. Była trupio -blada, a oczy miała jakby skamieniałe w jakimś ciemnym bólu.

Czerkaski nie mówił słowa, tulił się tylko z jakiemś chorem, wpół błędnem pragnieniem do jej kolan.

Tak minęło dużo, dużo czasu.

Jakieś kamienne znużenie opanowało ich, ani on, ani ona nie mogliby się ruszyć.



Była chwila, w której mu się zdawało, że to wizya, że to sen. Był szczęśliwy, że tak śnić może — och, usnąć, usnąć, tuląc się do jej kolan.

Była chwila, że jej się zdawało, iż tak mocno, tak potężnie wpatrzyła się w minioną dal, że wola jej wyczarowała, przemocą wywlokła z dalekiej przeszłości tego człowieka, by nogi jej otulał, by rękoma objął jej kolana, by głowę złożył na jej sukni — tak, jak kiedyś — on, on, ten ukochany, ten przeklęty — szatan ten.

I stała, i ruszyć się nie śmiała, by sen się nie rozwiał, mara nie prysnęła — on — on...

Och, jak to koiło ból, jak to uśmierzało ten straszny lęk, to szalone, przebolesne cierpienie.

— Hanka! — wybełkotał nagle — Hanka! Hanka!

Spojrzała na niego niemem, o milion lat, o milion mil odległem spojrzeniem.

I znowu cisza.

Śnił, tak! śnił.

I ona śniła, tak! śniła.

Jak dobrze, jak słodko, i tak strasznie, tak dobrotliwie, tak łaskawie smutno.

Widziała przez wielkie okno, jak dwa konie ciągnęły wóz, naładowany kamieniami, jeden koń upadł, woźnica bił go biczem, ile sił starczyło: nic nie pomagało. Koń rżał, charczał, zrywał się na nogi i wciąż upadał. A ten drugi, wylękniony, że i jego ta sama kara spotkać może, wysilał się, szarpał postronkami i też padł. I wielka, wielka ciżba ludzi. Radzili, kłócili się, wyzywali — ale to wszystko przez sen — z dalekiej, dalekiej dali... Wiedziała, że krzyczą, ale nie słyszała krzyku. Potem chwycono konie za uździenice, postawiono je na nogi. Wiedziała, że nowy ciężki grad bicza spadł na grzbiety schudzonych zwierząt, ale nie słyszała trzasku bata, ani ryku rozgoryczonego tłumu.

Patrzała tylko z przeraźliwym spokojem, jak konie szarpnęły wreszcie wóz — jak wóz się potoczył...

— A teraz z górki będzie już łatwiej — pomyślała.

Czerkaski siedział wciąż, przytulony do jej kolan.

Jasiek linił piszczałkę z wierzby — oklepywał trzonkiem noża świeżą korę i wołał: uliń się, piszczałeczko, uliń!

Gładził swą twarz o czarny jedwab jej sukni, słyszał jej głos, jej wesoły śmiech i... i...

Ocknął się.

Spojrzał na nią.

I ona się ocknęła.

I spojrzała na niego jakimś tajemniczym, dziwnym wzrokiem.

Powstał i czekał. Więc to jawa — rzeczywiście jawa... Cofnął się.

Cisza.

Oprzytomniała.

— Pan był chory — głos jej drżał jak delikatna struna metalowa, szarpana brutalną ręką — słyszałam, że pan już zdrowszy — i — musiałam przyjść do pana z wielką prośbą...

— Hanka!

— Ja, ja... proszę pana — zrób mi pan tę łaskę... to jedno — proszę pana...

Czerkaski nic nie słyszał. Tylko bezgraniczna miłość, litość, tkliwość — jakieś nieskończone uczucie błogości, jakaś święta łaska, co się w bezdeń próżnego, wypalonego krateru jego serca gorącym zlewała strumieniem... Głos jej, jakby przywiany z za szerokich mórz, — i te oczy, te bezdenne oczy — smutne? wesołe? drwiące? szydzące? nienawistne?

Obrzuciła go nagle zimnem, stalowem spojrzeniem.

— Rozumie pan, co mówię?

— Nie!

Zamyśliła się.

— Pamięta pan ten dzień, ten nieszczęsny dzień, w którym pana poznałam?

— Pamiętam.

— Pamięta pan, co mi pan wtedy powiedział?

— Pamiętam.

— Pamięta pan, gdym — ha, ha, ha — gdym panu po raz pierwszy... ha, ha, ha... gdym się panu oddała? — szarpnęła się konwulsyjnie i wybuchnęła histerycznym śmiechem — gdy pan — pan — pan mnie do raju wprowadził? Ha, ha, ha — raj, raj, raj...

Czerkaski patrzał na nią uważnie.

— Dziwne, Hanka, to bardzo dziwne — to nie twoje oczy, i głos ci się zmienił, i masz coś takiego, co — co mi przypomina chwilę, gdyś do mnie z rewolweru strzeliła — o! strzelaj, strzelaj!

Śmiała się długo, serdecznie, dzikim obłędnym śmiechem.

— Nędzny komedyant z ciebie.

— Tak i Amen!

Cisza.

Zbladła nagle i zachwiała się. Pochwycił ją, posadził na sofie.

I znowu zdawało mu się, że śni. Dziwny, dziwny sen.

— Powiedziałam panu coś przykrego?

— Nie!

— Zdawało mi się.

Chciał wziąć ją za rękę, ale nie śmiał. Siedział cicho.

— Napijesz się Hanka czego?

— Jam nie Hanka, jam pani Glińska.

— Tak? Więc cóż?

— Więc cóż? Zaraz, zaraz... chwilę spokoju... Tak osłabłam... Zaraz, zaraz...

Po chwili:

— Jestem już spokojna! Słyszy mnie pan — rozumie mnie pan?

— I jam spokojny; słyszę i rozumiem.

— Błagam pana, proszę na wszystko, wyjeżdżaj pan ztąd; pan jest artystą, dla pana wszystko jedno, czy pan jest tam czy tu — jedź pan tylko, jedź — ja tej męki nie zniosę — ja szaleję — i on — mąż mój, traci równowagę — Chryste Panie!

Wybuchnęła płaczem.

— Jezus Marya, coś ty zrobił!

Milczał, pochwycił jej rękę i miął ją kurczowo w swej dłoni. Patrzał na nią z dziwnym lękiem. Ta drobna twarz, przezroczyście blada, i te wielkie oczy nie z tego świata, i ten głos, przywiany z za dalekich mórz...

— Hanuś, to ja — to ja...

Była jak obezwładniona, pozwoliła z sobą robić, co chciał.

— Połóż tu główkę, tu...

Wieczność minęła. Słodka, dziwnie słodka, dziwnie smutna wieczność.

To tak, jak ongi, gdy matka mu umarła, i ojciec się zamknął na siedm kluczy w pokoju — a on został sam jeden w wielkim dworze. Błąkał się, błąkał — gdzie się ruszył, upiorne, potworne, straszące cienie śmierci — śmierć, śmierć i groza i przerażenie... Nadeszła noc... Trzy razy podchodził pode drzwi ojca, i błagał, i prosił: tato, tato! — Ale ojciec, skamieniały, nieprzytomny, leżał na sofie, patrzył w sufit: nic nie widział, nic nie słyszał.

I za każdym razem pukał nieśmiało, trwożnie, czuł, że się tam dokonywa święta tajemnica bólu, który skamieniał — rozpaczy, która się w słup soli sodomskiej obróciła... i — i wracał i błąkał się po ciemnych pokojach.

I pamiętał, jak nagle wszystko sobie uświadomił.

Dzień przedtem był jeszcze dzieckiem. Podszedł ku

trumnie matki, stanął, ukłonił się i powiedział: mamo, proszę na obiad. A teraz nagle zrozumiał, że matka umarła. A może i ojciec umarł?

Tato! tato!

Śmiertelna cisza!

I — biedne, wpół błędne dziecko — znalazł się nagle w kuchni.

Kucharka drzemała, zapłakana za złotą, dobrą panią.

Foryś chrapał na ławie — stangret trzymał bicz między nogami, drzemał i czekał rozkazów pana, a konie zaprzężone od kilku godzin stały na podwórzu — oprzątaczka leżała na tapczanie, tylko jedna Ulisia siedziała zadumana i patrzała zdumiona na małego panicza.

A mały panicz rozejrzał się, spłakany.

— Tato nie chce otworzyć.

— Niech panicz pójdzie spać.

— Boję się, boję.

— To ja panicza położę spać.

Oczy, płaczem opuchłe, zamykały się — Ulisia wzięła go na ręce, obwisł nagle na jej ramionach i usnął.

Słodka, dziwnie słodka, dziwnie smutna wieczność...

Ogarnął Hankę — przytulił ją do siebie:

— Hanuś, wybacz mi, wybacz...

Szarpnęła się.

Odruchem poprawiła włosy i znowu spojrzała na niego zimnym, stalowym wzrokiem:

— Wybacz pan, jestem tak strasznie przemęczona... W tej chwili idę, tylko... przyrzecz mi pan, że pan wyjedziesz — natychmiast wyjedziesz. Teraz pan już zdrów —

— Jeszcze nie! — powiedział zimno.

— Ale w tej chwili, gdy pan całkiem przyjdzie do sił — wyjedzie pan?

— Nie!

— Nie? Nie? — Roześmiała się. — Nie? Ja pana do tego zmuszę!

— Pani?

— Tak, ja, ja — ja to zrobię.

Spojrzał na nią przeciągłym, smutnym wzrokiem.

— Nienawidzisz mnie?

Patrzyła przed siebie dalekiemi, nieprzytomnemi oczyma.

— Nienawidzisz mnie, tyś mnie zawsze nienawidziła. Zawsze, zawsze. Twoja miłość była nienawiścią.

Uśmiechnęła się.

— Tak, tak, moja miłość... miłość... Czemu mówisz o miłości? Nie kalaj tego słowa — nie kalaj, bo ty brukasz miłość, hańbisz ją, robisz ją bezwstydnym nierządem —

Podniecała się.

— No, rzuć się na mnie, — zgwałć mnie — masz prawo — jam przecież pierwsza lepsza — oszukiwałam męża, zdradzałam go, masz prawo mną gardzić, masz prawo mnie brać, kiedy zechcesz, i wyrzucić za płot jak zgniły szmat, gdy ci się znudzę...

Mówiła cicho, spokojnie, mówiła jakby z jakiemś dalekiem przypomnieniem.

— Wy wszyscy macie prawo — dla czego ty sam jeden tylko? Zdaje się, że gdzieś napisałeś: bo jeżeli żona przestąpi próg obcego męża, ukamienujcie ją...

— Hanka, Hanka, co ty mówisz — nie mów tego.

Mówiła coraz ciszej i coraz spokojniej.

— Cóż! ja tak dobrze cię rozumiem. Byłeś nieszczęśliwy ze swoją żoną, szarpałeś się — ona cię nie kochała, bawiła się z innymi — tyś był zmęczony tem życiem, zgnębiony, zapragnąłeś poduszki pod skołataną głowę, coś, coby cię na chwilę uspokoić, oszołomić mogło, no i trafiłeś na mnie... Nie, nie gniewaj się — nic nie jesteś

winien. Wszystko, wszystko moja wina; byłam niepoczytalna, po raz pierwszy pokochałam, nigdy przedtem nie kochałam, nie umiałam ukryć mej miłości, aż nadto dawałam ci do poznania, co się we mnie dzieje — tak, ja pierwsza powiedziałam ci wtedy, gdyś tak słodko i pięknie mówił, ja pierwsza ci powiedziałam: jaki pan miły — ja pierwsza pogłaskałam cię po twarzy, gdyś powiedział: chciałbym uczuć dłonie pani na mej twarzy — ja, ja...

Umilkła — siadła w fotelu.

Czerkaski patrzał posępnie w ziemię — czuł straszny ból, i nienawiść, i miłość, i litość, a potem znowu rozgoryczenie, że z takim okrutnym spokojem przetrząsała jego serce.

— Tak, to trudno — wiedziałam od samego początku, że mnie nie kochasz, że zmysły cię tylko ze mną wiązały, ale była we mnie nieprzeparta siła, która mną podrzucała i na ciebie ciskała. Och, jak walczyłam ze sobą, jak szalałam — ciało własne drapałam z bólu, tęsknoty i pogardy, zacinałam zęby, pięście zaciskałam i mówiłam nie! nie! nie! a serce krzyczało tak! tak! tak! I stało się... I czemuś, czemuś mi nie powiedział: Hanka! nie mogę znieść tego stosunku, mam serce, sumienie za delikatne, by obcego człowieka oszukiwać — czemuś nie przyszedł do mnie i nie wykazał mi całej ohydy naszego stosunku — czemuś, czemuś — zanosiła się od płaczu — czemuś mnie porzucił bez jednego słowa — wyjechałeś, porzuciłeś...

Znowu przysiadł u jej nóg, obejmował jej kolana i nic nie mówił.

Uspokoiła się nagle i mówiła cichym, zimnym głosem:

— Tak, tak — powiedziałeś sobie. Zgiąć nie można, więc złamać odrazu. Glińska się uspokoi. Znienawidzi, splunie, ale się uspokoi. A może powiedziałeś sobie: Hm, kto wie, czy ja pierwszy? Uspokoiła się po tam-

tych — znajdzie sobie nowego po mnie. Bo wy — wy, mężczyźni, miewacie czasami strasznie brudne dusze...

— Hanka!

— Tak, Hanka! Hanka! Ale Hanka się nie uspokoiła. Hanka umarła. A tyś zagwoździł wieko od trumny. Zdawało mi się, że już — już umarłam — ale, gdym cię zobaczyła wtedy o zmierzchu, zanim zachorowałeś — możeś mnie nie widział, możeś mnie widzieć nie chciał — straciłam zmysły, i proszę, i błagam cię, jedź, jedź, bo oszaleję, bo stanie się straszne nieszczęście... I będziesz mnie miał na sumieniu...

Zesłabła, obwisła cała w jego ramionach.

Całował ją, tulił, i powtarzał ustawicznie: Hanka, Hanka, Hanka...

Broniła się słabo, obezwładniona.

— Nie całuj mnie — szeptała — jam taka słaba, bronić się nie mogę, twoja pieszczota ogłusza mnie, krwią mózg mi zalewa — a to mnie kala, brudzi, zohydza — a ja się oprzeć nie mogę...

Pochwycił ją jak dziecko i nosił dookoła pokoju.

— Hanka, kocham cię, kocham!

Wyrwała się nagle, drżąca, wściekła, rozszalała:

— Nie kłam! Nie kłam! Powiedz brutalnie, bezwstydnie: pragnę cię — ale nie mów, że mnie kochasz! Ją, ją kochasz! Rzuciłeś mnie, gdy ona cię opuściła; z bólu, z cierpienia zapomniałeś o mnie — a teraz, gdy już wiesz, że ją straciłeś, chcesz się mną pocieszyć po stracie i zdaje ci się, że musisz mi kłamać — — Ha, ha, ha... Jakiś ty wstrętny i — o Boże, litościwy Boże — jak ja cię kocham!

Śmiała się i płakała.

— Jak ja cię kocham! Każde twoje dotknięcie w szał mnie wprowadza. Spojrzeć na ciebie nie mogę, bo, bo... Boże, jak ja tęskniłam za tobą!

— Jak ja sobą gardzę! Jakam ja wstrętna, podła, marna — kochać człowieka, który mi serce zdeptał — kochać człowieka, który się gorzej ze mną obszedł, niż z pierwszą lepszą — jeszcze — jeszcze ciebie kochać! — o jakażem ja podła i marna!

— Cudzie, raju mój, wybacz — wybacz... To nie to, to tylko przypadek, że żonę moją równocześnie wyrzuciłem z mieszkania. — To nie to, nie to... Dzień przedtem byłaś w teatrze... Siedziałaś obok męża... A on nie patrzał na scenę, tylko oczy jego latały, biegały — szukał, szukał — bo czuł, że tu jest ten... ten... rozglądał się przez lornetkę na wszystkie strony, szukał — a ja się kryłem w loży, przerażony, wylękły, bo wiedziałem, że jak tylko spojrzy na mnie, będzie wiedział, że to ja. Wszak się nie znamy, a mimo to czułem, że z całą pewnością będzie wiedział: to ten, tylko ten. I rzeczywiście odkrył mnie. Poznał mnie natychmiast. Twarz mu się cała skurczyła, nie widziałem, czy drgnął, ale czułem, że cały się zatrząsł, i opadł na fotel — o, to było takie straszne... Przeklinam dzień, w którym prosiłaś mnie, bym do ciebie przyjechał... to mnie zabiło — a potem, gdym wrócił do domu, stało się to — i ogarnęło mnie jakieś dziwne przerażenie i lęk — zdawało mi się, że to początek czegoś strasznego, jakiś mściwy palec Boży — bo ja wiem?... Nie pomnę dobrze, co się ze mną działo...

— Co się z tobą działo? O, ja wiem dobrze, co się z tobą działo. Możeś przedtem nie wiedział, jak ją kochasz. Dopiero gdy ją straciłeś, wtedy — och, cóż cię wtedy jakaś głupia Hanka obchodzić mogła? Nie kłam, Janek, nie kłam — po co masz kłamać, po co masz się uniewinniać — ja wiem wszystko, nie potrzebujesz okłamywać siebie.

Długie, parne milczenie.

— Jam taka zmęczona... tak strasznie się zmęczy-

łam — od pierwszej chwili, w której cię zobaczyłam, oka zmrużyć nie mogę. A zresztą, bo ja wiem? Chciałam cię widzieć — och, raz jeszcze na ciebie popatrzeć! Bo nie wiem, nie wiem, co zrobię, gdy wyjedziesz...

Odsunęła się od niego i patrzała nań nieprzytomnie.

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem...

Mówiła prawie z obłąkaniem i jakby do siebie.

— Przecież wiem, że mnie nie kochasz — przecież wiem, że tęsknisz za nią, wszystko wiem, a jednak wystawić sobie nie mogę życia bez ciebie, bez twego głosu, twej pieszczoty. Nienawidzę cię, brzydzę się tobą — przyszłam, by ci najcięższą obelgę rzucić w twarz, a gdy cię znowu ujrzałam, gdy posłyszałam twój głos, gdy...

Zerwała się.

— Janek, jam chora, obłąkana, ja oszalałam z bólu, gdyś mnie porzucił. Kochasz mnie taką? Ha, ha, ha... Kochasz? Kochasz? Kłam teraz, kłam, kłam, że mnie kochasz; to mnie ukoi — ja już teraz tylko kłamstwem żyć mogę, całe moje życie jest jednem kłamstwem, nauczyłam się wierzyć w kłamstwo — ha, ha, ha...

Śmiała się długo, cichym, obłędnym śmiechem.

A w nim, jakby się coś załamało. Czuł tylko, że ją teraz kocha, że nigdy nikogo nie kochał prócz niej, że wszystko inne było złudą, marą, głupim, ciężkim snem...

— Hanka, już teraz na zawsze pozostanę przy tobie.

— Tak, tak, zostań, zostań... a jeżeli do niej wrócisz, lub ona do ciebie, to mi powiedz.

I znowu zerwała się na równe nogi.

— Powiesz mi, powiesz, powiesz?

— Powiem.

— Więc chcesz, by ona wróciła?

— Zapomniałem o niej — nie wiem, kto ona...

Glińska znowu zaśmiała się — cicho — błędnie...

— Tak, tak, tak... Nie kłam, Jasiu, nie kłam...

Jakiś olbrzymi spokój wypełnił jego duszę po brzegi. Mogłaby teraz rzucać mu w twarz najobelżywsze wyrazy, mogłaby pienić się z nienawiści, mogłaby go zębami szarpać, a on byłby spokojny, bo miał ją przy sobie...

Ogarnęło ich jakieś wielkie, samotne zmęczenie. Zdawało im się, że są odcięci od ludzi, że błądzili przez dzień cały po głuchej pustyni, że jakiś olbrzymi żywopłot wyrasta przed nimi i odgradza ich od świata: mała ścieżka nad morzem—przed nimi widny, szeroki, otwarty ocean—za nimi niebosiężny płot zjeżony kolcami, poplątany gdyby kunsztowna tkanina głębokiego dywanu perskiego. A morze się rozlało migocącem, lekko zmarszczonem lustrem, morze głębokie i ciemne — a za nimi żywy mur.

Byli sami, i tak im dobrze było z sobą we wpółsennem zmęczeniu.

— Jam taka zmęczona, taka strasznie zmęczona — tuliła się do niego, jak chory ptak tuli się do ciepłej dłoni człowieka...

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

— A... a... no, nic już, nic... Widzisz, jam taka strasznie zmęczona..

— Twoje włosy, Hanula, włosy twoje...

— Pocałuj, pocałuj moje włosy...



zarski chodził po pokoju głęboko zamyślony.

Chwilami zdawało mu się, że cierpi, ale nie, to nie był ból, tylko jakaś bezmierna apatya i obojętność na wszystko.

Zdawało mu się, że teraz dopiero patrzy jasno i czystym wzrokiem na świat.

Więc cóż? więc cóż? powtarzał bezustannie.

Ha! nic!

Nic i nic. Umrę, dobrze — wszyscy ludzie umierają, toć i ja umrzeć muszę, a ponieważ żyć nie mogę, więc — no i t. d.

Przypomniała mu się jakaś logiczna formułka, której się kiedyś uczył z ciężkim mozołem w gimnazyum, a według której on umrzeć musi, ponieważ wszyscy ludzie umierają.

Myśli jego poczęły się w kółko kręcić naokoło tego jednego faktu, że wszyscy ludzie umrzeć muszą.

Prędzej, czy później — no, i cóż znaczą te kilka lat, które mógłby żyć jeszcze — żyć w nędzy, w ustawicznej

gonitwie za groszem, w upokorzeniu i strachu, przeraźliwym strachu, co będzie dalej.

A może dawać lekcye początkującym młodym panienkom, na przykład, w asystencyi babek i ciotek?

Albo może zostać wędrownym wirtuozem, przeżuwać obce myśli, wgłębiać się w cudze pomysły, odtwarzać obcą duszę, robić mniej lub więcej szczęśliwe kopie tego, co przed nim inni zrobili?

Mille grâces! On miał swoją własną duszę, on nie potrzebował wglądać za kulisy obcych dusz.

Ale cóż — cóż?

Nie miał już sił do dalszej walki — cóżby zresztą wywalczył?

Publiczność, dla której najwyższym ideałem jest „Halka“ Moniuszki, ta sentymentalna miernota; która w szał ekstazy wpada przy głupiej i banalnej muzyce kantat i pieśni okolicznościowych, — wzruszy co najwyżej ramionami, a reporterzy, niemający najmniejszego wyobrażenia o muzyce, obślinią, oplują mu to, co on z serca w krwawej wyrwał męce.

Zdjął go wstręt niewymowny na myśl, że mógłby się dostać w paszczę tej potwornej gadziny, prasy, że mogliby go pochwycić w swoje drapieżne szpony chciwi i głodni piraci reporterzy, że mógłby się stać dla nich źródłem zarobku, he, he — źródłem bogactwa narodowego...

Nie, nie — po stokroć nie!

Nie dam sobie duszy opluć, lepiej z głodu zdechnąć, a duszę w czystości utrzymać.

I zdjęła go straszna trwoga przed tem, co koniecznie nastąpić musiało...

Wagner? Tak, Wagner! Ale znaleźć króla, którego chore oko bawiły i zachwycały barbarzyńskie i tak niezmiernie naiwne dekoracye, którego dziewiczą fantazyę

podsycały naiwne i patetyczne wylewy nieskończonej biegunki słów.

O, Wagner był sprytny, a ja nie jestem sprytny — nie umiałbym wyzyskać królewskiej słabości do dekoracyj i powodzi wyrazów.

Ha, ha — dajcie mi króla, ale króla, co moją muzykę pokocha, nie dekoracyę, i dajcie mi pieniędzy!

Drgnął.

Pieniędzy! Podszedł ku oknu i po raz tysiączny czytał pomiętą kartkę, którą otrzymał przed kilku godzinami:

„Mój drogi, pozostaje mi tylko jedna alternatywa, albo zostać buchalterem, albo sobie życie odebrać. Nie pojmuję, dla czego mam zwolna konać w biurze nad *debet* i *credit*, nie pojmuję również, jaką lukę może człowiek, pracujący w biurze po dziesięć godzin dziennie, wypełniać w społeczeństwie, nie pojmuję również, dla czegobym ja miał służyć społeczeństwu, które mi ani na chwilę pomocnej ręki nie podało, więc wybieram śmierć.

„Nie mam żalu do społeczeństwa, bo ono nie potrzebuje naszej sztuki, jest za ubogie duchem, by cieszyć się pięknością i przepychem, idę w śmierć uśmiechnięty, w lakierkach i fraku, cichy i pogodny, bo śmierć jest dobra.

„Bądź zdrów; gdy ci będzie zbyt źle, zrób to samo — mnie się teraz oczy otworzyły, łuska z nich spadła, przeżywam dziwne tajemnice, odsłaniam niepojęte zagadki: odradzamy się przez śmierć, by wrócić po stuleciach potężniejsi i piękniejsi, kiedy ludzkość będzie tak bogatą i tak królewską, że nie będzie żądała od sztuki pożytku".

Zimne dreszcze go zbiegły.

Więc on, on, ten dumny, niedostępny arystokrata, już nie żyje.

On, który chciał przywrócić słowu jego metafizyczny charakter: wartość dźwięku muzykalnego, on, który ma-

rzył o stopieniu słowa z muzyką, dla którego słowo było tą samą świętą tajemnicą, co dla pierwotnego człowieka, gdy w ciężkim porodzie wyśpiewywał, wykrzykiwał swoje wrażenia... — on już nie żył!

On, co z pogardą patrzał na tę ulewę słów, nieskończoną nienawiścią pałał do tłumu, który za swoje pieniądze chciał mieć odpowiednią ilość arkuszy, on, dla którego jedno zdanie, jedna metafora miała sto razy większe znaczenie, aniżeli całe tomy naszych najbardziej cenionych, — już nie żył!

Nie żył!

Szarski wpadł w jakieś wpół błędne zamyślenie.

Przed oczyma jego przeciągnął cały szereg ponurych wizyj.

Widział małego brata w kołysce. Kochał go, jak może nikogo potem nie kochał. Pamięta: zerwał się nagle z łóżka; świtało. Włosy mu się na głowie zjeżyły, jakiś przerażający strach obezwładniał mu członki; stał w łóżku, nie mógł się ruszyć. I zwolna, począł się skradać, zataczając się, do pokoju, w którym leżał mały brat... Matka wyczerpana leżała na ziemi, rozciągnięta w krzyż, błagając Boga o łaskę; brat sztywniał w kołysce. Na szelest otwierających się drzwi spojrzał na niego cichemi, szeroko rozwartemi oczyma, magnetyzował go, ciągnął ku sobie, mówił temi oczyma, mówił, mówił o tej świętej rozkoszy, że ziemię porzuca.

I musiał podejść; nowy, nieznany świat rozwarł mu się w tych cichych, skupionych oczach, i widział nieskończenie błogi uśmiech na twarzyczce dzieciny — i jeszcze jeden, szczęśliwszy jeszcze — i skończyło się.

Szarski uśmiechnął się błędnie.

Tak, tak, śmierć jest dobra.

I widział swego przyjaciela na łożu śmierci.

Od dwóch tygodni czuwał u jego boku, nie spał, nie

jadł, w rozpacznym wysiłku walczył z krwotokami, które się coraz częściej powtarzały, ale wreszcie nastąpiło polepszenie i od dwóch dni przestał chory pluć krwią. Odetchnął. Teraz wreszcie mógł spocząć. Położył się na kanapie i usnął snem kamiennym. I nagle: jakby jakaś zimna, lodowata ręka głaskała go bezustannie po twarzy. Obudził się i otrzeźwiał.

Chryste Panie, te straszne, obłąkane oczy konającego! Ten przeraźliwy, rozpaczny krzyk: ratuj mnie! Ta wściekła pieniąca się nienawiść: czemu mnie nie ratujesz? ta błagalna, jęcząca prośba: skończ moją mękę — i te ręce, co, bezładnie poruszając się na kołdrze, czepiały się jej w śmiertelnym strachu, w okropnym, przebolesnym krzyku za życiem...

Straszne, straszne...

Szarski ocierał zimny pot z czoła i cały wklęsł, wkulił się w róg kanapy.

Skamieniał z przestrachu.

W półzmroku zarysowała się czarna postać, tylko twarz była widna ze strasznym, konwulsyjnie wykrzywionym śmiechem na bladych ustach.

Bronka!

A postać szła coraz bliżej ku niemu — oczy płonęły nieziemskim blaskiem, usta w ustawicznych konwulsyjnych drganiach...

Chodź, chodź w taniec miłości i śmierci, chodź, chodź...

Zerwał się z nieludzkim wysiłkiem i rzucił się ku drzwiom... Drzwi były zamknięte.

Chodź, chodź w taniec rozkoszy i piekła, chodź, chodź...

Rzucił się w błędnym lęku ku oknu...

Chodź, chodź w taniec rozpusty i wiecznego potępienia, chodź, chodź...

Teraz zaczął biedz jak szalony naokoło pokoju, ale

czuł ją ustawicznie za sobą, teraz objęła go rękoma, podrzucała go, okręcała wkoło, ciskała jak piłkę o ściany, potrącała o meble.

Nasz taniec, nasz taniec — ha, ha, ha... taniec miłości i śmierci...

Mara się rozwiała. Ktoś pukał od dłuższego czasu gwałtownie do drzwi.

Szarski ochłonął. Potoczył się ku drzwiom.

— Kto tam?

— Otwórz, na Boga, to ja, ja, Czerkaski.

Szarski otworzył.

Czerkaski był dziwnie zmieniony, dygotał jak w febrze, chwiał się na nogach.

— Górecki się zastrzelił!

— Tak? No i cóż? Tośmy wszyscy powinni zrobić.

Długie, długie milczenie.

Szarski zaśmiał się cicho. Już go mary nie straszyły. Już był spokojny.

— Niema miejsca dla nas — myśmy niepotrzebni. Społeczeństwo zdrowe, ty wiesz, tem zdrowiem, które my duchową nędzą nazywamy — obca siła idzie mu w pomoc — wytrzebia nas powoli, bo społeczeństwo potrzebuje chleba i pożytku — a myśmy nieużyteczni — my jesteśmy gorszycielami i uwodzicielami młodzieży — ha, ha — Sokrates też był uwodzicielem młodzieży... Nawet stara Wisła sprzysięgła się przeciwko nam — zieje na nas malaryą, zatruwa nas...

Czerkaski zaczął mówić po długiej chwili.

— Gdy się o tem dowiedziałem, zdjął mnie straszny lęk o ciebie, biegłem jak szalony — tknęło mnie dziwne przeczucie — no, ale tyś za silny na to... — patrzał na niego badawczo... — Ale ty dziwnie jakoś wyglądasz?

— No, wstrząsnęło to mną trochę i wypiłem raz jeszcze tyle co zwykle.

— Szarski, pamiętaj, nie rób głupstw — bądź zdrów, trzeba się zająć pogrzebem.

Będziesz miał aż dwa, pomyślał Szarski, ale nie powiedział tego głośno.

Po wyjściu Czerkaskiego, położył się na łóżku, chwilę czuł lęk przed zmorami, przed temi, co powracają, chciał się zerwać i siąść przy fortepianie, ale nie miał sił. Zapalił świecę, wziął biblię do ręki i począł czytać.

„...marność nad marnościami i wszystko marność. Cóż za pożytek ma człowiek ze wszystkiej pracy swej, którą prowadzi pod słońcem?

„Widziałem wszystkie sprawy, które się dzieją pod słońcem, a oto wszystko jest marnością i utrapieniem ducha.

„Bo gdzie wiele mądrości, tam jest wiele gniewu; a kto przyczynia umiejętności, przyczynia boleści.“

Tak, tak, pomyślał Szarski, mają słuszność, że się tak bronią przed naszą sztuką.

Odłożył książkę, czytanie męczyło go; zresztą umiał to już wszystko na pamięć. Tyle razy to już czytał.

„Marność nad marnościami i utrapienie ducha...“

Pocóż ja mam się trapić? Niech się trapią inni.

Zgasił świecę i popadł w gorączkowy półsen. Widział wszystko, słyszał najdrobniejszy szelest, ale śnił.

I oto stanął na jego piersiach olbrzymi potwór, cały złotą łuską okryty, ohydne błyszczące cielsko spoczywało na dwóch ciężkich kolumnach, a cały ten ciężar wgniatał się w rozpacznie dyszącą pierś Szarskiego.

I słyszał dziki, szydzący głos:

„Jam jest Panem twoim, a imię moje — milion!

Jam jest wasze „czterdzieści cztery“, wasz Prorok i wasze Objawienie.

Ja rządzę światem, a potęga moja nie zna granic.

Płodzę zbrodnie bez miary, by uszczęśliwiać tych, którzy mi się kłaniają.

Zabijam, tratuję i niszczę dumnych, a podwyższam ubogich w duchu, którzy innego Boga nade mnie nie znają.

Patrz, ludzkość cała wije się, tarza u mych nóg, kłębi się po trupach tych, których ja na śmierć skazałem.“

W niewidzialnej dłoni trzymał potwór kosztur ostro zakończony i przyłożył mu go do piersi:

„Uznaj moją potęgę, a dam ci wszystko, stań się służebnikiem mym, a motłoch ten tak się korzyć będzie przed tobą, jak się korzy przede mną“.

Ostry kosztur wwiercał się Szarskiemu w pierś i sprawiał mu ból niewymowny.

Z trudem zerwał się i siadł na łóżku.

Głupstwo, dość tych wizyj!

I jakiś cmentarnym parkanem ogrodzony spokój wypełnił mu duszę po brzegi.

Wstał, chodził po pokoju, chciał znowu siąść przy fortepianie, ale machnął ręką — po co?

Czas już, czas!

Już dojrzał dla śmierci.

Śmierć, cicha, dobra, straszna, potężna, tak, jak wszelka piękność...

Namyślał się... Aha, toć jego manuskrypta owiązane grubym sznurkiem — tak, to najlepiej, nie ma pieniędzy na rewolwer, a trucizny nie chcą dać....

Tak, tak, to wszystko jedno — suchoty, rak, dżuma, sznurek, głód, — wszystko, wszystko marność i utrapienie ducha.

Nawiązywał pętlicę.

Zaśmiał się błędnie.

— A to ci heca — dwa pogrzeby naraz — ah! co ci biedni, głodni reporterzy na tem zarobią...

(Ciąg dalszy). Stanisław Przybyszewski.



KSIĘGA I.

W głębokich mrokach posępnej doliny,
Zdala od świeżych oddechów poranka,
Żarów południa i gwiazdy wieczornej,
Usiadł Saturnus, jako głaz, spokojny
I tak milczący, jak owo milczenie,
Co go otacza wokoło; nad głową
Las mu się zwieszał na lesie, jak ciemna
Chmura na chmurze. Ani jeden tutaj
Nie wkradł się powiew, tyle sił mający,

Ile ma cichy dnia letniego podmuch,
W dal unoszący źdźbła pierzastej trawy:
Liść tu umarły zostawał, gdzie upadł.
Samotny potok wlókł się oniemiały
I coraz bardziej malał i pochmurniał
Z żalu nad bóstwa swojego upadkiem:
W trzcinach i łozach wylękła Najada
Usta swe zimnym zamykała palcem.

W piasku nadbrzeżnym ślady stóp szerokich,
Ale idące do tego li kresu,
Dokąd on dotarł, by spocząć i zasnąć.
Dłoń jego stara, zgrzybiała, olbrzymia,
Legła na ziemi darnistej, bezwładna,
Martwa, bez berła; oczy mu przywarły
Ciężkie powieki, a głowę obwisłą
Tulił do ziemi, jakby nadsłuchiwał,
Czy przyjdzie pomoc od Matki odwiecznej.

Zdawałoby się, iż żadna go siła
Z miejsca nie ruszy, gdy wtem ktoś się zbliżył
I, ze czcią wielką schyliwszy się nad nim,
Przyjazną ręką łagodnie się dotknął
Jego barczystych, przepotężnych ramion.
Pierwszego świata była to bogini.
Przy jej postaci rosła amazonka
Równałaby się pigmejce. Za włosy
Pochwyciłaby Achilla i zgięła
Kark mu ku ziemi; lub też jednym palcem
Iksyonowe wstrzymałaby koło.

Lica jej były ogromne, prawdziwie,
Jak to oblicze memfijskiego Sfinksa,
Co gdzieś w dziedzińcu stanął pałacowym,
Kiedy mędrcowie, szukając mądrości,
Zwracali oczy swe ku Egiptowi.
Lecz do marmuru jakże niepodobnem
Było to lice! Jakże było pięknem,
Jeśli ból wielki nie uczynił bólu
Jeszcze piękniejszym od samej piękności!
W jej wzroku czyhał jakiś strach wylękły,
Jak gdyby klęska zaczęła się właśnie,
Jakby w dniu burzy przednia straż chmur ciemnych
Już rozpoczęła swój posiew nieszczęścia,
A czarny hufiec jął nagromadzonym
Pracować grzmotem. Jedną rękę swoją
Do bolesnego przycisnęła miejsca,
Gdzie u człowieka słychać serca bicie,
Jakby tam właśnie, chociaż nieśmiertelna,
Czuła ból krwawy. Drugą na Saturna
Złożywszy karku przegiętym, otwarte
Zbliżyła wargi w stronę jego uszu
I uroczystym, głębokim, organnym
Rozbrzmiała dźwiękiem w żalne, smutne słowa,
Które w akcentach naszego języka —
O jakże słabych, ażeby wyrazić
Pierwotnych bogów rozlewną wymowę! —
Takieby miały znaczenie: „Saturnie!
Otwórz swe oczy! — jakkolwiek dla czego,
Ty stary, biedny mój królu?! Pociechy
Nie mam ja żadnej dla ciebie — nie, żadnej!
Nie mogę rzeknąć: „Czemuś zasnął, panie?“
Albowiem niebo już cię opuściło,
I ziemia boga nie widzi w pobitym,
I morze z swoim uroczystym szumem

Odbiegło berła twojego, i wszystkie
Wokół przestwory przestały ulegać
Twej osiwiałej, dawnej królewskości.
Grzmoty, nowego świadome rozkazu,
Opornie tylko huczą ponad naszym
Upadłym domem, a twa błyskawica,
Niedoświadczoną kierowana ręką,
Niszczy i pali te, ongi spokojne,
Nasze dzierżawy. O czasy bolesne!
O chwile, długie, jak lata! Przechodząc,
Tak wydęłyście tę potworną prawdę,
Tak ją do naszych trosk i ciężkich zgryzot
Przycisnęłyście, że niedowierzaniu
Zabrakło miejsca na oddech. Saturnie!
Śpij-że, śpij dalej! O lekkomyślności!
Jakże ja mogę zakłócać tę ciszę,
Tę snu twojego samotnię! Jak mogę-ć
Otwierać oczy, pogrążone w smutku?
Śpij, a ja płakać u stóp twoich będę."

Jak kiedy w letniej, w sen zaklętej nocy
Potężnych lasów dumne senatory,
Wyniosłe dęby, w zielonych delijach,
Oczarowane przez gwiazdy żarliwe,
Śnią, śnią noc całą, nie drgnąwszy ni razu,
Chyba że jakiś powolny, samotny
Przypłynie powiew, by skonać w te tropy,
Jak gdyby tylko jedną miało falę
Przypływające powietrze: — tak samo
Przyszły i przeszły jej słowa; a ona,
Zalana łzami, schyliła ku ziemi
To swoje piękne i szerokie czoło,

Tak, że jej gęste, spadające włosy
Podścieliły się przemiękkim jedwabiem
Pod wielkie stopy Saturna. Już księżyc,
W leniwych płynąc odmianach, swe cztery
Srebrzyste pory rozsiał pośród nocy,
A owych dwoje widać wciąż bez ruchu,
Podobnych rzeźbom w sklepieniach katedry:
Ten bóg skostniały leżał wciąż na ziemi,
A u stóp jego płacząca bogini.
Nareszcie przyszedł czas, gdy Saturn stary
Podniósł powieki nad zblakłą źrenicą
I ujrzał stratę swojego królestwa,
I wielki smutek i mrok tego miejsca,
I tę na klęczkach uroczą boginię,
I trzęsąc brodą, jak osika trzęsie
Swojem liściwiem, zaczął bełkocącym
Szeptać językiem: „Theo! złocistego
Hyperiona nadobna małżonko!
Czułem cię przedtem, nim jeszcze ujrzałem
Twoje oblicze: spojrzyj na mnie! spojrzyj,
Abym nasz wyrok zobaczył w twych oczach!
Spojrzyj i powiedz, azali Saturna
Widzisz tu postać; azali Saturna
Głos tutaj słyszysz; azali to czoło,
To pomarszczone, z królewskiej korony
Odarte czoło jest czołem Saturna?
Któż posiadł władzę, aby mnie tak zgnębić?
Zkąd moc ta przyszła i jak mogła wyrość
W takie nadmiary, gdym ja Przeznaczenie
Zdawał się trzymać w mych żelaznych garściach?!
Lecz tak się stało... I otom zduszony —
Otom niebieskiej pozbawion potęgi,
Oddziaływania na blade planety,
Rozkazywania morzom i wichurom,

Nad żniwiarzami spokojnego władztwa —
Wszystkich tych czynów, któremi najwyższe
Przynosi bóstwo ulgę swemu sercu.
Odbiegłem łona własnego, zgubiłem
Własną istotę, swój byt rzeczywisty,
Gdzieś między tronem, a tym kątem ziemi,
Na którym siedzę. Patrzaj, Theo! patrzaj!
Rozewrzyj oczy wieczyste i wlep je
Hen! w te okręgi! wlep je w te przestworza,
Takie gwiaździste, a przecież tak ciemne,
Tak pełne życia oddechów, a przecież
Takie bezpłodne i puste — w płomienne,
Lecz takiem piekłem ziejące przestworza!
Patrz, patrz, o Theo! i powiedz, czy widzisz
Postać, lub cień jej, torującą drogę
Na dumnych skrzydłach lub płomiennym wozie,
Aby na nowo opanować niebo,
Które przed chwilą straciła!.. Posłuchaj!
Dojrzali muszą iść naprzód! Saturnus
Musi być królem! Tak, złote zawitać
Musi zwycięztwo, paść muszą bogowie,
A zabrzmieć surmy spokojnych tryumfów;
Nad mej stolicy złociste obłoki
Przeuroczyste muszą płynąć hymny,
Tony łagodnych odezw i obwieszczeń
I srebrne muszli wyżłobionych dźwięki!
I nowe piękna stworzymy rodzaje,
Aby się niebios radowały dzieci...
Ja wydam rozkaz... Theo! Theo! Theo!
Ach! gdzie jest Saturn? Słuchaj! gdzie jest Saturn?„

Z wielkiego bólu dźwignął się na nogi,

Ściśnięte pięście wytężył do góry
I druidycznym jął potrząsać włosem,
Że aż kroplistym ociekał mu potem;
W źrenicach jego rozgorzały ognie
I głos mu w krtani uwiązł ze wzruszenia.
Stał i niesłyszał Thei westchnień długich;
Potem, za chwilę, te mu się poczęły
Wyrywać tony: „Ale mogę-ż tworzyć?
Mogę-ż wywodzić kształty? Mogę-ż życie
Innym dać światom? tak! innym istnieniom
By przezwyciężyć i zniszczyć dzisiejsze?
Gdzie drugi chaos?.. Gdzie?!...“ Ku Olimpowi
Znalazło drogę to słowo i dreszczem
Przejęło trójkę buntowników. Thea
Zadrgnęła z trwogi, ale w jej wyrazie
Przebłysły jakieś nadzieje, i głosem,
Żywym, lecz pełnym wielkiej czci, wyrzekła:

„To nam pokrzepi ten nasz ród upadły:
Chodź do przyjaciół, dodaj im otuchy!
Znam ich ustronie, boć ztamtąd przybywam.“
I tyle słów jej; a potem z błagalną
Prośbą w źrenicach wstecz zwróciła kroki
Wskroś mrocznej puszczy; Saturn poszedł za nią:
Ona go wiodła, skierowawszy drogę
Wśród starych gąszczy, co się poddawały,
Jak mgła, gdy orły wzlatują nad gniazda.

Tymczasem w innych dzierżawach roniono
Łzy przeogromne, i jeszcze tam krwawszy

Ból się wylewał, i żal był tak wielki,
Że nie wyrazi go ni język ludzki,
Ani też pióro: groźny ród tytanów,
Sam się ukrywszy, albo w pętach leżąc,
Nad utraconem jęczał panowaniem
I w męce srogiej ciągle nadsłuchiwał,
Żali się Saturn nie ozwie. Lecz jeden
Z tego plemienia mamutów wciąż jeszcze
Dzierżył swe władztwo, swą moc, swój majestat:
W kręgu swych ogni wciąż jeszcze płomienny
Siedział Hyperion, wciąż wdychał kadzidła,
Z męża na boga rosnąc słonecznego —
Ale niepewnie: Bo jak w nas śmiertelnych
I dreszcz i trwogę straszne budzą znaki,
Tak i on również drżał, lecz nie jak człowiek
Na głuche wycie psa lub krzyk puhacza,
Lub gdy przyszedłszy do kogoś ze swoich,
Usłyszy naraz jego dzwon pogrzebny,
Lub modły księży, w północ, przy gromnicach:
Tylko przestrachy, owładnąwszy każdym
Nerwem olbrzyma, częstokroć dręczyły
Hyperiona. Jego gmach, okolon
Piramidami z jarzącego złota,
Cieniem bronzowych przyćmion obelisków,
Krwawo się żarzył w tysiącach podwórców,
Łuków i kopuł i lśnistych galeryj;
A wszystkie chmurek jutrznianych przesłony
Płonęły gniewnie; orle bowiem skrzydła,
Niewidne dotąd bogom ni zdumionym
Oczom człowieka, od czasu do czasu
Rzucały pomrok na pałac; rumaków
Słychać też było rżenie, niesłyszane
Dotąd ni bogom ani zdumionego
Uszom człowieka. A gdy Hyperion

Prągnął piersiami swemi chłonąć kłęby
Wonnych kadzideł, z świętych wzgórz płynące,
Jego olbrzymie czuło podniebienie
Zabójczej miedzi jadowity posmak.

Toż po spełnieniu dnia, gdy znalazł przystań
W usypiającym zachodzie, nie szukał
Boskiego wczasu na łożu wyniosłem,
Ni snów rozkosznych w objęciach melodyj,
Tylko odpędzał godziny spoczynku,
Niezmierzonemi od hali do hali
Chodząc krokami; a zasię skrzydlate
Jego rumaki stały w zbitych stadach
Zdala od schronisk zacisznych, zdumione
I pełne trwogi, tak, jak się wylękłe
Skupiają tłumy na wielkiej równinie,
Kiedy ich zamki i warowne grody
Padły od ziemi trzęsienia... W tej chwili,
Kiedy Saturnus, przebudzon z letargu,
Trop w trop za Theą podążał lasami,
Hyperion, zmierzchy zostawiwszy w tyle,
Przybył, schylony, ku progom zachodnim.
I jako zwykle, bramy jego zamku
Rozchyliły się w przełagodnej ciszy,
Tylko poważne zefiry poczęły
Z tub uroczyste wydobywać tchnienia
Przesłodkich dźwięków, cichych, przytłumionych,
Rozpływających się wokrąg melodyj.
I niby róża cała w karmazynach,
Skąpana w woniach, a zimna dla oka,
Stało to wejście, rozkwitłe, rozwiane,
Oczekujące majestatu boga.

Wstąpił, lecz wstąpił przepełniony gniewem.
Wokół stóp jego, płomieniste suknie
Syk wydawały wzdętemi fałdami,
Jakby z ziemskiego pochodzący ognia,
A który płoszył niebiańskie Godziny
I dreszcz w ich skrzydła przelewał gołębie.
I tak w iskrzących kroczył błyskawicach
Od jednej nawy wspaniałej do drugiej,
Pod wiązaniami sklepień, pośród altan,
Powyplatanych wonnem blasków liściem,
Wskroś djamentami wysadzanych arkad,
Pókąd nie dotarł do głównej kopuły.
Stanąwszy pod nią, gniewnie tupnął nogą,
Że aż od posad do najwyższych szczytów
Gmach jego zagrzmiał złocisty. Lecz zanim
Zdołał ucichnąć ten grzmot wibrujący,
Głos jego strzelił do góry i huczał
Gromom na przekór: „O Sny dnia i nocy!
Kształty potworne! Obrazy boleści!
Zjawiska, w zimnych żyjące pomrokach!
Widziadła bagnisk, czarnem krytych zielskiem!
Czemum was poznał? Czemum was zobaczył?
Czemuż ta moja wieczysta istota
Tak oszalała, że mogłem was ujrzeć,
Że mogłem patrzeć na te strachy nowe!
Upadł Saturnus, więc i ja mam upaść?
Mam i ja rzucić tę przystań spokoju,
Tę chwały mojej kolebkę, ten cichy
A bujny zbytek niebiańskiej światłości,
Tę schroń uroczą, te lśniste przybytki,
Te kryształowe moje pawilony,
To moje całe jaśniejące władztwo?
Dziś ono puste, sieroce, nikt z moich
W niem już nie gości. O biada! Nie widzę

Blasku ni ognia ni kształtów harmonii,
A tylko ciemność widzę, śmierć i ciemność.
Tutaj, w sam środek mojego schroniska
Wtargnęły widma ponure, i władną,
I znieważają, i tłumią, i gaszą
Wszystką mą chwałę... Upaść?! Nie! Na Tellus
I na jej słone suknie! Nad płomienne
Granice mego królestwa wyciągnę
Straszliwe ramię i precz, precz odpędzę
Gromowładnego młodzieniaszka, zgnębię
Zbuntowanego Jowisza i każę,
Aby na tronie siadł znów Saturn stary.“
Rzekłszy to, zamilkł, albowiem mu w gardle
Ciężka uwięzła groźba, nie mogąca
Dobyć się na jaw. Bo jak w ciżbie ludzi,
Na widowisku jakiemś zgromadzonych,
Hałas się wzmaga i rośnie, im bardziej,
Krzyczy ktoś: „cicho!“ — tak też i na słowa
Hyperiona zbiegły się widziadła,
Potrzykoć zimne i straszne i blade,
A z zwierciadlanej powierzchni, gdzie stały,
Podniósł się opar, jak z bagien spienionych.
A on, przygniecion swym bólem ogromnym,
Wlókł się, miarowo od stóp aż do głowy,
Jak wąż olbrzymi, muskularny, giętki,
Zwolna toruje sobie drogę, skronią
Trzęsąc i karkiem z nadmiaru wysiłku.
Wyswobodzony, dobiegł wschodniej bramy
I przez rosistych sześć godzin, nim zdołał,
Świt się zrumienić w swej właściwej chwili,
Groźnym oddechem dął w uśpione wrota,
Zwolnił je z ciężkich oparów i nagle
Rozwarł na oścież ponad zimną falą
Oceanową. Krąg ów płomienisty,

Na którym codzień toczył się wskróś niebios
Z wschodu na zachód, obracał się w kirach
Obłocznych opon, lecz przez to nie bywał
Nigdy przyćmiony całkiem i zakryty,
Gdyż jaśniejące sfery i kolura,
Łuki i koła, przeświecały zawsze
Przez te przesłony, od głębin nadiru
Aż do zenitu tworząc przecudowne
Kształty błyskawic — dawne hieroglify,
Które uczona mądrość bystrookich,
Ongi żyjących tutaj astrologów,
Umiała, w długie zapatrzona wieki,
Odczytać myśli wytężoną pracą:
Dzisiaj ich niema — zabytki zostały
W czarnych marmurach i głazach; ich wiedza
Zgasła i przeszło dawne ich znaczenie.
Krąg dwa miał skrzydła, dwa srebrzyste skrzydła,
Co się wznosiły, skoro bóg się zbliżał,
I dziś ich pióra olbrzymie zaczęły
Wyrastać, jedno po drugiem, z pomroków,
Pokąd się wszystkie nie rozpięły; glob zaś
Oślepiający stał pośród ciemności
I na rozkazy czekał Hyperiona.
Chętnie ten byłby wydał swe zlecenie,
Chętnieby zajął tron i rad nakazał,
By dzień się począł — ale nadaremnie:
Nie mógł, jakkolwiek był z pierwotnych bogów — ;
Pór uświęconych porządku zakłócić
On nawet nie mógł: w narodzinach swoich
Świt się powstrzymał, jak tu powiedziano,
Siostrzana para owych skrzydeł srebrnych
Stała rozpięta, ażeby nareszcie
Krąg swój poruszyć; przedsionki — otwarte
Ponad ciemnemi dzierżawami nocy;

I oto Tytan promienny, szalony
Z nowego bólu, dotąd nieprzywykły,
By się naginać, teraz koniecznością
Zmuszony twardą, ugiął ducha swego
Pod troską chwili: i przepełnion żalem,
W słabym oblasku legł wzdłuż poszarpanych
Strasznie obłoków, na dnia rozgraniczu
I mrocznej nocy. A kiedy tak leżał,
Niebo gwiazdami swojemi litośnie
Spojrzało k' niemu i z dali bezmiernych
Do uszu jego spłynął głos Coelusa
W tych uroczystych i cichych poszeptach:
„Najpromienniejszy z moich drogich dzieci,
Urodzon z ziemi, spłodzony przez niebo,
Synu tajemnic, niepojętych nawet
Dla sił, co były przy twem powstawaniu!
Oto ja, Coelus, sam zdumiony jestem,
Zkąd i jak przyszły te radości twoje,
Ta słodycz dreszczów rozkosznych: w zdumienie
I mnie wprawiają te ich mnogokształtne,
Widne owoce; te boskie symbole,
Te objawienia życia, rozlanego
Po głębiach wiecznych przestworów: o słuchaj,
Wśród nowych kształtów braci twych i bogiń
Najpromienniejszem ty jesteś dziecięciem!
Spór między wami dziś powstał i rokosz
Syna przeciwko ojcu. Jam go widział
Padającego; jam widział, jak z tronu
Mój pierworodny się walił. Ramiona
Wyciągał ku mnie; poprzez wszystkie gromy,
Które szalały mu naokół głowy,
Do mnie przedarło się jego wołanie.
Zbladłem i w chmurach ukryłem oblicze.
Czyś i ty bliski takiego wyroku?

Czuję tu jakiś strach nieokreślony,
Albowiem widzę, że moi synowie
Już nie podobni do bogów. Boskimi
Byliście z swego poczęcia, w spokoju
I uroczystej władnęliście dumie,
Bóstwa wyniosłe, i nikt nie zakłócał
Waszego życia ni waszej potęgi:
Dziś we was widzę strach, gniew i nadzieję;
Objawy bólu i złości; prawdziwie,
Jak u śmiertelnych, żyjących tam! w dole.
Gorycz tu dzisiaj, mój synu! Ponure
Znaki zaniku, rozpaczy, upadku!
Lecz ty zbierz siły, jakoś mocen tego,
Jako że możesz ruszać się naokół —
Bóstwo widzialne — i możesz wszelakiej
Krnąbrnej godzinie natychmiast urągać
Swoją w eterach jawną obecnością!
Jam tylko głosem, me życie jest tylko
Żywotem fali i wichru, wydołam
Jedynie tyle, co wicher i fala —
Ale ty możesz! Na czoło wypadków
Stań więc i strzałę schwyć za opierzenie,
Nim naciągnięta wyda świst cięciwa.
Dalej! Na ziemię! Tam znajdziesz Saturna
Wraz z jego bólem. Ja będę tymczasem
Strzegł twego słońca jasnego, opiekę
Będę miał baczną nad twemi porami."

Zanim połowa tych szeptów przestwornych
Dotarła na dół, Hyperion się podniósł,
I hen! ku gwiazdom zwrócił swe powieki,
I wciąż je trzymał otwarte, dopóki
Nie umilkł poszept; i wciąż je otwarte

Trzymał, a gwiazdy były wciąż tak samo
Jasne, milczące. A potem, powoli
Skłoniwszy głowę na szerokie piersi,
Jak nurek, w morze idący perliste,
Pokroczył naprzód powietrznem obrzeżem
I cicho w nocy utonął głębinach.



PRZEŁOŻYŁ
Jan Kasprowicz.

John Keats.

Oczy.



łębokie są oczy twoje, jak to morze, co się przed nami roztacza, w dal idące bezkresną...

Błękitne są, jak to niebo, które w dzień letni nad nami kopułę swoją przejrzystą rozpina, błękitne, jak to marzenie, które w nich mieszka.

O, moja — —

Niewysłowioną pieszczotę mają dla mnie źrenice twoje, niewysłowioną moc czaru mają nade mną.

Głaszczą mnie oczy twoje aksamitnem dotknięciem spojrzenia: patrząc w nie — czuję nieuchwytny zapach kwiatów polnych, rosą poranku operlonych, słyszę pieśni harfiane, omdlewające w powietrzu sennego południa, widzę białemi liliami usłane łoże rozkoszy w wysmukłej sali maurytańskiej...

Ku temu łożu idę...

O, moja — —

Przez oczy twoje teraz na świat patrzę, bo nic już nie widzę, prócz ciebie!

Przez oczy twoje się modlę, przez oczy twoje kocham, przez oczy twoje boleję nad tem, co nie jest piękne pod słońcem, przez oczy twoje nienawidzę nędzy i grzechu tej ziemi...

O, moja — —

Błękitne są oczy twoje błękitem bezchmurnego nieba w pogodny dzień letni.

Odbija się w nich błękitna pogoda myśli i zadumań twoich, błękitna cisza duszy, której jeszcze wicher żaden nie rozkołysał i nie porwał ku palącym piaskom pustyni pożądania.

Pogodne są oczy twoje, jak oczy łani, przeglądającej się w zdroju jasnym, z którego jelenie piją w dzień upalny.

Pogodne są oczy twoje, jak cisza ulic wiejskich umajonych grabiną i usypanych tatarakiem w zielone święto wiosny.

Pogodne są oczy twoje, jak zwiastowanie ciszy dla serca, znękanego burzami namiętności.

O, moja!

Taką rozkosz, takie zapomnienie, tyle szczęścia z oczu twoich piję co dnia od chwili, kiedy mi otworzyłaś ramiona i kiedy nie potrzebuję już tęsknić za tobą we dni i w noce bezsenne...

Włosy.



łosy masz złote, pachnące i takie miękkie, jak przędza jedwabista z wrzeciona zaczarowanej królewny, córki słońca.

Tak lubię, kiedy je rozrzucisz i kaskadą spadną na twoje ramiona, czyniąc płaszcz królewski dla twoich kształtów wysmukłych.

Tak lubię brać ich pasma do ręki i do ust je przyciskać.

Cudowne masz włosy i upajające zapachem.....

Są one, jak struny harfy złocistej, i zda mi się, że gdybym je rozpiął na narzędziu muzyckiem i naciągnął do stroju jednego, a potem palcami w nie uderzył — głosby wydały piękniejszy, niźli wszystkie dotąd znane głosy pieśniarzy tej ziemi.

Są one, jak promienie jutrzni złotej, przenikające w mrok duszy mojej, kędy tyle kwiatów umarło w latach rozłąki.

Teraz się tam dzień staje i wiosna...

Cudowne masz włosy i upajające zapachem...

Kiedy je rozsypiesz na białej poduszce i głowę dasz mi na nich położyć — marzę.

Marzę o jakiemś królestwie nie z tej ziemi, o jakiejś rozkoszy, która przyjdzie dusze nam uśpić i uniesie je z sobą w krainę baśni i snów czarodziejskich. —

I wtedy otwiera się przede mną niezmierzone państwo wyobraźni, po którem idzie od krańca w kraniec wiatr miłości i upojenia, całujący kwiaty o drobnych listkach...

Drzewa cicho tam szeleszczą, a na nich dźwięczą złote owoce, połyskujące w słońcu promiennem.

Powietrze jest ciepłe i wilgotne rozszerzającą nozdrza wilgocią szumiącego w oddali morza.

Trawy rosną miękkie na polanach rozległych i gną się od srebrnych ros rzeźkiego poranku.

Motyle o skrzydłach, w których się mienią rubiny, szafiry i dyamenty, przelatują z kwiatów na kwiaty i sączą z nich miodów słodycz zawrotną...

Ptaki, podobne do ptaków rajskich, tylko o piórach płomiennych i o głosach melodyjniejszych, ze świstem równym świstowi strzał lecących, przecinają doliny i zapadają w krzewy nadrzeczne, gęste i chwiejące się modlitwą chłodu, rzeźwiącego podróżnych.

Rzeka toczy swój nurt kryształowy leniwie i sennie, błękitna od pogodnego błękitu wiszącego nad nią nieba.

Złotołuskie karpie i srebrne o czerwonych pletwach ryby i inne o barwie opalów — nieruchomo stoją w wodzie, kędy długie blado-zielone warkocze wodorostów wabiącym cieniem je przywołały...

I cisza jest, i spokój, i szczęśliwość niezmierna dokoła...

Marzę...

O, moja! Takie cudowne masz włosy i takim upajające zapachem...

Usta.



iedy w pierwszym pocałunku dotknąłem ust twoich — dotknąłem płomienia.

Takie były gorące wargi twoje — i drżały, jak płatki róży w tajemniczej chwili, w której kwiat jej z pąka w kielich się otwiera.

Drżały nie wybuchem pożądania, nie dreszczem przeczutej rozkoszy, ale trwogą wielkiej, idącej ku nam przez pocałunek, godziny miłości.

Drżały, jak serce ptaka, kiedy poczuje strzałę, co mu pod skrzydłem utkwiła i ciężarem swoim ku ziemi go ciągnie — —

O, moja!

To drżenie ust twoich poszło za mną i w każdym nowym dniu miłości naszej mówiło mi, że cię z błękitów na ziemię prowadzę, że ci anielskość twoją odbieram.

O, moja!

Usta twoje są krynicą niewyczerpaną i moc mają przyciągania taką, że gdybym w przepaść lecąc na nich zawisnął — utrzymałbym się do końca istnienia bez troski o śmierć czyhającą...

Usta twoje są, jak wiecznie żywe źródło miłości, nad którem przesyt niema władzy — i pijąc z nich nie powiem nigdy smutnego słowa *„dość“*.

Krew purpurowa drobnemi tętnicami przenika do warg twoich i różowi je, aby codzień świeższe i pożądańsze były.

Krew purpurowa podsyca ogień warg twoich, a namiętność rozchyla je, jak miłość rozwiera kielich lilii polnej.

Usta twoje dają mi słodycz i zapomnienie i rozkosz najwyższą...

Usta twoje w pocałunku mówią mi takie rzeczy, od których spłonęłabyś zorzą różową, gdybyś mi duszy swej tajniki w słowach odtworzyć chciała.

Usta twoje są niemym głosem i krzykiem szalonym drzemiących w łonie twem pragnień, które po każdym pocałunku budzą się i do życia wstają.

Usta twoje mówią do mnie płomieniem, który jest jak płomień świętej ofiary Jedynemu Bogu wszechświata — Miłości.

Usta twoje mówią do mnie płomieniem, który Natura ludziom dała na wypalenie z duszy trucizny smutków bezbrzeżnych i rozpaczy bytu, chodzącego w jarzmie Śmierci.

Usta twoje mówią do mnie płomieniem, który mi duszę pali rozhukaną żądzą upojeń i szałów aż do omdlenia.

O, moja!

Takie szalone, takie szalone są czasem usta twoje...

Zdzisław Dębicki.

Lilia wodna.

1. Wśród zielonych wód obszarów,
Przytwierdzona w ile do dna,
Rosła w stawie Lilia wodna,
Urodzona z Nenufarów.

Wkoło — bracia jej grążele
I roślęży gąszcz splątana;
Falmi była kołysana:
Tak wzrastało ono ziele.

Szczupak nieraz, wiecznie głodny,
Gwoli jadłu albo karze
Polujący na jazgarze,
Dotknął pletwą Lilii wodnej.

Lin, ospaluch utuczony,
Z iłu wyjrzał i, nierącze
Ruchy czyniąc, pchnął jej kłącze
Słabe, chwiejne, bez obrony.

Spoglądała na te ryby
Pełna trwogi i tęsknoty,
Rosnąc w górę, gdzie ją złoty
Blask przynęcał wodnej szyby.

2. Aż w majowe młode rano,
Pąk liliowy z ciemnej toni
Na powierzchnię się wyłoni
Nową, jasną, niespodzianą.

Niebo jarzy się ogniście,
Stoi trzcin młodzieńczych rzesza,
Wkoło Maj szelesty wiesza
Na ich wiotkie jeszcze liście.

Stworzeń pełno tu, bez liku,
Dziwnych, ale jedno zwłaszcza
Lilii sobie wzrok przywłaszcza:
Był to Pływak (patrz w słowniku).

Oto zarys jego bytu:
Tnie na lustrze wód zygzaki
W dzień, a nocą w tataraki
Wlazłszy, drzemie tam do świtu.

Tego pyta najpierw z osób,
Grasujących z wierzchu toni:
Co to w górze tak się płoni?
Rzecze pływak jej w ten sposób:

— „Tam, uważasz, rośnie słońce,
Taki kwiat, co promieniście
Zwiesza ku nam złote liście,
Których w wodzie macza końce.

Skaczę nieraz tak wysoko,
Że się blizko znam z tym kwiatem;
Choć niektórzy wróżą stratę,
Gdy nań patrzeć oko w oko.

Wie się, wie się to i owo:
W całym stawie z wiedzy słynę...
Ot, uważasz, w tamtą trzcinę,
Nie celując, trafię głową..." —

3. Lśniąca w tym słonecznym świecie,
Barw mieniących się igraszka —
Brylantowo-skrzydła Ważka
Rozkochała się w jej kwiecie.

I w niebieskość aksamitną
Wabi Lilię: — „Patrz, muślinem
Owinięta, w górę płynę...
Pachną łąki, miedze kwitną..."

— „Ach, dlaczegom nie skrzydlata?" —
Biada Lilia. — „Wzlecieć pragnę...
Czemu, czemu mnie z tem bagnem
Nieżyczliwa dola splata?"

— „Zaradzimy łatwo smutkom" —
Rzecze Pływak. — „My, pływaki,
Wiemy, gdzie zimują raki" —
Rzekł i znikł na chwilę krótką.

Poczem wrócił, wiodąc Raka
Z długim wąsem, parą kleszczy —
— „Dobry gad, choć kształt złowieszczy" —
Mówi — „taka rzecz i taka."

Rak wysłuchał. — „Poradzimy,
Owszem, na to z chęcią miłą..."
I kleszczami, niby piłą,
Przerznął Lilii pień rodzimy.

4. Wolna! wolna!.. W przestwór wielki
Płynąć, lecieć z biegiem fali,
Tam najlepiej, gdzie najdalej
Od łodygi rodzicielki!..

Rada, że ją prądy niosą,
Płynie Lilia, niby tratwa.
Dobrze, lecz się sprawa gmatwa,
Gdy chce frunąć ku niebiosom.

Leci Ważka-przyjaciółka
I zaprasza ją w powietrze:
Ach, daremnie — coraz bledsze
Lica Lilii: na nic spółka.

Coraz dalej rwie ją fala,
Burt ją czasem trąci łodzi,
Nieraz wiosło ją ugodzi,
Biały liść jej łamie, kala.

Ni spoczynku, ni przystani
Niemający kwiat tułaczy
Rychło, rychło zwiądł z rozpaczy.
Tak to bywa, proszę pani.

Jan Lemański.

GLOSSY.

Cło od książek. Rozporządzenie, nakładające cło na książki polskie drukowane za granicą, jest owocem prywatnych próśb i starań. Kto mianowicie o wydanie go robił zabiegi u władzy, trudno się dzisiaj dowiedzieć. Księgarze - nakładcy, wskazani pierwotnie jako inicyatorzy, pośpieszyli złożyć całą zasługę na barki drukarzy. Drukarze zrzekają się jej na rzecz papierników. Ci ostatni milczą dotąd dyskretnie, gdyby się wszakże ozwali, odesłaliby nas niewątpliwie, z rozrzewniającą wzajemnością, do wydawców i typografów. Bylibyśmy skłonni przypuszczać, że wszystkie te kategorye przemysłowców brały udział w prośbach i staraniach: nakładcy, aby zapobiedz napływowi zagranicznych wydawnictw i tem łatwiej zbywać swoje; drukarze, aby zmusić odbiorców do zadowalania się bylejakim i drogim drukiem; papiernicy, aby uzupełnić w ten sposób chroniące ich oddawna, lecz niestety nie wpływające bynajmniej na polepszenie produkcyi cło od papierów. Skłonni też bylibyśmy podejrzewać istotność pobudek i potrzeb, któremi prawdopodobnie usprawiedliwiano w oczach władzy swe prośby i starania. Gdyby motywy te były słuszne i zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy, czemże dałaby się wytłómaczyć fiołkowa skromność projektodawców, kryjących, po osiągnięciu zamierzonego rezultatu, swoje zasługi. Pierwotnie wskazywani, jako inicyatorzy, wydawcy tutejsi mieli podobno powoływać się na niemożność skutecznego współzawodnictwa z firmami nakładowemi lipskiemi, krakowskiemi i lwowskiemi, które mają na rozkazy o wiele wyżej stojącą, niż w zakładach tutejszych, sztukę drukarską. Możnaby mówić o konkurencyi z wydawcami zagranicznymi, gdyby firmy nakładowe tutejsze próbowały rzeczywiście współzawodniczyć z nimi co do dobroci wydawnictw, ale zmuszone były prób tych zaniechać skutkiem znacznie większych niż za granicą kosztów. Pozwalamy sobie twierdzić, że prób takich wcale nie było. Własne, niedawne doświadczenie nauczyło nas, że nawet przy dzisiejszym kierunku i — powiedzielibyśmy wprost — zdemoralizowaniu tutejszych drukarni i papierni, można

jednak, dołożywszy nieco pracy i staranności, osiągnąć bardzo piękne, nieustępujące żadnym zagranicznym, rezultaty wydawnicze. Drukarnia i papiernia są co do wartości produkcyi swej tem, czem je chcą mieć i czem je zrobią odbiorcy. Zresztą, wydawcy tutejsi przez długie lata drukowali całe masy książek za granicą, korzystając ze stojącej tam wyżej sztuki drukarskiej i mając do rozporządzenia doskonały i niedrogi papier. Mogli zatem spokojnie konkurować z zagranicznemi firmami nakładowemi, a tymczasem — sprawdzić to może, kto zechce — ani jedno drukowane za granicą wydawnictwo oficyn tutejszych nie wytrzymuje porównania, pod względem dobroci i artystyczności edycyi, z wydawnictwami lipskiemi, krakowskiemi i lwowskiemi. Drukowano więc tam tylko dla taniości, t. j., dla większego zarobku. To też słusznie powątpiewa felietonista *Kur. Warsz.*, „czy panowie wydawcy nasi skorzystają rzeczywiście z nowego cła na książki, dla podniesienia swoich nakładów i ulepszenia swoich wydawnictw.“ Umocnić musi to powątpiewanie — przykład papierników, którzy, osłonięci od tak dawna wysokiem cłem protekcyjnem, nie skorzystali z niego bynajmniej, aby podnieść wartość swych wyrobów. Produkuje się u nas bardzo wiele papieru, ale tylko w przynoszących największe zyski, najnędzniejszych gatunkach. Za papier nieco lepszy, jako specyalnie na żądanie wyrabiany, płaci się bardzo wysoko, a niektórych rodzajów, np. papierów okładkowych, wprost dostać w kraju nie można. Czy i pp. drukarze, którzy zupełnie zbytecznie uskarżają się na „obniżenie cen druku w Warszawie do niemożliwości“ (twierdzimy bowiem, na podstawie dokładnej znajomości rzeczy, iż zwykły, t. j., lichy druk warszawski jest droższy od znacznie lepszego zagranicznego, a przy postawieniu równających go z tamtym wymagań, staje się wprost niemożliwie drogim), — czy pp. drukarze, powtarzamy, nie skorzystają z nowego cła w podobny sposób jak papiernicy ze swego, t. j., czy, nie ulepszając bynajmniej swojej produkcyi, nie podwyższą natomiast cen jeszcze bardziej, — rzecz co najmniej do powątpiewania.

Wszystkim tym trzem, związanym z produkcyą książki, kategoryom przemysłowców cło nowe, niewątpliwie, korzyść tylko materyalną przyniesie. Natomiast odbić się ono może niekorzystnie na interesach literatów i czytelników. Ze względu na pierwszych, dobrą byłaby może rada *Tyg. Ilustr.*, aby udać się do władz decydujących z prośbą o zaprowadzenie i tutaj wyjątku, stosowanego już dawno do rycin; według niego reprodukcye dzieł, których autorami są artyści urodzeni w kraju (w danym razie byłyby to drukowane za granicą książki autorów warszawskich), nie opłacają cła wchodowego. Inte-

res publiczności, t. j., uchronienie jej od narzucanej tandety, ma znowu na oku *Przegl. Tyg.*, wyrażając życzenie, aby cło na papier zagraniczny zostało obniżone, albo zupełnie zniesione, co zmusiłoby nasze papiernie do ulepszeń w fabrykacyi papieru i obniżenia cen takowego. W następnym numerze toż samo pismo proponuje zupełne uchylenie ceł protekcyjnych, z pozostawieniem ceł fiskalnych, gdyż wtedy mielibyśmy niewątpliwie książki drukowane dobrze, na pięknym papierze i bardzo tanio.

Wszystkie te rady i życzenia mogą być bardzo dobre, i należałoby niewątpliwie przedsięwziąć odpowiednie starania w sferach decydujących.

Tymczasem wszakże publiczność sama może i powinna zapobiedz wyzyskiwaniu przez producentów w zły sposób nowego cła od książek. To ostatnie nie jest zresztą przestraszające, nie wynosi bowiem więcej nad 10 do 15 kop. od książki przeciętnej wielkości. Publiczność powinna żądać, rozumie się samo przez się, dobrych, lecz koniecznie i dobrze wydanych książek — i raczej płacić ów dodatek celny, aniżeli zadowalać się lichotą, gdyby tę ostatnią, pod osłoną cła, narzucać jej chciano. Tylko niezłomność w tym kierunku zdolna będzie przekonać producentów, że cła mają na celu umożebnienie ulepszeń w produkcyi, nie zaś przysparzanie zysków osobistych.

Nieomylni. Cechą zapleśniałych zaścianków jest zazwyczaj wielka liczba „nieomylnych". W wielkich ogniskach ruchu umysłowego, gdzie nieustannie krzyżują się i ścierają coraz nowe idee i poglądy, gdzie każda kwestya z kilku naraz punktów bywa rozpatrywana, — człowiek, mając nieustannie przed oczyma rozległe horyzonty, i spotykając się co chwila z różnemi korektywami, nie dochodzi tak łatwo do zadowolenia z najpomyślniejszych nawet wyników swej pracy. Zupełna samotność jest w tym względzie skuteczniejszą snadź jeszcze. Przestają w niej działać różne słabostki „zwierzęcia społecznego", tracą wagę wszystkie przemijające formuły, nawyknienia, troski i korzyści, niema już imponowania innym, a sobie samemu zaimponować trudno, widząc przed sobą biegnącą gdzieś w nieskończoność drogę. Inaczej na zapadłych partykularzach. Tam niemasz wielkiego ruchu, ani wielkiej ciszy. Tam, wśród ciasnych horyzontów, drobiazgi urastają do znaczenia wielkich rzeczy, a te ostatnie traktują się jako małostki. Tam człowiek ocenia siebie nie własnym sądem, lecz sądem otoczenia, i wtedy czuje się

wielkim, gdy innym zaimponuje. Gdy raz to się stanie, przywdziewa szaty nieomylności, uważa, że wszystko od niego się zaczyna i na nim kończy. Za progiem powiatu kolosalne mogą wrzeć starcia, najbardziej olśniewające rodzić się myśli, światy całe mijać i powstawać, — dla niego to wszystko nie istnieje, dla niego są to zwykłe drobiazgi, łatwe do rozstrzygnięcia i osądzenia, i błędne *ab initio,* jeżeli stają w sprzeczności z jego poglądami. Oto geneza wszystkich nieśmiertelnych panów Homais, zadowalających się imponowaniem czy to własnej żonie czy własnemu zaściankowi, wszystkich Bouvard'ów i Pecuchet'ów, rozstrzygających z całą stanowczością najzawilsze kwestye, wydających, *avec ce gros bon sens cher au Sancho-Pança,* zdania nieodwołalne o najdonioślejszych wypadkach, o najgłębszych myślach i dziełach, zawsze naturalnie z punktu widzenia własnej wyższości nad tem wszystkiem i dla okazania jej jedynie.

Od takich powiatowych „nieomylności“ mrowi się dzisiaj w naszej literaturze, a raczej w naszem dziennikarstwie literackiem. Są „nieomylni“ absolutni, gotowi w każdej chwili i w każdej sprawie powiedzieć „ostateczne“, decydujące raz na zawsze słowo, są znowu inni, uważający się za wyłącznych emfiteutów pewnej dziedziny, pewnego zakresu, — a wszyscy tak są z siebie zadowoleni, tacy niezachwianie pewni, tacy wzgardliwie protekcyonalni względem wszystkiego, co było przed nimi, tacy niewierzący, aby coś po nich przyjść mogło, że każde odrębne, czy to nowe czy nawet dawno już przedyskutowane gdzieindziej zdanie, wydaje im się świętokradztwem, bluźnierstwem, naiwnością, nieuctwem, wstecznictwem i t. p. I biada śmiałkom, którzy poważą się nie liczyć z zaściankowym sposobem myślenia tych powag, albo przynajmniej umówionej nie oddać im czołobitności!

Pośród tych rozkochanych w sobie Narcyzów, wybija się po nad innych p. Witkiewicz. Nie żeby — co do sądów, wyroków swych i całego trybu myślenia — był jakiemś zjawiskiem wyjątkowem: typowy to malarz w sposobie omawiania malarstwa, typowy „zdrowo-rozsądkowicz“ w zdaniach ogólnych. Odrębność polega tylko na tem, że, gdy inni *myślą* dobrze o sobie i co najwyżej w apodyktyczności zdań dają światu poznać swoją powagę, p. Witkiewicz *mówi* nieustannie o swej nieomylności i, co stronica, upewnia o niej czytelników. Już w „Sztuce i Krytyce“ pełno było tych dość zabawnych autoreklam. Z homeryczną gadatliwością opowiedziano tam monomachie z prof. Struve, z hr. Tarnowskim, z ks. Morawskim. Naturalnie, p. Witkiewicz wszędzie zwyciężył. Prof. Struve postawił

mu siedm zarzutów, p. Witkiewicz zbił je wszystkie. Gdyby zarzutów było dwadzieścia jeden, zbiłby je co do jednego. Że śmieszność tego zacietrzewienia w „zbijaniu“ wszystkiego bez wyjątku jakoś nie zwróciła niczyjej uwagi, więc zachwyty nad sobą w dalszych dziełach p. Witkiewicza poczęły rosnąć. Wreszcie, w artykule o Gierymskim, dowiadujemy się, że p. Witkiewicz jest alfą i omegą w krytyce sztuki, że „zbił“ nietylko powagi warszawskie i krakowskie, lecz i wszystkie filozofie i estetyki przeszłe i przyszłe. Przed nim były tylko „ciężkie spekulacye niemieckie, resztki wyszarzanych systemałów filozoficznych, pojęcia obumarłe, małżowiny, z których dawno wygniło życie, pozostawiając tylko duszną tchlinę fałszu.“ Był jeszcze Taine, ale p. Witkiewicz, jak powiada, „zbił“ i jego teoryę środowiska doszczętnie. Aż — „powiedzmy prosto“ — zjawiła się *Sztuka i Krytyka,* rozegnała błędy, nieuctwa, naiwności na cztery wiatry — i ludzkość miałaby prawdę zapewnioną do końca świata, gdyby nie skłonność pana Sygietyńskiego do „łojówki“ komunałów, i gdyby nie zjawienie się „Chimery“, roszczącej sobie „z taką bezwzględnością“ i bez upoważnienia p. Witkiewicza szczególne prawa do zajmowania się sztuką. Aby „zbić“ p. Sygietyńskiego, wtrącił p. Witkiewicz w swym artykule dytyramb na cześć paradoksu, „Chimerze“ zaś zarzucił „powrót do wszystkich fatalnych błędów niedawnej estetyki, do metody nadużywania frazesów, do absolutnego nierozumienia sztuki, do wypowiadania przypadkowo skupiających się i rozlatujących wyobrażeń.“ „Chimera“ może tylko ruszyć na to ramionami. Co jest frazesem, to kwestya. Dla murzyna, dajmy na to, nawet najbardziej trzymające się kupy, nawet najmniej „stertowe“ ustępy książek p. Witkiewicza byłyby prawdopodobnie zbiorem „skupiających się przypadkowo i rozlatujących wyobrażeń.“ Że p. Witkiewicz chce być, czy też nie może przestać być murzynem, w stosunku do porządnego, ścisłego myślenia filozoficznego, nic na to nie poradzimy. Polemika wszelka byłaby tu zbyteczna: pancerz nieomylności p. Witkiewicza jest nieprzebity, a my nie mamy chęci do apostołowania na puszczy. Kiedyś, p. Z. P. lub p. Miriam, gdy nie będą mieli czegoś lepszego do roboty, rozbiorą może, wydobywszy je z gadatliwości olbrzymich tomów, kanony teoryi i krytyki p. Witkiewicza — a wtedy okaże się dowodnie (po części podniósł to już zresztą p. Sygietyński w krytyce książki o Kossaku), jakie to wszystko powierzchowne i pełne sprzeczności; jak teorya indywidualności i złych wpływów szkoły kłóci się z pedantycznem belferstwem, doszukującem się, „braku szarego tonu na skraju cienia nosa“; jak czysto osobiste są pojęcia p. Witkiewicza o tem, co się da ująć w kształt,

a co nie; jak wszystko sprowadza się u niego do apodyktycznego „zbijania“ bądź co bądź; jakiego nierozumienia i nieczucia sztuki dowodzi możność zestawiania Piechowskich z Matejkami; jak bardzo dociągane są określenia techniki i artyzmu, rzemiosła i sztuki; wreszcie do jak fatalnych w praktyce doprowadzić musiały teorye te rezultatów. Na dziś, p. Z. P. zwraca tylko uwagę, że p. Witkiewicz, ψευδηγόροις φήμαισιν ἐγχρίσας ἔπη, nie postępuje zupełnie lojalnie, i prosi nas o odpowiedzenie mu, na zarzut identyfikacyi grubego malowania z realizmem, słowami, które autor *Sztuki i krytyki* tak często słyszał od Gierymskiego: „Pan znajduje?“ P. Miriam zaś, dowiedziawszy się o zgorszeniu p. Witkiewicza z powodu artykułu *Walka ze sztuką,* rzekł, używając dziwnym trafem znowu słów Gierymskiego: „A, rozumiem!“ — i radził nam poszukać źródła tych pojęć „artysty“ w programie którejkolwiek z partyjek demokratycznych.

Tredecim.

POEZYA.

Marya Konopnicka: *Italia.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Ada Negri: *Niedola. Burze.* Przekład Maryi Konopnickiej. Warszawa. B. Natanson. — L. Ariosto: *Orland oszalały.* Przekład Felicyana. Warszawa. Bibl. Dzieł Wyborowych.

Italia — błogosławiony kraj dla poetów i artystów. Przyroda, morze, słońce, linie, kolory, ruiny, ślady wielkiej przeszłości pogańskiej i chrześciańskiej, legendy i historya, wszystko wiąże się tam w ogromną, uroczystą harmonię, wytwarza jakąś dziwnie ożywczą dla natur twórczych atmosferę. A na tych tłach czarodziejskich, przesuwają się — niby orszaki istot niecielesnych — wspomnienia wielkich duchów, którym ta ziemia czarów bądź ojczyzną była, bądź przedmiotem tęsknoty i zbożnych celem pielgrzymek. Błąkają się tu nietylko echa śpiewaka mantuańskiego, starego Gibelina, smętnego twórcy Jerozolimy Wyzwolonej, lecz i Goethe'go, i Byrona, i Shelley'a, i Mickiewicza... Kolizeum rzymskie stokroć potężniej w oczach nam się zarysowuje w łunach wspomnień Irydionowskich. Zeyer, zda się, większym jeszcze czarem widziadlanej, marzącej melancholii napełnił kampanię. Powiązały się te duchy na wieki z Italią, spotęgowały jej wielkość podniosłością swoją, napełniły ją jakgdyby wianiem rzeczy wiekuistych, uczyniły z niej jakieś pola elizejskie, jakieś błonia zaświatowe, na które wstąpiwszy, człowiek winienby módz oderwać się od efemeryj życia, głębiej wejrzeć

w nieskończoność i „iść oczarowanym, zgubionym w snach krokiem."

Gdy się kładzie magiczne imię tej ziemi na zbiorze poezyj, obowiązuje to poniekąd. Musimy się zapytać: czuć-że w nim wielkie tchnienie całości? olśnił-że nowego pątnika ten „brzeg zbawiony" tak dalece, aby wszystko inne znikło mu z przed oczu? „rozwiośniłże mu serce majową pogodą," t. j., odnowił-że, odmłodził jego istotę, wydobył na jaw nieznane dotąd jej strony? podniósł-że go na takie wyżyny, z których oko już nie dostrzega drobiazgów życiowych, a natomiast ogarniać poczyna bezbrzeżne nieskończenia perspektywy?

Niestety, na wszystkie te pytania książka p. Konopnickiej, mimo obiecującej inwokacyi wstępnej, z której zaczerpnęliśmy zamknięte w cudzysłowach wyrażenia, — przeczącą raczej wywołuje odpowiedź. Nic nie świadczy w tym zbiorku o „jednem drzewie marzenia," mamy przed sobą mnóstwo szczegółów, ale na dnie ich nie możemy się doszukać najlżejszych zarysów wielkiego, ogólnego wrażenia. Bylibyśmy skłonni rzec, że przed oczyma poetki przesunęło się dużo rzeczy we Włoszech, że niektóremi przejęła się nawet głęboko, ale że Italii nie odczuła ani na chwilę. Książka nie ma żadnej wnętrznej budowy, żadnej szerokiej, przechodzącej przez wszystko linii. Robi ona raczej wrażenie — misternej zresztą — skrzynki, w której pomieszano bezładnie istotne klejnoty z uschłemi kwiatami i kolorowemi muszelkami. — Ton ogólny, charakteryzującą i wiążącą wszystkie szczegóły linię zasadniczą osiąga się, jeśli jakieś wrażenie tak silnie nas uderzy, że na chwilę zasłoni nam wszystko inne, wszystko w skład jego nie wchodzące — i samą nawet osobowość naszą poniekąd. Wtedy tylko serce „rozwiośnieje" istotnie, wtedy tylko po tem wrażeniu nowa zupełnie, własna, lecz poszerzająca indywidualność naszą reakcya twórcza nastąpić może. P. Konopnicka nie ma, zda się, tej „wiecznej nowości serca", tej wieczystości dziecięctwa, której Guyau słusznie wymaga od artysty w stosunku do świata. Nie poddaje się ona wrażeniu, nie staje przed niem ze zdumieniem i prostotą dziecka; przeciwnie, reaguje na podstawie wszystkich swych cech poprzednio wyrobionych, wad czy zalet, przystosowuje nowy materyał do dawnych form swej duszy, wtłacza go w nie poniekąd — i na nowe pobudki staremi oddźwięka akcentami. Nie uwiązała się też i „od harfy murów italskich struna drżąca" do jej duszy, nie zbudziła w niej drgań żywych i nowych. Wszystko prawie zawarte w tym tomie znamy już z poprzednich książek p. Konopnickiej. Te same tu niewysłownie gędziebne strofy, pełne żaru ukrytego *(Willa Wołkońskich)*, tęsknoty wielkiej *(Na Carignano rankiem i w nocy)* lub

nieuchwytnego rozmarzenia *(W Castel Fiorentino)* — i te same zwietrzałe echa maniery romantycznej *(Na Janiculum, Widzenia Korsyki,* większość *Ech florenckich);* te same wyrazy skupionego uczucia lub zapału *(U grobu Pergolesa, W San Onofrio)* — i te same tyrady retoryczne *(Lanca Rolanda, W Porta Pia);* te same tęskne ludowe piosnki „na fujarce", tylko tutaj nieco bardziej wysłodzone i barokowym raczej tchnące wdziękiem *(Correggio, Sistina, Madonna del Cardelino)* — i te same, naprzemian to sentymentalne, to do heroizmu dociągane obrazki rodzajowe *(Incanto, W zakrystyi na Murano, Bagnasco, Gran Scoglio);* to samo ekstatyczne bóstwa odczuwanie *(Magnificat),* to samo jak gdyby narzucanie Bogu swych pragnień, poglądów czy ukochań *(Miserere)* i te same płytko buntownicze motywy *(Faun pijany,* nieco śmieszny ze swym „palcem maleńkim wytkniętym w błękity"); te same *pointe*'y i sensy moralne *(Fiumicino, Porto Vecchio),* niekiedy psujące bardzo piękny pejzaż lub wizyę *(Chiaia, O zmierzchu);* ta sama wielka prostota w jednych ustępach i ten sam teatralny patos w drugich, ta sama śpiewność ogromna w danem miejscu, a gdzieindziej łamanie rytmu bynajmniej nieusprawiedliwione, ten sam olśniewający przy pierwszem czytaniu opył jakiś złociście migotliwy i ten sam wychodzący potem dopiero na jaw brak krzepkiej wyrazistości plastycznej, te same barwy, zwroty, przenośnie, wyrażenia. O Italii daje znać w tych utworach strona fabularna wyłącznie, czasem sam tytuł tylko, kiedyindziej imię jakieś jedynie, lub wtrącone włoskie słowo; po za tem, wszystko mogłoby równie dobrze odbywać się gdzieś *in vacuo,* w nieokreślonych jakichś sferach — i skutkiem tego czytelnik czuje raczej nawlekanie na nić utworu szematycznych formułek, aniżeli szczery wylew duszy twórczej pod nową, silną pobudką.

W kilku miejscach zaledwie, ogrom wrażenia przedarł się aż do najgłębszych zakątów dusznych poetki i, rozpraszając mgłę szablonu, nowym, żywym odstrzelił z nich płomieniem. Mamy tu, przedewszystkiem, na myśli cztery kantyki: „*W Sykstynie.*" Mętne to tu i ówdzie, tu i ówdzie doktrynerskie, ale z całości bucha brutalna aż niekiedy moc elementarna, biją straszliwe głosy otchłani, uderza jak gdyby napór wichru olbrzymiego. Gdzieindziej, niesłychana bolesność w twarzy „*Śpiącego Fauna*" wstrząsa tak potężnie całą istotą poetki, że uświadamia jej nagle treść tej tęsknicy, która dotąd, niby nieokreślna mgła, owiewała niektóre jej utwory:

Ja wiem, jak się ta krzywda nazywa i skarga:
To dwoistość istnienia, co świat cały targa,

To rozłamanie ducha i myśli i woli!
Ja wiem, jak się ta krzywda nazywa, jak boli.

I na wieki tak będzie, zostanie na wieki:
Pęd ducha lecącego w świat lepszy, daleki,
I ciężar ziemi, skrzydła co łamie w tym pędzie...
Na wieki tak zostanie. Na wieki tak będzie.

Za sucho to może i za dydaktycznie powiedziane, za poziomo, z punktu widzenia ciasnych widnokręgów ziemskich, jako „krzywda" ocenione; wolelibyśmy, aby poetka, zamiast tych określeń i zamiast zapewnień, że „wie, jak to boli," zatargała nam duszą przez magię poetycką, tak, abyśmy sami ból ten uczuli. Ale nawet to proste stwierdzenie rzeczy (zresztą niejednokrotne: patrz również sonet *Mewy)* jest już nader ważkie i znaczące u p. Konopnickiej. Po żalach i buntach z powodu różnych nędz i bólów *społecznych,* które bądź co bądź nie są wiekuiste, dziś istnieją, jutro przeminąć mogą, jest to zwrócenie się do bólu *człowieczego,* do owego *fate, whose name is also sorrow* (Poe), który nigdy nie przeminie i, przy najlepszych układach społecznych, przy najlepszych warunkach życiowych, zawsze istotę człowieczą udręczać, lecz razem snadź i uszlachetniać będzie. Zgiełkliwemu, zmateryalizowanemu tłumowi takie *Weltschmerz*'e wydają się błahostką lub udaniem w porównaniu np. z bólem głodu lub innej nędzy fizycznej. To też nie w modzie one dzisiaj — i odnaleźć je można tylko u nielicznych, trzymających się zdala od wiru życia społecznego i wdumanych w istotę bytu swego samotników. P. Konopnicka parę razy *(Ignotus, Coggoletto)* zdradza się z gorącą sympatyą dla tych nieznanych, samotnych, obcych pośród grzmiącego dookoła „ogromnego huku morza." Byłżeby to znak, iż uczuła, że droga do ludzkości wiedzie przez duszę pojedyńczego człowieka, a do tej ostatniej przez duszę własną, i że nie doktryny, nie utopie społeczne, nie wiedza doświadczalna (jak niezbyt dawno łudzono się jeszcze), mogą dać nową treść i nowy wzlot poezyi, lecz niezmordowane wgłębianie się, w ciszy i samotności, we wnętrze własne, kędy śnią, oczekując wcielenia, nieprzemijających rzeczy pierwiastki? Jeśli tak, Italia dała jej najdroższy może klejnot.

Społeczeństwa dzisiejsze i organ ich, prasa, innego byłyby zdania. Chcąc one nie rzeczy wiekuistych, lecz rzeczy „na czasie", żądają od twórcy, nie żeby podnosił je ku sobie, lecz żeby zstępował ku nim—i dlatego otaczają hołdami wszelkich trybunów, infirmierów, sentymentalnych melodramatystów, uprawiaczy „zdrowej"

banalności, a za to obdarzają mianami zwyrodniałych, dekadentów, szaleńców takie ogromne postacie jak Baudelaire, Ibsen, Wagner, Verlaine, Nietzsche i t. d. Przykładów tej predylekcyi tłumów do mierności nie zliczyć. Oto jeden z niedawnych: z całej grupy parnasistów, do której należeli przecież i Verlaine, i znany czytelnikom naszym Villiers de l'Isle Adam, i Dierx, i Anatol France, i de Heredia, i wielu innych dobrych poetów, wyniesiono najwyżej, wybrano do akademii, uczyniono poniekąd wieszczem narodowym — Franciszka Coppée, ckliwego wersyfikatora wszystkich możebnych *faits divers*, barda wszystkich powszedniości życiowych, przedstawiciela *najidealniejszej* poziomości duszy. *Les humbles*, ubodzy duchem, bywają wdzięczni za porzucenie rzeczy wielkich i wysunięcie na pierwszy plan ich drobnych trosk i zabiegów. Tem tylko wytłómaczyć sobie możemy rozgłos poezyj p. Ady Negri, wychwalanych po wszystkich dziennikach, przełożonych już na kilka języków i przeflancowanych wreszcie nawet do naszej literatury, dzięki zabiegliwości p. B. Natansona. Pomysł bowiem przekładu wyszedł prawdopodobnie od wydawcy; wątpimy, aby p. Konopnicka, której Ada Negri do stóp nie sięga, z własnego wyboru i ochoty przedsiębrała niewdzięczną tę pracę.

Po pierwszem już przejrzeniu obu tomików (z których czemu jeden zwie się *Fatalità*, a drugi *Tempeste*, nie rozumiemy, bo niemasz między niemi najmniejszej różnicy tonu), nie żądamy od p. Negri żadnych rozleglejszych horyzontów, żadnych pogłębień. Od trybuna wszakże mamy prawo wymagać potężnej, porywającej wymowy, od altruisty — pewnego, chwilowego choćby zapomnienia o sobie, od malarza niedoli ludzkiej — wielkiej gorącości i szczerości uczucia, od każdego wreszcie rymotwórcy — jakiej takiej przynajmniej świeżości i barwności obrazów, przenośni, wyrażeń. Tymczasem, niepodobna sobie wyobrazić większej szarzyzny, bezsilniejszej deklamacyjności, suchszej, zimniejszej retoryki, kompletniejszego nakoniec doboru najrozpaczliwiej banalnych komunałów, niż w utworach p. Negri. Sama ona jest zupełnie zadowolona z siebie, altruizm nie przeszkadza jej bynajmniej rozrzewniać się co chwila nad swoją wielkością, swojem poświęceniem, swoim... geniuszem.

Tyś urodzona jest na Apollina —

powiada w jednem miejscu.

Z płomiennych natchnień, strofami lotnemi,
W ognistych pękach, niebiosom i ziemi
Rzucam pioruny i kwiaty! —

obwieszcza gdzieindziej. Otwieramy książkę na traf, nie wyszukując bynajmniej jakichś miejsc słabszych:

Kwitną róże i nadzieje
Na ołtarzach ideału...
Kwitną plony prac, uniesień,
Wiedzy, czucia i zapału.

To prawdopodobnie ma być kwiat. Odwracamy odrazu kilkadziesiąt kartek. Losy dziecka pracującego w fabryce:

Zwolna, powoli — uwiądł. Fatalny, złowrogi
Jest dla dziecięcych piersi, tak wiotkich jak kwiaty,
Dech przędzalni, ziejący w nie pyłów tysiącem
Mordercze swoje miazmaty.

To zapewne piorun. Zaiste, wolno było Carducci'emu zagrzmieć bez samochwalstwa:

... uscir credeami italico vate a la nuova etade,
Le cui strofe al ciel vibrano come rugghianti spade,
E il canto, ala d'incendio, divora i boschi e va —

bo — jeśli pominąć już, iż żywił on się tem, zaciężkiem na pensyosyonarską główkę p. Negri, ziarnem,

Che ne' solchi de i secoli aperti con la spada
Dal console roman
Dante, etrusco pontefice redivivo, gettava, —

nawet w wierszach społeczno-politycznych tytaniczna bucha zeń siła. To też jego *il Carnevale* brzmi jak straszliwy i ponury akt oskarżenia, podczas gdy mogąca służyć ideowo za odpowiednik antyteza *Ostatniego Księcia* i *Dziedzica* u p. Negri jest sentymentalną banalnością. Głos Carducci'ego to rozhuk gromu; głosik p. Negri, wytężając się, wpada często w krzyk trywialny. W obrazach przyrody czuć tu i owdzie pewną świeżość, ale zawsze psuje pod koniec wrażenie bądź jakiś frazes nieszczerze patetyczny, bądź silenie się na heroiczność, bądź niezwiązany z krajobrazem i niewiadomo zkąd biorący się sentymencik. Takiej ogromnej, przenikającej prostoty, jak w *Idylii maremmańskiej* lub w słynnym *Wole* Carducci'ego, u p. Negri nie spotkać. Jedynym silniejszym i szczerszym akcentem jest w obu książkach ton miłości zmysłowej. Ale dwa razy tylko spotykamy go bez domieszki obcych pierwiastków: w *Prządce* i w *Godzinie.* We wszystkich prawie innych erotykach, frazelogia, doktrynerstwo lub poza gaszą wnet szczerszy przebłysk duszy.

Dziwne, zaiste, mamy szczęście do przekładów poetyckich: z reguły (od której bardzo nieliczne dałyby się wskazać wyjątki) do-

stajemy albo przełożone źle rzeczy dobre, albo też w dobrem tłómaczeniu—przeróżne mizerye Rostand'ów i t. p. I w danym razie, wydawca, korzystając z talentu p. Konopnickiej, mógł był nam dać w doskonałym przekładzie bądź jednego z istotnie dobrych poetów włoskich (np. Carducci'ego, Rapisardi'ego, d'Annunzia, zwłaszcza jego *Poema paradisiaco,* Pascoli'ego, i t. d.), bądź którąkolwiek ze znakomitych poetek obcych (np. Ackermann'ową, Marcelinę Desbordes Valmore, Elżbietę Barrett Browning, Krystynę Rossetti, i t. d.). Zamiast tego, obdarzył nas tym kajetem pensyonarskich wierszy, któremu najlepszy przekład nic pomódz nie może. Książka wydana została bardzo kosztownie, ale bez smaku. Rysunki rażą jednostajną banalnością i stanowią godne *pendant* do treści, okładka zaś przypomina uparcie pudełka ozdobne do cukierków.

W ubożuchnej za to, nawet nie zgrzebnej, lecz jakiejś demokratycznie perkalikowej sukience puścili w świat wydawcy wyborne Felicyanowskie tłómaczenie całego szeregu wiążących się z sobą fragmentów z fantastycznej baśni Ariosta. Sam *messer Lodovico,* który jedenaście lat pracował nad *Orlandem*, a potem szesnaście lat go poprawiał, aby każda stanca była dziełem sztuki, bratersko uścisnąłby dłoń tłómacza za takie dyamentowe wiersze:

RĄBIE W ORLANDA — ALE ODSKOCZYŁA
OD KARACENY DŹWIĘCZNA STAL BRZESZCZOTA —

i za przedziwne strofy całe, od których wprost mrowi się w przekładzie. Ogromna krzepkość i jędrność wyrażeń, umiejętne i w miarę używanie starego języka, niesłychana wytworność i bogactwo rymów — oto co odejmuje tym w nieskończoność biegnącym oktaw szeregom wszelką możliwość monotonii, nadaje im wibracyę i życie, czyni interesującym każdy szczegół, uwydatnia wszystkie piękności oryginału i niekiedy podnosi je nawet. Jakże dalecy tu jesteśmy od ciągnionego za uszy, zatracającego formę pierwowzoru, zrubaszniającego ton i nieskończenie prozaicznego tłómaczenia Piotra Kochanowskiego! Porębowicz pokazał w ciekawym naśladowczo - archaicznym przekładzie ustępu z pieśni XXIII, czem *mogłoby być* — jako dzieło sztuki — owo tłómaczenie, gdyby go był dokonał ten sam doskonały *poeta,* który odtworzył *Jerozolimę* Tassa. Nic wtedy nie byłoby ciekawszego nad porównawcze zestawianie obu tłómaczeń, Kochanowskiego i Faleńskiego, tak poetyckich jednako, a tak różnych przecie. Tak jak jest w rzeczywistości, niepodobna nie nazwać przekładu Faleńskiego *pierwszą u nas poetycką transpozycyą* Aryostowego eposu, i nie pragnąć, aby, zamiast zamierzonej przez akademię

krakowską edycyi owego pseudo-Piotra, nakładca jakiś zaproponował wielkiemu artyście, jakim jest Felicyan, wydanie *Orlanda* po polsku *w całości.* Aż smak bierze na myśl, jak *jedynie* mogłyby wypaść różne, to dobrodusznie uśmiechnięte, to złośliwie satyryczne inwokacye, aluzye, dygresye Ariosta w odtworzeniu autora *Świstków Sylena!*

Kiedyś, bandyci, schwytawszy orlandowego śpiewaka, oszczędzili go, skoro im powiedział swe nazwisko. „Stworzyć dzieło arcyarystokratyczne“ — dodaje opowiadający to Porębowicz — „a napełnić imieniem swem bory — sztuka to nie lada.“ Byliżby ludzie dzisiejsi mniej wrażliwi od opryszków z Garfagnana na czar tej jedynej w swoim rodzaju, pogodnej wyobraźni,

Che di bianco, d'azzur, vermiglio e d'auro
Fioriva sempre...?

A Faleński oddaje ją z całą tą słonecznością barwistą.

Miriam.

SZTUKA DAWNA.

Wystawa przedmiotów sztuki i starożytności w Lublinie.

Tło dla wystawy obrano szczęśliwie. Stanowiły je historyczne mury klasztoru po-dominikańskiego, — mianowicie jego długie, pozałamywane korytarze. Przed wiekami bywały one widownią sejmików, i zapewne niejedna z postaci, których portrety wisiały na wystawie, żywa i butna, jak na portrecie, wypełniała je wesołem echem swego humoru lub ponurem swego „veto“. Charakter więc przedmiotów wystawionych znalazł się w ścisłym związku z murami, które je zamykały. Dzięki temu, ogólne wrażenie, jakie wystawa czyniła na pierwszy rzut oka, było znamienne w stosunku do innych wystaw i kazało odczuwać pewną koncepcyę artystyczną w wyborze lokalu.

Szczegóły urządzenia przedstawiały się mniej dodatnio. Komitet wystawy rozporządzał miejscem obszernem, mógł więc stworzyć plan w ugrupowaniu przedmiotów. Przedewszystkiem, należało oddzielić dzieła sztuki wolnej od dzieł sztuki w zastosowaniu; obie zaś kategorye należało rozbić na działy i ugrupować w następstwie epok. Im jest bogatszą wystawa ilościowo, tem trudniejszą bywa do przestudyowania i tem potrzebniejszym jest plan w jej urządzeniu. Tu zaś,

gdzie liczba zgromadzonych przedmiotów znacznie przeszła 2000, plan taki był koniecznym. Można było tu i tam odstąpić od niego dla względów artystycznych lub poglądowo-naukowych, lecz myśl zasadnicza winna była być zachowaną, zarówno dla dobra przedmiotów i dla pożytku oraz dogodności zwiedzających. Że właściciele eksponatów dbają o nie, widać to było ze szczelnie pozamykanych gablot, w których je poukładano w nadmiernej ilości, bez względu na ich różnorodność. Skutkiem tego jednak, urządzenie przybrało cechę raczej bazarową, niż wystawową: mimowoli odczuwało się przewagę oszacowania towaru nad oszacowaniem dzieła sztuki, przez co i sam towar, zbity w chaotyczną masę, tracił na ekspresyi. Komitet uznawał podobno potrzebę planu i pragnął go przeprowadzić, lecz jakieś echo dawnego „veto“ znów się miało odezwać z za węgłów korytarzowych.

Tytuł wystawy wskazuje, że zawartość jej była urozmaiconą. Rozbita na działy, obejmowała ona: meble, porcelanę, tkaniny, wyroby złotnicze i cyzelerskie, uzbrojenie, malarstwo, rzeźbę, dawne rękopisy i wydawnictwa.

Wykwintnych, prawdziwie artystycznych, zagranicznych produkcyj *kunsztu stolarskiego* było u nas wiele. Napływały one głównie z dwóch źródeł: z Niemiec i Francyi, rzadziej z Włoch. Słynne meble gdańskie, bogato ornamentowane, miały u nas specyalny przywilej sympatyi; zdziwiło nas więc bardzo, że wystawa posiadała zaledwie parę okazów tego stylu: szafę o ornamentacyi architektonicznej (№ 88, sala I — własność powstającego w Lublinie muzeum, ofiarowana przez p. Łabęckiego), i dwa fotele z w. XVIII (№ 1084a, sala IV — wł. kaplicy zamkowej w Lublinie), każdy innych kształtów, jeden ze snycerskiemi ozdobami, drugi kryty przepyszną genueńską materyą aksamitną z XV w. Ten ostatni bije w oczy niby symbol anachronizmu: powleczenie szkieletu krzesła późniejszej epoki materyą wcześniejszej — sprzeciwia się nieco logice. Obydwa fotele były reprodukowane w № 1-ym Ilustr. Monografii Kościołów w Król. Polsk., gdzie błędnie odniesiono je do stylu Ludwika XIV.

Z chwilą gdy polityczne stosunki Polski z Francyą jęły stawać się coraz częstszemi, mody tej ostatniej wraz z zamiłowaniem do wszystkiego, co było w „stylu francuskim“, przyjmowały się u nas coraz szerzej. Skutkiem tego, w urządzeniach bogatszych domów polskich można było spotkać wszystkie odmiany stylowe francuskie, począwszy od epoki Ludwika XIV, a skończywszy na Ludwiku Filipie. Wystawa zaś i tych okazów posiadała niewiele; wybitniejszą finezyą w wykonaniu i pomyśle zdobniczym odznaczała się szafa, bogato

inkrustowana bronzem, w charakterze Ludwika XIV (№ 1084b, sala IV — wł. p. Łabęckiego) i szafeczka oszklona w stylu Ludwika XV, rzeźbiona i złocona (№ 1071, sala IV — wł. p. E. Szydłowskiej).

Nieponętnym dla szukających wykwintu drogiego, lecz interesującym dla każdego, kto się sprawami sztuki zajmuje, był stół z w. XVIII (№ 1044, sala IV), znany z reprodukcyi w rysunku i z uwag o nim ś. p. J. Maszyńskiego w Tyg. Ilustr. Charakterystyką jego budowy są nogi, t. zw. krzyżaki, o profilu falującym, ściągnięte na listwie klinami; ornamentacyą zaś — różnobarwne motywy ze świata roślinnego i ptasiego na tle czarnem. Ogólny kształt stołu, prymitywny, choć malowniczy, nie zasługiwałby jeszcze na uwagę, lecz wdzięczne i lekkie ozdoby na płaszczyznach nóg, uprawniają do zaliczenia go w poczet dzieł, przy wykonaniu których inspiruje jedynie poczucie piękna i jego potrzeby. Co do pochodzenia tej ornamentacyi, podzielamy zdanie p. Soubise Bisier (*Słowo,* № 148), raz dla tego, że je popiera nauka historyi sztuki; powtóre, że w jednym z kościołków drewnianych, na boazeryi, którą wyłożono ściany prezbiteryum, mieliśmy sposobność widzieć podobne malowania, o ściślej już zdeklarowanym charakterze rokoka — kościół zaś ten powstał w w. XVIII; wreszcie potrzecie, że gdyby ozdoby te były właściwością czysto miejscową, polską, spotykałoby się ich więcej i zapewne już w przedmiotach epok wcześniejszych. Dla ścisłości jedynie winniśmy dodać, że wzory, które *przyczyniły się do wzbogacenia* rokoka, nie były chińskie, jak utrzymuje p. Bisier, lecz japońskie, holendrzy bowiem, pierwsi krzewiciele tych egzotycznych wpływów artystycznych w Europie w XVII w., po długich usiłowaniach, dobili się prawa wpływania do portów japońskich i prowadzenia w nich handlu. Prawo to wyzyskali, gdyż bardzo cenne wytwory sztuki japońskiej zostały przewiezione do Europy. Chińczycy znacznie dłużej bronili się od napływu europejczyków, a na wartościowe dzieła sztuki chińskiej po dziś dzień rozciąga się zakaz wywozu.

Wymieniony stół jest własnością kościoła Szarytek w Lublinie. W zakrystyi jego znajduje się także rodzaj szaf niskich, czy komód, w tym samym charakterze, co stół; szkoda więc, że Komitetowi nie udało się ich obok niego umieścić.

Wykwintnym okazowym egzemplarzem był wielki, trochę ciężkich kształtów taboret (№ 1073, sala IV — wł. Katedry Lubelskiej, dar Jana III). Jego nogi i boki, powyginane w wypukłych barokowych liniach, rzeźbione i złocone, dźwigają cztery lwie łapy, pazurami zwrócone pod siedzenie. Poduszkę pokrywa przepiękna

włoska materya gobelinowa, suto srebrem przetykana. Reprodukcyę jego umieściła Ilustr. Monogr. Kościołów w № II-im.

Do działu mebli zaliczyć również należy *skrzynie żelazne i dębowe*, interesujące ornamentacyą. Najmisterniejszą z nich jest żelazna, zdobna w kwiaty kute, z wieku XVIII (№ 104, sala I — wł. p. A. Kuczyńskiego). Przypomina ona zupełnie tę, z której doskonałe pod względem realistycznym studyum można było widzieć na wystawie pośmiertnych prac Maszyńskiego. — Godną też uwagi była wielka skrzynia dębowa (№ 103, sala I — wł. p. H. Wiercieńskiego). Zdobi ją od góry rodzaj fryzu, inkrustowanego drzewem, a przedstawiającego sceny łowieckie; poniżej grupy jeźdźców na koniach. Wiek XVII.

Niema produktu bardziej urozmaiconego pod względem gatunku materyału, jak *wyroby porcelanowe i wogóle ceramiczne*, i nie małą rozmaitość ich posiadała wystawa. Przestudyowanie takiego działu, znawstwo którego polega głównie nie na ocenie piękności okazu, lecz jego tej czy innej autentyczności lub wieku, wymaga poszczególnego obejrzenia, nie zawsze dającego się uskutecznić. Z konieczności więc ograniczymy się do pobieżnego rzutu oka.

Z wyrobów sewrskich wyróżniał się niewielki wazon w oprawie z bronzu, ozdobiony medalionami, dekoracyjny, z czasów Ludwika Filipa (№ 521, sala IV — wł. p. Wernickiego); następnie — czarka, także w bronz oprawna, z malowanemi scenami à la Boucher, z podpisem „Daret“ (№ 524, sala IV — wł. p. Wojciechowskiej), i serwis złożony z kilku sztuk (№ 514, wł. p. Biernackiej). — Z saskich, najpiękniejszym był dekoracyjny wazon w charakterze chińskim (№ 1706, sala IV). Po za tem, okazy porcelany berlińskiej, wiedeńskiej, angielskich i holenderskich wyrobów, talerzyk japoński ze wspaniale opierzonym kogutem wśród kwiatów (rzecz nowsza, lecz bardzo dekoracyjna), i kilka sztuk, zawsze niezwykle miłych swem artystycznem przeznaczeniem, płytek do wykładania ścian: saskich, z epoki Mareoliniego, i barwnych majolikowych perskich z wypukłemi postaciami konnemi.

Ceramikę polską reprezentowały wyroby wszystkich fabryk: koreckiej, baranowieckiej, harodnickiej, lubartowskiej, ćmielowskiej, staszowskiej, tomaszowskiej i gromadzickiej. Przeglądając ten zbiór, począwszy od filiżanki koreckiej, a skończywszy na wielkich gustownych wazonach lubartowskich, stwierdzić trzeba i bogatą rozmaitość kształtów i prawdziwe dążenie do stworzenia przedmiotów sztuki. Z żalem więc przychodzi zaznaczyć, że przemysł ten, tak dobrze zapoczątkowany, tak małą dziś odgrywa rolę.

Pasy polskie, makaty, gobeliny, materye haftami pokryte i ubiory kościelne stanowiły *dział tkanin.*

Pasy różnych marek, dwu—i czterostronne, skromne jedwabne i drogocenne lite, widać było w większości szaf i gablot. Między makatami na wyróżnienie zasługiwały: niewielka perska z XVII w., o pięknym wypukłym deseniu (№ 452, sala IV) i turecka haftowana (№ 218, sala I), spuścizna po Stanisławie Auguście. Z gobelinów najstarszym był flamandzki z XVI w. (№ 186, sala IV). Jest on tylko częścią całości, która kiedyś składała się z większej liczby wąskich, długich pasów zszytych; dwa z nich tylko pozostały. Dwa większych rozmiarów gobeliny, uchodzące za krajowe z XVIII w. (№ 357, sala IV), nie należą do wybitniejszych tego rodzaju wyrobów.

Prawdziwie artystyczną robotą jest haft srebrem na starej chorągwi po-dominikańskiego kościoła (№ 354, sala IV), datującej z roku 1618. Środek jej zajmuje postać Matki Boskiej, brzegi zaś — rama z doskonale skomponowanego i rysowanego ornamentu z akantów, palmet i rozet.

Misterniejszym jeszcze jest haft pelami na złotogłowiu, na ornacie w stylu Ludwika XIV (№ 407, sala IV — wł. Katedry Lubelskiej). Słup środkowy tworzy szereg scen z Pisma Świętego, z drobnemi, subtelnie rysowanemi figurkami, boki zaś wypełniają motywy akantowe.

Oryginalnym i treścią interesującym zabytkiem jest alba utkana na pamiątkę zawartego przymierza i zjazdu trzech ukoronowanych głów w Hubertusburgu, z końcem siedmioletniej wojny (№ 1091, wł. kościoła w Modliborzycach). Obraz na albie przedstawia apoteozę tego momentu. We wnętrzu jakiejś sali, w stylowych odpowiadających epoce kostyumach, stoją trzy postacie: Marya Teresa, obok niej Fryderyk II, naprzeciwko zaś August III, podający cesarzowej różę. Ponad nimi unoszą się dwaj aniołowie, z których jeden wieńczy głowę Augusta, drugi dmie w trąby. Wyżej jeszcze umieszczono herby trzech państw i odpowiednie nad niemi monogramy MT, FR i SAR. Oprawę i zakończenie tej apoteozy stanowią po obu stronach jednakowe architektoniczne fragmenty; na stopniach ich siedzą grupy matek z dziećmi. Pod spodem napis: „Auf Sr. Königs-Majest. von Preussen und der Römischen Keiserin wie auch des Königs von Pohlen Majest. Majest. den 15 Febr. 1763 zu Hubertsburg glücklich geschloszenen Frieden."

Między *wyrobami cyzelersko-złotniczemi* najbardziej skomplikowanym pod względem charakteru ozdób i zarazem najpiękniejszym

okazem było album (№ 428, sala IV — wł. p. Szydłowskiej). Jego bogatą okładkę aksamitną ściągają złocone pasy (prawdopodobnie srebrne), okryte rytowanemi ornamentami, emalią, staremi kameami i drogiemi kamieniami.

Wykwintny kształtem i ozdobami kielich srebrny z XVII w. (№ 794, sala IV — wł. p. W. Wernickiego), oraz puhar z tejże epoki (№ 809, sala IV — wł. p. E. Świeżawskiego), wykonany w Gdańsku przez Jana Bentscheimera, należały do najcelniejszych okazów tego działu.

Przechodząc od wyrobów delikatnych kunsztu złotniczego, jako przedmiotów zbytku, do wyrobów pokrewnych im charakterem zdobniczym, t. j., do broni, za łącznik między niemi uważamy dwa buzdygany: jeden (№ 8, sala i szafa IV — wł. hr. Ronikierowej) srebrny z przezroczami, drugi (№ 196, sala I — wł. p. Kozerskiego) o 6-u piórach, z ujęciem srebrnem cyzelowanem i pozłacanem. Obydwa z wieku XVII.

W dziale *uzbrojeń*, zgrupowanych w jednem miejscu, było zaciasno. Przedmioty drobniejsze lub nawet większe, okryte subtelną ornamentacyą, przez zawieszenie zbyt wysoko, stały się nieprzystępnemi dla szczegółowej obserwacyi. Seniorem był tu wielki miecz rycerski z XV w. (№ 143, sala I — wł. p. J. Kleniewskiego). Długi, okryty rdzą czarną, wyglądał jak głowa całego rodu karabel i kindżałów, rozwieszonych obok niego i kokietujących fantastycznością kling wschodnich oraz wyszukanemi ozdobami oprawy europejskiej z w. XVIII. Z broni białej, przymiotami zewnętrznemi wyróżniały się: pochwa (№ 202, sala I — wł. p. Marcinkowskiego), jaszczurem kryta, okuta srebrem, grawerowanem w stylu rokoko i złoconem, odarta, niestety, z cennych kamieni, któremi była nasadzana; dwie karabele — jedna (№ 201, sala I) o rękojeści srebrnej, zakończonej łbem orlim i zaopatrzonej w łańcuszek, z ornamentacyą rzniętą na wschodniej klindze, druga (№ 203), również z klingą ozdobną i rokokową rękojeścią; wreszcie, jatagan, w srebrnej pochwie cyzelowanej, z napisem arabskim na klindze (№ 197).

Wśród broni palnej, oryginalnością zamierzchłej przeszłości zwracała na siebie uwagę hakownica lontowa wschodnia z podpórką do celowania (№ 177), misternością zaś zdobniczą — rusznica francuska (№ 175), z łożem inkrustowanem srebrem i lufą nabijaną złotem w stylu Ludwika XIV, następnie — garłacz wschodni (№ 173), podobnież ornamentowany, oraz dwa Kuchenreitery w stylu rokoko. — Między hełmami rozmaitych typów, pancerzami, naplecz-

nikami, naramiennikami i nałokcicami, nie stanowiącemi całości, dobranym kompletem była zbroja towarzysza pancernego (№ 189). Niepotrzebnie części jej porozdzielano i porozwieszano tu i owdzie. Wśród hełmów wyróżniał się hełm z czasów Augusta III, ze złoconej i cyzelowanej blachy mosiężnej, z łożem na grzywę (№ 157).

Na dział *malarstwa* złożyły się dwie kategorye obrazów: dzieła malarzy zagranicznych szkół dawnych, oraz utwory artystów polskich z różnych epok.

Najstarszym dokumentem malarstwa pod względem stylu był niewielki obrazek *szkoły bizantyjskiej*, z tłem złoconem, wyobrażający Świętą Rodzinę (№ 277, sala IV—wł. p. Szydłowskiego). Zalet jednak specyalnie artystycznych nie posiadał. Interesującym był natomiast obraz „Św. Brygida" (№ 352, sala IV — wł. kościoła po-Wizytkowskiego; wymiar obrazu 145 × 95 cm.) Pochodzi on niewątpliwie z XV w. i posiada wszelkie cechy sztuki włoskiej z tej epoki, w której primitywy przedrafaelowskie przyoblekały się w coraz pełniejsze kształty, zamieniając właściwą im naiwność na uświadomioną dziewiczość. Święta, przodem zwrócona do widza, stoi ze złożonemi do modlitwy rękoma. Wyraz uduchowienia w twarzy i ruchu postaci, otrzymany za pomocą najskromniejszych środków, stanowi głównie o artystycznej wartości tego obrazu; tło przedstawia wnętrze z kolumenkami i kotarą. Malowany na drzewie, zdaje się, na podkładzie gipsowym, zasługuje on na pieczołowitość, równie ze względów artystycznych, jak i dziejoznawczych, a to tem bardziej, że stan jego tego wymaga. Najlepsze dlań miejsce byłoby w tworzącem się Muzeum w Lublinie.

Rzadko która z wystaw, urządzanych na skalę lubelskiej, poszczycićby się mogła oryginałem *Rafaela*. Lubelska go posiadała (№ 150, sala IV — wł. d-ra Talko). Jestto kartonik, wielkości półarkusza papieru, z podpisem własnoręcznym Rafaela i datą r. 1515. Wnosząc z charakteru kompozycyi, musiała ona być szkicem do fresku; przedstawia Chrystusa przemawiającego do św. Piotra, który klęczy na przedzie Apostołów. Przechodząc od obrazu św. Brygidy do tego szkicu i biorąc na uwagę jedynie cechy właściwe obydwóm w stosunku rozwojowym sztuki, wnioskować należy, iż są to dwie bliskie generacye. W św. Brygidzie widać duchowość, która nie dba lub dbać nie umie jeszcze o formę, przez jaką się wypowiada — natura jest tutaj tylko w przybliżeniu wzorem formy, — w szkicu zaś, począwszy od ogólnego założenia kompozycyi, a kończąc na obfitych fałdach draperyj na figurach, czuć już wzór natury i bezpośrednie czerpanie z niego.

Manierowym, choć śmiało malowanym i silnym w kolorze, był portret z napisem na ramie „*Van der Helst*" (№ 101, sala I — wł. p. Ka-

szowskiego). Typowych, gęstym sosem brunatnym zaprawnych obrazów *Henryka Rosa de Tivoli* było pięć okazów (№ 255 i 274 — wł. p. Trzebińskiej, 261, 265, 267—wł. p. Strojnowskiej) — wszystkie ze scenami pastuszemi, bydłem i baranami. — „Porwanie Europy“ rozmiłowanego w idyllach *Franciszka Albani* (№ 93, sala I—wł. p. Szydłowskiej). Tłumy drobnych skończonych postaci męskich i kobiecych, z szybującemi w powietrzu amorkami — to tylko stafaż i pretekst do tytułu obrazu.

Na szczególniejsze wyróżnienie zasługiwał portret męki, *Kniestück* (№ 99, sala I — wł. p. M. Trzebińskiej; wymiar 141 $\times$105). Katalog zalicza go do szkoły flamandzkiej XVII w., na tylnej zaś stronie portretu napis (późny polski) mówi, iż jest to portret Lamorala hr. Egmont, a malował go *don Diego Rodriguez Velasquez de Sylva.* Wiadomość ta miała się przechować tradycyjnie w rodzinie, do której portret należy; ma on zaś pochodzić ze zbiorów Stan. Augusta. Notujemy te szczegóły dla ścisłości, w imię zainteresowania, jakie każde dobre dzieło sztuki budzić musi. Zwróćmy się jednak do chronologii. Hr. Lamoral Egmont, ten, który przypuszczalnie mógł być portretowanym, umarł w r. 1617, Velasquez zaś urodził się w r. 1599. Bardzo młodym będąc, poznał on osobiście Rubensa, mógł był więc uledz jego wpływom. Temby się przedewszystkiem tłómaczyła „flamandzkość“ tego portretu, gdyby go Velasquez malował, tem bardziej, że w traktowaniu twarzy, a zwłaszcza ręki, wpływ Rubensa silnie odczuwać się daje. Velasquez zasłynął wprawdzie bardzo wcześnie jako malarz genialny i portret ten mógłby być poczytany za jedną z pierwszych prac jego, lecz ujawnia on technikę tak wielką i wyrobioną w trudnych szczegółach kostyumu, iż trudno nawet przypuścić, aby ośmnastoletni artysta mógł go wykonać.

Portretowana osobistość, niewątpliwie, należeć musiała do sfery wybranej, wyższej; świadczy o tem zarówno szlachetny, głęboki wyraz twarzy, jak delikatna ręka nerwowa i wreszcie sam strój bogaty. Głowa, owiana bujnemi, na ramiona spadającemi włosami, jakby z lekka przypudrowanemi, zwrócona do widza w lekkiem troisquarts; zarost stanowią podgolone od góry i dołu wąsy rudawe i muszka pod dolną wargą. Kostyum, cały koloru cynobru czerwonego; obcisło wcięty kaftan świeci bogatym haftem złotym; dolna część ubrania — poniżej pasa w bufach; na ramionach płaszcz w rodzaju peleryny, podbity białą jedwabną podszewką, ozdobioną haftowanym drobnym rzutem; pod szyją szeroki kołnierz biały związany sznurem z chwastami; wreszcie, przez ramię prawe przewieszone

szerokie, bogato haftowane złotem porte-epée. Lewa ręka wsparta na rękojeści szpady, prawa, wyciągnięta, ginie za ramą. Twarz istotnie typu flamandzkiego, kostyum jednak więcej zbliża się do charakteru południowego mody ówczesnej.

Zbiór obrazów malarstwa polskiego objął okres znaczny. Rozpoczyna go szkic ołówkowy *Szymona Czechowicza* — studyum do aniołka (№ 353, sala I—wł. d-ra Lasockiego). Następnie—18 rysunków *Daniela Chodowieckiego* — typy i karykatury silne charakterystyką (№ 329, sala I — wł. d-ra Lasockiego). — „Warneńczyk“ *Franciszka Smuglewicza* — obraz olejny (№ 172, sala IV — wł. p. A. Węglińskiego). Jest to, zdaje się, jedna z początkowych prac jego; w kompozycyi dobra i kolorystyczna. — Trzy portrety rodzinne Wydżgów — *Józefa Pitschmana* (№ 302, 344 i 345 — wł. p. Wyżdgi), dwa kobiece, trzeci męski, bezpretensyonalne w technice i szczere w pojęciu typów, należały do lepszych utworów w dziale polskim. Najlepszy z nich portret damy w zawoju na głowie. — Portret Stanisława Augusta (№ 267, sala IV — wł. p. Domherowej), biust, jest prawdopodobnie fragmentem z portretu całej postaci króla w stroju koronacyjnym. Może to być kopia, do której jednak *Bacciarelli* przyłożył rękę. Świadczą o tem pewne i efektowne, jemu właściwe rzuty pędzla. — Silne indywidualnością talentu autora, urodzonego portrecisty, były trzy portrety rodzinne Koźmianów — *Kazimierza Wojniakowskiego* (№ 251, 252 i 253, sala IV—wł. p. Koźmiana). „Można go śmiało nazwać jedynym portrecistą Księstwa Warszawskiego“, pisze o nim w entuzyastycznej sylwetce dr. J. Mycielski. „Wielka prostota wykonania, dzielna wyrazistość i charakterystyka twarzy, koloryt wreszcie gorący i w karnacyach żywy, a nic ze złotawej bladości Bacciarellego nie mający, wszystko to uważać każe w tem dziele (mowa o portrecie własnym) Wojniakowskiego za najlepszego malarza potretów epoki Stanisława Augusta“. Trafną tę ocenę przytaczamy dosłownie i stosujemy do portretów wymienionych, dodając jedynie, iż siła wrażenia, jakie wywierają, tkwi w tem, czego brak portretom Bacciarellego, t. j., w dociekaniu głębszej charakterystyki oblicza, i to nietylko co do kształtów, lecz również co do treści. — Dwa portreciki biustowe *Aleksandra Molinari* (№ 105 — wł. p. Annusewicza; № 106—dra Piątkowski), dobrze rysowane i sumiennie obserwowane. — „Kozak“, „Zbrodnia“, „Hetman Żółkiewski“ i „Napad zbójców“—cztery akwarelle *Aleksandra Orłowskiego* (№ 209 i 210—wł. p. Kaszowskiego; № 223—wł. p. Węglińskiego; № 224-wł. p. Trzcińskiego), jak większość produkcyj jego, są typowemi utworami malarza dyletanta, obdarzonego łatwością techniczną, posiadającego brawurę, lecz nie dbającego o żadną subtelność. Najlepszym z tych obrazów jest „Hetman Żółkiewski“ (akware-

la z gwaszem). — Przeciwieństwem do poprzednich są trzy prace *Józefata Łukasiewicza* (№ 181, 182, 188, sala IV — wł. p. Krasnowolskiej): portret zbiorowy damy z dziećmi, portret kirasyera i portret damy. Skromne i spokojne, traktowane z nieśmiałością, robią wrażenie powiększonych miniatur. Portret zbiorowy — najlepszy: miły w tonie i zawiera wiele życia. — „Towarzysz pancerny na koniu“ *Piotra Michałowskiego* (№ 212, sala IV— wł. p. Lubińskiego), szkic olejny, śmiało i silnie malowany, doskonały w rysunku, tchnie całą siłą wielkiego talentu jego autora. — *Dmochowski Władysław* nie należy do wybitniejszych malarzy polskich, lecz był to artysta szczery. Jego „Czumaki“ (№ 211, sala IV—wł. p. W. Biernackiego), obrazek olejny malowany bezpretensyonalnie, niewykwitny w kolorze, w dotknięciach pędzla niewyszukany i ciężki może, kryje w sobie jednak tyle melancholii, i tak się w nim zespala pejzaż z nędzą człowieka, pędzącego życie narówni ze zwierzęciem, które zaprzągł do swego wozu, że nastrój ten stawia go w rzędzie prac prawdziwie artystycznie odczutych. — *Rafała Hadziewicza* były dwa obrazy (№ 185, sala IV — wł. p. Hadziewicz; № 287 — wł. p. Ruczyńskiej): „Kazimierz Wielki nadający przywileje włościanom“ i portret Kościuszki. „Kazimierz W.“ jest niewątpliwie jedną z pierwszych prac Hadziewicza, a jednak czuć w niej już skłonność do rutynicznego, akademickiego wypowiadania się. — Trzy portrety biustowe Ksawerego Kaniewskiego — *Wańkowicza* (№ 183, sala IV — wł. hr. Ronikier—olejny), *Horwattowej* (№ 189 wł. hr. Ronikier—olejny) i *J. Rostworowskiego* (№ 225—wł. p. Rostworowskiego—pastel) cechuje salonowa poprawność w technice i konwencyonalność wyrazu. Najlepszy—Wańkowicza. — *Jana Matejki* mamy trzy szkice portretowe (№ 213—215, sala IV — wł. p. Lubińskiego) i jeden do dekoracyjnej głowy anioła (№ 214 — wł. p. Serafińskiego). Najbogatszym typem ducha Matejki jest akwarelowy szkic mężczyzny (№ 215a — wł. p. Sokołowskiego), silny wyrazem skupienia.

Obrazy *H. Pillatiego, Andriollego, Kossaka* i znacznej części żyjących artystów, oraz zbiór *miniatur,* dopełniały działu malarstwa. Niezwykle piękną była miniatura z XV wieku malowana na pergaminie, przedstawiająca Zwiastowanie N. M. P. (№ 996 — wł. p. Wiercieńskiego). Jest to rodzaj karty wstępnej, czy tytułowej; sądząc z charakteru, jest ona dziełem rąk francuskich. Na wyróżnienie zasługują również: miniatura roboty *Schumanna* — portret p. Vigée Lebrun (№ 870 — wł. p. E. Świeżawskiego), trochę jednak za pieszczotliwie traktowana; miniatura z bacciarellowskiego portretu Stanisława Augusta (№ 847 wł. p. H. Gerlicza),—na którym król jest przedstawiony z klepsydrą w ręku (kopia jego znajduje się w zbiorach To-

warzystwa Zachęty); trzy bardzo dobre miniatury *Marszałkiewicza Stanisława* (№ 815 — wł. p. Lipskich; № 848 — wł. p. A. Gerlicza.)

Reprodukcye rytownicze i litograficzne były zebrane w tak znacznej liczbie, iż przedstawiały bogaty materyał dla specyalnego studyum. Wśród zagranicznych kolorowych rycin, królowało 5 sztychów Warda (№ 15, sala IV—wł. d-ra Sachsa; № 258, 259, 260 i 261 — wł. p. Szydłowskiej), przepysznych soczystością i lekkością tonów; w części zaś swego zbioru, umieszczonej na wystawie, dr. Lasocki, obok znakomitych miedziorytów Pichlera, Kieningera, Kappelera, Falcka, zdemonstrował całą niemal historyę sztycharstwa polskiego i litografii.

Z zamiłowaniem i specyalną znajomością rzeczy był urządzony zbiór *ksiąg i wydawnictw,* głównie na gruncie polskim powstałych. Aranżerem jego był prof. H. Łopaciński, inicyator Muzeum powstającego w Lublinie, pierwszego na prowincyi. Najdawniejszym rękopisem był pergamin z XIII w.: Galenus — De Interioribus, następnie przywilej Władysława Łokietka, nadający Lublinowi prawo magdeburskie z r. 1317, — z druków zaś polskich najstarszym — Jana Łaskiego: Commune inclyti Poloniae Regni privillegium — Cracoviae 1506 F°.

Kazimierz Broniewski.

MUZYKA.

Kilka słów ogólnych. — Uwagi o ruchu muzycznym w 1-em półroczu.

„Es hat gefallen", oder „es hat nicht gefallen" sagen die Leute.
Als ob es nichts Höheres gäbe als den Leuten zu gefallen!
SCHUMANN.

Muzyka to śpiew, a śpiew zrodził się z krzyku. Krzyk — krzyk radości, bólu, uwielbienia, strachu, poprzedza mowę. Muzyka jest sztuką najdawniejszą i najwewnętrzniej powiązaną z naturą ludzką, sztuką, która więcej od wszystkich innych zostawia pola marzeniu. To osiągając ścisłość absolutną, jako doskonały i daleko potężniejszy od mowy wyraz rozlicznych uczuć poruszających naszą duszę, to rozpływając się w niepewne, faliste nieokreślności i mogąc przez to uzewnętrzniać wszystkie formy naszego marzenia, — sztuka ta gra przeważną rolę w życiu ludzkości. Niemasz istoty ludzkiej która w jakibądź sposób nie czułaby skłonności do muzyki. Mnóstwo jest ludzi pełnych obojętności dla sztuk pięknych, ale ktoby tej stanowczo oprzeć się zdołał, zajmowałby niewątpliwie ostatni szczebel: byłby zwierzęciem, lub potworem w najbezwzględniejszem tego sło-

wa znaczeniu. Na pochwałę ludzkości powiedzieć musimy, że istota taka nie istnieje i prawdopodobnie nie istniała nigdy, z wyjątkiem, naturalnie, pewnych przypadków patologicznych. Muzyka nietylko odbija najlepiej nasze uczucia i wzruszenia, nietylko tłómaczy najsubtelniej ich odcienie: jest ona nadto sztuką, której symbole, jak powiada Herder, są dla ucha poprostu samem tem, co wyobrażać mają. Odrębność to wagi pierwszorzędnej. O ile symbole innych sztuk pięknych są obrazami wymagającemi pewnego współudziału naszej świadomości, o tyle symbole muzyki — następstwo melodyjne dźwięków, harmonia, ruch i rytm — przemawiają do nas, przy odpowiedniej naturalnie kulturze wrażliwości, prawie bezpośrednio, prawie bez udziału świadomości i robią przez to wrażenie nie naśladowania, nie obrazowania drgań dusznych, lecz jak gdyby bezpośredniego ich uzmysłowienia, prostej eksteryoryzacyi. To właśnie Schoppenhauer wyraża w słowach następujących: „Muzyka nie pozostaje w świecie złudnych zjawisk, zajmuje się ona wprost rzeczą w sobie, która kryje się za zjawisk tych zasłoną. Dźwięki są pośrednikami istoty bytu". Gdzie mowa okazuje się bezsilną, albo zbyt ciężką, zabiera głos muzyka. To podniesienie i siła najwyższa; to pieszczota wzruszona; to wyraz wszystkich niepewnych, nieokreślonych w nas pierwiastków; to marzenie określone przez samą nieokreślność swoją; to przepotężne wcielenie naszych namiętności, bólów, porywów, radości, gniewów, entuzyazmów; to subtelny wpółprzysłonięty obraz naszych smutków, nostalgij, snów, marzeń i, jak pięknie powiedział Huysmans, wzlotów ku zaświatom. Muzyka jest najwyższą, najbardziej porywającą manifestacyą nietylko duszy ludzkiej, lecz kryjących się w tej duszy pierwiastków boskich.

Dziedziną muzyki jest zatem gama nieskończenie stopniujących się wzruszeń naszych. Jak sztuka ta powstała z krzyku? W podobny sposób jak mowa. W tej ostatniej z dźwięków artykułowanych powstały słowa, a ze słów — zdania. W muzyce — dźwięki ożywione przez rytm, wytworzyły ostatecznie melodyę.

Czy muzyka jest mową powszechnie zrozumiałą i dostępną? Nie. Ktoś słusznie zwrócił uwagę, że jest ona środkiem porozumiewania się uczuciowego pomiędzy ludźmi tej samej rasy i tej samej kultury. Trzeba zwłaszcza położyć nacisk na znaczeniu tej ostatniej. Dno, istota natury ludzkiej, jest, była i pozostanie prawdopodobnie zawsze jedna i ta sama. Są zatem, oczywiście, pewne rzeczy stanowiące istotę wszystkich muzyk; ale im bardziej od tej podstawy iść będziemy ku wierzchołkom, t. j., ku ostatecznym muzyki rezultatom, tem bardziej zaznaczać się będą różnice. Muzyka europejska

będzie dla Malajczyka czemś zupełnie niedostępnem, a my znowu cóż rozumiemy z muzyki chińskiej lub arabskiej? Nie jest nawet pewnem, czy smutek i wesołość identyczny we wszystkich muzykach znajdują wyraz, skoro, w innej dziedzinie, kolor biały, u nas raczej weselny, u Chińczyków oznacza żałobę. Niema co się łudzić abyśmy przez intuicyę samą mogli pochwycić znaczenie muzyk nieznanych. Musimy je dokładnie poznać, musimy ich się nauczyć, podobnie jak uczymy się języków obcych. Inaczej, wrażenie z nich odniesione ograniczy się do poczucia czegoś niezwykłego, co zresztą może nietylko zdziwić nas, lecz niekiedy i oczarować.

Mimo iż muzyki europejskie stanowią jedną rodzinę, której członkowie dość bliskiem odznaczają się podobieństwem, jakież światy dzielą jedne od drugich, jeżeli zstąpimy w głąb' rzeczy! Dusza anglosaksońska — biorąc na ogół — nie pojmie nigdy najistotniejszych cech muzyki słowiańskiej i naodwrót. Jakaż odległość kolosalna między muzyką włoską i muzyką niemiecką! Przy wykonywaniu naszej muzyki (gdy jest ona istotnie naszą, t. j., zrodzoną z pieśni ludowej) przez najgenialniejszych nawet artystów obcych, ileż to razy mamy wrażenie, bardzo lekkie, lecz zupełnie wyraźne, że nie są oni z naszej krwi i ciała i że zatem mogą dążyć jedynie do zbliżenia się do naszej duszy, lecz nigdy do jej wiernego oddania: będzie to zawsze tylko parafraza, niekiedy parafraza genialna, a najczęściej parodya.

Jeżeli w muzyce jest jaki pierwiastek, mający znaczenie uniwersalne, to chyba rytm. Wbrew przyjętemu przez większość zdaniu przeciwnemu, rytm to, nie zaś dźwięk jest pierwiastkiem zasadniczym, duchem twórczym, kością pacierzową muzyki. Według mniemań utartych, mamy naprzód melodyę, następnie harmonię, a dopiero potem rytm. Niewątpliwie bez melodyi i harmonii niemasz muzyki, ale z drugiej strony trzeba wziąć pod uwagę, że następstwo dźwięków nie jest jeszcze koniecznie melodyą i że harmonie mogą następować po sobie, nic jeszcze nie znacząc. Nieodzowna jest interwencya rytmu, aby dźwięki i harmonie mogły nabrać wyrazu, fizyognomii, znaczenia. Tempo nie jest jeszcze rytmem. Ruch ciągły nie ma więcej znaczenia muzycznego niż dźwięk ciągły; aby mógł się stać rytmem, musi przerywać się i rozpoczynać na nowo.

Trzy pierwiastki podstawowe każdej muzyki — rytm, harmonia i melodya — wyszedłszy z chaotycznej całości początkowej, rozwijały się, po kolei, każdy w swój sposób odrębny; potem dopiero jęły dążyć do przywrócenia jednolitości pierwotnej w stokrotnie — to praw-

da — większem skomplikowaniu. Kresem tej ewolucyi jest — na dziś — twórczość Wagnera.

Choć równie dawna jak ludzkość, muzyka rozwijać się zaczęła stosunkowo bardzo niedawno. W porównaniu z dobytkiem innych sztuk pięknych, rezultaty osiągnięte przez muzykę dają jej po dzisiaj miejsce ostatnie, ale przyszłość należy do niej. Niewąpliwie, w chwili bieżącej, żaden geniusz nie jaśnieje na widnokręgach. Rola, która dała żniwo wspaniałe, odpoczywa. Któż wie wszakże co wyda znów jutro?

Trzy świetne imona jaśnieją na szczytach: Bach, Beethoven, Wagner.

Jan Sebastyan Bach (1685 — 1750), którego imię wymawiać należy ze czcią, zawarł w genialnym całokształtcie swej twórczości zarodki całej muzyki dzisiejszej i wszystkiego, co przez wieki wieków rodzić się jeszcze i powstawać będzie. Wszystko w nim: natchnienie pełne wzniosłej szlachetności, powagi i pogody; wiedza, umiejętność, wprost czarodziejskie. Jest on źródłem nieśmiertelnem wzruszeń najwyższych i najczystszych, jakie dusza ludzka odczuwać zdolna. Dzieło Bacha to las magiczny i nieskończony, w którym wędrowiec błądzi bez końca, nigdy nie mogąc poznać go w całości i nie przestając ani na chwilę zachwycać się — to potężnemi czcigodnemi dębami, strzelającemi wysoko ku niebu, to leciuchnemi, kapryśnemi porostami drobniejszej roślinności. Bach — to Jowisz olimpijski, to olbrzym przedziwny, nieśmiertelny, to źródło źródeł, to nektar, do którego powraca się z rozkoszą, zakosztowawszy wszystkich innych, nektar tem bardziej nęcący, im bardziej dusza wyzwala się z mętów i wirów namiętności, dążąc do równowagi, pogody, doskonałości, do rozkoszy najwyższych, bo pogodnych i czystych. *Bach ist der Tripelextrakt der Musik*, — powiada słusznie Bülow. — *Wenn alle Meisterwerke der Musik verloren gingen und das wohltemperierte Klavier bliebe uns erhalten, so könnte man daraus die ganze Litteratur wieder neu konstruieren. Das wolhtemperierte Klavier* (48 preludyów i fug) *ist das alte Testament, die Beethovenschen Sonaten das neue: an beide müssen wir glauben.*

Bardziej jeszcze niż przez sonaty, ma Beethoven (1770 — 1827) prawo do kultu z naszej strony jako najwyższy mistrz symfonii. Bez Bacha nie byłoby Beethovena; bez Beethovena nie byłoby Wagnera. W łańcuchu istnień i przejawów twórczości zmieńmy porządek ogniw, a staną się one nieodzownie innemi. Najbardziej odrębna indywidualność może wyprzedzać i wyprzedza zazwyczaj swoją epokę; ale nie przestaje pomimo to być wynikiem — do pewnego stopnia — epoki

poprzedzającej. Gdyby nie istniała przedziwna 9-ta symfonia, Wagner stworzyłby może coś innego niż dramat muzyczny. Bez niej między 18-ym a 19-ym wiekiem, a raczej między muzyką wczorajszą i dzisiejszą, ziałaby próżnia, którą jakiś następca Beethovena musiałby z konieczności zapełnić. Wykonanie dziewiątej symfonii, przyobiecane przez Filharmonię warszawską na jesień tegoroczną, będzie prawdopodobnie najdonioślejszym wypadkiem sezonu. *) Należy się spodziewać, że zarówno wykonawcy jak słuchacze zrozumieją, iż chodzi tu o dzieło genialne. Pierwsi muszą się postarać o rozbudzenie w sobie ognia świętego, który jedynie — wespół z zajadłą i sumienną pracą — zdolen jest przywrócić życie temu, co śni w zeszytach partytury. Drudzy winni się przejąć czcią i skupieniem, z których dopiero rodzą się wzruszenie i zapał, jakie każdy człowiek nie będący prostem „zwierzęciem ludzkiem" powinien odczuwać przed dziełem sztuki. Dziewiąta symfonia, dzieło najwyższe artysty o duszy szlachetnej i bolesnej, podniosłej i pociągającej, doprowadza nas do czarodziejskiego rozkwitu muzyki, który wykiełkował w fenomenalnej organizacyi, jaką był Ryszard Wagner, muzyk, poeta i myśliciel, twórca dramatu muzycznego. (1813 — 1883).

Dawno już przed Wagnerem, umysły wytworniejsze, muzycy i poeci, marzyli o urzeczywistnieniu doskonałego związku między poezyą i muzyką, któryby stanowił całość harmonijną i nierozerwalną. Geniuszowi Wagnera udało się osiągnąć to, ku czemu daremnie kierowały się poprzedników wysiłki, i dramat dźwiękowy zastąpił operę. Zbytecznem byłoby już dziś chyba szeroko mówić o słusznych zarzutach przeciwko operze z punktu widzenia doskonałego dzieła sztuki. Bądź poezya jest w niej mizerną służebnicą muzyki, bądź ta ostatnia spełnia względem pierwszej podobną rolę, bądź wreszcie obie wędrują razem byle jak, nie mając właściwie nic między sobą wspólnego. Któż wyrazi tortury tych biednych kompozytorów, krępowanych co chwila przez libretto i wysilających się — jeżeli przyjmiemy, że wogóle o tem myślą — aby przystosować do czyichś słów własne pomysły muzyczne. Opera, ta rzecz nienawistna, nikczemna, nie mająca ze sztuką nic

---

*) Rozpoczęcia działalności przez tę świeżą instytucyę oczekujemy z niecierpliwością. Tymczasem Winderstein w Dolinie robi, co może, czyli narzuca publiczności raz lub dwa na tydzień przyzwoity program, przyzwoicie wykonany. Mamy więc z konieczności — bo żyć trzeba — wieczory walców i operetek, ale zdarza się usłyszeć Bacha, Haendla, Mozarta, Beethovena, Czajkowskiego, Dworzaka i innych. Byłoby rzeczą pożądaną, aby zarząd Filharmonii czapkował jak najmniej (nie żądam rzeczy chimerycznej: wprost nie liczenia się) przed gustami publiczności. Wielki czas, zaiste, zacząć myśleć o sztuce i służyć sztuce.

wspólnego, przeżyła się ostatecznie. Czyż podobna wyobrazić sobie coś bezmyślniejszego jak te zlepki aryj, duetów, kwartetów, recitatiwów, upiększonych ruladami, trylami, powtarzaniem zdań, słów, zgłosek, zlepki fabrykowane na użytek idyotycznych tłumów, spragnionych nie sztuki, lecz zabawy, i nikczemniejszych jeszcze kabotynów, którzy kalają szlachetne miano artysty, przywłaszczając je sobie. Ach! ta ohyda, ta sromota, która się zowie — koloraturą! Dusza się wzdryga i ręka w pięść zaciska, gdy na estradzie rozlegną się klownowskie wrzaski takich np. waryacyj Procha. Jak *artysta* tej miary, co Zygmunt Noskowski, sam twórca znakomity i wyborny kierownik instytucyi, którą steruje niezmordowanie w imię sztuki, a nie kapusty (co to zaś za ciężka praca na naszej niwie, wśród ostów zawiści, kamieni obojętności, lub co gorsza głupiej zarozumiałości, ten wie tylko, kto jej spróbował), jak artysta tej miary — powtarzamy — mógł takiego chwastu w programie nie dojrzeć i nie wyrwać? Prawdopodobnie przeoczenie, zrozumiałe przy nawale zajęć i zmęczeniu, po całodziennej, całożyciowej, powiedzmy, pracy; bo talenty u nas, nawet oklaskiwane i uznane, krwawo na kawałek chleba pracować muszą. Pieniędzmi sypać umiemy tem hojniej, im powód błahszy lub... nikczemniejszy. Brak ich tylko, gdy chodzi o sztukę, o artystów, o *sztukę* — bez epitetu, a więc nie warszawską, o tej zaś ostatniej jedynie wie i wiedzieć raczy motłoch, na który w znacznej części — i to nietylko u nas — składa się tak zwana śmietanka inteligencyi, motłoch, ochrzczony tak nie dla tego, że brak mu lub nie brak krwi niebieskiej w żyłach, lecz dla tego, że nie ma duszy, duszy, któraby kochała piękno i dla piękna żyła.*) Motłoch ten pcha się ławą na wszelkie szopki i popisy pseudo-artystów, którzy są tylko kuglarzami. Festiwal na cześć Verdi'ego... zlepek nędzot hałaśliwych, których wykonanie wywołuje rozpasane zachwyty. Na koncertach zato symfonicznych i kameralnych, z udziałem takich artystów, jak Michałowski, Barcewicz, Holman, d'Albert, baronowa Buxhoeveden, — pustki. Rzecz prosta! Wszak to sztuka, to dzieła wielkich artystów, przez wielkich artystów do życia powołane! To nie *la donna è mobile* i nie *vorrei morir!* To — przeważnie — muzyka, ta prawdziwa, ta jedyna: niemiecka. Boć raz już trzeba z całą brutalnością — i z tem większą brutalnością, im goręcej kochamy sztukę, im subtelniej ją odczuwamy — zepchnąć z miejsca należącego się sztuce wszystko, co miejsce to zajmuje bezprawnie, dzięki nizkim upodobaniom mas

---

*) Sztuka arystokratyczna dla arystokracyi... Naturalnie! dla arystokracyi *ducha*, rzecz prosta. Czyście naiwni, panowie społecznicy, czy naiwnych udajecie?

i płaskim sądom schlebiających tej potężnej większości krytyków. Muzyka włoska i muzykalność włochów... quelle bonne blague! Czas już skończyć z tym oklepanym frazesem. Mówić o muzyce włoskiej — i o jakiejkolwiek muzyce — wobec tego szeregu nazwisk: Bach, Haydn, Haendel, Gluck, Mozart, Beethoven, Weber, Schumann, Mendelssohn, Schubert, Wagner — zakrawa na kpiny. Tylko Niemcy mają muzykę. Inne narody posiadają jedynie kompozytorów, bądź genialnych — Chopin, bądź ciekawych — Berlioz, Liszt, Grieg, wysoce utalentowanych — Bizet, Czajkowski, sprytnych i mądrych — Saint-Saëns, Massenet, szlachetnych — Cezar Franck. Wszystko to, i reszta, nie daje nam nawet w przybliżeniu konglomeratu, któryby można przeciwstawić tej olbrzymiej wspaniałej całości, złożonej z muzyki organowej, kameralnej, symfonicznej, fortepianowej, pieśni i dramatu muzycznego.
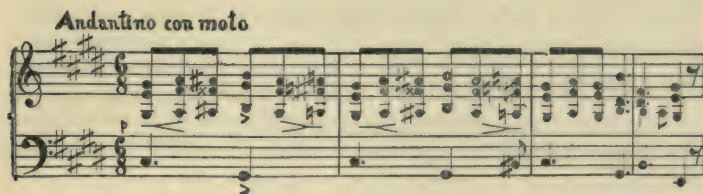
Bardzo wiele mówi się u nas, a nawet pisze, o muzyce polskiej. Muzyka taka nie istnieje, jak nie istnieją polskie sztuki plastyczne. Istnieje tylko polska literatura, z której całokształtu słusznie dumnymi być możemy. Jeżeli zaś chodzi o poezyę wyłącznie, zajmujemy jedno z miejsc pierwszorzędnych. W sztukach plastycznych mamy już tylko mniej lub więcej uzdolnione jednostki. W muzyce jednem tylko nazwiskiem imponujemy światu: nazwisko to brzmi — Chopin. Ramy jego twórczości są szczupłe, ale na twórczość tę składają się same prawie arcydzieła. Chopin był kompozytorem nawskroś narodowym, ale przytem indywidualnością potężną, która tak głęboko wsłuchiwała się w duszę własną, że znajdowała na dnie jej nietylko powierzchowniejsze, ciaśniejsze cechy narodowe, lecz i nieprzemijające, wiecznie jednakie pierwiastki ogólno-ludzkie. Narodowość, rzecz cielesna, ziemska, jest dla geniuszów podwaliną gmachu, nie zaś gmachem samym. Nie jest to powinnością być narodowym, jak nie jest powinnością mieć ciało i krew, oprócz ducha. I jedno i drugie jest faktem spełnionym, czemś, z czego wyzwolić się niepodobna. Powiedzieć o artyście, że nie jest narodowym, jest to powiedzieć, że patrzy on cudzemi oczyma, słucha cudzemi uszyma, że, jednem słowem, nie ma takiej nawet dozy talentu, którąby mu pozwoliła dojść do tych bliżej powierzchni leżących warstw duszy, które stanowią cechy narodowe. Niemasz wtedy mowy, aby mógł sięgnąć głębiej, aż tam, gdzie kryją się bardziej duchowe, uniwersalniejsze pierwiastki ludzkie. Można wszakże być twórcą narodowym, przemawiać bardzo silnie do swoich rodaków, a być zupełnie głuchem narzędziem dla obcych. Świadczy to, że twórca patrzał i słuchał swojemi oczyma i uszyma, ale że nie sięgnął aż do dna swojej duszy. Artysta musi być przedewszystkiem sobą, będąc nim, będzie *eo ipso* narodowym. Geniusze tylko wszakże sięgają aż do prażródlisk duszy własnej i przez

to są narodowymi i wszechludzkimi. Rembrandt jest przedewszystkiem holendrem, lecz jest nadto genialnym malarzem, a zatem czemś więcej; Faust jest poematem nietylko niemieckim, lecz ogólno-ludzkim. W pewnej części twórczości Chopina odnajdujemy tylko duszę naszą; tylko my zatem tę część wiernie odtwarzać i nią się zachwycać możemy. Ale jest część inna, głębsza, potężniejsza, nieśmiertelna, w której drga dusza ludzka. Narodowość to wielki bór; potężne dęby górują nad nim; jałowce giną w nim, istniejąc tylko dla tych, którzy się niemi specyalnie interesują.

Na polance naszej muzyki takim właśnie jałowcem jest Moniuszko. Nie dla tego świat o nim nigdy wiedzieć nie będzie, że libretta do jego oper napisane są po polsku — jakże łatwo je przetłómaczyć! — ale dla tego, że jest to talent drugorzędny, któremu udało się wprawdzie stworzyć kilka rzeczy bardzo pięknych, jak np. mazur z Halki, ballada o Floryanie Szarym (wspaniale śpiewana przez p. Didura) i t. p., — ale którego sława po za rogatki nie sięga i nie sięgnie. Moniuszko — to polski Lortzing. Piewszy jest tylko Polakiem, drugi — tylko Niemcem. Opery obu są jednako nudne i przestarzałe. Co innego rzecz stara, instrumentacya stara, co innego — przestarzała. Wolno nam, powinniśmy nawet otaczać czcią pamięć Moniuszki; była to nawskroś szlachetna, artystyczna natura. Że nie był geniuszem, nie jego wina. Ale nie wmawiajmy w siebie, że dzięki Moniuszce posiadamy operę polską: mamy tylko kilka polskich oper. Ta jeszcze przepaść dzieli Moniuszkę od Chopina, że gdy Chopin, genialny czarodziej, przetapiał na dźwięki strony szlachetne naszego charakteru, bądź w kierunku zamaszystości, rycerskości, bądź też w kierunku smutku, żalu, tęsknoty, rozpaczy, zwątpienia, Moniuszko brał zawsze to, co w tym charakterze jest najbardziej antypatycznem: rubaszność, gruboskórność, płaczliwość, ślamazarność.

Pieśń ludowa jest cennym zdrojem, podwaliną muzyki narodowej; trzeba tylko ze zdroju tego umieć czerpać. Należy albo zostawiać pieśń tę w całej, pełnej czaru i świeżości prostocie — albo też zużytkować ją w sposób taki, któryby budził podziw dla talentu, tworzącego na podstawie rzeczy istniejącej inną, nową. Takim wielkim talentem jest Zygmunt Noskowski. Dla tego „Wędrowny grajek“ nietylko nas oczaruje, lecz zainteresuje i obcych. Dla tego „Śpiewnik dla dzieci“ jest czemś więcej, aniżeli szeregiem drobiazgów, z których idzie zapach naszych łąk, pól i lasów. Czar naszej przyrody — tak, ale i czar *przyrody,* z jej stubarwną różnorodnością, a zarazem z wielkiem, przenikającem ją nawskróś tchnieniem jedności. To utrzymanie jednolitości w różnorodności świadczy, jak głęboko artysta wniknął w istotę, w du-

szę natury, a że dla tego, co odczuł, znalazł wyraz doskonały i ostateczny, dowodzi uczucie, jakie się ma, studyując „Śpiewnik dla dzieci“, że ani jednej nuty bez krzywdy dla całości zmienićby nie można. Każdy z pięćdziesięciu zawartych w zbiorku tym drobiazgów jest skończonym poematem, olśniewającym bądź werwą, bądź subtelnością, bądź potęgą i głębią. Weźmy np. taki „Wiatr“ — „Czego ty jęczysz, ty bujny wietrze, i czego tak zawodzisz?“ (słowa Konopnickiej):



Cóż to za genialne odtworzenie bezmiaru grozy, smutku, żałosnego zawodzenia, które się mieszczą w tej straszliwej tajemniczej sile: Wiatr! Jakie proste, a jakie w prostocie swej potężne, plastyczne!

Drugim mistrzem, który również odczuł i odtworzył całą głąb' poezyi wiatru, jest Czajkowski. Jak się u niego żali ta wichura, jak słabnie i wzrasta, by wreszcie w cichym skonać szepcie! Śliczny to był pomysł — ten wstęp przy podniesionej kurtynie, gdy mrok i cisza zalegają pustą komnatę, w której wkrótce odegra się dramat. Jest to jeden z piękniejszych ustępów „Damy pikowej“, tej interesującej (ze względu na niewątpliwy, choć nie pierwszorzędny, gdyż niedość samodzielny talent kompozytora) mieszaniny znakomicie obrobionych i znakomicie ilustrowanych tematów ludowych i naśladowania muzyki klasycznej (Czajkowski był wielbicielem Mozarta), z małą domieszką pomysłów indywidualnych. Niejednolitość ta poczęści tylko wypływa z charakteru libretta. Czajkowski ulega wpływom zachodu i nie jest czysto narodowym rosyjskim kompozytorem, choć czerpał niejednokrotnie z bardzo pięknej i bogatej spuścizny ludu. — Olśniewa nieraz błyskotliwą misternością roboty w wypieszczonych cackach miniaturowych (np. w balecie Casse-noisette, i w Serenadzie), lub porywa grozą, ogromem melancholii i potęgi (np. w Symfonii patetycznej, która wypłynęła ze szczerego natchnienia i obfituje w szlachetne, pysznie obrobione melodye); często natomiast jest bezbarwny i nużący, gdy go natchnienie opuści, jak np. w muzyce do baletu „Jezioro łabędzie“, która nawet pod względem instrumentacyi nie jest interesującą. Najkunsz-

towniejsza zresztą robota, maskująca błahość treści lub jej brak, natchnienia nie zastąpi. Jest go niemało w „Onieginie", dzięki czemu opera ta stanowi, względnie, dość silnie związaną i harmonijną całość. W tańcach polskich atoli wykazał Czajkowski absolutny brak poczucia rytmu i właściwego charakteru melodyi. Tu właśnie wykazać można, jaka olbrzymia odległość dzieli samą istotę rytmu od jego szkieletu, wyrażonego cyframi przy kluczu. Słynny walc z Gounodowskiego Fausta jest sobie takim ot tańcem na $^3/_4$, nie mającym absolutnie nic wspólnego z walcem, t. j., tańcem niemieckim, w którym Niemiec — a przedewszystkiem Strauss — zamyka cały poemat, złożony z najróżnorodniejszych nastrojów. Francuzi robią z tego poematu poprostu parodyę. Walce Czajkowskiego są bardzo piękne, interesujące, ślicznie instrumentowane, ale znać, że autor ich nie jest Niemcem. Polskiego poloneza i polskiego mazura może napisać i zagrać w sposób właściwy tylko Polak.*)

Rzeczą jest prawdopodobną, iż najgenialniejszy nawet kompozytor lub wykonawca nie stworzy i nie odtworzy bez zarzutu rzeczy, mającej być lub będącej charakterystycznym wytworem muzycznym pewnej narodowości, której indywidualność silniej się zarysowała. Nawet genialny — jako wirtuoz — Antoni Rubinstein (po którym niezaprzeczenie miejsce zajął Paderewski) nie zawsze odczuwał Chopina, naturalnie tam, gdzie Chopin jest kompozytorem czysto polskim. Nie mówiąc już o frazowaniu i cieniowaniu niewłaściwem, o braku zrozumienia wewnętrznej istoty utworów Chopina, takich jak mazurki i polonezy, znakomici nawet fortepianiści — np. d'Albert, grający tak świetnie Bacha, Beethovena i Schumanna — nie są w stanie wziąć właściwego tempa. Cóż dopiero mówić o takich Busonich, „poprawiających" Chopina, lub Lieblingach, puszczających się na sztuczki i wyciskających — na każdej zresztą rzeczy — piętno jakiejś obrzydliwej maniery salonowej. Ten ostatni niema nawet przyzwoitej chociażby techniki, a któż dziś techniki nie ma? Połowa ludzkości morduje dziś fortepian przez lat dziewięć po jedenaście godzin dziennie, no... i ma technikę. I jeździ to wszystko po świecie, i morduje w dalszym ciągu fortepian, i zbiera oklaski i pieniądze. I wszystko jest najlepiej na tym najlepszym ze światów, tylko brak tej drobnej a najważniejszej rzeczy,

*) Nigdy nie zapomnę osłupienia, w jakie mnie wprawił w Londynie sposób wykonania mazura z Halki. Tempo było tak wolne, iż dopiero po kilku taktach zoryentowałem się, o co chodzi. Anglicy są zdumiewający: zupełny brak muzykalności przy nadludzkich wysiłkach, by zrozumieć i odczuć muzykę. Naród ten nie wydał nigdy ani kompozytora ani artysty, którzy byliby godni tych tytułów. Przy tej sposobności zauważyć muszę, iż u nas, obecnie, grywają wogóle mazura za prędko.

której istnieniu przeczył Broussais, bo jej nigdy skalpelem nie namacał,— duszy. Zdumiewa po prostu Grünfeld—brak mu tylko duszy. Gra zachwycająco, bez zarzutu, Consolo, brak mu tylko duszy. Imponuje prawdziwie Lalewicz, brak mu tylko... no, tu się jeszcze może dusza urodzi. W takich wypadkach krytyk jest w prawdziwym kłopocie. Właściwie wszystko jest w największym porządku, wszystko podziwiać należy, a opuszcza się salę z uczuciem, że się wieczór zmarnowało. Chciałoby się krzyknąć: fałszujcie, ale przez Boga żywego, niechaj drgnie wreszcie dusza nasza, poczuwszy, że waszą w odtwarzane utwory wkładacie! Technika jako środek — zgoda, ale nigdy technika jako cel. Misterność, bogactwo instrumentacyi, jako środek—zgoda, ale natchnienie, treść, przedewszystkiem.

Źle się dzisiaj dzieje, równie w dziedzinie twórczości, jak i w sztuce odtwórczej. Stało się to, co przewidywał Beethoven (list do Riesa): der gesteigerte Mechanismus im Klavierspiel, wird zuletzt alle Wahrheit der Empfindung aus der Musik verbannen. Staranie się wyłącznie o poprawność, o tę materyalną jedynie doskonałość, panuje wszędzie. Najgorzej wychodzą na tem klasycy. Wyperswadowano sobie, że jeżeli kogo, to klasyków grać trzeba absolutnie bez duszy, — jak gdyby klasycy duszy nie mieli i nie przelelі jej w nieśmiertelne swe dzieła! „Chopina grać trzeba inaczej aniżeli Bacha". Rzecz prosta: to znaczy, z innem uczuciem Chopina, a z innem Bacha, nie zaś bynajmniej: pierwszego grać z uczuciem, bo to romantyk, a drugiego wyrąbać z poprawnością techniczną i kwita, bo to klasyk. Dobrze powiedział Bülow: „Man muss ja nicht glauben, die monotone, langweilige Korrektheit beim vortrag Bachscher Stücke hiesse klassisch. Bach, wie alle anderen Meister, muss man zuerst richtig spielen, dann schön, dann interessant". Interesująco grał też Bülow Bacha i Beethovena, choć znakomitym fortepianistą nie był. W wykonaniu drugiej części koncertu *es dur* Beethovena przez d'Alberta zarzuciłbym brak miękkości, uczuciowości. Było ono cokolwiek za suche, za sztywne, za klasyczne, w fałszywem tego słowa znaczeniu. Swoją drogą, lepsze to może jeszcze od błędu w innym rodzaju, popełnianego przez fortepianistów francuzkich, którzy wpadają często w sentymentalizm, tempo rubato, roztkliwianie się, szyk w wydłubaniu, elegancyę. Beethoven nie jet nudny, ale jest prawie zawsze nudnie grany. Kto chce wiedzieć, czem jest w rzeczywistości najniewdzięczniejsza napozór sonata, niech jej posłucha w odtworzeniu tego poważnego, szlachetnego artysty, którym jest Józef Hofman. Zarzuciłbym mu tylko brak temperamentu. Śliczna to rzecz powaga, miara, ale trzeba umieć — gdy potrzeba — wyleźć ze skóry. Ten tylko porywa, kto da się sam porwać

i wybucha, szaleje, gdzie wybuchać i szaleć trzeba. Ale tak grać umie tylko jeden Rubinstein. Artysta, nawet taki, który tylko odtwarza, — tworzy i tworzyć musi, jeżeli na miano artysty chce zasłużyć. Artysta musi być indywidualnym; wrodzony talent umie łączyć w harmonijną całość tę właśnie indywidualność ze sposobami właściwego wskrzeszania danych utworów. Profesor, tu, jak zawsze i wszędzie, wskazówkami swemi niechaj karmi miernoty, z których wyrosną poprawni rzemieślnicy. Prawi artyści niechaj słuchają jedynie podszeptów swego talentu, niechaj idą za instynktem. Oczywiście: talent można zmarnować albo wypielęgnować. Tylko, tem pielęgnowaniem własnego talentu niechaj się zajmują same osoby talentem obdarzone, — bez udziału profesorów. Miał Aleksander Michałowski tysiące uczniów i uczenic. I cóż im pomógł? Któż z nich godzien jest zawiązać rzemyk u trzewika jego? Któż z nich posiada równie cudne uderzenie, miękkie, lekkie a głębokie, równy smak, szlachetność, wykwint, subtelność, poezyę? Aleksander Michałowski jest artystą; ma duszę i dla tego do duszy naszej przemawia. Technika jest dla niego środkiem tylko, nie celem. Gdyby tylko raczył przestać poprawiać Chopina! — Stanisław Barcewicz — to również artysta, którego znawcy w Niemczech nierównie wyżej stawiają od Sarasatego. I słusznie. Sarasate ma ton niewielki, słodkawy i jest często sztukmistrzem. Barcewicz ma ton olbrzymi i porywa całą pełnią uczucia, szczerego zapału, męzkiej siły. I u niego technika jest środkiem jedynie. Są skrzypkowie, sprawiający większe wrażenie, jeśli chodzi o zbudzenie podziwu (np. Thomson lub czasami Burmester, np. w wykonaniu „Chaconne“ Bacha i sztuczek Paganiniego); wzruszyć kantyleną, jak nią wzrusza Barcewicz, żaden nie zdoła. Taki mistrz czyni interesującemi nawet utwory słabe, jak np. Suka i Sindinga; gdy gra utwory piękne lub ciekawe, rozkosz sprawia prawdziwą. Bardzo udane były koncerty kameralne, dzięki udziałowi Barcewicza, a także Holmana, wiolonczelisty pierwszorzędnego, A. Michałowskiego i baronowej Buxhoeveden. Ta ostatnia artystka olśniła znawców, szlachetną, męzką, pełną smaku grą, w której technikę wyborną i frazowanie bez zarzutu uzupełniała powściągliwość godna zaznaczenia.

Wrażenie, podobne do tego, które odbieramy słuchając Barcewicza, sprawia śpiew Bandrowskiego. Jest to prawdopodobnie dzisiaj — zwłaszcza, jeżeli o chodzi o dramaty muzyczne Wagnera — najznakomitszy tenor bohaterski. Głos piękny i silny; umiejętność władania nim i wyrazistość dykcyi—posunięte do stopnia doskonałości. Zapał, siła, a jednocześnie subtelność w pianissimach nadzwyczajna. Żałować wypada, iż p. Bandrowski nie wystąpił w Tannhäuserze, razem z panną Salomeą Kruszelnicką i Battistinim. Byłaby to obsada głównych ról,
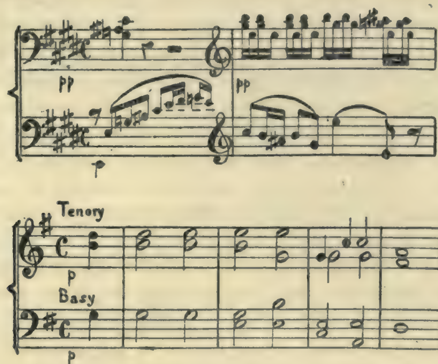
z jaką trudno się spotkać nawet na najlepszych scenach zagranicznych. Mówiąc nawiasem, paryzka oddawna do nich nie należy. W roli Tannhäusera widziałem i podziwiałem niejednokrotnie (w Berlinie) słynnego Niemanna. Było to już jednak słońce zachodzące. Grał znakomicie, ale więcej deklamował aniżeli śpiewał. Przypuszczać można, że Bandrowski żadnych porównań się nie boi, jak ma prawo nie bać się ich Battistini. Ten ostatni jest niewątpliwie jednym z najlepszych barytonistów i najlepszych artystów. Zarzucićby mu można, że niejednokrotnie poświęca prawdę dla popisania się efektem śpiewaczym i że raczej gra—choć gra znakomicie—aniżeli żyje na scenie. Wychodzi to na jaw zwłaszcza, gdy gra razem (i przez to naraża się na porównanie) z tak wyjątkową naturą artystyczną, jaką jest panna Salomea Kruszelnicka. Z tą wielką artystką dalecy jesteśmy od wszelkich popisywań się, czy to śpiewem czy grą, od dawania przewagi bądź pierwszemu bądź drugiej, od wszelkiego rodzaju efektów scenicznych i choćby najlżejszego kabotynizmu. Ogromny wdzięk i subtelność, niezwykła inteligencya w pojmowaniu ról, oraz intuicya w ich wcielaniu, niesłychanie wykwintny smak, zarówno w śpiewie, jak w grze, oto co cechuje tę rzadką — nawet dla znających wszystkie sceny europejskie — indywidualność i czyni z odtwarzanych przez nią ról prawdziwe, szlachetne, życiem drgające postacie. Cały ich szereg przesuwa nam się przed oczyma; wszystkie żyją jak gdyby życiem własnem; w każdej własne *ja* artystki ginie, przeistacza się niejako w osobistość, którą do życia powołała, identyfikuje się z nią najzupełniej. Ta doskonałość w niesłychanie różnorodnych rolach jest wprost zdumiewająca. Ani śladu maniery, szablonu, sposobów, rutyny, a śpiew i gra, jako dwa równorzędne czynniki uzupełniają się nieustannie i harmonizują najściślej. Ożywia wszystko szczerość ogromna, świeżość niesłychana, feu sacré, jednem słowem. Studyując każdą rolę zosobna, możnaby wskazać na setki ciekawych subtelnych szczegółów, zwrócić uwagę na punkty kulminacyjne, na mistrzowskie, logiczne przeprowadzanie zmian w charakterze danej postaci, na przepyszne stopniowanie efektów lub potężne, doraźne wywoływanie wstrząsających wrażeń. Skoro jednak — jak być powinno — artystce chodzi o syntezę, o psychologiczną wierność w odtworzeniu danej postaci, przyczem wszystkie szczegóły są środkiem, nigdy zaś celem, drobiazgowość takiego rozbioru byłaby zbyteczną, gdyż rozumie się samo przez się, że doskonałość całości jest owocem odczucia i starannego opracowania tej całości w każdym szczególe. Jeżeli mamy wybrać z całego szeregu wspaniałych kreacyj tę, w której talent artystki doszedł do szczytu absolutnej doskonałości, tę, która rzuca najlepsze światło na wszystkie talentu tego strony, — wy-

sunęlibyśmy na pierwsze miejsce śliczną, ślicznie odczutą, śpiewaną i graną Tatjanę w Onieginie Czajkowskiego. Artystka daje nam tu po mistrzowsku odtworzoną kartę z życia kobiety, wlewa duszę całą w pełną uroku i wdzięku postać, wyśnioną przez poetę. Scena pisania listu jest wprost genialnem odtworzeniem całego kompleksu sprzecznych uczuć, miotających duszą biednego dziewczęcia. Rola Elżbiety jest również jedną z pięknych kreacyj panny Kruszelnickiej. Jej wejście w drugim akcie wprost olśniewa. Tutaj mała uwaga co do kostyumów. Kabotynki kochają się w gałganku dla gałganka. Mają czasami dużo smaku i urządzają na sobie formalne wystawy pysznych toalet, które, niestety, bardzo często w rażącej stoją sprzeczności z wymaganiami danego momentu. Prawi artyści — panna Kruszelnicka, Battistini, — starają się wywrzeć na widzach wrażenie prawdopodobieństwa estetycznego. Im chodzi o sztukę, o stworzenie śpiewem, grą i powierzchownością dzieła sztuki, doprowadzonego do najwyższego stopnia doskonałości. Na artystów, obdarzonych smakiem tak wytwornym, patrzeć nawet jest już rozkoszą. Jakże licho, w tak groźnem sąsiedztwie, wyglądało otoczenie Elżbiety i Wolframa w jaskrawo papuzich płaszczach (niepotrzebnie atłasowych), że pominiemy już nieszczęśliwego, komiczne wprost robiącego wrażenie, landgrafa; był to istny król Herod z szopki.

Dyrekcyi, bądź co bądź, należy się podzięka za wznowienie Tannhäusera, który, jak utrzymują pewni krytycy, nic nie był wart dawniej, bo się publiczności nie podobał, teraz zaś stał się rzeczą dobrą, skoro publiczność raczy być nań łaskawa. Rzecz prosta, że przez takie schlebianie upodobaniom tłumów zarabia się na cenne (dla niektórych) tytuły „naszego znanego, kochanego, sympatycznego“. Do tegoż celu prowadzi utrzymywanie, iż każda rzecz „swojska“, chociażby licha, jest „wspaniałem arcydziełem“, dla tego że jest „swojska“. Tymczasem — zwłaszcza, gdy chodzi o muzykę — w tych pseudo-swojskich rzeczach swojskości, w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, niema za grosz. Ach! gdybyż dożyć chwili, w której zrozumie się nareszcie, na czem polega swojskość, polskość i piękność takiej, dajmy na to, Goplany! Jużci nie na zdumiewająco banalnym walczyku, który, nad Gopłem, i w owych czasach, jest zjawiskiem rzeczywiście fenomenalnem. A propos: co się dzieje z Liwią Quintillą Zygmunta Noskowskiego? Ach! przepraszam: to taki nieswojski tytuł! — — Ach! gdybyśmy mieli polskiego Wagnera! Kruszyłbym kopię dniem i nocą o to, aby nazwisko jego z afisza nie schodziło. Ale nie mamy polskiego Wagnera, chociaż czytujemy artykuły o „twórczym geniuszu“ Żeleńskiego i Müncheimera; jest tylko niemiecki; jeśli jeszcze rozpoczniemy

przeciwko jego muzyce kampanię w imię... kapusty, cóż nam pozostanie? Halka, Hrabina, Mazepa, Goplana, Traviata i Ruy Blas, ten kolektor, przez który spłynęły na scenę warszawską, za jednym zamachem, wszystkie obrzydliwości i banalności oper włoskich.

Korzystając z pobytu w kraju panny Kruszelnickiej i mogąc ściągnąć p. Bandrowskiego, czyby nie należało wystawić Meistersingerów albo Tristana i Izoldy? W tych dziełach dopiero poznałaby Warszawa Wagnera, jako twórcę dramatu muzycznego, Wagnera w całej potędze jego geniuszu. Zapewne: Tannhäuser zawiera ustępy niezwykłej mocy i piękności; uwertura zbudowana na dwóch silnie skontrastowanych tematach —



jest arcydziełem, zarówno pod względem treści i formy; zapewne: już tutaj słowa i dźwięki, dopełniając się i łącząc, dążą do stworzenia doskonałej, nierozerwalnej całości. Ale Tannhäuser to jeszcze nie kulminacyjny punkt w rozwoju wagnerowskiej idei: to jeden z pierwszych szczebli, który dla kompozytora mniejszej miary — przyznajemy — mógłby być ostatnim, tak wybitnie jest pięknym. Nie wspominajmy tylko o romansie do gwiazdy: włos jeden dzieli go od całego stosu „ulubionych romansów salonowych", toutes proportions gardées, bo i tu znać lwi pazur. Tannhäuser jest piątem z kolei dziełem Wagnera *).

---

*) Die Feen 1833 (pierwsze przedstawienie dopiero 1888); das Liebesverbot 1836 (upadła po pierwszem przedstawieniu); Rienzi 1842 (hałaśliwa włoszczyzna ze słabemi przebłyskami talentu); der Fliegende Hollaender 1843 (z ustępami pierwszorzędnej piękności); wreszcie, Tannhäuser 1845 i Lohengrin 1850 (dzieło zamykające pierwszy okres działalności). Potem następują: der Ring der Nibelungen (w 4-ch częściach), Tristan und Isolde 1865, die Meistersinger von Nürnberg 1868, i, wreszcie, punkt kulminacyjny: Parsifal 1882.

Chociaż rzeczy tej dał Wagner tytuł *Handlung*, jest to właściwie opera: mieści ona już wszakże, w zarodku, urzeczywistnioną genialnie w późniejszych dziełach ideę stworzenia z poematu i muzyki nie zlepku, lecz organizmu. Wagnerowi chodziło o współdziałanie dla osiągnięcia doskonałości w wypowiadaniu się. W tem tkwi reforma i tajemnica olbrzymiego wywieranego na słuchaczu wrażenia. W Wagnerze poeta i muzyk składają się na jedną jedyną w swoim rodzaju osobistość. Początkowo znać było pewien brak równowagi pomiędzy temi dwoma czynnikami. Osiągnięcie jej w zupełności następuje po Lohengrinie. Słowa Schopenhauera, potępiające operę, jako „wynalazek antimuzykalny“, a skwapliwie cytowane przez przeciwników Wagnera, nie mogą znaleźć zastosowania tam, gdzie chodzi o jego dramaty muzyczne. To nie nagromadzenie efektów szkodzących jakoby muzyce, to nie potęgowanie jednej i tej samej rzeczy za pomocą różnych sposobów. Nie! to dopełnianie się wzajemne słów i dźwięków, współdziałanie poety i muzyka. Śmiesznym jest również zarzut, jakoby w muzyce Wagnera nie było melodyi. Niema w historyi muzyki kompozytora bogatszego w pomysły melodyjne. Oczywiście są to melodye innego rodzaju, aniżeli te, które spotykamy, dajmy na to, w Ptaszniku lub w Pięknej Helenie. Olśniewająca lub misterna instrumentacya utrudnia poniekąd ich chwytanie; istnieją wszakże, zawsze i wszędzie, podobne do złotej nitki, tworzącej arabeski w tkaninie, i, choć rzadko się kończą akordami doskonałemi, genialnie w jedną harmonijną wiążą się całość. Dla czegoż ci, którzy się na to godzili, gdy chodziło o symfonię, z której urodził się dramat muzyczny, — poczęli tutaj protestować? Prawdopodobnie skutkiem zwyczaju, który każe zwalczać wszystko, co nowe, lub nowem się wydaje. W porównaniu z nędzną instrumentacyą kompozytorów włoskich, drepcącą banalnie w ślad za śpiewem, ta potęga samodzielnego życia orkiestry u Wagnera wydawała się czemś potwornem, zagmatwanem. Wymyślano na Leitmotiv, spotykający się przecie u poprzedników Wagnera, choć nie w taki sposób używany; uważano Wagnera za waryata lub za kabotyna (piramidalnie zdrowych głupstw naplótł o jego muzyce żydek Nordau). Dzisiaj muzyka „przyszłości“ stała się muzyką teraźniejszości. Nawet Francuzi, którzy wygwizdali ongi Tannhäusera i Lohengrina, duszą się na przedstawieniach takich oper, jak die Meistersinger, die Walküre, Tristan und Isolde. Czas byłby i u nas czegoś więcej o Wagnerze się dowiedzieć.

Feliks Jasieński.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Kazimierz Gliński. *Ballady i powieści.* Warsz. Tow. Art.-Wydawn. Warszawa. — E. Leszczyński. *Poezye.* G. Gebethner i S-ka. Kraków. — K. Lewandowski. *Lais.* G. Gebethner i S-ka. Kraków. — Edward Słoński. *Poematy: I. Pieśń. II. Mary.* Warszawa. — Józef St. Wierzbicki. *Rapsody.* Lwów. Nakł Tow. Wyd. 1901.

POWIEŚĆ. — Teodor Jeske-Choiński. *Trubadurowie.* Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa. — Adolf Dygasiński. *Łabędzia woda.* S. Mieczyński. Warszawa. — T. T. Jeż. *Z ciężkich dni.* Tom. I i II. Bibl. Dzieł Wybor. Warszawa.—Stefan Krzywoszewski. *Zmierzch.* K. Grendyszyński. Petersburg. — Michał Mutermilch. *Ironia.* Skł. gł. u Gebethnera i Sp. Kraków. — H. St. Pytliński. *Koledzy.* S. Mieczyński. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Pisma,* tom XXX—XXXI. *Quo vadis.* Część I i II. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów Tygodnika Illustrowanego. Warszawa. — Karol Dickens. *Powieść o dwóch miastach,* tom I — III. Przeł. Hajota. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa. — Knut Hamsun. *Wiktorya.* Przeł. Marya Cumft-Pieńkowska. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa. — Matylda Serao. *W biurze telegraficznem.* Przeł. Cecylia G. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa.

TEATR. — Kazimierz Gliński. *Żydzi. Obraz dramatyczny, osnuty na tle prześladowań żydów w połowie XIV wieku.* Nakł. autora. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Taniec miłości i śmierci.* Nakł. Księgarni Polskiej. Lwów. — Edmund Rostand. *Orlątko.* Przeł. Marya Chwalibóg. Warszawa.

DZIEJE LITERATURY. — Julian Adolf Święcicki. *Historya literatury powszechnej,* tom II. *Literatura Chińska i Japońska.* Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa.

HISTORYA. — Justyn Feliks Gajsler. *Dzieje Węgier w zarysie.* Z zapomogi kasy D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa. — Dr. Kazimierz Gorzycki. *Zarys społecznej historyi państwa polskiego.* Księgarnia polska. Lwów.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski,* tom III, zeszyty 8 i 9. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa w Warszawie i u G. Gebethnera w Krakowie.

ARCHEOLOGIA. — Erazm Majewski. *Światowit,* rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej, tom III. 1901. Warszawa.

ZDOBNICTWO LUDOWE. — Władysław Matlakowski. *Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu.* Skład główny, E. Wende i Sp. Warszawa.

PODRÓŻE. — Rudyard Kipling. *Od morza do morza.* Tom I i II. Przeł. M. G. Bibl. Dzieł Wybor. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz *Pisma,* tom XXIX. *Listy z Afryki,* część III. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów Tygodnika Illustrowanego. Warszawa.

VARIA. — *Bitwa pod piramidami.* Wydawnictwo i fotografie firmy „Jadwiga Golcz". Warszawa. — W. James. *Czy warto żyć?* Przeł. W Kosiakiewicz. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego". Skład główny w księgarni J. Fiszera. Warszawa. — W. James. *W obronie wiary.* Przeł. W. Kosiakiewicz. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego". Skład główny w księgarni J. Fiszera. Warszawa. — Jan Kucharzewski. *Początki prawa małżeńskiego.* Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Warszawa. — Aleksander Mogilnicki. *Obrońca kryminalny a opinia publiczna,* (odbitka z „Ateneum"). Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Warszawa. — Z teki samouka. *Państwo amazońskie w VI wieku swojego rozwoju (utopja możliwa).* Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

ATENEUM. (Warszawa). Kwiecień, maj, czerwiec 1901.—K. R. Żywicki: *Nasze potrzeby na polu nauki.* — Józefat Nowiński: *Życie i marzenie.*—A. W.: *Ruch umysłowy*

w Paryżu. — Walery Gostomski: *Liryka nasza.* — Henryk Galle: *Ludwika Godlewska.* — Kazimierz Gliński: *Młoty.* — Tadeusz Trzciński: *Kosmozoficzne poglądy Mickiewicza.* — St. Karpowicz: *W sprawie samokształcenia.* — A. Brückner: *Najnowsze wydawnictwa Akademii Krakowskiej.* — Leopold Meyet: *Z nieznanych autografów Adama Mickiewicza.* — Władysław Jabłonowski: *Przegląd literatury zagranicznej.*—G. Korbut: *O wiersz Mickiewicza.*—Michał Muttermilch: *Arnold Böcklin.*— J. W. Goethe: *Prometeusz* (fragment dramatyczny). Przeł. A. G.—Jan Zahorski: *Wyobraźnia Piotra Skargi.* — Antoni Potocki: *Poszukiwanie literackie.* — Ignacy Matuszewski: *Żywioły plastyczne w poezyi Słowackiego.* — Wiktor Hahn: *Balzac czy Słowacki?* — Artur Górski: *Sören Kierkegaard: Albo — albo.* — G. Daniłowski: *Pan Jabot.* — Bronisław Chlebowski: *Dwie historye literatury polskiej.* — Jan Augustynowicz: *Potępieniec.* — Józefa Klemensiewiczowa: *Ruch literacki ostatniego dwudziestolecia w Danii i Norwegii.*

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. (Warszawa). Kwiecień, maj, czerwiec, lipiec 1901. — Józef Weyssenhoff: *Sprawa Dołęgi.* — Kazimierz Jarecki: *Juliusz Słowacki i poemat „W Szwajcaryi“.* — Bronisława Ostrowska (Mierz): *Gra fali. Na wiosnę.*— Stanisław Witkiewicz: *Aleksander Gierymski.* — Józef Flach: *Zwrot w modernizmie niemieckim.* — Marya Konopnicka: *Z podróżnej teki.* — A. Brückner: *Dawne powieści i romanse polskie.* — Adam Krasiński: *Nieznany dramat Zygmunta Krasińskiego.* — Stanisław Niewiadomski: *„Manru“.* — Stefan Fuchs: *Polemika o Wawel.* – Mieczysław Offmański: *Nad staremi drukami z biblioteki biskupa Szembeka.* — *Piśmiennictwo. Kronika miesięczna. Wiadomości bibliograficzne.*

CZASOPIS MUSEA KRALOVSTVI CZESKEHO. (Praha). Svazek druhy a trzeti 1901. Dr. J. V. Szimak: *Pozustalost Dobnerova.* J. Kamper: *Ladislav Stroupežnicky.* — J. Kamper: *Julius Zeyer.* — Dr. B. Prusik: *Maxim Gorkij.* — Prof. B. V. Spiess: *K životopisu Jana Kocina z Kocinetu.* — *Drobne przispievky.* — Dr. A. Podlaha: *Dodatky a opravy biografiim starszich spisovatelu czeskych.* — *Hlidka literarni.* — *Zpravy knihopisne.*

CAHIERS MENSUELS de M. Golberg. (Paris). Mars — Avril 1901. — *Puvis de Chavannes.* — *Prométhée repentant.* — *De l'esprit dialectique.* — *Lettres à Alexis.* — *Notes.*

DIE INSEL. (Berlin). Mai, Juni, Juli 1901. — Frank Wedekind: *Mine-Haha.* — Robert Walser: *Drei Lieder. Aschenbrödel.* — De Feure: *Die gemeiselte Platte. Versuchung.* — Rudolf Alexander Schröder: *An Belinde.* — Felix Valloton: *Zeichnungen.* — Königsbrun-Schaup: *Die Trimurti und die neuen Seelen.* — Emil Verhaeren: *Die Ebene.* Ueber. von Emil Rudolf Weiss. — Walter Pater: *Leonardo da Vinci.* Ueberz. von Franz Blei. — E. R. Weiss: *Holzschnitte.* — Richard Dehmel: *Zwei Menschen.* — Franz Blei. *Vier Grotesken.* — Gustav Falke: *Drei Gedichte.* — Emanuel v. Bodman: *Gedichte.* — Karl Schloss: *Gedichte.* — Maximilian Dauthendey: *Herzlied.*— *Sankt Adrian* (Flämischer Holzschnitt des XIV Jahrh.). — A. W. Heymel: *„Spiegel“.* — Carl Schüddekopf: *Ungedrucktes von Wilhelm Heinse.* — Markus Behmer: *Zeichnungen.* — Rudolf Borchardt: *Pathetische Elegie.* — Kunisada II: *Zeichnung.* — Felix Salten: *Die Gedenktafel der Prinzessin Anna.* — *Anmerkungen.*

KRYTYKA. (Lwów). Lipiec 1901. — Adam Łada. *Poezye.* — (f): *Drogi duszy.*— L. Kulczycki. *Niedomagania parlamentaryzmu spółczesnego.* — Adolf Neuwert-Nowaczyński: *Stefan Żeromski.*—Dr. Zofia Daszyńska-Golińska: *Nowi ludzie* St. Przybyszewski: *Requiem aeternam.* — F. Mirandolla: *Poezye.* — Jan Sten: *Lucyan Rydel.* — Włodz. Jarosz: *Matka.* — *Kronika. Sprawozdania naukowe i literackie.*

KSIĄŻKA. (Warszawa). Czerwiec, lipiec 1901. — M. Massonius: *Biblioteka publiczna.* — A. Turkuł: *Czwarty międzynarodowy kongres wydawców w Lipsku.* — *Krytyka.* — *Polemika.* — *Kronika.* — *Bibliografia.*

DAS LITTERARISCHE ECHO. (Berlin). Juni, Juli 1901. №№ 17 — 20. — I. E.:

Ueber Preisausschreiben. — R. Jacobsen: *Ein lombardischer Dichter.* — R. Lange, B. Wildberg: *Aus Japan.* — E. Bertz: *Kritik an England,* — A. Brunnemann: *Zolas jüngster Roman.* — S. Mehring: *Ein schlesisches Epos.* — Otto Behaghel: *Grammatik und Polizei.* — S. Samosch: *Rudolf Lindau.* — E. Brausewetter: *Bücher vom Tode.* — J. Rodenberg: *Mein erster Waffengang.* — R. Lindau: *Hassan.* — W. Bolza: *Die deutsche Schweiz.* — L. P. Betz: *Zur Litteraturvergleichung.* — F. Marti: *Der Aehrenleser.* — K. Berger: *Schiller und wir.* — H. H. Houben: *Karl von Perfall.* — Karl von Perfall: *Im Spiegel.* — R. Schoener: *Italienische Bücher.* — E. Aly: *Dame oder Tiger?* — *Besprechungen.* — *Echo der Zeitungen.* — *Echo der Zeitschriften. Echo des Auslandes.* — *Echo der Bühnen.* — *Kurze Anzeigen.*

MERCURE DE FRANCE. (Paris). Mai, Juin, Juillet 1901. — Docteur Albert Prieur: *Essai sur la Psychologie du Dépeçage criminel.*—Albert Samain: *Elégies.*—Charles-Henry Hirsch: *La Liaison de Properce.*—Remy de Gourmont: *Le Chemin de Velours.*— Sébastien Charles Leconte: *Les Noces de l'Amazone.* — Emil Magne: *Les Poètes des Pauvres.* — Albert Delacour: *Le Pape Rouge.* — Virgile Josz: *Le Portefeuille des „Bâtimens du Roi“.* — Charles van Lerberghe: *La Chanson d'Eve.* — Léon Bloy: *Johannès Joergenson et le Mouvement Catholique en Danemark.* — Henry D. Davray: *L'Angleterre et la Prépondérance européenne.* — J. A. Coulangheon: *Le Béguin de Gô.* — Laurent Evrard: *Eloge des vieilles maisons.* — Emile Verhaeren: *Les Salons.* — Pierre Quillard: *Francis Jammes et Charles Guérin.* — Henry de Régnier: *La Course.*— Léon Charpentier: *Les Transmigratious de Yo-Tchéou.* — Sybil O'Carrey: *Sonnets.* — Pierre Lasserre: *L'Esprit Germanique.* — Richard Cantinelli: *Poèmes.* — R. de Bury: *Loriquet, Le Ragois et de Foris.* — *Revues des mois.*

MODERNI REVUE. (Praha). Duben, Kvieten, Czervenec, Srpen 1901. — August Rodin: *Kresba.* — Milosz Marten: *Dama se psem.* — Frantiszek Gelner: *Demaskovana laska.* — Jirzi Karasek: *Z nove czeske beletrie. Kronika. F. V. Krejcziho „Julius Zeyer“.* — Victor Dyk: *V pavuczinach nervu. Pisen o memoirech. Slova noczni. Piseň valeczna. Piseň sentimentalniho Voltairiana. Kosmicky vzlet konczime. Fragment z „Dona Quijota v Czechach“. Privilegium. K. S. Mdle-li svietlo. Pad dekance. Dopis.* — Eduard Klas: *Zahrady v miestie.* — Paul Leppin: *Detlev von Liliencron. Nove knihy niemecke. Nove knihy.* — Karel Toman: *Rty shasle miela. Ztraceny syn. Kousek leta. Devata symfonie.* — Josef Holy: *Pisnie slepeho mladence.* — Goya: *Vlastni podobizna.* — Dagny Przybyszewska: *Když slunce zapada.* — Hubert Cyrlak: *Vystava Jednoty vytvarnych umielcu. Vystava obrazu Sochorova.* — Karel Scheinpflug: *Touhy Robinsonovy.* — Leon Riotor: *Kresby Rodinovy.* — Karel Kaminek: *Narodni divadlo.* — Remy de Gourmont: *Stéphane Mallarmé a idea dekadence.* — Maurice Maeterlinck: *Żivot vczel* (przel. Marie Kalaszova). — Jan Opolsky: *Karneval.* — Josef Müldner: *A tichem jdu. Kraj dusze.* — Josef Stenhart: *Ultima necat.* — Leo Freimuth: *Opila. Dopis z venku. Rzijen.* — Josef Pavliczek: *Pokuszeni.* — Carl Bleibtreu: *„Prace“.* — Camil Hoffmann: *Novy Muther.* — August Rodin, B. Hnatek, J. Szir: *Vignetty.*

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Zeszyt II 1901. — E. Abramowski: *Dusza i ciało.* — Dr. W. Biegański: *Istota sądu.* — *Przegląd nauk poszczególnych.* — *Przegląd systematów współczesnych.*—*Autoreferaty.* — *Sprawozdania.* — *Przegląd czasopism.* — *Wiadomości bieżące.*

PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. (Lwów). Marzec, Kwiecień, Maj, Czerwiec 1901. — Dyonizy Zaleski: *Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego.* — Piotr Chmielowski: *Najnowsze prądy w poezyi naszej.* — Wojciech Dzieduszycki: *Rzecz o uczuciach ludzkich.* — Dr. Tadeusz Troskolański: *Andrzej Radwan Zebrzydowski.*— Fr. Rawita-Gawroński: *Nieznane młodzieńcze utwory Seweryna Goszczyńskiego.* — Dr. Wiktor Hahn: *Bibliografia o Juliuszu Słowackim.* — Dr. M. Schorr: *Starożytności biblijne w świetle archiwum egipskiego z XIV w. przed Chrystusem.* — Ks. Jan

Sygański T. J.: *Dawne zabytki dziejowe nowego Sącza.* — Stanisław Zdziarski: *Witwicki i Żukowski.* — *Kronika literacka.*

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Firenze). 1-e 15 maggio, 1-e 15 giugno, 1 luglio 1901. — E. Corradini: *Un romanzo di Giuliano l'Apostata.* — A. Schanzer; *I poeti Vittoriani.* — C. Dickens; *Il manoscritto di un pazzo.* — A. Beltramelli: *Diego Angeli.* — A. Bernardy: *Rassegna Nord-Americana.*—G. Eekhoud: *Rassegna Belga.* — R. Pantini: *La villa di Bosco reale.* — E. Corradini: *Giosue Carducci.* — I. M. Palmarini: *Scioperataggine letteraria?* — J. L. Pagano: *Nunez de Arce.* — Sem Benelli: *La IV Esposizione d'arte a Venezia.* — R. de Gourmont: *Rassegna Francese.*— F. Sirola: *Rassegna Tedesca.* — L. Lodi: *„Nerone" di Arrigo Boito.* — D. Garoglio: *La Servitù dell' artista contemporaneo.*—Evelyn: *La Toscana ed i Toscani giudicati da un inglese.* — J. L. Pagano: *Joan Maragall.* — M. Morasso: *Le arti del Monumento.* — C. Levi: *Cronaca drammatica.* — G. Gasperini: *Giacomo Puccini.* — B. Marrai: *La primavera di Sandro Botticelli.* — M. Gorki: *Una volta d'autunno...* — D. Angeli: *Nino Costa.* — M. Morasso: *Il rinascimento della Scultura.* — G. Caprin: *Il poeta del fiore azzurro.* — G. Daudet: *L'infanzia di una Parigina.* — *Appunti bibliografici.* — *Riviste e giornali.* — *Notiziario generale.*

LA REVUE D'ART DRAMATIQUE. (Paris). Mai, Juin 1901. — A. Gide: *Saül.* — H. Ghéon: *Le pain.* — Fernand Gregh. *La belle au bois.* — Fernand Gregh: *Saint-Pol-Roux et La dame à la faulx.* — G. Pioch: *Conte pâle.* — E. Morel: *La femme adultère.* — Tor Hedberg: *Gerhard Grim.* — Dr. F. T. Marinetti: *Le théâtre de G. d'Annunzio.* — L. d'Ambra: *Le Bernini.* — Alla: *Projet de théâtre populaire.* — St. Philipps: *Hérode.* — O. J. Bierbaum: *Gugeline.* — A. Villeroy: *Héliogabale.* — M. Magre: *L'ouvrier qui pleure.* — Saint Pol-Roux: *Dramaturgie,* — G. Trarieux: *Un sage. M. Maeterlinck.* — J. F. L. Merlet: *Le poème dramatique.* — H. Gauthier-Villars: *Peter Benoît.* — *Théâtres:* Paris, province, Allemagne et Autriche, Angleterre, Belgique, Bulgarie, Danemark, Espagne, Finlande, Hollande, Hongrie, Italie, Pologne (JAN LORENTOWICZ), Portugal, Roumanie, Russie, Suisse, Turquie, Afrique (Alger, Egypte), Amérique. — *Les livres.*

LA REVUE DU BIEN. (Paris). Juillet 1901, № 3. — Léo Claretie: *Alma Mater.* — Marc Legrand: *Au Pays de Caux* (sonnets). — Maurice Griveau: *La Protection du Paysage.* — Pontsevrez: *La Vieille de Thuringerwald* (conte). — Edmond Thiaudière: *Pensée.* — Louise Péris, M.-C. Poinsot et G. Normandy: *Le Bien qu'on fait.* — Ernest Jetot: *La Bien à faire.* — Jean Lorédan: *Chez les Artistes.* — Jean S. Barès: *Les Actes. Les Oeuvres.* — Auguste Dorchain: *Les Disparus: Antony Valabrègue.* — Emile Legrand: *Pour se bien porter.* — *Bibliographie.* — *Notre Courrier.* — *Petite Correspondance.* — *Illustrations.*

LA REVUE NATURISTE. (Paris). Mai 1901, № 30. — Maurice Le Blond: *L'Evangile de Zola.* — Robert Browning: *En un an* (poème traduit par M. Gabriel Monod). — Andriès de Rosa: *L'Ouragan.* — Marc Lafargue: *Sonnets Pyrénéens.* — *Le Banquet Bouhélier.* — *Chroniques.*

REVUE DE LA RENAISSANCE. (Paris). Mai — Juin 1901. — Léon Séché: *Le cardinal du Bellay.* — *Sur la Dame qui fut „Olive".* — Dauban: *Michel Colombe.* — Paul Laumonier: *L'art poétique de Peletier du Mans.* — V. L. Bourilly: *Documents inédits.*—*L'intermédiaire des Amis du XVI-e siècle.*—*Bibliographie du XVI-e siècle.*— *Le XVI-e siècle à travers les Revues, les Journaux et les Catalogues.* — Supplément: *Notes et Commentaire de la „Defense et Illustration de la langue française".* — *Illustrations.*

SLOVANSKY PRZEHLED. (Praha). Kvieten, czerven, czervenec 1901. — P. Maternova: *Z ruske poesie* (V. Soloviev, M. A. Lochvicka). — A. Czerny: *Z nove poesie chorvatske* (J. Milakovicz). — Fr. Kvapil: *Z polske poesie* (J. S. Chamiec). — M. Zdziechowski: *Vl. Soloviev a Slovanofilstvo.* — A. Czerny: *Sto let lužicko-srbske poesie.* —

Szt. Radić: *Vzacna francouzska kniha o Slovanech.* — J. Hudec: *Dr. Fr. Preszern.*— G. A. Vorobjev: *Kurpiove.* — *Dopisy:* z Krakova, z Chorvatska, z Bulharska, z Poznanie, z Krajiny, ze Zahrzeba, z Petrohradu, z Dolni Lužice. — *Rozhledy a zpravy:* Slovane severozapadni. Slovane vychodni. Jihoslovane. — *Vszeobecne zpravy.* — *Umieni, vieda.* — *Vyobrazeni.*

TYGODNIK ILLUSTOWANY. (Warszawa), №№ 13 — 29. — T. T. Jeż: *Od kolebki przez życie.* — K. Tetmajer: *Panna Mery.* — C. Walewska: *Jak liść oderwany od drzewa.* — Emma Jeleńska: *Kalwarya.* — Z. Morawska: *Płaszcz Judaszowy.* — P. Trzciński: *Nenufary.* — Z. Morawski: *Faun.* — *Poezye:* W. Perzyńskiego, M. Konopnickiej, Maryi Grossek, J. S. Wierzbickiego, Or-Ota, K. Tetmajera. — Marya Krzymuska: *Stanisław Przybyszewski.* — *Opisy z illustracyami:* Lublin. Częstochowa. — *Kroniki.* — *Nowe książki.*

WIADOMOŚCI ARTYSTYCZNE. (Lwów), Kwiecień — Czerwiec 1901, №№ 1 — 5. — H. Cepnik: *Sztuka a... moralność publiczna.* — *Plagiaty.* — Leon Popławski: *Narodziny Symfonii.* — R. L.: *Strona rzemieślnicza w malarstwie.* — Antoni Austen: *W sprawie naszej sztuki zdobniczej.* — Edmund Walter: *Opera polska przed „Halką".* — B: *Oryginalność w sztuce.* — Jan Galil: *Seweryn Berson.* — St. Bursa: *Jan Ignacy Paderewski.* — Antoni Maruszewski: *Pierwszy utwór Paderewskiego.* — Leon Popławski: *Variations et Fugue-Thème varié.* — Teodor Mianowski: *Sny o potędze.* — Leopold Staff, Jan Pietrzycki, Henryk Zbierzchowski, Gustaw Kaczkowski, Stanisław Rossowski, Anna Neumanowa: *Poezye.* — *Sprawozdania.* — *Korespondencye.* — *Kronika.*

WIENER RUNDSCHAU. (Wien). № 8 — 14, 1901. — M. Maeterlinck: *Der Geist der Bienen.*— G. Munthe: *König Sigurds Reise nach Jerusalem (Bild).* — E. R. Weiss: *Ueber den modernen Holzschnitt.* — R. Kassner: *Die Moral der Legende.* — C. Mauclair: *Mallarmé.* — O. Bryk: *Die H-moll-Messe.* — F. Rappaport: *G. Th. Fechner.* — S. Mallarmé: *Auf dem Jahrmarkt.* — A. Miltschinovitsch. *Der Nachen. Das Bild.* — O. Bryk: *Zum Verstaendnis der Projections-Erscheinungen.* — Dr. E. H. Schmitt *H. Spencers synthetische Philosophie.* — H. Vandevelde: *Hauskleid, Strassenkleid, Tea-gown (Zeichnungen).* — C. Bleibtreu: *Dialog über esoterischen Buddhismus.* — Prof. P. Janet: *Das Gefühl der Persönlichkeit.* — *Die Deutung der Causalitaet.* — O. Bryk: *Die Musik als tönende Welt-Idee.* — R. W. Emerson: *Aufzeichnungen.* — O. Bryk: *Die Musik und die Inscenierung.* — H. van de Velde: *Vorschlaege zur künstlerischen Hebung der Frauentracht.* — G. A. Aurier: *Vincent van Gogh.* — A. Strindberg: *Ein Blick gegen den Himmel.* — Dr. M. Buber: *Ueber Jacob Boehme.* — J. Melnik: *Russischer Brief (A. Wolinsky — Russische Kritiker).* — C. Bleibtreu *„Arbeit".* — Tola Dorian: *Die Kanzel der heiligen Gudula.* — Dr. F. Hartmann: *Die occulte Wissenschaft.* — W. Kuhaupt: *Suggestion als psychologisches Hauptmoment in der Kunst.* — F. Rappaport: *Lothar v. Kunowski.* — *Johannes Kepler.* — *Die Sonne.* — L. Kuhlenbeck: *Das Weltall und das Individuum.* — C. Mauclair: *Ueber den gegenwaertigen Stand der literarischen Kritik.* — O. Bryk: *Genie und Anticipation.* — *Energismus.*

WISŁA. (Warszawa). Maj — Czerwiec 1901. — L. Rutkowski: *Gościccy Papaje w świetle podań szlacheckich.* — Dr. Klemens Bąkowski: *O dawnych zabawach cechowych krakowskich.* — Ignacy Radliński: *Apokryfy Judaistyczno - Chrześciańskie.* — H. Wierciński: *Przyczynek do osiadłości.* — G. Smólski: *O Kaszubach nadlebiańskich.* — Ludwik Młynek: *Figurki z soli* — Jerzy Ohr: *Przysłowia rabinów.* — Marya Kucz: *Głaz Czartowski.* — *Poszukiwania.* — *Sprawozdania i krytyka.* — *Przegląd czasopism* — *Drobiazgi ludoznawcze.* — *Różne wiadomości.*

DIE ZEIT. (Wien). Juni — Juli 1901. №№ 348 — 354. — Richard Muther: *Ravenna.* — Laura Marholm: *Henrik Pontoppidan.* — Henrik Pontoppidan: *Der Stein der Weisen.* — Dr. Fr. W. Foerster: *Die christliche Kirche und die Mission der „Intellectuellen".* — Richard Muther: *Renaissance im Kunstgewerbe.* — Dr. Ottokar Hostin-

sky: *Zdenko Fibich und das Melodrama.* — Johannes Schlaf: *Zur Theater und Bühnenreform.* — Isolde Kurz: *Mare!* — L. M. Hartman: *Volksbildung und Ethik.* — Max Burckhard: *Drei Künstlerdramen.* — Richard Muther: *Darmstadt.* — Benno Rüttenauer: *Derselbe.* — Bruno Frank v. Hochwart: *Ungedruckte Briefe Anastasius Grüns über Nikolaus Lenau.* — Richard Muther: *Los von der Natur.* — Oskar A. H. Schmitz: *Léontine.* — Marie Herzfeld: *Ellen Key.* — Camille Mauclair: *Heimatkunst in Frankreich.* — Tschechow: *Der Gram.* — Neera: *Alte Jungfern.* — Georg Brandes: *Maxim Gorki.* — Richard Maria Werner: *J. J. Davids neue Novellen.* — Kurt Aram: *Der dumme Junge und das Eidechschen.* — Hermann Türck: *Zur Erklärung von Goethes Faust.* — Alfred Gold: *Der neue Humor.*

VARIA.

Sztuka stosowana. — Sztuka i społeczeństwa. — Dzieła Juliusza Zeyera. — Pomnik Rimbaud'a. — Salon sztuk pięknych A. Krywulta. — Szkoła sztuki J. Bukowskiego i W. Tetmajera. — Genialny malarz. — Otwarcie teatru łódzkiego. — Nasze wystawy. — Dwa dodatki artystyczne.

Sztuką stosowaną zaczynają się u nas ludzie gorliwie na wszystkie strony zajmować. W Warszawie, p. E. Niewiadomski, w broszurze poświęconej krytyce Tow. Zach. sztuk pięknych, ujmuje się gorąco za tym pogardzonym kopciuszkiem. We Lwowie zawiązuje się stowarzyszenie udziałowe artystów i miłośników sztuki stosowanej pod nazwą: Złoty Róg. W Krakowie powstaje towarzystwo „Polska sztuka stosowana“, mające na celu szerzenie zamiłowania w tym kierunku. Wszystko to są usiłowania nader interesujące, gwałtownie potrzebne i zasługujące na najgorętsze poparcie. O znaczeniu sztuki stosowanej, jako jedynej drogi do rozbudzenia zamarłej wrażliwości estetycznej, pisaliśmy szerzej w pierwszym zeszycie „Chimery.“

Ale zwracaliśmy tam również uwagę na różne błędne wyobrażenia, lęgnące się w jej dziedzinie i mogące zaprowadzić ją na manowce. W dodatku do tamtych spostrzeżeń, chcemy tu jeszcze położyć nacisk na kwestyę, która bardzo ważkie może mieć następstwa. We wszystkich u nas rozprawach o sztuce stosowanej słyszy się co chwila słowo „swojskość“, a względnie bardzo rzadko—słowa: piękno, twórczość, artyzm. Jest w tem pewne niebezpieczeństwo, bo w ten sposób sztuka stosowana, która, podobnie jak sztuka czysta, musi być *przedewszystkiem* twórczą, oryginalną, indywidualną, może łatwo wyrodzić się w niewolnicze naśladowanie sztuki ludowej, w uwydatnianie *par force* zewnętrznych pierwiastków etnograficznych, co nie jest bynajmniej jej zadaniem. Czy nie lepiej byłoby zastąpić słowo *swojskość* słowem *talent?* Pierwsza bowiem jest nieo-

dzowną częścią składową ostatniego. Człowiek tak jest mimowolnie i mimowiednie związany całą cielesnością z własnym zakątem, że jeżeli ma talent, to nie może nie być swojskim. Człowiek z talentem, tworząc nawet wśród zupełnie obcego otoczenia, nada dziełom swym pewne cechy, które w tejże chwili zwrócą uwagę jego rodaków, a natomiast będą zupełnie niedostępne dla otaczających go obcych. Talent jest zawsze swojski; przeciwnie, można być swojskim a nie mieć talentu. Przy ciągłem mówieniu o swojskości a rzadkiem wspominaniu talentu, obawiać się można, aby wystaw sztuki stosowanej nie zalały różne naśladownictwa sztuki ludowej, różne zlepki swojskich motywów, bez cienia twórczości indywidualnej.

„Polska sztuka stosowana", zwołuje na d. 23 października r. b. pierwsze walne zgromadzenie swych członków, na którem ma być przedstawiony i poddany pod dyskusyę szczegółowy program działania Towarzystwa. Wtedy będziemy mieli prawdopodobnie sposobność powrócić raz jeszcze do tych kwestyj zasadniczych. Tymczasem podajemy do wiadomości osób interesowanych, że Towarzystwo krakowskie zapowiada jednocześnie na styczeń r. p. wystawę oryginalnych okazów oraz wzorów z zakresu polskiej sztuki stosowanej. Terminem prekluzyjnym nadsyłania projektów, które, po orzeczeniu komisyi rozpoznawczej byłyby wykonane kosztem T-wa, jest dzień 1-go listopada r. b.; dla reszty projektów, przedmiotów artystycznych, oraz zbiorów—dzień 20 grudnia. Bliższych szczegółów dowiedzieć się i odezwy Komitetu T-wa, przejrzeć mogą pp. artyści i osoby interesowane w redakcyi „Chimery". Adres T-wa krakowskiego: Rynek, kancelarya Muzeum Narodowego. Adres Stowarzyszenia „Złoty Róg": Lwów, ul. Pełczyńska, l. 1.

Sztuka i społeczeństwa. Wielki artysta, Gustaw Moreau, zrobił społeczeństwu swemu królewski dar. Ponieważ jednak, ofiarując mu wspaniałe muzeum, złożone z kilkuset obrazów swych i akwarel, oraz siedmiu tysięcy rysunków, wraz z pałacykiem na pomieszczenie tych skarbów, „nie pomyślał," jak powiada donoszący o tem korespondent, „o zapewnieniu kapitału potrzebnego na utrzymanie muzeum,"—więc państwo, które we Francyi identyfikować można ze społeczeństwem, jęło się wzdragać i nie chciało przyjąć zapisu. Dopiero osobista znowu ofiarność oddanego przyjaciela zmarłego mistrza, p. Henryka Rupp'a, który złożył 300,000 franków, umożebniła otwarcie Muzeum. Szkoda, że państwo nie zażądało jeszcze, w zamian za zgodę na urządzenie tej instytucyi, jakiegoś *quantum* na „pożyteczniejsze" od sztuki cele społeczne, oraz gwa-

rancyi, że każdy dobry obywatel, zwiedzający muzeum, otrzyma za fatygę franka czy półfranka.

Dzieła Juliusza Zeyera. Odbieramy nieustannie zapytania od naszych abonentów, czy istnieją w polskim przekładzie inne jeszcze dzieła Zeyera, oprócz drukowanego w *Chimerze* poematu *Na Synaj.* Ależ tak! Wybór najwspanialszych poematów i utworów prozą tego wielkiego poety czeskiego w przekładzie Miriama wyszedł z druku przed kilku miesiącami, nakładem S. Lewentala, w dwóch wielkich tomach. Czemu nakładca, robiąc ogłoszenia o wszystkich innych swych wydawnictwach, z tem jednem kryje się niejako, nie umiemy wytłómaczyć. Że prasa milczy o tym *Wyborze Pism Zeyera,* lub mówi półgębkiem, rzecz prosta: są to dzieła pierwszorzędnej wartości.

Oba tomy znaleźć można w każdej księgarni, oraz w kantorze nakładcy (Nowy Świat 41).

Po za tem, wyszła jeszcze w przekładzie tegoż tłómacza „opowieść fantastyczna“ J. Zeyera p. t. *Na pograniczu obcych światów* (nakł. Warsz. Akc. Tow. Art.-Wydawniczego).

Pomnik Rimbaud'a. W numerze sierpniowym i poprzednich miesięcznika Mercure de France znajdujemy sprawozdania komitetu, który przedsięwziął to uczczenie poety. Potrzebną sumę paru tysięcy franków złożyli *sami prawie artyści i poeci.* Miasto rodzinne autora *Statku pijanego* dało tylko grunt, poniosło drobne koszta instalacyi pomnika i przyjęło uroczyście przybyłych na jego odsłonięcie gości. Ostrzegający głos korespondenta którejś z gazet warszawskich pod adresem mieszczan Charleville'skich był zatem co najmniej strzałem chybionym, gdyż nie miasto pomnik stawiało.

Salon sztuk pięknych Aleksandra Krywulta wprowadził roczne bilety wstępu, dające posiadaczom prawo korzystania nietylko ze stałej wystawy rzeźb i obrazów, lecz i ze wszystkich wystaw specyalnych, bez żadnych oddzielnych dopłat. Cena biletu rb. 1 kop. 50. Udogodnienie to wielkie dla prawdziwych miłośników sztuki, którzy nie wpadają do salonów wystawowych jedynie po materyał do towarzyskiej konwersacyi o „nowościach“, lecz radziby niejednokrotnie powrócić przed dzieło bardziej interesujące. Jeżeli dodamy, że w salonie Krywulta zaczynają się zwolna skupiać wszystkie lepsze siły, że urządzane w nim wystawy specyalne (li-

tografij i akwafort, zapowiedziana Goyi i t. d.) mają dla Warszawy wprost kulturalne znaczenie, oraz że zwiedzający mogą w nim korzystać, w mile urządzonej czytelni, z całego szeregu najlepszych czasopism artystycznych i dowiadywać się z nich o całym ruchu europejskim na polu sztuki i przemysłu artystycznego,— zrozumie każdy, iż jakakolwiek pochwała mniejby tu powiedziała od samych faktów, i że usiłowania właściciela salonu na najgorętsze zasługują poparcie.

PP. J. Bukowski i W. Tetmajer nadsyłają nam zawiadomienie o założonej przez nich w Krakowie *Szkole sztuk pięknych i przemysłu artystycznego dla kobiet.* Jak sama nazwa wskazuje, szkoła składać się będzie z dwóch wydziałów: właściwej szkoły sztuk pięknych z nauką malarstwa i rysunków z natury, i szkoły sztuki stosowanej, w program której wchodzą następujące przedmioty: *intarsya* (wykładanie) z drzewa, blachy, masy perłowej; *witraż*, nauka komponowania, cięcia szkła, tudzież malowania na szkle; *litografia artystyczna w połączeniu z drzeworytem*, nauka nowych technik litograficznych; *haft*, nauka wszystkich technik haftu, komponowanie ornamentu haftowego i aplikacyą; *emalia; malowanie na porcelanie; wyroby z blachy; wyroby snycerskie* (głębokie) w drzewie i polerowanie; *indyjskie malowanie materyj* (batiks) na portyery, zasłony, pokrycia mebli, wachlarze, parasolki i t. p.; *wyrób papierów wzorzystych* na okładki i tapety. W obu wydziałach wykładane będą: historya sztuki, anatomia, nauka o stylach, teorya ornamentacyi. Opłata szkolna wynosi: za cały dzień miesięcznie koron 30, za pół dnia koron 20. Adres szkoły: ul. Jabłonowskich l. 22. Dodamy od siebie, iż gwoli zaspokojeniu bardzo słusznej ciekawości osób interesowanych, założyciele szkoły powinni byli ogłosić odrazu w swojem zawiadomieniu, kto mianowicie na wydziale sztuki stosowanej uczyć będzie różnych wymienionych tam specyalności.

Genialny malarz narodził się nam. Obwieszcza o tem światu sam pan „Anton Lindner“ w półurzędowym Fremdenblacie wiedeńskim. Nie wymienimy nazwiska tego geniusza, aby go nie obrazić nawet pozorem reklamy. *Er ist jetzt*—powiada p. Lindner—*eine Grossmacht, mit der man paktiren muss.* Gdy się u nas paktować z nim zacznie, nasłuchamy się jeszcze aż nadto jego imienia.

Otwarcie teatru łódzkiego. Mów bez liku, uczczenie raz jeszcze wszystkich t. zw. „ideałów“, toasty blaszanym wier-

szem p. St. Kozłowskiego, zmiażdżenie przez tegoż „Symbolistów“ (rzecz prosta *in effigie*, w naturze to trudniej), — wszystko to zdaje się wskazywać, że nowy teatr będzie *par excellence* instytucyą „zdrowia“. Zaczynamy, zaiste, obracać się w „zaczarowanem kole“ higieny.

Nasze wystawy. Powakacyjną seryę ekspozycyj w salonie *Chimery* rozpoczyna, z d. 1 października, wystawa obrazów (olejnych i temperą) p. *Maryana Wawrzenieckiego*. Trwać ona będzie do 1-go listopada.

Kolej wystaw następnych (zapowiedzianych w N-ach 1-ym i 3-cim naszego pisma, oraz innych jeszcze, które udało nam się pozyskać w ciągu wakacyj, dzięki uprzejmości kilku wybitnych kolekcyonerów)—ogłaszana będzie zawczasu w *Chimerze*. Wstęp wolny. Wystawa otwarta codzień, z wyjątkiem niedziel i świąt, od 11-ej do 3-ej po południu.

Dwa dodatki artystyczne dołączamy do niniejszego numeru podwójnego. Pierwszy stanowi reprodukcya ze wspaniałego rysunku Stanisława Wyspiańskiego, jednego z najpiękniejszych w seryi stworzonych przez artystę ilustracyj do Iliady. Drugim jest odtworzenie wybornej podobizny Juliusza Zeyera, wykonanej przez znakomitego rzeźbiarza czeskiego, Franciszka Bilka. Autorowie obu dzieł należą do najwybitniejszych dziś w Europie artystów twórczych. Dołączone plansze charakteryzują wybornie cechy zasadnicze każdej z tych dwóch niezwykłych indywidualności.



Klisze rysunków wytrawiono w Zakł. B. WIERZBICKIEGO i S-ki, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczem pod kierunkiem L. KOCHANOWSKIEGO.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składali: FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERZAK.
Łamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie KAROL MALINOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.
7, rue des Princes, Varsovie.
Sommaire du N-ro 4 - 5. — Avril - Mai 1901.

TEXTE: J. Słowacki — *Fragments posthumes;* F. Nietzsche — *Was ist vornehm;* J. Kasprowicz — *Salve Regina;* de Villiers de l'Isle Adam — *Axel (suite et fin);* St. Brzozowski — *Choix de poèmes;* W. Garschine — *Attalea princeps;* St. Barącz, Campanella, J. Lemański, C. Lubecki, W. Nawrocki, B. Ostrowska, L. Staff, M. Wikszemski, St. Wyrzykowski, C. Zawistowska, H. Zbierzchowski, M. Zbrowski — *Sonnets;* V. Berent — *Pourriture;* Miriam — *Jean Arthur Rimbaud;* St. Przybyszewski — *les Fils de la Terre;* J. Keats — *Hyperion;* Z. Dębicki — *Tes yeux, tes cheveux, ta bouche;* J. Lemański — *le Lys des étangs. — Revue du mois: Glosses, les Poèmes, Art ancien, Musique, Bibliographie, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: St. Wyspiański — *Apollon;* Fr. Bilek — *Portrait de J. Zeyer.*

DESSINS DANS LE TEXTE — de Dębicki, Hiroshige, Klimt, Korin, Krzyształowicz, Krzyżanowski, Mehoffer, Noskowski, Okuń, Stanisławski, Wawrzeniecki.

COUVERTURE de E. Okuń.

CHIMERA

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) [illegible]

Administracya otwarta codziennie od [illegible]

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	9 rs.	12 rs.	[illegible]
Półrocznie	5 rs.	6 rs. 50 k.	[illegible]
Kwartalnie	3 rs.	3 rs. 50 k.	[illegible]

WYDANIE WYTWORNE

[illegible]

w Warszawie: rocznie 30 rs., [illegible] 15 [illegible] 60 [illegible]

[illegible] 7.50 [illegible]

za granicą rocznie 95 [illegible], 75 [illegible], 80 [illegible]

Cena niniejszego zeszytu pojedynczego [illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

CHIMERA.



TOM II. ZESZYT 6. CZERWIEC 1901
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

TREŚĆ.

№ 6. — CZERWIEC 1901.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Klisze rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczem.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składali: FELIKS DĄBROWICZ i JAN LIPIŃSKI.

Łamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.



Licencyat Torralba.

Licencyat kawaler Eugeniusz Torralba jest to postać w rodzaju Twardowskiego lub Fausta. Legendy o nim w Hiszpanii były liczne i bardzo upowszechnione — choć nigdy się nie powiązały w jakąś powieść zamkniętą i jednolitą. Literatura szczególnym sposobem mało z nich korzystała; i tylko u Cervantesa znajdujemy krótką o Torralbie wzmiankę. Mianowicie, w opisie podróży powietrznej na drewnianym koniu, Don Kichot wspomina, mówiąc do Sancza, jak to licencyat w ciągu kilku godzin przeleciał powietrzem z Madrytu do Rzymu i z powrotem; radzi mu przytem, aby oczu nie odsłaniał — i przypomina też, że w pewnej chwili tej wyprawy dyabeł pozwolił Torralbie oczy otworzyć, ten zaś ujrzał księżyc tak blizko, że ręką mógł go dotknąć.

Torralba był postacią historyczną. — Urodził się w Cuence, a w 15-ym roku życia znajduje się w Rzymie, jako paź biskupa Volterry, monsignora Franciszka Soderiniego, który w r. 1503 został kardynałem.

Był to jeden z tych ludzi uniwersalnych, w jakich obfituje wiek Odrodzenia. Pożądliwie studyował wszystko: literaturę, filozofię, retorykę, fizykę, politykę, astrologię, medycynę, moralność, magię i teologię — i w młodym wieku zasłynął jako uczony. Duch niespokojny, umysł badawczy, wyobraźnia płomienna, ruchliwość niepospolita — popychały go do ciągłych podróży, wypraw, badań, przygód. Jeździł nieustannie z kraju do kraju, z miasta do miasta, z akademii do aka-

demii; słuchał różnych uczonych i nieuczonych, śledził walki religijne i filozoficzne swego czasu; oddawał się czarnoksięztwu, był deistą i panteistą, był sceptykiem i katolikiem, był wreszcie sławnym graczem, pojedynkarzem, awanturnikiem i poszukiwaczem przygód miłosnych, nie przestając być nigdy rycerzem.

Tak się mniej więcej przedstawia jego żywot aż do chwili, kiedy go święte oficyum uwięziło i skazało na śmierć przez spalenie. Głównym motywem jego uwięzienia był stosunek z pewnym upadłym aniołem imieniem Zakiel. Postać tego ducha nadała później romantyczno-legendowe tło opowieściom z życia Torralby.

Pan Cayetano de Alvear (w przedmowie do poematu Campoamora) — opowiada o nim niektóre luźne fakta, wzmiankując je o tyle tylko, o ile mają związek z poematem.

Uzyskawszy stopień licencyata, Torralba prowadził wielokrotne rozprawy z doktorami, w których okazał się sceptykiem i doszedł w końcu do pyrronizmu.

Śród jego przyjaciół był pewien dominikanin fray Pedro, który miał na usługach anioła, z rodzaju dobrych duchów, imieniem Zakiela.

Przez fray Pedra Torralba zawiązał stosunek z Zakielem, który odtąd czuwał nad licencyatem.

Gdy raz niejaki Silva de Salcedo namawiał Torralbę, aby razem pójść na zabawę za miasto, Zakiel Torralbę powstrzymał od tej wycieczki — i oto na drugi dzień doszła go wieść, że Salcedo został zamordowany.

Innym razem anioł przez Torralbę uprzedził kawalera Pedro Margano, że, gdyby Rzym opuścił, zostanie zabity. Margano nie usłuchał i zginął rzeczywiście.

W tym samym czasie przebywała w Rzymie dama hiszpańska La Rosales, *którą nawiedzała nocami zmora w postaci widma o trupim wyglądzie; zdaniem chorej był to duch jakiegoś zabitego; nie mógł sobie dać rady z tą zmorą czuwający nad łożem hiszpanki doktór Morales. — Kardynał de Santa Cruz wezwał Torralbę dla zbadania tej sprawy; Torralba zaś udał się o pomoc do swego demona.*

W r. 1519 Torralba z przyjacielem swym don Diego de Zuñiga jedzie do Hiszpanii — i w czasie tej wyprawy daje się poznać jako czarnoksiężnik i wróżbita. W Barcelonie zatrzymał się w domu kanonika Juana Garcia, który go wtajemniczał w chiromancyę i sztukę wygrywania w kości.

5 Maja t. r. uwiadomił Torralbę Zakiel, że miasto Rzym będzie zdobyte przez cesarza. Owóż Torralba pragnął widzieć te wy-

padki — i Zakiel na jego prośby uniósł go do Rzymu; w godzinę później byli przy ulicy Torre de Nona.

W półtorej godziny potem stanął w Valladolidzie z powrotem i opowiadał wszystko o konetablu Burbonie i uwięzieniu papieża w Sant Angelo. Gdy po niejakim czasie wieści te dosłownie się sprawdziły— uważany był powszechnie za czarownika, oddanego piekłu.

Ostatecznie don Diego de Zuñiga zadenuncyował swego przyjaciela przed świętem oficyum — i oto w r. 1528 Torralba wtrącony został do ciemnicy Inkwizycyi. Rozprawa i śledztwo trwały blizko trzy lata. Początkowo badano go tylko z powodu jego związku z Zakielem oraz z powodu czarnoksięztwa; później przypomniano dawne dysputy, a także pytano go, jak uważa Zakiel naukę Lutra i Erazma.

D. 6 Marca 1531 r. ogłoszono wyrok. Torralba zginął na stosie jako czarnoksiężnik, zaprzedany złemu duchowi, oraz jako heretyk i bezbożnik.

Z tych pojedyńczych, oderwanych kamyków stworzył Campoamor swój przedziwny poemat. — Znajdujemy tu wszystkie nazwiska, jakie utrwaliła legenda: La Rosales, fray Pedro, Juan Garcia, Silva de Salcedo, Pedro Margano, Diego de Zuñiga — wszystkie te postacie związał poeta i w nader umiejętny sposób otoczył niemi swego Torralbę, swego Fausta hiszpańskiego.

Ale jako prawy hiszpan, Faust - Torralba jest w znacznym stopniu Don Juanem, i, w istocie, głównym przedmiotem jego trosk, walk i całego weltschmerzu jest kobieta, La Rosales. Z niej to wywołał Campoamor wdzięczną niezmiernie postać Kataliny, wcielenie piękna, kłamstwa, zdrady i ambicyi niewieściej. Głównym zaś kierownikiem spraw Torralby, towarzyszem jego grzechów i majaczeń — jest ów bajeczny Zakiel, anioł upadły, któremu autor bardzo szeroką wyznacza rolę.

Uważny czytelnik zrozumie, że pod postacią Kataliny — nie tylko miłość i kobieta występuje; że autor usymbolizował w niej liczne trwogi i rozdwojenia duszy ludzkiej: ducha i ciało, ideał i materyę, złudzenie i rzeczywistość. Dosłownie jednak rzecz biorąc, Torralba — od początku do końca — żyje dla Kataliny i przez Katalinę: wierna czy zdradna, oddana aniołom czy piekłu, obecna czy nieobecna, żywa czy umarła, jako duch subtelny czy jako ciało bez ducha, (sztuczna muliercula) — zawsze jest ona w nim i przy nim. Dla niej poszedł do piekła i dla niej ginie umęczony.

Campoamor, jak widać z planu poematu, nie zamierzał wcale napisać rzeczy historycznej; owszem, z lekka jeno dotyka anegdot pojedyńczych i, użytkując nazwiska przez legendę pozostawione, cale in-

ne znaczenie im nadaje. Oddany swobodnie wyobraźni, roztoczył niezwykłe jej czarodziejstwo po całem swem dziele — i prawie ani jednego wiersza w poemacie niema, któryby nas nie uderzał jakąś wyjątkową myślą, zwrotem, obrazem. Ton poematu, swobodny i kapryśny, przeskakuje od powagi do humoru, od cynizmu do rozpaczy, od brutalnej rzeczywistości do niezgłębionej mistyki. Przy całej tej swobodzie, Campoamorem kieruje ścisła, jasna logika geniuszu łacińskiego. Chociaż czasami dzwoni nam w uchu jakby głos Heinego albo Fausta Goethego (zwłaszcza ton Mefista), — w gruncie jednak mamy tu humor Cervantesa, ale przegoryczony zwątpieniem i ciężarem licznych rozczarowań. Czasami przypomina się Wolter, czasami zda się nawet, że Arystofanes do nas przemawia: światy całe umie autor brać za motyw swego dowcipu.

Czytelnik sam oceni piękno i wytworność poematu, który staraliśmy się, ile można, najdokładniej oddać po polsku.

A. Lange.

PRZEDMOWA.

I.



osłuszny radzie twojej, miły bra-
[cie,
O Torralbie ci śpiewać będę, li-
[cencyacie.
Czciciel starego Pirrona sofisty
I mąż biegły w medycynie —
Otchłanne zgłębiał on pustynie
Tej siły bezimiennej — treści by-
[tu czystej —
Która panuje nad tem, co mę-
[drzec nazywa
Imieniem materyi wieczystej,
Co wiecznie do tych źródeł wra-
[ca, zkąd wypływa.

II.

Uczył się wiele, dobrze. Lecz powoli oto
Poznał — na urąg mądrości człowieczej —
Że, gdy zwątpienie mózg mu napełnia ciemnotą,
Zbytek wiary w nim budzi obłęd nic do rzeczy.

Osłupiały scholastyki ciężarem,
Porzucił dla miłości teologię biedną,
A z fizyki — jak wszyscy — wiedział tylko jedno,
Że słońce — zbudowanym dobrze jest zegarem.

III.

Torralba miał — wzorem Sokrata —
Opiekuńczego ducha przyjaciela:
Nie człowieka, lecz raczej anioła z za świata,
Co, chociaż imię nosił Ezechiela,
Dla dźwięczności w Zakiela się zmienia.
Duch opiekuńczy, piękny, złotowłosy,
Leniwy był do drogi, co mu szła w niebiosy
W przyszłej godzinie winy oczyszczenia.
Gdyż był on z niebios na ziemię strącony —
Ale, wbrew wyroczni objawionej,
Ten anioł śmiało twierdził i ze śmiechem,
Że tylko wówczas lenistwo jest grzechem,
Gdy inny grzech z nim złączony.
I razem pragnął ten duch buntowniczy
Dać światu jasne dowody,
Że za nic sobie anioł-artysta raj liczy —
I raj porzuci dla twarzy dziewiczej,
Gdy ona warta więcej niż rajskie ogrody.

IV.

Umarła raz dzieweczka, zazdrosnych róż strapienie,
I o przedświcie, gdy miesiąca błyski
Zmieniają jeszcze rzeczy w widziadlane cienie, —
Aby ją unieść do Boga z kołyski

Czterej anieli
Z nieba spłynęli,
Ujrzeli ją, ucałowali —
I wnet chór anielski płynie
Z duszą dzieweczki ku niebios wyżynie,
Lecz z czterech niebian w górę tylko trzej wzlecieli.
Gdy zaszumiał ten skrzydeł szelest rozpostarty,
Którego żadne słowo nie opisze,
Dla jego niestworzonej cudowności, —
Gdy, wchodząc w krain niewidzialnych ciszę,
Rozpłynęły się niebiany
W błękitności powietrznej:
— Zakiel anioł czwarty,
Nadmiarem bezbolesnej znużony błogości,
Jakąś kobietę ujrzawszy w ogrodzie,
Przystanął zatopiony wzrokiem w jej urodzie —
I zapomniał nieba Elizeów — —
Gdyż anioł ten miał to do siebie,
Że umierał z smutku w niebie,
Dla braku rzeźb i muzeów!
To też, gdy zapragnął potem
Przez bramę rajską w niebo iść z powrotem,
Surowy rzecze mu głos, chociaż drogi:
— „Żeś nie gorliwie pełnił służbę oznaczoną,
Nie wejdziesz nigdy za niebieskie progi,
Lub wejdziesz z drugą duszą odkupioną.“
I odtąd Bóg Zakielowi
Pozwolił żyć swobodnie, do wyboru —
Na ziemi — czy też śród piekieł pustkowi,
Co wychodzi na jedno, choć różne z pozoru.
Już więc tu, już tam — bujał podług chęci:
Raz jako anioł w szatach czarnego koloru
I w płaszczu purpurowym; lub gdy go to nęci,
Dyabłem się staje; czarny kładzie płaszcz na bary

I czerwone szarawary,
I tak po ziemi lata.
A przygód zawsze będąc głodnym —
Towarzyszył bezbożnym i niewiarogodnym
Postępkom kawalera Torralby-licencyata,
Co w hazardownych grach tracił pieniądze,
A życie swe roztrwonił na miłostek żądze.

V.

Torralba, aż do wieku dojrzałego,
W miłości obyczajów był nieco pogańskich,
A wiedząc od osób bardzo chrześciańskich,
Że każdy patryarcha — był to Don Juan siwogłowy,
Często mawiał temi słowy:
— „Położywszy piękność na szali,
Bóg i czart o mą duszę grali,
I dyabeł wygrał ją na szczęście moje!“
A zatem, widząc, że na ziemi
Nauka daje tylko wieczne niepokoje, —
Z oczami wiecznie drwiącemi
I szyderskiem obliczem,
Śmiało chorągiew rozpościera,
Z której odwieczna dewiza wyziera,
Głoszona jeszcze przez Sardanapala:
— „Jedz — pij! Korzystaj z chwili! Niech się toczy fala—
Bo to jest wszystko, a reszta jest niczem!“

CZĘŚĆ PIERWSZA.

KOBIETA.

Pieśń pierwsza.

KOBIETA KOCHA ANIOŁA.

I.



edy, od uprzykrzenia nieba wy-
[zwolony,
Zakiel na ziemi kochał jak sza-
[lony,
Choć — podług Owidyusza — kto
[za wiele kocha,
Ten jeszcze nie kocha ni trocha.
A wszystko szło mu nie trudno.
Więc dnia owego, co na krań-
[cach wschodu
Zabłysnął zorzą, tak jak nigdy
[cudną,
Kiedy w rozświcie porannego
[chłodu
Zakiel, z anielską trójcą służby
W lotach miał stanąć już nad horyzontem, [bożej,
Spostrzegł inną dzieweczkę, rzekłbyś, siostrę zorzy,
W ogrodzie, który nieba zdawał się zakątem.
Co za kobieta! Toż kwiaty,
By uczcić cudne śniegi i szkarłaty

Tej kastylskiej krasawicy,
Złożyły w kwietniu u jej okiennicy
Wieńce wijących się róż i wonne granaty.
I widząc na tej cudnej twarzy
Źrenice, co jej oczy — rzekłbyś — pożerały;
I widząc, w blasku, co się na licu jej żarzy,
Że oczy jej krąg twarzy pożerają cały:
Z rozkoszą a niepewnym stąpał krokiem
Anioł — wobec tej wiosen czarodziejskich córy —
I tak się zachowywał, jak człek bylektóry,
Stojąc z otwartą gębą i otwartem okiem.

II.

Gdy Zakiel w myśli tak waży
Formę nieokreśloną
Tych lotnych brózd na jej twarzy,
Co w uśmiechu i gasną i płoną:
Oczy dziewicy dostrzegą —
Zlaną jakoby z blasku niebieskiego lśnieniem —
Postać człowieka, to jest, anioła bożego,
Co zeszła niby wiatr i z wiatru tchnieniem.
Ujrzawszy przed sobą młodzieńca,
Co zda się jako dusza w modłach nieustannych,
Katalina, w purpurze rumieńca
Świeższego od róż wiośnianych,
A której skronie, w girlandach rozwianych,
Lotna fala warkoczy okręca:
W tył przechyli złotem wieńczonego czoła
Na powitanie anioła,
Który stał przed nią, jasnowłosy i uroczy,
Okrągły i pyzaty, i bez brody zgoła.
A czując w wianiu wietrzyka,
Że ją anielskich skrzydeł szmer dotyka,

Wstydliwie zamknie oczy —
I tajemnicą siebie i myśl swą otoczy.

III.

O miłości rozmawia tych aniołów dwoje,
A tak ich mowa zda się promienistą,
Jak kiedy z prawdą przeczystą
Świat odbijają srebrnej wody zdroje.
Młodocianym zaś duszom owym towarzyszy
Sumienie, pełne ciszy,
Piękność, młodość i niewinność —
Trzy rzeczy dziwu godne i podziwiane! —
Podziwiać musisz, niby zjawienie świetlane,
Tę uczuć nieziemskich czynność
Dzieweczki i pacholęcia,
Co o tajnikach życia nie mają pojęcia
I, kochając, jak ludzie kochać nie zdołają,
Miłością, której ziemi nie potrzeba,
Są jak dzieci, co ledwie rąk swych dotykają,
Są jak kwiaty, spadłe z nieba. —

IV.

I cóż te drogie istoty,
Które związał miłości czystej promień złoty?
Jeszcze się im po przez zmysły
Nie ujawniała dusza na ten byt zewnętrzny —
I zdał się spokój ich radości wdzięcznej
Jak uśmiech dwóch aniołów, co we śnie zawisły.
Ci, co ich uśmiech widzieli,
A dźwięku słów nie słyszeli,
Nie słysząc odgadywali,
Jakie wiedli rozmowy ci duchowie biali.

A widząc tak niezajęte
Wargi — świeższe niżeli róże rozwinięte —
Łatwo pojmiesz, że Zakiel razem z Kataliną
W boskiej niewiadomości rzeczy sercem płyną.
I tak czysta — pieszczota nasyca
Dusze ich, wszelkiej myśli pozbawione nizkiej,
Bowiem, kochając, anioł i dziewica
Są jako dzieci, igrające śród kołyski.

V.

W zmysłach, gdzie miłość w pożar się rozwija,
Trwa to, co ziemskie; mija to, co wieczne.
Lecz w duszy, gdzie zagoszczą uczuć skry słoneczne,
Trwa to, co wieczne; co ziemskie, przemija.
Nad rozkosz — duszę czystą, półdziecięcą
Bardziej niewinność oraz piękność nęcą;
I dla tego miłości ekstaza i chwała
W życiu zapomina ciała.
To też, śród ciszy niewypowiedzianej,
Miłość swą powiadają sobie te niebiany
Słowy oderwanemi, czystemi, zimnemi —
I wierzą, że kochanek jest anioła wzorem,
Który codziennie spływa niebios torem
Z modlitwą bożą ku ziemi.

VI.

Ale że niemasz miłości na świecie,
Której starczy powietrze i pachnące kwiecie,
Nadszedł — któżby to wróżył? —
Moment ponury
Godziny, w której
Miłości świętej zapach serce znużył.

I gdy raz kochanek i kochanka,
Śród zapomnienia, co im gore w łonie,
Stali w oknie, w promieniach innego poranka,
Podobni kwiatom na gazonie, —
Torralba z uśmiechem złej wieści
Spogląda na tę pracę bożą
Duszy, co drugą duszę pieści:
Widząc zaś, jak anioł Katalinę
Oblewa spojrzenia zorzą,
Przeczuwa już swą godzinę.
Licencyat, pewny siebie, wielce umiejętny,
Rozumiał to, że Zakiel, do dziecka podobny,
Chociaż dla oka nadobny,
Musiał każdej kobiecie być po czasie wstrętny.
Więc porwawszy jak za łeb swojego demona,
Torralba, ten katolik-poganin, co święte
Kochał, gdy miały ciała pięknie rozwinięte
I foremne łona, —
Przez spojrzenia swe zachłanne
Pragnie Zakiela spędzić jak prostaka,
I spoglądając zuchwale
Na piękną pannę,
Chce, by zapadła w niepamięci fale
Tych dwojga niewiniątek miłość zbyt nijaka.

VII.

Gdy więc on rzuca na nią spojrzenie ogniowe
Z jakąś szczególną namiętnością w oku,
Ona w rumieńcach wraz odwróci głowę:
Ach, naturalny wstyd w piętnastym roku!
Lecz czując wnet nieuchwytne
Miłosnych obłędów drżenie:

Dotąd zimne i błękitne,
Oczy jej zwolna rzucają płomienie.
I bez wątpienia nadeszła ta chwila,
Że, choć Zakiela jeszcze kocha,
Na widok spojrzeń Torralby już trocha
W stronę się innej fortuny przechyla.
I choć w nieświadomości, złudzona pozorem,
Sądzi myśli swych kryształem,
Że świat ten jest klasztorem,
A miłość znów panieństwem doskonałem:
Przecież marzeniem swojem upojona,
Pośród człowieka stojąc i anioła,
Już waha się strwożona:
Bowiem, nędzna materyo! gdy miłości lenne
Ciało i dusza walki toczą zmienne,
Dusza mówi: precz! a ciało: dalej! woła. —

VIII.

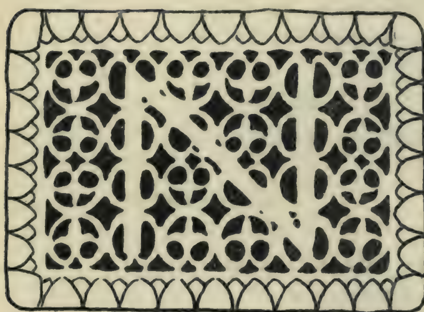
I poszła dalej. Właśnie kiedy odwracała głowę,
Było w niej coś, jakbyś miał przed sobą królowę —
I rzuci Zakielowi spojrzenie surowe.
I w dzień ów zamarł, zimnym lodem ścięty,
Kwiat miłości anioła i świętej.

IX.

Rzecz naturalna. I niejeden — wierzę —
Słusznie będzie tego zdania,
Że kobieta ze smakiem — mając do wybrania
Anioła czy człowieka — człowieka wybierze. —

Pieśń druga.
KOBIETA PORZUCA ANIOŁA DLA CZŁOWIEKA:

I.



awet Herkules uczuć nie [przeważy —
I próżna to czasu strata,
Że o spokoju się marzy,
Gdy serce ranne miło- [ścią kołata
I jak chleb rośnie od [drożdży fermentu. —
Od fatalnego momentu,
Gdy Torralbę ujrzała piękna Katalina:
Pierwszy raz gorzeć dusza jej zaczyna
Ogniem płomiennego zamętu.
Torralba był z tych ludzi z zuchwałym polotem,
Co, gdy im nie dać czego, sami sobie biorą,
Którzy, żon cudzych nazwodziwszy sporo,
Mężom je dla uciechy oddają z powrotem.
Człowiek ten bez czci, duch z głazu,
Z księżego seminaryum wyszedł bezbożnikiem.

Wyprowadziwszy zepsuta ta dusza,
Że sumienie to widmo czyste i katusza,
Konsekwentnie je rzucił w otchłań mórz odmętu,
By zmniejszyć sobie ciężar żywota okrętu.
Głodny fortuny na drogach istnienia,
Nic nie bacząc na środki, zacne czyli zdradne,
Wciąż swe pojęcia moralne odmienia,
Zasię, że jedna prawda ludźmi włada,
Jak każdy, co religie bada,
Na końcu drogi ocknął się bez żadnej.

II.

A Zakiel — któż wie? W sposób tajemniczy
Uszedł do piekieł, pożarła go rzeka;
Nie chciał on sprawić dziewczynie goryczy,
Gdyż nikt nie wie, jak bezdenny
Jest owy ból bezimienny,
Co nawet najczyściejszej kobiecie dopieka,
Gdy spotyka anioła — szukając człowieka.

III.

Torralba był doktorem w faktach wiedzy ścisłej,
Lecz też poetów czytając utwory,
Nieraz hultaj pił likwory
Snów nieśmiertelnych i wieszcze zamysły.
Gdyż namiętność w przedmiocie swego uwielbienia
Nigdy istnej pobudki swych czuć nie uchwyci —
Rojąc, że słyszy śród błyskawic drżenia
Rytm falującej kibici.
Odkąd się więc Torralba pogrążać zaczyna
W niebiańskiem żądzy męczeństwie,
Objawia mu się piękna Katalina

Wpierw bez szaleństwa — w czystości, jak kwiecie,
Potem zaś bez czystości, a w czystem szaleństwie.
Dobrzem rzekł — bez czystości. Bo w miłości świecie,
Nikt z grubych uciech nie ustąpi,
Gdyż człowiek jest pół dyabłem, a niejeden przecie
Całego dyabła zastąpi.

IV.

Torralba młody był i kochał życia soki,
Pragnął więc bez odwłoki
Śpiesznie przejść drogę, kędy rozkosz się wysysa, —
I jak od Abelarda niegdyś Heloisa
Metafizyki poznała doktryny,
Tak był Torralba mistrzem Kataliny.
Uczył ją więc (chytra zasada), —
Że miłość w samem niebie jest nieba stolicą —
A wierna tej nauce może stać się wprędce
Wielką grzesznicą,
Która za wabia cnotę ma na wędce. —
Mędrzec dziewczynie wykłada,
Że doświadczenie wszystkiego nas uczy:
I że teorya nigdy nie wybada
Niewidzialnych, zjawiska plątających kluczy.
Ona już wie, że kochać — to igrać z płomieniem,
A śledząc filozofii treść z zaciekawieniem,
Poznała tylko — jak świeckie osoby —
Że wzniosły grek Pitagor lubił wielce boby.
Chociaż duszę Torralby sceptycyzm zalewa,
Jeżeli mam rzec prawdę bez żadnej ozdoby,
Wątpił o swem zwątpieniu — a powiadam szczerze:
Niźli wierzący, ten mocniejszy w wierze,
Kto o swych zwątpień prawdzie powątpiewa.

To też licencyat, ucząc swą dziewczynę,
Zwolna ją wtajemniczał w doktrynę
Szkoły miłosnej z Ewinej epoki,
Gdyż dla Torralby pewnik to głęboki,
Że lepiej widzą ręce niźli oczy —
I wierzył, tak jak Koran oraz giaurów krocie,
Że nie jest bardziej żaden raj uroczy
Nad Mahometa raje.
A więc już, nauczona przez niego, wyznaje,
Że życie — jest to miłość w wiecznym kołowrocie,
I choć jeszcze się kryje, już ci śmielej gorze,
Niźli panienka chowana w klasztorze. —
Ja, co uwielbiam dusz niewieścich kwiecie,
Wiem, jak są ich objawy powikłaną rzeczą,
Gdyż osiem kobiet jest w każdej kobiecie,
A śród nich jedne cztery drugim czterem przeczą.
Bez niewinności miłość złą jest sprawą,
Lecz doświadczenie wierzyć inaczej nas zmusza —
I człowiek wielkim jest niemrawą,
Gdy tej prawdy nie odkrywa,
Że w życiu wszystko porywa
Owa tajemna siła Lukrecyusza,
Którą Bossuet Opatrznością nazywa.

V.

Zmieniła Katalina miłość swą nietrwałą —
I również płci jej cechy się zmieniają
Od dnia potopu, gdy Moncayo
Podwodną jeszcze była skałą.
I wciąż zmieniać się będą, przez wieków kolisko,
Póki bezbrzeżne oceanu fale,
Równając doliny i hale,

Gdy czas popłynie w jutra nieskończone dale,
Znów nie zmienią Kastylii na morskie łożysko.

VI.

Ciężar to wielki dla naszej czystości,
Kiedy miłość w niej zagości.
Rzekłbyś — dusza wyszła z ciała,
Do głowy bije pożarem krew cała!
Pani, pod której władzą stoi ludzka trzoda,
Przeważając ciała nędzę,
Każe nam spełniać swoich obowiązków przędzę:
Racyonalna zawsze przyroda. —
Dla Kataliny błagam łaski bożej,
Gdyż dziś zobaczymy w zorzy
Snu, co dziewczynę trwoży,
Jak to dusza nasza płonie
Ku brutalnej pragnień stronie.
Gdy więc mężczyznę zoczy,
Ku równikowi z bieguna poskoczy
Myśl dziewczyny czystej,
I naturalnie wnet ją stoczy
Płomień miłości ognistej. —

VII.

Chociaż tak skromna,
Od pragnień nieprzytomna —
Sięgając w rzeczy głąb' za ich osnową —
Do tej mądrości dochodzi stopniowo,
Że zna jedynie chwałę doczesną, zmysłową.
I — jako każda dusza gorejąca —

Słucha dziewczyna
Prawa, o którem Cycero wspomina,
Że ogarnia czasy i słońca.
Ach, Katalina zawini,
Lecz czyliż nie to
Cyterejska matka czyni,
Która, jako bogini,
Jest śród kobiet kobietą, najbardziej kobietą.
Jedyna, wieczna pani, tyś królowa-żądza,
Co wszystkiem rządzi oraz wszystko roznierządza,
Ty na ziemi i w niebie — w jednakim wciąż wzorze —
Budzisz niepowstrzymany pęd rozkoszy wiecznej,
Odkądeś pogrążyła w olbrzymiem jeziorze
Płodnego pyłu — cały ten świat podsłoneczny
W dniu, gdy jak powódź obfita —
Przecięła szlak drogi mlecznej
Mlekiem swej piersi boska Afrodyta.

VIII.

Zakiel, raz porzuciwszy piekielne otchłanie,
Wypłynął na szczyt pewnej góry,
I opuściwszy wierzchołek ów, który
Nosił na sobie śniegi z pierwszych dni natury,
Zstąpił — i oko w oko przed Torralbą stanie,
Wyprostowany, na granitnej skale.
I śmiał się urągliwie, ponuro, zuchwale,
Usta na wyraz pogardy złożywszy.
Przeodziany za biesa, miał już przekonanie,
Że w miłości rabować — to kodeks najżywszy.
I skrzyżował ręce na łonie —
Klnę się! woła, zemstą płonie.
Ujrzawszy zaś, że dyabeł jest w niej zakochany,
Zmienna dziewczyna —

W której już nieco zczerniał pierwszy duch świetlany —
Nowe roić sny zaczyna.
I raz jej taki sen przyniosły nocy cienie,
Co życiu jej całemu nakazał milczenie.
Owa zła wyznawczyni Chrystusa
Już czuje, jak ją nęci ta pokusa,
Że w krótkim życia ludzkiego oddechu
Podwójną jest rozkoszą upojenie w grzechu.
I bez pamięci porwana
Miłości żarem i szałem,
Przez dyabła znów oczarowana,
Ten dylemat wyznawa swoim ideałem:
Nic lub wszystko! Zasada bohaterom znana. —
Czy to możliwe, Boże? Znów odmiana?
Więc — na urąg swojej chwale —
Za kochanka przyjęłaby nawet szatana?
Jeśli tak — spójrz w bezdenne zmarłych wieków dale!
Śród dziejowych podłości na karcie żałobnej,
Zaiste, okropności nie znajdziesz podobnej!
Przecież ta rzecz okropna jest możliwą rzeczą —
I ci, co miłej płci złorzeczą,
Nieraz przypomną, jak w słowie zawziętem
Woła wielki poganin, zwany Pawłem Świętym:
Że kobieta jest Boga albo czarta zgoła —
Nigdy zaś nie jest człowieka — i nigdy nie jest anioła.

Pieśń trzecia.

KOBIETA PORZUCA CZŁOWIEKA DLA DYABŁA.

I.



ciałem naszem
[złączone—żyje w nas
[gorące
Pragnienie żądz
[burzliwych:
A jako życiem
[wszechrzeczy jest
[słońce,
Miłość jest duszą życia
[istot żywych.

II.

Zakiel w przygodzie swojej — wyuczony
Przez samego ojca mroku —
Zeszedł z wierzchołka góry uśnieżonej,
Co jedno zimę zna z wszystkich pór roku. —
Przemienionemu w biesa już się niepojęta
Zdaje ta sprawa,

Że na ołtarzu święty oraz święta
W niepokalanej miłości zostawa.

III.

Gdy więc Zakiela w kształcie bóstwa grzechu
Ujrzała Katalina,
Na widok gorzkiego uśmiechu
Śród tej anioła upadłego twarzy,
Już w niej pokusa boska grać zaczyna
Rozkoszy, jaką owoc zakazany darzy.
I cała już miłości oddana zaciekle,
Świadczy — rzekłbyś — oślepiona,
Że czartowi upadłszy w ramiona
Znajdzie niebo nawet w piekle. —
I widzi — w szybko rosnącym bezwstydzie,
Że podwaja swą rozkosz, kiedy się oddala
Od Zakiela — i właśnie za Torralbą idzie;
Gdy zaś porzuca człowieka,
I serce swoje dla czarta rozpala,
Potraja się w niej życia samowiedna fala.
I choć was zadziwienie czeka,
Powiem wam, że dziewica tutaj opiewana,
Porzuciwszy anioła niegdyś dla człowieka,
Wkrótce człowieka rzuci dla szatana. —

IV.

Jednego dnia, w one miesiące,
Gdy goreją piasków łoża
I gdy afrykańskie słońce
Płomieniem oblewa zboża:

Duch jej, powstrzymywany
W zaciszy ukochanej
Miłości swojej czystej,
Jak Cezar wreszcie w stanowczej godzinie
Rubikon wstydu przepłynie. —
Zakiel — wniosek oczywisty —
Przysiągł to sobie — i sposobów szuka —
Że po powrocie z piekielnej bezdeni
Katalinę w zupełną kobietę przemieni.
Bo matka jej to córa, ona zaś to wnuka
Andaluzyi, tej ziemi, co się wciąż płomieni,
Co nawet — zimą uśnieżona —
Niepokoi ukryte w jej głębi nasiona.
A przytem pewnik to niezaprzeczony,
Że ślepy bieg rzeczy nęci,
Naprzód w otchłań miłości, potem niepamięci,
Duchy, co dumnie kroczą, niby święci,
Pod ciałem z gliny licho wypalonej.
I niemasz twierdzy ni tarczy,
Co na ochronę czystości wystarczy —
Duszy, co w głębiach na poły już leży,
Silniejszy bowiem popęd przyrodzony
Od wszystkich świata żołnierzy.

V.

Miłość bez ładu jest to grzechu sidło —
Lecz ileż razy, cierpieniem złamane,
Ono niebo, co kładzie wędzidło
Na stworzenie wszystko rozkiełzane, —
Ku dobru wiedzie nas, gdy rozwiązuje
Nieporządek, który porządkuje
Wszystko to, co tak źle jest uporządkowane! —

VI.

Katalina już kocha wzburzona —
I powoli z jej czoła
Opada biała zasłona
Niewinności anioła,
I ducha jej opęta
Ekwatoryalna strefa, płomieniem objęta.
Jak wiele pań, które-m kochał — dziewczyna to szczera
I zacna — i miłować chce sercem wzruszonem
Zacnego również kawalera,
Coby przecież mniej był aniołem, a więcej demonem!
Chcąc ją nauczyć drogą doświadczenia,
Że miłość naturalna — jest mądrości końcem,
Czart, opętawszy ją mocą swych sideł,
Budzi w niej miłość bez anielskich skrzydeł —
I dziewczę wierzy, że bez prawdy cienia
Jest ta namiętność, która nie burzy sumienia.
Zgubiona, która się dotyka
Rzeczywistości; bo w ciele płonącem
Idealizmu ślad znika —
I najprościejsza forma miłosnego aktu
Sprowadza się do życia koniecznego faktu.
Lineusz oraz inni uczeni autorzy
Sądzą, że płodne nasienie
Nawet i w kwiatach budzi miłosne płomienie,
Świadcząc, że miłości tchnienie
Zmienia w zamtuz olbrzymi cały ten świat boży.

VII.

Nigdy słaba nasza dusza
Piękności oprzeć się nie zdoła,

Gdy namiętności przeceniać nas zmusza
Wielki duch przyrody koła:
Starożytny Pan ateusza.
I choć po prawdzie są szaleni —
Mężczyźni i kobiety,
Czcząc swoje własne wewnętrzne podniety,
Rodzaj widziadeł i cieni,
W miłosnych walkach — kto rzecz dobrze zważy —
Rzeczywistość jest sprawy istotą,
A ideał jest kłamstwem bez twarzy. —
Co z błota wstało — wraca w błoto,
A Palmira upadnie w nędzny proch cmentarzy.

VIII.

Niktby pewnie żałoby,
Jaką niesie to życie potworne,
Nie przeżył jednej doby,
Gdyby pomyślał w spokoju,
W jakim wstręcie i znoju
Dusza trwa, kiedy ciału płacić ma komorne!
Patrzcie, jak człowieka w proch wali
Strasznych złudzeń majestat ciemny,
Gdy w końcu zawsze na szali
Dusza nasza mniej waży od gliny nikczemnej!
Świadczcie wy, dobrzy ludzie, coście to widzieli,
Że w tym biegu ludzkiego żywota,
Jeżeli ciało jest najgorszym z przyjacieli,
Duch — to najsroższy despota.
Kiedyż, myślicie, ustaną te waśnie,
Uwiecznione wiarą miłości?
Kiedy umrze ta ziemia, kiedy słońce zgaśnie,
A gwiazdy wrócą do nicości!

IX.

W końcu, kiedy nastanie
Dzień, gorejący
W zachodnich wiatrów orkanie,
Co niesie pył z Sewilli aż na brzeg norweski,—
Naśladując miłości obraz czarujący
Paola i Franczeski —
Płomienne zaślubiny
Z dyabłem Kataliny —
Był to w piekle dramat niebieski!
Kiedy z czystości nieskalanej granic
Jedna dusza pada w brudu siecie —
I cóż się stało? Ach prawie nic a nic —
Jeden żal więcej — jedna niewinność mniej w świecie!

X.

Ponieważ dusza nasza jest w niewoli
Rzeczywistości, co ją znieprawia powoli:
Więc najwstydliwsza i najczystsza miłość
Jest krynicą, co tryska z Edenowej roli,
Lecz która zwolna w piekieł stacza się pochyłość.
O Katalino droga,
Zanimby moja dusza skamieniała
Za zbrodnię czułość twą ci poczytała:
Niechajby przedtem życie moje, z woli Boga,
Wieczysta noc opanowała!
Jeśli potępisz, litościwy Panie,
Miłości biednych Katalin,
W co ten świat się przemieni? Ach, w próżne otchłanie,
W rozwalinę na rozwalinie rozwalin,
W znudzonych dusz ukrzyżowanie!

Pieśń czwarta.
KOBIETA PORZUCA DYABŁA DLA SŁAWY.



I.

zczęśliwsi, w Rzymie, niż
[pomiędzy swemi —
Jeśli poza Hiszpanią szczęście
[jest na ziemi —
Katalina i Zakiel, niby
[małżonkowie,
Przepływali bez wahania
Pole uciech, gdzie władną
[ziemskie pożądania,
Jako książęta z koroną na
[głowie. —

II.

Lecz, jak wiadomo, miłość nasycona
Jest to miłość utracona.
Stanąwszy zatem na miłości kresie,
Spotrzega panna, że twór, co ją pieści,

To dyabeł o formie niewieściej —
I niezbyt słusznie widząc tylko nikłość w biesie,
Ma dlań jedynie pogardy oznaki.
Zasię poznawszy śród ziemskiego ludu,
Że tyle złym, co dyabeł, jest człek bylejaki, —
Oto wreszcie nie bez trudu
Postawiła wniosek taki:
Że człowiek — jest to bies lepszej odmiany,
A dyabeł — człowiek nieudany.

III.

Że Katalina miała piękne lice,
Więc ją rywalki jej, rzymskie dziewice,
Przezwały Różą lub Rosą —
Potem jeszcze przydomek Rosales jej niosą.
A ponieważ zaćmiewała
Najpiękniejszych dziewic grono,
Jej piękność wywoływała
W chłopcach żądzę, w dziewczętach zaś zazdrość zieloną.
Nikt nie znał trosk Kataliny,
A ponieważ i doktór Morales
Zawsze stał przy niej i był dobrej miny, —
Mówili wszyscy na widok doktora,
Że Katalina — lub Róża — lub Rosales
Udawała albo też zawsze była chora.
Tak gawiedź, złośliwa jak hyena,
Nie wie, jaka to nowa Magdalena
Kryje się w Róży — i że, choć nie święta,
Jest to kobieta dobra, co upada,
A potem się spowiada,
I wstaje znowu, grzechu porzuciwszy pęta.

IV.

Ślepi miłością i żądzą zuchwali
O jej dłoń się ubiegali
Don Silva de Salcedo i Pedro Margano.
Równie jest im ukochaną,
A więc z jednaką zasadą
Osaczyli Katalinę
Tą wiekuistą blokadą,
Co każdą piękną osacza dziewczynę.
Choć obaj dla niej żywili afekt serdeczny,
Grzeczny Margano, Salcedo waleczny,
Róża — póki nie ujrzy ich w sławie u świata —
Patrzała na nich taka lodowata,
Jak bogowie z drogi mlecznej.
W stolicy ducha cała się rozwiewa,
Próżność ogarnia ją nauk uprawy:
Jak niegdyś duch jej ciekawy —
Słysząc, co zrobiła Ewa,
Pragnie też ujrzeć węża pośród wiedzy drzewa.
Być może doświadczeniem zmęczona, być może,
Gdy przesyciło ją rozkoszy łoże,
Chce teraz z nauk wyżyny
Poznać wszechrzeczy i treść i przyczyny.
Dość ma miłości — i zawzięcie szuka
Rozkoszy, jaką daje sztuka!...
Albowiem zawsze dziewczyny,
By nie spać same, już od lat dziecinnych
W łoże się kładą z duchami — marzeń coraz innych!

V.

Opieką naprzód otoczona
Kardynała biskupa Volterry:

Róża, w nauce kształcona,
W Rzymie pojęła istność ziemskiej atmosfery.
Przeto — rozkoszą znużona —
W mózgu swe uczucia mieści,
I tak jak wiele kobiet — w głębi swego łona
Talentów żądzę osobliwą pieści.
I oto, nauk mistrzyni,
Z miłością studya czyni
Nad sztuką gocką i bizantyńską,
Nad mową grecką i łacińską,
I — choć niejeden zwątpieniem to przyjmie —
Fray Pedro w astrologii wdrożył ją tajniki,
I poznała, przebywszy ledwie miesiąc w Rzymie,
Że przypływy mórz — to księżyca wyniki.
Katalina upadła. Lecz nie znam imienia,
By określić ten dziwny obłęd, do kaduka!
Kocha anioła, wnet go na człowieka zmienia,
Potem dyabeł ją nęci, a w końcu nauka.
I sądzę (klnę się, jam szczery),
Że — gdy rozważyć te obłędy cztery—
Miłość wiedzy to obłęd najbardziej czartowski,
I wielu znam, co chętnieby pod miecz katowski
Posłali Kadma za to, że wynalazł głoski. —
Wreszcie wiedziała o tem,
Że przez naukę pastuch dosięga tyary:
Gdy więc z miłością złączą się jej czary,
Kiedyś jakiś mąż z polotem
Owładnie ziemi wszystkiemi obszary.
Tak, pychą opętana, gdy ręki użycza
Jednemu czy drugiemu ze swych zalotników,
W myśli swe ich wtajemnicza,
Że — w razie wątpliwych wyników —
Temu, co wyższej zyszcze wawrzyn chwały,
Odda na wieki skarb uczuć swych cały!

VI.

W obu młodzieńcach żądza sławy promienieje.
Jeden więc z nich malarstwo i poezyę śledzi,
Drugi po uszy w teologii siedzi,
Bada moralność i narodów dzieje.
Malarstwu oddał się Margano,
A że we wszystkich formach widział swą kochaną,
Rysował ciągle Katalinę;
Zaś ukochawszy nagość bez osłony,
Malował wciąż natchniony
Epidermę kobiecą,
Tę promieni i żądz mięszaninę;
A wreszcie, choć go chwalą ludzie nieco,
Jako jednego z poetów,
Któremu niegdyś szumiały
Nad Euroty brzegiem hejnały
Wychodzące z oczeretów:
To przecież w końcu znienawidził rymy,
Żądał wiedzy — sztuki zapomniał w obłędzie,
Poznawszy, że zawsze i wszędzie
Ogień pali, a mrożą śnieżne tchnienia zimy.

VII.

Silva się w pilne czytanie zanurzy —
I z dziejów ludzkich księgi krwawej
Wyrozumiał, że pomniki sławy
To na pół klęski a na pół szaleństwa.
I poznał z wielkim żalem Róży,
Że sława na nic nie służy,
I że historya cała człowieczeństwa
To nieśmiertelnych galera.

Co wiedział z moralności, wnet mu w pamięci zamiera,
Że niebo lubi porządek,
A piekło nieporządek,
A ziemia nieporządek uporządkowany.
A gdy z zapałem w arkany
Teologii — duszę wciska,
Pojął, jak traci niebo człowiek niewybrany,
Ale nie odkrył nigdy, jak się niebo zyska.

VIII.

Ostatecznie, przecierpiawszy wiele,
Gdy tak wiosłują łodzią swojej sławy,
Pojęli wreszcie, jak błahe jej cele,
I że, niż człowiek żyjący śród wrzawy,
Ten jest szczęśliwszy, który kocha drogi,
Prowadzące do ciszy zapomnienia błogiej.
A ponieważ z ksiąg poznali,
Że lepszy niebyt niżeli istnienie,
Gdy utracili swe drogie złudzenie
I gdy się o tem przekonali,
Że żaden z nich obydwu nie jest tym człowiekiem,
Co władać będzie duchów jutra wiekiem,
Budząc imieniem swojem wielkie serca drżenie, —
Gdy przecie żar miłości bez zmiany ich rani:
— Zgodzili się, że trzeba iść w mrok śmierci ciemny,
Bo kiedy kocha kto z synów Hiszpanii
I gdy ma umrzeć dla swej pani,
To sam Cyd jak zabójca zda mu się najemny!
I gdy słońce zachodzi mgławą krwi posoką,
Tak, jako w szklance światło się promieni,
Pod wieczór się znaleźli oko w oko,
Koło mostu, u brzegu Tybrowych strumieni.

I obaj z furyą szaloną
Rzucili się jak prostacy;
Nienawiścią ku sobie płoną,
Choć przyjaciele i rodacy. —
A walczyli bez świadków, na ostre szablice,
Jak czynić zwykli hiszpańscy szlachcice. —
Obaj, męże bez trwogi, w miłości rywale,
Czemuż mają osłabnąć w swych ogni zapale?
Salceda i Morgana bowiem w walce wspiera
Gwiazda miłości, co zabija lub umiera.
Baczność! wołają obaj. Kto padnie, kto żywy
Zostać ma — nie wiem. Rzecz ta rozstrzyga się losem.
Może ten, co jest silny; może, kto szczęśliwy.
Toć każda szpada jest z wosku przed ciosem.
Gdy oba miecze wichrem zawirują w dłoni,
Aż widać puls i słychać tętna w skroni,
Silvę żądza popycha dzika —
I uderza w pierś przeciwnika.
Lecz kiedy miłość rzuca krew do głowy
W ludziach szlachetnych:
Ci wspominają ze sztuki krzyżowej
Siłę uderzeń sekretnych.
Zatem waleczny Margano,
Jedną dłoń położywszy nad raną,
Drugą ręką w ruch puszcza swą szpadę
I w Salceda uderzy w jednem mgnieniu zyza —
I między brew a brew zadał mu tę estokadę,
Którą nazwano później uderzeniem Guise'a. —

IX.

W końcu, gdy padli dwaj hiszpanie,
Zjawia się Róża niespodzianie

I, z dwóch stron biorąc ich za ręce,
Patrzy jak cierpią dwaj młodzieńce,
I zalewała ich oczy —
Nie puklami już — falą gęstą swych warkoczy...
Dokoła tchnienia wietrzyków
Rozwiewały włosów jej deszcze,
I ciała obu przeciwników
Przenikały żywe dreszcze.
Na widok tej pięknej kobiety u boku,
Rosła jeszcze ich rozpacz szalona,
Gdy zwłaszcza falowały im w oku
Drżące kontury jej łona. —

X.

A Torralba? Zrodzony w Cuence,
Licencyat nasz ku górze tu w Romie się wspina,
Zdobywając chwały wieńce:
Tak przeczy gadce, co głosi,
Że człowiek, jako roślina,
Traci siłę, gdy z miejsca w miejsce się przenosi.
Przez Zakiela powiadomiony
O pojedynku rywali,
Już zapomniał dawnych żali.
Biegnie do Róży, gotów do obrony,
I kroku przyśpiesza sowicie,
Bo w miłości przedmiotu los ukochanego
Jest ważniejszy nad honor i życie.
Przybył Torralba. Z nim razem Don Diego
De Zuñiga, druh jego, człowiek, co na wszystko
Spogląda z góry, jakby na urągowisko —
Jak pewien łotr, którego pamięć mi przeklętą!
Ranni, widząc z oddali koniuszczkiem źrenicy,

Że zbliża się Torralba ze szpadą wyjętą,
Spojrzenie rzucą mu na zwiady —
Szybsze i płomienistsze od skier błyskawicy!
Widząc już, że Torralba Katalinę
Porwie wnet, jak Pluton Prozerpinę,
Gdy, umierając, nie byli już w stanie
Poruszyć szpady,
Wyjmą sztylety —
I oto ci dwaj hiszpanie
Popełnili crimen *zdrady*
Zasztyletowaniem kobiety.
Chwała miłości! W tym nawet sposobie
Piękniejszą im się wydała;
Bo, gdy miłością duch pała,
Upiększa wszystko, nawet trupa w grobie.
Gdy ujrzą, że na wieczność już skazana mroku, —
Pod naciskiem miłości, co im serce pali,
Każdy ze swojego boku
Zbliża się, umierając, ku drogiej osobie, —
I obaj ją ostatni raz ucałowali.

XI.

Gdy śmierć swej dawnej kochanki zobaczy,
Licencyat zaryczy wściekle,
Jako ryczą dyabły w piekle,
I od tej chwili rozpaczy
Na twarzy jego została
Osłupienia bladość wieczno-trwała.

XII.

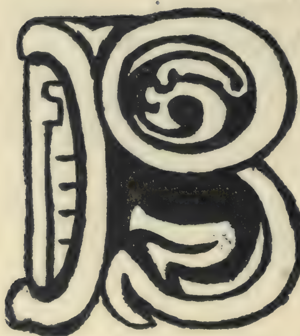
I w tym zamęcie zamętu,
Gdy — pomieszane z Tybrowemi szmery —

Westchnienia, klątwy, echa jęków i lamentu
Rozpłynęły się w nicości etery, —
Wybiegła oczyszczona dusza Kataliny
Z czarodziejskiego jej ciała
I poleciała,
Dawnej miłości swej śladem,
Ku Torralbie, co pierwszy śród mężczyzn rodziny
Uczcił jej piękności dyadem.
I osnuty wędrownym obłokiem
Duszy niewiernej niegdyś swej dziewicy —
Ku najpuściejszej Tybru uchodzi granicy
Torralba, za nieznanym goniąc znów urokiem.
A miesiąc światłem niepewnem i bladem
Na troje zmarłych rzuca blask żałobny,
Sam trupiej głowie podobny.

PRZEŁOŻYŁ
Antoni Lange.

Ramon de Campoamor.

Próchno.



orowski skończył opowiadanie. Powstał z ławki cmentarnej i z głową zwieszoną, od wspomnień ciężką, począł się błąkać między mogiłami. Kunicki nie widział go, nie myślał o nim prawie: człowiek znikł, rozwiał mu się z przed oczu. Miał niemal wrażenie, że oto z jednej z tych mogił powstał trup, dzieje mu swoje opowiedział i wraz z ostatniem wspomnieniem, ostatnie wydawszy tchnienie, zapaść się musiał w mogiłę.

I, myśląc tak, patrzał w kraj pusty i dymny: w długie, smutne szeregi budowli za cmentarzem, w ostre zarysy kominów fabrycznych, wyrastających z za garbów ziemi, jak nagie maszty. Nie było tu zieleni naokół, lecz ostra czerwień murów; zamiast murawy pył węglowy pokrył czarnym puchem faliste ugory. Ludzie tu jakby wymarli, ptak się nie odezwał, wrona nie zakrakała. Maszyny tylko gadały świstkami i suche dzwony zgrzytały. Niemilknący kołat młotów mierzył rozpaczliwie nud-

ny czas, pełzający tak leniwie, jak te rozwłóczone na horyzoncie dymy.

Kunicki spojrzał na Borowskiego i wydało mu się, że w te martwe okolice spadł jakiś ptak z dalekich krajów, trzepocze choremi skrzydłami i dusi się od węglowego pyłu. Nie pytał go, jak teraz żyje. Wszak wiedział dobrze? Znał to życie wielkomiejskie i zaprzepaszczone w niem egzystencye, wegetujące wspomnieniem minionych dni, czepiające się kobiet ostatniem pragnieniem życia.

Długie, smutne kominy patrzały martwo w dal pustą i niemą. Zastygłe i zimne w szarem świetle, kłębiły ciężkie ofiarne dymy żywych i kołaczących maszyn, oraz martwych i niemych ludzi. Dusza tych istot ludzkich, wyklęta precz od pracy, błąkała się pokutna po ciemnych zaułkach i czarnych norach nocy. I wtedy dopiero, gdy maszyny do snu legły, wówczas gdzieś w pomrokach kamiennych, w ciszy umęczonych ciał rozlegał się czasami nagły, straszny, beznadziejny krzyk — budziła się namiętność, buchał płomień duszy.

I gasł.

Pozostawał jeden, dwa trupy i otwierała się nagle przepaść bólu i cierpień. Ale za dnia już zimna, już niema, ziejąca tylko dusznym czadem zgniłych wyziewów. Odżyły już maszyny i zamarli ludzie.—Po niebie snują się rude, ciężkie kłębiska dymów.

„Biedna Zochna!.. Zochna!.. Zochna! — szeptało coś Kunickiemu jakby w takt łagodnego plusku i miarowego szmeru. Tuż nad głową szumiały mu tak druty telegraficzne.

Przypomniały mu się te jej duże, smutne, łzami zaszklone oczy, gdy wczoraj na niego patrzała. Drobne białe ręce zatopiła we włosach, wsparła głowę na łokciach i nie spuszczała z niego oczu. „A ty — zdawała się pytać, — ty, co tak poważnie mówisz, z takiem poczuciem

wyższości, i łagodnie jak do dziecka uśmiechasz się do mnie, — czy ty umiesz kochać inaczej, lepiej, prawdziwiej?" I wryły mu się w pamięć te wielkie, smutne, jakby przestraszone oczy.

Na ciemne szosy wyroił się tymczasem tłum czarny i rozpłynął się strumieniami po drogach i ścieżkach. Ściemniło się. Rdzawe światło przesiąkło kurzawę, zrudziały dymy fabryczne, zasuwała się mgła sina ciężko i powoli.

Ponad ziemią, naokół, wszczęły się jakieś migotania i błyski i wraz z gwiazdami na niebie zapalały się wśród ciemnych budowli chłodne księżyce lamp elektrycznych. Zaroiło się wnet od świateł bladych i ostrych jak stal, czerwonych i drgających jak krew świeżo rozlana, zielonych jak liść wiosenny, wielkich i żółtych jak słoneczniki. I hen, gdzie tylko poprzez wzgórza oko w ciemności wybiegło, kołysały się ponad ziemią wzdłuż szyn kolejowych wieńce, wstęgi i girlandy tych płonących kwiatów zimnej nocy. Zczerniała przy nich ziemia i błyskiem lodu się pokryła, zbielały w tym blasku dymy fabryczne i stanęły nieruchome jako białe obłoki.

Wciąż jeszcze podnieconej wyobraźni Kunickiego wydało się, że oto jeden z tych dymów przyjmuje zwiewny kształt ludzkiego cienia i wałęsa się wśród tych błędnych ogników. I pomyślał, że jej dusza po takim czyscu błąkać się kiedyś powinna, wciąż jeszcze nie chcąc wierzyć, że wszystkie te kwiaty, choć barwne, choć płoną, zimne są i bez woni.

Tuż za parkanem, gdzie wał wysoki, ryknął pod ziemią jakiś potwór, wybiegł z czarnej czeluści wzgórza, trysnął snopem iskier czerwonych, wydał świst ostry i potoczył się po nasypie. Pociąg biegł, kołatał, trząsł, migał smugą oświetlonych okien; raz jeszcze krzyknął nagle i wpadł w drugi tunel.

Szum głuchy po nim pozostał, jakiś pęd i rozmach w powietrzu.

— Jezus Marya! — Jezus Marya, wrócić!

Borowski stał w ciemnym zmierzchu jak krzyż między mogiłami. Za odchodzącym pociągiem ręce mimowoli podniósł i okamieniał jakby w tym ruchu. „Jezus Marya, wrócić! Wró-ócić!..“ już nie jęczał, lecz wył długo i przeciągle.

Kunicki słuchał tego monotonnego skomlenia z niemiłem uczuciem. Podrażniało go to biadanie uparte, nieskończone, niby dziwaczne modły wschodniego muezzina. Teraz dopiero spostrzegł, że legła już noc.

— Panie Borowski, — rzekł dotykając jego ramienia.

— Wrócić na scenę! Wró-ócić!..

— Panie Borowski!— wołał, szarpiąc go za ramię.— Późno już. Noc. Kto słyszał, na cmentarzu!.,.

Powlókł się wreszcie za nim. Już dochodzili do bramy, gdy Borowski obchodzący mogiły kołem, miedzami, potknął się o nizkie, przyziemne sztachety nagrobka i runął na ziemię.

Porwał się sprężyście na nogi i obejrzał po za siebie.

— Ciemno, — mruknął Kunicki, aby coś powiedzieć, — Stłukłeś się pan?

A on przyślizgnął się do niego cicho jak kot i podsunął mu swą twarz tuż, tuż pod oczy.

— Znowuż! — szeptał, owiewając go ciepłym oddechem. — Widziałeś?.. Znowuż przewróciłem się przez mogiłę. Trzecia będzie!

Kunicki schwycił go mocno za rękę i wyprowadził po za bramę.

Szli ciemną szosą pośród długich szop i okratowanych budowli fabrycznych. Tu i owdzie przytrafiała się mała lampka żarowa przy murze. W czerwonem świe-

tle ledwo tlejących drutów obserwował Kunicki jego wielką aktorską głowę o twardem czole byka, dziwnie miękkich, kobiecych prawie ustach i nieco mętnych, przepaścistych zadumanych oczach.

— Trzecia! — mruczał ten od czasu do czasu przeżuwając z grubym uporem wciąż jeszcze tą samą myśl.

— Milcz pan u dyabła! — szarpnął się wreszcie Kunicki. Zmora nocna!

— Bardzo żałujesz mej Zochny? — spytał, nie podnosząc oczu.

Kunicki nic nie odpowiedział. On zaś jakby dla odpędzenia złych myśli podjął machinalnie kamień z drogi i cisnął go przed siebie. Kamień wyrznął gdzieś o bruki, odskoczył, znowu drogę skrzesał, skry rzucił i poszedł dalej, jak po wodzie. Po dwóch zaledwie minutach przycichł dopiero grzechot, zgasła ostatnia iskra.

Kunickiemu zapadła jakby pierś w zadumie. Westchnął raz i drugi.

— Bardzo żałujesz mej Zochny? — usłyszał po raz drugi.

Szli dalej. Przed niemi rozesłała się na chmurach ruda i ciężka łuna wieczornego miasta.

Gdzieś na odległej ulicy wszczęło się jakieś głuche po nocy rojenie. Nagle zerwało się gwałtowne i ostre rechotanie świstawki, potem tętent przytłumiony, nawoływania, krzyki...

Obaj stanęli, ściskając odruchowo laski w dłoniach i probując przejrzeć ciemności.

Lecz naokół znowuż cisza zaległa. Szumiały tylko druty na słupach i hen na krańcach bił młot nocnej walcowni.

Kunicki ruszył z miejsca. Borowski wciąż jeszcze stał i strzygł uszami. Teraz dopiero ocknął się jakby ze

swego zapamiętania: twarz mu się rozjaśniła, oczy zabłysły.

— Znowu zbrodnia! — rzekł z uśmiechem.

— Cieszy to pana tak bardzo?

— Lubię miasto! — i pociągnął nosem jak wyżeł.

A nie otrzymawszy odpowiedzi, zawołał po kilku minutach:

— Nienawidzę miasta!

Kunicki rzucił niecierpliwie ramionami.

— Wie pan, co mi za myśl przyszła!— mówił Borowski po chwili. — Panu poprostu zazdrość tamtego, z opowiadań moich. Panu zazdrość, że tam życie takie bujne.

— Nie bujne,— odparł Kunicki,— ale dzikie, wściekłe życie rozpętanych byków! Biada, gdy się pod te kopyta dostanie — dziecko.

— A jednak ludzie płakali razem ze mną, płakali nad mym zgniłym bólem. Nad pańską cnotą ziewnęliby może tylko. He, panie, — taniusia jest cnota na świecie?..

Kunicki ćmił spokojnie papierosa, a otrząsając starannie popiół, mówił niedbale, jakby do samego siebie:

— Ktoś mówi, że nago mogą się ukazywać tylko bogowie. My mamy dziś wszelkie powody do ukrywania swej nagości.

— Widzisz! — parsknął Borowski i wpił mu się palcami w ramię. — Ukrywać!? — Widzisz, dawniej ludzkie namiętności były życia i pracy ramieniem i młotem. Dawniej i bogowie nie wstydzili się swych namiętności. Dzisiaj są one od biurka, od maszyny precz wyklęte i gdzieś głęboko, głęboko pod ziemią ukryte, aby życiu nie przeszkadzały! Ty dzisiaj nic już o nich nie wiesz... Dzisiaj bogów niema. Ale nawet bogów namiętność stačby się musiała w potępieniu gnuśną, jadowitą, trawiącą.

— Dziś mamy rozsądek.

— Wleźże nim czemprędzej w głąb i wynieś swe namiętności na światło dzienne, aby cię nie pożarły! — Macie rozsądek. A jednak... słyszysz? Oto rozlega się krzyk, straszny, beznadziejny krzyk po nocy! Otwarły się podziemia wasze i cuchną. Zrozumiałeś, kto je otworzył? kto jest bólu waszego krzykiem po nocy? Zrozumiałeś, za co mu ludzie dają łzy swoje, święte i czyste łzy ludzkiej tęsknoty?..

— Deklamacya! zresztą chroniczna, — cmoknął niecierpliwie Kunicki. Otrząsł znowu popiół z papierosa i znowu mówił niedbale, cicho, jakby do siebie tylko:

— Ja panu powiem, kto te wszystkie cuda nocne dokonywa: — biedny, chory człowiek... Zaś koniec, — warto zastanowić się i nad końcem, — koniec będzie zwykły: Ostateczny zanik hamujących czynności woli, — ciesz się pan, będą wizye! — gnuśność, — niech się cieszą kochanki! — apatya i otępienie graniczące ze stuporem, — tu już śmierć zęby wyszczerza!.. I to w najlepszym razie, — kończył i spojrzał bystro na Borowskiego, jakby taksując jego siły fizyczne.

Borowski miał już widocznie gotową odpowiedź, lecz ostatnie słowa zamknęły mu usta. Zaniepokoił się widocznie i zagadnął szybko:

— A od czego to pochodzi! Apatya niby?

— Toż mówię!

Przeżuwał myśl jakąś uparcie, czoło chmurzył. Wreszcie:

— Boję się, — rzekł cichym, szczerym głosem dobrego dziecka. — Boję się apatyi!

I zadrżały mu wargi jak u wrażliwej kobiety.

— Siądźmy, — rzekł nagle i, nie czekając odpowiedzi, cofnął się pod mur i osunął na jakąś ławę. Marszczył się, chmurzył, w oczach Kunickiego zapadał gdzieś myślą coraz głębiej.

— Widzisz, póki chodzę, mówię, nienawidzę, — Boże, jak ja wszystkiego i wszystkich nienawidzę! — póty zapominam. Ale niech sam ze sobą zostanę, niech się położę... Sen nie przychodzi... Więc niech mi teatr do myśli powróci, niech się coś ocknie, zbudzi, zerwie! A tu nie przychodzi nic, nic!.. Rozumiesz ty, — nic!..

I gwałtownym ruchem schwycił Kunickiego za rękę. Po chwili zatrząsł się całem ciałem. Zdjął kapelusz z głowy, grzbietem dłoni wycierał jakby zimny pot z czoła. Bladł widocznie, gdyż twarz jego stawała się po ciemku bardziej jasną i jakby fosforyzującą. Kunicki spoglądał nań uważnie i z pewnym niepokojem.

— Co panu?.. Panie Borowski, na litość boską!..

— I z tej pustki wyłania mi się, — zgroza, tylko zgroza! Nieludzka straszna groza wytrzeszcza na mnie zimne oczy: rzeczywi...! — „Zośka!!" — krzyknę jak szalony, zerwę się z łóżka i błędnie, omackiem trafiam tam do niej. I jak dąb podcięty walę się na jej białe piersi. „Zasłoń mi oczy, Zośka!" — Zasłania, rączynami twarz mi okrywa. „Nie bój, nie bój się, Władek." „Całuj, Zośka!" — Całuje. — „Zochna, Zochna, Zochna ty!!.."

Zdaleka jakby w zaczajonej ciszy ciemnego przedmieścia słyszeć się znów dały niecierpliwe, ostre sygnały świstawki, wołające niewiadomo gdzie i niewiadomo komu na pomoc. Bo zresztą cisza była. Hen na krańcach bił tylko młot walcowni, a tuż ponad głową szumiały im obu druty telegraficzne:

Zoch-na ... Zoch-na ... Zoch-na...



Wreszcie zabłysły światła w oknach podmiejskiej ulicy. Kunicki zaprowadził Borowskiego do najbliższej robotniczej restauracyi i, wmuszając w niego wodę, mówił coś o słabej woli, o rozhukanej wyobraźni, o potrzebie leczenia. Borowski odstawił szklankę wody na bok i odpowiadał mu powolnym, zmęczonym głosem.

— Pan osądza wszystko tak łatwo, prosto, hygienicznie, że aż miło słuchać. Uspakaja to jak ciepłe okłady. Taki świat mały, a pan taki duży, duży. Taki świat chory, a pan taki zdrów, taki hygienista... Duży, duży hygienista! — A biedny chory światek skruszył się, zesechł, zblakł. — I pana nigdy nie straszy zmora rzeczywistości?

Kunicki uśmiechnął się ckliwo i niedbale.

— Eh, pan świat ma w kieszeni. On pana nie przestraszy.

— Jestem lekarzem, panie Borowski.

— Właśnie!.. Absyntu, duszko, — zwrócił się do kelnerki, wciąż jeszcze tym smutnym zmęczonym głosem.

— Ja proszę wody sodowej! — pośpieszył się Kunicki.

— Dla pana doktora syfon wody.

Światło było mętne i senne. Pokój nagi, przesycony zapachem słodu i farby olejnej. Dwóch wielkich, ciężkich robotników, o rudych, źle wygolonych twarzach, drzemało wraz z gospodarzem nad gazetą, mającą okrzyk „Naprzód!“ w nagłówku.

Kunicki sięgnął po gazetę i zapytał od niechcenia:

— Czytujesz pan to?

— Namiętnie. — Kati chodź no tu i podaj łapkę... Niechno pan doktór spojrzy, tak tylko, dla ciekawości. Przecież to jest fenomenalne! U kobiet z tej klasy? U niemki zwłaszcza!

Kati przedrzeźniała obcą mowę, zaśmiała się piskliwie i pobiegła za bufet. — Milczeli przez dłuższy czas.

Borowski popijał zrzadka, wolno i obserwował uważnie trzech śpiących robotników, jak, budząc się z drzemki, rzucali od czasu do czasu dorywcze, opryskliwe zdania zmęczonych ludzi. Potem znowu przyzwał Kati do siebie i w smutnem zamyśleniu bawił się palcami jej ładnych rąk niby paczką zapałek.

Kunicki nie wytrzymał.

— Puśćże pan ją, — zawołał. — Mnie to osobiście dotyka, w mojej godności ludzkiej. Przecież to człowiek, a nie mebel. Dziewczyna przytem zmęczona; musi pracować osiemnaście godzin na dobę.

— Według wykazów statystycznych, — dopełnił Borowski.

I kazał podać sobie drugą porcyę absyntu. — Gospodarz zbudził się wobec tego ostatecznie i przyszedł powitać gości. „Towarzysz?“ — spytał, widząc gazetę w rękach Kunickiego. A otrzymawszy skinienie głową, przysiadł się do stołu i powtórzył te same, dorywcze, gburowate zdania, jakie wyszły przed chwilą z ust drzemiących wciąż robotników.

— Miał dawniej dom publiczny, teraz trudni się wyszynkiem i rewolucyą — gawędził ze sobą Borowski, gdy gospodarz powrócił do swych robotników.

Spostrzegłszy zaś oburzenie Kunickiego, ni to zagwizdał, ni to zanucił:

— C'est le peuple! le peuple! le peuple!..

Kunicki spostrzegł w tej chwili jakieś konwulsyjne drgnienie aktorskie w jego grymasie. „Oho, — pomyślał, — trzeba nam wracać. I ten gotów mi dać przedstawienie jubileuszowe“.

— To zamiłowania do brudów, — rzekł głośno, — łatwo wytłómaczyć: pan tylko tem żyjesz, że siebie usprawiedliwiasz.

— Staram się znaleźć trzeźwy, życiowy ideał:—ideał społeczny.

— Cynizm groszowy. Złodzieje kieszonkowi mają go nieraz w lepszym gatunku. Dla mnie byłby tylko nudnym, gdyby nie... pańska żona, panie Borowski!..

On podniósł głowę i przysunął się bliżej z krzesłem.

— No? — pytał chmurnie.

— Biedna tylko. Nic więcej.

— Ba! — odrzucił się niedbale w tył.

— Zasługiwałaby na coś więcej, niż na pańską miłość. Tymczasem...

— Jakąbyś pan jej dał? Coby taki jak pan z niej uczynił? — Szarej swej duszy wieczną samotnicę, dzieci swych milczącą niańkę, karyery swej czujnego psa. I czem pan taką potęgę, jak miłość, mierzysz? Paznokciem, — zaśmiał się nerwowo w kieliszek.— Paznokciową miarą mieszczańskiej solidności.

Kunicki cofnął się z niesmakiem.

— Chodźmy. To staje się zupełnie plugawe, ta opętana alkoholem monomania erotyczna. Pańska głowa wypowiedziała się w życiu dostatecznie. Dla niej niema na świecie nic innego prócz kobiety.

— Niema! — krzyknął, powaliwszy się piersią na stół, i schwycił Kunickiego za rękę. — Dla wielu, dla bardzo wielu ludzi niema nic na świecie prócz ukochanej kobiety. Ona jest im wszystkiem! Jest żarem czynów, cierniem wytchnienia, gwiazdą nadziei, słońcem wiary w siebie; — a przedewszystkiem jest, jak cnota, sama w sobie celem i źródłem najwyższej na świecie rozkoszy.

— Dosyć! — krzyknął Kunicki zmęczonym głosem i, wywierając gniew na syfonie wody, odsunął go energicznie od siebie. — Dosyć!.. I ciągle, i bez ustanku, i wiecznie tylko kobieta. Paneś mi je chyba na całe życie obmierził.

— Słabyś ty ze swą wodą sodową!.. Czy suchy pająk medyczny i tego nie rozumie, że trzy czwarte życia koło niej się obraca, że dla milionów jest celem trosk jedynym — milionom przyobiecana nawet po za grobem — życia i śmierci władczyni!..

A utkwiwszy swe mętne, przepaściste oczy gdzieś u pułapu, mruczał w szczególnem natchnieniu:

— ... na stopniach uświęconych ołtarzy! pod błogosławiącemi ramiony białych kapłanów! wśród kadzideł mirry! organów wysokiego grania i zawodzącego chóru tęsknoty do życia!..

Czknęło mu się. — Głowa na sztywnym grzbiecie rzuciła się w tył. Opanował się jednak i zmógł, a białą jak kreda twarz pochylił nad kieliszkiem.

— Płacić! — krzyknął Kunicki i zerwał się z miejsca.

Borowski podniósł głowę i rozejrzał się błędnie naokół. Poczem uniósł się poważnie i wyszedł sztywno na ulicę. Tu zachwiał się dopiero i w zmęczoną pierś wzionął z rozkoszą powietrze miejskie.

Szumiało miasto. Szły zdala tysiączne pogwary, turkot i głuche dudnienie, rozkołysane tu na przedmieściu w jakiś miarowy, senny takt. W tym rytmie sennego jakby walca, falowała, zda się, i ta u czarnych wież gotyckich zawisła jasna, żółtawa i zimna jak stal mgławica. Nieruchomo stała tylko rdzawa, niezmierzona głąb nieba, na której tu i owdzie, zrzadka, mrugnęła na chwilę mała, żółta gwiazda.

Borowski słuchał i patrzał: wchłaniał w siebie szum i woń miasta. Kapelusz na tył głowy zsunął i zgarniał z białego czoła garście długich czarnych włosów! Chwilami się zataczał i odruchowo wyciągał przed się ramiona. Wreszcie wsparł się o potężny słup lampy łukowej. Mruczał: majaczył, czy też improwizował coś po pijanemu. Kunickiemu przypomniało się nagle jego skomlenie na

cmentarzu, gdyż oto do uszu jego dobiegł ten sam głęboki, żałośliwy głos. Słuchał:

— ... Lodem miasto w nocy zamarza, dla samotnych chłodne, dla cierpiących nielitościwe. ... Miasto w ciszy nocnej o gnuśnych zbrodniach tajemniczo gada, miasto wielomilionowe, zimne, ponure. ... Ja czuję puls twój chory, o miasto wielkie, ja, zgnilizny twej powiędły kwiat, ja, młodością mą zgrzybiały i gnuśny, ja, czarny twój kapłan, ja — aktor!...

Światło lampy łukowej przygasło nagle i rzuciło czerwone blaski. Zmogło się wszakże, bo z upartym sykiem rozpłomieniło się po chwili w równej, chłodnej, fioletowej toni.

Kunicki tymczasem spłoszył się zupełnie. „No, — myślał, — ten już chyba dostał obłędu pijackiego.“ I oglądał się po ulicy, aby na wszelki wypadek mieć ludzi pod ręką.

Ale Borowski wnet opadł, zatoczył się, bełkotał:

— Doktorze, choć kieliszek koniaku jeszcze!

— Pan musisz chyba iść jutro do jakiejś pracy. Nie?

— Muszę, — potwierdził bezmyślnie.

Lecz w tejże chwili zaciął się, począł walić laską o mur i wołać uparcie:

— Nie muszę, ale chcę... Z własnej dobrej woli chcę... Dla własnej mojej Zochny chcę... I nie przez sentyment, jak się pańskiej głowie śni. Dla jej włosów złotych z wojska uciekłem, dla jej jasnego czoła pieniędzy chcę. Nie pracy. Ja pluję na pracę. O, — tfu!

Stał na trotuarze sztywno i tak się na stopach kołysał, że Kunicki bał się, iż lada chwila twarzą lub potylicą o bruk uderzy.

— Doktorze, — mówił po niejakim czasie, starając się koniecznie objąć Kunickiego za szyję. — Dok - torze! doktór jest nieszkodliwy pajączek, na bardzo drobne i chore

muszki w uniwersytecie ułożony. Doktór ma angielski cynizm, jest sobie „matter of fact.“ Doktór zrobisz bajeczną karyerę na hygienie. Będziesz się cieszył szacunkiem u panów noszących flanelowe paski na brzuszkach — i u społeczeństwa... Będziesz niepokonanym autorytetem w kwestyach kataru kiszek, impotencyi obowiązującej, piękna, dobra i ideałów społecznych... Doktór ma głupią teraz minkę. Daj mi buzi, doktór...

— Ja doktora chcę w pysk pocałować! — rozgniewał się nagle, chwycił brutalnie jego głowę i wycisnął mu na ustach twardy pocałunek... — Nie pluj doktór, bo...

— Bo ja doktora kocham. — dokończył niespodzianie w łagodnym spadku.— Ja kocham doktora, — powtórzył jakby po głębokim namyśle, miękko i rzewnie, jak dziecko. — Ja tobie, słuchaj doktór, wyspowiadałem się jak histeryczka księdzu: z detalami... Ja tobie bramę do mego serca otworzyłem. A potem każę ci wleźć głębiej. Ja... O Jezusie Maryo!.. Weź mnie pod ramię i prowadź!.. Czarnej kawy zafunduj... Nie, — stój!.. Czekaj.

I stali tak razem przez jakiś czas. Kunicki nie puszczał go, mimo wszystko, wiedząc, że lada chwila runąłby na ziemię.

— Oh! — westchnął wreszcie Borowski. — Co też ja chciałem?.. O czemże to ja?.. Poczekaj, poczekaj!.. O Zosi! — Chcesz o Zochnie? — A czemu milczysz, szelmo, jak pień? czemu nie gadasz, że chcesz o Zochnie?.. Zochna ma takie ciało... I, nie szarp się, nie szarp!.. Przecież ja czuję — nie wiem, ale czuję — że ty na to za mną się wałęsasz, na to mych spowiedzi słuchasz... Ty, szpiegu cudzej nikczemności, coś własnych uczuć nie wyszpiegował! Taki, jak ty, stać się może strasznym, gdy zapomni o karyerze.

Kunicki odtrącił go od siebie. Instynktem kierowany rzucił się Borowski między dwie kamienice. I tam

rozwiał się ostatni przebłysk jego trzeźwości. Osłabł zupełnie, rozmawiał już sam ze sobą: — opowiadał coś brukom miejskim o złotych włosach swej Zochny.

— Znasz ty, — mówił wyciągając w stronę Kunickiego bezwładne swe ramię z obwisłą dłonią, — znasz tę polską bajkę o stratowanym przez świnię kwietniku? I tę francuzką... Daudeta... „Z mojego młyna," — wykrzykiwał bezdźwięcznie, jak echo, a dłonią twarz tarł, coś koło szyi nią poprawiał.

— O tym... mózgu złotym? — wykrztusił wreszcie z trudem. Szarpnął i zdarł kołnierz.

Kunicki podbiegł i schwycił go za głowę.

— O... o... Boże mój wielki!.. O tym mózgu złotym...

Po kilku minutach wytrzeźwiał nagle i niespodzianie, jak stary pijak. Nastawił kołnierz palta, zapiął się starannie i powoli, grubą laskę z ziemi zgarnął, kapelusz podniósł i głęboko na czoło nacisnął. Odchodząc spoglądał twardo i pochmurnie. Kunicki wyczytał w tem spojrzeniu nienawiść. I nie zdziwiło go to wcale.

Rozeszli się, i każdy poszedł w swoją stronę. Kunickiemu huczało w głowie jak w młynie. Wszystkie myśli tonęły w nieokreślonej, fizycznej wprost niechęci do tego człowieka. Miał do niego tę nieświadomą odrazę, jaką czuje chart do wilka, jamnik do lisa, ptak polny do kukułki: — nienawidził w nim obcego, wrogiego sobie, drapieżnego gatunku.

Z wiru niejasnych wspomnień wypłynęła nagle jedna dziwaczna myśl.

„On teraz, w tejże chwili kamień podnosi, zamierza się... celuje..."

Zwrócił gwałtownie i zbliżył się do niego.

— I na co pan czekasz? Czemu pan do domu nie idziesz?

Borowski wywijał laską.

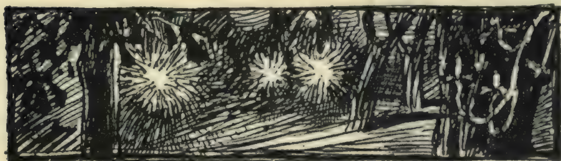
— Chciałem jeszcze, — zaczął niepewnym głosem.

Uśmiechnął się jakoś cierpko, dłoń wysunął i skurczył palce.

— Rubla masz?.. To jest, właściwie, — pożycz mi doktór markę.

— Pić pan będziesz?

— Bóg widzi, doktorze, — coś zanadto dziś ciąży. Nie udźwignę po trzeźwemu.





unicki począł się bać jak ognia tych chwil, gdy myśl, umęczona pracą, a nie przykuta do mechanicznego zajęcia, ponosiła go w dziedzinę wspomnień. Bał się tych cichych, smutnych wieczorów przy bladem świetle lampy. Wówczas czuł, że w duszy jego nurtować coś poczyna, jak w tych źródłach letnich, co z głębokich warstw idąc czasami się wzburzą i zapienią, świadcząc tylko, że tam gdzieś w głębi czyhają obce potężne siły. Oto na kartach książki uporczywie trzymanej przed oczyma rysują się jakieś bezładne obrazy, wyzierają z nich postacie zagadkowe i bolesne. Widzi dziewczynę zbiegłą od rodziców i wyczekującą w ulewie na to, by do nóg rzucić się łotrowi; — bo ta najstraszniejsza krzywda, jaką wyrządzić można kobiecie, przykuwa niejedną na całe życie do nóg mężczyzny: położy się przed nim jak pies czujna i zazdrosna o jego miłość. I o ileż czystszą, większą, głębiami uczuć mocniejszą jest ta niewolnicza dusza od serca swe-

go władcy! Lecz oto jej kat staje się jej całopalnej ofiary uświęconym kapłanem. — Kunicki widział w tej chwili wielkiego aktora, dającego bezsłownej i niemej rozpaczy dziewczyny męzki dźwięk skargi i zatrzymującego setkom ludzi oddech w piersiach.

Z kolei przypomniały mu się te rozluźnione w aktorstwie dusze: starzec rzucający z ustępu Tobiaszowe przekleństwo i wieszający się w aktorskim szale, oraz dziedzic jego talentu i zgnilizny, który, w braku udzielania się w aktorstwie na zewnątrz, spala się w żarze własnych namiętności. W tym miękkim zapachu zmysłów, w odurzającej, lubieżnej woni, w gorących wyziewach alkoholu zniszczał i przepadł człowiek. Lecz oto jak Feniks z popiołów powstaje aktor i w braku nowych ofiar staje się kapłanem własnego całopalenia. — Kunicki przypominał sobie, już nie z odrazą, lecz wprost ze strachem, te jego hymny na cześć miłości, te tęskne wycia do gnębiącego go potwora miasta.

Dalej odżyły mu w pamięci kłębiące się ogniem kominy fabryczne, głuche tajemnicze świstki na ciemnych przedmieściach, postacie ospałych i ciężkich jak młoty parowe robotników, oraz gnuśnego lichwiarza, radykalizującego trywialnie opiłym głosem.

Piosnka anarchistycznej Carmagnoli ocknęła się niewiadomo zkąd w pamięci; na inne słowo, lecz tą samą melodyą i taktem dokuczała uparcie myślom:

C'est la vie! la vie! la vie!

A ciemny kąt w głębi pokoju dziwnie pociągał wzrok; tam stała niema, niby wyczuta obecność ludzka, szeroko otwartemi oczyma wpatrzona samotność.

Zgiełk uliczny tłumiła noc; od czasu do czasu zerwał się jeszcze gdzieś w dali i tonął w ciszy tak nagle, jak niespodzianie wybił się po nad nią. Ucho chwyta jakiś gwar pomieszany, jakiś turkot głuchy, tętent po-

śpieszny; chwyta i łowi je napróżno: ucichły, utonęły w ciemności i ciszy. Uwagę zaniepokoją raptem ludzkie głosy: coś jakby okrzyk zgrozy, wołania o ratunek, tajemnicze hasła przerzucane gdzieś w dali. Echo niesie z drugiej strony szczątek pijanego śmiechu, skłóca, miesza te odgłosy, a wielka cisza wieczoru tłumi wszystkie pogwary.

Idzie ktoś po schodach: stąpa ciężko, powoli. „Jak wyraźnie słychać dziś wszystko,“ — dziwi się Kunicki. — „Własne westchnienie wydaje się niemal jękiem.“ — Idzie: schody trzeszczą Zatrzymuje się, dyszy ciężko. Waha się, czy za dzwonek pociągnąć. Niesie zło, czy dobro? Co przychodzi zwiastować?

Czekać każe na siebie. I niecierpliwi. Jezus Marya, jakże rozdrażnia!

Dzwonić prędzej!

Schody trzeszczą: — ktoś wolnym starczym krokiem drapie się o piętro wyżej.

Kunickiemu coś piersi podnosi i stłacza znowu w westchnieniu. A z ciemnego kąta pokoju patrzy, zda się, zimna, badawcza, zadumą smutna melancholia, — jak ta na sztychu Dürera, co, globus, księgi i teleskop na bok odłożywszy, zapatrzyła się w skupieniu w duszę ludzką.

I gdy stokrotnym tłumem milczące pająki
Snują zabójcze sieci... —

przypomniało się Kunickiemu. „Zkąd mi to nagle do głowy przyszło?“ — dziwi się sam sobie. Szuka w myślach przyczyny tego smutku, co ołowiem zaciężył mu na piersiach, i znajduje tylko jedną odpowiedź buntu: „Ja nie chcę, ja nie potrafię być sam ze sobą.“ Instynkt zwraca mu myśli w stronę zajęć codziennych. I oto z kart książek medycznych, z kamiennych szuflad szpitali, w które zaglądał zwykle z taką obojętnością, wyjrzały twarze

żółte, zapadłe, suche, z okropnym strachem śmierci w rozszerzonych źrenicach. „Wesprzyj się na nas, wesprzyj! Wszak tą drogą, kosztem najmniejszego kalectwa doszedłeś do poczucia twej wyższości, dorobiłeś się marsa poważnej zadumy."

Tymczasem wiatr idzie ponad miastem: syczy zdala jak raca, lada chwila skłębi się, zburzy, w szyby zadzwoni, oknami zatrzęsie. Lecz oto syk ten ani w dal się nie ponosi, ani zawierucha nie pęka: — łamie się, tonie, grzęźnie wśród nocy.

Na stole pali się świeca tylko, o ceglasty jej płomień tłuką się ćmy. Słuch Kunickiego zapada w tę pustkę i ciszę, czai się w półsennem odrętwieniu, czuwa niezmordowanie — i w tejże chwili wydaje mu się, że ktoś za nim stoi: czyjeś miękkie dłonie chłodzą mu czoło, ktoś się nad nim pochyla, owionęło go ciepłe tchnienie, słyszy własny swój oddech...

Zerwał się i zgasił świecę. Za chwilę szedł, a raczej biegł przed siebie, byle w tłum, byle między ludzi!

Niebawem znalazł się w parku. Ale i tu były pustki. Po długich alejach wałęsały się jakieś ciemne i gnuśne postacie, których cienie nawet miały w sobie coś podejrzanego. Zaś po ławkach, gdzie spojrzeć, — znieruchomione w cieniu, w siebie wtulone i zaszeptane pary.

Kunicki poczuł nagle niewypowiedzianą odrazę do tych ludzi, do których tak gorączkowo garnął się przed chwilą. Osunął się na ławkę, nastawił kołnierz i zapadł we własne myśli. Od czasu do czasu nietoperz, zmyliwszy w górze drogę, spadał mu kulą przed twarz i zrywał się z przed oczu jak czarny upiór. A ciężka głowa chyliła się coraz niżej w jakiś bezdenny, niewypowiedziany smutek.

Wyszumiały mu go wreszcie drzewa; tak niedawno czytał:.....

Samotnyś. Błądzisz. W wyobraźni chorej
Rój dziwnych widem myśli twoje niańczą,
Zdasz się sam sobie duszą wywołańczą,
Od której pierzcha tłum w ucieczce skory.

I mroki zwolna w duszę twą się sączą,
Gaszą w niej wszystko, tłumią swą opończą,
I pustka wielka zalewa ci łono.

Nawet marzenia, które życie złocą,
Pierzchły jak ptaki. Z głową opuszczoną
Szepczesz bez myśli: „Po co wszystko? po co?"

... I znów tylko wilgotne poszumy drzew, i ten głuchy, ciężki gwar miasta zdaleka. Czujne ucho chwyta nagle szmer odmienny, cichy, jakby lekkie, pośpieszne stąpanie. Żwir zaszeleściał, — a jemu serce młotem w piersiach zabiło... Ktoś podchodzi, słania się nad nim, chłodne, miękkie dłonie obejmują skroń...

Boże mój, Boże!..

Z pod ławki wysunął się kot o grzbiecie w pałąk zgiętym i twardo wystawioną kitą ogona. Na stężałych jakby nogach szedł sztywno, błędnie, świecił ogromnie rozszerzonemi ślepiami i wlókł za sobą wielki, potworny cień. Kunicki uderzył kijem to czarne licho. Kot skoczył w krzew i rozległy się niebawem przeraźliwe, ochrypłe, gardłowe syki, a potem jakby beznadziejne szlochanie dzieci po ciemnym parku. Koty darły się po kątach.

A gdy one ucichły, rozległ się z poblizkiej ławki głośny pocałunek i szept stłumiony — duszny. Kunicki miał ochotę podejść tam i bić, bić, co sił starczy.

Jezus Marya, — jakież to wszystko wstrętne!

Powiał znowuż wiatr wilgotny, niosący z sobą miękką woń świeżo zoranej ziemi.

Wiosna, — przypomniało się Kunickiemu.



Za chwilę był w kawiarni.

Tu przynosił zwykle ciężkie brzemię samotności i w ogromnej potrzebie ludzi wchłaniał w siebie wielki gwar obcego życia. Cichy i niewidoczny na uboczu, leczył się jak chore zwierzę widokiem gromady; zbiedzony, przybity smutkiem, zapominał o sobie: ginął, rozpraszał się, wsiąkał w tłum wielkomiejski

— Pessymizm? Pessymizm? — rzucił niedbałe pytanie ktoś tyłem do niego zwrócony i pochylony nad bilardem. Poznał znajomego dziennikarza Jelsky'ego, „trochę polaka", jak zwykł mawiać o sobie. Widywał go u Borowskich.

— Gorzej, — wstręt, — odparł.

— Na podkładzie sentymentu może?

— Nieomal.

— Takich wzruszeń doznaje się tylko w małżeństwie.

— Pan uprawiasz cynizm zawodowo, metodycznie.

— Wiatr wiosenny owiał pana sentymentem — zaśmiał się Jelsky i przysiadł się do niego z kijem bilardowym w ręku. — Widzisz pan, oburzanie się jest niedołęż-

nem seplenieniem ludzi sentymentalnych, sentyment mową karyery w powijakach, cynizm jej pieśnią łabędzią. Jesteś więc pan sam na najprostszej drodze do cynizmu.

Podobał mu się widocznie frazes, gdyż, ukrywając uśmiech, zapalił papierosa.

— To też, — mówił dalej, smakując równie w papierosie jak w swej złośliwości, — to też z uwagi na pańską niechybną karyerę, oraz na obiecujący jego sentyment, radzę panu czemprędzej...

Dokończył mu na ucho.

— Kobietę.

Łagodząc zaś swe powiedzenie uścisnął go za rękę.

— *Allons, petit bourgeois*, — zawołał, chwytając go pod ramię— przedstawię pana mej przyjaciółce.

I nieomal przemocą zaciągnął Kunickiego w drugi koniec kawiarni.

— Nazywamy się Lili, — rekomendował, — nietyle ze względu na dziewiczość, ile na bajeczną płeć.

Kunicki znalazł się w ten sposób, wbrew woli, u stolika dziewczyny młodej, niebrzydkiej, o dziwnie białej cerze i ogromnie czarnych aksamitnych oczach.

— Panna Lili, — mówił wciąż Jelsky, — ma w sobie coś ze storczyka: *Cephalantera alba.*

— Także komplement, — zaśmiała się piskliwie, — musiałabym chyba szukać w Lexiconie.

Jelsky schwycił przewijającego się tuż obok piccola.

— Mały, Lexicon dla panny Lili. Litera C.

Ale Kunickiemu nie do pustych było gawęd. To też rad był, gdy Lili odęła się poważnie, podejrzewając, że obaj przyszli po to tylko, aby z niej zadrwić. Powrócili na swoje miejsca.

— Och, żebyś pan wiedział!.. — skarżył się za powrotem Kunicki.

— Wiem i widzę, żeś pan swym sentymentem zajechał na ślepe szyny. Hamuję, pcham z powrotem na rozsądną drogę karyery: — robię, co mogę.

— Pan mi dziś karyerą tak dokuczasz! Mój panie, dlaczego pan jesteś dziennikarzem, a nie filantropem?

— Ponieważ to *métier* jest najmniej odpowiedzialnem.

— Aha! — Ale pan - eś w kawiarni jak u siebie w domu?

— Mieszkam, — odpowiedział z filozoficznym spokojem, i pilnikiem kieszonkowym począł szlifować sobie paznokcie. — Z obowiązku, z fachu. W kawiarni robi się dziś kultura. Nawet prorocy nie każą dziś na górach, tylko po kawiarniach.

Rzucił okiem na gazetę i swym pilnikiem wskazał niedbale jeden ustęp.

— Jest tu nowy żer dla pańskiego sentymentu i nowe kastalskie źródło wstrętu... Oj, te idee, te idee!.. Wraca zkądciś banda obieżysasów galicyjskich i wiezie piękne gościńce kultury do swej ojczyzny. Jeden w drugiego! — powiadam panu. Jeden w drugiego! kobiety! dzieci nawet!

Kunicki nastawił uszy.

— Boże wielki, to ich nie można puszczać tam, — do kraju.

— Więc ich wyrzniemy, — konkludował flegmatycznie dziennikarz, nie przestając szlifować paznokci.

A po dłuższej przerwie, jaka okazała się konieczną przy tej operacyi, ziewnął i rzekł:

— Powinieneś się pan czemprędzej wyleczyć z tego świerzbu społecznego. Zostaw pan tłuczenie o mur twardszym głowom, a bity komunałami trakt idei pospolitszym owcom! Me! — me! — jak źle jest na świecie.

— No, dobrze! — szarpnął się Kunicki, rad, że mu ktoś pomoże do wgadania się w przyczynę dzisiejszego smutku. — No, dobrze! — leczyć ludzi z niesmakiem i obojętnością, patrzeć co krok na zbrodnie i potworność życia, oddychać zatęchłem powietrzem nędzy i cierpienia... I to wszystko razem nazywa się?...

— Zadowoleniem ambicyi tylko. Po za tem, jest się, chwalić Boga, jeszcze człowiekiem i można...

— Grywać w bilard.

— Chociażby.

— Albo pić.

— I to nie jest do pogardzenia. W piciu jest zupełnie ta sama mądrość, co i w życiu: — złudzenia. Oczywiście nie każdy pije na to tylko, aby z Bachusem wywracać koziołki.

— Przypuśćmy, że nie pijam.

— Ależ się pan objuczył pryncypiami. Prędzej czy później taki pociąg towarowy wykoleić się przecie musi. Nie pijasz pan? Tem bardziej należy pamiętać, że tam oto siedzi Lili i nudzi się nad Graphic'iem.

— Pozostawiam ją panu.

— Dziękuję za dziś, — odwzajemnię się jutro. Po za tem, o ile pana interesują problemy życiowe... (Jelsky wciąż oglądał swe paznokcie).. po za tem, lekarz, naprzykład, może leczyć uczciwie, ile że nie ma powodów, dla których człowiek inteligentny miałby coś robić niesumiennie. Dalej, można czytywać książeczki nie jako katechizmy komunistyczne, lecz jako mowę nowego umysłu i nowej duszy, z któremi w kawiarni niezawsze spotkać się możemy. Nakoniec można rozglądać się po świecie, co bywa ostatecznie najzabawniejszem.

— I to wszystko?

— Można jeszcze...

— Zajść do kawiarni, — zaśmiał się nerwowo Kunicki. — Oto do czego sprowadziła się u was zagadka życia!

Jelsky zajął się tymczasem przeglądaniem jadłospisu.

— Można jeszcze... — powtórzył.

— No?

— W łeb sobie strzelić, o ile ktoś kwestyę swego przyjścia na świat wziął zbyt poważnie. — Nie podnosząc głowy, wywrócił ku Kunickiemu białka oczu, uśmiechnął się kwaśno i dodał:

— Im bardziej szarem jest czyjeś życie, tem większa śmieszność w takiem zakończeniu.

Kunicki gryzł i szarpał w zębach munsztuk od papierosa.

— Szare życie, szare życie, — bąkał. — Szary, przeciętny, nieomal przeciętny! — wybuchnął w nagłem rozdrażnieniu. A ręka mu się trzęsła, gdy ją do papierosa podnosił.

Jelsky teraz dopiero podniósł głowę. Twarz wyciągnęła mu się wyrazem zdziwienia.

— Panie — wołał tymczasem Kunicki, — dzisiaj ci szarzy ludzie zanadto uświadamiają sobie życie na samym już wstępie. Znają nietylko maximum tego, co osiągnąć mogą, ale i to całe morze małych fałszów, lichych komedyj, mizernych podstępów, aprobowanych podłości, jakie przepłynąć muszą. Cel ich niezbyt pociąga, a droga nazbyt odraża. I to jest tragedya szarych ludzi.

— No — „tragedya!“ — skrzywił się Jelsky.

— I pan chcesz im odebrać jeszcze wiarę w obowiązki społeczne, w ideały. Trzeba im te zostawić, chociażby...

— Chociaż dopóty, dopóki im skóra nie stwardnieje. Potem cisną tę tarczę sami, na głowy młodszych. I to z rozmachem wielkim. Hę?

Kunicki wpadł już w pasyę.

— Więc czemże, czem nam się bronić przeciw temu smokowi wszystkich improduktywów, co na mnie nałazi i ziewa mi w twarz smutkiem życia, nudą, pustką... O tak, pustką! Zresztą, nie! Ja ciągle jeszcze nie o tem mówię, co mi dolega. Mnie dławi, oczadza, dusi poprostu niesmak, obrzydzenie i wstręt do wszystkiego!— krzyknął niecierpliwie, — zerwał się i schwycił za kapelusz.

— Wiosna, — westchnął melancholijnie Jelsky, zakładając serwetkę za kamizelkę.

Podaną sobie dłoń zatrzymał jednak w ręku.

— My wszyscy tak intensywnie odczuwamy dziś wiosnę! Wiedzą coś o tem restauratorzy miejscy. Jest to najstosowniejsza pora, aby pić.

Siłą niemal posadził go przy stole i nalał mu kieliszek wina. Kunickiego rozbrajał zupełnie ten jego spokój.

— Ja nie jestem przyzwyczajony... Chociażby dla tego.

— Głupstwo! — Jelsky zabrał się ze smakiem do kolacyi. — Pan nie pijasz, — wywodził przytem, — ponieważ to wytwarza podobno rozszerzenie serca, nazywacie to *cor bovis*. Ale wierz mi pan... (Jelsky, nie znalazłszy czegoś przy nakryciu, zadzwonił w talerz).. wierz mi pan, stokroć gorzej nie pijać, nie szaleć, nie umieć stawiać życia na jedną kartę i wołać „va banque!“ To wytwarza z czasem *cor ranae*, serce żaby.

Kunicki patrzał ze zdumieniem na jego krzętny apetyt w tej chwili.

— „Szaleć?“ „Na kartę?“.. Pan chyba miał *Speisekarte* na myśli.

— Oho, — skrzywił się Jelsky. — Ja nie wrzeszczę i nie szarpię włosów jak pan, tylko rozumuję. A to nie przeszkadza mi jeść... Z takiem sercem żaby gorzej żyje się na świecie, — żadne uczucie już się w niem nie zmieści.

— „Uczucie!?“ — powtórzył Kunicki jak wprzódy. Wzruszył ramionami, i bezwiednie zupełnie, jakby w złości, podniósł kieliszek do ust.

— Miłość, — tłómaczył dalej Jelsky, — miłość, co słońce wesela winna zapalać nad głową, rzuca takim ludziom tylko cień goryczy, obrzydzenia i wstrętu na jałową codzienność. — Hę, jakaż to znana nuta!... Gdyby najada, zbudziwszy się gdzieś w górskiem uroczysku, huknęła „kocham!“— echo z dolin ludzkich przyniosłoby jej wołanie: „jałowość, nuda, gorycz!“ Gdyby Prometeusz skruszył górę i grzmotem obwieścił ziemi: „Bracia, zerwałem kajdany, — po nowy idę dla was ogień,“ — echo odpowiedziałoby: „gorycz, obrzydzenie, wstręt!“

Jelsky napił się wina, otarł usta serwetą, odstawił talerz i gestem nakazał przynieść sobie następną potrawę. Kunicki powtarzał w myślach: „miłość,“ „najada,“ „Prometeusz,“ „kajdany,“ „płomień,“ powtarzał przytem mimowoli z tym samym smakowitym akcentem, z jakim wygłoszone były te słowa. I wytrzeszczał już tylko oczy na Jelsky'ego. A potem znowu pociągnął z kieliszka.

Jelsky zaś prawił.

— Spojrzyj pan, ile tej goryczy, ile śliny i jadu na wszystkiem, czego się dotknąć, na co spojrzeć... (prosit, prosit!.. pij pan śmiało!)... do czego przywiązaćby się chciało. Od takich właśnie ludzi ta ślina, ten jad ropuszy pochodzi. W żabich serduszkach niezmieściło się umiłowanie społeczne.

— „Umiłowanie społeczne!?..“ Pan żartuje?

— Mówię, umiłowanie społeczne nie mieści się dziś w marnych, skarlałych sercach. Zaledwie wciśnie się w nie doktryna. I oni, oni to właśnie każą nam wierzyć w ideały.

— „W ideały!?..“

— Niewątpliwie! Przy każdem rozdrożu stoi taki właśnie drab z maczugą w ręku i woła: „Idź tą drogą,— a nie to po pysku!..“ Czyż to nie ironia życia?

— Ironia?. Ha! ha! — Tak, tak, — to wszystko racya, co pan mówisz. Ja to czuję. Ha! ha! — Ironia! Ironia! — Pan-eś mnie zaraził apetytem. Zjem chyba kolacyę i wzniosę się na wyżyny filozofii spokoju... Nie, po coś mi pan wmawiał to wino?.. Ha, ha! — ironia...

Kunicki po jednym kieliszku poczuł już obezwładnienie w członkach. Ciężką głowę wsparł na łokciu i zapatrzył się na Jelsky'ego.

— Ja pana nie rozumiem wcale, — rzekł nagle poważnie. — Zresztą, głowa mnie boli. Ha! ha! — Nie, — ta ironia! — i znów śmiać się począł.

— To szkoda, bo ja pana znakomicie rozumiem.

— Ja boję się pana, — boję się, jak czegoś zupełnie obcego. — Zresztą, — nie, ja nie jestem pijany! — zresztą, wierzę, iż pan wszystko wie. Mój panie, niech mi pan powie, co się ze mną stało ostatniemi czasy? co za chmura stanęła nade mną?

— Czyś pan aby pewny, że to chmura? Czy to czasami nie słońce? A ten cień pod nogami, czy nie jest przypadkiem cieniem własnej osoby?

— To jest wyrocznia delficka.

— Powiem dalej jak Pytya: — jeśli w żabie serduszko wciśnie się uczucie wielkie, runie obiecująca karyera.

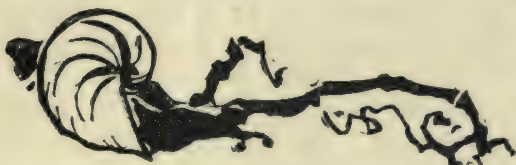
— Pan mnie chyba nie posądzasz?— Kunicki zakrył grymas czy też uśmiech łykiem wina.

— Posądzam, i to bardzo! — My wszyscy tak intensywnie dzisiaj kochamy! Wie coś o tem Lili i towarzyszki, te skarbonki naszych uczuć.

Kunicki zerwał się z miejsca, ale usiadł natychmiast. Ciężką głowę wsparł już nie na łokciu, lecz czołem na

stole. Próbował się roześmiać w obrus i nagle rozpłakał się cicho, rzewnie jak dziecko.

— Nie, — mówił potem, ocierając łzy kułakiem, — po coś pan we mnie wmawiał wino?.. Takie tęgie wino? Ja mam słabą głowę... Po coś pan ze mnie zrobił sobie małpę?..



Kunicki zaczął się wprost niepokoić o siebie. W kilka dni potem, po nieudanej operacyi, dostał spazmów wobec licznych świadków; — musiano go cucić. Operowano młodą czeską robotnicę z fabryki zapałek. Dziewczyna, wystraszona zapachem jodoformu i widokiem tylu mężczyzn w białych fartuchach i zakasanych rękawach, wpiła się jak rak w rękę Kunickiego. Wśród tych obcych ludzi z nim jedynie mogła się jako tako rozmówić. Uspokajał ją, jak umiał. Opowiadał, że jej krzywdy przecież nie zrobią; przeciwnie, dadzą piękną srebrną szczękę zamiast brzydkiej spróchniałej kości, że tego nikt potem nie spostrzeże, a każdy powie: „Ah jak wyładniała ta..-“

— Jak ci na imię?

— Mianuje se Zofie.

— No widzisz — Zochna...

Przyszedł profesor i, zanim nałożył maskę, pogłaskał ją po włosach.

— Patrz, jak ci do twarzy w białem. Potem będziesz się mogła nawet w lustrze obejrzeć... No, nie bać się, mała, — nie bać!...

Nic nie rozumiejąc, uśmiechnęła się do wszystkich, jak do rodzonych ojców. I wszyscy, ilu ich było, odpowiedzieli jej przyjaznem skinieniem głowy. Studenterya zaroiła się na amfiteatrze. — Kunicki miał pilnować pulsu tej ręki, która wczepiła mu się w dłoń. Głaskał tę skurczoną strachem dziecięcą rękę i szeptał wciąż:

— Nie bać się, Zochna, nie bać!...

W miarę jak zasypiała, uścisk palców stawał się coraz mniej kurczowy. Już się rozchylały zupełnie, gdy, w ostatniej chwili przytomności, uścisnęła mu rękę krótko i rozumnie: jakby dziękowała mu za dobroć i prosiła, by nie odchodził.

On baczył już tylko na jej puls, — o niej zapomniał niemal zupełnie. Naprzeciwko, trzymał asystent drugą rękę. Profesor operował przez głowę chorej. Na jej piersiach postawiono lustro i trzymano skośnie przed operatorem. Asystenci chwytali pensetami, niby ptaki dziobami, rozszczepione płaty skóry i rozciągali je na bok, oraz wycierali krew pękami waty. Było cicho. Słychać było tylko szczęk narzędzi, ludzkie oddechy i jakiś kaszel na amfitearze.

Po chwili Kunicki drgnął, — drgnął bezwiednie uprzedzającym instynktem niesłychanie czujnego zwierzęcia, jaki przy podobnej pracy i człowiek nawet zdobyć sobie musi. Rzucił bystre, pytające spojrzenie na asystenta naprzeciw. Ten już na niego patrzał. Obaj przenieśli wzrok na profesora. Ten już o wszystkiem wiedział. Już odkładał narzędzia, już wielką pensetą wyciągał chorej z gardła język, którym się dławiła. Nie pomogło to jednak. Zaroiło się przy stole. Pośród audytoryum znalazło się nawet zwierzę, które w tej chwili parsknęło śmiechem.

Przebito chorej gardło, by wywołać sztuczny oddech. Lecz i tracheotomia nie pomogła.

Co dalej było, Kunicki pamiętał zaledwie jak przez mgłę. Wiedział, co mu czynić należy. Podnosił naprzód jedno ramię chorej, potem dla ujednostajnienia ruchu wyrwał i drugie asystentowi. Podnosił je i opuszczał miarowo w ten równy takt, w jakim profesor uderzał w piersi chorej. Zamienił się w maszynę, — pracował bez wytchnienia — minuty, czy godziny! — tego nie pamiętał. Pompował wtedy jeszcze, gdy audytoryum opróżniło się zupełnie; podnosił i opuszczał bezwładne ramiona, gdy inni odeszli już od stołu; pracował i wtedy jeszcze, gdy ktoś złym i zniecierpliwionym ruchem kazał mu wreszcie zaprzestać. W końcu odepchnięto go niemal. — Przełożono ciało na wózek, narzucono na nie prześcieradło i odwieziono do trupiarni.

Obowiązkiem Kunickiego było przeliczyć narzędzia i zebrać je do wanienki siatkowej. Gdy się tem zabawiał, poczuł nagle zawrót głowy. Cofnął się do pierwszej ławki amfiteatru i osunął się na nią wcześniej, niźli siąść zamierzał. Ogromnie białe i łagodne światło zasnuło mu wszystko przed oczyma białą mgłą. Ktoś zblizka stojący usłyszał najwyraźniej, jak szeptał: „Nie bać się, Zochna,— nie bać!...“ Zachłysnął się, ujął za głowę i dostał najprawidłowszego spazmu.

— *Vapeurs!* — stawiał z francuzka łatwą dyagnozę jakiś student z głupia frant.

Ludzie byli mu wdzięczni za ten humor. Przy sztucznym nieco śmiechu załatwiono się bez trudności z bagatelną sprawą Kunickiego.

Już zdjął fartuch i nakładał mankiety, gdy wpadł jak bomba asystent i zawezwał go do profesora.

— Dobryś! — rzekł Kunicki. — Tym spazmem zarznąłem się na śmierć w jego oczach.

I z duszą w piętach wstępował do gabinetu.

Profesor zdążył również pozbyć się fartucha. Naokół nie było ani śladu odbytej przed chwilą operacyi. Siedział przy biurku i notował coś pośpiesznie. Ruchem złym i zniecierpliwionym wskazał mu krzesło.

— Ja tu już od kilku dni mam pana na oku. I dziś patrzyłem przed operacyą... Chociaż muszę przyznać, że jako lekarz sprawowałeś się pan nieźle.

Skończył pisać, położył z impetem pióro i zwrócił się wraz z krzesłem do Kunickiego.

— Ale co znaczą spazmy? Zkąd spazmy?.. Ja już zaczynałem pana szanować za „brak nerwów." Muszę panu powiedzieć, że upatrzyłem go sobie na asystenta. Więc mam zawód! — syknął... — Pozwolisz się pan zbadać?

— Ależ ja, dalibóg!...

— No, no, no!...

Zbadał, opukał, a nic nie znalazłszy, wzruszył ramionami.

— Masz pan jakie zmartwienia?

— To jest właściwie... konkretnych... Chyba żebym... jeszcze...

— Jeszcze?

Profesor, poprawiając okulary, zasłonił twarz dłonią.

— Radzę wyjechać na trzy tygodnie. Gdziebądź... Cygaro, panie Kunicki?...

— Dziękuję uprzejmie... Nadzieja asystentury...

— Nie o to idzie... Chciałem panu powiedzieć, że... Hm!

Wydął wargi, gładził długą brodę, wreszcie:

— Z małżeństwem nie należy nigdy zwlekać! — wypalił mu prosto w oczy.

Kunicki stanął jak w ogniu.

— Ależ... dalibóg!..

Ujął go za obie ręce, uścisnął i odprowadził do drzwi. „Ja umiem tylko radzić. Niedyskretnym być nie potrafię. Żegnam pana.“

Z wielkiem profesorskiem cygarem w ustach szedł zadumany przez ulicę. A że myśli były bardzo przykre, węzeł stawał się beznadziejnie zawiłym, więc — uczuł nagłą potrzebę napicia się czarnej kawy.

Gdy wracał do domu, gniewał go ścisk na ulicach, zmuszający do wolnych, ślimaczych prawie ruchów i bezcelowego oglądania obojętnych twarzy. Przy sposobności zauważył, że ten i ów, mijając go, uśmiechał się nieznacznie, jakby chcąc powiedzieć: „Oto idzie znowu jeden z tych, co to mają lekkiego fiołka w głowie.“ Uśmiechali się oczywiście komiwojażerzy, ci zawsze z siebie zadowoleni, „najnormalniejsi“ ludzie w mieście. „Ja wśród aniołów w niebie odróżnię chyba duszę, która na tym padole płaczu była komiwojażerem“, — zemścił się na nich myślą Kunicki. — „Swoją drogą, muszę być bardzo rozdrażniony, i wyglądam prawdopodobnie dziwacznie. Ach, ta kawa, to cygaro obrzydliwe!.. Zresztą, to jest jasne: rozdrażnienie wywołuje szybkie, gwałtowne, ostre ruchy, w tym tłumie ślamazarnym muszę wyglądać, oczywiście, jak mucha w pajęczynie.“

Gdy skręcił na swoją ulicę, ścisk uczynił się na chwilę jeszcze większy. Usłyszał za sobą cichy, krótki dzwonek. Ludzie się rozstępowali, dwie baby przyklękły nawet na trotoarze. Kunicki zdjął czapkę, co tu widocznie nie było we zwyczaju. Przechodzący tłusty jegomość znowu się uśmiecha z poczuciem wyższości solidnego człowieka, któremu interesa dobrze idą. „Ty, bydlę nizkie!“ — myśli Kunicki i, korzystając z wolnego miejsca za księdzem, postępuje tuż za nim. — Ludzie najwyraźniej przypuszczają, że to on księdza do kogoś sprowadza. Jakaś baba podbiegła nawet, by zagadnąć, do kogo.

„Ja muszę mieć ładną minę, jeśli pasuję nawet do takiego rodzajowego obrazka.

„Ależ traf szczególny, żeby akurat do mego domu szli... I na schody moje... Co, u dyabła!.. Czyżby na drugiem?.. Trzecie!..

„Baba!.. Oczywiście baba. Ale cóżby jej tak nagle? Z czego?

„A co? — dzwonią...“

Otworzył obcy człowiek w mundurze warty sanitarnej. Kunicki zaniepokoił się już poważnie. Ksiądz pyta, do kogo. Kunicki, stojąc o pół piętra niżej, nadstawia uszu. Tymczasem nie chce mieszać się do niczego. Poczeka.

— Do młodego pana, — brzmiała odpowiedź.

„Co!?“

— Kto taki? — pyta ksiądz.

— Student.

Kunicki chce w pierwszej chwili krzyknąć przeraźliwie. Ale się słania, za poręcz chwyta i ściska ją z całych sił. Lewą dłonią po ciele wodzi, szarpie spotniałe włosy, szczypie się w wargę. — „Nie, ja przecież nie śpię. U Boga, — co to jest!? Co to wszystko znaczy?“ Chłopak kościelny zadzwonił raz: cicho, króciutko, jakby przez nieostrożność.

— Niech będzie pochwalony, — obcy, cichy, zapłakany głos, gdzieś w głębi korytarza.

— Na wieki.

Ktoś klęka tam w głębi korytarza. Szlocha. Jak strasznie szlocha!

— Wypadek? — pyta ksiądz człowieka w czapce z odwachu sanitarnego. — Przytomny?

— Bardzo mało, — szepcze ktoś basem. — Samobójstwo.

Ksiądz cofa się od progu.

Wypada młoda kobieta z głębi i buch! księdzu do nóg. „Jak ona strasznie upadła!“ I szlocha. „Chryste, jak ona szlocha!“

Kunicki puszcza poręcz schodów. Pręży się jak struna, zaciska pięście kurczowo. Nie da się halucynacyi. Nie da się nawet obłędowi, jeśli to jest obłęd! On tu jest, — nie tam!.. Nie da się. Woli ma jeszcze trochę.

Zimny pot strugami zlewa mu twarz.

Przeskakując po kilka stopni, pędzi na dół. Instynkt zachowawczy woła w nim bezładnie: „Dorożka. Z powrotem do profesora. Szpital. Osobny pokój... I cisza, cisza wielka. Z początku morfina, a potem cisza i spokój tylko... Musi przejść... Aby tylko dorożka!“

Wyskoczył z bramy aż na środek ulicy. I tu się dopiero obejrzał. W imię Ojca, Syna i Ducha!.. Numer 38-y.

O dwa domy za daleko!

Otarł chustką pot z twarzy, poprawił kapelusz, zapiął palto i, zagryzając wargi, aby się nie trzęsły, zawrócił pod numer 34-y. Obejrzał swój dom uważnie i porównał go z tamtym. Podobne oczywiście jak bliźniaki, a jednak trzeba być bardzo roztargnionym. „Oj, ta czarna kawa, to cygaro!“

W domu zastał swą gospodynię w niesłychanem podnieceniu.

— Wypadek był w sąsiedztwie, — wołała od proga, a raczej wymlaskała z prawdziwym smakiem.

— Wiem.

W myśli zaś dodał: „Chwała Bogu, rzeczywistość! Konkretny, policyjny fakt, entuzyazmujący wszystkie kucharki w całej dzielnicy. — Ależ napatrzyłem się dziś rozkoszy miejskich. I to mnie tak niesłychanie rozdrażniło.“

Zmaczał głowę i piersi, natarł skronie wodą kolońską i postanowił natychmiast posłać do apteki. Wyrwał więc kartkę z notatnika i pisał pedantycznie:

Natri brom 3,0
Kali brom 2,0
Amon . . . .

. . . .

Zastukano do drzwi. „Oczywiście, baba z plotkami.“

— Przed trzema godzinami, natychmiast po wyjściu pana doktora, zachodziła tu jedna pani.

Kunickiemu wydało się, że w tej chwili ktoś go pięścią w ciemię uderzył.

— Z tej kamienicy pewno? Po poradę? — pytał mimo to z niedołężną jakąś chytrością i jakby chcąc oszukać samego siebie, odwrócić fakt, zagadać rzeczywistość.

— Nie. Nazywa się — zostawiła bilet — nazywa się Zofia Borowska.

Kunicki uczuł, jakby po raz drugi, mocne uderzenie w ciemię. Powstał z miejsca powoli, sztywno. Oparł się tyłem o biurko, chciał coś powiedzieć, ale głosu mu zabrakło. Zwiesił więc głowę i milczał. „Jak ta szelma ropucha musi patrzeć na mnie w tej chwili!“

— Pani przyszła zapytać, czemu pan doktór do państwa Borowskich wcale nie zachodzi. Oboje z mężem są niespokojni, czy pan doktór nie chory. Pani bardzo rozpytywała o pana doktora... Niech mi pan za złe nie weźmie, ale ja się przy niej wstydziłam poprostu mej brzydoty. Jakaż ładna! jaka świeża!..

— Dosyć!

— Prosiła, żeby pan doktór nie zapominał. Trzy razy to powtórzyła. Pani przyniosła ze sobą wiązankę kwiatów, myśląc, że pan doktór jest chory. Wejść nie chciała. Rozmawiała ze mną przez próg. Prosiłam bardzo, żeby zostawiła i zdrowemu. Mówiłam, że pan doktór zawsze taki samotny, że kobiet nigdy...

— Dosyć!

Baba położyła ostrożnie garść kwiatów na najbliższem krześle i zamknęła cicho drzwi za sobą.

Kunicki wciąż jeszcze stał nieruchomo przy biurku. Po chwili dopiero sięgnął po receptę i począł ją drzeć na drobne kawałki. Podjął machinalnie jakąś książkę ze stołu, ustawił ją pedantycznie na etażerce, zbliżył się wreszcie wolno do wiązanki kwiatów, powąchał, znalazł się blizko kanapy i osunął na nią. Z kwiatami przy ustach, pod twarzą, zamiast poduszki. Miał wrażenie, że jakaś potężna dłoń wciska mu twarz w te kwiaty. „Patrz, patrz, gnuśny i uparty!“

W głowie miał jedną tylko myśl: „A jednak: — dokonało się!...“



(Ciąg dalszy). Wacław Berent.



PIEŚNI SZALEŃCA.

PRZEDWCZEŚNIE...

Nie zwierzę mego miecza ramionom szaleńca,
By nie stał się narzędziem człowieczej męczarni...
Nie rzucę w żary ognia wątłego róż wieńca,
Bo kwiaty blade żyją pieszczotą cieplarni...

Niech się, o duszo moja, płacz twój nie użala...
Kocham szalonych, lecz im odbieram miecz ostry...
Kocham ogień, choć strzechy swą pożogą spala,
Ale całować żary wzbraniam ustom siostry...

Miecz krwią się nie nasyci, gdy jedną pierś zmoże,
A wytoczyć ocean krwi my dziś pospołu
Za słabi jeszcze... Kwiecie me w płomieniach zgorze,
A czem dla ich łakomej żądzy garść popiołu?

Nie dam ci, duszo, mojej myśli obosiecznej
I żarom twoim nie dam wątłych snów mych wieńca...
Nie rzucę kwiatów w ogni twych szał niebezpieczny
I nie powierzę miecza ramionom szaleńca...

PRAWDA.

Śmiałem się, za kochanki swej idąc pogrzebem,
A płakałem, jarmarcznych błaznów widząc skoki,
Zabiłem dziecko, które darzyło mnie chlebem,
A zbójcy umknąć z kaźni pomogłem głębokiej.

Wśród strasznej nocy blady zgasiłem kaganek,
Chcąc poznać tajnie, które kryje mroków głusza,
A zaświeciłem świecę w jasny złoty ranek,
Bo samej siebie znaleźć nie mogła ma dusza...

A wyście mnie szaleńcem nazwali i w chacie
Zamknęli ciemnej, ręce włożywszy w okowy...
O, czemuż mi szalonym być nie pozwalacie!
Wszakże ja nie złorzeczę nikomu, że zdrowy...

Tajnia życia wam inne, jak mnie, słowa zwierza,
Lecz ludzi wszystkich... Mnie ni wam swojej prawdziwej
Treści nie zdradza... Czemuż więc wasz gniew uderza
Szaleństwo moje?.. Wszakżem ja zdrowym nie krzywy...

MIŁOŚĆ.

Pójdziem, kochanko moja, w życie pełne grozy,
Bo nas nierozerwalna złączyła obroża.
Lecz ty wiedzieć nie będziesz, że kryję powrozy
Na ciebie, a ja w dłoni twej nie ujrzę noża.

Pójdziem pewni, że dusze wybrały się młode
I wolne... Nie przeczuje nasza myśl bezwiedna,
Że ja groźbą powrozów ze sobą cię wiodę
I że mnie z tobą noża grożący cios jedna...

Na Boga! Byle tylko nie milczeć ni chwilę!
Mówmy o kwiatach, gwiazdy wplatajmy w słów wieńce,
Bo gdy milczym, myśl nasza grzebie pilnie w pyle
I jak szpieg przenikliwy patrzy nam na ręce...

Tylko nie milczmy!.. Przejdziem życie nieświadomi,
Że nas strach i nienawiść łączy jak obroża...
Ty nie przeczujesz, że cię lęk powrozów gromi,
Ani ja nie przeczuję w twojej dłoni noża...

SZCZĘŚCIE.

Nie będę pił już nigdy wody z mojej studni...
Niegdyś chłodziła spiekłe gorące me usta...
Nie będę pił z niej nigdy... Nie przeto że pusta...
Trup siny leży na dnie mojej chłodnej studni...

Nie będę nigdy więcej nocował w mej chacie...
Gdym ją opuszczał wczoraj, został w niej ktoś drogi...
Teraz strach mi zabrania powrócić w te progi...
Dzisiaj w nocy śmierć w mojej nocowała chacie...

Chodziłem spraszać druhów mych w szacie odświętnej
Na me wesele, choć mi samemu najtrudniej
Było wierzyć, że szczęściem mój dom się zaludni...
Nie wierzyłem, choć w szacie-m ich spraszał odświętnej...

Bo w głąb otchłannych bezdni nawet wśród południ
Złotych nie wpada słońce w blasków majestacie...
Dzisiaj w nocy śmierć w mojej nocowała chacie...
Trup siny leży na dnie mojej chłodnej studni...

UROKI...

Dziwnie się coś popsuło w moim ciemnym młynie,
Że mi najdroższe ziarno mle na popiół szary,
Odkąd me zboże idzie na chleby dziewczynie,
Którą omija nawet pies-włóczęga stary...

Krzyczano, że się tarza w plugawej rozpuście...
Cóż jam winien, żem musiał ukochać wszeteczną?..
Matka ma zmarła z żalu... O, ludzie odpuśćcie!..
Wszyscy pomrzemy.. Daj jej, Panie, światłość wieczną...

O, dziwne, że mi tylko popiół młyn mój sypie,
A głód mój i dziewczyny mej płacz woła chleba!..
Ostatni kęs spożyłem na mej matki stypie...
Snać klątwę na stodoły me rzuciły nieba...

...Dziś nocą skradłem zboże z braterskich spichlerzy...
Nie rzucę mej dziewczyny dla zbłagania kary...
Tam w chacie, blada głodem, obłąkana leży,
A młyn skradzione zboże mle na popiół szary...

CHWILA.

Oblubienica ślubną zdejmuje zasłonę,
Czeka na pocałunek mój i obietnicę
Pieszczot... O, że mi w takiej chwili przeznaczone
Wprowadzić sny dziewicze w małżeńską łożnicę...

O, w takiej chwili witać mam oblubienicę!
Oto zdejmuje białą swą zasłonę ślubną...
I czeka, abym z siebie zrzucił tajemnicę...
Na Boga! Powstrzymajcie chwilę dla niej zgubną!..

Oblubienica ślubną zdejmuje zasłonę...
O, pozwólcie mi z ramion zdjąć mój kir!.. Jak trudno...
Zda się, że zrósł się ze mną... Jam rany czerwone
Skrywał nim... Z grzechów zszyłem tę szatęułudną...

Chwila nadchodzi... Witać mam oblubienicę...
Na Boga powstrzymajcie chwilę dla niej zgubną...
Ona skona ujrzawszy duszę-upiorzycę...
...Oblubienica zrzuca swą zasłonę ślubną...

SUMIENIE.

Rzuciłem jedną dziewkę, bo-m wszystkie rozkosze
Już wyssał z niej, a oto ta druga mą żądzę
Zażegła, i ją w moje prowadzę wrzeciądze,
I jej pocałunkami krzyk sumienia spłoszę...

Bo wczoraj, gdym tkał sobie weselne okrycie
Z ostatniej pozostałej mi przędzy konopnej,
Wpadła tamta, wzgardzona, w bladości okropnej,
I wszystkie na warsztacie mym stargała nicie...

Wściekły, zabiłem dziewkę, z jej złotych warkoczy
Utkałem sobie szatę i w niej dziś przy uczcie
Weselnej siedzę... Kto mi przypomniał jej oczy!!?
Kto dusi mnie!! Na Boga, szatę ze mnie zwłóczcie!..

Włókna szaty ożyły! Każdy włos, jak żmija,
Ściska się w koło szyi mojej! Jak pętlica...
Tysiąc żmij wkoło ciała mego się owija...
Każdy włos martwy mści się... Śmierć, śmierć trupiolica!..

KLĘSKA.

Czekam... wszystko rozstrzygnąć musi się dziś jeszcze...
Trzy blade, chore siostry me przy świecy siedzą...
Nie widzą mej bladości... o niczem nie wiedzą...
Nagle jedna „Śmierć“ szepnie... i zbiegły mnie dreszcze...

Zgasło światło... Rozpękły drzwi... Trzy czarne mnichy
Wnoszą trzy trumny... Siłą siostry me w nie kładą...
Trzech drugich wchodzi... Wloką trzy krzyże i w bladą
Dłoń krzyż wciskają każdej, przerażeniem cichej...

Siostry szepcą konania modlitwę... Jak chusta
Każda biała... Ja w kącie łkam czarnemi smutki...
I znów trzy mnichy... Gliny przynoszą trzy grudki...
Każdej siostrze na oczy dwie... Trzecią na usta...

I nagle zmilkły modły... Mroki czarne, grube
Padły na moje oczy... O, straszne się stało
Nieszczęście! Biada!.. Wszystko rozstrzygnąć się miało
Dzisiaj — i rozstrzygnęło się na moją zgubę!..

UPIÓR.

Oni śpią w cichych izbach, spokojni jak wczora,
A ja biadam i serce mi młotem się tłucze,
Bo dziś wieczór zamknąłem świątynię — i klucze
Z nieostrożnej mej dłoni wpadły w głąb jeziora...

Skroń swą ustroję liściem ogromnem łopucha,
Twarz natrę sobie mąką, aby była blada,
Ściągnę płaszcz wystrzępiony z żebraczego dziada
I pójdę między ludzi w świat... udawać ducha...

Wiatr mi podarty łachman wydmie, niby skrzydło
Nietoperza... W milczeniu północy ponurem
Będę pod ciche chaty skradał się, kosturem
Bijąc w uśpione okna, jak trupie straszydło...

Przerażę ich! Niech wyją i krzyczą na trwogę,
Bylem zgłuszył swe serce, co tłucze się młotem...
Niech ich skroń także zwilży się śmiertelnym potem!..
Niech nie śpią tak spokojnie, gdy ja spać nie mogę...

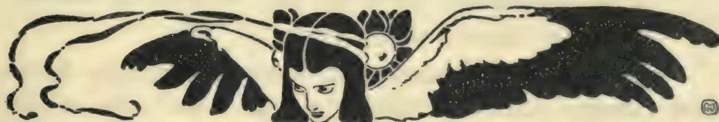
UCIECZKA.

Po com ja pytał ciągle?.. Byłem sobie wrogiem!..
Niegdyś, tęskniąc wśród nocy za ciszy wezgłowiem,
Drżałem obawą trwożną, czy, kiedy za progiem
Śmierci stanę, o prawdzie pragnionej się dowiem...

A dziś mi blada mara niesie rozwiązanie...
O, zamykajcie okna i drzwi na sto rygli!..
Po co ja na swą zgubę rzucałem pytanie!..
Teraz mnie w mej siedzibie wrogowie dościgli!..

Otoczcie dom mój rowem! Usypcie okopy!..
Wydzieram sobie oczy, by nie widzieć mary!..
Przebóg! Pod oknem cichy krok zdradzieckiej stopy...
Biję w mur skronią, aby słuch zgłuszyć na gwary...

Kto mnie dotyka dłonią lodową!.. Kto wrota
Wyłamał!.. Nic nie słyszę... wzrok cięży ołowiem...
Przywiążcie głaz do szyi... skoczę... tam martwota
W głębi wody... A jeśli... tam o tem się... dowiem...



Leopold Staff.



Żałosna historya o pękniętem, porcelanowem sercu japońskiem.

Opowiedziana dla:
Hality Lutosławskiej.

Straszna to była noc — paryska, grudniowa noc...

Deszcz padał, padał, padał — — —

Bulwary były puste, oslizgłe i poczerniałe od wody, a nieskończone szeregi nagich drzew, trzęsły się z zimna i jęczały cicho a boleśnie — bo deszcz je przemaczał do korzeni, bo mroźny wiatr je przewiewał nawskroś, bo oślepiały te, jakby w powietrzu zawieszone, światła elektryczne — a zabijała tęsknota za dniem...

A ta rozmiękła, zimna noc wlekła się tak wolno, tak wolno...

A ten utęskniony dzień był tak rozpaczliwie daleko.

O biedne drzewa marznące!

O biedne psy bezdomne, które przemykały cicho pod zimnemi ścianami, czołgały się na rogach ulic oświetlonych, przystawały, rozglądały się krwawem, przemęczo-

nem spojrzeniem — i głodne, oszalałe trwogą biegły dalej, szukały bez końca...

O niezgłębione, nieopowiedziane tęsknoty nocy zimowych za słońcem!

O rozpaczne krzyki konającego wczoraj! —

O! niepojęte jawy jutra, lęgnącego się jeszcze w bezdniach nocy —

I cisza!... cisza przyczajonej trwogi, cisza ciemnych błyskawic żerujących w przestrzeniach —



A potem nieodgadnione głosy wichru, jaki nagle zerwał się z legowisk nocy i spadł na miasto, szarpał drzewami, tarzał się po rozmiękłych przegniłych ciemnościach i bił zaciekle zimnem, miękkiem cielskiem w olbrzymią wystawę słabo rozświetloną.

Tam, po za tą szklaną ścianą stała Komurasaki i wylękłemi, słodkiemi oczyma patrzyła...

A deszcz mżył nieustannie i grubemi łzami spływał po szkle; a wiatr szalał, śpiewał wabiąco, to krzyczał dziko i groźnie, to chwytał za czuby drzew i groził niemi Komurasaki, to znowu łkał i skomlał cicho a żałośnie, lizał szyby i żebrał o wpuszczenie; a za nim zaglądała zielonawa, okropna noc i patrzyła wilgotnemi oczyma, i te łzy jej szare, zimne ściekały zwolna a ciągle i bezustannie... a w jej głębi, tam po za krzyczącemi z zimna drzewami, widziała Komurasaki straszne, przerażające jawy: — olbrzymie zwierzęta przesuwały się śród cieni, pełzały cicho oczy oślepiające błyskawicami... to jakieś czarne, połyskliwe potwory przebiegały tak ciężko, aż drżała szyba olbrzymia, i w rozchwianem, błękitnawem świetle elektrycznem poruszał się

trwożnie cały ten tłum bogów i ludzi, zapełniający ciżbą marmurów, bronzów i porcelan — wystawę.

Ale po chwili zapadała cisza i znowu zasypiało i nikło wszystko.



Komurasaki tylko czuwała.

W środku wystawy, na podwyższeniu, niby na tronie męki, pokrytym żółtą materyą chińską zahaftowaną czerwonemi smokami, stała Komurasaki — kwitła w mroku niby czarowna a bolesna orchidea — obok niej, z prawej strony wyrastał, smukły jak Narcyz, Antinous z bronzu jasnego, a z lewej, obnażała się w boskim bezwstydzie Venus Callipyge, tak biała, że aż złotawo-różana, jakby utkana z promieni słońca i woni róż purpurowych — a po za niemi majaczyła cała gęstwa ciał, stróżowana przez twarde, sępie głowy cezarów i prokonsulów...

Komurasaki czuwała — a raczej męka trwóg, strachu, osamotnienia paliła się w niej wiecznie czujnym i gryzącym płomieniem; bała się tych wizyj mrocznych, przemykających za szybą, bała się tych nocy nieskończonych i tak zimnych, bała się tego tłumu stojącego za nią, bała się tej twarzy bladej o ognistych oczach, która co wieczór stawała z tamtej strony i, rozpłaszczona na szkle, patrzyła na nią, pożerała ją oczyma...

Czuła się w pośrodku przerażającego chaosu rzeczy nieznanych i strasznych, a ta okropna, zła rzeczywistość otaczająca ją miała już dręczącą siłę snu, który trwał wciąż, snu, z którego przebudzić się nie mogła, nie miała sił —

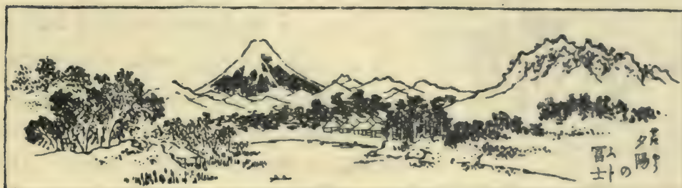
I czuła się tak samą, tak obcą, tak sierocą i tak smutną, że już jej nie przerażał ten olbrzymi tygrys bengalski, który, niedaleko niej, wyprężył grzbiet pręgowany, patrzył krwawym, głodnym wzrokiem, szczerzył ostre kły i czaił się... pełzał ku niej... i był bliżej... coraz bliżej...

A Komurasaki, pełna męki nieopowiedzianej, zgrozy, tęsknoty i rozpaczy, uciekała myślami do ojczyzny dalekiej, dalekiej...

.....i łkała pieśń tęsknoty ustami rozpaczy...

.....i łkała hymn nadziei sercem pełnem śmierci...

...O ziemio moja słoneczna!



Wiśniowe sady stoją w kwiatach, różane, wonne płomienie tryskają wśród liści zielonych, i słońce gra na nich, a motyle tęczą barw, tęczą ametystów, opali, rubinów owiewają je chmurą, wirują, roją się... a pszczoły płyną cicho, brzęcząc pieśń miodną, a strumyki szemrzą po piasku złotym, szemrzą...

...O ziemio moja słoneczna!

Widzę Cię. Czuję Cię. Jestem z Tobą...



Oto wietrzyk nadbiegł od gór sinych, oto wiśniowe drzewa trzęsą kwietnemi kędziorami, a tęcza motyli rozpierzcha się! Jak lecą z drzew płatki różane, jak wirują... jak chwieją się na źdźbłach, jak padają na strumień i płyną!.. Płyną jak łzy moje, jak łzy tęsknoty nieutulonej...

Cień się położył na świerk! Zamilkły ptaki. Zasłuchały się kwiaty, przycichły strumyki, a pierzaste bambusy zapatrzyły się w toń, w czerwone rybki przyczajone na dnie złotem...

...to mój żal płynie z tym cieniem, mój żal, mój żal!...

.....i tęsknota moja i żal! —

...O ziemio moja słoneczna!

Domu mój rodzinny! O siostry moje kwiaty, o bracia moi ptacy, o ziemio matko moja! Dusza moja jest cieniem tęsknoty za wami!

Umieram!

I jak motyl żałobny usiądę na złoconych belkach domu mojego —

...nie spędzajcie go!

...i jak wiśnia dojrzała spadnę na niebieski próg domu mojego —

...nie rzucajcie mnie złym dziobom.

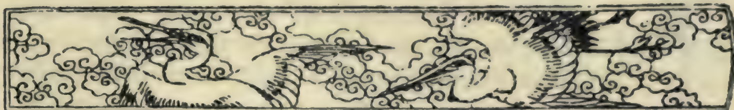
...i jak liliowy chryzantem zakwitnę przed oknami domu mojego —

...nie zrywajcie mnie!

Niechaj okwitnę w ziemi mojej, w oczach waszych niechaj uwiędnę, niechaj nasz wiatr mnie rozwieje w jesieni dniach i rzuci na pierś waszą — a spalą mnie łzy wasze...

— i tęsknota...

— i żal!



Tak łkała Komurasaki pieśń tęsknoty ustami rozpaczy.

A noc płakała za szybami, tylko już ciszej, bo świt nadchodził, a wiatr konał wyczerpany walką, czasem uderzył jeszcze miękkiem bezsilnem skrzydłem w okno, czasem jęknął i zatargał drzewami, i padał przeszywany strzałami świtu miażdżącego noc.

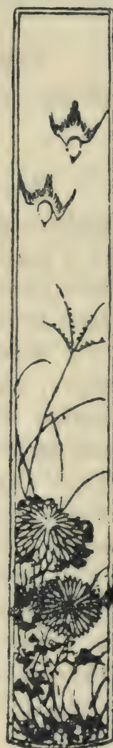
Komurasaki umilkła, bo elektryczne światło zgasło, szary, zimny świt zalał wystawę i ta barbarzyńska ciżba budzić się zaczynała, a ona, otulona we fioletową suknię usianą złotemi chryzantemami, w złotych sandałach na nóżkach, przysłaniała się lekko wachlarzem, kryjąc łzy w czarnych, cudnych oczach i rosnącą obawę przed tym dzikim, strasznym tłumem zalegającym wystawę.

Dzień się czynił wolno, ale w zielonawych, wilgotnych brzaskach coraz wyraźniejsze były głowy, ramiona potężne, to sępie okrutne oczy rzymian, to wyzywające źrenice bachantek, to gwałtowne dzikie ruchy walczących gladyatorów, albo dziwne, somnambulicznie zapatrzone bóstwa egipskie.



Bała się tego tłumu, czuła jego nienawiść do siebie i sama pogardzała całą mocą swej kwietnej duszy tymi barbarzyńcami. Miała niepokonany wstręt do ich twarzy twardych, do ich póz rubasznych, ruchów dzikich, spojrzeń okrutnych, chichotów przebrzydłych — do całej tej rasy białych bydląt.

A oni jednoczyli się wszyscy w nienawiści dla tej cudnej, dla tego kwiatu japońskiego; Rzymianie i Grecy, barbarzyńcy i Cezarowie, bogowie i bydlęta ludzkie, różowe margrabiny z czasów Ludwika XV i chińscy mandaryni — wszyscy się łączyli przeciwko Komurasaki w zwartą ligę szydzących, w tłum nienawiści przeciwko niej, przeciwko jej królowaniu, przeciwko jej piękności, przeciwko ej rasie.



Tylko jeden Antinous nie brał udziału w tem sprzysiężeniu, stał obok, tęskny, dziwny, z pochyloną nieco głową, jak kwiat rozwinięty i zadumany; jego boskie ciało, z jasnego, bursztynowej barwy bronzu, kwitło czarem, dyszało, jakby piżmem, szlachetnością linii i spokojem. Czasem spoglądał na nią tym dziwnym, słodkim a niepokojącym wzrokiem duszy roślinnej, wzrokiem wód lub kwiatów.

A wtedy Komurasaki czuła dziwną tkliwość w swojem porcelanowem sercu, dziwne zamieranie, i czarowne zamyślenia niby roje motyli obsiadały jej duszę zmęczoną; ustępowały trwogi, milkła na chwilę tęsknota, a uśmiech promienny, uśmiech wiosennego poranku kwitł

na jej drobnych, czarownych usteczkach, i radość kwiatów, otwierających kielichy pod pocałunkami słońca, przenikała jej złotawe ciało...

Czasem tylko spoglądał na nią, bo częściej patrzył na Venus Callipyge, stojącą z drugiej strony, obnażającą się boskim ruchem bezwstydu, i tak piękną, tak potężną w swojej nagości, tak lubieżnie przechyloną, że nawet sępie oczy Cezarów mgliły się żądzą.

I wtedy ciche łzy bólu i wstydu niewytłómaczonego zalewały serce Komurasaki, i głębiej jeszcze czuła swoje osamotnienie.

A Venus nie patrzyła na nią nigdy, nie istniała dla niej ta drobna, porcelanowa figurka Japonki, nie istniała dla niej ta cudna, żółtawa twarz o przesubtelnym rysunku, ani jej oczy skośne a słodkie jak promienie wiosenne, a patrzące tak bojaźliwie i cicho, jak leśne kwiaty pod dębami, ani jej różane jutrzenkowe usta, ani jej szaty królewskiego przepychu, ani jej czarne włosy przetykane perłami, upięte wysoko — nie, Venus widziała tylko nagość swoją i Antinousa.

I ta jej niema, bezoczna pogarda najcięższej bolała Komurasaki.



Wiedział o tem tylko ten stary, obrzydliwy Chińczyk, który siedział w samej głębi wystawy, na podwyższeniu, patrzył przymrużonemi ironią oczyma, kiwał wiecznie głową i uśmiechał się drwiąco.

A gdy dzień rozkwitł już zupełnie, gdy słońce przedarło się przez gąszcze nagich gałęzi i zalało wystawę — ożyły marmury, bronzy i porcelany...

Życie buchnęło ze wszystkich ciał i falą spojrzeń, ruchów, głosów płynęło po roziskrzonych ławicach światła.

— Gracye tuliły się do siebie w ekstazie słonecznego hymnu;

— Gladyatorzy walczyli zacieklej, ich pogięte ciała prężyły się nienawiścią, dyszały wysiłkiem;

— Dyskobole rzucali dyski z taką mocą, że ostry świst przelatujących kręgów przecinał powietrze;

— Marmurowa kwadryga porywana przez rozszalałe rumaki leciała po słonecznym promieniu;

— Satyr z Lateranu tańczył z takiem upojeniem, że ciało jego drgało i skrzyło się w słońcu jak woda;

— Faun porywał bachantkę, tulił ją lubieżnym ruchem i gnał ze śmiechem tam... w gąszcze leśne;

— Dyana sięgała po strzały i powstrzymywała sforę rwącą się gwałtownie;

— Tancerki z Chios, ująwszy się za ręce, szalały w tańcu bachicznym;

— Merkury płynął słonecznym szlakiem;

— Zeus spoglądał chmurnie na Prozerpinę tonącą w gąszczu Panów i Faunów; —

— Margrabiny spoglądały słodko na wykwintnych, pogiętych w ukłonach kawalerów;

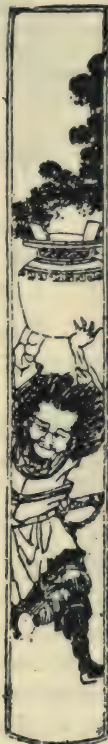
— A lwy numidyjskie, tygrysy bengalskie czołgały się i ryczały straszliwie — — —

.....i krzyk zatrząsł ciżbą, śmiechy, śpiewy, wołania, szaleństwo, nadmiar życia wytryskał z tych ciał nagich, promieniował i bił ku słońcu hymnem potęgi; mgła upojenia przesłaniała oczy, radość istnienia, życie samo zataczało szalony chorowód — — —

.....tylko stary, obrzydły Chińczyk kiwał wciąż głową i uśmiechał się złośliwie...

.....tylko głowy Cezarów patrzyły wciąż sępim, drapieżnym wzrokiem...

.....tylko Komurasaki milczała, trwogi pełna i znużenia...



Och! bała się tych dni słonecznych — bo wtedy szaleli, wymyślali najstraszniejsze dla niej udręczenia — raz, namówili woźnicę kwadrygi, żeby ją przejechał, i kwadryga dnie całe, może lata całe, zsuwała się zwolna po pochyłej wystawie... aż dnia pewnego przeleciała po niej jak wicher, przebiła szybę i padła na trotuar!

Ale Komurasaki, cudem jakimś ocalała, odłamał jej się tylko wachlarz, który przyklejono natychmiast.

To znowu rzucali na nią pijane, cuchnące winem bachantki... to szczuli ją psami Dyany, lub podrażniali na nią lwy... Ocalał ją zawsze ten straszny, o pięciu cienkich głowach, potwór, który wychylał się z za jedwabnych zasłon oddzielających wystawę od sklepu, chwytał nieprzyjaciela, obwijał go sobą i porywał...

Milkły wtedy głosy, trwoga biła w sercach, bo ilekroć zjawił się ten potwór, wtedy ginął na wieki któryś z Bogów czy ludzi, — i, już go nigdy nie oglądały oczy marmurów, bronzów i porcelan...

Zapominali wtedy o Komurasaki, zapominali o tańcach, bijatykach, śpiewach, i obumarli z lęku czekali ciosu przez chwilę — przez krótką chwilę — bo te ruchliwe jak strumienie dusze, te dusze boskich ciał, nie pamiętały wczoraj i nie dbały o jutro — żyły blaskami słońca i razem z niemi przepadały.

Ale Komurasaki pamiętała, i, z tragicznym lękiem, nasłuchiwała coraz częściej chrzęstu zasłony jedwabnej,

i z grozą niewysłowną czekała, aż i po nią wyciągną się głowy potworu... obwiną ją sobą i rzucą...



Gdzie?... Gdzie?... pytała napróżno, pełna udręczenia.

I pewnego dnia szepnął za zasłoną głos podobny gromom:

— Komurasaki! Ależ to arcydzieło, to cud!...

Przymknęła oczy z bólu, bo głos ten przeszył ją nawskroś i rozhuczał się w niej jak pogrzebowe tamtamy— ale tego dnia nie wychylił się jeszcze po nią pięciogłowy potwór, tylko wieczorem, dłużej niż zwykle, patrzyła na nią przez szyby blada twarz i pożerała ją, wypijała płomiennemi oczyma...

Komurasaki widziała dokoła otchłanie, przerażające otchłanie nicości...

I niczem się jej wydały dotychczasowe cierpienia — niczem tęsknota, niczem zniewagi i szyderstwa barbarzyńców, niczem samotność, niczem łzy i udręczenia — wobec strasznej pewności, że potwór się wychyli, porwie ją i rzuci w nicość...

Nie płakała już, bo wicher trwogi śmiertelnej wysuszył źródło łez; nie krzyczała — czując, iż nicość nie odpowie echem; stała zatopiona w niemym krzyku, w gorzkiem strasznie czuciu, że niema ratunku i niema miłosierdzia — —

I umarła już prawie przed śmiercią, gdy Antinous spojrzał na nią i patrzył długo, i tak dziwnie, tak słodko

wgrążały się w nią oczy jego, że poczuła w sercu drgnienie jakieś, jakby poczynającej się nadziei, jakby zorzanych świtów dnia jakiegoś...



Ach, te oczy, słodkie a palące te oczy zapadły w nią, na samo dno duszy, i rozpalały na nowo szaloną, aż dziką żądzę życia. —

A gdy znowu nadeszła zimna i posępna noc, gdy szydercza wrzawa przycichła zgaszona przez ciemność i monotonne chlupotanie deszczów, — tęsknota ogarnęła wszystkich i jak płomień żarła te marmurowe, bronzowe i porcelanowe serca; podniósł się cichy, przejmujący, żałosny chór jęków, i łkań, i modlitw.

Dyana śpiewała łzawą pieśń o gajach świętych, o pluskach źródeł przeczystych, o Grecyi, o wolności, o słońcu —

A tłum bogów i ludzi wtórował jej jękiem, płaczem i żałością. —

O, wtedy Komurasaki porwała się w sobie i wybuchnęła.

Pochyliła słodką twarz ku Antinousowi i zaśpiewała krótką a rozpaczliwą pieśń — żebrzącą pieśń miłości — konającego istnienia pieśń —

— — O weź mnie, otocz ramionami potęgi, ukryj na piersi swojej i nie daj mnie śmierci...

Kocham Cię i chcę żyć.

— — O weź mnie, bo boję się sama, bo noc pełza, bo śmierć wyciąga straszne szpony po mnie, bo już czuję jej oddech straszny...

Kocham Cię i chcę żyć!

Chcę żyć!
Choćby życiem robaka, choćby ży-
[ciem rośliny —
Chcę żyć, chcę żyć! —
Kocham Cię!
Noc mnie wypija, śmierć mnie okręca
czarnemi skrzydły, ginę, przepadam — —
Zbaw mnie...
Kocham Cię!...

Ale Antinous nie słuchał, rozmarzał się wspomnieniami, może o Aleksandryi ojczystej, może o Hadryanie...



Oprzytomniała, była jakby w świątyni pełnej bóstw egipskich i hinduskich, olbrzymi Budda siedział w pośrodku i błogosławiący gest czynił nad światem, a blada twarz pożerała ją oczyma i pocałunkami.

Nie umarła Komurasaki, ale konała z tęsknoty — o, tak! tęskniła za Antinousem, tęskniła tak bezbrzeżnie, że jej zbolała twarz poczerniała z męki, oczy przygasły, zalane łzami niewypłakanemi, kąty ust zgorzkniały, ścierpły, zbrzydła —



Spostrzegły to płonące oczy bladej twarzy — spostrzegły i płakały.

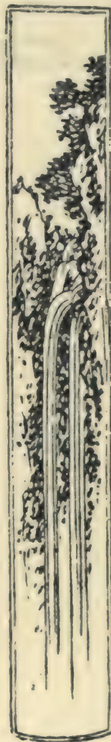
— Nie kocham cię, Komurasaki.

Wiem teraz, że to nie ciebie kochałem. Marzyłem o tobie — ale to nie ty jeszcze, nie ty —

I płakał przed nią; płakał rozpaczą zawodu; płakał łzami tęsknoty do tej wyśnionej, do utęsknionej — do tej, która była w nim — ale może nie istniała nigdzie...

I żeby utulić swój smutek, odniósł Komurasaki do sklepu.

Ożyła Komurasaki, miała ujrzeć jego, Antinousa, szczęście swoje, ucieczkę, zbawienie jedyne. Rozpromieniła się i zajaśniała taką pięknością rozradowania, że blada twarz spojrzała na nią zdumiona.



— Jakaś ty piękna! Nie, nie — bronił się — to miłość moja, to tęsknota moja, widzi cię piękną — ale ty nie jesteś moją miłością, ty nie jesteś nią...

A Komurasaki szalała ze szczęścia. Dusza jej wezbrała jak potok wiosenny, rozkwitła jak łąki, rozśpiewała się miłością, szczęściem zmartwychwstania!

— Idę do Ciebie, luby mój!

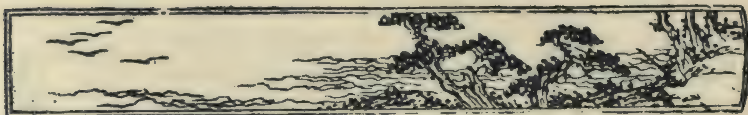
Rozkwitnę na twej piersi kwiatem szczęścia, kwiatem miłości, kwiatem życia.

I słodką pieśń dziękczynienia zaśpiewam ci, o zbawco mój... —

śpiewała Komurasaki, gdy pięciogłowy potwór stawiał ją na dawnem miejscu; tak się chwiała upojona szczęściem, że gdy ujrzała słodkie oczekujące spojrzenie Antinousa, oszalała z radości i w uniesieniu najwyższem padła mu tak

namiętnie w ramiona, że rozprysła się o tę pierś zbawczą na kawałki...

I tak pękło to słodkie porcelanowe serce Komurasaki.



Wł. St. Reymont.

Spokój.

I.

Śród cyprysów, posępnie strzelających w górę,
Na stoku wzgórza, w łące z anemonów litej,
Walały się prastare grobowcowe płyty,
Szare, we mchy odziane, niby w owczą skórę.

Na nich zwietrzałe twarze, spokojem ponure, —
Pod niemi legły groźnych bohaterów ciała,
Niewzruszone, choć burza nad ziemią leciała
I gromów zygzakami w strzępy darła chmurę.

Lecz cmentarz nie był wyspą bezludną na świecie.
Przechodząc drogą, pielgrzym obrał w nim mieszkanie,
Chodził nago, spał w cieniu, lub grzał ciało w słońcu.

W nocy z kamiennych twarzy czerpał przy miesiącu
Spokój, albo trawiaste z nich wypełał śmiecie
I łatał gruz w grobowiec, skracając czekanie.

II

Czasami myśl potężna w głowie mu się rodzi
I pędzi w dal, jak wielkie rozhukane konie,
Co przelecą jak orkan, znikną w nieboskłonie,
A kopyt ślad po wiekach jeszcze się znachodzi.

Wyrywa głazy z ziemi, w mury niemi godzi;
Że dyskobolem niegdyś był pierwszym, wspomina,
Dumny z giętkiego ciała, jak naga dziewczyna.
Powracać chce do żywych, z cmentarza wychodzi.

Lecz za bramą w zadumie zatrzymuje kroki:
To kamiennego żal mu spokoju cmentarza;
To chciałby bratnie duchy wyrwać z pod opoki,

By z nimi iść! Po chwili znowu w bramę biegnie;
Wracać w służbę do ludzi sam się nie odważa...
Więc, żyjąc w państwie grobów, czeka, aż w niem legnie.

Henryk Ochenkowski.

ŻART, SATYRA, IRONIA I GŁĘBSZE ZNACZENIE

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY.

BARON von HALDUNGEN.
LIDDY, jego siostrzenica.
Pan von WERNTHAL.
Baron von MORDAX.
Pan MOLLFELS.
TRUTKA, poeta.
BAKAŁARZ wiejski.
TOBIASZ, chłop.
BOGUMIŁEK, jego syn.
MAŁGOSIA, dziewka sędziny.
KONRAD, kowal.
CZTERECH NATURALISTÓW.
DYABEŁ.
BABKA dyabła.
CESARZ NERON, jej służący.
GRABBE, autor komedyi.
Trzynastu krawczyków, oraz inne podrzędne osobistości.

Rzecz dzieje się we wsi barona lub w okolicy.



AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Izba bakałarza. BAKAŁARZ siedzi przy stole i nalewa sobie z wielkiej butli jedną szklankę za drugą.

BAKAŁARZ.

Utile cum dulci, wódka z cukrem! — Gorzki dzień obiecuje mi się dzisiaj, — mam w chłopaków wiejskich wnękać pierwszą odmianę rzeczowników. Chłopaczyska ze wsi i pierwsza deklinacya! To jak gdyby kruk miał wdziać czystą koszulę! Wygląda przez okno. Do stu piorunów! toż tu idzie pokraczny Tobiasz, ze swym głupawym bębnem. Niech cię licho! gdzież tu schować wódkę? Żywo, żywo! ukryjmy ją w brzuchu. Wychyla butlę z niezmierną szybkością. No, tego łyku nie powstydziłby się sam Pestalozzi! A pustą buteleczkę — przez okno precz!

Wchodzi Tobiasz z Bogumiłkiem.

TOBIASZ.

Jakże się spało, panie bakałarzu?

BAKAŁARZ.

Bóg zapłać, kumie, Bóg zapłać! — Cóż w rodzinie,— wszystko dobrze?

TOBIASZ.

Te, — nijak! Żona niby zdrowa, ale najlepsza moja świnia leży w ostatnich podrygach. Stęka i jęczy jak stary chłop.

BAKAŁARZ.

Żałuję, żałuję, równie świni jak starego chłopa.

TOBIASZ.

Jakże tam na politycznym widnokręgu, panie bakałarzu? Co piszą ostatnie gazety? Cóż grek, — zwyciężył? Przepędził nareszcie odwiecznego wroga?

BAKAŁARZ.

Konjunktury nie są zbyt niekorzystne. *Hamburska Niezależna* uśmierciła znowu 30000 turków, zaś *Korespondent Norymberski* gwałci wciąż niezmordowanie greckie dziewice z najszlachetniejszych rodów. Szepczą sobie również na ucho, ze źródeł najbardziej wiarogodnych, że rozbita armia Ypsilantiego odniosła w wielkiej batalii z 25-go przyszłego miesiąca walne zwycięztwo.

TOBIASZ, z nosem w górę, z gębą w szerz.

Dwudziestego piątego przyszłego mie....?

BAKAŁARZ.

Nie dziw się pan, panie Tobiaszu! Kuryery szybko jadą! Ulepszone trakty, ulepszone trakty!

TOBIASZ.

Jezus, Marya! Taki trakt pocztowy, po którym kuryer o miesiąc zawczas przybiega, radbym przed śmiercią jeszcze zobaczyć!

BAKAŁARZ.

Oczywiście, u nas w kraju coś podobnego rzadko się przytrafia. Mimo to musisz pan, panie Tobiaszu, wiedzieć z własnego doświadczenia, że dobry koń na dobrej drodze godzinną zwykle drogę w pół godziny przejedzie. Wyobraź-że pan sobie konia coraz to lepszego, szosę coraz to doskonalszą, — w końcu stanie się zupełnie naturalnem, że pański koń przejedzie swą drogę w kwadrans, w dziesięć minut, w minutę, w nic, w zgoła nic i nareszcie w mniej niż nic! Pojąłeś pan?

TOBIASZ.

Pojąć, to pojąłem, ale zrozumieć, — niech mnie dyabli porwą! — wciąż jeszcze nie rozumiem.

BAKAŁARZ.

Skoroś mnie pan pojął, nie wiele stanowi, czyś pan mnie przytem i zrozumiał. — Ale, jak to Cyceron do Cezara woła: — hę, a cóż tam wyciągasz z kieszeni?

TOBIASZ.

Otóż to, po co właściwie z Bogumiłkiem tu zaszedłem. Żona każe się pięknie kłaniać i prosi, abyś pan nie pogardził tą kiełbasą.

BAKAŁARZ.

Abym nie pogardził..? **Porywa kiełbasę i zjada ją.**

TOBIASZ.

Widzisz pan, nasz Bogumiłek ma robaki, przeto żona moja myśli, że z niego będzie kiedyś uczony. — Prawda, Bogumiłku, ty chcesz być uczonym?

BOGUMIŁEK.

Tak jest, ja mam robaki.

BAKAŁARZ.

Kumie, możecie być przekonani, że potrafię cenić obiecujące skłonności pełnego nadziei syna waszego.

TOBIASZ.

To też życzymy sobie, ja i moja żona, abyś go pan wziął do siebie i — powiedziawszy z całym respektem — wychował na pastora. Tak chętnie widzielibyśmy go, powiedziawszy z całym respektem, na kazalnicy!— W uznaniu zasług, gotowiśmy przysyłać co święty Marcin dziewięć tłustych gęsi i beczułkę wódki.

BAKAŁARZ.

Beczułkę? I pełną po brzegi?

TOBIASZ.

Aż się przelewać będzie, panie bakałarzu.

BAKAŁARZ.

Co cal, — to wódka! Pański syn należy do najwybitniejszych głów! Wtajemniczę go nietylko w najgłębsze tajniki Dogmatyki, Homiletyki i inne pomocnicze gałęzie Teologii, lecz nadto w plastyczną, idyliczną i mefityczną wiedzę główną naszych kaznodziei wiejskich, jako to: w zakłówanie świń, zarzynanie krów, ładowanie nawozu. Aby panu dowieść, jak bardzo leży mi na sercu powodzenie

Bogumiłka, pójdę z nim dziś jeszcze na zamek, aby go przedstawić wczoraj przybyłej młodej baronównie i jej wujowi, oraz zaprodukować Bogumiłka, jako wielkiego geniusza. Może udzielą mu nadzwyczajnego wsparcia na cele dalszych studyów.

TOBIASZ.

O, uczyń to pan, panie bakałarzu! Tylko, proszę, nie zamęczaj chłopca nauką. Mam parę wołów, co głową ciągnąć muszą: wiem, co znaczy pracować głową. — Zostańcie z Bogiem. Odchodzi.

BAKAŁARZ, do Bogumiłka.

Chodź-że teraz, ośle, i uważaj, co powiem. Pragnę cię pouczyć, jak się masz zachować na zamku, aby uczynić wrażenie genialnego człowieka. Jedno z dwojga: albo trzymaj język za zębami, — wówczas pomyślą: „Do stu dyabłów, ten musi mieć wiele do przemilczenia, skoro słówkiem się nie odezwie"; — albo gadaj rzeczy szalone, gdyż wtedy pomyślą: „Do stu dyabłów, ten musi głębokie rzeczy wygłaszać, skoro my, którzy zresztą wszystko rozumiemy, nie pojęliśmy nic zgoła." Możesz również zjadać pająki, lub połykać muchy: „Do stu dyabłów, — zdziwią się wówczas, — to musi być wielki człowiek (albo, jak względem ciebie byłoby stosowniej, — wielki młodzieniec), skoro nie brzydzi się muchami i pajęczyną." — Mów teraz, bydlątko, której rady chcesz posłuchać?

BOGUMIŁEK.

Chcę trzymać język za zębami.

BAKAŁARZ.

Mnie tam wszystko jedno, przytrzymuj go sobie nawet dłonią; wygląda to jeszcze bardziej alegorycznie i nie jest

pozbawione poezyi. Jednego wszakże koniecznego rekwizytu nie mogę ci oszczędzić, — powinieneś od czasu do czasu okazać coś w rodzaju genialnego roztargnienia. Uczynisz to mniej więcej tak, mój Bogumiłku. Wychodząc z domu, weźmiesz do kieszonki od zegarka zdechłego kota; gdy następnie będziesz spacerował w towarzystwie jakiej pięknej panny, lub gwiazdy na niebie z nią przepatrywał, wówczasz wyciągniesz zdechłego kota sobie pod nos, jakgdybyś w niego kichnąć zamierzał. Panna zblednie oczywiście jak trup i wykrzyknie: „Saperlot, zdechły kot!“ Ty wtedy rzekniesz w roztargnieniu: „Ach, mój Boże, jam sądził, że to jest gwiazda z firmamentu.“ — Widzisz, potworku, coś podobnego daje sławę oryginalności. **Uderza go w twarz.**

BOGUMIŁEK.

Oj! oj! oj!

BAKAŁARZ.

Nie wrzeszcz, synku! *Utile cum dulci.* Wiedz, że to należy do subtelności mej metody wychowawczej: przy każdej ciekawej nauce wybijam na twarzy ucznia przenikający przez wszystkie kości policzek. Gdy kiedyś przypomni go sobie, ocknie mu się w pamięci i nauka, która policzkowi towarzyszyła. — Ale teraz marsz na zamek! — Umocz-że pióro w kałamarzu i przeciągnij mi skośnie przez twarz i poprzez nos grubą kréchę atramentem. Niech jaśni państwo widzą nawet na mem obliczu ślady pilności. **Bogumiłek przeciąga mu grubą czarną kréchę przez twarz i obaj wychodzą.**

SCENA II.

Jasny, ciepły dzień słoneczny. DYABEŁ siedzi na wzgórzu i marznie.

DYABEŁ.

U, ależ zimno! — oj zimno! — w piekle byłoby cieplej! — Satyryczna babunia uszyła mi wprawdzie futrzanych koszul siedem (jako że liczba siedem najczęściej powtarza się w biblii), siedem płaszczyków futrzanych, siedem futrzanych kapturków, — ale zimno mimo to! — oj zimno! — Gdybyż módz choć drzew nakraść, lub las zapalić — las zapalić! — Do stu aniołów, tożby było coś niezwykłego, żeby dyabeł miał zmarznąć! Drzew nakraść, — las zapalić — zapalić — nakraść — — Zamarza.

Wchodzi NATURALISTA, zajęty poszukiwaniem roślin.

NATURALISTA.

Dalibóg w tych stronach znajdują się rzadkie rośliny. Panie Boże, któż tam na ziemi leży? Człek nieżywy i, jak się zdaje, najwyraźniej zmarznięty No, to byłoby szczególniejsze. Cud, jeśli bywają cuda! Mamy dzisiaj drugiego sierpnia, słońce praży, doczekałem się chyba najgorętszego dnia w mem życiu, a ten człowiek ośmiela się, wbrew wszelkim regułom i spostrzeżeniom ludzi uczonych, zmarznąć najbezczelniej! — Nie, to jest niemożebne, to jest absolutnie niemożebne! Trzeba czemprędzej nałożyć okulary! — Nałożyłem okulary, a ten nicpoń mimo to zmarzł. Niebywałe, nadzwyczajne! Muszę go pokazać kolegom. Chwyta dyabła za kołnierz i wlecze go ze sobą.

SCENA III.

Sala na zamku. DYABEŁ leży na stole, otacza go CZTERECH NATURALISTÓW.

PIERWSZY NATURALISTA.

Musicie mi panowie przyznać, że sprawa tego nieboszczyka jest nader zawiłym problemem.

DRUGI NATURALISTA.

To zależy! Najgorszem jest to, że jego futrzane szaty tworzą tak przepaścisty labirynt, iż nawet podróżnik Cook, co świat objechał, nie potrafiłby ich rozpiąć.

PIERWSZY NATURALISTA.

Musicie mi przyznać, że to jest człowiek.

TRZECI NATURALISTA.

Oczywiście! Toć ma pięć palców i nie posiada ogona.

CZWARTY NATURALISTA.

Należy tylko rozstrzygnąć pytanie, co to za człowiek?

PIERWSZY NATURALISTA.

Słusznie! Przystępując wszakże do badań, nie jest się nigdy dosyć ostrożnym. To też, mimo że dzień jest jasny, radzę zapalić jeszcze światło.

TRZECI NATURALISTA.

Bardzo słusznie, panie kolego! **Zapalają światło i stawiają je tuż obok dyabła na stole.**

PIERWSZY NATURALISTA, po długiej pauzie, podczas której wszyscy czterej przypatrywali się dyabłu z natężoną uwagą.

Moi panowie, sądzę, że w sprawie tego zagadkowego trupa doszedłem wreszcie do pożądanej jasności sądu, i mam nadzieję, że się nie mylę. Zauważcie, proszę, ten zadarty nos, te szerokie pyskate wargi, — zauważcie, powiadam, tę niedającą się wprost podrobić cechę boskiej trywialności, rozlaną po całem obliczu, a przestaniecie wątpić, że leży oto przed nami współczesny recenzent, i to jeden z najtypowszych.

DRUGI NATURALISTA.

Kochany kolego, nie mogę całkowicie pisać się na niezmiernie zresztą bystry sąd jego. Pominąwszy już, że dzisiejsi recenzenci, zwłaszcza krytycy teatralni, są—według mego zdania — raczej prostodusznie naiwni, aniżeli trywialni, — nie dostrzegam w twarzy nieboszczyka ani jednej z cech wyliczonych przed chwilą. Przeciwnie, widzę w niej raczej coś dziewiczego!.. Te krzaczaste, zwisłe brwi świadczą o wątłej kobiecej wstydliwości, która nawet spojrzenia swe ukryć się stara; zaś nos, który pan zwiesz zadartym, jest dla mnie jakby przez grzeczność odchylonym, aby łaknącemu kochankowi wygodzić jaknajwiększem miejscem dla pocałunku. Jednem słowem, o ile pozory mnie nie mylą, mamy do czynienia z córką pastora.

TRZECI NATURALISTA.

Muszę wyznać, mój panie, że ta hypoteza wydaje mi się nieco śmiałą. Co do mnie, przypuszczam, że nieboszczyk jest dyabłem.

PIERWSZY i DRUGI NATURALISTA.

To jest *ab initio* niemożliwe, ponieważ dyabeł nie pasuje do naszego systemu.

CZWARTY NATURALISTA.

Nie sprzeczajcie się, czcigodni panowie koledzy. Chcę wam obwieścić moje zdanie i gotówem pójść o zakład, że przyklaśniecie memu sądowi. Zauważcie tę niesłychaną brzydotę, która zdaje się skrzeczyć natrętnie z każdego rysu tej twarzy, — a będziecie musieli przyznać, że taka potworność nie egzystowałaby na świecie, gdyby nie było niemieckich autorek.

Pozostali trzej NATURALIŚCI.

Tak, to jest niemiecka literatka! Ustępujemy przed powagą słusznych argumentów.

CZWARTY NATURALISTA.

Dziękuję kolegom! — Ale cóż to? Zauważyliście panowie: od czasu jak podsunęliśmy jej światło pod nos, nieboszczka zaczyna się poruszać? Oto palce jej się kurczą — porusza głową — otwiera oczy — ona żyje!

DYABEŁ, unosząc się na stole.

Gdzież ja jestem? — Uu, — marznę wciąż jeszcze! Do naturalistów. Moi panowie, zamknijcie, proszę, oba okna; nie znoszę przeciągu!

PIERWSZY NATURALISTA, zamykając okno.

Pani cierpi prawdopodobnie na płuca?

DYABEŁ, złażąc ze stołu.

Niezawsze! Gdy siedzę w dobrze napalonym piecu, wówczas nie.

DRUGI NATURALISTA.

Co takiego? co? Pani siadujesz w napalonym piecu?

DYABEŁ.

Tak jest. Mam zwyczaj czasami tam siadywać.

TRZECI NATURALISTA.

Szczególne przyzwyczajenie! Notuje skrzętnie.

CZWARTY NATURALISTA.

Wszak pani jesteś literatką? Czyż nie?

DYABEŁ.

Literatką? A cóż to znów ma znaczyć? Te kobiety dyabeł czasem biesi, ale niechże Bóg dyabła broni, aby one dyabłami się stały.

NATURALIŚCI razem.

A więc jednak dyabeł? dyabeł?! Chcą uciekać.

DYABEŁ, na stronie.

No, teraz muszę łgać, — łgać, co się zmieści! Głośno: Panowie! panowie! dokądże to? Uspokójcie się, proszę! Nie będziecie chyba uciekali przed małym żartem? Pozwoliłem sobie zadrwić z własnego imienia.

Naturaliści powracają.

Nazywam się: Dyabeł, ale dyabłem nie jestem.

PIERWSZY NATURALISTA.

Z kimże więc mamy przyjemność?

DYABEŁ.

Teofil Chrystyan Teufel, kanonik w służbie księcia X, członek honorowy towarzystwa rozpowszechniania wiary chrześciańskiej pośród żydów, kawaler papieskiego orderu zasługi. — Order otrzymałem niedawno, właśnie w wie-

kach średnich, za utrzymywanie motłochu w ustawicznej trwodze.

TRZECI NATURALISTA.

W takim razie musisz pan być w bardzo poważnym już wieku?

DYABEŁ.

Mylisz się pan. Mam zaledwie lat 11.

TRZECI NATURALISTA, do drugiego.

E, to największy łgarz, jakiego kiedykolwiek oglądałem!

DRUGI NATURALISTA, do trzeciego.

Jako taki, będzie się bardzo damom podobał.

DYABEŁ zbliża się coraz bardziej do światła i wtyka nareszcie palec w ogień

PIERWSZY NATURALISTA.

Na litość boską, księże kanoniku, pan wtykasz palec w ogień!

DYABEŁ, zmieszany, cofa palec.

Tak — lubię — od czasu do czasu — wsadzić palec w ogień.

TRZECI NATURALISTA.

Szczególne upodobanie! Zapisuje skrzętnie.

Wchodzą BARON, LIDDY, WERNTHAL i TRUTKA.

CZWARTY NATURALISTA.

Ach, pan Baron i reszta towarzystwa!

PIERWSZY NATURALISTA, zwracając się do wchodzących.

Przedstawiam państwu kanonika Teofila Teufel, który w wiekach średnich otrzymał od papieża order cywilnej zasługi; siaduje chętnie w dobrze napalonych piecach i rad wtyka palec w ogień.

TRUTKA.

A, panie kanoniku, zjawiasz się pan w samą porę, aby połączyć piękną Liddy z panem von Wernthal.

DYABEŁ, w kłopocie.

Połączyć? Ja? Półgłosem: Do stu świętych piorunów! Nie znam formuły kościelnej!

LIDDY.

Nie klnij-że pan tak strasznie, kanoniku! Na połączenie możemy jeszcze dobrych kilka poczekać miesięcy.

WERNTHAL.

Jak pani możesz kazać mi tak długo wyczekiwać na tę rękę, którą z takiem utęsknieniem do ust przyciskam?

LIDDY, usuwając niechętnie rękę.

Panie von Wernthal, proszę, daj pan pokój! Tak nie lubię tych dziwactw.

WERNTHAL.

O, droga panno Liddy, ubóstwiam panią tak bezgranicznie, że...

BARON częstuje go czemprędzej tabaką.

Tabaki, panie von Wernthal. Wernthal bierze niuch tabaki i kicha.

DYABEŁ zbliżył się tymczasem do światła i wetknął znowu palec w płomień.

NATURALIŚCI, którzy na każde jego poruszenie pilną zwracali uwagę, wykrzykują teraz jednogłośnie:

Patrzcie, patrzcie państwo, kanonik znowu palec w płomień wtyka.

DYABEŁ.

E, kiedy tak! — Prawą ręką wyrywa sobie lewe ramię, rozdziela niem chłostę między naturalistów i przepędza ich w ten sposób za drzwi; potem przytwierdza sobie ramię i powraca do towarzystwa.

TRUTKA.

Ależ panie! panie! co pan każesz myśleć o sobie? Wyrywasz pan sobie ramię i nakładasz je znowu jak pończochę. Doprawdy, to nawet w poezyi byłoby zbyt śmiałe, a cóż dopiero w życiu!

DYABEŁ.

Przestraszają pana drobiazgi! Nic więcej, tylko trocha zręczności! Studyowałem w uniwersytecie ***, gdzie na wykładach można ubocznie nabrać nieco wiadomości i co do takich sztuczek.

SŁUŻĄCY, we drzwiach.

Bakałarz pragnie być dopuszczonym przed jaśnie państwo. Przyprowadził ze sobą geniusza, którego radby zaprodukować.

BARON.

Powiedz temu opojowi, żeby się wraz ze swoim geniuszem wynosił do stu dyabłów.

LIDDY.

E, wujaszek psuje nam zabawę. Bakałarz jest najweselszym szelmą, jakiego znałam, a przy głupocie, o któ-

rą go podejrzewają, wie znakomicie, co czyni! Wynalazł prawdopodobnie we wsi zakutego jakiegoś gamonia i przedstawi go nam jako wielkiego poetę, przyrównywając go z całą bezczelnością do Homera lub Ariosta.

BARON.

Niech więc przyjdzie. Służący odchodzi. Ale pan, panie kanoniku, musisz go nieco przycisnąć!

DYABEŁ.

Już ja go wezmę na pacierze, panie baronie.

WERNTHAL, do Liddy:

Że też pani zawsze każdemu —

BARON.

Niuch tabaki, panie von Wernthal? Wernthal zażywa i kicha.

LIDDY.

Bakałarz przyniósł pewno ze sobą nowy zapas śledzi.

TRUTKA.

Te przeklęte śledzie! Wychodzi nachmurzony.

BARON.

Cóż te śledzie znów znaczą, dokuczliwa siostrzeniczko? Trutka uraził się o nie najwidoczniej.

LIDDY.

Cierpliwości, drogi wuju! Dowiesz się niebawem z ust samego bakałarza.

Wchodzą BAKAŁARZ z BOGUMIŁKIEM.

BAKAŁARZ, wśród szerokich reweransów.

Mam zaszczyt, oraz —

WERNTHAL.

Na miłość boską, panie bakałarzu, cóż za straszny kleks masz pan na twarzy?

BAKAŁARZ, udając zdziwionego.

Ja? — kleks? — Naprawdę? — Jaśnie państwo sami osądzą, co może pilność — gorliwość —

LIDDY.

Nie trudź się pan! Wiemy, co to oznacza. Wczoraj po zachodzie słońca przyszła panu prawdopodobnie jakaś wielka myśl do głowy; a że białego papieru nie było pod ręką, zanotowałeś ją pan sobie w pośpiechu na twarzy.

BAKAŁARZ.

Jaśnie panienka odgaduje wcale nieźle —

LIDDY.

Albo spojrzałeś pan przypadkowo w lustro; własne oblicze wydało się panu zbyt brzydkiem, więc-eś pan je przekreślił.

BAKAŁARZ.

O, pani stajesz się gorzką, bardzo gorzką! Atrament jest prawdziwą krwią serdeczną uczonego, i biada uczonemu, któremu krew serdeczna na twarzy osiądzie, gdyż wygląda to wstrętnie, brzydko i robi czarne plamy.

BARON i WERNTHAL.

Zabawny pedant!

LIDDY, szeptem do bakałarza.

Żart na stronę! Czy stara Marya otrzymała pieniądze?

BAKAŁARZ.

Tak jest, droga panienko, płakała przytem z radości.

LIDDY.

Ciszej! Oto jeszcze jeden luidor. I powiedz pan jej, że zajdę sama dziś wieczór.

DYABEŁ, który tymczasem znowu do światła się zbliżył, poczyna nagle płakać i szlochać.

BARON.

Hola, cóż to się kanonikowi stało? Szlocha jak koło młyńskie.

WERNTHAL.

Doprawdy, łzy spływają mu po policzkach.

BAKAŁARZ.

Kanonik!? — Bogumiłku, pokłoń się!

LIDDY.

Co panu, drogi panie?

DYABEŁ.

I pani możesz jeszcze pytać! Coś szlachetnego musiało się stać tutaj.

BARON.

Coś szlachetnego?

BAKAŁARZ.

Ksiądz kanonik nie myli się; panna Liddy dała mi w tej chwili luidora dla chorej Maryi.

DYABEŁ.

Nie mówiłem!

WERNTHAL.

I dlatego zacząłeś pan płakać?

DYABEŁ.

Tak jest, wtrąciło mnie to w melancholię.

LIDDY.

Uspokój się pan. Nie powtórzy się to tak prędko.

BARON.

Ależ to jest szczególniejsze u kanonika!

WERNTHAL.

I cóż pan na to, panie bakałarzu?

BAKAŁARZ.

Ksiądz dobrodziej musi być bardzo uczuciowo nastrojony?

BARON.

„Uczuciowo nastrojony?“ — Zkądżeś pan wytrzasnął to mizerne wyrażenie?

BAKAŁARZ.

Wyczytałem je w gazecie dla wykwintnego świata.

BARON.

Gazeta dla wykwintnego świata? A pan zkąd do niej przychodzisz?

LIDDY.

A teraz, wujaszku! — pamięta wuj te śledzie, przed któremi uciekł estetyczny Trutka?

BAKAŁARZ.

Widzi pan Baron, jest to okoliczność mniej więcej taka. Mam w mieście dalekiego kuzyna pana Pfennigszlukera, który handluje dratwą, gemmami, sztychami, rybami i staremi spodniami. Handel bardzo korzystny.

BARON.

Wierzymy chętnie.

BAKAŁARZ.

Otóż ten człowiek zwykł mi co dwa tygodnie przysyłać paczkę nawpół zgniłych śledzi, za którą płacę mu śmieszną cenę 14 groszy! Pojedyńcze śledzie zawija mój kupiec starannie w świeże arkusze najnędzniejszych poezyj i gazet. W ten sposób jestem, mniej więcej, dokładnie obeznany ze współczesną naszą literaturą.

BARON.

Ha, ha, ha! Literatura śledziowa!

BAKAŁARZ.

Otrzymuję w ten sposób poezye *Augusta Kuhn'a*, opo-

wiadania *Krug'a von Nidda*, dźwięki drumli lub liry *Teodora Hell'a*, oraz tragedye niejakiego pana *von Houwalda* — *)

WERNTHAL.

Na Boga, sami damscy pisarze, sami ulubieni dam autorzy!

LIDDY.

Panie von Wernthal, jeżeli najjałowszych pismaków nazywać, jak to zresztą dziś w modzie, pisarzami dla dam, — nie robi się tem zaiste komplementu płci naszej.

BARON.

Nie gniewaj się Liddy na pana Wernthala. — Pomyśl tylko: — Houwald! roztropny, rzewny i wątły Houwald, owinięty koło śledzia! Co za zniewaga!

BAKAŁARZ.

To nie jest zniewaga, panie Baronie, lecz ulepszenie! Poczciwemu człeczynie zachciewało się czasami satyry. Przed niedawnemi czasy napisał parodyę „Winy“ *), która, mimo wielu wad swoich, wydaje mi się jeszcze za dobrą, aby ją mogli zrozumieć recenzenci. Robótka pana Houwalda nazywała się, jeśli mnie pamięć nie myli, „Łapką na my-

---

*) Dla scharakteryzowania tych pisarzy, po których dzisiaj śladu nie zostało, dość będzie wspomnieć o najbardziej podówczas cenionym Houwaldzie (Ernest von H. ur. 1778). Powodzeniem cieszyły się swego czasu dwie jego tragedye: *„Obraz“* (1821) i *„Wieża morska“* (1821), obie zbudowane ułomnie, o charakterystyce ludzi nader nikłej, przytem łzawe, rzewne i koturnowo retoryczne. Na szczudła wsadzał swych bohatetów już przy chrzcie, nadając im szumne cudzoziemskie imiona. Popularnością jako „rola“ cieszył się np. wśród ówczesnych szeroko deklamujących aktorów malarz *Spinaroza* z *Obrazu.* O tem imieniu i podobnych upodobaniach ówczesnych pisarzy patrz u Grabbego nieco dalej. *(Przyp. tłómacza).*

szy" i zawierała wprawdzie wiele trywialności, lecz ani ziarenka soli. Od czasu, gdy moje śledzie zlitowały się nad nim, przesiąkł tak nawskróś solą, że nawet *Müllner* *), gdyby go do ust wziął, wykrzyknąćby musiał: „Jak żyję, nie smakowałem nic równie słonego."

BARON.

Bravissimo, bakałarzu! Podobasz mi się pan.— Ale, na miłość boską, zkąd pan, siedząc na wsi, dochodzisz do tych satyrycznych poglądów na literaturę współczesną?

BAKAŁARZ, kłaniając się w stronę Liddy.

Oto moja nauczycielka! Gdy panienka chorowała zeszłej zimy, musiałem jej odczytywać co wieczór najnowsze dzieła, — i choć mnóstwo tych książek skazywała wówczas na spalenie, ja mimo to skorzystałem niemało.

LIDDY.

Zbyt wiele zaszczytu, panie bakałarzu!

Podczas tej rozmowy dyabeł usunął się na stronę. Ze złośliwym uśmiechem połamał jakieś krzesło, wrzucił drzazgi do kominka, rozniecił ogień, zasunął parawan przed kominek i ukrył się po za nim.

---

*) Adolf Müllner, ur. 1774, pozostawił po sobie olbrzymią ilość bezwartościowych komedyj, oraz kilka tragedyj fatalistycznych. Złowróżbna data (tragedya „*29 Luty*"), przepowiednia cyganki (tragedya „*Wina*") stają się węzłem dramatycznym, rozsnuwanym mozolnie przy pomocy takich środków jak obłęd, piorunowe noce, szczęk oręża, sentymentalne krasomówstwo. „Psychologicznej prawdy i głębi niema w tych utworach ani śladu," jest natomiast zręczna kazustyka prawnicza (Müllner był adwokatem!). Jako krytyk i wydawca pisemka „*Mitternachtsblatt*", był groźnym dla współczesnych pisarzy, „ponieważ w umiejętności szkodzenia swym rywalom i przeciwnikom był równie zręcznym, jak nie znającym skrupułów sumienia." *(Przyp. tłómacza).*

WERNTHAL dostrzega pierwszy jego nieobecność.

Ale gdzie się podział nasz kanonik?

BARON.

Uciekł widocznie. Być może, iż i on jest jednym z tych nowych skrybów.

BAKAŁARZ.

Tak, tak, — prawdopodobnie i on będzie kiedyś owinięty około zgniłego śledzia.

BARON, gniewnie.

Cały lipski jarmark książkowy należałoby około tych śledzi owinąć! — Żydowskie bębny, których całe wykształcenie polega na jedzeniu świniny, wdrapują się na sędziowskie trony i nietylko wynoszą pod niebiosa kramarzy najmizerniejszej banalności, lecz ośmielają się napastować swemi pochwałami najczcigodniejszych ludzi!

Liddy odwraca się i wszczyna rozmowę z Wernthalem. Baron wybucha jeszcze gwałtowniej.

Kowale rymów, — tacy głupi, że, ilekroć jakiśkolwiek ich świstek wpadnie między publiczność, osły podnoszą się w cenie — zwą się doskonałymi poetami; aktorzy — tacy nudni, że wszystko klaszcze z radości, kiedy się wreszcie ze sceny wynoszą, — przybierają miano myślących artystów; lichoty, których głosy są tak ostre, że możnaby niemi chleb krajać, tytułują się dziś prawdziwie dramatycznemi śpiewaczkami! — Muza tragedyi stała się dziewką uliczną, którą gwałci pierwszy lepszy smarkacz i płodzi z nią pięcionożne potworne cielęta, tak obrzydliwe, że muszę żałować nieszczęśnika, które je spłodził. Słowa genialny, dowcipny, głęboko uczuciowy są dziś tak nadużywane, że

widzę nieomal czas, gdy dla zohydzenia najgorszego obwiesia w oczach całego kraju przybijać mu będą na szubienicy: „N. N. jest dowcipny, uczuciowy, znakomity, genialny!" — O, kiedyż zjawi się nareszcie olbrzymi geniusz, od stóp do głowy opancerzony boską potęgą, i zlitowawszy się nad niemieckim parnasem, przepędzi tę hołotę z powrotem w bagna, z których wypełzła!

BAKAŁARZ.

Ten geniusz zjawił się, panie Baronie, oto stoi przed panem: — jest nim Bogumiłek.

LIDDY, wybucha śmiechem.

Więc to on!

BAKAŁARZ

On to jest, szanowna pani, on! — Własnej swej matce powyrzucał niedawno garnki przez okno.

LIDDY.

Bogumiłku, czyś ty geniusz?

BOGUMIŁEK.

Ja — ja — ja —

BAKAŁARZ.

Podziwiaj pani przytomność umysłu, z jaką przybiera on natychmiast malowniczą postawę! Jak on się cudownie po skroni drapie! Wszakże to wierna poza Hogartowskiego „płaczącego ulicznika!" Mówiłem zawsze, że w Bogumiłku drzemie wielki talent do dramatu malowniczego.

BARON.

Malowniczy dramat, bakałarzu? A cóż to znów takiego?

BAKAŁARZ.

Dramat malowniczy jest nowością, panie baronie. Dziecię, które chętnie bawi się farbami i malowankami, cieszy się, że je odkryło. Charakter tych dramatów polega na tem, że w nich wszystko malowniczem być powinno, poczynając od osób, właściwie naiwnych głuptasów, posiadających natomiast imiona rycerza Nanni, Van Dycka, Spinarozy, markiza di Sorrento i t. d. *).

BARON.

I cóż pan powiesz, panie von Wernthal, na tę charakterystykę malowniczych dramatów?

WERNTHAL.

Obawiam się, że bakałarz widzi je bardziej malowniczo, niźli to było w zamiarach autorów.

LIDDY.

Nie uważają panowie, że w pokoju staje się niemożliwie duszno?

WERNTHAL, który już kilkakrotnie ocierał sobie pot z czoła.

Oj tak, — czuć szybko wzmagający się upał. Ma się niemal wrażenie, jakgdyby napalono w pokoju.

BARON.

Zkądżeby? Słońce chyba pali w kominie.

---

*) Patrz dopisek na stronicy 483.

LIDDY.

Powiedz mi, Bogumiłku, kto z nich obu ma racyę?

BOGUMIŁEK.

Tak.

LIDDY.

Oj, bakałarzu, toż to jest niemożebny gamoń!

BAKAŁARZ.

Gamoń-geniusz, jakich nie brak w dzisiejszych czasach. Taki pragnie być zrozumiałym, on posiada głębie! Jego dzieła nie bywają też obwijane około zgniłych śledzi.

LIDDY.

Przemawia to na jego korzyść; świadczy przynajmniej, że nie napisał jeszcze żadnego.

WERNTHAL, do Barona.

Zauważcie państwo, proszę, ten dym w pokoju. On chyba nie od słońca pochodzi?

BARON.

Przyznaję, żem się mylił, — ale toć nie wybuchnął przecież ogień w sąsiednim pokoju?

DYABEŁ poczyna śpiewać w kominie za parawanem na nutę piosnki rybackiej Goethego.

Ach, gdybyś czuł, jak błogi jest
Dyabłowi ognia żar —

Wyciąga tryl.

BARON.

Do dyaska, toż to głos kawalera orderu papieskiego!..

BAKAŁARZ, biegnie za parawan, lecz powraca natychmiast, pełen przerażenia.

Nie, nie! — co się to dzieje!? Włosy jeżą mi się na głowie. Pan kanonik siedzi w kominie, pośród buchających płomieni, połyka rozżarzone węgle i wyciąga tryle, aż zmiłuj się Boże!

WSZYSCY.

Co takiego!?.. Odsuwają gwałtownie parawan. Widać, jak dyabeł wyłazi z komina.

BAKAŁARZ.

Patrzcie, patrzcie państwo, zkąd wyłazi! *O tempora, o mores!*

BARON, do dyabła.

Do kaduka, cóż to za zachowanie się? Oszalałeś pan? Siadać w kominie? Węgle poły —

DYABEŁ, na stronie.

No, teraz trzeba być czelnym i ratować się miedzianem czołem. Do bakałarza: Ty marny skrzeku rozpuszy! jak śmiesz mówić, żem siedział w kominie!

BAKAŁARZ.

Panie —

DYABEŁ

Teraz wierzę niewzruszenie, że pięćdziesiąt beczek Danaid było pięćdziesięcioma bakałarzami, gdyż w końcu wszystko wypełnić się musi, tylko taki przepity wyrobnik od nabijania policzków na dziecięcych twarzach, — ten się nigdy nie wypełni. Jakim-że sposobem mógłbyś widzieć mnie w kominie, pytam się ciebie, ty butlowa pijawko, gdybyś nie był skuty do nieprzytomności? — Wiedz-że, iż siedziałem przed kominem i dmuchałem w ogień.

BAKAŁARZ.

Do pioruna, panie kanoniku!

DYABEŁ.

Co!? I ty mi jeszcze gadać chcesz, ty —

LIDDY.

Cicho! Dosyć mam tych wymyślań.

BARON.

Powiedz mi pan, czem napaliłeś w kominie?

DYABEŁ, z widocznem zadowoleniem.

Pięknem krzesłem, które stało tam w kącie.

LIDDY.

To było najlepsze krzesło w domu!

DYABEŁ.

Czyżby? O me przeczucia! Cieszy się.

BARON.

Gdyby tak wrzucić tego łotra w psią jamę?

WERNTHAL.

Nie miałbym nic przeciwko temu.

LIDDY.

Ależ wuju! Ten człowiek teraz dopiero zaczyna mnie interesować. Proszę, każ mu dać pokój na zamku. Za krzesła, jakie połamie, chętnie zapłacę.

BARON.

Oj, kobiety! Wam każde szaleństwo natychmiast

ćwieka w głowę zabija! Do dyabła: Jeśli masz pan wolę pozostać, piękny pokój jest do jego rozporządzenia.

DYABEŁ.

Przyjmuję gościnność i dziękuję z całego — Do siebie: Co? Dziękować? To byłoby niemal szlachetne! Głośno: Dbam o pańskie zaproszenie tyle, co pies o piątą nogę. Zresztą, jak można przyjmować do swego domu zupełnie obcego człowieka, o którym nic się jeszcze nie wie? Jest to nawet bardziej głupio, niźli nieostrożnie! Ale mniejsza o to. Gdzież jest ten gałgan służący, który ma pokój mi wskazać?

Wychodzi.

BARON, do Liddy.

No, masz gościa, który w kaszy zjeść się nie da.

LIDDY.

Powiedz raczej: który w ogniu nawet nie da się spalić.

BARON.

Obawiam się, moja dzieweczko, że godziny z nim nie wytrzymasz.

LIDDY.

Nie kłopocz się o to.

BARON.

On gotów posunąć swą czelność po za wszelkie granice.

LIDDY.

Wówczas każę precz go wyrzucić.

BARON.

O, ty zawsze potrafisz sobie poradzić! — Ramię twoje! — Każemy sobie podać kawę do ogrodu.

LIDDY.

W tej chwili idę za wami.

Baron i Wernthal wychodzą.

LIDDY, do bakałarza.

Proszę, — drobnostka na ukojenie pragnienia. — Nie wstydź się pan, znam pańską słabość. — Ale zanieś pan natychmiast Maryi tego luidora.

BAKAŁARZ.

W te pędy, jaśnie panienko!

LIDDY.

Do widzenia!

Wychodzi.

BAKAŁARZ.

Boska dziewczyna! — A ty, mój Bogumiłku, cóż powiesz? Zapoznano cię, biedny chłopaku! Pociesz się, tak się wiodło wszystkim wielkim umysłom. Nawet Solon, Plato, Cartouche, Robespierre, Henryk czwarty i Kaligula zaznali podobnego losu. Chodź, chłopcze, chodź! Zamknę cię na cztery dni do komórki i nie dam nic jeść; może cię to uczyni jeszcze bardziej ześrodkowanym w sobie, niźli już jesteś.

Bogumiłek wrzeszczy; wychodzą obaj z bakałarzem.

SCENA IV.

Inny pokój na zamku. Wchodzi DYABEŁ.

DYABEŁ.

Czekajże, baronie! Dałeś mi pokój na zamku — zemszczę się. — Liddy chce wyjść za Wernthala — ma się dostać pod czepiec — potrafię temu przeszkodzić, albo nie jestem dyabłem! — Nie rozumiem, co to znaczy, ale jest mi jakoś łechotliwie na duszy! Ogarnia mnie jakieś zwątpienie — jakaś żałość — jakiś smętek! Niech mię Bóg porwie, bodaj że podkowa obruszyła mi się na kopycie! Odwija chusty, któremi miał owinięte nogi. Och, niestety, aż nadto prawdziwe podejrzenie! Okucie zeszło, starło się na nic. Zaledwo stąpnąć mogę na kopyto. Oj! Oj!.. Niema innej rady, muszę się przemódz i posłać po kowala. Klaszcze w ręce. Bywaj! służba!

SŁUŻĄCY.

Do usług jaśnie pana.

DYABEŁ.

Posłuchajno, mój przyjacielu. Jest tu kowal we wsi?

SŁUŻĄCY.

Jest ich aż dwóch, jaśnie panie.

DYABEŁ.

Idźże i przyprowadź mi tego, który się mniej śmieje.

SŁUŻĄCY.

O, w takim razie muszę sprowadzić tłustego Konrada; ten bardzo osowiał od czasu, gdy poprawiono szosę.

Wychodzi.

DYABEŁ.

O, ja nieszczęsny! Jakże tu, w dobry sposób, wytłómaczyć kowalowi, że mam końską nogę? O, nieszczęsny, nieszczęsny!.. Ale otóż idzie. Odwagi, odwagi!

KOWAL, wchodzi.

Jaśnie pan rozkazał — ?

DYABEŁ.

Więc pan jesteś tym — tym —

KOWAL.

Jestem kowal z tej wsi. — Gdzież jest szkapa, którą mam okuć?

DYABEŁ, wybuchając.

Panie, ja nie jestem — Uderza się dłonią w usta. Ostrożnie, ciemięgo! Proszę, niechże pan siądzie, panie kowalu, bardzo proszę! — Jesteś pan żonaty?

KOWAL.

Oczywiście.

DYABEŁ.

Masz pan pewno zacną kobietę?

KOWAL, wzdychając.

No, każdy ma swoje wady.

DYABEŁ, wzdycha również.

Oj, tak!

KOWAL, powstając.

Może mi pan zechce powiedzieć —

DYABEŁ.

A, panu śpieszno, panu strasznie pilno! — Jesteś pan ojcem rodziny! Nosisz buty! Masz nogi! Zapina mu guzik przy kamizelce. I ja również — i ja nie mam nóg końskich.

KOWAL.

Wierzę, jaśnie panie, nie spojrzawszy nawet.

DYABEŁ.

Wierz pan temu zawsze: spojrzawszy czy nie spojrzawszy. Ja nie mam końskich nóg! — nie! — Co najwyżej, może... Mówi szeptem, wymawiając takie słowa jak: „moralny," „szlachetny," „chrześcianin", z niezmiernym wysiłkiem, wśród gwałtownego kichania: Panie kowalu, — pan jesteś bardzo szla-szla-mazar...— szlachetny! mo — mord — moralny! — wykształcony człowiek, bardzo pobożny, pracowity, pilnie do kir —kirkut —kirchy— do kościoła uczęszczający... chrześcianin. Panu mogę w zaufaniu powiedzieć — stara się ukryć prawą nogę po za lewą — na prawej stopie mam kopyto!

KOWAL, zazierając ciekawie.

Co? — Jak? Kopyto? E!?

DYABEŁ.

Nie, nie, nie! Nietyle kopyto, ile koński stęp — a raczej coś podobnego do końskiej — właściwie do ludzkiej stopy — jednem słowem, nieco grubą podeszew, co zdaleka, przy tępym wzroku, może sprawiać wrażenie kopyta!

KOWAL, pałając ciekawością.

Możeby mi pan, jeśli łaska, tę stopę...

DYABEŁ.

Zaraz, zaraz, kochany, drogi panie kowalu! — natychmiast! Odwija nogę z chust i pokazuje ją kowalowi; sam zaś, płonąc wstydem, zakrywa twarz chusteczką od nosa. Żebyś pan łaskawie jakie żelaziwo przybił na to czemprędzej!

KOWAL, bierze do rąk jego nogę.

E, słuchajno pan, to nie jest zgrubiała podeszew; to jest potężne kopyto, jakiem żadna szkapa — to jest raczej, żadna dusza w chrześciańskie poszczycić się nie może!

DYABEŁ, szepcze wstydliwie z pod chusteczki, którą wciąż oczy sobie przysłania.

Okuj pan, okuj-że pan czemprędzej!

KOWAL.

Na szczęście, mam ze sobą podkowę wielkości żyrandola. Przygwożdżę ją tak, że aż miło! Okuwa dyabła. No, teraz siedzi mocno!

DYABEŁ, radośnie.

Siedzi?

KOWAL.

To czyni talara.

DYABEŁ, do siebie.

Talara? Chybabym oszalał! Głośno: Ty opryszku, ździerco ty jeden, a wiesz ty kogoś okuł? Jestem szatan, mam — kowal ucieka; dyabeł woła za nim: mam pięćkroć stotysięcy lat i coś nie coś ponadto, porwałem już duszę twego dziada, mam nadzieję przyjść i po twoją; łeb ci za życia jeszcze ukręcę, jeśli choć słówko o mnie piśniesz! I ja miałbym ci płacić, szubieniczniku jeden! Zmieniając ton: Jakże

ten biedny grzesznik zmykał, usłyszawszy me prawdziwe nazwisko! — Ale to mu przyznać muszę: wygodził mi świetnie. Podkowa siedzi jak przyrosła! Przenika mnie błogie uczucie siły. Grzebie kopytem. No, teraz, aby przyjść zupełnie do siebie, należy zdrzemnąć się z godzinkę; z tem większą gorliwością weźmiemy się potem do udaremnienia tego małżeństwa. Siada na fotelu i wyciąga książkę z kieszeni. Jak to dobrze jednak, żem wziął ze sobą mój nigdy nie zawodzący środeczek na sen: Messyadę Klopstocka! *). Dość mi przeczytać dwa wiersze z tej książki, aby uczuć się sennym jak suseł. Otwiera książkę. Gdzieżeśmy stanęli ostatnim razem? A, na stronicy 29-ej! Czyta dwa wiersze i zasypia.



Chrystyan Dietrich Grabbe.

---

*) Olbrzymi wpływ Klopstocka na poezyę niemiecką nie ulega żadnej wątpliwości, natomiast co się tyczy jego „arcydzieła" (1748 r.), odzywały się już za życia mistrza głosy powątpiewania.

Nokturn.

Pudel, w psim świecie mędrca cieszący się sławą,
Że tłuste z alfabetu wywęsza litery;
Kundel, co zwykł urągać niepojętym zjawom —
Więc krytyk; dalej Buldog z wejrzeniem megiery —
Obraz cnoty i statku — , i Jamnik, co szparko
Dołki kopie, jako też drobniejszy psi ludek,
Powstawszy z materaców lub wylazłszy z budek,
W noc, zwolnione z oków,
Jęły szczekać na księżyc.

— Sam!
— Taki odludek:
— Tylko w gwiazdach, śród obłoków!
— To też niema zdrowej cery!
— W rzeczy samej!
— Jak cytryna wygląda!
— Która ma plamy!
— A jak niegrzecznie
Ku nam wypina okrągłość ronda
W tak zwanej pełni!
— Taki zarozumialec!
— Nie zna co bud kadry!
— Objętość zmienia!
— Ma jakieś kwadry!

— Młodzież uczy rozmarzenia!
— Nic wart społecznie!
— Najzupełniej!
— Lada świeca ma więcej uspołecznienia!
— A już porównać nie da się z latarką!
— Podczas zaćmienia tli się,
Że wstydby było ogarkom!
— Albo znów, gdy nów,
Tak źle przyświeca,
Że choć wal w gębę!
— Rzekłbyś, iż chlubi się,
Że oświatę ścmił nocnym Markom.
— Dojąłbym ci go zębem,
Ażby mi posoką z nieba lunął...
— Cóż, kiedy wysoko!
— Kto z nim tam wskóra!

Tak co noc wybucha, to cieniej, to grubiej,
Z ziemi do Księżyca
Niechętny zgiełk wrzawy
Psich synów,
Z których tresura
Wytrzebiła ducha.
Ten go oto pies gubi pod kijem
W czas prędki,
Ów go dla kęsa strawy
Powolniej zatraca,
W miarę gdy tyje,
A inny — dla obroży malowanej w centki,
Lub dla materaca,
Ten wreszcie żywić ducha zgoła nie ma chętki.

Świeć im kat!
Stryk nie minie psiej kamaryli.
Jej mniemania szczekliwe
Gasną tam, w wyżynie,
Zkąd Księżyc jasne lice chyli,
Niemy,

Jako świetlana myśl i cicha
Nad padołem,
Nad ziemią, która pono jak wszystko,
Co ziemskie, czyli kobiece,
Przyciąga społem i odpycha:
Mórz mu łono odsłania
W pierś wydęte
I psów mu szle ujadania —
Tu westchniemy...

Z astronomów to wiemy, że przed iluś laty
Księżyc z Ziemią był żonaty,
I wspólnie upędzali się wokoło słońca.
Niech kryje milczenie,
Żali miły był związek ten,
Czy wiercenie się to wspólne,
Czy ta jednia, —
Dość, że siła odśrednia,
Alias dusza bryły,
Wyrwawszy go z ziemskości, rzuciła w przestrzenie.

Tam, choć łatwiej mu bytu
Przenikać istotę,
Choć bliższym jest końca
Czy może rozkwitu nowego,
A przecie nieraz czytasz z bladych lic Księżyca
Tęsknotę,
I że go mami wiecznie
Ta ziemia ziemska, z mierzwą,
Marglem, błotem,
Nawet z jej psami.

A kiedy nocna cisza w nim żałość podsyca,
Wtedy ziemską szatę
Jej olśniewa,
W srebrne ją opony
Marzenia stroi,
Aż mu zalśni majestatem.

Oto dom, z gliny lepiony,
Stoi ziemski,
Jak proch widny mu z bezbrzeży;
Oto ze ścian ścieka lama,
Mieniąca się od pozłoty;
Oto dach tam leży, jak głowa
W koronie, w której lśnień tkwią groty
Strzeliste, i płonie
Licha nàd nią gałązka drzewiny
I zda się berłem.

Tak muszla perłowa
Proch obleka w perłę.



Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Arcydzieło przyszłości. Bywają obłędy epidemiczne. Dziś właśnie taka zaraza umysłowa padła, zda się, na cały ród krytyków. Szukają arcydzieła — i znaleźć go nie mogą. — Cóż znowu? spyta czytelnik, toć tyle mają arcydzieł dawnych? — Pytanie to zdradza gorszącą nieznajomość natury tych sędziów. Któżby czytał arcydzieła przeszłości? Te są (wyznanie konfidencyonalne:) przeważnie nudne (któż np. zdoła zgryźć takiego Danta?), a potem — uznane od lat czy wieków; wszystko (!!) już o nich powiedziano, i dziś wystarczy mieć w zapasie garść superlatywów, oraz „bić czołem w proch latem, a w błoto jesienią.“ Krytycy chcą nowych arcydzieł, arcydzieł „modernizmu;“ oni przecież nie gorsi od p. Mirbeau, który „odkrył“ Maeterlincka, oni przecież także są *modern, ganz modern.* Próżno zaręczać im, że żadnego „modernizmu“ niema, że sztuka jest wiecznie jedna i ta sama, że haseł krzykliwych szukać należy nie w sztuce i u prawych artystów, lecz w hotelach, kawiarniach i tynglach; — groch to ścianę, oni *chcą* „modernizmu.“ Próżno wskazywać im utwory piękne, potężne, wzniosłe, głębokie, pełne przepychu lub pełne prostoty; próżno wymieniać im Verhaerenów lub Eekhoudów, Zeyerów lub Brzezinów, Villiers de l'Isle Adam'ów lub Vielé - Griffinów, Kasprowiczów lub Wyspiańskich, St. George'ów lub Schlafów — oni i tych czytać nie chcą, bo oni tutaj z góry znowu wiedzą, że między nowem pokoleniem „wielkich talentów niema,“ co najwyżej „nietuzinkowe;“ bo ich nie obchodzą rzeczy piękne, lub potężne, lub wzniosłe, lub głębokie; bo każda z tych rzeczy „zawsze jednak nie będzie tem, czego oni pragną;“ bo oni pragną koniecznie arcydzieła, arcydzieła przyszłości. I biegają w kółko za tem niejasnem widziadłem swych wyschłych wyobraźni, i tragicznie wołają „królestwo za arcydzieło,“ i fantazyują na temat, jakby to się *cały* ogół wzruszył, gdyby arcydzieło się zjawiło, i uwodzą się od czasu do czasu tem „wzruszeniem ogółu“ przy fabrykatach Rostand'owskich, i proklamują geniusz i arcydzieło, i geniusz z arcydziełem „zasypują się“ — a oni znów biegają i szukają bezradnie. Ponieważ w tej pogoni, niewyraźne widmo upragnionej do-

skonałości coraz bardziej mętnieje i traci resztę zarysów, więc niekiedy oblegają ich wątpliwości, po czem poznać arcydzieło, gdyby się zjawiło? I wtedy jedni bezskutecznie — bo mgła wyobrażeń *verba* tylko *vana* dać może — próbują stworzyć receptę na arcydzieło; drudzy, szczersi, odważnie występują ze zdaniem, że „na geniusza (a więc i na arcydzieło) *ex unanimi* pasuje się *consensu*. — *Unanimiter?* Ejże, panowie, czy nie zbyt wielka to utopia? A gdyby tak większością głosów? maluchny plebiscycik? Ponieważ, z biegiem czasu, większości się zmieniają, więc możeby to nie było „arcydzieło przyszłości," ale mielibyście choć „arcydzieło na dziś..."

. . . .

Biedni maniacy! Niejedno arcydzieło już się zjawiło, niejedno jeszcze się zjawi, a oni żadnego nie poznali, żadnego nie poznają. I w grób się położą, i za grobem snadź dopiero uczują, że to, co im się tu wydawało pragnieniem „arcydzieła przyszłości" i niezmordowaną za niem pogonią, było właściwie niechęcią do rzeczy doskonałych pod pozorem szukania jeszcze lepszych, było — NIENAWIŚCIĄ DO ARCYDZIEŁ.

Tredecim.

TEATR.

Reforma teatrów warszawskich. W pewnych sferach dziennikarstwa warszawskiego weszło w zwyczaj użalać się na „zbytnie rozestetyzowanie" społeczeństwa naszego. Jest to albo naiwne pomieszanie pojęć snobizmu i estetyzmu, albo — jeśli istotnie chodzi o zamiłowanie do sztuki we wszystkich jej gałęziach i o kulturę estetyczną — żart krwawy poprostu. W zakresie sztuki właśnie, Warszawa jest może najniekulturalniejszem z wielkich ognisk, wytwarzających dyrektywy dla całego kraju i wpływających na poziom duchowy całego społeczeństwa. Zbyteczna udowadniać niemiłe to twierdzenie, fakta rzucają się nawet w najoptymistyczniej zmrużone oczy i nie dostrzegać ich mogą chyba ślepi. Samo łatwe uleganie modom w tym czy owym kierunku, samo zajadłe lub szyderskie rzucanie się na każdy nowy objaw sztuki, albo też, naodwrót, bałwochwalczo-bezmyślne w proch przed nim padanie, — świadczą dobitnie, że Warszawa nie ma ani wyrobionego smaku szlachetnego, ani głębszej wrażliwości na piękno, ani gorętszych i świadomszych w sferze piękna pragnień. Zkąd-że, zresztą, miały się wziąć te wła-

ściwości, jeśli od dawnego czasu brak było wszelkich czynników, mogących oddziaływać na ich rozbudzenie i rozwój? Warszawa ma temperament, ale cecha ta, jak zawsze w sztuce, u osobników czy u zbiorowości, w dziedzinie twórczości czy też receptywności, sama przez się do niczego nie doprowadzi. Jeżeli się nie przeszło pewnej szkoły, jeżeli się nic nie wie, nic nie umie, nic nie zna, najbałamutniejsi nawet doktrynerzy, najniezgrabniejsi nawet reklamiści potrafią wszystko wmówić i wszystko wytłómaczyć. Że, aby posiąść wiedzę, umiejętność, trzeba kształcić intelekt, zdolność myślenia, to jasne każdemu. Że, aby nie już tworzyć, lecz odczuwać twórczość i artyzm, potrzeba wyrabiać w sobie smak, kształcić wrażliwość, rozwijać zamiłowanie, przejść, jednem słowem, całą równie surową jak tam dyscyplinę, temu się, niestety, po dziś jeszcze zaprzecza najspokojniej w dogmatycznych rozprawach o jakiejś sztuce, która odrazu, bez przygotowania żadnego przemawia do wszystkich, porywa wszystkich i oddźwięk znajduje natychmiastowy. Warszawa oddawna pozbawiona była wszelkiej dyscypliny tego rodzaju: z jednej strony, gorsi częstokroć od swego stada pasterze propagowali gorliwie ową schlebiającą miłości własnej utopię dostępnej wszystkim i bez wysiłku sztuki; z drugiej, stał na przeszkodzie wspomniany już wyżej brak wszelkich odpowiednich czynników. Dopiero w ostatnich czasach, prawdopodobnie jako wynik poprzednich, w zgiełku ogólnym ignorowanych lub może nawet zwalczanych czy wyszydzanych, pojedyńczych wysiłków i wpływów, nastąpił cały szereg faktów pierwszorzędnego znaczenia, które, przy odpowiednim rozwoju, mogą z czasem wytworzyć — zamiast dotychczasowych snobizmów literackich czy artystycznych, secesyjnych czy tradycyjnych — rzeczywistą kulturę estetyczną, prawdziwe zamiłowanie i znawstwo sztuki i, co za tem idzie, snadź rozkwit jej w przyszłości nieoczekiwany. W dziedzinie sztuk plastycznych — po długiej, martwotę przypominającej drzemce, skutkiem której wszyscy lepsi artyści pierzchali z Warszawy lub wyosobniali się w niej samotniczo — ruch poczyna się budzić obiecujący: szereg pięknych wystaw zaznajamia publiczność z dziełami istotnych mistrzów obcych, oraz z całemi nieznanemi lub zapomnianemi u nas odłamami sztuki (japońszczyzną, akwafortą, litografią); powstają czytelnie czasopism poświęconych sztuce, pozwalające stale obserwować ruch artystyczny; miasto zaczyna myśleć o rozszerzeniu i przetworzeniu w muzeum swej tak źle umieszczonej, jakby ukrytej, i zresztą niebogatej dziś jeszcze galeryi obrazów; zapowiada się w niedalekim czasie otwarcie obliczonej na szeroką skalę szkoły sztuk pięknych; zaczyna wreszcie ściągać do Warszawy

coraz więcej dobrych artystów, którzy, wespół z kilku dawniejszymi samotnikami, reagują już zbawienne przeciwko „artystycznym“ wpływom różnych byłych humorystów i „turniejowców.“ W sferze sztuki tonów, powstaje Filharmonia z wielką i dobrą orkiestrą, udostępnia, mimo różnych wadliwości swoich, cały — nieznany, rzec można, w Warszawie — obszar muzyki symfonicznej i uzupełnia w ten sposób działalność Towarzystwa Muzycznego. W literaturze, względy artystyczne powoli przodujące zaczynają zajmować stanowisko, zwiększają się wymagania, zaznaczają różnice, podwyższają aspiracye. Teatr, nakoniec, który, skutkiem braku należytego kierownictwa artystycznego, zwolna jął przekształcać się ze świątyni sztuki w miejsce zabawy i wystawę osobliwości śpiewaczych czy aktorskich, przedsiębierze głęboką i aż do jądra rzeczy sięgającą reformę.

Wszystko to naturalnie jest w zarodku, *im Werden,* i pierwsze te kiełki dzisiaj właśnie troskliwie obserwowane i pielęgnowane być winny, jeżeli podczas wzrostu nie mają skrzywić się, skarleć lub zmarnieć zupełnie. O ile wszakże, w zakresie każdej z poszczególnych sztuk pięknych, rzeczą jest odpowiednich artystów, miłośników i krytyków otaczać należytą pieczołowitością te pierwociny odrodzenia, o tyle gotujące się zmiany w systemie teatralnym wszystkich jednako obchodzić powinny i ogólną najbaczniejszą zwracać uwagę. Teatr — wszędzie, a u nas w szczególności — szersze od innych sztuk pięknych zajął miejsce w życiu społecznem, i wpływ jego dochodzi tam nawet, kędy nie sięgają muzyka czysta, literatura książkowa i sztuki plastyczne. Tłómaczy się to jego bezpośredniejszem (jako najbliższej analogii i prawie surogatu życia,) wszechstronniejszem (przez słowo, dźwięk i wizyę razem) i realniejszem (przez żywych aktorów) oddziaływaniem. Społeczeństwo lubi przeglądać się w zwierciedle, dającem największe złudzenie rzeczywistości, i znajduje je w teatrze. A teatr, z innej strony, jako synteza wszystkich sztuk pięknych, przemawiająca jednocześnie do wszystkich stron czy rodzajów wrażliwości, do uczucia, do intelektu, do całej istoty ludzkiej, wszystkiemi naraz drogami może kształcić i rozwijać smak albo też psuć go, przyczyniać się do podniesienia albo też do obniżenia kultury estetycznej społeczeństwa. Czynnik to zatem, w sprawie rozwoju tej ostatniej, prawie decydujący, bo, sięgając do szerszych warstw, mając już zapewnione sympatye ogółu i działając wszechstronnie pod względem artystycznym, może on nawet utorować drogę wysiłkom innych poszczególnych sztuk pięknych, przyśpieszyć i ułatwić wyrobienie się dobrego smaku, zamiłowania, kulturalności

i w ich dziedzinach. Ztąd waga pierwszorzędna będącej w toku właśnie reformy teatrów warszawskich.

Słów parę naprzód o genezie doniosłego tego przedsięwzięcia. Pierwszą do niego pobudką był wzgląd czysto materyalny. Budżet teatrów warszawskich niedomagał od dość dawna. W ostatnich wszakże czasach sytuacya zaczęła pogarszać się gwałtownie — i obliczenia ostatnie w roku ubiegłym wykazały długów i niedoborów około 200000 rb. To krytyczne położenie zwróciło uwagę wyższej władzy krajowej — i z polecenia jej utworzono komitet dla zbadania przyczyn upadku i obmyślenia skutecznych środków zaradczych. Komitet, z godną najwyższego uznania sumiennością, nie zadowolił się powierzchownem zapobieżeniem deficytowi za pomocą przeróżnych oszczędności, lecz, pragnąc dotrzeć do źródła zła, kooptował do grona swego, w charakterze rzeczoznawców z głosem doradczym, szereg znanych krytyków warszawskich, z których dwaj, na propozycyę otwartego wyjawienia poglądu swego na rzeczy, odpowiedzieli obszernemi referatami: Bogusławski, w nieco przestarzały i, tu i ówdzie, po Carrière'owsku czy Kremerowsku mdło patetyczny sposób, Sygietyński — krzepko, jędrnie, wyczerpująco. W referatach tych i w dyskusyi, jaka się nad niemi wywiązała, stwierdzono przedewszystkiem kategorycznie, że powodem niedoborów były wyłącznie opera i balet; że teatr Rozmaitości pokrywa dochodem rozchody własne w zupełności, ale nie może, jak było dawniej, płacić niedoborów operowych; że, wreszcie, teatr Nowości stoi doskonale i nawet sporą przewyżką dochodów przyczynia się, acz niewystarczająco, do zmniejszenia deficytu teatru Wielkiego. Uwidocznioną w ten sposób różnicę frekwencyi w trzech teatrach warszawskich objaśniono, z dowodami w ręku, brakiem w dwóch pierwszych (Wielkim i Rozmaitości) jakiegokolwiek planu i celu artystycznego, dorywczą gospodarką opartą na „nadzwyczajnościach," na wirtuozowstwie i popisowych rolach, niedostateczną dbałością o podniesienie poziomu sceny i wyrobienie sobie przez to stałej, kulturalnej publiczności, zamiłowanej w sztuce, nie zaś w „osobliwościach," jednem słowem, brakiem, należytego kierownictwa artystycznego, oraz wynikłemi ztąd wadliwościami w zasadniczych pierwiastkach teatru, jakiemi są: repertuar, personel i wykonanie, mise-en-scène i, wreszcie, pomieszczenie. Rozpatrując szczegółowo wszystkie te złe strony dotychczasowej organizacyi i zastanawiając się gruntownie, ze stanowiska postulatów teatru wzorowego, nad reformami, jakie zaprowadzićby należało, komitet powziął, w ciągu licznych swoich posiedzeń, cały szereg uchwał,

z których większość uzyskała zatwierdzenie władzy decydującej, a kilka wprowadzono już nawet w wykonanie.

Co do opery, postanowiono zasadniczo zmienić jej organizacyę, wychodząc, zgodnie z opinią referentów, ze stanowiska: że, naprzód, konieczną jest opera stała, oparta na dobrym sił zespole i na bogatszym repertuarze, nie zaś na nadzwyczajności „gwiazd" przejezdnych, i mogąca wzbudzać w słuchaczach zainteresowanie dla dzieła sztuki muzycznej, nie zaś dla wirtuozowstwa pojedyńczego solisty; oraz, powtóre, że, skoro opera nie jest symfonią, przez dźwięki sharmonizowane jedynie działającą, lecz dramatem muzycznym, o pewnej wyrażonej w słowach treści psychologicznej, słuszna jest, aby publiczność rozumiała, co się na scenie dzieje, t. j., aby mogła słuchać opery we własnym języku. Podzielono tedy trwający 10 miesięcy sezon operowy na dwie części: 6-miesięczną włoską, w której mogą być także dawane opery po polsku, i 4-miesięczną polską, w której wszystkie opery, czy to kompozytorów swojskich, czy obcych, mają być śpiewane wyłącznie po polsku.

Co do teatru Rozmaitości, z uwagi, iż opera i balet zabrały na wyłączny swój użytek teatr Wielki, w którym ongi grywano wymagające szerszych ram tragedye i dramaty, — komitet uznał przedewszystkiem za nieodzowne wzniesienie nowego, odpowiednio rozległego, estetycznego i wygodnego gmachu dla dramatu i komedyi. Rozpoczęto już nawet wstępne kroki w tym kierunku, zastanawiano się nad wyborem miejsca pod nową budowlę teatralną i nad sposobem jej wzniesienia: na własną rękę, czy też za pomocą przedsiębiorców prywatnych. Ponieważ kwestye te nie są jeszcze ostatecznie rozstrzygnięte, pozwolimy sobie — co do miejsca pod nowy teatr — zrobić parę uwag rzeczowych. Gmachy teatralne należą do tak zwanych budowli monumentalnych, a dla miasta korzystnem jest, jeżeli te ostatnie nie skupiają się tłumnie w mniej lub więcej ograniczonej jednej dzielnicy, lecz rozrzucone są, o ile można, równomiernie po całym jego obszarze. W skutek zwróconej na to baczności, Paryż np. ma sto ognisk ożywiających dokoła siebie całe dzielnice, podczas gdy Wiedeń, przeciwnie, cały się skupiał do niedawna w obrębie Ringów, po za któremi ciągnęły się nieskończenie długie, martwe i bezbarwne przedmieścia. Z drugiej strony, każdy gmach monumentalny zyskuje niesłychanie, jeżeli nie jest wmurowany w rząd okolnych budowli, lub choćby jednym bokiem przyczepiony do nich, lecz posiada, o ile można, swoje cztery fronty. Dla teatru ma to nadto wagę z dwóch względów kardynalnych: zapewnia większe bezpieczeństwo od pożaru i skutkiem większej liczby wejść ułatwia

zapełnianie i opróżnianie teatru. Z tych kilku punktów widzenia, idealnem miejscem dla nowego gmachu teatralnego byłaby dzielnica mająca powstać po zburzeniu szpitala Dzieciątka Jezus. I plac odpowiedni czterofrontowy tamby snadź można było znaleźć, i dzielnica zyskałaby ozdobę i ożywienie, i teatry oba miałyby większe widoki pełnych sal, niż w razie ich skupienia w okolicach ulicy Wierzbowej.

Drugą uchwałą komitetu, którą niezwłocznie w czyn wprowadzać zaczęto, jest stopniowe odnawianie personelu obu teatrów, zwłaszcza w najbardziej szwankujących drugo - i trzeciorzędnych warstwach. Usunięto z opery, baletu i Rozmaitości 83 osoby, które uznano za t. zw. nieużytki, 10-ciu osobom zmniejszono pensyę, a 49-ciu podwyższono. Nieco później zabrano się do angażowania sił nowych: do opery przyjęto parę obiecujących śpiewaczek solistek, oraz ogłoszono wezwanie do osób pragnących wstąpić do chóru operowego, aby się stawiły na egzamin odpowiedni.

Trzeciem, wreszcie, i najważniejszem z urzeczywistnionych już postanowień jest naznaczenie, dla opery i teatru Rozmaitości, kierowników artystycznych, stojących ponad reżyserami i ich pomocnikami, oraz zamianowanie dyrektora szkoły baletowej. Te nominacye są niesłychanie ważne. Kładą one kres bezplanowości, rozprzężeniu, reżyserskim rządom, oznaczają istotny zamiar podniesienia poziomu artystycznego teatrów, stwarzają osoby odpowiedzialne moralnie za ten poziom — i każą spodziewać się, że zwolna cały szereg reform systematycznych doprowadzi do należytego stanu wszystkie czynniki składowe scen obu.

Jeżeli o nominatach na trzy powyżej wymienione stanowiska sądzić z ich przeszłości, oraz z nieodzownych naturalnie *interview*'ów, to największy, zda się, los wygrała opera. P. Emil Młynarski jest, mimo pewnej naśladowczości i zbytniej niekiedy uległości względem opinij specyalnie warszawskich, muzykiem bardzo kulturalnym, kapelmistrzem (gdy chce) wyśmienitym, organizatorem zręcznym, umiejętnym i szczęśliwym. Wystawienie dobre kilku nowych oper, wznowienie koncertów symfonicznych w teatrze Wielkim, współudział znaczny przy organizowaniu Filharmonii, oraz nader szybkie doprowadzenie świeżo sformowanej orkiestry do bardzo poważnych rezultatów — oto zasługi jego w przeszłości. Plany na przyszłość, na nowem stanowisku artystycznego kierownika opery, są niemniej obiecujące: interview'ującym go o nie dziennikarzom wynurzył się p. Młynarski, że głównem staraniem jego będzie wytworzenie stałej opery, o stałym, doskonale zespolonym personelu, oraz jak

największe zbogacenie repertuaru. „Marzę o tem,“ rzekł, „aby w repertuarze opery warszawskiej znajdowały się wszystkie arcydzieła, dawane na scenach zagranicznych, aby publiczność nasza poznała najcelniejsze opery wszystkich narodów...“ Twórczość polskich kompozytorów ma naturalnie w planach nowego kierownika zapewnione miejsce pierwszorzędne. Piękne i szerokie to zamiary, o których stopniowem urzeczywistnieniu nie mamy powodu powątpiewać, wnioskując z pokaźnych rezultatów, osiągniętych przez p. Młynarskiego, mimo niezupełnie sprzyjających warunków i w dość krótkim stosunkowo czasie, na polu muzyki symfonicznej, w Filharmonii.

Jak się ostatecznie ukształtuje sprawa kierownictwa artystycznego w dziedzinie dramatu i komedyi, dotychczas niewiadomo napewno. Obaj wspomniani referenci, wskazując, że, dla podniesienia poziomu sztuki w teatrze Rozmaitości, koniecznem jest przeniesienie punktu ciężkości z aktorstwa do literatury, doradzali zamianowanie kierownikiem artystycznym „literata-estety, z władzą w zakresie układania repertuaru, tworzenia całokształtu sztuki i dobierania sobie odpowiedniego materyału aktorskiego.“ W ostatnim razie, „z uwagi na trudność znalezienia człowieka odpowiednio uzdolnionego i wykształconego,“ proponowali „powierzenie kierunku dwóm ludziom, z których jeden zarządzałby repertuarem, a drugi artystyczną stroną przedstawienia.“ Stroną techniczną zajmowałby się podporządkowany tym kierownikom aktor-reżyser. Ale w rozprawach, które się wywiązały na tle referatów, zarysowało się odrazu, jak opowiada jeden z referentów, obok tego sięgającego do głębi rzeczy poglądu, inne zapatrywanie, w którem „biorąc głównie pod uwagę finansowy stan teatru, oglądano się za kierownikiem, znającym przedewszystkiem rzemiosło teatralne i umiejącym to rzemiosło z handlowym sprytem wyzyskiwać.“ Jaki był ostateczny wynik dyskusyi, trudno wiedzieć napewno, w obec sprzecznych pogłosek. Postanowiono rozdzielić funkcye kierownika między dwie osoby, ale w zawieszeniu pozostała, zda się, kwestya, czy „główny reżyser połączonych scen Rozmaitości i Nowości“ będzie podlegał dyrektorowi artystycznemu dramatu, czy też, naodwrót, będzie miał tylko do pomocy dodanego sobie dramaturga, którego obowiązkiem będzie gromadzenie materyałów do repertuaru z twórczości swojskiej i obcej. Dotychczas mianowany został tylko ów główny reżyser, w osobie p. Ludwika Śliwińskiego. Z punku widzenia artystycznego, mamy tu znacznie mniejsze gwarancye, aniżeli w operze dzięki nominacyi pana Młynarskiego. P. Śliwiński, w ciągu dwunastoletniej swojej działalności, wyratował teatr Nowości z upadku finansowego i artystycznego i dał dowody,

że jest dzielnym, energicznym i obrotnym reżyserem. Nie zapominajmy jednak, że teatr Nowości jest przedewszystkiem miejscem zabawy, gdzie wystarcza trafianie do bieżących (i nie najlepszych) gustów publiczności, i skutkiem tego, biorąc ściśle, stoi już na rozgraniczu sztuki dramatycznej i... tynglu. W teatrze Rozmaitości nie o zabawę chodzi, lecz o prawą sztukę, nie o zadowolenie widza z wesoło spędzonego wieczoru, lecz o kulturę estetyczną. W teatrze Nowości, p. Śliwiński dostarczał publiczności doskonale wyrobionych zabawek, w teatrze Rozmaitości będzie musiał dawać dzieła sztuki. Czy temu podoła? Nie chcemy powątpiewać z góry, tem bardziej, że p. Śliwiński, w przemowie do personelu po swojej nominacyi, powołał się na swą „miłość sztuki i gorące pragnienie służenia jej." Te, o ile są głęboko szczere i o ile połączyć z niemi pracę, wytrwałość i energię, dziwa czasem zdolne są czynić.

Trzeci nominat, p. Walczak, zamianowany został dyrektorem szkoły baletowej, zgodnie z propozycyą p. Sygietyńskiego, który, stawiając ją (zresztą, nie bez zastrzeżeń), musiał opierać się na dokładnej znajomości kwalifikacyj swego kandydata.

Wszyscy trzej kierownicy rozpoczynają dopiero swoją działalność. Z krytyką jej poczekać jeszcze należy, gdyż bardzo naturalnem jest, że przy pierwszych krokach muszą się zdarzać błędy i upadki, które zwolna w dalszym ciągu usunięte być mogą. Natomiast, ponieważ z każdego roztrząsania wybłyska zawsze trocha światła, nie od rzeczy będą może pewne ogólne spostrzeżenia o zasadniczych czynnikach każdego teatru (repertuarze, wykonaniu i wystawie.) O ile przydadzą się one w czemkolwiek panom kierownikom, układającym zapewne w tej chwili plany przyszłych kampanij, — szczęśliwi będziemy.

(Dok. nastąpi.) Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYE. — Otokar Brzezina. *Ruce.* Kresbami doprovazi Frantiszek Bilek. Praha. Nakladem vlastnim.—Grzegorz Cicimirski. *Preludye poetyckie.* R. Krabbe. Kraków. — Wiktor Gomulicki. *Wiersze. Zbiór nowy.* Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Em. szl. z Leszehradu. *V dnech szerych.* E. Weinfurter v Praze. - Edward Słoński. *Do Boga.* Warszawa. — Lucyan Rydel. *Poezye.* Wende, Warszawa; Friedlein, Kraków. — Jerzy Żuławski. *Poezye.* Friedlein, Kraków; Wende, Warszawa.

POWIEŚĆ. — Paweł Bourget. *Widmo* Tom I i II. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Adolf Dygasiński. *Margiela i Margielka.* Fiszer. Warszawa.—Stefan Krzywoszewski. *Pani Jula.* Biblioteka dzieł wybor. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Pisma*, tomy XXXII i XXXIII. Tygodnik Illustr. Warszawa. — Trzaska. *Panna Żabińska.* Gebethner

i Wolff. Warszawa. — Juliusz Zeyer. *Jego i jej świat.* Biblioteka dzieł wyborowych Warszawa.

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. — Dr. Zdeniek Nejedly. *Zdenko Fibich.* Praha. — Julian Adolf Święcicki. *Historya literatury powszechnej*, tom III. *Literatura Arabska.* Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Tadeusz Trzciński. *Kosmozoficzne poglądy Mickiewicza.* Odbitka z „Ateneum". Warszawa.

HISTORYA. — Eugeniusz Mottaz. *Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre* Tom I i II. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Jan Zahorski. *Dzieje Polski chronologicznie ułożone.* Premium Biesiady Literackiej. Warszawa.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski*, tom III, zeszyt X. *Uzupełniena*, zeszyt I.

SZTUKI PLASTYCZNE. — Frantiszek Bilek. *Otcze nasz!* Uvod napsal Otokar Brzezina. Novy Život. Novy Jiczin. — Maryan Wawrzeniecki. *Dławce. Drobny przyczynek do historyi sztuki warszawskiej w epoce powitkiewiczowskiej.* Kraków. 1901.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Dr. Mercier. *Kryteryologia.* Przegląd Filozoficzny. Warszawa. — Prof. William James. *Nałóg.* Tłomaczył Dr. R. Radziwiłłowicz. Warszawa. Przegląd Filozoficzny.

VARIA. — Tadeusz Korzon i St. A. Kempner. *Handel w przeszłości i w stanie dzisiejszym świata.* E. Wende. Warszawa. — E. M. Witoszyński. *Reforma kłassicizma.* Warszawa. — Dr. Aleksander Fabian. *Z nauki o życiu.* E. Wende. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. (Warszawa). Sierpień, wrzesień, październik 1901. — Józef Kallenbach: *Z nieznanych rękopisów Zygmunta Krasińskiego.* — Tadeusz Konczyński: *Śladem tęsknoty.*—Adam Miodoński: *Na przełomie dziejowym.*— Mags: *Na tarasie.*—Stanisław Witkiewicz: *Aleksander Gierymski.* — Marya Konopnicka: *Pan Balcer w Brazylii*, — A. Brückner: *Bogurodzica* — Adam Darowski: *Dwa dni w Pompei.* — Romanus: *Kronika rzymska.* — *Piśmiennictwo.*— *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości bibliograficzne.*

CZASOPIS MUSEA KRALOVSTVI CZESKEHO. (Praha). Svazek cztvrty 1901. — Dr. Z. Nejedly: *Alois Jirasek.* — F. Dvorsky: *Nove zpravy o Tychonu Brahovi a jeho rodinie.* — J. Kamper: *Julius Zeyer.* — Prof. B. V. Spiess: *K životopisu Jana Kocina z Kocinetu.* — *Hlidka literarni.* — *Zpravy knihopisne.* — *Zprava o Museu Kral. Czeskeho.* — *Zprava o Matici Czeske.*

DIE INSEL. (München). August, September 1901 —H. von Hofmannsthal: *Gestern; Der Triumph der Zeit.* — M. Behmer: *Zwölf Zeichnungen.* — R. Borchart: *Saturnische Elegie. Sechs Sonnette. Heroische Elegie. Gedichte.* — Kuniyoshi: *Zwei Zeichnungen.* — C. Brentano: *Die Rose.* — R. Walser: *Sechs kleine Erzählungen Schneewitchen.*—R. A. Schröder: *Elegien. Invitation.* — F. Nietzsche: *Aus „Umwertung aller Werte."* — F. Hölderlin: *Gedicht.* — *Anmerkungen.*

KRYTYKA. (Lwów). Sierpień—wrzesień 1901. — Marya Konopnicka: *Tęsknota* — Henryk Zbierzchowski. *Rzeka. Wniebowzięcie.* — Wł. Wankie: *Nasi artyści na wystawie sztuki w Monachium.* — Edward Leszczyński: *Kołysanka. Z poematu: Wieczny tułacz.* — Adolf Nowaczyński: *Stefan Żeromski.* — Ludwik Szczepański: *W dawną, dawną noc jesienną.*—Juhani Aho: *Matka.* — Ign. Sęp: *Octave Mirbeau.* — D. mol: *Śniło mi się.*—Jan Sten: *Or-ot.*

KSIĄŻKA. (Warszawa). Sierpień, wrzesień 1901. — Wł. Jabłonowski: *Nasze tłómaczenia:*—*Krytyka.* — *Polemika.* — *Nekrologia.*—*Kronika.*—*Kuryer księgarski.* — *Bibliografia.*

DAS LITTERARISCHE ECHO. (Berlin). Nr. 21—24, III Jahr und Nr. 1, IV Jahr 1901 — K. Strecker: *Theatrokratie.*—A. Brunnemann: *Anatole France.*—C. Busse: *Agnes Miegel.* — B. Wille: *Helene Voigt-Diederichs.* — A. Miegel: *Gedichte.* — Kurt Aram: *Auslandsdramen in deutscher Sprache.* — F. von Zobeltitz: *Die Exlibris.*—J. Minor: *Neues von Marie Ebner.* — O. F. Walzel: *Zwei Ebner - Biographieen.* — L. Berg: *Nietzsche-Schriften.* — E. Holzner: *Antikisierende Dichtung.* — K. W. Goldschmidt: *Schlesien.* — A. Warneke: *Wilhelm Raabe.* — F. W. v. Oestéren: *Eine Kritische Frage.* — G. Kühl: *Gedichte.* — E. Bertz: *Weltanschanungen.* — *Neue Brief-Sammlungen (Lichtenberg, Schiller - Humboldt, Hebbel.)* — J. E. Poritzky: *Das Kind in der Litteratur.* — A. Brunner: *Vom Romandialog.* — E. Schrader: *Neutürkisches Schriftthum.*—C. V. Susan: *Dante-Uebersetzungen.* — O. J. Bierbaum: *Wo stehen wir?* — M. Meyerfeld: *George Moore.* — G. Hermann: *Moderne Thierfabeln.* — T. Schäfer: *Hessische Dorfgeschichten.* — *Neue Essais (E. Schmidt, F. X. Kraus, W. Bölsche).* — W. Holzamer: *„Sein letztes Hochamt“.* — F. W. v. Oestéren: *„Drei Thierfabeln“.—„Litteratur und Ueberbrettl“.—Echo der Zeitungen. Echo der Zeitschriften. Echo des Auslandes. Echo der Bühnen. Kurze Anzeigen.*

LUMIR. (Praha). Czisla: 41—46. 1901. — E. Stoy: *Navsztieva.*—J. Opolsky: *Miniatury.* — K. Baczkovsky: *Srdce dobre vule.* – J. Holeczek: *Houzir.* — V. Hladik: *Evżen Voldan.* — K. Dostal: *Podivnie lesy szumi... Smutek.* — T. Dubrovská: *Aż budesz unaven... Ty rad mne nemasz.* — J. Osten: *Alois Jirásek.* — A. B. Dostal: *Z basni.* — F. S. Holeczek: *Pod jhem cizi viny.* — L. Veltrusky: *Ver sacrum. Finale.* — J. Richepin: *Svata slza.* — J. Boleszka: *Vszelicos o A. Dvorzakovi.* — M. Silen: *Z basni.* — Fr. Evers: *Raje*, a P. Verlaine: *Piseń jesenie* (przel. A. Breska.) — *Feuilleton (Literatura, Divadlo, Hudba, Vytvarne umieni).*

MERCURE DE FRANCE. (Paris). Août, septembre, octobre 1901. — Remy de Gourmont: *Le Succès et l'Idée de Beauté. La Jeune Fille d'Aujord'hui.* — André Fontainas: *Anniversaire.* — Virgile Josz: *Le Centenaire de Richard-Parkes Bonnington.* — Georges Polti: *Le Livre des Secrets.* — Leon Charpentier: *Les Transmigrations de Yo - Tchéou.* — Fernand Severin: *Poèmes.* — Edmond Barthèlemy: *Thomas Carlyle et la Democratie.* — Albert Delacour: *Le Pape Rouge.* — Jules de Gaultier: *De la nature de Vérités.* —A. Ferdinand Herold: *Allégories sentimentales.* — Pierre Quillard: *Adolphe Retté.* — Emile Despax: *Poèmes.* — Marius Ary Leblond: *Leconte de Lisle avant la Révolution de 1848.* — Raoul Chélard: *De l'impossibitité d'une alliance politique et de la nécessité d'une alliance intellectuelle avec la Hongrie.* — Gaston Danville: *L'amour magicien.* — Frank Harris: *Confession.* — William Morris: *Les Buts de l'Art.*—Jean Mélia: *l'Enfance amourouse d'Henri Beyle.*— Revue du mois.

MODERNI REVUE. (Praha). Zarzi 1901. — Victor Dyk: *Privilegium.* — Josef Holy: *Literarni Konfesse.* — V. Dyk: *Kritika trha.* — Titulni list a obsah celeho rroczniku.

NOVY ŻIVOT. (Novy Jiczin). Czis. 1—7. 1901 — H. S. Baar: *Kohouti.* — Dr. A. Lang: *Abaelard.* — S. Bouszka: *Żivot T. Aubanela.* — M. Kavanova: *O viernosti aż do konce.* — J. Merhaut: *Z romanu „Pożar“.* — K. Dostal Lutinow: *Za Juliem Zeyerem; Kde kvietou citrony; Kapitoly o przechodech.* — Ot. Brzezina: *Uvod k Bilkovu Otczenaszi.*—V. Nejdl: *Procz se intelligence odvraci od nabożenstvi?* — *Basnie* od: J. Zeyera, J. Merhauta, K. Sylvy, O. Brzeziny, F. Leubnera, E. Hrubeho, L. Laurin-Ratolského. J. Karnika, Z. Tlamicha, K. Dostala Lutinova. — *Forum.* — *Vyobrazeni* od: V. Foerstera, B. Jarońka, M. Pirnera, F. Bilka, H. Emingrove, Ot. Paury, M. Alesze, C. Mandela, A. Muchy, M. Szvabinskeho, F. Kavana, A. Kalvody, K. Z. Wellnera, F. Jeneweina.

THE OUTLOOK. (London). № 179—192. 1901. — *Ibsen in his poems.* — *Paderewski and some music.* — *For fictionists and others.* — *Poets at Dalston.* —

'Art in the 'East 'End. — The brand of Caine. — Shilling Wagner. — A Bohemian Bunyan. — Eric Mackay, Poet. — Mr. Carton's „Undercurrent". — Michael Henry Dziewicki: *Czolgosz. (By a Pole). — The new Pinero. — Sir Edwin Arnold's „Ithobal". — Mr. Archer's thirty two. — Verses. Short stories. Reviews. Literary Gossip. A first glance at new books.*

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Zeszyt III. 1901. — Dr. Wł. Heinrich: *O metodologii nauk*, — E. Abramowski: *Dusza i ciało.* — Bolesław Biegeleisen: *Rozwój pojęcia ruchu w mechanice. — Przegląd krytyczny. — Przegląd systematów współczesnych — Autoreferaty. — Sprawozdania. — Przegląd czasopism. — Wiadomości bieżące. — Bibliografia.*

PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. (Lwów). Lipiec, sierpień 1901. — Dyonizy Zaleski: *Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego.* — Piotr Chmielowski: *Najnowsze prądy w poezyi naszej* — Wojciech Dzieduszycki: *Rzecz o uczuciach ludzkich.* — Ks. Jan Sygański: *Dawne zabytki dziejowe Nowego Sącza.* — Dr. Wiktor Hahn: *Bibliografia o Juliuszu Słowackim za rok 1899. — Kronika literacka.*

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Roma). Luglio, Agosto, Settembre 1901.— Vittorio Pica: *Leonardo Bistolfi.* — Giulia Daudet: *L'infanzia d'una Parigina.* — Sem Benelli: *La IV Esposizione d'Arte a Venezia*; *Rassegna Italiana.* — G. Eekhoud: *Rassegna Belga.* — Cesare Levi: *Cronaca Dramatica*; *Una commedia antisemita.* —Enrico Corradini: *Dell'insegnamento classico in Italia*; *Nota sopra un'intervista.* — Giulio de Frenzi: *Ugo Ojetti.* — Grazia Deledda: *Il servo.* — Remy de Gourmont: *Rassegna Francese.* — Amy A. Bernardy: *Rassegna Nord-Americana* — J. M. Palmarini: *Note d'occasione*; *Di lá dal muro.*—Pompeo Gener: *Don Chisciotte e Sancio Panza.* — Guido Gasperini: *Lorenzo Perosi*; *Camillo Saint - Saëns.* — Mario Morasso: *Il quadro moderno.* — Carlo Zangarini: *La bontà della musica.* — Luciano Zuccoli: *Letteratura grigia.* — Lucio d'Ambra: *Paul e Victor Margueritte.* — Riccardo Quintieri: *Un prologo inatteso.* — Gilmo Cappello: *Un precursore di Leone Tolstoi.* — Jolanda: *Il Vincitore. — Appunti bibliografici. — Notiziario generale. — Riviste e Giornali.*

THE REVIEW OF REVIEWS. (London). 15 Jan.—15 Aug. 1901. — *The Reviews reviewed. - Books of the month. — Art in the Magazines. — Leading articles in the reviews. — List of the leading contents of current periodicals.*

LA REVUE D'ART DRAMATIQUE. (Paris). Juillet, septembre 1901. — L. Henry Lecomte: *Histoire des Théâtres.* — Tor Hedberg: *Gerhard Grim* — Alla: *Projet de théâtres populaires.* — V. Mandelstam: *Le Lévite d'Ephraïm.* — G. Van Hasselt: *Acteurs du temps jadis: Vernet.* – Jane Misme: *Théâtres d'amateurs.* — Osman Edwards: *Les Reines en Exil.* — J. Kont: *La saison en Hongrie.* — Jan Lorentowicz: *L'opéra en Pologne.* — S. Raffalovich: *Tchékoff et le théâtre artistique. — Théâtres: Paris. Province. En plein air. Etranger* (Lorentowicz: *Manru de Paderewski). — Livres. — Musique. — Illustrations: Portraits de Paderewski et de Sybil Sanderson.*

LA REVUE DU BIEN. (Paris). Août, septembre, octobre 1901. — Gust. Toudouze *Bretonnes des Côtes.* — Jean Lorédan: *A la Course! Fin de Jour.* · Maurice Griveau: *La protection du Paysage.* — Marc Legrand: *Les Disparus. La Borne.* — A. Parodi: *Idéalisme.* — Patrick Geddes: *L'Exposition de Glascow.* — E. Raynaud: *Alexandre Seon, peintre.* — Jean Bach-Sisley: *Sur le Lac.* — Octave Mirbeau: *M-lle Palla.* — Léon de Rosny: *Un Empereur qui fait fumer les cheminées.* — E. Martin-Videau: *Résignation. — Bibliographie. — Illustrations.*

REVISTA NATURISTA. (Rio de Janeiro). II—Tomo primeiro—I, 1901.—Elysio de Carvalho: *O ensino da Esthetica*; *O theatro heroico et social.* — Eugène Montfort: *Litteratura religiosa.* — Rocha Pombo: *O Precursor.* -- Dom. Ribeiro Filho: *Pri-*

meira Epistola a Elysio de Carvalho. — Joachim Gasquet: *Le Style.* — Louys de Démétrios: *Chronica Parisiense.*—*Chronica dos Livros.*—*Chronica das Revistas.*—*Echos.*

SRDCE. (Žamberk). Czislo 1, zarzi 1901.—V. Othomar: *Nasze poslani.*—J. Opolsky *Stara ukolebavka; Interregnum.* — O. Theer: *Karla.*— F. Soldan: *Odcizeni; Až; Jsme jesztie przilisz; Odysseus.* — K. Rożek: *Zbyteczny život,* — J. S. Holy: *Fragment; H. W.* — K. B. Englich: *Soustrastne stiny noci.* — O. Zenith: *Milenka.*— Jan z Wojkowicz. *Vzdech; Smutna bilance.* — E. szl. z Leszehradu: *Naszi moderni kritikove.*— K. R.: *Proti tak zv. krvavym romanum.* — *Kritika. Literatura. Divadlo.* — *Morava. Slezsko. Slovensko.* — *Drobne zpravy.*

THE SPECTATOR. (London). № 3817—3821. 1901 — Books: *Prof. Tyrrell's Latin Anthology.* — *Songs of Lucilla.* — *The life and literature of the ancient Hebrews.* — *A commentary upon „In Memoriam“* — *Mediaeval Egypt.* — *The early age of Greece.* — Music: *The Gloucester Festival.* — Current literature. — Publications of the week.

TYGODNIK ILLUSTROWANY. (Warszawa). №№ 30—41. 1901. C. Walewska: *Jak liść oderwany od drzewa.* — W. Sieroszewski: *Jang-Hun-Tsy.*— Wł. St. Reymont. *Przed świtem.* —J. L. K.: *Zazdrość.* — Sewer: *W lesie.*—*Poezye:* K. Glińskiego, W. Gomulickiego, W. J. Gryfa, M. Konopnickiej, Liliany, J. Łętowskiego, Wł. Nawrockiego, Or-Ota, B. Ostrowskiej, W. Wolskiego. — W. Jabłonowski: *Antagonizmy zaściankowe; Filip z Konopi.* — Piotr Chmielowski: *Stanisław Potocki jako felietonista.* — Wł. Mickiewicz: *Pamiątki polskie w Paryżu.* — *Kroniki. Sprawozdania. Ryciny.*

WIENER RUNDSCHAU. (Wien). №№ 15—17, 1901. — Baronin E. Gumppenberg *Das Wesen des Opfers.* — Carl Vick: *Psychografologie.* —David Sprengel: *Sigbjörn Obstfelders „Tagebuch eines Geistlichen“.* — Odilon Redon: *„Le Bouddha“.* — Emil Lucka: *Zur Symbolik in Wagners „Parsifal“.* — Albert Kniepf: *Francis Bacons und Shakespeares Astrologie.* — Charles Algernon Swinburne: *Meleagers Tod.* — Th. Achelis: *Wilhelm Wundt.* — Ludwig Kuhlenbeck: *Kypris oder die Geschlechtsliebe im Lichte der Descendenz-Theorie.* — *Rundschau: Der Unterschied im Wesen des physiologischen und geometrischen Raumes. Eine Consequenz aus der Lehre vom psychophysischen Parallelismus. Kants Bedeutung für die Musik-Aesthetik. Das Bewusstsein der Aussenwelt. Ueber beschreibende Musik. Bölsches „Liebesleben in der Natur“. Das Buch Zohar. Ernst Häckel und der Spiritismus.*

WISŁA. (Warszawa). Lipiec—Sierpień 1901. — Jerzy Iwanowski: *Betlejki w powiecie Lidzkim, gub. Wileńskiej.* — W. Bogumiła Cichomska: *Mazury z pod Kamienia.* — E. Majewski: *Pszczoły w pojęciach i praktykach ludu naszego.*—Ignacy Radliński: *Apokryfy judaistyczno-chrześciańskie.* — Salomon Reinach: *Archeologia celtycka.* — St. Kościałkowski: *Pieśni ludowe z powiatu Sokólskiego:* — Stanisław Ciechanowski: *Pieśni ślązkie z okolic Cieszyna.* — Stanisława Sawicka: *Bajka o Paluszku..* — Jan Fr. Magiera: *Papaje a Wilamowicanie.* — *Poszukiwania.* — *Sprawozdania i krytyka.* — *Przegląd czasopism.* — *Drobiazgi ludoznawcze.* — *Różne wiadomości.* — *Książki i czasopisma, nadesłane do redakcyi.* — *Bibliografia.*

DIE ZEIT. (Wien). №№ 355—366, 1901. — Dr. L. William Stern: *Machs Analyse der Empfindung.* — Josef Diner-Denes: *Die moderne ungarische Novelle.* — Alexander Bródy: *Frau Rubens.* — Johannes Schlaf; *Ein gothischer Dramatiker.*— Richard Muther: *Die Denkmalseuche; Brügge.*—Maxim Gorki: *Ueber den Schrisfttteller, der sich zu viel einbildete.* — J. C. Poestion: *Die nordgermanischen Sprachen.* — Sigismund Morawski: *Der Faun.* — Leonhard Adelf: *Liliencrons Prosa.* — Multatuli: *Ein Theeabend bei Frau Petersen.* — Erich Klossowski: *Barockmalerei in Prag.* — Ernst Heilborn: *Georg v. Ompteda.* — G. Courteline: *Er und sie.* — Max Meyerfeld: *„Evelyn Innes“ und ihr Dichter.*—Bruno Wille: *Hinter der Weltstadt.* —

Dr. W. Bode: *Das Geniessen von Kunstwerken nach Goethes Lehren.* — Franz Kranewitter: *Grossvaters Zopf.* — Dr. M. Hoernes: *Die Anfänge der Kunst und die Kunst der Griechen.*—Dr. Max Koch: *Neueste Dichtungen von Arthur Schnitzler.* — Felix Vogt: *Willy.* — Willy: *Die Solognotte.* — Dr. P. Barth: *Eine Kritik der Sprache.* — Ernst Heilborn: *Wilhelm Raabe.* — Jonas Lie: *Auch eine Liebe.* —Eduard Platzhof: *Karl Spitteler.* — Lothar v. Kunowski: *Zur Reform der bildenden Kunst.* — Gräfin Salburg: *Betrachtungen eines Hochgeborenen.* — Dr. Friedrich Graz: *H. G. Wells.* — K. E. Schmidt: *Der Nachruhm des Malers.* — Max Burckhard: *König Harlekin; Hanna Jagert; Der Schatten.* — H. G. Wells: *Das rothe Zimmer.* — Rudyard Kipling: *Namgay Doola.* — Dr. Julius Wiesner: *Goethes Urpflanze.* — Gabriele Reuter: *Ein Kinderbuch für Erwachsene.* — Paul Heyse: *Eine venezianische Nacht.* — *Die Woche.* — *Bücher.* — *Revue der Revuen.*

ZVON. (Praha). Seszity 13—26. 1901. — *Basnie:* — od B. Adamka, E. Alberta, J. Boreckeho, K. Czervinky, X. Dvorzaka, J. Haasze, A. Heyduka, R. Jesenske, B. Kaminskeho, A. Klaszterskeho, L. Krzikavy, E. Polaka, F. S. Prochazky, F. Sekaniny M. Silena, J. V. Sladka, F. X. Svobody, J. Vetterovskeho, Jana z Wojkowicz, K. Vrby, J. Vrchlickeho. — *Przeklady:* z Baki a z Campoamora. — K. V. Rais: *Sirotek.* — M. A. Simaczek: *Laczne srdce.*—R. Jesenska: *Daleke obzory.*—A. Jirasek: *Tomasz Famfule.* — O. Fiszerova: *Rużenec.* — J. Vrchlicky: *Giosuè Carducci.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Vytvarne Umieni. Tyden.*

VARIA.

List artysty. Szanowny Redaktorze! Podpisanemu, wobec gwałtownie prowadzonej *roboty* i rozwijającej się *mody,* nasunęły się poniżej załączone pytania:

1) Dla czego ci, którzy nie widzą „zakończenia dachowego" w Proszowicach, Skalbmierzu, Pińczowie, Działoszycach, Wiślicy, Bodzentynie, Olkuszu, Sławkowie i t. d., *widzą* i podziwiają „pazdur" w Zakopanem?

2) Dla czego ci, którzy niczem nie przyczynili się do poznania własnego kraju (okolicy) i nigdy nikomu poznania tego nie ułatwili, nagle, nie znając tego, co u siebie posiadają, rozpalają się do wszystkiego, co zakopiańskie?

3) Czy można i czy należy przed dokładnem zbadaniem tego, co z zabytków drewnianego budownictwa pozostało u nas w Królestwie, agitować i zmuszać do przyjęcia sposobu, który zachował się lub raczej sztucznie odnowił na najdalszych kresach dawnej Polski?

4) Czy kresy te, dla tego, że zamknięte ścianą Tatr, doprawdy uchowały się od wszelkich wpływów?

5) Czy jednak nie należałoby, *ot tak sobie,* poznać materyały dotyczące zabytków naszego budownictwa drewnianego, zebrane już wcześniej nieco przez Jana Matejkę (chociażby Tygodnik Illustrowany 1866-7), Józefa i Ludwika Łepkowskich (rysunki Du-

draka w Gab. Arch. Uniw. Jagiell.), Zygmunta Glogera, A. Głębockiego (bardzo ciekawe), przejrzeć teki Pawła Podczaszyńskiego, A. Przeździeckiego i E. Rastawieckiego, papiery i notaty po Władysławie Łuszczkiewiczu? Przeszukać pisma ilustrowane, a nawet roczniki „Wisły“?

6) Czy ogniste zapały dla „stylu zakopiańskiego“ *nie stoją w nieco rażącej sprzeczności z chłodną obojętnością dla Wystawy Etnograficznej* (Muzeum Przemysłu) *i badającej lud, jego zwyczaje, budownictwo i ornamentacyę* „Wisły“?

7) Czy w całej tej sprawie nie należałoby zachować wielkiej *ostrożności,* ze względu, że mamy do czynienia ze społeczeństwem bardzo *niekulturalnem* na tem polu, i że zbyt gwałtowny nacisk w tym jednym kierunku może łatwo *indywidualności* i *twórczości* wyrządzić niepowetowaną szkodę. Jeżeli p. Witkiewicz w motywach zakopiańskich znalazł właściwe pole dla rozwinięcia swego talentu, to możemy temu tylko przyklasnąć, — gorąco jednak zastrzedz się musimy przeciwko narzucaniu „odrodzenia“ wyłącznie Zakopiańskiego każdej indywidualności bez różnicy — swoboda twórcza musi być utrzymana w całej sile.

Warszawa. 19. XII. 1901. Maryan Wawrzeniecki.

Jubileusz czterowiekowego istnienia artystycznej, książkowej poezyi i literatury chorwackiej święcono śród ogólnego zapału w Zagrzebiu. W obchodzie uroczystym, związano imiona *Marka Marulića* ze Spletu, który, może z mierniejszym talentem, ale za to wyprzedzając co do czasu sławną plejadę dubrownicką, napisał, w r. 1501, pierwszy poemat w języku narodowym, — oraz *Augusta Szenoi,* jednego z największych odrodzicieli ducha i piśmiennictwa chorwackiego w stuleciu minionem. Na wielkie to święto narodowe zaproszono gości z całej Słowiańszczyzny. Polaków przybyła spora garstka, a telegramów polskich z życzeniami przysłano nader wiele, tak, że w dziennikach zagrzebskich ozwały się głosy nawołujące do „wzajemności polsko-chorwackiej.“ Objaw to bardzo pocieszający, dotąd bowiem, wbrew zaleceniom chorwackiego panslawisty z XVII w., Jerzego Križanića: „cum Lechis potest nobis esse foedus vere fraternum propter linguae et morum similitudinem,“ i pomimo owocnej działalności Bronisława Grabowskiego, — względnie mało nad Sawą i Drawą mieliśmy przyjaciół.

Katedra płocka pozyska, zda się, piękną, istotnie artystyczną polichromię wewnętrzną. Sędziowie wyznaczonego w tym

celu cichego konkursu przyznali pierwszeństwo projektom prof. Józefa Mehoffera z Krakowa, poważnego i twórczego artysty, autora wspaniałych witraży w katedrze fryburskiej, oraz bogatej dekoracyi skarbca w katedrze krakowskiej. Po tylu haniebnych tandetach, jak odnowienie fresków w krakowskim kościele św. Krzyża, jak pomnik Mickiewicza, jak sławetne rzeźby i, zwłaszcza, malowidła w Filharmonii; po tylu konkursach artystycznych, przy rozstrzyganiu których grały rolę wszelkie inne — prócz artystycznych — względy, rezultat konkursu płockiego jest czemś tak niezwykłem i pocieszającem, że z uznaniem najgłębszem wymieniamy skład grona sędziowskiego, do którego należeli: biskup płocki ks. Szembek, Adam Badowski, Antoni Brykczyński, Józef Dziekoński, Miłosz Kotarbiński, ks. Nowowiejski, Stefan Szyller i Stanisław Tomkowicz. Bodajby *czyn* ten kulturalny i obywatelski był dobrym i skutecznym przykładem dla wszystkich nadal *jury* i komitetów artystycznych.

Feliks Jezierski po długiem, pełnem wnętrznie i owocnem życiu, zmarł w Warszawie prawie w zapomnieniu. Obojętne wzmianki i suche pism jego wyliczenia oznajmiły o tem w czasopismach ogółowi. Dwóch tylko poetów z gorącością pożegnało go należną: W. Gomulicki, święcąc serdeczne, wzruszenia głębokiego pełne wspomnienie ukochanemu przewodnikowi i nauczycielowi, oraz A. Lange, energicznie i ze czcią zaznaczając wielką prac jego wartość. A prac tych i zasług mnogość była i rozmaitość, bo szeroki, renesansowy jego duch nie mieścił się w ramach jednego zawodu czy powołania. O ile praktyczna strona życia obojętną mu zawsze była, o tyle wszystko, co ma związek z duszą, z twórczością, obchodziło go jednako. Znakomity pedagog, bez cienia pedantyzmu i szablonu, umiejący rozwijać, kształtować dusze i ku wysokim, szlachetnym zwracać je rzeczom, — był jednocześnie doskonałym poetą (same tak wysoce *twórcze* przekłady już mu do tytułu tego zaszczytne dają prawo); głębokim i własnemi zawsze drogami chodzącym myślicielem; miłośnikiem wielkim i mocarzem języka, który nietylko znał, lecz i czuł nawskroś; znawcą wybornym całego obszaru literatur świata, czcicielem prawym wielkich arcytworów poezyi, umiejącym, w słowie czy piśmie, wydobywać na jaw i oświetlać wszystkie ich piękności; człowiekiem, wreszcie, niesłychanie szerokiej kultury i, skutkiem tego, redaktorem nieocenionym *(Biblioteka Warszawska,* za jego redakcyi, miała, pod względem literackim, najpiękniejszą może dobę). Nadewszystko wszakże, podnieść w Jezierskim i uwielbić należy wielką, szczerą prawość artysty i uczonego, tem bardziej,

że właściwość to dzisiaj tak rzadka, niestety. Jezierski nie napisał nigdy, ani powiedział nawet („skąpy był i ostrożny w słowach,“ powiada Gomulicki) czegoś, czego dokładnie nie poznał, nie przemyślał, nie wyczuł do głębi. Nie robił nic na pokaz, dla zysku, sławy lub pozy. O sobie zdawał się zapominać zupełnie, oddany zawsze bezinteresownie, całem jestestwem temu, co ukochał i przedsięwziął. A ta pogoń wieczna za możebnie najwyższą doskonałością! Do mistrzowskich swych przekładów po ileż razy powracał, z jakąż troskliwością konfrontował je jeszcze i jeszcze i z oryginałem, i z innemi tłómaczeniami, by jak najgłębiej sięgnąć w umiłowane dzieło i najostateczniejszy dla niego wyraz w mowie własnej osiągnąć! — Była to dusza cicha, pełna prostoty, pełna niegasnącego zapału dla wszystkiego, co piękne i głębokie, dusza, skutkiem tego, aż do schyłku młodzieńcza i rwąca się zawsze ku wyższym sferom istnienia ludzkiego. Pamiętam, jak, zakładając *Życie* warszawskie, zjawiłem się u bieluteńkiego już wówczas jak gołąb' staruszka, aby go prosić o przekład *Prometeusza rozpętanego.* Jakże mu oczy zabłysły, jak cała twarz się rozpromieniła, z jakimż zapałem jął mówić o Shelley'u, a potem rozpytywać o zamiary i cele nowego pisma! — Miałem wrażenie takiej młodzieńczości, takiej świeżości, takiego czystego, gorącego entuzyazmu, że wyszedłem od niego poruszony do głębi. — A. Lange powiada o Jezierskim, że odszedł walką życiową złamany. Mam uczucie przeciwne: że Jezierski umierać nawet musiał z wielką, spokojną pogodą, i w ostatniej chwili zapatrzony w te wyżyny, które go całe życie ciągnęły.

O Chrystyanie Grabbem głucho było w Niemczech przez lat kilkadziesiąt. Nawet śmierć nie pomogła mu do popularności. Entuzyastyczne głosy przyjaciół i znawców (Dullera, Immermana, J. Scherra, Freiligratha) przemijały bez echa; gorsze (R. v. Gottschalla) i lepsze (O. Blumenthala) edycye dzieł poety zalegały daremnie półki księgarskie i biblioteczne. Tytaniczny, nieokiełznany, nie znający żadnych niemożliwości, łamiący wszystkie reguły, idący szalonemi skrótami ku wspaniałym syntezom, nie znoszący żadnych wdzięczeń się, sentymentalizmów, banalności, powierzchowności, i chłoszczący je z — nieznanym do dziś w Niemczech — rozszalałym humorem, — nie mógł Grabbe przypaść do smaku swoim rodakom, i urzędowa *Handbuch*- i *Familien*-krytyka z niedbałem politowaniem powtarzała komunał o zmarnowanym geniuszu.

Nagle — o, ten dziennikarski kalendarzyk wszelkich przed- i pośmiertnych jubileuszów! — obejrzano się, że nadeszła setna ro-

cznica urodzin Grabbego. Jakież pismo przepuści taką chronologiczną sposobność? Posypały się więc artykuły i artykuliki. Przedewszystkiem — zwykłym trybem jubileuszowym — zaczęto z hösickowską zajadłością rozgrzebywać życie poety. Gdzieniegdzie zajęto się *także* i jego dziełami, ale — z wyjątkiem dwóch lub trzech rozprawek — w sposób świadczący, że Grabbe (jak powiada P. Kurth) jest ciągle jeszcze „genialnym pisarzem, *mit den sein Volk bis auf den heutigen Tag nichts anzufangen weiss.*" Dla p. O. Harnacka *(Preussische Jahrbücher)* — że przykład weźmiemy typowy — *Książę Gotlandzki,* „dieses Kannibalenstück," jest „prawie utworem obłąkanego," a *Don Juan i Faust* są „charakterystycznym dowodem przeherodowującej Heroda wyobraźni Grabbego." Tylko *Napoleon* i dramata hohenstaufeńskie znajdują nieco łaski w oczach rozgoryczonego pedanta, który nie może wybaczyć Grabbemu długich złudzeń co do jego realizmu.

Postanowiwszy oddawna — dać, po *Axelu,* „Żart, satyrę, ironię i głębsze znaczenie," tę może do dziś jedyną w Niemczech *Literatur-Comödie,* w której Grabbe, pod względem humoru, dowcipu, satyry, rozmachu i głębi, nieskończenie przewyższa analogiczne próby Tiecka (Kot w butach, Książę Zerbino), Schlegla (Opis podróży Kotzebuego), Platena (Wyroczny widelec) i Eichendorfa (Wojna filistrom), — znaleźliśmy się przypadkiem (nie mamy nosa do rocznic!) pośród zgiełku jubileuszowego. Nie wątpimy, że uzupełnią go wkrótce głosy naszych Harnacków miejscowych, którzy z zasady ganią wszystko, co chwali *Chimera,* a tym razem wystąpią z pewnością jeszcze odważniej, mając za sobą *die compacte Majoritaet* Harnacków pruskich.

Przyjaciel jakiś w *Kurj. Warsz.* ogłasza światu, że p. Stanisław Kozłowski „wykończył" trzyaktową satyrę sceniczną z życia dekadentów francuzkich p. t. „Nowe dreszcze." „Stary dreszcz" nas przebiega na myśl, że „dzieło" to napisane będzie wierszem... równie blaszanym wierszem, jak sławetny łódzki „Symbolista." — Obawiamy się też, że szan. satyryk, zwykłym u nas trybem, walczyć będzie z widmami swej wyobraźni, ilekroć bowiem zaskoczyliśmy któregobądź z tak licznych u nas pogromców „dekadentyzmu francuzkiego" skromnem pytaniem: „O kim właściwie pan dobrodziej mówi?" — z głębokiem zamiast odpowiedzi spotykaliśmy się milczeniem. Każdy z tych czcigodnych krytyków zna i zwalcza kierunki, generacye, sekty, klany, szkoły, falangi, tłumy, nawały dekadenckie! Pojedyńczego dekadenta *ani jednego* żaden nazwać nie umie. Nie są-ż to więc raczej chorobliwe fantazmata ich własnych nie-dekadenckich majaczeń?

P. Choińskiemu ciągle *Chimera* spać nie daje. Przechodząc od teoryi „dekadentyzmu" (o lube widmo!) do konsyderacyj praktycznych, oświadcza on czytelnikom Gazety Lwowskiej, że opóźnianie się pisma naszego jest „niesłychanem lekceważeniem publiczności." — To zależy od zapatrywania, łaskawy panie. Według nas, „niesłychanem lekceważeniem publiczności" było wydawanie, za pańskiej redakcyi, z najściślejszą regularnością, co tydzień N-ru *Wędrowca,* zapełnionego *byle czem* i wydrukowanego *byle jak.* W ten sposób łatwo było nie opóźniać się ...z fabrykacyą makulatury.

Przy tem — nie zawadziłoby może nieco więcej ścisłości w wyrażeniach, pewne bowiem omyłki i aproksymatywy mogą robić wrażenie złej woli. Wyszło nie 4, lecz 5 N-rów *Chimery,* albowiem N-r 4-5 nie jest — jak znowu inny dzienniczek insynuował subtelnie — „*trochę* większy" od zwykłego zeszytu, lecz zawiera okrągło *dwa razy tyle* arkuszy i *dwa razy tyle* plansz, co N-r pojedyńczy. *Chimera,* łaskawi panowie, daje, wbrew utartemu zwyczajowi, znacznie więcej, niż obiecywała, — a i spóźniać się zawsze nie będzie.

Erratum. W utworze L. Staffa p. t. *Uroki,* na str. 440 niniejszego tomu, w drugim wierszu od góry, winno być: „najzdrowsze ziarno," zamiast „najdroższe ziarno."

Szanownym abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy, że niniejszy zeszyt 6-ty zamyka kwartał drugi naszego wydawnictwa, i prosimy o jak najszybsze odnawianie prenumeraty na kwartał 3-ci i 4-ty, gdyż druk zeszytów 7-8 (podwójnego) i 9-go (za kwartał 3-ci), oraz 10-11-12 (potrójnego, za kwartał 4-ty), jest na ukończeniu, i N-ra te zostaną rozesłane czytelnikom w odstępach najdalej 10-dniowych.

Dla uregulowania ostatecznego wszystkich kwestyj technicznych i zapobieżenia na przyszłość wszelkim opóźnieniom, rocznik II-gi Chimery rozpoczniemy z d. 1-m kwietnia r. b. — i odtąd czytelnicy nasi odbierać będą bez zawodu zeszyt co miesiąc, a rok Chimery liczyć się będzie zawsze od kwietnia do kwietnia.

Prenumeratę na rocznik II-gi przyjmować zaczniemy dopiero po ukazaniu się ostatniego zeszytu za rok ubiegły.

CHIMERA.



PIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNYM PORZĄDKIEM WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM II. — 1901.)



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.
7, rue des Princes, Varsovie.
Sommaire du N-ro 6. — Juin 1901.

TEXTE: R. de Campoamor — *Torralba le licencié;* V. Berent — *Pourriture;* L. Staff — *les Chansons d'un fou;* W. St. Reymont — *Komouraçaki;* H. Ochenkowski — *Quiétude;* Chr. D. Grabbe — *Plaisanterie, satyre, ironie, et l'arrière-pensée plus profonde;* J. Lemański — *Nocturne.* — *Revue du mois: Glosses, Théâtre, Bibliographie, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: Alex. Gierymski: *Place de Maximilien à Munich.*

DESSINS DANS LE TEXTE — de Dębicki, Hokusai, Kolo Moser, Krzyształowicz, Noskowski, Okuń, Stanisławski, Wawrzeniecki.

COUVERTURE de M. Wawrzeniecki.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.
Na stronnicach po tekście literackim za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

CZESKIE TOWARZYSTWO GRAFICZNE **„UNIE."**

Druk, Litografia, Światłodruk, Fotografia, druk trój-i wielobarwny, Heliograwiura, Cynkografia, Stereotypia, Galwanoplastyka, i wszystkie wogóle sztuki graficzne.
Specyalność: *reprodukcya dzieł sztuki.*
Złoty medal na wystawie paryzkiej.
Praha (Czechy). — Wyszehrad.

MERCURE de FRANCE

Littérature. Poésie. Théâtre. Musique. Peinture. Sculpture. Philosophie. Histoire. Sociologie. Sciences. Voyages. Bibliophilie. Sciences occultes. Critique. Littératures étrangères. Portraits, dessins. Revue du mois. Paraît tous les mois.
Rédacteur en chef: *Alfred Vallette.*
Abonn: un an 24 fr., six mois 13 fr., trois mois 7 fr.
Paris. — XV, rue de l'Echaudé, 15.

CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KSIĄŻĘCA 7.
Skrzynka pocztowa Nr 523.

Dwanaście zeszytów rocznie, każdy objętości
10 — 12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje we wtorki i piątki od 1-ej do 3-ej pp.
Administracya otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	9 rb.	12 rb.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
Półrocznie	5 rb.	6 rb. 50 k.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
Kwartalnie	3 rb.	3 rb. 50 k.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.
w Warszawie: rocznie, 30 rb., półr. 15 rb., kwart. 7 rb. 50 k.
z przes. pocztową: „ 35 „ „ 17,50 „ 8 „ 75 „
za granicą rocznie 95 fr., 75 mar., 90 kor.

Cena zeszytu 6-go rb. 2.

Przedpłatę przyjmuje administracya (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Февраля 1902 года.
WARSZAWSKIE AKC. T-STWO ARTYSTYCZNO WYDAWNICZE.

PG
7001
C538
t.2

Chimera
t. 2

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY